Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

# ZEGRZYNIACY

## ROCZNIK 63

55878

Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

BIBLIOTEKA GŁÓWNA - ARCHIWUM
Nr ewid. 55878
Akademii Obrony Narodowej

# ZEGRZYNIACY

## ROCZNIK 63

55878

AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ
Warszawa 2003

Wspomnienia zebrał i do druku przygotował **Jerzy Mazurkiewicz**

Projekt okładki **Jerzy Mazurkiewicz**

Opracowanie graficzne **Dariusz Łysio**

Redaktor **Zbigniew Kozakiewicz**

Redaktor techniczny **Beata Klarowska**

Korekta **Jerzy Goliński, Renata Czerwińska**

COPYRIGHT © by STAŁY KOMITET ORGANIZACYJNY
ABSOLWENTÓW OSŁ R-63, 2003

*Zdjęcia pochodzą ze zbiorów absolwentów OSŁ R-63*

**ISBN 83-88062-59-X**

Sygn. AON 5516/03

Skład, druk i oprawa: Akademia Obrony Narodowej - Wydział Wydawniczy
00-910 Warszawa, al. gen. A. Chruściela 103, tel. 681-40-55, tel./faks 681-37-52
Zam. nr 459/2003

# SPIS TREŚCI


WSTĘP ..... 7

*Antoni Wieczorek*
ZEGRZE, NASZE ZEGRZE ..... 10
Rys historyczny ..... 10
Kształcenie kadr łączności w czasie wojny i po wojnie ..... 13
Początek lat sześćdziesiątych ..... 16
Dalsze dzieje ..... 19

*Wojciech Dunal*
KIERUNEK ZEGRZE ..... 21
Droga do Zegrza ..... 21
Zegrze ..... 22

*Piotr Michalski*
ZEGRZYŃSKIE REMINISCENCJE ..... 27

*Krzysztof Tomczak*
PODCHORĄŻY NA PRAKTYCE ..... 47
W czerwonych beretach ..... 47
Kochane wojsko ..... 52

*Adam Śliwakowski*
DRAWA ..... 56
Spotkanie ..... 56
Podróż ..... 59

*Stanisław Skibiński*
CHŁOPCY MOICH MARZEŃ ..... 61

*Antoni Skubis*
W SZKOLE I PO SZKOLE ..... 65
Szkolne przygody ..... 65
W Sieradzu ..... 71

*Stanisław Nowak*
MOJA DROGA DO GWIAZDEK ..... 75
Spóźniony start ..... 75
Podchorążackie życie ..... 78
Z gwiazdkami na naramiennikach ..... 83

*Zbigniew Kłos*
PIERWSZE KROKI ..... 85

*Władysław Gładkowski*
WYBRAŃCY LOSU ..... 87
Warszawskie początki ..... 87
Prawdziwa służba ..... 89
Poligony i szkolenia ..... 92
Pod kogucikiem ..... 94

*Jerzy Mazurkiewicz*
CHOSZCZAŃSKI RZUT ..... 98
Jak to się stało ..... 98
Do Choszczna marsz ..... 100
Historia Choszczna ..... 105
W jednostce ..... 108
Konstap ..... 112
Dalsze dzieje ..... 114

*Tadeusz Wojtuszkiewicz*
W STEPACH KAZACHSTANU ..... 119

*Edward Szybowski*
MINĘŁY LATA ..... 125

*Jan Worm*
BOJOWE STRZELANIA RAKIETOWE ..... 129

*Marian Kruszyński*
W KRAINIE WIELKICH JEZIOR ..... 138
Nasza jednostka ..... 138
Mazurska siódemka ..... 139
Mazury, oj Mazury ..... 140
Jacy byliśmy ..... 142
Nasze życie ..... 145

*Andrzej Bischoff*
PRZEWROTNOŚĆ LOSU ..... 150

*Bernard Otremba*
BRACIA ..... 156
Droga do gwiazdek ..... 156
Pierwsze oficerskie lata ..... 159
Dalsze boje i przeboje ..... 162

*Zdzisław Gorzelany*
TRÓJKĄT BERMUDZKI ..... 165

*Zygmunt Adamski*
W WOJSKACH OPL SOW ..... 169

*Wojciech Dunal*
OFICERSKI SZLAK ..... 177
Wałcz ..... 177
Przasnysz ..... 179
Biała Podlaska ..... 181

*Karol Kociałkowski*
SŁUŻBA I SPORT ..... 189
Cywil sportowiec w zegrzyńskiej podchorążówce ..... 189
Dalsze losy zawodowe i sportowe ..... 195
Kilka migawek ze stanu wojennego ..... 201
Przystanek Cytadela Warszawska ..... 206
*Antoni Skubis*
TEORIA I PRAKTYKA ..... 217
Na studiach ..... 217
W linii ..... 219
Praca w uczelni ..... 220
Pod kapeluszem ..... 223
*Marian Kruszyński*
CIEKAWE CZASY ..... 226
*Jan Bąk*
W KRAJU I ZA GRANICĄ ..... 231
Służba w ojczyźnie ..... 231
W kraju faraonów ..... 235
*Jerzy Mazurkiewicz*
PO OBU STRONACH KATEDRY ..... 240
Studenckie czasy ..... 240
Niebieski beret ..... 245
Za katedrą ..... 247
*Tadeusz Wojtuszkiewicz*
PRZYGODA Z FAJKĄ ..... 251
Pasja ..... 251
Tropem historii i fajek na Litwie ..... 255
*Jan Worm*
UKŁON W STRONĘ POTRZEBUJĄCYCH ..... 260
*Jerzy Goliński*
KOLEŻEŃSKIE WIĘZI ..... 264
Pierwsze znajomości i przyjaźnie ..... 264
Tworzenie kolektywu i trwałych więzi ..... 267
Na finiszu ..... 272
Już z gwiazdkami i rodzinami ..... 275
Zjazdy i spotkania ..... 280
Pożegnania i pamięć ..... 291
*Brunon Majewski*
PRZEZ PRYZMAT STATYSTYKI ..... 294

DOKUMENTY I ILUSTRACJE ..... 297

# Wstęp

Większość z nas zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później powstanie książka o naszym roczniku. O absolwentach Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu z 1963 roku, których symbolem jest ***R-63***. Myśl ta zrodziła się wiele lat temu i dojrzewała stosunkowo długo. Jednakże dopiero wówczas, gdy większość z nas była już na emeryturach dysponowała wolnym czasem, doszło do powstania książki.

Bezpośrednim impulsem do działania w tym kierunku było jedno ze spotkań stałego komitetu organizacyjnego naszego rocznika, które odbywało się w gabinecie Andrzeja Bischoffa w Ministerstwie Łączności. No, może nie samo spotkanie, lecz pomysł Piotra Michalskiego, abyśmy w drodze powrotnej wstąpili do niedużej knajpki na Nowym Świecie.

Tam, co nieco degustując i tocząc wspaniałą dyskusję o otaczającym nas świecie, zaczęliśmy wspominać i rozmawiać o naszym roczniku. W tym względzie byliśmy jednomyślni. Takiego rocznika chyba jeszcze nie było. I to nie tylko wśród szkół i akademii wojskowych, lecz zapewne także wśród szkół i uczelni cywilnych. Niby byliśmy zwyczajni, a jednak niezwyczajni. Takiego zgrania i koleżeństwa, trwającego przecież ponad czterdzieści lat, nie spotyka się często. Czy jest taki drugi rocznik, który posiada swoją odznakę pamiątkową, hymn, olbrzymi głaz z tablicą pamiątkową posadowiony na terenie szkoły oficerskiej, a przy tym organizację oraz niezwykle mocne, prawie rodzinne więzi grupowe?

Coś sprawiło, że z młodych ludzi przychodzących z różnych stron Polski, w tym także repatriowanych ze wschodu, wyrósł taki zespół. Kończyliśmy szkoły średnie o różnych profilach. Mieliśmy różne charaktery, spojrzenia na życie i wiedzę. A jednak z tego środowiska młodych, pełnych wigoru i pomysłów młodych ludzi, stworzono w ciągu trzech lat zgrany i wspaniale rozumiejący się zespół.

Było to niewątpliwą zasługą wychowawców i nauczycieli szkoły oficerskiej, którzy potrafili stworzyć nam odpowiednie warunki i okazali się mi-

strzami w swoim działaniu. Oni zaszczepili nam fundamentalną gradację wartości: naród - państwo - wojsko, a dopiero na końcu rodzina i własne interesy. Na pewno na spoistości naszego rocznika zaważył też ślepy los, szczęście, a także polityka kadrowa.

Jednak przede wszystkim „jesteśmy, jacy jesteśmy" dzięki:

- wspaniałemu człowiekowi i mądremu komendantowi szkoły, pułkownikowi Edwardowi Gierasimczykowi i jego zastępcy do spraw liniowych pułkownikowi Jerzemu Sieradzanowi, będącego dla nas, młodych „wilczków", wzorem i przykładem postawy, kultury bycia, zachowania i wyglądu oficera, dla niego zaś byliśmy ukochanymi „rycerzykami";
- dowódcom kompanii podchorążych, majorowi Janowi Śmielakowi, kapitanom Leonardowi Sadowskiemu i Lucjanowi Przeniośle;
- niezapomnianym dowódcom plutonów, ówczesnym porucznikom i kapitanom Stanisławowi Skibińskemu i Zygmuntowi Mańkowskiemu, którzy uczyli nas prawd o oficerskim życiu na dwóch rodzajach przykładów - pozytywnych i negatywnych. To oni pokazywali nam, że trzeba być pracowitym, konsekwentnym i wymagającym od podwładnych, a jednocześnie ludzkim, dbającym o podwładnych i niewymagającym więcej niż to potrzebne;
- szefowi kompanii podchorążych sierżantowi Tadeuszowi Szemborskiemu, który nie tylko „matkował" nam przez trzy lata w Zegrzu, ale sprawił, że gdy już byliśmy dowódcami pododdziałów (kompanii, baterii) marzyliśmy o takim szefie pododdziału;
- wykładowcom szkoły, których wiedza fachowa, metody i formy nauczania sprawdziły się przy konfrontacji naszej wiedzy i umiejętności w jednostkach wojskowych.

Nie obyło się także bez dalszej, już oficerskiej konsolidacji. W tym sprzyjało nam sporo szczęścia. W większości poszliśmy do jednostek w kilkuosobowych grupach. To umacniało istniejące już więzi i powodowało tworzenie „małych łącznościowych ojczyzn". Głównymi sprawcami dalszych zdarzeń było dwóch naszych kolegów - Jurek Goliński i Brunon Majewski. Bez organizatorskiego talentu Jurka i poświęcenia się tej idei bez reszty oraz „dobrego kadrowego ducha", jakim był zawsze Brunon, nie byłoby to możliwe.

Obaj więc zaczęliśmy się przekonywać, że nadszedł czas na książkę o nas wszystkich. Ja uważałem, iż powinien to zrobić Piotr Michalski, gdyż ma doskonałe pióro, czego dawał wielokrotnie wyraz na łamach prasy. Piotr zaś namawiał mnie twierdząc, że mam silniejszą wolę i większe pisarskie zacięcie, a więc będzie większa pewność, że dzieło ujrzy światło dzienne.

Od tej pory sprawa ta nurtowała mnie stale i w ten sposób powoli zrodziła się koncepcja książki. Po wielu rozmyślaniach doszedłem do wniosku, iż jeden człowiek nie jest w stanie temu zamierzeniu podołać. Przede

wszystkim ze względu na brak pełnej wiedzy o drogach życiowych naszych kolegów. A także dlatego, że wydawnictwo powinno mieć charakter wspomnieniowy. Zawierać najciekawsze i najbardziej charakterystyczne momenty życia i służby, rzeczy wesołe i tragiczne, ciekawe i charakterystyczne dla autora i grupy kolegów łącznościowców, w tym charakter warunków pracy i egzystencji, realizowanych zadań itp. Powinno gromadzić to, co odcisnęło się w pamięci i przetrwało przez lata, a więc było na pewno bardzo ważne, kształtujące osobowości i charaktery oraz dające świadectwo o czasach, w których żyliśmy.

Uważałem, że przez wycinkowe i jak zresztą zawsze subiektywne wspomnienia wielu naszych kolegów, otrzymamy w miarę obiektywną panoramę losów całego rocznika, a w tym odpowiedź na pytanie - jacy jesteśmy i dlaczego?

I „słowo ciałem się stało". Na bazie Stałego Komitetu Organizacyjnego R-63 powstał Zespół Redakcyjny, który przystąpił do dzieła. Podjął decyzję o rozpoczęciu prac oraz zaakceptował wspomnieniową koncepcję książki. Jednakże prawdziwymi bohaterami tego zdarzenia są autorzy wspomnień, którzy zechcieli podjąć trud owej pracy. W efekcie powstało dzieło, które Czytelnik sam niech oceni.

*Wstępem opatrzył Jerzy Mazurkiewicz*

*Antoni Wieczorek*

# Zegrze, nasze Zegrze

## Rys historyczny

Początki Zegrza sięgają wczesnego średniowiecza. Wskazują na to wyniki badań archeologicznych prowadzonych na tym terenie. Liczne wykopaliska pozwalają stwierdzić, że była tu niewielka osada o charakterze nadrzecznego targowiska. W dokumentach z 1349 roku czytamy „ZGERSZ QVI JACET ZAKROCZIM FLUVIUM NAREW„ (łac.: Zegrze, które leży nad Zakroczymiem jest największym targowiskiem Narwi).

Jest to potwierdzenie dawnego pochodzenia osady, jak też jej charakteru. Obecne Zegrze było wcześniej własnością książęcą, a w 1377 roku zostało ofiarowane przez księcia Janusza I Starszego Sasinowi ze Smardzewa, który miał prawo pobierania cła wodnego za towary przewożone rzeką. W końcu XIV wieku osada otrzymała prawa miejskie (utracone prawdopodobnie w XVI wieku).

Z nazwą miejscowości Zegrze spotykamy się dopiero pod koniec wieku XVII. Dawniej osadę tę nazywano Zegrz, w wieku XIV Zgersz, w wieku XV Zegrzysko lub Zgiersko. Nazwa ta prawdopodobnie wzięta była od dziedziców okolicznych wsi, właścicieli Zegrza - Zgierskich.

Przez Zegrze przebiegał gościniec Warszawa-Grodno, który od XVI do XVIII wieku zaliczano do pierwszej klasy lądowej sieci drożnej Mazowsza. Podróżni opisujący ten gościniec zwracają uwagę na czynną przeprawę przez Bug między Zegrzem a Nieporętem. W czasie Królestwa Polskiego na Narwi zbudowano most, co znacznie podniosło rangę szlaku handlowego Warszawa-Grodno, a tym samym wzrosło znaczenie Zegrza.

Wieś zaczęła się rozwijać wykorzystując swoje dogodne położenie. W 1825 roku liczyła 337 mieszkańców i 33 domy. W 1862 roku dobra Zegrze przeszły w ręce Radziwiłłów. Składały się na nie folwarki: Zegrze,

Izbica, Dosin, Wyki, Skubianka Maciejówka i Zegrzynek, licząc w sumie ponad 4000 ha. W 1876 roku w Zegrzu istniała gorzelnia, browar, młyn parowy, wiatrak, cegielnia, szkoła i urząd gminy.

W 1883 roku znaczną część folwarku Zegrze wykupił rząd cesarski przystępując do budowy umocnień fortyfikacyjnych. W tym czasie powstały również koszary.

Na prawym brzegu Narwi zrealizowano projekt twierdzy Zegrze z wysuniętymi fortami Dębe na zachodzie i Beniaminów na południowym wschodzie. Przedmoście to chroniło Modlin od północnego-wschodu. Twierdza ta zamykała trójkąt rejonu obronnego Warszawy - opartego na twierdzach Modlin, Warszawa i Zegrze. Prace nad Twierdzą Zegrze rozpoczęto w roku 1898 (mimo, iż plany fortyfikacji Zegrza istniały już od 1873 roku).

Twierdza Zegrze składała się z: Fortu Dużego (tzw. fort Karliński), Fortu Małego (tzw. fort Ordona), wału łączącego, trzech wolnostojących magazynów amunicyjnych (prochownie), dwóch mostów z umocnieniami ziemnymi, zespołów koszarowych w Zegrzu i Zagrobach oraz Fortów Dębe i Beniaminów. Fort Dębe położony jest na linii Zegrze-Modlin, a fort Beniaminów na linii Zegrze-Warszawa.

Wraz z budową twierdzy przez Rosjan, coraz bardziej zaczynało wzrastać znaczenie militarne Zegrza, wynikające z jego położenia geograficznego oraz roli jaką odgrywał w trójkącie strategicznym Warszawa-Modlin-Zegrze.

Pierwszy stały most na Narwi wybudowano w Zegrzu w 1832 roku. W latach 1894-1897 zbudowano dwa mosty na Narwi (jeden betonowy został zniszczony w czasie II wojny światowej, nieodbudowany po wojnie oraz drugi kratowy). Ich budową kierował inżynier Mieczysław Marszewski, projektant i budowniczy mostu im. Józefa Poniatowskiego w Warszawie.

Zbudowany most był mostem stalowym, kratowym, czteroprzęsłowym, posadowionym na kamiennych przyczółkach i trzech filarach, którego całkowita długość wynosiła 315 m. W czasie I i II wojny światowej częściowo zniszczony, po wojnach odbudowany.

Historia Zegrza związana jest także z I wojną światową. 7 sierpnia 1915 roku Niemcy zajęli Zegrze wraz z obiektami fortyfikacyjnymi. Znalazło się więc w niemieckiej strefie okupacyjnej. Działania wojenne dowiodły, że umocnienia forteczne nie spełniają już swojej roli z uwagi na dużą manewrowość wojsk. Dlatego też zrezygnowano z Zegrza jako twierdzy.

Niemniej jednak po zakończeniu wojny postanowiono wykorzystać pozostałe obiekty do celów wojskowych. Zegrze stało się poważnym ośrodkiem szkolenia wojsk łączności dla wszystkich rodzajów wojsk naszej armii. Po odzyskaniu niepodległości, krajobraz Zegrza kojarzy się, już na stałe, z polskimi mundurami wojskowymi.

Za datę powstania wojsk łączności przyjęto 12 listopada 1918 roku, kiedy to utworzono stanowisko szefa łączności i powołano na nie pułkownika inżyniera Kazimierza Drewnowskiego. Największe problemy przy

tworzeniu Wojska Polskiego, jak również wojsk łączności, spowodowane były brakiem kadr oficerskich. Dlatego też istniała pilna konieczność kształcenia nowych kadr oficerskich. Już 13 września 1919 roku utworzono w Zegrzu Obóz Wyszkolenia Oficerów Wojsk Łączności, w skład którego weszły: Szkoła Podchorążych Wojsk Łączności oraz Kurs Aplikacyjny Służby Łączności. Charakter szkoły był jednak wyraźnie tymczasowy.

Kiedy nastał czas pokoju, na oficerów wojsk łączności narzucono szereg dodatkowych obowiązków, którym Szkoła Podchorążych Wojsk Łączności nie mogła sprostać. Dlatego też w latach 1921–1923 nastąpiły zmiany strukturalne obozu oraz przystąpiono do kształcenia oficerów według nowego pokojowego programu kształcenia.

W skład Obozu Wyszkolenia Wojsk Łączności weszły wówczas: Dowództwo Obozu Wyszkolenia Wojsk Łączności z kompanią sztabową, Szkoła Oficerska Wojsk Łączności, Szkoła Podchorążych Wojsk Łączności, Centralna Szkoła Podoficerska Wojsk Łączności oraz Zakłady Obozu Wyszkolenia Wojsk Łączności.

W takim kształcie organizacyjnym Obóz Szkolenia Wojsk Łączności przetrwał do sierpnia 1929 roku. 15 sierpnia 1929 roku Obóz Szkolenia Wojsk Łączności przemianowano na Centrum Wyszkolenia Łączności, które w 1931 roku przyjęło następującą strukturę: komenda, kwatermistrzostwo, park, kompania administracyjna, baon podchorążych rezerwy, baon podoficerski, baon telegraficzno-manewrowy. W tym czasie Centrum Wyszkolenia Łączności szkoliło głównie podchorążych rezerwy oraz kadry podoficerskie dla wojsk łączności.

Centrum rozbudowywało się. Powstały nowe budynki szkolne i koszarowe, place sportowe oraz mieszkania dla kadry. Ostatnie zmiany w organizacji Centrum Wyszkolenia Łączności nastąpiły we wrześniu 1935 roku w wyniku likwidacji klasy łączności w Szkole Podchorążych Inżynierii w Warszawie. Słuchaczy tego kierunku przeniesiono do Zegrza, gdzie weszli w skład nowo utworzonej Szkoły Podchorążych Łączności. W ten sposób zapoczątkowano w Centrum kształcenie od podstaw oficerów zawodowych wojsk łączności, które do tej pory prowadzone było poza Zegrzem.

Po wchłonięciu klasy łączności szkoły inżynieryjnej, Zegrze stało się miejscem całkowicie skupiającym szkolenie kadr na potrzeby wojsk łączności. W tym kształcie przetrwało ono do 1939 roku. Tak więc kształcenie wojsk łączności w Zegrzu w dwudziestoleciu międzywojennym przeszło znaczne przeobrażenia, które objęły zarówno strukturę organizacyjną i stan etatowy, jak i rodzaje kursów, treści oraz metody nauczania.

Od chwili powstania – w 1919 roku – głównym zadaniem ośrodka zegrzyńskiego było szkolenie oficerów. Od 1922 roku, a więc po zakończeniu działań wojennych, kadry te w Wojsku Polskim przygotowywano w trzech zasadniczych etapach. Pierwszy, to szkolenie podstawowe na kursach unitarnych, drugi, to etap specjalistyczny, prowadzony w zawodowych

szkołach oficerskich rodzajów wojsk i służb oraz trzeci, będący doskonaleniem na specjalnych kursach organizowanych przy szkołach i ośrodkach szkolenia.

W latach 1922-1935 w Zegrzu realizowano tylko trzeci etap szkolenia. Do kształcenia oficerów służby stałej przystąpiono dopiero w 1935 roku, kiedy to w Zegrzu otwarto Szkołę Oficerów Łączności. Dodać do tego należy również prowadzone nieprzerwanie od 1922 roku szkolenie podchorążych, a od 1928 oficerów rezerwy. W ciągu dwudziestoletniego okresu istnienia różnego rodzaju szkół, kursów i szkoleń wykształcono 12 500 oficerów i podoficerów służby stałej i rezerwy oraz trudną do oszacowania liczbę szeregowców, powoływanych na ćwiczenia, po odbyciu służby zasadniczej.

Po klęsce wrześniowej Zegrze włączone zostało do III Rzeszy, wchodząc w skład okręgu - Prusy Wschodnie. Losy Zegrza w okresie okupacji i w chwili wyzwolenia są jak najbardziej typowe i podobne do losów innych miast i miejscowości dotkniętych tragizmem wojny. W wyniku toczących się w 1945 roku walk, większość budynków została całkowicie zniszczona i nie nadawała się do bezpośredniego użytku.

W latach 1945-1948 ruiny koszar wojskowych stały niewykorzystane. Dopiero w latach 1948-1950 dźwignięto z ruin obiekty koszarowe oraz zmodernizowano i rozbudowano je. Wybudowano od podstaw blok dydaktyczny, kinoteatr, halę gimnastyczną i stadion sportowy. Zbudowano też w tym czasie pięć budynków mieszkalnych dla kadry oraz odrestaurowano dwa zabytkowe budynki, to jest pałacyk wybudowany w 1879 roku w stylu klasycystycznym, przekształconym po renowacji na kasyno wojskowe oraz pałacyk w parku przekazany w latach sześćdziesiątych Polskiej Agencji Prasowej na centrum odbiorcze.

## Kształcenie kadr łączności w czasie wojny i po wojnie

Kształcenie kadr oficerskich w czasie wojny odbywało się zarówno w armii polskiej na zachodzie, jak również w armii polskiej na wschodzie. Praktycznie kształcenie podstawowe oficerów odbywało się wyłącznie w szkołach oficerskich i podchorążych różnych rodzajów wojsk i służb. W kształceniu tym wykorzystano model kształcenia stosowany w państwach armii zachodnich, szczególnie armii francuskiej. Natomiast w armii polskiej na wschodzie, w czasie wojny oraz po wojnie, wykorzystywano modele kształcenia stosowane w oficerskich szkołach armii Związku Radzieckiego, a od końca lat sześćdziesiątych wprowadzono własny model kształcenia kadr oficerskich.

Kształcenie oficerów łączności nierozerwalnie łączy się z rozwojem wojsk łączności oraz rozwojem Oficerskiej Szkoły Łączności na przestrzeni lat 1944-1997.

Okres ten można podzielić na trzy podokresy:
- kształcenie kadr oficerskich w latach 1944-1947, tzw. „wojenny";
- kształcenie kadr oficerskich na poziomie średnim - lata 1947-1967;
- kształcenie kadr oficerskich na poziomie wyższym - lata 1967-1997.

Powstanie Oficerskiej Szkoły Łączności związane jest z rozwojem Wojska Polskiego i zmianami, jakie zachodziły w jego organizacji, składzie kadrowym oraz wyposażenia w coraz to nowszy sprzęt techniczny i uzbrojenie.

Niedostatek oficerów łączności występował od chwili sformowania 1 Dywizji Piechoty w Sielcach nad Oką. Pogłębiał się on w miarę jak zwiększało się Wojsko Polskie organizowane na wschodzie. Problem kadr rozwiązywano poprzez awansowanie do stopni oficerskich wyróżniających się podoficerów, organizowanie krótkotrwałych kursów oficerskich oraz korzystanie z usług Oficerskiej Szkoły Łączności Armii Radzieckiej w Muromiu, gdzie w latach 1943-44 wyszkolono dla potrzeb Wojska Polskiego około 90 oficerów. Od marca 1944 roku istniała w Riazaniu Centralna Szkoła Podchorążych Armii Polskiej w ZSRR, gdzie kształciła się 90-cioosobowa kompania łączności.

W czasie, kiedy front walki z hitlerowskim najeźdźcą przebiegał jeszcze wzdłuż wschodnich brzegów Wisły i dolnej Narwi, Naczelny Dowódca Wojska Polskiego rozkazem nr 56 z dnia 13.10.1944 roku powołał do życia Oficerską Szkołę Łączności z siedzibą w Zamościu, gdzie w grudniu tego roku rozpoczęto realizację czteromiesięcznego wojennego programu szkolenia. Mimo ogromnych trudności różnej natury, mury Oficerskiej Szkoły Łączności w Zamościu do chwili zakończenia wojny opuściło 607 oficerów skierowanych do jednostek 1 i 2 Armii Wojska Polskiego.

Wraz z zakończeniem II wojny światowej, powstała w Europie nowa sytuacja polityczno-militarna. Wówczas Ministerstwo Obrony Narodowej postanowiło przenieść Oficerską Szkołę Łączności z Zamościa do Sieradza, gdzie w latach 1945-1947 kształciła oficerów według jednorocznego programu przewidywanego dla podoficerów łączności oraz według programu dwuletniego dla pozostałych podchorążych. W październiku 1947 roku Oficerska Szkoła w Sieradzu opracowała trzyletni program kształcenia. Obowiązywał on do 1967 roku i był wielokrotnie doskonalony.

W 1950 roku Polska zwiększyła swój potencjał obronny w związku z zaostrzającą się sytuacją międzynarodową. Dokonano analizy doświadczeń bojowych wojsk łączności w czasie drugiej wojny światowej. Dało się zauważyć rosnące znaczenie łączności radiowej.

Doświadczenia te i prognozy stały się podstawą rozkazu organizacyjnego Szefa Wojsk Łączności nr 026 z 30 czerwca 1950 roku, powołującego do życia dwie szkoły łączności: Oficerską Szkołę Łączności Przewodowej w Sieradzu, formowaną na bazie dotychczasowej OSŁ i Oficerską Szkołę Łączności Radiowej w Zegrzu, formowaną na bazie Szkolnego Pułku Łączności. W ciągu pięciu lat Oficerskie Szkoły Łączności wykształciły 1248 oficerów, ciągle unowocześniając proces dydaktyczny.

W 1955 roku następuje zmniejszenie wysiłku militarnego Polski. W związku z tym, we wrześniu 1955 roku, obie szkoły łączności zostały rozformowane, a na bazie Oficerskiej Szkoły Łączności Radiowej w Zegrzu powstała jedna Oficerska Szkoła Łączności, mająca kształcić oficerów łączności wszystkich specjalności, dla wszystkich rodzajów wojsk i służb.

Przyjęto trzyletni okres szkolenia kandydatów na oficerów. Podstawowym zadaniem szkolenia było wykształcenie oficera-dowódcy plutonu łączności, zdolnego do samodzielnego podejmowania decyzji w roli szefa łączności batalionu, właściwych decyzji odnośnie organizowania i zapewnienia ciągłej łączności, względnie oficera-dowódcy aparatowni lub urządzenia łączności, zdolnego do samodzielnego kierowania elementami systemu łączności związku taktycznego, a także umiejącego właściwie organizować i realizować proces wychowania i szkolenia żołnierzy służby zasadniczej.

Powyższe zadania realizowane były w poszczególnych latach szkolenia następująco:

Na pierwszym roku nauki - w okresie unitarnym wdrażano podchorążych do regulaminowego trybu życia wojskowego, wyrabiano nawyki prawidłowej działalności na polu walki oraz obchodzenia się uzbrojeniem i sprzętem stanowiącym wyposażenie pododdziałów łączności. Ponadto przygotowywano ich do poznania teoretycznych podstaw matematyki wyższej, teorii elektrotechniki oraz materiałoznawstwa i urządzeń zasilających.

Na drugim roku nauki - w dziale szkolenia ogólnowojskowego i szkolenia rodzajów wojsk zapoznawano podchorążych z materiałem z zakresu szczebla batalionu piechoty zmotoryzowanej, zarówno wojsk własnych, jak i armii obcych. W przedmiotach technicznych przerabiano teoretyczne podstawy radiotechniki, teletechniki oraz zapoznawano podchorążych z typowym sprzętem łączności stosowanym na szczeblu pododdziału taktycznego.

Trzeci rok nauki traktowany był jako specjalizacja w poszczególnych profilach szkolenia.

W profilu dowódców plutonów radiowych wojsk lądowych - dokładnie zapoznawano podchorążych ze sprzętem radiowym UKF i KF małej i średniej mocy, pokładowymi radiostacjami wozów bojowych i wozów dowodzenia, stacjami radioliniowymi szczebla taktycznego oraz aparatowniami radioodbiorczymi i radiotelefonicznymi.

W profilu dowódców plutonów teletechnicznych - uczono podchorążych gruntownej znajomości aparatów i łącznic telefonicznych MB (miejscowej baterii) i CB (centralnej baterii), aparatury telefonii i telegrafii wielokrotnej, aparatury telegrafii abonenckiej oraz dalekopisowej, wzmacniaków telefonicznych, aparatowni węzłów łączności oraz rozwijania i eksploatacji polowych linii łączności, zarówno kablowych jak i stałych.

W profilu dowódców plutonów radiolinowych - uczono podchorążych znajomości urządzeń radioliniowych szczebla taktycznego i operacyjnego, zasad ich wykorzystania w systemie łączności oraz remontu i konserwacji.

W profilu dowódców plutonów radiowych wojsk lotniczych - uczono podchorążych znajomości sprzętu radiowego stosowanego w Wojskach Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju, funkcjonowania stacji naziemnych i pokładowych oraz urządzeń ubezpieczenia lotów. Ponadto zapoznawano ich ze stacjami radiolinowymi szczebla taktycznego, sprzętem teletechnicznym, zasadami budowy i eksploatacji polowych linii łączności oraz aparatowniami radiotelefonicznymi. Podchorążych tego profilu nauczano także zasad taktyki lotnictwa myśliwskiego, bombowego i myśliwsko-szturmowego oraz sposobów organizacji i zapewnienia łączności dla potrzeb dowodzenia, współdziałania i zabezpieczenia lotów.

W profilu dowódców plutonów przeciwdziałania radiowego - uczono podchorążych znajomości sprzętu radiowego małej i średniej mocy stosowanego w naszym wojsku i głównych państwach NATO oraz stacji zakłóceń radiowych. Nauczano także znajomości organizacji łączności w armiach głównych państw NATO, sposobu wykonania dokładnych namiarów radiowych i wykonywania zakłóceń w systemach radiowych nieprzyjaciela.

Z przedmiotu „praca na urządzeniach łączności" wszystkich podchorążych III roku nauki przygotowywano do złożenia egzaminu w celu uzyskania kwalifikacji - w zależności od profilu - radiotelegrafisty łączności słuchowej i dalekopisowej lub telegrafisty 3 klasy.

## Początek lat sześćdziesiątych

Koszary w Zegrzu rozpoczęto budować równolegle z budową fortów w 1883 roku. Budynki koszarowe typu rosyjskiego składały się z czterech dużych sal kompanijnych na około 120 żołnierzy każda. Budynek przypadał więc na jeden batalion. Umywalnia znajdowała się na parterze. Budynek posiadał jedną klatkę schodową pośrodku i dwie po bokach. Uwagę zwracał brak korytarza. W przypadku podzielenia sal ścianami otrzymano dla kompanii cztery sale dwustronnie oświetlone również bez korytarza.

Ten typ koszar spotyka się głównie w twierdzach. Na jednego człowieka przypadały cztery metry kwadratowe powierzchni. Klatka schodowa wydzielona była jako osobne pomieszczenie, klozety i umywalnie znajdowały się przeważnie w budynku.

W 1945 roku koszary zostały zniszczone. Żaden z budynków nie nadawał się do wykorzystania. Z chwilą powstania w 1948 roku Szkolnego Pułku Radiowego rozpoczęto odbudowę koszar, częściowo je modernizując.

Kiedy w dniu 27 września 1960 roku przybyliśmy do szkoły zostaliśmy skierowani do jednego z trzech bloków koszarowych; środkowego, znajdującego się naprzeciwko kinoteatru. Zupełnie podobnie zbudowanego, jak wyżej opisany, gdzie zajmowaliśmy zarówno parter, jak i piętro. Umieszczono nas na dużych, dwudziestoczterołóżkowych salach.

Obsada etatowa kierowniczej kadry Oficerskiej Szkoły Łączności przedstawiała się w tym czasie następująco:

Komenda szkoły:

- komendant szkoły - pułkownik Edward Gierasimczyk
- z-ca komendanta ds. politycznych - ppłk Zbigniew Szuflita
- z-ca komendanta ds. liniowych - ppłk Jerzy Sieradzan
- z-ca komendanta ds. szkolenia - płk Zbigniew Ciupa
- pomocnik k-ta ds. technicznych - ppłk Stanisław Kołodziej
- kwatermistrz - płk Czesław Bernat
- szef Wydziału Ogólnego - ppłk Stanisław Ostrowski
- szef Wydziału Szkolenia - mjr Ryszard Laufersweiler

Szefowie służb:

- szef Sekcji Finansów - kpt. Marian Grabowski
- szef Służby Uzbrojenia - kpt. Arkadiusz Wojdacki
- szef Służby Mundurowej - (brak informacji)
- szef Służby Żywnościowej - kpt. Mciejczyk
- szef Służby Zdrowia - płk Sylwester Królak
- szef Służby Inżynieryjno-saperskiej - mjr Henryk Stalewicz
- szef Służby Chemicznej - mjr Józef Serdeczny
- szef Służby Samochodowej - mjr Tadeusz Skrobas

Kierownicy cykli:

- kierownik Cyklu Politycznego - ppłk Józef Łukomski
- kierownik Cyklu WF - mjr Waldemar Kocielski
- kierownik Cyklu Szkolenia Ogólnego - ppłk Wojciech Rosolski
- kierownik Cyklu Szkolenia Taktyki Łączności - ppłk Zygmunt Bryś
- kierownik Cyklu Radiotechniki - mjr Władysław Jędrzejczak
- kierownik Cyklu Elektrotechniki - płk Jan Gosławski
- kierownik Cyklu Szkol. Służby Ruchu i Eksploatacji Urządzeń Łączności - mjr Maksymilian Jasiński
- kierownik Cyklu Szkolenia Teletechniki - mjr Adam Suchanek

Po przybyciu do szkoły skierowano nas do 3 kompanii podchorążych, a przed przysięgą podzielono na dwie kompanie, w których dowódcami byli:

- dowódca 3 kompanii podchorążych - major Jan Śmielak
- dowódca plutonu - kapitan Kazimierz Kaczmarek
- dowódca plutonu - porucznik Stanisław Skibiński
- dowódca plutonu - porucznik Zygmunt Mańkowski
- szef kompanii - sierżant Tadeusz Szemborski

– dowódca 4 kompanii podchorążych – kapitan Leonard Sadowski
– dowódca plutonu – kapitan Bolesław Wasilewski
– szef kompanii – sierżant Józef Rodzeń.

Etat szkoły przewidywał pięć kompanii podchorążych.

Na trzecim roku kształcenia nastąpiła reorganizacja pionu dowódczego, w wyniku czego powstały dwa bataliony podchorążych i powołano osiem kompanii podchorążych:

1 batalion podchorążych:
– dowódca 1 batalionu podchorążych – ppłk Ryszard Chyliński
– zastępca dowódcy 1 bat. ds. polit. – kapitan Longin Chojnacki

2 batalion podchorążych:
– dowódca 2 bat. podchorążych – podpułkownik Jan Śmielak
– zastępca dowódcy 2 bat. ds. polit. – kapitan Kazimierz Grabiec.

W skład 2 batalionu podchorążych wszedł III rocznik podchorążych, jako 3 kompania podchorążych oraz jeszcze trzy inne kompanie:
– dowódca 3 kompanii pchor. – kapitan Lucjan Przeniosło
– dowódca plutonu – porucznik Stanisław Skibiński
– dowódca plutonu – porucznik Zygmunt Mańkowski
– szef kompanii – sierżant Tadeusz Szemborski.

W 3 kompanii podchorążych utworzono plutony o następujących specjalnościach: dwa plutony ogólnoradiowe, pluton przeciwdziałania, pluton radioliniowy, pluton lotniczy, pluton teletechniczny.

Od lat pięćdziesiątych Zegrze było jednym z trzech punktów „Bermudzkiego trójkąta łączności". Następne stanowiły Zegrze Południowe z centralnymi zakładami naprawczymi sprzętu łączności oraz późniejszym Wojskowym Instytutem Łączności, a także Białobrzegi, w których stacjonował pułk łączności Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Jak widać nasycenie wojskami i techniką łączności tego rejonu było znaczne.

W czasie naszego pobytu w Zegrzu miały miejsce dwa niezwykle ciekawe wydarzenia. Pierwsze, to utworzenie w 1962 roku Zalewu Zegrzyńskiego. Byliśmy naocznymi świadkami jego powstawania. Znaliśmy Bugo-Narew, korzystaliśmy z jej dobrodziejstw i obserwowaliśmy spiętrzanie wody oraz tworzenie olbrzymiego zbiornika wodnego.

Drugi fakt nie był już tak interesujący, lecz niezwykle dla nas groźny. Na jesieni 1962 roku wybuchł konflikt kubański. Byliśmy co prawda z dala od niego, ale mieliśmy świadomość wiszącego nad nami niebezpieczeństwa. Tym bardziej, że w szkole czyniono także przygotowania na wypadek ewentualnego konfliktu. Między innymi przygotowano skrócony program szkolenia i dużo szybszego promowania oraz zwiększano zasoby materialne i wojenne. Na szczęście kryzys minął spokojnie. W normalnym rytmie ukończyliśmy trzeci rok szkoły i pierwszego września 1963 roku zostaliśmy promowani przez generała dywizji Wojciecha Jaruzelskiego na pierwszy stopień oficerski i skierowani do dalszej służby.

# Dalsze dzieje

W 1967 roku status szkół oficerskich podniesiono do rangi wyższych uczelni wojskowych. Status ten był nobilitacją zegrzyńskiej szkoły. Nakładał także na jej kadrę nowe zobowiązania, dotyczące dokonania przewartościowań w sferze organizacji procesu kształcenia, zwiększenia umiejętności merytoryczno-metodycznych i wyraźnego połączenia z działalnością naukową.

W pierwszych latach istnienia Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności (WSOWŁ) jej funkcjonowanie zostało oparte na strukturach organizacyjnych dotychczasowej Oficerskiej Szkoły Łączności. Komendantem pozostał pułkownik Edward Gierasimczyk, pełniący tę funkcję do 1971 roku. W składzie komendy znaleźni się pułkownicy: Zbigniew Szuflita, Stanisław Szewczyk, Wiesław Kociołek, Edward Filipowicz, Czesław Bernat.

Komendantami uczelni w poszczególnych latach byli:
- płk dypl. Edward Gierasimczyk 1967–1971 r.
- płk mgr inż. Kazimierz Mościcki 1971–1976 r.
- płk dr inż. Antoni Czokało 1977–1979 r.
- płk mgr inż. Władysław Urbański 1979–1984 r.
- płk dypl. Zbigniew Chruściński 1984–1990 r.
- gen. bryg. mgr inż. Witold Cieślewski 1990–1993 r.
- płk prof. dr hab. inż. Andrzej Barczak 1993–1997 r.

Struktura uczelni w latach 1967–1994 była kilkakrotnie zmieniana. Praktycznie do 1989 roku funkcjonowały następujące piony: dydaktyczny, naukowy, dowódczy, techniczny, kwatermistrzowski, polityczny i ogólny. Pododdziały podchorążych składały się z batalionów, kompanii, plutonów, drużyn. W 1990 roku, zamiast dotychczas istniejących batalionów podchorążych, wprowadzono podział na poszczególne roczniki studiów.

Kształcenie kadr w wyższych szkołach oficerskich zostało wydłużone z trzech do czterech lat i zmienione jakościowo. Aby sprostać temu zadaniu wybudowano w Zegrzu i wyposażono nowy, reprezentacyjny gmach wyszkolenia oraz szereg obiektów zaplecza socjalnego w postaci internatów, hoteli itp.

Absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności miał być doskonale przygotowanym oficerem do pełnienia obowiązków służbowych na stanowiskach dowódcy plutonu i kompanii w jednostkach łączności, będąc również inżynierem, człowiekiem wszechstronnie wykształconym, zarówno w sensie ogólnym jak i profesjonalnie, w zakresie swej specjalności.

Pierwszy program kształcenia podchorążych czteroletnich studiów w zegrzyńskiej uczelni był podzielony na cztery działy przedmiotowe: społeczno-polityczny, ogólnokształcący i techniczny, ogólnowojskowy i specjalistyczno-wojskowy.

Dla wszystkich specjalności, a więc radiowej, przewodowej, radioliniowej, transmisji informacji przeznaczono 4404 godziny programowych zajęć, z czego najwięcej, bo przeszło 2000 obejmowało kształcenie specjalistyczno-wojskowe. Przydział podchorążych do poszczególnych specjalności następował po drugim roku studiów.

W 1982 roku wprowadzono kolejną edycję programową, uwzględniającą kształcenie podchorążych w trzech specjalnościach: ogólnowojskowej, ogólnotechnicznej oraz rozpoznania i obezwładniania elektronicznego. Dalsze zmiany programowe nastąpiły w 1986 roku. Między innymi rozszerzono specjalności studiów o zautomatyzowane systemy dowodzenia wojskami, a w znowelizowanym programie z 1989 roku wprowadzono przedmioty, takie jak: informatyka, teoria i praktyka dowodzenia, teoria obwodów i sygnałów, układy elektroniczne, organizacja i kierowanie systemami łączności. Program ten obowiązywał do końca istnienia uczelni. Ostatnia promocja odbyła się w 1997 roku.

Tym samym zakończono kształcenie podchorążych na oficerów w Zegrzu, a kontynuowano je w Wojskowej Akademii Technicznej. Zmiany te wynikały ze zmniejszania stanu ilościowego naszych sił zbrojnych i ich restrukturyzacji oraz dopasowania do nowej doktryny obronnej w ramach NATO.

Pierwszego października 1997 roku w kompleksie Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu, rozkazem szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego nr 046/Org. z dnia 22 września 1997 roku oraz dowódcy Wojsk Lądowych nr Pf-29 także z dnia 22 września 1997 roku zaczęło funkcjonować Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki. Powstało ono na bazie rozwiązanej Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności i Centrum Szkolenia Łączności w Legnicy.

Pierwszym komendantem Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki został pułkownik dyplomowany Jerzy Ceglarek. Zegrze dalej więc służy łączności kształcąc specjalistów z zakresu łączności i informatyki.

*Wojciech Dunal*

# Kierunek Zegrze

## Droga do Zegrza

Przez całą szkołę średnią marzyłem aby zostać prawnikiem. Kończąc liceum przygotowywałem się do egzaminów na Uniwersytet Warszawski. Jednocześnie uczęszczałem na kurs radiotelegrafistów, zorganizowany przez dawną Ligę Przyjaciół Żołnierza. Kurs trwał sześć miesięcy. Ukończyłem go równo ze zdaniem matury. Zamiast na bal maturalny pojechałem do Jastarni doskonalić się w rzemiośle radiotelegrafisty.

Było piękne lato. Ubrano nas w marynarskie mundury i ... trampki. Na buty widocznie Ligi Przyjaciół Żołnierza nie było stać. Pływaliśmy na tzw. kaczorach. Były to maleńkie trałowce (jak nam mówiono był to dar od Wielkiego Brata), pamiętające chyba pierwszą wojnę światową, ale miały za to piękne i groźne nazwy jak Jowisz, Jupiter i Podhalanin. Rozpierała nas radość i duma z mundurów i okrętów. Tylko te cholerne trampki psuły wszystko, zwłaszcza gdy prowadzono nas w szyku do miasta, a po chodnikach snuły się dziewczyny jak marzenie. Było nam po prostu wstyd.

Oprócz nauki rzemiosła radiotelegrafisty dali nam porządnie w kość. Instruktorami byli marynarze z Marynarki Wojennej. Byli prawie w moim wieku. Do południa szorowanie pokładów, ropowanie, czyszczenie zęz i szkolenie. Po południu niemiłosiernie gonili nas po plaży. Biegiem marsz, czołganiem naprzód, lotnik kryj się, granat, granat pękł - to ulubione komendy instruktorów. Oni się po prostu na nas wyżywali. Pokazali nam, co nas może czekać w armii.

Pomimo sponiewierania mnie na tym kursie, zapragnąłem zostać wilkiem morskim. Myślę, że na moją decyzję niebagatelny wpływ miała ówczesna propaganda. Czytałem dużo książek, zwłaszcza o tematyce wojennej. W kinach wyświetlano masę filmów wojennych. Od połowy lat pięćdziesiątych

mieszkałem w Warszawie. W letnie wieczory, na podwórkach paliliśmy ogniska, a starsi koledzy opowiadali nam o latach okupacji i powstaniu warszawskim. Wydaje mi się, że uległem wówczas idealistycznym wyobrażeniom. Myślałem, że jeśli wstąpię do armii to przyczynię się do tego, aby te wszystkie okropności o których słyszałem, czytałem i widziałem w filmach nie powtórzyły się. Być może były inne powody o których, nawet po czterdziestu latach, nie wiem. Może wojsko było moim przeznaczeniem? W każdym razie, w czasie powrotu z Jastarni, studia na uniwersytecie wyparowały mi z głowy.

Złożyłem dokumenty w Wojskowej Komendzie Rejonowej (WKR), i prośbę o skierowanie mnie na studia w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej, licząc na to, że kwalifikacje zdobyte na wspomnianym kursie ułatwią mi zdobycie miana wilka morskiego. Ale życie wymierzyło mi pierwszego kopniaka. Na komisji lekarskiej, konował - neurolog, orzekł, że nie nadaję się do Marynarki Wojennej, gdyż jestem za nerwowy. W czasie badania (pamiętam to doskonale) miałem zamknąć oczy i dotknąć palcami wskazującymi do nosa. Uczyniłem to bezbłędnie. Później myślałem, że lepiej byłoby gdybym zamiast w swój nos trafił w nos konowała. Wiedziałbym przynajmniej dlaczego mnie odrzucono.

Odwołania do komisji wojewódzkiej nic nie dały. Wpadłem w prawdziwą rozpacz. Przez parę dni nie wychodziłem z domu. Myślałem, że świat zwalił mi się na głowę. W końcu wpadłem na pomysł, aby zostać pilotem. O święta naiwności. Po przedstawieniu dokumentów w Wojskowej Komendzie Rejonowej, oficer po przeczytaniu ich, puknął się palcem w głowę, dając mi do zrozumienia, że ze mną coś jest nie w porządku. Miał rację. Skoro moje nerwy nie pozwalały mi pływać na jakiejś łajbie, to tym bardziej nie mogłem latać samolotem. Oficer ten powiedział: skoro chcesz być w Marynarce Wojennej lub lotnictwie, idź do Zegrza. Po tej szkole możesz trafić, gdzie zechcesz. Słowo ciałem się stało.

## Zegrze

Egzaminy w Zegrzu odbywały się w piękne, słoneczne, wczesnojesienne dni. Byliśmy zakwaterowani w namiotach nieopodal toru przeszkód. Same egzaminy nie były trudne. Najbardziej bałem się sprawdzianów z wychowania fizycznego. Skończyło się na strachu. Armia doszła do wniosku, że jej się przydam. Krótki odpoczynek w domu po emocjach egzaminacyjnych i powrót do szkoły. Mundurowanie, strzyżenie, wydawanie oporządzenia, przydział tzw. rejonów, podział na plutony według wzrostu itp. Trafiłem do pierwszego plutonu. Pierwsze spostrzeżenie: nikogo nie mogłem poznać z okresu egzaminu, z wyjątkiem Jasia Bąka. Łatwo było go rozpoznać, gdyż na egzaminie był w mundurze kaprala.

Najtrudniejszy dla mnie był pierwszy rok. Ciągła bieganina i krzyki, przemęczenie, brak snu i stres, były nieraz nie do zniesienia. Podchorążowie ze starszego rocznika, przydzieleni do naszej kompanii, robili wszystko, aby nas zniechęcić do służby w wojsku. Nieraz się zastanawiałem, jaki był cel tej szarpaniny i parodii studiów? Pomyślałem, że pierwszy rok to rodzaj sita. Przez to sito mieli wypaść najsłabsi, a reszta pozostać w szkole. Inaczej tego bezsensownego drylu nie mogłem sobie wytłumaczyć. Podejrzewam jednak, że wyżsi przełożeni nie zdawali sobie sprawy z tych „naukowych" metod. Mieli to po prostu gdzieś. Później, będąc już oficerem zrozumiałem, że taki jest urok wojska i zmienienie tego jest niemożliwością.

Wiosną 1961 roku byłem bliski rezygnacji ze szkoły. Zimą nabawiłem się zapalenia płuc. Wieźliśmy gdzieś za Serock mąkę. Niedaleko był browar. Spociłem się przy rozładunku mąki. Wypiliśmy parę butelek zimnego piwa. W drodze powrotnej darliśmy się udając, że śpiewamy piosenki wojskowe. W efekcie zafundowałem sobie zapalenie płuc. W szkole leczono mnie pigułami. Po dwóch tygodniach takiego „leczenia" wylądowałem na trzy tygodnie w szpitalu. Tutaj sobie z przyjemnością odpocząłem za wszystkie czasy, tym bardziej, że na internie były urocze siostrzyczki. Przez jedną czarnulkę stawałem przed obliczem komendanta szpitala do raportu. Zagroził mi przerwaniem leczenia i odesłaniem do szkoły. Jedyna, niezniszczalna pamiątka z okresu szkoły, to zrosty osierdziowo-opłucne po zapaleniu płuc. Pamiątka ta przy zmianie pogody zawsze przypomina mi naszą szkołę.

Po czterdziestu latach pamięć płata figle. Jednak trochę z tamtych lat zostało. Jak już wspomniałem, najtrudniejszy był pierwszy rok. To, że nie zrezygnowałem ze szkoły było w dużej mierze zasługą wspaniałych kolegów. Były takie chwile, że gotów byłem kogoś udusić własnymi rękami, a za chwilę „pękałem ze śmiechu". Dla mnie i wielu z nas śmiech był ratunkiem.

Pierwszy sprawdzian z kondycji fizycznej, jaki nam zafundował dowódca plutonu (nazwiska nie pamiętam, ale pamiętam, że był niski i brzydki jak noc listopadowa), mógł wielu z nas raz na zawsze zniechęcić do służby wojskowej. Wyprowadził nas nad Bug, na urwisty brzeg. Do rzeki, na dół biegiem, a z powrotem czołganiem. I tak do obiadu. Jak to wytrzymaliśmy nie wiem do dzisiaj. Przecież były to pierwsze dni w szkole. Chyba pomogła mi gra w piłkę nożną w drużynie liceum. Wracaliśmy do koszar zmaltretowani. Paru chłopaków trzeba było podtrzymywać, gdyż nie mieli sił iść.

Pierwszy nocny alarm. Boże, cóż to był za horror. Wszyscy miotali się bezładnie, pakując do plecaków wszystko, co ojczyzna dała, a i tak nie wszystko się zmieściło. Potem bieg na strzelnicę garnizonową. Był to dla mnie najkrótszy, ale i najtrudniejszy nocny alarm w szkole. Trudniejszy od

słynnego marszu na 55 kilometrów, jaki złośliwie zafundowano nam na trzecim roku w noc przed balem w kasynie. Po powrocie z tej pierwszej nocnej wycieczki wielu z nas stwierdziło, że brakuje połowy rzeczy w plecakach. Niewłaściwie spakowane plecaki i część własności państwowej ulotniła się.

Dzisiaj z rozbawieniem wspominam również marsz odbyty w czasie ćwiczeń przemieszczania węzłów, wtedy jednak nie było mi do śmiechu. Zapakowano nas do samochodów i wywieziono w nieznane okolice. Mieliśmy ze sobą cały dobytek wojskowy, łącznie z bronią. Przekleństwem jednak była osławiona radiostacja R-105, ówczesny „cud techniki", o wadze chyba 20 kilogramów. Dodatkowo musieliśmy taszczyć jeszcze zapasowe akumulatory. Tak wyposażeni i zaopatrzeni w azymuty i stare mapy ruszyliśmy w nieznane.

Maszerowaliśmy parami. Już nie pamiętam z kim szedłem. Zapomniano nas wyposażyć w latarki. W nocy musieliśmy posługiwać się zapałkami, aby cokolwiek zobaczyć na mapie. Mieliśmy wyznaczony punkt kontrolny w lesie, na przecięciu się dwóch dukt. Ciemnica była okropna. Nie widzieliśmy własnych rąk. Aby sprawdzić czy jesteśmy we właściwym miejscu świeciliśmy sobie zapałkami i szukaliśmy skrzyżowania tych duktów. Złożyliśmy meldunek, że jesteśmy we właściwym miejscu. Wydaje się, że używaliśmy kryptonimu „pomarańcza" z odpowiednimi numerami, ale nie jestem pewny.

Często zdarzało się, że szliśmy po drodze obranej z mapy i w pewnym momencie droga kończyła się a zaczynało pole. Mapy pamiętały chyba czasy przedwojenne. Były po prostu nieaktualne. Sprawiało nam to dużo trudności i wywoływało wiele złorzeczeń. Dla mnie najtrudniejsza była końcówka tego morderczego marszu. Szliśmy leśną drogą kierując się do punktu zbiórki. Droga pięła się pod górę. W pewnym momencie ujrzałem samochody i wówczas opuściły mnie siły. Zdawało mi się, że nie dotrę do tych samochodów. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Odcinek drogi do samochodów liczący trzysta, może czterysta metrów, okazał się najtrudniejszą częścią całego marszu. Wydaje mi się, że moja psyche nie wytrzymała. Dopóki nie zobaczyłem tych samochodów, jakoś dawałem sobie radę. Świadomość tego, że kończy się moja mordęga sprawiła, że zupełnie opuściły mnie resztki sił. Po prostu sflaczałem.

Atmosfera wśród braci podchorążych była wspaniała. Dowcipnisiów było wielu. Oni nieraz rozładowywali ciężką atmosferę. Być może wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z roli, jaką nieświadomie odgrywali. Byli wentylem bezpieczeństwa.

Taki Lechu Młynarczyk, chłopak z Żyrardowa, ksywa wygibas. Nazywaliśmy go wygibasem, gdyż był długi, chudy i podczas chodzenia chwiał się w charakterystyczny sposób. Ile radości nam dostarczył swoimi wygłupami i pomysłami. Był specjalistą od nocnych polowań na myszy.

Kiedy wszyscy spali, Lech brał latarkę i skradał się między łóżkami. Skok, pisk i trzymał mysz w garści. Na drugi dzień, w bloku wyszkolenia w czasie przerw w zajęciach, chodził z nią po korytarzu, prowadząc ją na sznurku, jak psa na smyczy.

Nie kto inny jak Lechu w czasie strzelania, na strzelnicy garnizonowej, w ramach zakładu, za 50 lub 100 złotych, zjadł żywego ślimaka. Czynił to ze wstrętem, ale zakład wygrał. On także sprawdzał szpilką, czy pani Marianna, nauczycielka języka rosyjskiego, dysponująca potężnym biustem, ma biust sztuczny czy prawdziwy.

Ulubionym jego sposobem udawania się na spoczynek był skok tygrysi przez tył łóżka. Pod koc wkładaliśmy mu prezerwatywy wypełnione wodą. To mogło się udać tylko raz. Ale od czego była pomysłowość. podchorążych. Można było „zaminować" łóżko, albo pod materac podłożyć ciężarki.

Mogę wymienić wielu wspaniałych kolegów, którzy pomagali nam przetrwać trudne chwile, jak chociażby Wiesiu Gawart, mój „przyboczny łóżkowy". Szkoda, że jego życie tak szybko się skończyło. Edek Szybowski, Adam Nagiełło też byli niezłymi dowcipnisiami, nie mówiąc o poważnym, zrównoważonym Stefanie Gojło i choleryku Marianie Szklarku.

Nie brakowało również pożeraczy dziewczęcych serc. Najweselsze były niedzielne wieczory, kiedy to wiara powracała z przepustek. Do późnych godzin nocnych były opowieści o tym jakie dziewczyny poderwano i jak żałowały, że musiały się rozstać ze swoimi Don Juanami. Opowiadali o tym tak barwnie i sugestywnie, że niemal słychać było płacz tych biedaczek. Nie można nie wspomnieć o naszym dowódcy plutonu poruczniku Stanisławie Skibinskim. On również pomógł nam przetrwać trudne chwile. Był niezłym blagierem. Nazywaliśmy go wodolejem. Ale był też wspaniałym dowódcą i człowiekiem, za którym poszlibyśmy w ogień. Zresztą do dzisiaj się nie zmienił. Nadal jest powszechnie lubianym i szanowanym naszym przyjacielem. Nie mogę także nie wymienić naszego dowódcy kompanii kapitana Lucjana Przeniosło, ksywa „sprężynka". Wspaniałego człowieka i dowódcę. Niezmiernie dobrotliwego i życzliwego dla podchorążych.

Trzeci rok naszej nauki to była już przyjemność. Pożegnałem się raz na zawsze z marzeniami o pływaniu lub służbie w lotnictwie. Zwerbowano mnie do nowej specjalności, jaką było rozpoznanie elektroniczne. Utworzono właśnie taką specjalność w szkole i zaczęto szkolić jeden pluton. Chęci było wiele, ale brakowało środków. Szkoła miała trochę radzieckich odbiorników, chyba dwa namierniki 306, jeden 301 i to wszystko. Później to się zemściło na naszej pracy w jednostkach. Dobrą stroną tej mizerii było to, że na szkolenie ze stacji zakłócającej, latem wyjechaliśmy do Giżycka. Były to wspaniałe upalne wakacje. W życiu nie byłem tak opalony jak wówczas.

Zajęcia mieliśmy z reguły do południa na wolnym powietrzu. Ponieważ było upalne lato, to w czasie zajęć nie obowiązywały mundury. Opie-

kunem i wykładowcą na tym kursie był wspaniały wykładowca, kapitan Szymla, ale bez dowódczego doświadczenia. Miał z nami trochę kłopotów natury dyscyplinarnej. Nie chcieliśmy się podporządkować rygorom panującym w jednostce. Chodziło o wstawanie i wychodzenie na zaprawę poranną. Szef sztabu jednostki uparł się, że musimy to robić. Jak to, my niemal już oficerowie, będziemy biegać razem z żołnierzami i to w obcej jednostce? Nie z nami te numery. W odwet za nasz upór i brak dyscypliny, w jedną z sobót chciał nas wyrzucić z dancingu w klubie garnizonowym tuż po północy twierdząc, że skończyły się nam przepustki.

Wychodząc z jednostki nie potrzebowaliśmy żadnych przepustek. Wystarczyła zgoda kapitana Szymli. Być może nie doszłoby do awantury, gdyby zrobił to taktownie. Myślał jednak, że mundur majora uchroni go przed przykrościami. W czasie tańca podszedł do jednego z kolegów i zażądał, aby wszyscy podchorążowie natychmiast wynieśli się z kasyna. Po stronie majora opowiedziało się paru oficerów z jego jednostki. Próbowali nas wyprowadzić z sali. Tego było już za wiele. Ktoś z naszych zatelefonował po resztę chłopaków przebywających w koszarach.

Po przybyciu posiłków zaczęło się. Trochę zmieniliśmy umeblowanie kasyna, paru oficerów oberwało, a Jurek Pastewka (chłop na schwał) zajął się panem majorem. Wkrótce przyjechał patrol Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW). Przestraszeni tym, że może to się źle skończyć, podaliśmy tyły i wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje.

Niektórzy z nas jak desperaci wyskakiwali przez okna z pierwszego pietra. Szczęście, że pod oknami był zgromadzony węgiel, co znakomicie amortyzowało upadki. Ja ewakuowałem się przy pomocy dwóch litościwych kobiet. Widząc, że schodzę marynarskim krokiem, wzięły mnie pod ramiona i przeprowadziły przez kordon WSW, szczebiocząc przy tym wesoło. Odprowadziły mnie do samych koszar. Paru kolegów resztę nocy spędziło na pryczach aresztu garnizonowego.

Cała awantura zakończyła się ugodą. My obiecaliśmy, że będziemy wychodzić na zaprawę poranną, a szef sztabu jednostki zapomni o całym incydencie. Dotrzymaliśmy umowy tylko częściowo. Przez parę dni wychodziliśmy na zaprawę, a później wszystko wróciło do normy. Szkoda mi naszego wykładowcy i opiekuna, bo prawdopodobnie on miał najwięcej przykrości. Po powrocie z Giżycka mieliśmy tylko przewalanie koksu i przygotowywanie się do egzaminów i promocji.

Ze szkoły wyniosłem niezłomne przekonanie o misji i powołaniu oficera. Wmawiano nam, że jest to zawód, który wszyscy podziwiają i kochają. Byliśmy młodą elitą wojskową, gotową służyć bez reszty ojczyźnie. Przed nami armia i kariery miały stać otworem. Będziemy mogli w jednostkach sprawdzić się i wnieść nowy powiew w szkolenie i życie tych jednostek. Po urlopie, spakowałem swój wór i jazda do Wałcza robić karierę. Ale o tym już w następnym wspomnieniu.

*Piotr Michalski*

*Jednego naprawdę żal,*
*że czas nie wraca jak wspomnienia.*

# ZEGRZYŃSKIE REMINISCENCJE

W życiu człowieka istnieje, niewątpliwie, potrzeba dokonywania czegoś w rodzaju rozrachunku z przeszłością, podsumowania minionego okresu życia przez który brnęło się z różnym skutkiem, czy też przywoływania wspomnień.

Potrzeba ta pojawia się na ogół, w wieku mocno dojrzałym, żeby nie powiedzieć podeszłym. Mówię - na ogół - gdyż wiele wyjątków świadczy o tym, że zdarza się to znacznie wcześniej. Powody występowania tego zjawiska są bardzo różne, bowiem filozofia życiowa każdego człowieka stanowi wyjątkowy splot niepowtarzalnych zjawisk jemu tylko właściwych. Droga życiowa każdego z nas jest inna, inaczej zapisana tam gdzie zapadają decyzje o bycie czy niebycie każdej ziemskiej istoty, inaczej biegnąca po ziemskim padole, inaczej rysująca nasz obraz wśród bliźnich. Można toczyć akademickie spory co do siły sprawczej decydującej o naszym losie, jednak jak sądzę, pozostaje poza wszelką wątpliwością fakt, że nic w życiu nie dzieje się bez powodu, a każdy skutek ma swą przyczynę.

Pamiętnikarstwo nie jest więc modą, jest po prostu potrzebą. W naszym przypadku złożyło się tak, że tę potrzebę odczuło pewne środowisko. Środowisko ludzi związanych z sobą od ponad czterdziestu lat podczas których rodziła i umacniała się prawdziwa męska przyjaźń.

Początki tego, jak się wydaje, najbardziej cenionego wśród ludzi zjawiska zaczęły się zarysowywać jesienią 1960 roku w murach ówczesnej Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Tam, bowiem, spotkało się po raz pierwszy ponad dwustu młodych mężczyzn pragnących z różnych powodów przywdziać mundur podchorążego Wojska Polskiego. Z obszaru całej Polski - jak długa i szeroka - różne typy i charaktery scalone zostały w jeden organizm zwany kompanią podchorążych.

Przez okres trzech lat wpajano im to, co uważano za niezbędne, aby mogli stać się oficerami współczesnej armii. Jednocześnie integrowano ko-

lektyw, wyzwalano poczucie koleżeństwa i wzajemnej odpowiedzialności za wspólny los.

A jakiż był efekt tych zabiegów? Być może odpowiedź znajdzie się na kartkach tego wspomnienia. Zdecydowana większość z nas przesłużyła w wojsku ponad dwadzieścia pięć lat. To niemal połowa dorosłego życia. Różne były w tym czasie losy poszczególnych kolegów. Pomijając fakt, że służba wojskowa dawała wówczas poczucie znacznego bezpieczeństwa gdyż, jak w każdej armii, tak i w naszej, przełożeni dbali o to, by prócz olbrzymiej ilości obowiązków, każdy z nas miał zapewnione warunki do jako takiego życia; były to, na ogół, warunki siermiężne ale pewne, niemniej należało energicznie i odważnie przebijać się przez zaskorupiały, zbiurokratyzowany system organizacyjny, by do czegokolwiek dojść.

Z biegiem lat okazało się, że więzi zadzierzgnięte w Zegrzu, ukształtowane w nas poczucie wzajemnego szacunku i koleżeństwa spowodowały, że obok naszego życia zawodowego i rodzinnego zaczęło się pojawiać zjawisko ciążenia ku sobie. Zaowocowało ono pierwszym zjazdem koleżeńskim, a następnie pogłębiało się prowadząc do częstych spotkań środowiskowych i corocznych, wczesnojesiennych ogólnych spotkań koleżeńskich. Żal jedynie, że nie wszyscy w tych spotkaniach chcą uczestniczyć. I tak oto zbliżamy się do koleżeńskiego zjazdu z okazji czterdziestej rocznicy naszej oficerskiej promocji stanowiąc swego rodzaju ewenement w całej powojennej historii naszych sił zbrojnych, gdyż, jak nam wiadomo, nie ma drugiej tak zintegrowanej społeczności wśród absolwentów szkół oficerskich.

* * *

Okres mego wojskowego życia, a był on dość długi, bo aż dwudziestodziewięcioletni, traktowałem zawsze jako efekt wymuszonego wyboru. Nie trafiłem do wojska w pełni dobrowolnie i z pewnością dlatego nad mymi poczynaniami górowała zawsze myśl, by osiągnąć możliwie najwięcej z tego co możliwe i odejść jak najszybciej. Biorą się stąd poważne luki w mej pamięci, dotyczące zwłaszcza nauki w szkole podchorążych i pierwszych lat służby oficerskiej. Po prostu wymazywałem z niej wszystko co zbędne.

Teraz, gdy próbuję wracać do tamtych lat przez moje myśli przewijają się różne zdarzenia, które okazują się mało znaczące i nie wiążą się w jeden splot, mogący posłużyć jako przyczynek do godnych uwiecznienia wspomnień. Jednak dwa fakty z tego najwcześniejszego okresu wracają do mnie jak przysłowiowy bumerang.

Pierwszy z nich to wyjazd na pierwszy świąteczny urlop w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia. Wówczas to po sprzątnięciu tak zwanych rejonów, które oprócz pomieszczeń kompanii obejmowały pewne tereny wewnątrz obiektu szkoły i wysłuchaniu wytycznych dowódcy kompanii udaliśmy się zwartym szykiem, pod komendą dowódcy plutonu na stację ko-

lejową do Zegrza Południowego. Zapadł już zmierzch, a my w pogodnych nastrojach wkraczaliśmy na most łączący dwa brzegi płynącej spokojnie Bugo-Narwi. Obejrzałem się wówczas za siebie. Na wzgórzu, przez korony pozbawionych liści drzew, w poświacie księżyca przebijały się kontury zabudowań szkoły, tu i ówdzie rozjaśniane blaskiem nielicznych lamp. Tworzyły mało wyraźny obraz, dając złudzenie pewnej tajemniczości. Wtedy to po raz pierwszy z sympatią pomyślałem o tym miejscu.

Z kolei kiedy drugiego dnia po promocji, w zasadzie bez wyraźnego powodu, w godzinach popołudniowych pojechałem do Zegrza. Po minięciu głównej bramy budynku komendy szkoły a potem bloku wyszkolenia zadałem sobie pytanie po co tu przyszedłem i nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Pośród nielicznych niedobitków pozostałych po balu promocyjnym skrzętnie przygotowujących się do opuszczenia uczelni kręcił się zaaferowany szef kompanii sprawdzając mienie, za które odpowiadał. Przy kancelarii dowódcy służbę pełnili podchorążowie młodszego rocznika zazdrośnie patrząc na mundury i gwiazdki świeżo upieczonych podporuczników. Wśród ciepłych jeszcze miejsc zajmowanych przez trzy lata nauki przez moich kolegów czułem się trochę obco. Kiedy znalazłem się na moście, tym razem już nad wodami Zalewu Zegrzyńskiego i patrzyłem z góry na wolno snujące się pode mną połączone wody Bugu i Narwi przewinęło się przez mą głowę osiemnaście, dwadzieścia lat - jak pamięć sięgała - mego młodego, powikłanego życia. A tam, na wzgórzu, gdzie za ścianą zielonych drzew w zapadającym już zmierzchu kryły się wojskowe koszary, zamknął się pierwszy etap mego życia dorosłego. Najjaśniejszy to on też nie był - pomyślałem z pewną dozą smutku. Nie było mi żal tego, co pozostało tam, za tym szarociemnym tłem. Nie widziałem powodu bym miał tam kiedykolwiek wracać.

Rzeczywiście do Zegrza nie wracałem przez lat dwadzieścia. Nie mogę powiedzieć, że o swojej szkole nie pamiętałem. Było to niemożliwe choćby ze względu na częste, a początkowo codzienne, spotkania z kolegami z rocznika, wspomnienia przy każdej nadarzającej się okazji, tym ciekawsze i weselsze im więcej czasu upłynęło od dnia promocji. Ponownie znalazłem się w Zegrzu, już w Wyższej Oficerskiej Szkole Łączności, uczestnicząc w jubileuszowym zjeździe absolwentów naszego rocznika z okazji dwudziestolecia promocji. Podczas tej uroczystości przekonałem się, że wspólnie spędzony trzyletni okres nauki nie był mi całkowicie obojętny. Radość ze spotkania była ogromna, chciało się porozmawiać ze wszystkimi, a czasu nie stało. Może to minione lata spowodowały, że dawne przyjaźnie nabrały nowego blasku i wymiaru, a może łączyło nas coś więcej niż zwykłe żołnierskie koleżeństwo? Kolejne mijające lata miały pokazać to, co naprawdę nas połączyło w tym trudnym i jednocześnie pełnym młodzieńczego zapału okresie. Bo to wtedy właśnie wzięła swój początek męska przyjaźń, która trwa, która z roku na rok się umacnia.

Mam świadomość, że dystans jaki przez szereg lat zachowywałem wobec okresu nauki w OSŁ spowodował zatarcie ostrości faktów jakie się

wtedy wydarzyły, zaciemnienie rzeczywistego obrazu. Dlatego też, na ile tylko mogę wspieram się wspomnieniami i opiniami kolegów. Najlepszą ku temu okazję stanowią koleżeńskie biesiady, czy też doroczne spotkania. Zastanawiam się często jacy wówczas byliśmy my, jacy byli nasi nauczyciele i dowódcy, bo przecież nie martwa natura tworzyła historię naszego rocznika. Jak głęboki był podział - my i oni? Jaki rzeczywiście mieli wpływ na ukształtowanie naszych postaw obywatelskich, jak wreszcie zostaliśmy przygotowani do wykonywania zawodu oficera.

Pisząc te wspomnienia mam świadomość, że fakty o których będzie mowa miały miejsce w czasie historycznie zupełnie odmiennym. Ocena tamtych zjawisk nie jest więc prosta. Nie mniej jednak tylko rzeczywisty obraz tamtego okresu naszego życia, niczym nie zafałszowany, może stanowić wartość zasługującą na uwagę.

Początek tej historii dał biwak kandydatów na podchorążych na niedużym placu obok tak zwanego kinoteatru. Spotkali się tam absolwenci różnego rodzaju szkół średnich z całej Polski. Niektórzy już w mundurach wszystkich formacji wojskowych, w stopniach od szeregowca do sierżanta włącznie. Przybyli kierowani różnymi pobudkami. Jedni z braku możliwości nauki w cywilnych uczelniach wyższych, inni, bo uważali służbę wojskową za cel swego życia, jeszcze inni, ponieważ w rodzinie chciano mieć oficera. Byli też tacy, w których rodzinach służba wojskowa była tradycją. Wśród nich znalazł się także jeden, którego żona wsadziła do pociągu i wysłała do Zegrza, ponieważ chciała mieć męża oficera.

Na tym placu zawierano pierwsze znajomości, rodziły się pierwsze przyjaźnie. Tutaj obiecywano sobie wielkie oficerskie i życiowe kariery, a także robiono pierwsze kawały. Po raz pierwszy tu zdecydowana większość poznała smak wojskowej grochówki, a około dwustu młodych ludzi ostatecznie zdecydowało się na związanie swego życia z wojskiem.

* * *

Armia charakteryzuje się tym, że granice podziału między poszczególnymi poziomami organizacyjnymi są zawsze bardzo widoczne i nie ulegają zatarciu. Zapewnia to bowiem realizację celów poprzez utrzymanie relacji gwarantujących właściwy poziom środków nacisku i przymusu.

Oceniając ówczesne linie podziału między poszczególnymi grupami osobowymi składającymi się na strukturę szkoły to można przyjąć, że widoczny był podział „Oni i my" rozgraniczający całą ówczesną społeczność na dwie grupy - kształcących i wychowujących oraz tych, z których należało wykrzesać wszystko to co armii w przyszłości powinno dobrze służyć - przez okres całych trzech lat. Hierarchia organizacyjna i służbowa stanowiła fundament, na którym opierał się system wychowania i kształcenia. W ramach tej struktury im dany szczebel organizacyjny był bardziej odda-

lony od szarych podchorążackich mas, tym podział hierarchiczny wydawał się jaśniejszy. Naturalnie widoczne były trzy grupy osobowe w strukturze nazwanej „Oni". Stanowiły je komenda szkoły, personel dydaktyczny oraz dowództwa pododdziałów podchorążych. Ci ostatni byli jakby zawieszeni między dwiema pierwszymi grupami, a podchorążymi ze skłonnościami do zbliżenia się do najniższego poziomu. Był to bowiem lud roboczy, dyspozycyjny przez dwadzieścia cztery godziny, odpowiedzialny za wszystko co działo się na dole hierarchii służbowej i równo „strzyżony" przez przełożonych. W szkole miał więc pracę najtrudniejszą.

Postacią niewątpliwie najwyraźniejszą był ówczesny komendant szkoły pułkownik Edward Gierasimczyk. Oficer postury, można by rzec, trochę mizernej lecz budzący respekt u wszystkich, człowiek którego obawiał się, zbytnio tego nie ukrywając nawet sam szef trzeciej kompanii starszy sierżant Tadeusz Szemborski. Potrafił on okazywać wyrazy lekceważenia wszystkich lecz na wspomnienie komendanta najchętniej zaszywał się w swoim królestwie, to znaczy w magazynie podręcznym lub też w szatni za stojakami z mundurami, udając, że właśnie dokonuje przeglądu mienia podchorążych. Komendant nie często fatygował się, by inspekcjonować pododdziały podchorążych, lecz gdy taki krok zapowiadał następowało trzęsienie ziemi, po którym na ogół w kompanii wszystko lśniło. Innego rodzaju kontakty z komendantem ograniczały się do oglądania go na trybunie podczas oficjalnych uroczystości państwowych lub szkolnych. Odnosiliśmy wrażenie, że ma jakiś swoisty sposób postępowania polegający na tym, by nikomu zbytnio życia nie utrudniać lecz swoją postawą i sposobem bycia wymuszać realizację celów stojących przed uczelnią. Był jakby trochę od wszystkiego oddalony. To pozwalało mu chyba nieźle, w tamtych czasach, funkcjonować. Nieźle - a nam w miarę spokojnie.

Niedoścignionym wzorem oficerskiej postawy i prezencji był dla nas podpułkownik, a później pułkownik Jerzy Sieradzan, zastępca komendanta do spraw liniowych. Przy całej szarości, a w wielu wypadkach niedbalstwie prezencji i zewnętrznego wyglądu kadry zawodowej, był on jak rodzynek w źle wyrobionym cieście. Oglądanie go sprawiało czystą przyjemność. Nazywany powszechnie rycerzykiem z uwagi na formę zwracania się do podchorążych, per „rycerzyki", pojawiając się wśród nas powodował natychmiastową weryfikacje naszej postawy zewnętrznej. Przebywając wśród podchorążych nieco częściej niż komendant szkoły, nie będąc zbyt uciążliwym w obcowaniu z podwładnymi, zyskał sobie naszą szczególną sympatię. Nad wyraz taktowny w zwracaniu uwagi pojedynczym słuchaczom, czy też całym pododdziałom, u nikogo nie budził obaw, osiągając cel do którego zmierzał. Był do swoich rycerzyków przywiązany i z tego powodu, dopóki pozwalało mu zdrowie, uczestniczył jako honorowy gość w naszych oficerskich spotkaniach, wspominając wraz z nami wspólnie spędzone lata i bawiąc się równie dobrze jak my.

Wysoko w hierarchii ówczesnej armii usytuowany aparat partyjno-polityczny reprezentował w szkole przede wszystkim zastępca komendanta do spraw politycznych, pułkownik Zbigniew Szuflita. Powiedziało mi się - przede wszystkim - gdyż był osobą z którą podobno wszyscy się liczyli, a my widywaliśmy go jedynie obok komendanta na ważniejszych uroczystościach.

Aparat polityczny trząsł całą armią. Już jako młodzi oficerowie odnosiliśmy się do przedsięwzięć partyjno-politycznych z dużą rezerwą. Dla nas najważniejsze było szkolenia specjalistyczne i liniowe. To liczyło się najbardziej. Podlegli nam żołnierze powinni być dobrze przygotowani do każdej, najtrudniejszej sytuacji. Oprócz wysokich kwalifikacji łącznościowca, powinniśmy im wpoić umiejętność eliminacji przeciwnika szybciej i sprawniej, niż on to potrafi uczynić.

Nie raz natomiast przekonałem się, że są rzeczy ważniejsze. Nie dla mnie, ale są. Należały do nich, w pierwszej kolejności, szkolenie polityczne oraz informacja polityczna. Świat mógł się walić, żołnierz mógł być głodny, sprzęt techniczny niesprawny, a te właśnie zajęcia musiały się odbyć. I jeszcze na ironię losu ci, którzy tak zawzięcie pilnowali dyscypliny w tym zakresie, sami tych zajęć nie prowadzili. Oni kontrolowali. Kontrolowali i pisali meldunki. Zajęcia te prowadzili oczywiście dowódcy plutonów i kompanii, a więc ci, którzy nie mieli ku temu odpowiedniego przygotowania, nie byli przekonani o słuszności tezy o najwyższej randze tych przedmiotów i cały aparat polityczny traktowali jako zło konieczne, taki nieświeży pasztet, którego lepiej nie ruszać. Między innymi z tego właśnie stosunku wzięło się określenie „aparat" odnoszące się do kogoś o kim miało się negatywne zdanie z uwagi na jego postawę.

Wracając do zegrzyńskich realiów często zastanawiałem się, zresztą nie sam, jaki był ówczesny aparat polityczny szkoły, jaki miał na nas wpływ? W kompaniach zastępców do spraw politycznych nie było. Poza zastępcą komendanta szkoły, najczęściej widywanym oficerem politycznym był kierownik klubu, mieszczącego się w kinoteatrze, z racji tej, że organizował imprezy kulturalne, z których najpowszechniejszą było wyświetlanie filmów. A pozostali?

Cała działalność wychowawcza była więc prowadzona w kompaniach, gdzie na stu pięćdziesięciu podchorążych przypadało dwóch dowódców plutonów i szef - podoficer zawodowy. A trochę zabawną puentą tego wywodu może być następujący fakt.

Kompania stoi na zbiórce w swoim rejonie zakwaterowania czekając, jak zwykle, nie wiadomo na co. Jest głośno. Po chwili z kancelarii dowódcy wychodzi porucznik Zygmunt Mańkowski, dowódca piątego plutonu.

- Spokój! - mówi głośno, patrząc to w jedną, to w drugą stronę.

- O czym tak dyskutujecie? - pyta nieco ciszej, jako że i kompania zaczęła się uspokajać.

- O polityce, obywatelu poruczniku - odpowiada niezbyt głośno stojący na prawym skrzydle Lech Młynarczyk.

- Nie bądźcie tacy inteligentni i mówcie głośno - reaguje porucznik, który widocznie nie dosłyszał odpowiedzi.

- O polityce! - wrzeszczy tym razem Młynarczyk.

- Nie będziecie mi kłaść firmamentu na oczy, Młynarczyk. A dyskusja o polityce prowadzi do pesymistycznych wniosków - skomentował odpowiedź dowódca plutonu.

Nieco wyraźniej utkwiły w mojej pamięci jeszcze dwie postacie, a mianowicie kwatermistrz szkoły oraz szef administracji i ewidencji. Pierwszy z nich - pułkownik Czesław Bernat - oficer słusznej postury pojawiał się od czasu do czasu w stołówce, by przyjrzeć się temu co tam się dzieje. Zdarzało się to na ogół podczas „tłustych dni", kiedy posiłki były smaczne i obfite. Niekiedy nadzorował także nasze wyjazdy, czy też wymarsze na poważniejsze ćwiczenia.

Natomiast pułkownik Stanisław Ostrowski, w tym czasie starszy już pan, bywał na ważniejszych uroczystościach, podczas których odczytywał stosowne rozkazy. To on właśnie odczytał nam uchwałę promocyjną.

Wielu z nas miało także styczność z oficerem kontrwywiadu, wysokim, szczupłym kapitanem, który prowadził rozmowy przewidziane zakresem jego obowiązków, podczas których starał się nakłonić do współpracy z tak zwanymi „organami". Sądząc po losach niektórych z kolegów, miał na tym polu pewne sukcesy.

Tak nieliczne, wyraźniej pojawiające się w mojej i nie tylko mojej pamięci, twarze pracowników komendy szkoły świadczą wyraźnie o dystansie jaki dzielił nas podchorążych od tej najwyższej rangą szkolnej instytucji.

Przez okres trzech lat przez wiele godzin dziennie „szlifowaliśmy" posadzki bloku wyszkolenia. Tam właśnie, z różnym skutkiem, usiłowano wyposażyć nas w wiedzę teoretyczną niezbędną każdemu oficerowi łączności. W godzinach przedpołudniowych odbywały się wykłady i ćwiczenia, a po południu tak zwana nauka własna, to znaczy czas przeznaczony na indywidualne doskonalenie wiedzy.

Pion szkolenia zorganizowany był w cykle obejmujące przedmioty według specjalności. Cykl szkolenia ogólnego uzupełniał lub raczej wyrównywał wiedzę z podstawowych przedmiotów, niezbędnych w dalszym kształceniu specjalistycznym. Matematykę i elektrotechnikę wykładał pułkownik Jan Gosławski, kierownik cyklu, starszy, stateczny i przemiły pan wspominany przez wszystkich z wielkim sentymentem. Przenosił na współczesny nam grunt tradycje armii II Rzeczypospolitej, zwłaszcza w zakresie kultury osobistej oraz postępowania z przyszłymi oficerami.

Matematykę wykładała także pani Wójtowicz, piękna i zgrabna kobieta. Zabiegi o jej względy były powodem, być może ostatniego, romantycznego skandalu, jaki miał miejsce w naszej armii. Bowiem swego czasu

na tak zwanej „Skubiance" - miejscu ćwiczeń taktycznych, odbył się pojedynek dwóch oficerów zabiegających o względy tej pani. Strzelano do siebie z broni krótkiej. Miało to miejsce w okresie nieco poprzedzającym naszą edukację w Zegrzu.

Obowiązkowa nauka języka rosyjskiego miała bardzo różne strony. Bowiem nie wszystkim rosyjskie bukwy chciały mieścić się bez oporu w głowach. Natomiast jedno było pewne, mianowicie to, że wszystkich trawiła ciekawość, czy imponujący biust, raczej mikrej osoby panny Marianny Niemyjskiej, był prawdziwy, czy też sztuczny. Test igły w wykonaniu wspomnianego już Lecha Młynarczyka potwierdził autentyczność niezaprzeczalnego waloru urody wykładowczyni. Trzeba przyznać, że panna Niemyjska zadawała sobie wiele trudu, by wyzwolić w nas chęć do autentycznej nauki języka „starszego brata", jednak chyba z nienajlepszym skutkiem.

Często, zwłaszcza ostatnio, zadawałem sobie pytanie - jak wśród kolegów odbierano pracę cyklu przedmiotów społeczno-politycznych? W jakim stopniu poszczególni wykładowcy usiłowali oddziaływać na nas ideologicznie? Pytania te zrodziły się wskutek powszechnego w społeczeństwie przekonania o głębokim indoktrynowaniu podchorążych i oficerów byłego ludowego Wojska Polskiego. Nie znalazłem, jak do tej pory, faktów jednoznacznie i dobitnie potwierdzających tę tezę w odniesieniu do mego rocznika.

Najchętniej, a nawet z przyjemnością, słuchaliśmy wykładów z historii wojen i wojskowości. Przedmiot ten, wykładany we wszystkich uczelniach wojskowych chyba całego świata, daje pogląd na to co się działo w teoretycznej i praktycznej wiedzy wojskowej historycznie rzecz biorąc od czasów najdawniejszych. Wykładowcy podchodzili do swej pracy merytorycznie, wymagali od nas wiedzy na poziomie jaki uznawali za niezbędny i bez większego trudu osiągali swój cel.

Oczywiście wykładano także historię ruchu robotniczego. Wykładowcą tego przedmiotu był major Borowicz. Dzisiaj nie potrafię ocenić jego działań merytorycznych. Natomiast pan major utkwił w naszej pamięci, jako oficer uczulony na wygląd podchorążego, a dotyczyło to szczególnie jednego elementu naszego uniformu. Był to pierwszy rok nauki i umundurowani byliśmy w polowe mundury starego wzoru, zapinane pod szyją na haftkę. Od strony wewnętrznej kołnierzyka przyszywało się biały plastikowy lub płócienny pasek, który powinien lekko wystawać ponad kołnierz munduru. Szczególnie plastik po pewnym czasie stawał się nieco uciążliwy dla szyi, więc rozpinaliśmy ową haftkę, dając jej nieco odpocząć.

Major Borowicz był bardzo wrażliwy na tego rodzaju objaw braku dyscypliny i każdego napotkanego podchorążego z rozpiętą haftką ostrym tonem przywoływał do porządku:

- Podchorąży, zapnijcie haftkę! - Ponieważ było to nagminne, nikt nie mówił inaczej na majora jak major „Haftka". Któregoś dnia podczas przerwy w zajęciach major stał w otoczeniu podchorążych. W pewnym momen-

cie do grupy podszedł podchorąży z innego rocznika widocznie słabo znający jeszcze realia szkoły gdyż zwrócił się z zapytaniem:

- Czy jest tu major Haftka?

Konsternacja była ogólna. Delikwent udał się wraz z majorem w stronę, z której przybył, niewątpliwie dosadnie przez majora pouczany. A czy ktoś z tej, dla nas zabawnej, historii wyciągnął wnioski. W każdym razie łatwiej było - u majora „Haftki"- Borowicza podpaść za nie zapiętą haftkę niż za niepełną wiedzę z historii ruchu robotniczego.

W ramach tego cyklu psychologię wykładał major Smętek, który niczym szczególnym, w sensie ujemnym, nam się nie zasłużył. Z ekonomii politycznej wykłady podzielone były na dwie części - ekonomię polityczną kapitalizmu i ekonomię polityczną socjalizmu. Wykładowcy tego przedmiotu, a zwłaszcza starszy pułkownik, dawali wyraźnie do zrozumienia, że ta druga część, dotycząca socjalizmu jest swego rodzaju nieporozumieniem. Jak to było możliwe w tamtych warunkach tego nie wiem, ale było faktem.

Cyklem taktyki kierował pułkownik Wójtowicz. Szczególnie dobrze odbieraliśmy wykłady z taktyki łączności łączące w sobie teorię z praktyką w terenie, dające wiedzę bezpośrednio weryfikowaną przez życie.

Taktyka ogólna to w zasadzie pierwszy rok nauki. Drużyna, pluton i kompania w natarciu i obronie. Trzeba było się czołgać, okopywać, i nacierać, w pełnym rynsztunku bojowym, w maskach przeciwgazowych i w ogóle we wszystkim, co regulamin walki piechoty na taką okoliczność przewidywał. Z tym przedmiotem kojarzą mi się dwie przeciwstawne postacie - złośliwy kapitan Piotrowski oraz jowialny, spokojny major Lewicki.

Przy całej, raczej niemiłej stronie tych zajęć w terenie, zdarzały się też zabawne epizody. Szkoła, przez szosę Warszawa-Pułtusk sąsiadowała z fortami wybudowanymi podczas zaborów. Za fortami rozciągał się pas nieużytków otoczony z jednej strony tymiż fortami, z drugiej strony zaroślami i mizernymi laskami oraz otwarty w stronę niedalekiego Serocka. Była to tak zwana „Skubianka" - szkolny plac ćwiczeń, który swoją nazwę wziął od pobliskiej wsi. Dzisiaj zabudowany pięknymi domami letniskowymi teren był w tamtym czasie poprzecinany okopami, transzejami, poryty na wszelkie możliwe sposoby, gdzie można było do woli utytłać każdego podchorążego.

Pewnego deszczowego dnia major Lewicki, zgodnie z rozkładem zajęć, wyprowadził nas na Skubiankę, by przeprowadzić zajęcia na temat: Pluton w natarciu. Ubrani i wyposażeni byliśmy we wszystko, co ojczyzna dała. Sukienne mundury polowe, takież - niemal do samej ziemi - płaszcze, maski przeciwgazowe, ubrania przeciwchemiczne OP-1 i oczywiście pistolety maszynowe, łopatki saperskie oraz pełne plecaki. Na zajęcia z taktyki ogólnej w polu zabierało się bowiem wszystko.

Po teoretycznym wprowadzeniu major Lewicki uszykował pluton w linę drużyn, następnie rozwinął w tyralierę, by z kolei wydać komendę

do natarcia na wskazanego gdzieś tam nieprzyjaciela - skokami naprzód! Siąpił drobny deszcz, niebo było całkowicie zasnute ciemnymi chmurami. Natarcie niemrawo posuwało się naprzód. Major próbował przyspieszać tempo, wydawał coraz to nowe komendy. Skutek jego wojackiego zapału był jednak niewidoczny. Tyraliera posuwała się naprzód w ślimaczym tempie. Komenda do pokonania pewnego odcinka w maskach przeciwgazowych została tak fatalnie przyjęta, że sam major był chyba szczęśliwy, że wreszcie pluton dobrnął do końca poligonu i zaległ w rowie. Major, nie wymagając już ustawienia się w szyku, zarządził krótką przerwę i krążył niecierpliwie w pewnym oddaleniu.

Po kilkunastu minutach major zarządził koniec przerwy i przystąpił do omawiania pierwszej części ćwiczenia. Siedzieliśmy zadowoleni, że nie musimy wysłuchiwać pouczeń na stojąco. W pewnym momencie rozległo się lekkie chrapnięcie. Wszyscy, nieco zaskoczeni, patrzą w stronę skąd ono pochodzi, a tam podchorąży Antoni Skubis w najlepsze śpi. Hełm opadł mu na oczy, ręce bezwładnie rozrzucone, pistolet maszynowy leży na dnie rowu.

- Podchorąży, nie śpijcie - mówi spokojnie major Lewicki.

Żadnej reakcji ze strony Skubisa nie widać. Tu i ówdzie na twarzach podchorążych pojawiają się uśmiechy.

- Podchorąży! - ponawia energicznie swoją interwencję wykładowca.

Znowu nic.

- Antek! Skubis! - pod adresem delikwenta padają wezwania ze strony kolegów. Bez efektu. Widać, że wykładowca, dotąd spokojny, zaczyna okazywać pewne zniecierpliwienie niemiłą dla niego samego sytuacją, bowiem wyraźnie cierpi tu autorytet oficera i wykładowcy. W końcu któryś z sąsiadów trącił śpiocha energicznie pistoletem. Ten się otrząsnął i nieprzytomnym wzrokiem patrzy przed siebie.

- Podchorąży Skubis, nie śpijcie! - mówi głośno major Lewicki.

– Ja nie śpię, obywatelu majorze, tylko słońce mnie w oczy razi - odpowiada spokojnie delikwent, a spływające z hełmu ciężkie krople deszczu zalewają mu oczy.

Wybuchnęliśmy wszyscy głośnym śmiechem. Śmiał się także wykładowca. Zajęcia zakończyły się pokonaniem poligonu w przeciwną stronę marszem w tyralierze.

Bardzo ważną rolę, z punktu widzenia przygotowania fachowego, spełniały cykle radio i teletechniki. Oprócz podstaw teoretycznych wykładowcy mieli obowiązek nauczania praktycznej obsługi sprzętu. Jeśli chodzi o radio to podstawowym sprzętem była radiostacja średniej mocy R-118, będąca od niedawna na wyposażeniu oddziałów i pododdziałów łączności. Należy stwierdzić, że wykładowcy - major Rożek, kapitan Kolasiński oraz inni byli dobrymi fachowcami. Robiono im różne kawały, jak zmiana kwarców, kompletne rozstrajanie urządzeń i inne. Kapitan Kolasiński, choleryk i nerwus stroił radiostacje w błyskawicznym tempie na dwie ręce.

Pewnego razu jego zajęcia kontrolował komendant szkoły, co było swego rodzaju wydarzeniem. Kapitan Kolasiński omawiał, na schemacie zajmującym całą ścianę, drogę przebiegu sygnałów w radiostacji R-118. Kilkakrotnie dochodził do pewnego miejsca na schemacie i dalej, z uwagi na istniejące na schemacie oznaczenia elementów elektrycznych radiostacji, nie mógł przejść, bowiem w myśl logiki, tamtędy sygnał przebiegać nie mógł. W końcu zdenerwowany postawił sobie krzesło, wszedł na nie, popatrzył na schemat, siarczyście zaklął i rzekł:

- A skąd ja mogłem wiedzieć, że tam mucha nasrała!

Bogiem dla plutonu telefonicznego, już na trzecim roku nauki, był wykładowca teletechniki porucznik Mirosław Wieczorek. Zajęcia prowadził na wysokim, akademickim poziomie i takież miał wymagania. Cierpliwością i konsekwencją nie tylko nauczył najbardziej nawet opornych, ale zyskał sobie dozgonną sympatię całego plutonu.

Nie sposób nie wspomnieć także o przedmiocie, którego wpływ na ogólną kondycje podchorążego był niezaprzeczalny, o wychowaniu fizycznym i jego wykładowcy - majorze Kocielskim. Do podchorążówki trafili ludzie z bardzo różnym poziomem zaawansowania w tym zakresie. Byli tacy, którzy w dobrym stopniu opanowani arkana gimnastyki przyrządowej, tacy, którzy dobrze grali w piłkę nożną lub w inne gry zespołowe, ale byli też tacy, którzy nie widzieli jeszcze na oczy drabinek i drążka.

Major Kocielski w początkowym okresie nauki miał sporo pracy, by dysproporcje te wyrównać. Sam, mimo iż był nieco przysadzistym i korpulentnym mężczyzną noszącym przed sobą brzuszek, zadziwiał sprawnością fizyczną. Poziomka na drabinkach, stójka na poręczach, czy też wymyk na drążku były słabą stroną nie jednego, a wymagalność majora ścigała ich na każdym kroku. Oczywiście przyjemniej było spędzać niedzielę na przepustce niż w sali gimnastycznej, więc opóźnieni w zaawansowaniu sportowym imali się różnych sposobów, by nadrobić zaległości.

Podczas jednej z lekcji gimnastyki przyrządowej grupy podchorążych ćwiczą na poszczególnych przyrządach, a jeden z nich stoi z boku i zawzięcie masuje sobie brzuch. Zaintrygowany major pyta:

- Podchorąży, co robicie?

- Kupiłem sobie krem poziomkowy i wcieram. Może wreszcie zrobię tę poziomkę.

Major Kocielski był konsekwentny w swym uporze dążącym do upowszechnienia ćwiczeń fizycznych i doprowadził do tego, że gdy byliśmy na trzecim roku nauki, w każdej kompanii urządzono kącik sportowy, wyposażony w możliwe do ustawienia przyrządy i inne akcesoria sportowe niezbędne do codziennych ćwiczeń. Największym wzięciem cieszyły się ciężarki siedemnasto i pół i dwudziestopięciokilogramowe.

Garnizony wojskowe, zwłaszcza te oddalone nieco od większych ośrodków miejskich mają to do siebie, że na ogół wszystko gotuje się

w nich we własnym sosie. Mężowie pełnią służbę w danej jednostce wojskowej, a ich żony pracują tamże w administracji, klubie garnizonowym i wszędzie tam, gdzie mogą być zatrudnione. Tak było naturalnie również w Zegrzu. Z tym, że tutaj niektóre z pań nauczały także podchorążych na przykład przedmiotów ogólnokształcących.

Pewnego pięknego, letniego dnia z bloku wyszkolenia wyszła ładna niewiasta zmierzając w kierunku osiedla mieszkalnego. By tam dojść musiała przebyć cały kompleks koszarowy, bowiem wspomniane osiedle mieściło się po przeciwnej jego stronie. Ręce miała zajęte nieodłączną damską torebką i jakimiś innymi drobiazgami, a ubrana była stosownie do pory i panującej pogody, to znaczy bardzo lekko, a przy tym gustownie.

Szła sobie spokojnie chodnikiem i niewątpliwie doszłaby tak bez jakichkolwiek przygód do domu, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności. W pewnym momencie poczuła, że coś osuwa się w dół jej ciała. Zatrzymała się, spojrzała na nogi, a tam częściowo na szpileczkach i częściowo na chodniku leży intymna część jej damskiej garderoby w postaci różowych majteczek. Widocznie gumka tej części garderoby w owych czasach też nie była najwyższej jakości.

Pani lekko się zarumieniła, spokojnie wyszła z tychże majteczek i jak gdyby nic się nie zdarzyło poszła dalej. Z pewnością nie byłoby żadnej sensacji. Któryś z podchorążych wziąłby te majteczki jako talizman, gdyż niewiasta była niewątpliwej urody, gdyby... Otóż kilkadziesiąt metrów za tą panią, w tę samą stronę, podążał jej małżonek, oficer w słusznym już stopniu wojskowym, który zdarzenie zauważył. Niewiele myśląc zawołał:

- Marylka, majtki zgubiłaś!

I z tego to właśnie powodu fakt ten stał się podchorążym powszechnie znany.

* * *

Jeżeli my, podchorążowie, byliśmy w szkole szarą masą, gliną, z której starano się ulepić przyszłego oficera zdolnego do spełniania roli dowódcy lub specjalisty na podstawowym szczeblu dowodzenia, to ludem roboczym byli ci, którzy bezpośrednio, dniem i nocą nadzorowali realizację tego odpowiedzialnego procesu.

Kompania podchorążych - podstawowy szczebel organizacyjny gdzie toczyło się nasze życie, miała nieco nietypową organizację. Od kompanii liniowych różniła się liczbą plutonów, dostosowaną do liczby podchorążych. Ale też wykonywała inne zadania. Natomiast w kadrę dowódczą nie obfitowała.

Zaczynaliśmy edukację w składzie dwóch kompani - trzeciej i czwartej - zlokalizowanych w tym samym budynku na oddzielnych kondygnacjach. W trzeciej, liczniejszej, przez okres całych trzech lat, z wyjątkiem trzech czy

też czterech pierwszych miesięcy, było trzech oficerów i jeden podoficer - to jest dowódca kompanii, dwóch dowódców plutonów i szef - starszy sierżant. W czwartej kompanii, która istniała tylko przez pierwszy rok nauki, było dwóch oficerów i szef - podoficer.

Trzecią kompanią przez okres dwóch lat dowodził major Śmielak. Oficer zasadniczy, nieuznający kompromisów, stanowczy w egzekwowaniu decyzji swoich i przełożonych. Za mało, niestety, elastyczny w postępowaniu tak z oficerami, jak i z nami. Wydaje mi się, że był żądny sukcesu, który w końcu osiągnął. Po reorganizacji pododdziałów, od początku trzeciego roku naszej nauki, był dowódcą batalionu w skład którego wchodziła nasza, trzecia kompania. Opłacił to pewną, okresową wrogością z naszej strony.

Nie jestem pewien, czy moja ocena będzie w pełni trafna, ale jestem przekonany, że doprowadził swoim stanowczym postępowaniem do tego, co w społecznościach, czy też w pewnych strukturach jest bardzo ważne, do wewnętrznej spoistości pododdziału. Potrafił wpoić w nas świadomość znaczenia wzajemnego szacunku i tolerancji, koleżeństwa i zaufania. Stworzył z kompanii pewnego rodzaju monolit, który w obszernych fragmentach trwa do dnia dzisiejszego.

Na trzecim roku trzecią kompanią dowodził kapitan Lucjan Przeniosło, dusza człowiek, brat łata. Niezwykle wyrozumiały dowódca i przyjaciel. Przeciwieństwo majora Śmielaka w zakresie wyrozumiałości i tolerancji. Niestety opłacał to zdrowiem oraz brakiem zrozumienia u przełożonych. Nie miał łatwego życia, ale za to był przez nas niezwykle lubiany.

Kapitan Sadowski dowodził czwartą kompanią tylko przez jeden rok, ponieważ wraz ze zmniejszeniem się liczby podchorążych kompanię tę połączono z trzecią kompanią w jeden organizm. Do dzisiaj cieszy się sympatią nas wszystkich. Dowódcą plutonu był tam porucznik Wasilewski, równie mile wspominany przez podwładnych.

Dowódcy plutonów byli tymi, którzy z podchorążymi mieli najwięcej styczności, stąd najwięcej problemów. W trzeciej kompanii pierwszym i drugim plutonem dowodził początkowo kapitan Kazimierz Kaczmarek, pozostałymi trzema porucznik Stanisław Skibiński. Po przybyciu porucznika Mańkowskiego piąty pluton przeszedł pod jego komendę.

Kapitan Kaczmarek po kilku miesiącach ubył. Nie zapisał się najlepiej w pamięci kolegów. Znany był z bardzo oschłego i raczej niechętnego stosunku do podchorążych. Charakteryzowało go to, że nigdy nie patrzył rozmówcy w twarz. Najlepiej znaliśmy jego plecy, gdyż zazwyczaj rozmawiał z nami zwrócony właśnie tą częścią organizmu w naszą stronę, a twarzą do okna, niekiedy na krótko tylko odwracając głowę.

O sposobie bycia, powiedzonkach, umiejętnościach dowódczych i zasadach postępowania porucznika, a potem kapitana Mańkowskiego można by napisać odrębną opowieść. Przybył do kompanii, gdy była już całkowicie sformowana. Powierzono mu dowodzenie piątym plutonem. Z jego

metod dowódczych do dziś budzą uśmiechy różne, nie wiadomo skąd wzięte, powiedzonka i pseudo oratorskie wystąpienia.

Stawiał oto pluton w przejściu biegnącym przez całą kompanię, w miejscu w którym tenże kwaterował. Sam stawał przed jego szykiem, czapkę zsuwał na tył głowy w rękach miął skórkowe rękawiczki z którymi się nie rozstawał i mówił o wszystkim, wtrącając bardzo zabawne, często bezsensowne powiedzonka, będące jego własną twórczością. Porządki w sali sypialnej, a raczej w dwóch boksach leżących po obu stronach korytarza, były stałym punktem jego wystąpień.

- U was, rozumiecie, jest rozgildziajstwo - perorował - Florek, to wasze łóżko to stodoła i gomora - dodawał zwracając się do delikwenta. Podchodził następnie do łóżka stawianego jako przykład nieporządku, poprawiał je i ponownie wracając przed ustawiony w szyku pluton mówił dalej:

- I tak to ono i powinno wyglądać.

Zafascynowany widocznie sobą nie dostrzegał, że drugi szereg podchorążych siedzi na łóżkach i śmieje się.

- Porządki mają być doprowadzone do perfidii - kontynuował. - Podłoga ma być wyfoterowana na incognito. A Król w bloku wyszkolenia znowu podkaczał, swołocz Petlura! Przewrócić chciał majora Borowicza! Cholery w bok można dostać z wami! A wasze zachowanie w bloku wyszkolenia musi zmienić się absurdalnie!

Takie to były wywody dowódcy plutonu. Postępował z nami tak, jak potrafił. Nie był złośliwy, nikomu nie szkodził. Chciał dobrze wykonać to, co należało do jego obowiązków. Tylko, że miejsce, w którym się znalazł nie powinno być mu przeznaczone.

Nie godzi się nie wspomnieć o poruczniku Gałku, który był dowódcą plutonu przez okres trzech lub czterech ostatnich miesięcy przed promocją. Niestety niewiele można o nim powiedzieć, gdyż w tym czasie wpływ przełożonych na nas był raczej symboliczny. Oni po prostu byli, a my żyliśmy swoim życiem. Jedni drugim starali się nie wchodzić w drogę.

Oficerem, który był dowódcą plutonu w naszej kompanii przez okres całych trzech lat był porucznik, a następnie kapitan Stanisław Skibiński. Był z nami i ciągle pozostaje aktywnym członkiem naszej społeczności w dobrych i złych momentach naszego życia. Wesoły, rubaszny, przyjazny podchorążym w każdej okoliczności, dowodził nami z dużym poczuciem realizmu. Był na ogół tam gdzie być powinien, natomiast umiejętnie unikał sytuacji dla siebie niezręcznych. Można sądzić, że wyznawał zasadę, iż są w życiu sprawy, które rozwiązują się same, w związku z czym nie należy pchać palców między drzwi.

Z chytrością lisa wywijał się z okoliczności, które mogły mu przynieść jakiekolwiek przykrości. Natomiast tam, gdzie można było zbierać laury Stasiu był, jak najbardziej, obecny. Jednocześnie słynął z snucia wprost nieprawdopodobnych opowieści myśliwskich, przytaczania różnego rodzaju

anegdot, szczególnie takich, które podkreślały walory jego osobowości, z których większość można było uznać za wytwór fantazji. Wszystko to przyjmowane było z dużą sympatią, wywoływało wesołość, a co najważniejsze - tą drogą ówczesny porucznik Skibiński rozładowywał sytuacje stresowe i jednał sobie podwładnych. Z perspektywy czasu można stwierdzić, że był to odpowiedni człowiek na właściwym miejscu.

Odrębnym rozdziałem w życiu trzeciej kompanii podchorążych był jej szef, starszy sierżant Tadeusz Szemborski. Jego sposób bycia, filozofia życiowa oraz stosunek do podchorążych, jak i do przełożonych obrosły już legendą. Niewątpliwie „skonstruowany" był jak każdy przeciętny człowiek. Miał jednak pewne cechy, które pozwoliły mu być rzeczywistym szefem naszej kompanii, od pierwszego do ostatniego dnia pobytu w szkole. Był razem z nami, ale jakby ponad wszystkimi. Można było zlekceważyć polecenie dowódcy kompanii czy plutonu, ale nie szefa. Potrafi sobie poradzić z każdym. Znamy takich pośród nas, którzy jeszcze przez kilka lat po zakończeniu podchorążówki na widok lub wspomnienie szefa czuli się nieswojo.

Pamiętam, gdy na uroczystościach z okazji dwudziestolecia promocji doszło do bezpośredniego spotkania Edka Jarosza, który w tym czasie dowodził pułkiem w Skierniewicach, z szefem. Jarosz nie wiedział co z sobą zrobić, czy się z szefem przywitać, czy też dać drapaka. Zbladł, ręce stały się wilgotne, a oczy rozbiegały się na wszystkie strony.

- No, Jarosz! - zaczął jak zwykle szef. - Facet dowodzi pułkiem! Facet, cholera jasna!

Nie wiadomo, czy były to słowa uznania ze strony byłego szefa pododdziału, czy też mocnego zdziwienia. Osądu sierżanta o każdym z nas nikt tak naprawdę do końca nie znał.

Szef dysponował różnymi formami nacisku. W jego gestii były, między innymi, przepustki stałe. Ponadto zawiadywał szatniami, które w każdej chwili mogły zostać zamknięte. Mógł także zastosować cały wachlarz złośliwości natury organizacyjno-porządkowej, a chęć udania się na przepustkę mógł, na przykład skwitować stwierdzeniem:

- Chce przepustkę, Białczyk. Ma przepustkę na halę sportową, niech ćwiczy! Cholera facet!

Jednym z obowiązków szefa było prowadzenie apelu wieczornego kompanii. Zbiórkę do apelu zarządzał na ogół pomocnik dowódcy plutonu Jan Bąk. Kompania ustawiała się w dwuszeregu frontem do kancelarii dowódcy. Przed szykiem stawał Jan Bąk, a obok niego pisarz kompanii Zbyszek Kłos z książką rozkazów dziennych.

Szef, na ogół, przed zbiórką nie był obecny. Wchodził więc powoli po schodach, stawał z prawej strony szyku, o pół kroku przed największymi dryblasami, podnosił głowę i patrzył gdzieś przed siebie, ponad szykiem. Był wówczas ponad wszystkimi, jakby usiłował zniewolić nas swoją wyższością. Czekał nie wiadomo na co, aż do momentu, gdy zaczynało się

uwidaczniać zniecierpliwienie szyku. Wówczas spokojnym, pewnym siebie głosem wypowiadał jeden ze swoich zaskakujących, krótkich monologów:

- Facet się nie rusza, Goliński! Szef ma oko w żarówce, tu patrzy, a tam widzi. Facet nie myśli, Katanga, ziemia spalona, że szefa oszuka. Stoi i się nie rusza, sina dupa, klops. Będzie się śmiał jak mu pozwolę.

Przywoływał w ten sposób wszystkich do porządku. Po komendzie spocznij wybuchała powszechna wesołość. Szef uśmiechał się rzadko. Jego powierzchowna obojętność była czymś pozornym, gdyż w rzeczywistości dobrze dbał o interesy kompanii. Miał wśród nas przychylnych mu i niechętnych. Sam też, nie ukrywając słabości, jednych wyróżniał sympatią, innych traktował więcej niż obojętnie. Z jednymi grywał w swojej kapciorze w oczko, a innych miast na przepustkę zapędzał do dodatkowych czynności porządkowych lub wysyłał do hali sportowej. Był po prostu jak inni, normalnym człowiekiem. Doświadczenia późniejszych lat dowiodły, że nie był chyba przeciętnym szefem. Pamiętam bowiem, jak Zbyszek Berliński, czy też Stefan Fręśko dowodząc kompaniami łączności wzdychali - mieć takiego szefa jak Szemborskiego.

Gdybym miał postawić pytanie czy w owym czasie występował w szkole zdecydowanie podkreślany i pielęgnowany podział - oni i my - chyba bym nie znalazł wystarczająco mocnych argumentów, by taką tezę obronić. Poza nielicznymi wyjątkami cała tak zwana góra była nam przyjazna. Bardzo często traktowani byliśmy jak przyszli partnerzy tych starszych panów, ich młodsi koledzy. Oczywiście nikt za darmo niczego nam nie dał. Na pierwsze gwiazdki musieliśmy solidnie zapracować.

Od czasów podchorążackich minęło wiele lat, bardzo dużo faktów zatarło się w pamięci. Nie wszyscy dokładnie pamiętamy swój pierwszy kontakt z Oficerską Szkołą Łączności w Zegrzu. O początkach i miejscu, gdzie nasz romans z wojskiem się rozpoczął, już wspominałem. Na owym biwaku obok kinoteatru najczęstszymi, że tak powiem, gośćmi, byli porucznik Skibiński i sierżant Szemborski. Chodzili oni od jednej grupy do drugiej, interesując się tym wszystkim, co należało do ich obowiązków.

W jednej z grup brylował Brunon Majewski, dając popis wiedzy o wojskowym życiu. Z boku przysłuchiwał się temu szef Szemborski. W pewnym momencie podszedł do grupy i pyta:

- A facet gdzie w wojsku służył?

- Nigdzie nie służyłem, obywatelu sierżancie! - odpowiedział zagadnięty.

- Cholera facet! - zdziwił się szef i odchodząc mocno kręcił głową.

Egzaminy przebiegały bez większego napięcia i wyraźnej rywalizacji. Można sądzić, że samo miejsce - koszary wojskowe - tworzyło atmosferę, w której główną troską była umiejętność znalezienia się w wojsku. Egzaminy oczywiście trzeba było zdać.

Nauka w szkole rozpoczęła się od zakwaterowania i umundurowania. Szef królował w swoim magazynie, wydawał sorty mundurowe i to nawet

według życzenia, co u tych co nasłuchali się nieprawdopodobnych historii o wojsku wzbudzało pewne zdziwienie. Już w tym początkowym okresie okazało się, że szef ma umiejętność zapamiętywania nazwisk, może tylko niektórych, co w przyszłości nie zawsze przynosiło pozytywne skutki.

Tenże sam Brunon Majewski podszedł do szefa, by wyfasować umundurowanie.

- Nazwisko?
- Majewski.
- Majewski, Majewski, cholera Majewski! Już wziął! - oświadczył szef.
- Jest nas dwóch - odpowiada na to Brunon.
- Acha! No, Majewski. To się tu zapisze, cholera facet! Głowę szefowi zaprząta! Mówi dwóch - i szef zanotował ten fakt w swoim zeszycie.

Przysięga wojskowa tradycyjnie w szkołach oficerskich odbywała się w dniu podchorążego, czyli dwudziestego dziewiątego listopada, w pamiętną rocznicę wybuchu powstania listopadowego. Do tego dnia przechodziliśmy tak zwane przeszkolenie unitarne, polegające na bardzo dużej liczbie godzin z musztry, regulaminów, wyszkolenia strzeleckiego i różnych innych form wyszkolenia ogólnowojskowego. Oczywiście wymagało to zwiększonego wysiłku fizycznego, powodowało większy apetyt oraz stałe zmęczenie. Dla młodych ludzi nie było to nad wyraz uciążliwe, lecz w zamian po przysiędze staliśmy się pełnoprawnymi podchorążymi, z wszelkimi atrybutami tego faktu. Jednym z nich był mundur podchorążego - kurtka sukienna w kolorze khaki z jednym srebrnym paskiem na rękawach, ciemnogranatowe spodnie z czerwonymi lampasami, czarne trzewiki oraz okrągła czapka z czerwonym otokiem. No i oczywiście oznaki podchorążego.

Pierwszy rok nauki obfitował, zwłaszcza w pierwszej połowie, w namiastki drylu wojskowego. Popisywali się tym pomocnicy dowódców plutonów i dowódcy drużyn, którzy przyszli do szkoły z jednostek wojskowych i szkół podoficerskich z jako takim stażem w mundurach. Czyszczono brzuchami podłogi, przybijano w marszu ponad miarę, ćwiczono zwroty, słanie łóżek i wykonywano wielu innych „wynalazków", znajdujących się w arsenałach kaprali i zupaków. Odbywała się też nauka szybkiego rozbierania i ubierania się, nie pozbawiona często elementów wprost komicznych.

W wieczornych ceremoniach przed capstrzykiem brał także udział dowódca plutonu porucznik Mańkowski. Zarządził swego czasu przyspieszone rozbieranie się, układanie na taboretach poprawnych „kostek" z codziennego umundurowania oraz przegląd czystości obuwia. Ponieważ podchorąży Król, który był swego rodzaju osobowością z racji stosunku do przełożonych, zwłaszcza zaś do tegoż porucznika Mańkowskiego, nie zdążył rozebrać się w określonym czasie, co uczynił oczywiście celowo, by móc nieco pokpić sobie z przełożonego, dowódca przerwał więc ogólne

„ćwiczenia" i postanowił nauczyć Króla subordynacji. Wyjął zegarek, popatrzył na pozostałych podchorążych, jakby szukając aprobaty dla swoich poczynań.

- Król! - rozpoczął bardzo energicznie. - Macie piętnaście sekund w głównym pasie.

Oznaczało to, że podchorąży Król, zwany przez kolegów Kubą, w ciągu piętnastu sekund powinien stanąć przed przełożonym w pełnym umundurowaniu z pasem głównym wokół bioder.

- Wystarczy?
- Za dużo - odpowiada Kuba.
- Dziesięć sekund, starczy!?
- Za dużo!
- Pięć sekund, starczy!?
- Starczy!
- Start - wydał komendę porucznik Mańkowski.

Naraz jeden but leci pod sufit w jedną stronę, drugi tak samo w drugą stronę. Kuba łapie za pas, zapina na biodrach i całkiem nagi staje przed porucznikiem. Kuba w ten sposób nawiązał do często wydawanej przez dowódców drużyn komendy podczas „ćwiczeń" z szybkiego rozbierania i ubierania się.

Dni nauki, zwłaszcza na pierwszym roku, kiedy to do rozgorączkowanych głów wbijano głównie tajniki teorii z różnych dziedzin łączności, były monotonne. Czas wypełniony był ściśle do godziny osiemnastej, kiedy kończyła się tak zwana nauka własna. Żeby jednak podchorąży całkiem nie zgnuśniał, od czasu do czasu, dostarczano mu rozrywki w postaci, na przykład rozładunku wagonów z zapasami nienaruszalnymi, gromadzenia zapasu ziemniaków na zimę oraz koksu do opalania koszar. Dawało to, oprócz wysiłku fizycznego, okazję do urozmaicenia codziennej szarości, a niekiedy wyzwalało w zatrudnionych przy pracach podchorążych różnego rodzaju inicjatywy.

Ziemniaki przywozili rolnicy furmankami do określonego punktu, gdzie ładowano je na samochody, które z kolei przewoziły je do koszar, a tam lokowano je w starych fortach. Wzdłuż kolejki furmanek przed wagą chodził podchorąży, a był to pierwszy rok nauki.

- Chce pan poza kolejką? - pyta chłopa.
- Oj, z nieba spadł!
- No to.... wino.

Po chwili:

- Ładować ten wóz! Wagowy, zapisać!

Chłop szczęśliwy wrzucił worki na samochód i odjechał, a zapasy wina powiększyły się.

Pomiędzy dowódcami drużyn, a pozostałymi podchorążymi dystans był raczej iluzoryczny, lecz w początkowym okresie, kto mógł wiedzieć jak

będzie dalej? Podczas rozładunku koksu przy kotłowni Jurek Malinowski i Heniu Kozak przystąpili do próby wkupienia się u dowódcy drużyny Krzysztofa Tomczaka, który był już starszym szeregowym. Przynieśli butelkę popularnego wówczas kremu marshalla.

- No to trzeba by to wypić - oświadczył Tomczak. - A propos, czy wiecie jaka jest różnica między starszym szeregowym podchorążym a szeregowym podchorążym?

- Nie - odpowiedzieli zgodnie zapytani.

- A taka, że starszy szeregowy pije pierwszy - i Krzysiu przystąpił do konsumpcji.

Oderwaniem od monotonii codziennych zajęć przerywanych niekiedy alarmami i ćwiczeniami terenowymi w najbliższej okolicy były praktyki w jednostkach wojskowych. Moja osobista praktyka, którą odbyłem, wraz z Jankiem Pikorą w pułku czołgów w Elblągu nie przyniosła mi ani ciekawych wrażeń, ani też nie pogłębiła zbytnio mojej wiedzy z praktycznego dowodzenia, eksploatacji i obsługi sprzętu łączności. Wstyd to przyznać, ale podczas tej praktyki nie miałem nawet możliwości znalezienia się we wnętrzu czołgu.

Każda armia wymaga od swoich żołnierzy sprawności i tężyzny fizycznej. Uzyskuje się je drogą prowadzenia obowiązkowych zajęć, jak i stymulowania indywidualnego angażowania się w czynne i rekreacyjne uprawianie sportu oraz stałe utrzymywanie wysokiej kondycji fizycznej. Mój sąd dotyczący pozytywnej oceny tego problemu w czasie odbywania nauki w podchorążówce nie jest, jak myślę, odosobniony. Mieliśmy możliwości dosyć wszechstronne, a chęć do ćwiczeń fizycznych była dość powszechna.

Wyniki starań w tym zakresie można uznać za pozytywne, bo nawet ci, których początkowo trzeba było wieszać na drążku, a potem zdejmować aby, jak mawiano, się nie zabili spadając zeń, dosłużyli się słusznych stopni wojskowych.

Obok gimnastyki, gdzie dobre wyniki osiągał Adam Śliwakowski, uprawiano lekkoatletykę, w której najwszechstronniejszy był Bronek Wełpa, wicemistrz Polski młodzików w skoku o tyczce. Do historii zaś przeszły zmagania Henia Kozaka z Władkiem Urbaniakiem w biegu na dystansie trzech kilometrów. Cieszyły się nie tylko powszechnym zainteresowaniem, lecz były także przedmiotem zakładów. A dopingu przy tej okazji mogą im pozazdrościć organizatorzy dzisiejszych meczów piłkarskiej ekstraklasy. Sportem bardzo popularnym wśród podchorążych było podnoszenie ciężarów. Jego rangę podniosły mistrzostwa szkół oficerskich, jakie odbyły się w Zegrzu w 1962 roku. Do czołowych wyczynowców kompanii w tym zakresie zaliczali się Andrzej Bischoff, Zygmunt Sznepka oraz Stefan Fręsko. Imponujących wyników podczas mistrzostw nie osiągnęli, gdyż przekarmieni w czasie obozu przygotowawczego sprawniej walczyli z dolegliwo-

ściami żołądkowymi, jak na przykład Stefan Fręśko, niż z przeciwnikami i sztangą. Natomiast ciężarki o różnej wadze, mniej lub bardziej wytrwale dźwigali wszyscy. Wielu z nas do dzisiaj jest w stanie kilka lub kilkanaście razy wycisnąć ciężarek siedemnasto i pół kilogramowy.

Najmniej monotonnym był ostatni, trzeci rok nauki. Obfitował on w zajęcia praktyczne z obsługi sprzętu łączności, wyjazdy w teren związane z ćwiczeniami taktycznymi z budowy linii łączności, rozwijania węzłów łączności, praktyczną pracą w sieciach i kierunkach radiowych. Podczas tych ćwiczeń starano się łączyć przyjemne z pożytecznym. Wszystko to uwieńczone zostało udziałem w ćwiczeniach na poligonie drawskim. A potem były już tylko egzaminy i promocja.

Nasz rocznik promował ówczesny szef Głównego Zarządu Politycznego, a jednocześnie wiceminister obrony narodowej generał Wojciech Jaruzelski.

Jaki ten nasz rocznik był? Ocena każdej zbiorowości ludzkiej, jaką by ona nie była, nie należy do łatwych. Jednak już sam fakt, że po trzydziestu ośmiu latach, jakie upłynęły od oficerskiej promocji, przystąpiliśmy do pisania czegoś, co ma o nas świadczyć, upoważnia do stwierdzenia, że był to niewątpliwie rocznik, który pozytywnie zapisał się w historii szkoły. Rokroczne spotkania koleżeńskie, oficjalne zjazdy absolwentów z okazji tak zwanych okrągłych rocznic, liczne serdeczne i głębokie przyjaźnie to przecież dowody trwałości więzi zadzierzgniętych podczas trzyletniej nauki w szkole.

Rozproszeni po całym kraju jesteśmy gotowi wzajemnie wspierać się na każde wezwanie. Ale co najważniejsze to to, że tkwi w nas poczucie odpowiedzialności za losy ojczyzny, za nasz wspólny los. A łączy nas coś, co ma dla nas wartość fundamentalną - prawdziwa męska przyjaźń. Dajemy nią świadectwo dobremu imieniu naszej szkoły, szkoły, która niestety już nie istnieje.

Z biegiem lat coraz bardziej uwiarygodnia się napis na głazie upamiętniającym lata naszej nauki w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu, na głazie znajdującym się w miejscu dla tej szkoły szczególnym, w miejscu pamięci o niej:

**„TKWIĘ TU DAJĄC DOWÓD UMIŁOWANIA**
**OJCZYZNY I PRAWDZIWEJ MĘSKIEJ PRZYJAŹNI".**

*Krzysztof Tomczak*

# PODCHORĄŻY NA PRAKTYCE

## W czerwonych beretach

Jednym z najbardziej oczekiwanych elementów całej edukacji podchorążych były niewątpliwie praktyki w pododdziałach łączności jednostek wojskowych. Oczekiwali na nie głównie sami najbardziej zainteresowani, to znaczy podchorążowie. Praktyki kończyły drugi rok nauki, a skierowanie do określonej jednostki, jak sądzę, miały charakter czysto przypadkowy.

Z jednym niewątpliwie wyjątkiem. Chodzi mianowicie o ówczesną 6 Pomorską Dywizję Powietrznodesantową. W kierowaniu do niej przyjęto zasadę, że praktykować tam powinni podchorążowie dobrze wysportowani, mając na uwadze ich przydatność do ewentualnej, późniejszej służby zawodowej w tej formacji. W ten sposób Mietek Bąk, ja i jeszcze jeden kolega trafiliśmy na praktykę właśnie do tak zwanych komandosów.

Po zameldowaniu się w dowództwie dywizji w Krakowie, w wyniku dokonanego podziału Mietek Bąk pozostał w Krakowie, mnie zaś skierowano do Bielska Białej.

Odległość między Krakowem, a miejscem praktyki to jakieś sto kilometrów, czyli niewiele jak na dzisiejsze możliwości komunikacyjne. Podróż tym razem nie należała jednak do najprzyjemniejszych. Był to lipiec, środek lata, lecz na południu Polski panował wyjątkowy chłód. Ponadto był to czas po silnych opadach deszczu i powodzi w tych rejonach.

Podchorąży, wyposażony jak na okres letni, dysponował oprócz munduru, jedynie peleryną, która spełniała rolę ochrony przeciwdeszczowej. W pociągu, którego wagony pamiętały czasy Franciszka Józefa, a który wlókł się niemiłosiernie, panował przerażający chłód. Zmarzłem do tego

stopnia, że jadący w tym samym przedziale milicjant okrył mnie własnym płaszczem, po czym pokrzepił ćwiarteczką z czerwoną kartką, którą wyraźnie traktował jako lekarstwo.

Pomogło, lecz tylko na chwilę. W Bielsku przechodziłem istne męki, nie mogąc opanować drżenia ciała, a zwłaszcza rąk. Wstyd było w takim stanie udać się do batalionu, jednostki było nie było - elitarnej, za jakie uchodziły czerwone berety. Wstąpiłem więc po drodze do restauracji, aby przy pomocy gorącej herbaty pobudzić w organizmie dziarski, podchorążacki duch.

Restauracja okazała się być własnością słynnego mistrza bokserskiego Zbyszka Pietrzykowskiego. Usiadłem przy stoliku zziębnięty, skulony w sobie, zaciskając zgrabiałe z zimna dłonie. Wyglądać musiałem fatalnie, bowiem młoda kelnerka, zgrabna góralka, której sam widok powinien wykrzesać w podchorążym ogień, stanęła przede mną i robiąc niemal przerażoną minę spytała:

- Biedaku ty mój, a co to ci że?

- Kociaczku ty mój, jak ja zmarzłem - ledwie wymamrotałem.

- No to co, herbaty? - zapytała.

- Herbaty, dwie setki i coś do jedzenia - odparłem ciężko zrezygnowany.

Kelnerka uwinęła się bardzo szybko, jednak konsumpcja szła mi nieudolnie. Herbaty nie mogłem wypić, bo co wziąłem szklankę do rąk, to mi wypadała. Kelnerka szybko podeszła ponownie:

- Synek, no trzeba wypić tę herbatę!

- Nie mogę, zmarzłem tak sakramencko, że nawet mówić nie mogę - wyjąkałem z trudem, gdyż byłem o krok od całkowitego szczękościsku.

Dziewczyna przyniosła świeżą szklankę gorącej herbaty i szklaneczkę wódki, objęła moją głowę półramieniem, przechyliła ją i wlała w otwarte usta szklaneczkę wódki. Przełknąłem i po chwili poczułem się na tyle lepiej, że herbatę byłem w stanie wypić bez niczyjej pomocy. Dziewczyna znów podbiegła jak na zawołanie:

- Drugą podamy?

- Kwiatuszku ty mój, drugą to już sam wypiję!

W jednostce zameldowałem się w stanie wskazującym na początek silnego zaziębienia. Skierowany zostałem do kompanii łączności. Tam oczekiwał na mnie sierżant Zdzisław Nenkin, dowódca jedynego plutonu, z którego składała się kompania na stopie pokojowej. Reakcja sierżanta na mój widok była jednoznaczna:

- Panie podchorąży, pan jest chyba chory?

- Jeszcze nie, ale co będzie jutro, tego nie wiem! - I następnie, speszyłem się trochę formą, jaką zwrócił się do mnie stary wojak, proponując abyśmy mówili sobie po imieniu:

- Wiesz co chłopie - odparł na to Nenkin - coś ty mi tu źle wyglądasz. Rozgość się w kancelarii, a ja skoczę po aspirynę.

Po pewnym czasie wrócił, niosąc tę aspirynę w dzbanku, a aspiryna miała dziwnie czarny kolor. Nalał do dużego kubka mniej więcej połowę gorącego płynu i uzupełnił to do pełna, wyjętą z szafy wódką:

- Wypij to!

Okazało się, że aspiryna według miejscowej receptury, to czarna wojskowa kawa z wódką w stosunku jeden do jednego. Następnie kazał żołnierzom wnieść do kancelarii łóżko i uprzedził mnie, by zastawić drzwi ciężkim sprzętem i pod żadnym pozorem nie otwierać ich, gdyby ktokolwiek się dobijał:

- A w razie czego skacz przez okno lub wychodź po gzymsie!

Zaintrygowany tym co usłyszałem, postanowiłem wyjaśnić o co chodzi. Wśród żołnierzy, którzy przynieśli mi łóżko, zauważyłem znajomą twarz. Kazałem więc zameldować się temu żołnierzowi i bezpośrednio wyjaśnić o co chodziło. Ten na to rzekł:

- Panie podchorąży, dowódca batalionu, gdy zbyt mocno sobie podochoci, nieraz przychodzi do jednostki. Wtedy lepiej nie wchodzić mu w drogę, bo można wziąć w zęby. A pana nie zna, to tym gorzej.

Nie mogło się to pomieścić w mojej głowie. Coś podobnego! Gdzie ja tu jestem? Najlepiej zrobię, jeśli rzeczywiście się zabarykaduję. Sam klucz może nie pomóc. A jak tu w razie czego bronić się przed samym dowódcą - pomyślałem - i zastawiłem drzwi ciężką kancelaryjną szafą.

Rano przyszedł dowódca kompanii łączności w składzie jednego plutonu kapitan Lipski i po krótkim zapoznaniu się ze mną, krótko oświadczył:

- Niech tu ten Nenkin będzie, a ty przy nim i rządźcie razem, tylko nie zawracajcie mi głowy duperelami.

Następnie zaprowadził mnie do dowódcy batalionu. Tam przedstawiony zostałem pozostałym oficerom. Na koniec dowódca rzekł:

- Synek, wszystkie sprawy służbowe załatwiał będziesz z kapitanem Lipskim. A teraz idź do kwatermistrza.

U kwatermistrza rozmowa była krótka:

- Ile ma pieniędzy?

- No, mam tu... - zacząłem się zastanawiać nad stanem swoich nędznych finansów.

- To jest na żarcie, a na piwo ma?

- Nie - cicho odparłem.

- Nie będzie płacił. Niech przychodzi na jedzenie! - zawyrokował kwatermistrz.

W tym czasie norma żywnościowa podchorążego wynosiła czternaście złotych, tych z początku lat sześćdziesiątych. W desancie żołnierza żywiono za dwadzieścia jeden złotych. Różnica była wyraźna, więc o swój żołądek nie musiałem się martwić.

Dowódca batalionu, dowódca kompanii kapitan Lipski oraz szereg oficerów i podoficerów, w tym i starszy sierżant Nenkin byli zawodowymi dywersantami wyszkolonymi w Związku Radzieckim. To uwidaczniało się

w ich postawie i umiejętnościach oraz miało gwarantować dobre wyszkolenie specjalistyczne całego batalionu.

Pierwszy dzień praktyki zaczął się od tego, że do kancelarii przyszedł starszy sierżant Nenkin.

- No Krzysiu, gotowy do pracy?

- Gotowy.

- No, to idziemy do kasyna coś zjeść.

- Ale ja mam przecież śniadanie w stołówce - odparłem spokojnie.

- Tam zdążysz zjeść później, a teraz idziesz ze mną. Zaczynasz dzień z normalnymi ludźmi, a nie z małpami będziesz się witał.

A normalni ludzie zaczynali dzień w taki sposób. Nenikn zadysponował:

- Cztery bułeczki z pasztetówką i po cztery piwa.

Zamknąłem oczy: No to po tobie Krzysiu - pomyślałem. Przecież tyle piwa to ja nie wypiję! A co będzie potem? Całe szczęście, że to małe buteleczki, po jednej trzeciej litra, no i Żywiec.

Bułki z pasztetówką zjadłem z apetytem, ale po wypiciu czterech piw byłem opity jak przysłowiowy bąk i wydawało mi się, że brzuch spada mi na kolana. Gdy skończyliśmy tę bułczano-piwną biesiadę, jako pilny praktykant ciekawy byłem dalszych poczynań.

- Od czego dzisiaj zaczniemy? - spytałem Nenkina.

- Od strzelania. A teraz idź na stołówkę, na śniadanie.

- Mowy nie ma, nic już nie przełknę!

Nabity piwem, nie mogłem nawet myśleć o jedzeniu. Ciekawy umiejętności strzeleckich owianych legendą komandosów w czerwonych beretach pospieszyłem za Nenkinem, by dopilnować przygotowań do tych jakże ważnych ćwiczeń wojskowych. To, co zobaczyłem na wstępie przypominało raczej zgraję maruderów, niż elitarną jednostkę wojskową. Połowa żołnierzy miała na nogach po jednym bucie i jednym trampku, inni byli tylko w obuwiu sportowym, gdyż mieli poobcierane nogi.

Na strzelnicy kapral zaczął wydawać komendy całkiem niezgodne z regulaminem, więc sierżant Nenkin zdenerwował się nie na żarty.

- Panie podchorąży - zwrócił się do mnie - niech pan zrobi z tym porządek! Krzysiu, pokaż im jak to jest w prawdziwym wojsku!

Uporządkowałem towarzystwo, wydałem odpowiednie komendy i pierwsza zmiana wypaliła z kałasznikowów do tarcz, na sto metrów ogniem pojedynczym. Wypaliła, ale wyniki, jak na moje oczekiwania, były przerażające. Na siedmiu strzelających, czterech strzelania nie wykonało. Nenkin natychmiast wysłał ich na wykonywanie rund doszkalających wokół strzelnicy.

Położyła się następująca zmiana. Wynik taki sam. Nenkin zdenerwowany pyta jednego z „komandosów", tego, który w ogóle do tarczy nie trafił, o przyczynę takiego nędznego wyniku.

- Panie sierżancie, mój pistolet jest źle przestrzelany. Z tego nigdy, nikt nie trafi w cel!

- Tak?

- Tak jest, panie sierżancie! - odpowiedział pewnie żołnierz.

- Panie podchorąży, niech pan to sprawdzi - zwrócił się do mnie Nenkin.

Ty skurczybyku! - pomyślałem gniewnie, przecież jak ja się położę na brzuchu, który jest okrągły jak piłka? No, ja ci pokaże po zajęciach! Pomyśleć pomyślałem, ale strzelać trzeba było. Okazało się, że po tym piwie odległa o sto metrów tarcza, była nie dalej jak jakieś dziesięć, dwadzieścia metrów. Zrobiłem co do mnie należało i po komendzie powstań czekałem na efekty.

- Pokazać wyniki! - rozkazał Nenkin.

Podane wyniki strzelających żołnierzy były bardzo słabe.

- Pokazać wyniki pana podchorążego - ponownie rozkazał Nenkin.

- Dziesięć, dziesięć, dziesięć - padła odpowiedź.

Nenkin odwrócił się do pechowca strzelającego poprzednio z tej samej broni i jak go nie kopnie w cztery litery raz i drugi tak, że tamten zgubił tenisówki, które zamiast butów miał na nogach.

-Ty łajzo przeklęty, będziesz mi tu pier....., że broń zła! Pan podchorąży pierwszy raz miał ją w ręku i co!

Można było zauważyć, że w tym momencie autorytet, jakiegoś tam do tej pory podchorążego, zaczął wyraźnie zwyżkować.

Następnymi zajęciami było wychowanie fizyczne, za które byłem już całkowicie odpowiedzialny, gdyż dowódcę kompanii i sierżanta Nenkina uprzedzono, że praktykujący podchorąży jest dobrym sportowcem. Szkoliłem więc komandosów z walki wręcz i wszystkiego innego, co obejmował program. A zaczęło się od tego, że po strzelaniu, w hali sportowej pluton próbował popisać się przede mną swoimi umiejętnościami siłowymi.

Ćwiczenia siłowe polegały między innymi na podnoszeniu ciężarków. Były ich dwa rodzaje - 17,5 kilogramowe oraz 25-cio kilogramowe. Co silniejsi podchodzili do nich i podnosili po kilka razy, spoglądając na mnie wyzywająco. Widząc to podszedłem, wziąłem ciężarek 25-cio kilogramowy, postawiłem go sobie w dłoni na sztorc i bez wysiłku podniosłem w górę dziesięć razy, po czym odstawiając go, jakby od niechcenia rzekłem:

- No, na dzisiaj wystarczy. A teraz do zajęć.

To wyraźnie umocniło mój autorytet, a co więcej, przekonało żołnierzy, że z podchorążym lepiej nie zaczynać, bo jak da w zęby, to może być nieprzyjemnie. Uchroniło mnie to od wielu złośliwości, na przykład kradzieży beretu, noża komandosa, czy też innego wyposażenia.

W krótkim czasie doszedłem do przekonania, że ten cały tak zwany desant, z komandosami ma niewiele wspólnego. Ot, zwykła piechota, którą nauczono skakać ze spadochronem. Ci, którzy odbyli służbę w pierwszym powstałym batalionie powietrznodesantowym byli naprawdę dobrze wyszkoleni, pod każdym względem. Część z nich pozostała w służbie zawodowej. Reszta to był już niczym nieuzasadniony mit o niebywałej sprawności i sile bojowej czerwonych beretów.

# Kochane wojsko

Starszy sierżant Nenkin, jako rzeczywisty gospodarz kompanii łączności, uważał za swój obowiązek wprowadzić mnie w miejscowe życie.

- Słuchaj, stary. Tutaj, na tym terenie, jest jedna dobra rzecz, tu kochają wojsko! - powiedział z mocnym naciskiem na drugą część zdania.

- A wy ich kochacie? - zapytałem zaciekawiony.

- Jak ty jesteś dla człowieka dobry, to i on jest dla ciebie dobry - wyjaśnił sierżant.

Któregoś dnia, jeszcze na początku praktyki, po zakończonych zajęciach służbowych Nenkin mówi tak:

- Słuchaj, Krzysiu. Ty tutaj nie masz co robić, ty się nudzisz po zakończeniu codziennej praktyki. Będziesz zwiedzał bez przerwy to Bielsko? Wiesz co, pójdziesz ze mną do knajpy?

- Zdzichu, oczywiście że tak!

No i poszedłem i byłem świadkiem czegoś, w co bym nigdy nie uwierzył, gdyby mi to opowiadano.

Nenkin zaprosił jeszcze jednego kolegę, też sierżanta. Ubrali mnie w nowiutkie US-y, to znaczy w mundur spadochroniarza z czerwonym beretem włącznie. No, jak prawdziwego komandosa, a nie jakiegoś tam podchorążego praktykanta. Usiedliśmy w restauracji przy stoliku.

- Teraz siedź spokojnie - powiedział do mnie Nenkin.

Przybiegł „ober":

- Tak? Słucham, panie sierżancie.

- No...

- Jak zwykle?

- Jak zwykle - potwierdził Nenkin.

Po chwili „ober" pojawił się ponownie. Postawił na stole jakąś drobniuteńką zakąseczkę - diabli wiedzą co to było - wielkości paznokcia i do tego litr wódki i cztery szklanki. Wtedy wódka była jeszcze w litrowych butelkach z czerwoną kartką.

- Coś na przepitkę? - zapytał usłużnie kelner.

- A to później - odparł Nenkin.

Nenkin wziął butelkę i napełnił trzy szklanki, mniej więcej po trzy czwarte ich pojemności. Patrzyłem przerażony i pomyślałem. Przecież ja nie muszę tego wypić! Nigdy jeszcze w takiej uczcie nie uczestniczyłem. Nie wypiję tego! - postanowiłem. Nigdy nie piłem wódki, jeśli nie było potrzeby, jak na przykład w celach leczniczych. Ale wówczas pobierałem mniejsze dawki. Utwierdziłem się w swoim postanowieniu, no i patrzę na te trzy czwarte szklanki wódki z lękiem.

- No to, panowie! - sierżanci podnieśli szklanki, wciągnęli w płuca powietrze. W ślad za nimi zrobiłem to samo ostrożnie. No i wypiliśmy.

Wypiłem czystą wodę - pomyślałem z ulgą i popatrzyłem na swoich kompanów od kielicha. A Nenkin nic! Sięgnęli po chlebek i jakiś drobny ogóreczek, przegryźli.

- No to Stasiu, polej - zwraca się Nenkin do swojego kolegi. Nie czekaj na kelnera!

Huknęli po szklance i w butelce pozostało niewiele wody! No i w tym momencie do stolika podszedł jakiś jegomość. Elegancko ubrany, ukłonił się niemal szarmancko:

- Panowie... Ja tak sobie z boku stoję... I broń Boże... jakbym o panach źle myślał... Ja cały czas o panach... Naprawdę! Ja kocham panów! Panowie powtórzcie ten numer... Ja stawiam.

A wy skurczybyki - pomyślałem. Ale dopiero teraz będzie po mnie! Odezwał się Nenkin:

- My nie szukamy przyjaciół. Nam jest naprawdę dobrze tutaj w trójeczkę.

- Panowie, ja abso... Ja tylko, po prostu... Ja z podziwu wyjść nie mogę. Panowie, gdy będziecie tylko chcieli, to ja was zapraszam, na dancing, no tego....

- No to jak? - pyta Nenkin swego kolegę. - Będziesz się popisywał?

- Popisywać, to nie!

A po chwili:

- No dobra, to niech będzie. Siądzie pan z nami?

- Jeśli tyko mogę? - jegomość był wyraźnie uszczęśliwiony. - Jeśli tylko panowie wojskowi pozwolą?

No i w tym momencie poczułem się zbawiony:

- Po ćwiarteczce na głowę, to nie tak źle - pomyślałem nieco spokojniejszy. Przeżyję to!

- Tutaj, wędlineczka, sałateczki i inne frykasy. No i oczywiście, to samo - zamawia fundator.

- Nie, nie. Żadnych sałateczek nie trzeba -oświadczają zgodnie wojacy.

Nenkin wziął w rękę literek gorzałki, nalał fundatorowi kieliszeczek, kelnerowi setunię, a resztę do trzech szklanek. Byłem już całkiem spokojny. Nie było tak źle.

- Panów zdrowie - podniósł kieliszek fundator. Wypiliśmy jak zwyczaj nakazuje, zakąsili szyneczką tudzież innymi frykasami.

- Co panowie sobie życzą?... Ja już tu teraz... tego... - Fundator był w pełnej gotowości do zamówienia kolejnego litra wódki.

- Ja już dziękuję - zacząłem ostrożnie podawać tyły. - Ja już wypiłem swoją normę. A panowie, jak sobie życzą. Ja jeszcze służbę mam - jąłem się dalej bronić.

- Mój Boże - nie mógł wyjść z podziwu przygodny znajomy. To pan jeszcze służbę ma?

A tamci dwaj odpowiadają na kolejną propozycję:

- Teraz to już bez wygłupów, tylko połóweczkę!

„Ober" zrealizował zadanie. Sierżant rozlał połóweczkę, przydzielając mi jedynie małego „dziobka". Miał niewątpliwie na względzie fakt, że ktoś musi odprowadzić do koszar dwóch wytrawnych, knajpowych wycirusów.

Na koniec obsypano się wzajemnie komplementami, wymieniono adresy i zostawiwszy fundatora z pełną zachwytu twarzą, udaliśmy się do koszar.

- Widzisz - już przed samą bramą koszar odezwał się Nenkin - mówiliśmy ci. - Splątany język z trudem pozwalał mu na przelewanie myśli w słowa. - Mówiliśmy ci... Wspaniali ludzie!... Wspaniali ludzie!... Kochają wojsko!

A o tym, że przyjazna wojsku atmosfera rzeczywiście panowała, może świadczyć zdarzenie, które miało miejsce podczas budowy linii łączności. Pojechałem z plutonem poza Bielsko, w teren dogodny do właściwego zrealizowania tematu. Zajęcia przeprowadziłem jak należy i zarządziłem powrót.

- Panie podchorąży, panie podchorąży - żołnierze natarczywie nalegali. - Pojedziemy przez N., tu wymienili nazwę niedużej miejscowości, niezbyt oddalonej od Bielska - tam jest taka ładna restauracyjka, a pan nas tak zganiał, że pić nam się chce. Zakąsilibyśmy też coś.

Rzeczywiście, podczas programowych zajęć nie oszczędzałem ani żołnierzy, ani siebie. A że miałem miękkie serce, bo sam nie jedno przeszedłem, więc się zgodziłem. Podjechaliśmy samochodem w pobliże budynku restauracji we wskazanej miejscowości i nim zdążyłem się rozejrzeć, żołnierze jeden za drugim zniknęli w lokalu.

Skąd oni mają pieniądze? - pomyślałem, dobrze znając realia ówczesnego życia. Restauracja nie wyglądała na zwykłą knajpę. Zaintrygowany tym faktem, postanowiłem wejść do środka. Tam zobaczyłem, że wojacy podchodzą do bufetu, każdy wychyla kufel piwa, odbiera od barmana dużą bułkę z kiełbasą i wymyka się na zewnątrz. Rozglądając się wokół i rozważając, czy napić się czegoś, czy też nie, zobaczyłem w drzwiach prowadzących na zaplecze jegomościa w długim, czarnym, skórzanym płaszczu, jak z radośnie uśmiechniętą twarzą obserwował żołnierzy. Podszedłem do bufetu.

- Poproszę kufel piwa - zwróciłem się do barmana.

- Pan podchorąży proszony jest do stolika. Proszę bardzo - barman wskazał ręką stolik.

- Ależ, proszę pana, ja - próbowałem oponować.

- Panie podchorąży, proszę bardzo! - barman poprowadził mnie we wskazane miejsce.

- Wszystko już zapłacone, cokolwiek sobie pan życzy. A tamten pan - tu wskazał na jegomościa w skórzanym płaszczu - uprzejmie zapytuje, czy może się na chwilę do pana przysiąść.

Nie wiedząc, co w tej sytuacji zrobić dałem przyzwolenie.

- Panie podchorąży, pan pozwoli, że się przedstawię - tu jegomość w skórzanym płaszczu wymienił stopień wojskowy podchorążego, czy też oficera, imię i nazwisko, po czym po chwili dodał, że służył w armii Andersa. Zaproponował posiłek, a gdy podziękowałem mu i oznajmiłem, że pozostanę tylko przy piwie, zakomunikował mi:

- Panie podchorąży, tu zawsze są dancingi. Proszę przyjeżdżać z kolegami, kiedy tylko sobie życzycie. Tak prawdę mówiąc, ta knajpa jest moja, a tamten tu tylko zarządza. Przyjeżdżajcie panowie i bawcie się na mój rachunek. Ja tu zawsze na dwie, trzy godziny zaglądam, aby popatrzeć i dopilnować. Z radością będę panów gościł.

I to by było, moi mili „na tyle", jak mawiał „profesor mniemanologii stosowanej", aktor i satyryk Jan Stanisławski.

*Adam Śliwakowski*

# Drawa

Drawa, to geograficzna nazwa jednej z najpiękniejszych rzek polskich, malowniczo płynącej przez lasy, łąki, pola i dzikie pustkowia Pomorza Zachodniego. Obiekt marzeń turystów kajakarzy, z uwagi nie tylko na walory krajoznawcze, lecz i ze względu na jej „niedostępność" (bo to przecież poligon). Nam podchorążym kojarzyła się z mającym nastąpić niebawem, bo w czerwcu 1963 roku, wydarzeniem podsumowującym nasz pobyt w szkole - ćwiczeniami szkół oficerskich, w których nasz rocznik wypełniać miał zadania zapewnienia łączności szczebla dywizyjnego i armijnego.

Dla mnie jednak, nazwa ta do końca życia kojarzyć się będzie jeszcze z czymś innym, niż tylko geografia i wojskowe ćwiczenia. A było to tak:

## Spotkanie

W przeddzień alarmu, który rozpoczynał ćwiczenia, każdy z nas otrzymał przydział konkretnego działania na jednym z elementów łączności. Mnie przypadło zadanie zapewnienia pełnej sprawności elektrycznej źródeł zasilania wszystkich typów akumulatorów wykorzystywanych przez środki łączności, czyli obsługa polowej stacji ładowania akumulatorów (PSŁA). Stary samochód ciężarowy ZIS z pojemnikami pełnymi akumulatorów na „odkrytej" skrzyni samochodu oraz agregat prądotwórczy i trochę osobistego sprzętu: koc, menażka, manierka, broń, plecak; to było moje ważne - bojowe stanowisko.

Alarm!!!! Wybiegamy jak szaleni ze swych namiotów - pałatek i po niedługim czasie kolumny samochodów ruszają. Ostatnią była kolumna tyłów, a mój „wóz bojowy" z PSŁ-ką - zamykał ją dumnie, z podchorążym, który miał świadomość, jak wiele od jego pracy zależy.

Wszystko dobrze wygląda w dzień, gdy wozy stoją pochowane w lasach. Można wszystko popodłączać tak, jak to w szkole uczyli nas wykładowcy, ale tutaj to co innego. Tu sam odpowiadasz za wszystko, nie ma miejsca na poprawki i podpowiedzi, a do tego noc, ciemno, w marszu wszystko lata po skrzyni „jak pijany kupiec po pustym sklepie", a ty musisz uważać, aby wśród latających skrzyń (słyszałem o „latających talerzach" - ale nie o skrzyniach) w całości zachować wszystkie członki.

Ale przecież to o naszym roczniku śpiewano „tylko jeden taki jest - tylko jeden...", więc mimo zmęczenia i klejących się powiek podłączam szeregowo, równolegle, zawsze jak należy, to co należy i o dziwo nie ma reklamacji.

Co to ma wspólnego z tytułem. Ano, dochodzimy do sedna. Jest noc, nie pomnę, która to noc ćwiczeń. Jedziemy, a raczej wznosimy się i opadamy, jak okręt na wzburzonej fali. Tak wyglądają poligonowe drogi. Wokół mnie wszystko fruwa, a ja trzymam się tylko kurczowo burty samochodu, podciągam wysoko nogi, aby czymś nie oberwać po goleniach i tak całą noc aż do świtu. Myślałem, że jesteśmy gdzieś daleko, daleko (znowu przypomina się piosenka -„daleko, daleko"), tylko zamiast burzanów sosnowe lasy, wrzosowiska i poranna mgła, która wszystko dookoła spowijając welonem pełnym wilgoci, przenika zmęczone ciało chłodem i wzmaga znużenie oraz nieodpartą potrzebę zamknięcia oczu, choć na chwilę. Zwłaszcza, że kolumna wyjeżdża na jakąś równiejszą drogę, a i ciemność nocy ustępuje szarości przedświtu i zaczynam dostrzegać jakieś drzewa, krzewy i znikającą, uciekającą wstecz wstęgę asfaltu.

Wtem na drodze, za jadącym ZIS-em, spostrzegam coś biegnącego. Ki diabeł, lis jaki, czy omam? Kolumna zwalnia i po chwili spostrzegam, że do wozu podbiega jakiś pies. Widać młody, bo zachowuje się nieostrożnie. Rzucam kawałek chleba. Łapie w locie i za chwilę znów jest na tyle blisko, że mogę mu się przyjrzeć z bliska. Zwłaszcza, że kolumna się zatrzymuje. Pies zatrzymał się również, usiadł za samochodem, zadarł łeb do góry i spogląda na mnie oczekując kolejnego „poczęstunku". Rzucam chleb po kawałku, aż się skończył, a w ślepiach tego psiaczka ciągle widzę prośbę o jeszcze. Co tu robić?

Nagle od czoła kolumny słyszę wołanie. Kuchnia wydaje śniadanie. Uradowany chwytam manierkę i pędzę tam skąd dochodzi najcudowniejszy zapach poligonu - krupnik! Łapię co dają, proszę tylko o wzmocnienie, gdyż - mówię - jest nas dwóch. Na szczęście szef nie pytał, kto ten drugi.

Spieszę do swego wozu i widzę: psisko siedzi tak, jak mu kazałem. Ucieszyłem się niezmiernie, bo zawsze miałem słabość do kotów, psów i każdej zwierzyny, tak zależnej w swej egzystencji od człowieka. Więc niewiele myśląc biorę go na ręce i hop! - na skrzynię wozu. Zdziwiło mnie tylko, że taki lekki. Dopiero gdy usiadłem i nalawszy równo krupniku sobie i psu do pustej puszki po konserwie, zacząłem mu się przyglądać. Za-

uważam sterczące żebra, zapadnięty brzuch i maść podpalaną. Jedna „miska" zupy znikła błyskawicznie, po chwili druga i trzecia, aż zdążyłem ledwo co sam łyknąć.

Pies podjadłszy, usiadł „wzorcowo" i postawiwszy uszy spojrzał mi swymi wdzięcznymi ślepiami w oczy tak, że nim się zorientowałem, jego ciepły (czy od zupy?) jęzor wylądował na moim policzku. Było to najczulsze podziękowanie na jakie stać zwierzę. W tym momencie postanowiłem: Nie zostawię go na tym odludziu na poniewierkę. Myślę, że dowódcy nie wygonią mnie z nim z obozowiska.

Zaczynam się przyglądać stworzeniu. Suczka. Łaty odpadającej miękkiej sierści świadczą, że to szczeniak 4–5 miesięczny. I myśl - jak ją nazwać, jak wołać? Jest imię - Drawa, Drawa, bo do rzeki było niedaleko. Niech tak zostanie. Masz więc swoje piękne imię, krótkie i takie polskie.

Słychać od czoła warkot silników. Ruszamy. I ja już ze swym nowym przyjacielem, któremu trudno ustać na nogach w bujającym się samochodzie, a do tego jeszcze te „latające" skrzynie.

Nie myśląc wiele, zawijam Drawę w koc, biorę na ręce, przyciskam do siebie i tak jadąc od postoju do postoju, oswajamy się ze sobą. O dziwo, psina zaczyna reagować na swe imię za każdym razem patrząc mi głęboko w oczy swymi czarno-brązowymi ślepiami.

Tak „wojowałem" na ćwiczeniach z akumulatorami, mając za najbliższego towarzysza „czworołapa". Ćwiczenia kończy defilada, kolumny z marszu przejeżdżają przed trybuną pełną generalicji i różnych oficjeli.

Co zrobić z Drawą? Próbuję schować ją pod ławką, lecz to ciekawskie psisko za nic nie chce mieć zakrytego łba, więc gdy już jesteśmy przed trybuną i regulaminowo prężę swą sylwetkę salutując do polowej rogatywki, Drawa - jak na psa „wojskowego" przystało, wylazła spod koca, usiadła „wzorcowo" obok mnie i postawiwszy uszy na baczność ciekawie spoglądała na trybunę, wywołując na niej chwilowe poruszenie i zainteresowanie swą psią osobą.

No! - pomyślałem - spieprzyłeś kundlu wszystko! Teraz cię już chyba zabiorą, bo regulamin nie przewiduje psów „niesłużbowych" w pododdziałach. Pełen niepokoju i pewnego smutku oczekiwałem na rozwój wypadków.

Tymczasem wróciliśmy do obozowiska szkoły i nic. Cisza. Zameldowałem się z Drawą u dowódcy kompanii majora Lucjana Przeniosło, który nie tylko ją zaakceptował w obozie, ale i kazał wpisać „na kocioł". Tak to przekonałem się, że mój dowódca czyta „Przekrój", bowiem w tym poczytnym tygodniku stała zapisana „Złota myśl" psa Fafika (wielkiego psiego myśliciela), niegdyś wyszczekana, że „ludzie, którzy nie lubią psów, nie zasługują, by mieć przyjaciół". Lucek - tak serdecznie między sobą zwaliśmy swego dowódcę, człowieka wielkiego serca i przyjaźni dla nas - lubił zwierzęta.

Kilka następnych dni do końca pobytu na poligonowym obozie zleciało nam na szkoleniu, a wszędzie gdzie ja, tam za mną biegła Drawa, powoli stając się ulubienicą obozowej braci. Gorzej było, gdy nocą pchała się nam do namiotu, gdzie i tak leżeliśmy w czwórkę, zbici jak śledzie, ale Drawula bez trudu znajdowała swoje ciepłe miejsce w naszych nogach, co raz tylko mrucząc lub warcząc, gdy wartownik przechodził koło nas.

Zbliżał się koniec obozu. Pełen rozterek, nie wiedziałem co dalej z psem zrobić, bo przecież jeszcze dwa miesiące szkoły i promocja. Gdzie ja to stworzenie przechowam, bo dojrzała we mnie myśl, że Drawa ma w moim domu swe miejsce. Ze zmartwień wybawił mnie, jak zawsze niezawodny Lucek, dając pięć dni urlopu, abym mógł psa odwieźć do rodzinnego domu, do Chorzowa.

## Podróż

Niedziela, czwarta rano. Gazik wiezie mnie do Drawska, na dworzec PKP. Zaopatrzony w puszkę mielonki na drogę oraz pieniądze za wyprowiantowanie, jadę do Stargardu Szczecińskiego, aby tam złapać jakiś pociąg na Katowice. Jestem w Stargardzie około jedenastej, katowicki będzie dopiero o osiemnastej.

Mamy dużo czasu, więc szukamy jakiegoś cienistego miejsca, bo z nieba leje się żar. Wcześniej kupuję bilety dla siebie i Drawy. Ledwo wystarczyło pieniędzy, chociaż na szczęście za resztę mogłem jeszcze kupić dwie bułki w dworcowym bufecie.

Mając puszkę i dwie bułki można pomyśleć o obiedzie. Tym bardziej, że od wczorajszej kolacji minęło sporo czasu i kiszki grają już nie marsza, ale jakąś zwariowaną galopkę. Znaleźliśmy kawałek cienistego trawnika, na którym przystąpiłem do otwierania mielonki. Oczywiście Drawa wszystko kontrolowała, pchając swój wilgotny nos do puszki. Pokroiłem bułki, wyjąłem mielonkę i sprawiedliwie podzieliłem. Bo jak powiedział wspomniany wcześniej psi filozof Fafik - „prawdziwym miłosierdziem jest kość, którą się dzielisz z psem, gdy jesteś tak samo jak on głodny".

Posileni, wyciągnęliśmy się na trawie, lekko przysypiając. Obudziło nas piekielne pragnienie. Mielonka była dobrze zakonserwowana - solą. Wprawdzie woda na peronie nie była zdatna do picia, ale w naszych rozpalonych żołądkach z pewnością momentalnie osiągała temperaturę wrzenia, dlatego chyba do dzisiaj żyję.

Zbliża się godzina przyjazdu pociągu. Na peronie tłum, jakby wszystkich ludzi z wybrzeża zegnało. Wreszcie jest. Beczka ze śledziami jest przestronną w porównaniu z tym co się zaczęło dziać. Oknami, bo w drzwi można było tylko popatrzeć, ludziska włazili po głowach innych pasażerów.

Gdzie ja z tym psem? Nagle patrzę, jakieś zamieszanie, dym wali, to zapaliła się „harmonijka" między dwoma pulmanami. Konduktorzy biegają, gaszą. Widzę, że w wagonie bagażowym jest otwarte małe przejście między wagonami. Po cichutku - nikt mnie nie zauważył - wśliznęliśmy się, zamknęli drzwi, padli na podłogę i „przywarowali". Udało się. Po paru minutach pociąg ruszył.

Znużeni upałem, zmęczeni, przygłuszeni miarowym stukotem kół, usnęliśmy na podłodze. Obudziło mnie szczekanie psa. Patrzę, a tu konduktor żąda biletów. Wyjaśniłem, jak się tu znalazłem, skąd jadę i po co. Udobruchał się i pozwolił nam pozostać, ale skrycie, by kierownikowi pociągu nie wpaść w oko. Tak minęliśmy Poznań, Kępno. Zaczęło świtać. Tłok musiał być nie lada jaki, skoro w wagonie bagażowym znalazła się cała rodzina z dwójką małolatów. Przyglądamy się im i słuchamy jak mama próbuje wepchnąć jednemu z basałyków kanapkę z kaszanką, a ten broni się jak przed ogniem.

Szybko chwytam okazję i mówię, że mam tu czworonoga, który chętnie pomoże dziecku w spełnieniu obowiązku konsumpcyjnego, co spotkało się z radością malca, za wybawienie go z opresji, opieszałą zgodą rodzica oraz moim cichym zadowoleniem. Bo za chwilę i ja mogłem z tego jadła skorzystać, uciszając ryczące w brzuchu kiszki.

Tak podróżując wylądowałem o szóstej rano w rodzinnym domu w Chorzowie. Powitanie było radosne. Siostra Basia ucieszyła się z tego stworka. Mama zaś z oporami, ale w końcu uległa i zgodziła się przyjąć Drawę. Wiedziała dlaczego. Ten młody kundel w krótkim czasie rozprawił się w domu z parasolką, butami, kapciami, materacem z morskiej trawy, poduszkami puchowymi... wiele by wymieniać. I to wszystko z powodu swędzących zębów.

Pomimo tych strat, Drawa znalazła w domownikach czułych opiekunów, za co odwdzięczała się dobrym apetytem, pogodnym, antystresowym usposobieniem i psim przywiązaniem. Jednak w pamięci i swym psim sercu miała wciąż obraz młodzieńca w polowym mundurze, do którego tęskniła. Na widok każdego żołnierskiego munduru ciągnęła jak szalona, dopóki nie sprawdziła, że to nie ten.

Tak minęły trzy miesiące. Gdy jako nowo promowany podporucznik zjechałem na urlop, psiej radości opisać nie sposób. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Później Drawa nie rozstawała się ze mną. Wyrosła na ładną, łagodną psicę. Przy niej nauczył się pierwszych kroków mój syn Maciek, trzymając się jej grzbietu. Pilnowała go w domu i na podwórku. Była dobrym duchem naszego domu, przyjacielem. Dożyła dziewięciu lat.

*Stanisław Skibiński*

# CHŁOPCY MOICH MARZEŃ

Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi dane wziąć za pióro z innego powodu niż napisanie meldunku, sprawozdania czy też pracy lub innej rozprawy związanej z doskonaleniem mojej wiedzy wojskowej. Tak się jednak złożyło, że los zetknął mnie z grupą ludzi, która stanowiła niegdyś kompanię podchorążych w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu. Skutkiem tego przez ponad czterdzieści lat dzielę, po trochu, z nimi swój los. Owocem tego są właśnie te krótkie wspomnienia.

W Oficerskiej Szkole Łączności, której zresztą jestem absolwentem, przepracowałem, z przerwą, ponad jedenaście lat i w tym czasie, z moim skromnym udziałem, wypromowane zostały cztery roczniki podchorążych. Byłem w tym czasie dowódcą plutonu, a następnie dowódcą kompanii podchorążych. Tak jak w każdej pracy, tak i w mojej, były chwile dobre i złe, trafiały się roczniki mniej lub bardziej dojrzałe i zintegrowane. Zdarzył się jednak przypadek szczególny.

W lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku otrzymałem od dowódcy kompanii majora Jana Śmielaka polecenie, by wraz z sierżantem Tadeuszem Szemborskim przygotować podobozie dla kandydatów przybywających na egzaminy wstępne do szkoły. Byłem wówczas dowódcą plutonu w kompanii kończącej trzyletnią naukę. Rozwinęliśmy namioty na placu za kinoteatrem w pobliżu szpaleru starych drzew, pamiętających okres budowy tutejszych koszar, jeszcze w czasach carskiego zaboru. Kandydatów przybywających na egzaminy wstępne grupowaliśmy w zespoły, które następnie podchorążowie pierwszego rocznika rozprowadzali na egzaminy, które obejmowały wiedzę o Polsce, fizykę i matematykę oraz sprawność fizyczną. Z moich obserwacji wynikało, że młodzież, na ogół, dobrze zdawała sobie sprawę z celu w jakim tu przybyła, robiła wrażenie dobrze wychowanej. Wykazywała żywe zainteresowanie życiem w szkole i obyczajami panującymi wśród podchorążych.

We wrześniu mój pluton wraz z całą kompanią został wypromowany i po uroczystym pożegnaniu ubył ze szkoły, a my po krótkiej przerwie rozpoczęliśmy przygotowania do przyjęcia nowego rocznika. Kompania miała się składać z pięciu plutonów. Dowódcą został major Jan Śmielak, dowódcą pierwszego i drugiego plutonu kapitan Kazimierz Kaczmarek. Mnie powierzono trzeci i czwarty pluton oraz okresowy nadzór nad piątym plutonem, do czasu przybycia porucznika Zygmunta Mańkowskiego.

Dzień przybycia kandydatów na podchorążych to same rutynowe czynności, a więc fryzjer, łaźnia, fasowanie umundurowania, a następnie podział na plutony, oczywiście według wzrostu.

Pierwszy okres pobytu w szkole to czas do przysięgi, czyli do dwudziestego dziewiątego listopada - Dnia Podchorążego. Nasycony był on zajęciami z musztry i pozostałych dziedzin szkolenia ogólnowojskowego tak, aby przyszli podchorążowie opanowali podstawowe arkana wiedzy z tego zakresu i nauczyli się stosować ją w praktyce. Oczywiście prowadzono równolegle zajęcia z pozostałych przedmiotów przewidzianych programem pierwszego roku nauki.

Zwyczajowo tytuł podchorążego uzyskiwano po złożeniu przysięgi wojskowej. Wraz z nim przysługiwało stosowne umundurowanie. Mundur podchorążego stanowiły wówczas kurtka koloru khaki, granatowe spodnie z czerwonymi lampasami i czapka z czerwonym otokiem. Na naramiennikach noszono oznakę szkoły oficerskiej w postaci liter OS, na kołnierzu liście dębowe, a pierwszy rocznik nosił na rękawach jeden srebrny pasek. Wraz z upływem lat nauki pasków przybywało.

Podczas uroczystej defilady po złożeniu przysięgi kompania zaprezentowała się bardzo dobrze, co było powodem dumy jej dowództwa. Dzień w ogóle był bardzo radosny. Rodziny podchorążych interesowały się trybem życia w szkole, panującymi warunkami oraz perspektywami swych synów. Przy tej okazji poznałem wielu rodziców moich podkomendnych.

Oceną pracy dowództwa były wyniki nauczania oraz zdyscyplinowanie kompanii. Pierwsze próbki mieliśmy na przełomie roku. Probierzem dyscypliny był powrót z pierwszego urlopu, który wypadał na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Wbrew pewnym obawom wszyscy podchorążowie stawili się w szkole w terminie. Jednak naprawdę przyjemne zaskoczenie spotkało nas po podsumowaniu wyników pierwszego okresu nauki w miesiącu styczniu. Nie mieliśmy, co prawda, zbyt wielu powodów do narzekania na zaangażowanie naszych podopiecznych, ale przodujące miejsce w wyszkoleniu i dyscyplinie, jakie zdobyła nasza, trzecia kompania było powodem do dużego zadowolenia. Zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z dojrzałości zespołu, którym dowodzimy.

Podczas inspekcji, jaka miała miejsce podczas drugiego roku nauki, szkole groziła ocena niedostateczna, gdyż wytypowany pluton nie wykonał strzelania. Ze strzelnicy w Rembertowie zatelefonował do mnie zastępca komendanta szkoły do spraw liniowych, pułkownik Jerzy Sieradzan:

- Poruczniku Skibiński, który pluton macie na terenie szkoły, na sali wykładowej?

- Drugi - odpowiadam.

- A strzelanie wykona?

- Każdy mój pluton strzelanie wykona - odpowiadam z pełnym przekonaniem.

I rzeczywiście, honor szkoły został uratowany.

Trzecia kompania była także dobrze wysportowana. Dziedzinami, które cieszyły się szczególny zainteresowaniem podchorążych były: podnoszenie ciężarów, gdzie prym wiedli Stefan Fręśko, Andrzej Bischoff, Zygmunt Sznepka, lekkoatletyka w której wyróżniali się Mieczysław Bąk, Bronisław Wełpa, Henryk Kozak i Władysław Urbaniak. Ponadto w grach zespołowych dobre wyniki osiągali Antoni Wieczorek, Jan Kusztelak i Bronisław Wełpa w piłce ręcznej oraz Ryszard Majewski i Karol Kociałkowski w koszykówce.

Muszę przyznać, że życie podchorążych było dosyć urozmaicone, głównie z powodów dostarczanych im przez przełożonych. Wymagało ono jednak także innego rodzaju rozrywek, a ponieważ nikt nie wymagał od nich życia w celibacie organizowali co pewien czas zabawy lub bale, na które zapraszano panie z zaprzyjaźnionych żeńskich szkół. Przywożono je na te okazje szkolnym autobusem, którego dysponentem był z zasady ktoś z kadry zawodowej.

Któregoś razu ta przyjemność przypadła mnie. Gdy pojechałem po panie, dowódca kompanii major Śmielak zarządził alarm. Przywożę młode damy do kasyna, a tam pustki. Byłem skonsternowany. Czym prędzej udałem się do koszar. W kompanii podchorążowie po wyczerpującym marszu leczyli rany. Bal rozpoczął się z pewnym opóźnieniem, ale był najbardziej udanym z tych, jakie kiedykolwiek widziałem. Ta kompania miała charakter.

Trzeci rok nauki decydował o przyszłym charakterze pracy podchorążych. Dokonaliśmy wówczas podziału stanu osobowego kompanii na dwa plutony radiowe, plutony przeciwdziałania, lotniczy, radioliniowy i teletechniczny. Jednym z kryteriów podziału była umiejętność posługiwania się alfabetem Morse'a, czyli nadawanie i odbiór tych sygnałów przez środki radiowe. Rok ten nasycony był także dużą ilością zajęć praktycznych. Na przykład cykl organizacji łączności przygotowywał i prowadził dziennonocne zajęcia na sprzęcie łączności z równoczesnym przemieszczaniem się w terenie, oczywiście pieszo.

Zajęcia tego rodzaju nie były pozbawione zdarzeń zabawnych. Plutony w pełnym oporządzeniu zbierały się na placu alarmowym, a następnie odbywały marsz po trasie Zegrze-Borowa Góra-las Wola Kiełpińska, gdzie przez cały dzień prowadzono zajęcia praktyczne. Następnie wieczorem po wyznaczonej marszrucie następowało przebazowanie do miejscowości

Chrcynno pod Nasielskiem. Tam kolejne zadania, omówienie zajęć i po krótkim odpoczynku powrót do koszar. Stałem na punkcie kontrolnym przy skrzyżowaniu dróg Borowa Góra-Wola Kiełpińska i obserwowałem przez lornetkę trasę przemarszu. Na jednym z jadących samochodów dostrzegłem hełmy więc schowałem się w kępie krzewów. Podjeżdża samochód i słyszę komendę wydaną przez pomocnika dowódcy plutonu:

- Z samochodu! - a po chwili głos - Ale Skiba będzie zdziwiony, że tak szybko pokonaliśmy trasę!

Na ten moment wychodzę z ukrycia:

- Nie będzie zdziwiony, a tę rozważną decyzję o pokonaniu trasy przygodnym środkiem transportu pochwalam i zarządziłem przerwę, aby pluton nie wyprzedził harmonogramu ćwiczeń.

O dojrzałości podchorążych trzeciego roku nauki świadczy fakt, że podczas kolejnej inspekcji z postawionego im zadania rozwinięcia i eksploatacji dywizyjnego węzła łączności wywiązali się na ocenę bardzo dobrą, a przecież w tej materii praktyki żadnej jeszcze nie mieli.

Do swoich podwładnych miałem pełne zaufanie. Podczas trzeciego roku nauki w zakresie dyscypliny, zarówno ówczesny dowódca kompanii kapitan Lucjan Przeniosło jak i ja, preferowaliśmy zasadę samozdyscyplinowania. Gdybym powiedział, że problemów nie było, mocno bym przesadził, lecz konieczności stosowania przymusu dyscyplinarnego też nie było.

Z perspektywy czterdziestu lat jakie upłynęły od dnia promocji słynnej już dzisiaj trzeciej kompanii podchorążych skrótowo określanej mianem R-63 z przyjemnością stwierdzam, że drugiego tak zintegrowanego i wartościowego zespołu nie spotkałem. Jesteśmy przyjaciółmi, niemal rodziną. Rokrocznie spotykamy się i będąc starszym od moich kolegów, mówiąc potocznie, mocno „sprężam się", by od nich nie odstawać. Będąc z nimi jestem i młodszy i zdrowszy.

Rozpoczynając pracę w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu marzyło mi się, abym tak prowadził moich podwładnych, by w przyszłości mieć w nich co najmniej dobrych kolegów. W odniesieniu do R-63 rezultaty przeszły moje oczekiwania. Niekiedy czuję się tak, jakbym razem z nimi kończył podchorążówkę. Dawne moje marzenia spełniły się.

*Antoni Skubis*

# W SZKOLE I PO SZKOLE

## Szkolne przygody

Mój start do gruntownej wiedzy o radiotechnice oparłem na ofercie WKR Biłgoraj, gdzie zaproponowano mi naukę w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu. A tam zagwarantowano wikt i opierunek, a także książki i materiały piśmienne oraz inne pomoce szkolne zapewniające gruntowne poznanie tego, co kryje się pod nazwą radiostacja nadawcza, radiostacja odbiorcza, łączność itp.

Do września 1960 roku moja wiedza „radiowa" opierała się na literaturze popularnonaukowej, to znaczy na książkach: Czesława Klimkiewicza „ABC radioamatora", Ajsenberga „Radio, ależ to bardzo proste" i innych. Wystarczyło to tylko do samodzielnej budowy kilku rodzajów detektorowych odbiorników radiowych pracujących na falach długich 1333 metra, czyli 225 kHz (radiostacja Raszyn-Łazy I program PR). Działo się to w warunkach, kiedy wszystkiego brakowało, zaś zdobycie emaliowanego drutu, kondensatorów, słuchawek, izolatorów antenowych i galleny (kryształu siarczku ołowiu - protoplasty diody) graniczyło z cudem.

Nauka przedmiotów technicznych w OSŁ była dla mnie przyjemnością, lecz „titawki", czyli służby ruchu radio, nie mogłem się w żaden sposób nauczyć. Opanować minimalnie wymaganą szybkość nadawania i odbioru znaków alfabetu Mors´a, niezbędną do nawiązania łączności i pracy za pomocą radiostacji RBM i zdobycie trzeciej klasy radiotelegrafisty dla mnie było problemem. Ten problem spowodował, że znalazłem się w plutonie telefonicznym, w którym początkowo czułem się bardzo nieszczęśliwy, gdyż telefon to nie było moje upragnione radio.

Miałem jednak szczęście, bo trafiłem na wspaniałego wykładowcę i znawcę telekomunikacji - porucznika Mirosława Wieczorka, który swoje

wybitne zdolności dydaktyczne poświęcił prezentacji tej dziedziny techniki i wiedzy, i który umiał zmienić moje niechętne (niekiedy wręcz wrogie) nastawienie do telekomunikacji przewodowej. Był przy tym człowiekiem bardzo zasadniczym, nie okazującym na zewnątrz swoich emocji i uczuć.

Pamiętam, jak na trzecim roku nasz szósty pluton, ze swoich składek, zakupił prezent imieninowy dla porucznika Wieczorka. Była to książka kucharska, lalka i smoczek. W dniu jego imienin, pod wodzą Krzysia Tomczaka, wręczyliśmy mu ów prezent. To spowodowało, iż jego nastawienie i stosunek do nas zmienił się diametralnie. Należy przy tym dodać, że nasz wykładowca lub „Pan" jak go żartobliwie nazywaliśmy był w tym czasie stanu wolnego.

Zdobyta w szkole oficerskiej wiedza jest dla mnie dalej szczególnie cenna, bo na jej bazie mogę samodzielnie poznawać burzliwy rozwój współczesnych technologii i techniki wymiany informacji pomiędzy ludźmi. Brak naturalnych zdolności do odbioru słuchowego sygnałów Mors´a spowodował, że musiałem się nauczyć pracy na dalekopisach ST-35 i T-51. Z tym nie miałem już problemów i za pierwszym razem zdałem egzamin na trzecią klasę telegrafisty.

Inną, bardzo mi bliską osobowością był wykładowca terenoznawstwa, który nauczał nas kartografii, topografii i orientacji w terenie. Okazało się, że ta wiedza jest i dzisiaj dla mnie bardzo cenna w mojej pracy zawodowej. Stanowi również podstawę mojego zawodowego sukcesu.

Teraz przejdę do tematów, które były chyba najważniejsze w życiu podchorążych OSŁ. To jest do tego, co serwowało nam codzienne nasze życie - życie wojskowe.

Na samym początku zostałem wcielony do trzeciej kompanii podchorążych dowodzonej przez majora Jana Smielaka oraz dowódców plutonów w osobach kapitana Kaczmarka oraz poruczników Zygmunta Mańkowskiego i Stanisława Skibińskiego. Zaś szefem kompanii przez cały czas był sierżant Tadeusz Szemborski.

Nie sposób nie wspomnieć także kolegów funkcyjnych, bardziej doświadczonych w życiu wojskowym: kaprali i starszych szeregowych: Piotra Michalskiego, Jana Ziemkę, Jerzego Bławata, Jana Bąka, Wiktora Jesiona i Andrzeja Bischoffa.

A teraz czas na jedno z bardzo wielu ciekawych i frapujących wyczynów Andrzeja Króla. Na prowadzonych na Skubiance zajęciach z taktyki ogólnej byliśmy okopani i broniliśmy określonej rubieży. Każdy z nas miał ślepą amunicję, petardy, a także dymne świece maskujące. Nieprzyjaciel zaatakował, Andrzej zapalił lont petardy, od niego odpalił papierosa i dopiero wtedy wyrzucił petardę. Za moment nastąpił wybuch. Andrzejowi tym razem nic się nie stało.

Moje pierwsze zapamiętane zdarzenie, to zbiór jabłek w szkolnym sadzie pod kierownictwem dowódcy plutonu porucznika Stanisława Skibiń-

skiego. Nie pamiętam, czy przy tym zbiorze był tylko nasz pluton, czy też były inne? Po zakończonej pracy w sadzie, już po zmierzchu, wracamy w kolumnie marszowej do koszar. W pewnym momencie dowodzący nami porucznik Stanisław Skibiński podał komendę -„Padnij, czołganiem naprzód". Cała droga została usłana zebranymi w sadzie jabłkami. Ach jakże było szkoda tych utraconych owoców, przenoszonych w nogawkach spodni i za pasem w sukiennych kurtkach polowych.

Zostały mi też w pamięci wspomnienia z porannej zaprawy fizycznej prowadzonej po obwodzie zewnętrznego ogrodzenia szkoły. Trudno było się nam pogodzić z tym, że mamy do pokonania trzy kilometry przy mrozie, deszczu i innych złych warunkach atmosferycznych, gdy nasi przełożeni mogą się dalej byczyć w ciepłych łóżkach. Staraliśmy się im więc umilić poranne życie poprzez hałasy, śpiewy i przeróżne wrzaski. Efekt tego był taki, że po pewnym czasie trasa zaprawy została zmieniona, a na kontrolę zaprawy przychodzili nasi przełożeni.

W każdym miesiącu były organizowane nocne alarmy i marsze. Moim zdaniem najciekawszy był alarm ogłoszony około godziny dwudziestej trzeciej, który poprzedzał ćwiczenia łączności w terenie. Trasa marszu wiodła przez cmentarz w Serocku. W trakcie marszu rozwijaliśmy linię telefoniczną kablem PTF-7 i nawiązywaliśmy łączność za pomocą aparatów telefonicznych AP-48 i TAI-43. Maszerowałem z moim partnerem, na ten czas - Ludwikiem Magdoniem. Oprócz bębnów z dwoma kilometrami kabla PTF-7, zwijaka do kabla, mieliśmy również dwa aparaty telefoniczne AP-48, radiostację R-105, automaty AK-45, odzież przeciwchemiczną OP-1, maski przeciwgazowe oraz plecak z wyposażeniem i suchy prowiant na dwie doby.

W czasie rozwijania linii telefonicznej przeszła w nocy nad Serockiem burza z silnymi wyładowaniami atmosferycznymi, co bardzo utrudniło nasz marsz, ponieważ oprócz oporządzenia znacznej wagi musieliśmy nieść również dużo wody zawartej w naszym umundurowaniu i oporządzeniu. Rano, wspólnie z Ludwikiem, chcieliśmy sobie ułatwić nasz „spacer" i postanowiliśmy wysuszyć buty i umundurowanie. Rozpaliliśmy ognisko ze snopa skoszonego żyta, a że suszenie musiało się odbyć bardzo szybko, więc suszyliśmy blisko ognia i nasze onuce się spaliły, zaś buty nie bardzo nadawały się do dalszego marszu. Skorzystaliśmy przeto na pewnym odcinku naszego marszu z okazyjnego wozu konnego i dalej o własnych siłach doszliśmy w upale do celu - czyli wróciliśmy do koszar w Zegrzu.

W mojej pamięci nie wyblakł także mój pobyt w areszcie przed świętami wielkanocnymi 1962 roku. A było to tak. Zostałem „wyróżniony" przez moich przełożonych opieką nad tajemnicami zawartymi w naszych notatkach z organizacji łączności i taktyki ogólnej. Tajemnice owe były chowane do drewnianego kufra zamykanego na meblowy kluczyk, zaś

każdy zeszyt należało przed zajęciami wydać za podpisem pobierającego w dzienniku wykonawcy i pokwitować jego odbiór po zajęciach. Wiem, że teraz wszyscy jesteśmy świadomi niewykonalności tego zarządzenia z powodu ograniczeń czasowych takiej operacji, ale wówczas było inaczej.

Przed wyjazdem na urlop wielkanocny 1962 roku kancelaria tajna w bloku wyszkolenia sprawdzała stan (ilościowy i jakościowy) naszych zeszytów. W czasie tej kontroli stwierdzono brak zeszytu do organizacji łączności podchorążego Franka Kaplity. Nasz dowódca kompanii major Śmielak zamiast na święta wypisał mi kartę do aresztu. A więc całe święta przesiedziałem w areszcie.

Po ukończonym drugim roku szkolenia i miesięcznym urlopie wróciliśmy do Zegrza. Przyszedł czas na robienie gruntownych porządków w kompanii. Po odsunięciu szafy w pracowni plastycznej znalazł się zeszyt Franka z wyrwanymi kartkami. To jego brak spowodował, że spędziłem w areszcie święta wielkanocne 1962 roku.

Rok 1962 zapisał się też dla mnie i miłymi wspomnieniami. W środku letniej, lipcowej nocy wracałem z przepustki ostatnim nocnym pociągiem z Warszawy do Legionowa. Jednakże brak było jakiegokolwiek połączenia do Zegrza. Pozostał więc mi nocny marsz do OSŁ, ponieważ przed godziną szóstą musiałem być w kompanii, gdyż o tej godzinie kończyła się ważność przepustki.

Próbowałem zatrzymywać przejeżdżające obok mnie samochody. Wynik tych prób był jednak negatywny. Wyszedłem już za miasto Legionowo. Jedzie kolejny samochód, którego już nawet nie próbowałem zatrzymać. Samochód marki Syrena-102 prowadzony był przez kobietę ubraną w krótkie spodnie i letnią bluzkę bez rękawów. Mężczyzna szczupłej budowy ciała wysiadł z samochodu, podniósł przednie siedzenie i zachęcał do wsiadania. Z tej propozycji chętnie skorzystałem.

Po zajęciu miejsca padło pierwsze bardzo głośne zapytanie:

- A co to jaśnie pan podchorąży nie raczy nawet zatrzymać samochodu?

Na to udzieliłem grzecznie odpowiedzi wyjaśniającej. W czasie dalszej jazdy padło kolejne pytanie:

- W której kompanii służysz?

Byłem przerażony i myślałem, że to na pewno obcy wywiad chce mnie namówić do zdrady tajemnicy wojskowej. Miałem wybór, milczenie lub wygodna jazda, a jechało się bardzo dobrze, więc żal mi było wysiadać z samochodu. Z pomocą przyszła mi jednak kobieta, która stwierdziła:

- Mówią mu dużo o tajemnicy, więc go więcej nie pytaj.

Za mostem na Bugo-Narwi padło kolejne pytanie, czy jestem podchorążym z 3-ciej kompanii i czy moim dowódcą jest major Śmielak?

Na to pytanie również nie odpowiedziałem, ale już zbliżyliśmy się do głównej bramy OSŁ. Tu zaś padło następne szokujące pytanie:

- Pod którą kompanię podwieź jaśnie pana podchorążego?

Pani kierowca pokazała przepustkę, wartownik dał zezwolenie na wjazd na teren szkoły. Będąc na terenie już mi dobrze znanym, powiedziałem że jestem z trzeciej kompanii podchorążych. Samochód podjechał pod wejście budynku i elegancko się zatrzymał. Mogłem nareszcie poczuć się pewnie. Była godzina 3.30.

Później, przez dłuższy czas nurtowało mnie pytanie: Kto to był? W czasie któregoś kolejnego pobytu w bloku wyszkolenia zauważyłem, że owa pani z Syreny pracuje jako bufetowa. Po urlopie między drugim i trzecim rokiem nauki przychodzi na zajęcia wykładowca radiostacji R-118. Okazuje się, że jest to mój znajomy z nocnej jazdy major Kolasiński. I tak oto mój problem sam się rozwiązał, ciekawość została zaspokojona. Byłem szczęśliwy, że dowiedziałem się kto zrobił mi tak dużą uprzejmość.

Trzeci rok nauki wnosił również wiele humorystycznych zdarzeń do mojego życia. Pierwsze z nich to nauka jazdy samochodem, którą prowadził z nami na samochodzie ZIS-5 kapral służby czynnej. Jak pamiętamy była to era pojazdów bardzo nieprzyjaznych dla osób uczących się jeździć. Brak rozrusznika, synchronizacji skrzyni biegów oraz przystosowania technicznego do tego celu stwarzało wiele niebezpiecznych sytuacji.

Jedną z takich przeżyłem sam i chcę ją tu opisać. Była niedziela. Około godziny 12.30 w miejscowości Pokrzywnica, na drodze szutrowej, mój instruktor zarządził skręt w prawo, ale było już zbyt późno, aby ten manewr wykonać bezpiecznie. Skręciłem w prawo, otarłem się o niezbyt grubą akację i zatrzymałem się w kopie skoszonego żyta. Co było dalej, każdy sobie sam dopowie.

Trzeci rocznik miał wiele obowiązków. Jednym z nich była zwózka płodów rolnych na zimowe zaopatrzenie szkoły. Kilku podchorążych zostało wyznaczonych do załadunku ziemniaków w punkcie skupu GS w Popowie. Na dowódcę tej grupy wyznaczono Zbyszka Kuryłka. Ziemniaki należało ładować z pryzmy na samochody wojskowe. Ktoś z naszych kolegów wziął sprawy w swoje ręce i zaczęto prowadzić rozładunek z furmanek bezpośrednio na samochody - oczywiście za opłatą rolnika za tę usługę.

Zarobione pieniądze przeznaczyliśmy na wódkę. Po którymś zakupie w kiosku spożywczym Zbyszek Kuryłek rozpoczął zamawianie dropsów, landrynek, ciastek itd., będąc świadomym tego, że nie mamy już pieniędzy. Wszystkie produkty z półek były wyłożone na ladę sklepową. Sprzedawczyni, młoda i ładna panienka, wiele się natrudziła, aby wszystko podsumować, po czym Zbyszek powiedział, że tylu pieniędzy nie mamy i prosi o zabranie z lady jednej rolki dropsów. Panienka ponownie podliczyła, a Zbyszek odrzekł, że jeszcze jest zbyt wysoki rachunek. Prosi więc o zdjęcie z lady jednej paczki. Sytuacja taka trwała do momentu, gdy na ladzie sklepowej pozostała ostatnia paczka landrynek. Myślę, że ta zabawa trwała około dwóch, trzech godzin. Było przy tym wiele śmiechu i zabawy.

Następnego dnia mieliśmy już opanowaną sztukę rozładunku i załadunku ziemniaków oraz egzekwowania opłat od rolników za naszą fizyczną pracę. Mając więc trochę wolnego czasu, mogliśmy sobie pozwolić na organizację ogniska. Podzieliliśmy się na dwie równe grupy i szliśmy różnymi drogami wokół ogrodzenia. Każda grupa złapała po jednym kurczaku i po spotkaniu się obydwu grup doszliśmy do wniosku, że należy je upiec na ognisku. Bez soli i właściwych przypraw smak był wiadomy. No, jednak nasi przełożeni zostali powiadomieni o tym wybryku i już więcej do GeeSu (Gminnej Spółdzielni) nie wyjeżdżaliśmy.

Następną atrakcją był wyjazd na praktykę do Opola. Trafiłem do grupy, w której był Andrzej Stola, Jerzy Kłobuszewski, no i jeszcze ktoś - nie pamiętam kto, jak w słowach piosenki. W pociągu mieliśmy, wcześniej kupione, wino marki „Złota Reneta". Do Opola przyjechaliśmy bardzo wcześnie rano - było więc dość chłodno. Zmęczenie zaś podwójne, związane z działaniem wina i uciążliwą, nocną jazdą pociągiem.

Każdy z nas trafił do innej jednostki. Ja znalazłem się w plutonie łączności 15 Pułku Czołgów 10 Dywizji Pancernej. Dostałem łóżko w izbie żołnierskiej i około południa położyłem się spać. W pewnym momencie obudził mnie podoficer dyżurny kompanii i zawołał do telefonu. Andrzej Stola i Jurek Kłobuszewski zapraszali na zabawę. Znając ich różne dowcipy ze szkoły w Zegrzu i widząc czerwone duże słońce na linii horyzontu za oknem, byłem przekonany, że to jest lipcowy poranek.

Początkowo ich zaproszenie potraktowałem jako żart, lecz po upewnieniu się u podoficera dyżurnego, że jest już wieczór, poszedłem na wskazane miejsce. Zabawa była wyśmienita w gościnnym Opolu. Jednakże w dalszej perspektywie zaczęły pojawiać się problemy finansowe z wyżywieniem. Uratował nas program szkolenia pułku i wyjazd na poligon w Żaganiu. Była to prawdziwa szkoła życia żołnierskiego.

Po powrocie na teren stacjonowania pułku, rano wyszedłem na plac alarmowy i nie mogłem uwierzyć własnym oczom patrząc na to, co zobaczyłem przy dyżurce oficera dyżurnego. Kilku żołnierzy stało na drabinach malarskich i zawieszało na nitkach za szypułki czereśnie na drzewach czereśniowych. Zapytałem oficera dyżurnego:

- Po co to jest robione?

Odpowiedź zaś brzmiała:

- Stary uznał, że gdy wrócił z poligonu, to zastał mało owoców na drzewach.

Powrót do szkoły odbył się bez zbytnich sensacji. No, może była jedna, ponieważ wszyscy uczestnicy praktyki w Opolu wspólnie uzgodniliśmy „planowe", trzydniowe spóźnienie. Życie w Zegrzu toczyło się już wartkim trybem. Skutki naszego spóźnienia były do przewidzenia, ale rozeszło się po kościach i bez większych problemów.

Inne zdarzenie, które zapamiętałem, to fakt jak cała kompania poszukiwała ćwiczebnego pistoletu PM-43. Po zajęciach na torze przeszkód, odbywało się, jak zwykle po obiedzie, czyszczenie broni. Wyczyszczoną broń wstawiamy do stojaków. Okazuje się, że brakuje jednego pistoletu. Dowódca plutonu kapitan Zygmunt Mańkowski zarządza poszukiwania na terenie całej kompanii oraz na placu ćwiczeń i w rejonach przy kompanii. Pistolet się nie znalazł. Zapanowało ogólne przygnębienie. Zginęła broń w bliżej nieokreślonych okolicznościach. Myśleliśmy, że na pewno jest to działanie dywersantów.

Jednak w tym samym dniu, ale już po apelu wieczornym, Wiktor Jesion przygotowując łóżko do spania podniósł poduszkę, a pod nią zobaczył ów przeklęty automat. Okazało się, że został tam położony po czyszczeniu broni przez Henia Kozaka. Ten ostatni bardzo się spieszył na przepustkę i w związku z tym nie czekał na otwarcie magazynu broni. Poprosił więc o to Witka Jesiona, mówiąc, że pistolet kładzie mu pod poduszkę. Zaś Wiciu na śmierć o tym zapomniał.

Rozpoczął się okres egzaminów państwowych. Przedmioty techniczne nie stanowiły dla mnie problemu, ale egzamin z WF-u, był wielkim przeżyciem. Pamiętam, jak staliśmy w porządku alfabetycznym w hali sportowej. Przed nami zaś drążek. Podszedł Brunon, zrobił wymyk bez żadnych problemów. Wstąpiła we mnie wielka energia. Udało mi się tak samo. Uwierzyłem, a wiara czyni cuda.

No i wreszcie promocja, defilada, bal i pierwsze, prawdziwe wielkie pieniądze: a więc pobory za dwa miesiące, zlecenia na przejazd na urlop i do dalszej służby.

## W Sieradzu

Służbę zawodową rozpocząłem w 15 Pułku Radioliniowo-Kablowym w Sieradzu w gronie kolegów, absolwentów R-63 z trzeciego plutonu radioliniowego i szóstego plutonu telefonicznego. Moimi kolegami byli: Daniel Płonka, Zdzisław Wardęcki, Bogusław Szczeciński, Ryszard Majewski, Leszek Kuza, Antoni Wieczorek, Henryk Bodzioch, Tadeusz Mrozowski, Stefan Stańczak, Stanisław Roszkowski, z plutonu radioliniowego oraz Tadeusz Janiczek, Jan Ziemka, Jan Zaborowski Bolesław Grzybowski, Ludwik Magdoń i Edward Jarosz z plutonu telefonicznego.

Zawodową służbę wojskową rozpocząłem jako dowódca plutonu w siódmej kompani dowodzonej przez kapitana Eugeniusza Holaka. Kompania miała na swoim etacie stacje radioliniowe R-401 i R-403, zamontowane na samochodach. W tym czasie zajmowałem się szkoleniem żołnierzy służby zasadniczej. Miałem również siedmiu żołnierzy zawodowych, dużo

starszych ode mnie. Pełnili oni funkcje dowódców stacji. Byli to żołnierze dobrze znający swój zawód i sprzęt.

W tej jednostce był czas pracy i czas odpoczynku. Najwspanialszą zabawę sylwestrową jaką miałem w życiu, była zabawa zorganizowana w 1964 roku w Jednostce Wojskowej 1551. Organizatorem tej zabawy, tradycyjnie, był pan pułkownik Stanisław Sadowski, ówczesny dowódca pułku.

W pułku na zabawę sylwestrową zawsze kompletowano dwa składy orkiestry, które trenowały do 30 grudnia. W okresie między świętami Bożego Narodzenia a Sylwestrem cały skład osobowy jednostki żył przygotowaniami do Sylwestra. Każdy żołnierz zawodowy, niezależnie czy brał udział w zabawie czy nie, lub służby zasadniczej był włączony do organizacji tej zabawy.

Na przykład mój pluton szkolny został wyznaczony do przygotowania parkietów na dwóch salach. Należało więc do niego wiórkowanie, pastowanie, sprzątanie i zabezpieczenie wraz z obsługą szatni na okres zabawy.

Koszt uczestnictwa w zabawie skalkulowany był na poziomie cen hurtowych artykułów spożywczych. Zabawy odbywały się w salach kasyna pod hotelem garnizonowym. Przez środek sali przechodziła umowna linia podziału na część konsumpcyjną i taneczną. Pomiędzy jedną a drugą częścią zawieszona była dekoracja na kolumnach rozdzielających oba pomieszczenia.

Konsumpcję organizowało również kasyno po cenach zakupu produktów, a więc bez narzutów. W części tanecznej grały na zmianę dwa zespoły. W dowolnej chwili można było wejść na parkiet lub powrócić do stolika. Zabawa miała charakter ściśle zamknięty. Uczestniczyli tylko żołnierze zawodowi i pracownicy cywilni z osobami towarzyszącymi i zaproszeni goście. Zabawę tradycyjnie rozpoczynał o godzinie dwudziestej w Sylwestra pułkownik Sadowski i osobiście kończył bal około godziny 14–15 w Nowy Rok. Bezpośrednio po balu dowódca wydawał czternastodniowe karty urlopowe dla całego składu orkiestr.

W pamięci utkwiła mi również pierwsza roczna odprawa pułku, która prowadzona była przez szefa sztabu pułku pułkownika Wilanowskiego. Dowódca pułku, pułkownik Stanisław Sadowski był w tym czasie na szkoleniu za granicą, w Moskwie. Na tej odprawie, która odbywała się w dzień mroźny, słoneczny i bezwietrzny, zastępca dowódcy pułku do spraw technicznych mówił: - Idę przez park samochodowy i słyszę chrup, chrup, chrup. Idę dalej i co widzę - rdza gryzie wasze samochody, a wy tu siedzicie? Na takie dictum rozległ się ogólny śmiech wśród kadry, co wywołało święte oburzenie pułkownika Kamińskiego.

Następne wystąpienie pułkownika Wypycha, zastępcy dowódcy do spraw liniowych opisywało przebieg musztry prowadzonej, „na migi" w dniu 2 stycznia 1964 roku, przez absolwenta OSŁ R-1961. Okazało się, że nasz starszy kolega po dobrej zabawie sylwestrowej, na pewien czas utracił głos.

Jednostka Wojskowa 1551 wyjechała na letnią szkołę poligonową do Beniaminowa, koło Białobrzegów. W czasie pełnienia przeze mnie służby oficera dyżurnego obozu, około północy przyjechał pułkownik, którego w nocy nie poznałem, a który usilnie chciał obejrzeć obóz. Zdecydowanie się temu przeciwstawiłem, nie wyrażając zgody na nocne zwiedzanie.

Wizytujący pułkownik okazał się dowódcą jednostki, który powrócił z zagranicznego szkolenia. Efekt tego był taki, że musiałem obudzić całe dowództwo pułku, a więc na mnie skupiło się całe niezadowolenie szefów i ich zastępców.

Wielu moich kolegów dojrzało do ożenku w Sieradzu. Jedni wcześniej, drudzy nieco później. Myślę, że około dziesięciu sieradzanek związało swoje życiowe losy z R-63. Na jednym z takich wesel miałem okazję złożyć podpis pod aktem ślubu i bawić się. Jadwiga Krakowiak i Henryk Bodzioch, jako bardzo kochani przez swoich rodziców, mieli doskonale przygotowane i zorganizowane wszystkie z tym związane uroczystości.

Na tę okoliczność tata Bodzioch załatwił (takie to były czasy) dwa kanistry ekstra spirytusu i z tego została sporządzona doskonała miodówka oraz inne wódki. Mama Krakowiak zrobiła wspaniałe potrawy, przekąski na zimno i dania na ciepło. Było wiele gatunków mięs i ciast, napojów w tym kompot, oranżada i naturalne soki.

Weselny stół wspaniale przystrojony i zastawiony stał w domu Jadwigi. Młoda, ale bardzo doświadczona kucharka serwowała smaczne potrawy z regionu Sieradza. Zamówiona orkiestra lokalna (akordeon, bęben, skrzypce, trąbka) umiała tak poprowadzić zabawę, że było wszystko co trzeba: tańce, przyśpiewki i ogólna radość.

Mile czas leciał. Zrobiło się grubo po godzinie dwudziestej czwartej. W którymś momencie zapytałem kuchareczkę, czy na tym weselu wypiła chociaż jeden kieliszek miodówki? Odpowiedziała, że nie ma czasu. Zaproponowałem więc jeden, a później drugi. Zmęczenie i alkohol zrobiły swoje. Dziewczyna po prostu padła na ławę. W ten sposób z drużby musiałem stać się kelnerem i zastąpić utrudzoną dziewczynę.

Wesele trwało przez sobotę i niedzielę, a w poniedziałek Heniu musiał już być na ćwiczeniach w Lidzbarku. Młody żonkoś wsiadł do pociągu i pojechał do Lidzbarka Welskiego. Zaś jednostka ćwiczyła w okolicach Lidzbarka Warmińskiego. Nasze dowództwo potraktowało to jako spóźnienie, a resztę, jak zechce, niech Henio opowie.

Na wiosnę 1964 roku Sztab Generalny WP zorganizował wyjazdowe szkolenie dla generałów i starszych oficerów w Sieradzu. Był to okres zmiany technologii łączności radiowej polegający na tym, że do tamtego czasu jeden nadajnik i jeden odbiornik radiowy mogły przekazywać jedną rozmowę foniczną, zaś tak samo nazywane urządzenia w radioliniach służyły do jednoczesnego komunikowania się do 12 par rozmówców.

Na zajęciach prezentowano radiolinie RVG i kablowe urządzenia zwielokratniające ME-8 produkcji NRD. Zebrani na sali wykładowej oficerowie słuchali wyjaśnień - jak to działa? Inżynier pułku mówił: „Tym pokrętłem obracam bardzo delikatnie", ...a tu pokrętło zostało mu w ręku. Jego dłoń miała trzykrotną wielkość normalnej ręki.

Wykład trwał jednak dalej. „Ta miednica ma średnicę dwu i osiem dziesiątych metra. Jest to antena nadawcza i odbiorcza tej radiolinii i zawiesza się ją na wieży o wysokości trzydziestu metrów. Z tej miski wychodzi tęcza. Wszyscy nie mogą zobaczyć tych kolorów. A zresztą po ch... ja wam to tłumaczę i tak tego nie zrozumiecie". Wykład miał trwać dalej, ale dowódca pułku dyplomatycznie dał sygnał do zakończenia zajęć, ogłosił przerwę obiadową a potem zaprosił wszystkich na obiadokolację.

*Stanisław Nowak*

# Moja droga do gwiazdek

## Spóźniony start

W drugiej połowie września 1960 roku zostałem wezwany do Wojskowej Komendy Rejonowej (WKR) w Otwocku po odbiór karty powołania do zasadniczej służby wojskowej. Miejsce powołania Malbork (może Elbląg) - szkoła podoficerska. Byłem niezadowolony. Prosiłem przyjmującego mnie wojskowego o skierowanie do Marynarki Wojennej lub do odbycia służby w rejonie Warszawy. W odpowiedzi usłyszałem, że do Marynarki Wojennej jestem za mikry (w tym czasie ważyłem około 55 kilogramów), a w jednostkach w pobliżu Warszawy nie ma wolnych miejsc. Po chwili jednak dodał, że jest jeszcze dodatkowy nabór do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Zapytałem gdzie to jest? W odpowiedzi mój rozmówca wskazał na mapę. Palec przykrywał Zegrze i część Warszawy. Uznałem, że Zegrze jest blisko. Oddałem kartę wcielenia, a otrzymałem skierowanie na egzaminy do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu.

W dniu następnym, a był to 27 września, jechałem już do Zegrza. W pociągu z Warszawy Gdańskiej do Zegrza Południowego zauważyłem dużo młodzieńców takich, jak ja. Zachowywali się swobodnie, witali się, rozmawiali, coś sobie opowiadali. Wysiedliśmy w Zegrzu Południowym. Wszyscy szli w kierunku mostu na Bugo-Narwi, a ja razem z nimi. Zapytałem jednego z nich, miłego, wesołego szczupłego blondyna ( mógł to być Jurek Mazurkiewicz), czy dobrze idę w kierunku Oficerskiej Szkoły Łączności. Nastąpiła konsternacja. Powiedziałem, że jadę na egzaminy. Usłyszałem „chłopie, my już po egzaminach, jedziemy do szkoły uczyć się".

Mocno się zmartwiłem, ale poszedłem dalej razem z nimi. Ucieszyłem się, gdy oficer dyżurny szkoły nie był moim przybyciem zaskoczony. Zostałem skierowany do rejonu, gdzie czekało już kilku podobnych do mnie

„delikwentów". Zebrała się nas grupa około trzydziestu osób. Był w niej także Jurek Malinowski, mój późniejszy kolega i przyjaciel.

Zostaliśmy poddani egzaminowi, można by rzec kompleksowemu. Obejmował wiedzę matematyczno-fizyczną, historyczną i geograficzną. O ile się nie mylę, wszystko to trwało jeden dzień. W komisji egzaminacyjnej była między innymi magister matematyki - pani Helena Huderek. Pamiętam to do dziś, bo była kobietą nieprzeciętnej urody .

Nazajutrz szef Izby Chorych zawiózł nas do Centralnej Przychodni Lekarskiej, tak zwanego „Cepeleku", na badania lekarskie. Aby przyspieszyć „obieg" rozebrano nas „do rosołu" i tak biegaliśmy po korytarzach. Badali nas różni specjaliści. Mnie najbardziej utkwiła wizyta u wenerologa, bo była nią młoda lekarka. Krępowałem się bardzo, ale szef kompanii różnymi opowiadaniami rozładowywał napięcie.

Po powrocie do szkoły ogłoszono decyzję: zostałem przyjęty. Byłem zadowolony. Kilku kolegów płakało, nie zostali zakwalifikowani. Natychmiast chciano nas zatrzymać w szkole. Jednakże na naszą prośbę dano nam dwa dni wolnego. W tym czasie pożegnałem się z moją dziewczyną Alą, kolegami, rodziną i piątego października 1960 roku stawiłem się ponownie w Zegrzu.

Zostałem skierowany do czwartej kompanii podchorążych. Z pierwszego dnia pobytu pamiętam następujący epizod. Szef kompanii polecił jednemu z żołnierzy, aby zaprowadził mnie do fryzjera. Był to chłopak mocno zbudowany, o czarnej, bujnej czuprynie. Zdecydowanym głosem podał mi komendę „za mną marsz". Pomyślałem, że to musi być bardzo ważny dowódca. Pomaszerowaliśmy po schodkach do kinoteatru, do fryzjera pana Zycha. Jakież było moje zdziwienie, gdy na pierwszym apelu zobaczyłem, że ten mój dowódca, to taki sam żołnierz, jak ja. Był to Karol Kociałkowski. Moje przeczucie jednak sprawdziło się. Kolega Karol okazał się wspaniałym dowódcą. Przeszedł z powodzeniem różne szczeble dowodzenia w wojskach łączności, by odejść do rezerwy ze stanowiska szefa kadr Sztabu Generalnego WP.

Pomocnikiem dowódcy plutonu był kapral podchorąży Jan Ziemka. Chłopak mniej niż średniego wzrostu, ale za to wielki duchem i głosem. Dowodził nami zdecydowanie. Najbardziej wyrażało się to w komendzie „baczność', która w jego ustach brzmiała „ba...aść". Stawał przed plutonem, marszczył brwi, srożył się, udawał bardzo stanowczego i groźnego. W późniejszych dniach, gdy minęły pierwsze emocje nieźle to nas bawiło. W duszy chciało nam się śmiać, ale udawaliśmy bardzo poważnych i przestraszonych. W rzeczywistości Jasio to dusza człowiek, miły, uczynny i koleżeński.

Obowiązki dowódcy drużyny pełnił starszy szeregowy, a później podchorąży Krzysztof Tomczak. Jak sam mówił - żołnierz od dziecka. Służbę rozpoczął w Korpusie Kadetów. Dla mnie, od pierwszych dni pobytu w wojsku,

stał się wzorem żołnierza. Znał żołnierskie rzemiosło, był sprawny fizycznie i w każdej sytuacji postępował z honorem. Dowodził naszą drużyną umiejętnie, bez krzyków i szykan. Wykonywał wszystkie czynności razem z nami, nie stronił od wysiłku fizycznego. Swoim zachowaniem dawał nam przykład godny naśladowania. Miał także ambicję opiekowania się nami.

W naszej drużynie zebrali się ciekawi młodzieńcy. Dotyczy to w zasadzie całej czwartej kompanii podchorążych. Byli tu chłopcy, którzy „umykali" przed zasadniczą służbą wojskową, wydaleni lub ci, którzy nie dostali się na studia cywilne, żołnierze zasadniczej służby, różni malkontenci, cwaniacy, „przechodzeni" wiekowo. Ogólnie mówiąc zbieranina; chłopcy w większości przybyli tu z myślą o przeczekaniu do lepszych czasów. Dowodzenie takimi ludźmi nie było łatwe. Nasi dowódcy potrafili jednak temu zadaniu podołać.

Dowódcą czwartej kompanii podchorążych był kapitan Leonard Sadowski. Przystojny mężczyzna, pedantyczny w ubiorze, delikatny i elokwentny w wypowiedziach. Wymagający, ale bez przesady. Z jego pouczeń pozostało mi w pamięci następujące: „Podchorążowie, jeśli chcecie się pobawić, to nic nie stoi na przeszkodzie. Nie musicie mieć pieniędzy. Cywile kochają wojsko, lubią wspominać. Postawcie ćwiarteczkę, a oni będą dalej stawiać." Ta maksyma często sprawdzała się w życiu.

Dowódca plutonu porucznik Bolesław Wasilewski, miły i grzeczny oficer, udawał srogiego, nawet kilka razy porządnie nas „pogonił". Potem sam tego żałował, a zmęczony był przy tym gorzej niż my. Szefem kompanii został sierżant podchorąży Józef Rodzeń, podoficer zawodowy i jednocześnie słuchacz Oficerskiej Szkoły Łączności. Wypełniał swoje obowiązki będąc między przysłowiowym młotem a kowadłem. Z jednej strony kolega podchorąży, a z drugiej przełożony i o dobrych kilka lat starszy od nas podoficer zawodowy.

Pierwszy rok to intensywne treningi z musztry, wychowania fizycznego, strzelania, nauka regulaminów oraz poznawanie rzemiosła oficera łączności. Żyło mi się w czwartej kompanii podchorążych bardzo dobrze. Byłem sprawny fizycznie, szkolenie ogólnowojskowe odbywałem bez trudu. Z nauką w bloku dydaktycznym (szkolenia) też nie miałem kłopotu. Plasowałem się w środku „peletonu". Formalnie rzecz biorąc, drogę do przepustek miałem otwartą.

W tej materii obowiązywały dwie zasady. Pierwsza, nie przynosić dwójek z bloku dydaktycznego, aby dowódcy nie mieli z tego powodu nieprzyjemności od swoich wyższych przełożonych i druga, nie dać się spisać (nie podpaść) będąc na przepustce lub urlopie, aby z Wojskowej Służby Wewnętrznej nie przyszła do komendy szkoły notatka. Starałem się to spełniać, aby mieć czyste konto.

Czas do przysięgi bardzo się dłużył. Treningi ogólnowojskowe były bardzo intensywne i uciążliwe. Znosiliśmy je ze zrozumieniem, bo chcieli-

śmy się dobrze prezentować w dniu przysięgi, która odbyła się 29 listopada w Dniu Podchorążego. Święta związanego z wybuchem powstania listopadowego, którego inicjatorami i głównymi bohaterami byli podchorążowie pod wodzą Piotra Wysockiego.

Podczas treningów dowódcy zwracali szczególną uwagę na tych, którzy zostali wcieleni później, bo znacząco odstawali od reszty. Miałem szczęście, że po mnie przybyli inni, między innymi Adam Skowron. Góral z pochodzenia, który miał specyficzny krok marszowy i ciągle był w szyku „widoczny".

Całą noc przed przysięgą czyściliśmy ubrania i pucowaliśmy buty. Przysięga wypadła wspaniale. Do mnie przyjechał ojciec i starszy brat Feliks. Po przysiędze spotkaliśmy się w małym gronie w kasynie oficerskim. Do naszego towarzystwa zaprosiłem także podchorążego Franka Olechowskiego. Do niego nikt nie przyjechał i chciałem go jakoś pocieszyć. Był bardzo fajnym kolegą, ale niestety popełnił samobójstwo podczas czyszczenia broni. Prawdopodobnie z powodu zawodu miłosnego. Uczestniczyłem później w jego pogrzebie. Bardzo to przeżyłem.

## Podchorążackie życie

Od momentu złożenia przysięgi wojskowej staliśmy się podchorążymi, czyli uczniami szkoły oficerskiej. Po niecałym miesiącu przyszedł pierwszy poważny urlop. Dziesięciodniowe ferie zimowe na święta Bożego Narodzenia. Zapanowała wielka radość. Szykowaliśmy się do wyjazdu. Dowódca drużyny kapral podchorąży Krzysztof Tomczak uznał, że nie samym chlebem jego drużyna żyje i postanowił pokazać nam życie cywilne.

W kilku rozpoczęliśmy wędrówkę po Warszawie, a dokładnie po jej knajpach. Około północy znaleźliśmy się na Placu Trzech Krzyży w restauracji „Pod Rybką" (być może mylę nazwę). Ubrani byliśmy wtedy w mundury podchorążych, starszego typu, a więc w zielone bluzy i granatowe spodnie z czerwonymi lampasami.

Towarzystwo w restauracji wzięło nas za orkiestrę wojskową. Poprosili, abyśmy coś zagrali. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Ja też grałem, poprosiłem tylko kolegów, aby ustawili mnie przy perkusji. Przyznam, że na żadnym instrumencie nie umiem grać do tej pory. Zabawa była przednia. Na naszym stoliku pojawiły się nowe butelki - fundowali cywile. Jak szybko sprawdziły się nauki kapitana Sadowskiego! Dla mnie ta noc skończyła się niefortunnie. Na dworcu kolejowym Warszawa Śródmieście zamiast do Otwocka „zacumowałem" w pociągu do Mińska Mazowieckiego. Ale to nic, podchorąży może spać w każdym miejscu, mając do dyspozycji mocną czapkę wojskową, która w takich przypadkach służyła za poduszkę.

Ukończyłem pierwszy rok nauki i zostałem awansowany do stopnia starszego szeregowego podchorążego. Po wrześniowym dwudziestodniowym urlopie wypoczynkowym rozpocząłem drugi rok nauki. W naszym życiu zaszły duże zmiany. Z trzeciej i czwartej kompanii dużo podchorążych się wykruszyło. Zlikwidowano więc naszą kompanię, a ci, co pozostali przeszli do trzeciej kompanii. W trzeciej dowódcami trzech pierwszych plutonów był porucznik Stanisław Skibiński, a czwartego, piątego i szóstego porucznik Zygmunt Mańkowski, szefem kompanii sierżant, a później starszy sierżant Tadeusz Szemborski. Z przeniesienia byłem bardzo niezadowolony. Zmienili się dowódcy, a ponadto uważałem, że w trzeciej kompanii jest większy rygor. Dość szybko odczułem to na własnej skórze.

Miałem w rodzinie przyjęcie weselne. Porucznik Bolesław Wasilewski obiecał mi przepustkę. Po przeprowadzce do trzeciej kompanii podchorążych przepustki nie dostałem. Tłumaczenie było takie - jest kwarantanna i wyjazdy są wstrzymane. Była to prawda, ale ja nie przyjmowałem tego do wiadomości. Mocno zdenerwowany i zrezygnowany położyłem się na łóżku i rozmyślałem. Zauważył to szef kompanii, a na łóżku w dzień nie wolno było leżeć.

- Co tu za facet leży - zwrócił się do mnie.

- Niech sobie facet przeczyta - odpowiedziałem mu w podobnym tonie i dalej leżałem.

Tu małe wyjaśnienie. Na każdym łóżku wisiała tabliczka z danymi osobowymi. Szefowi chodziło jednak o to, abym wstał i regulaminowo zameldował się. Zwrócił się do mnie w tej formie, a nie obywatelu podchorąży, bo taki miał styl mówienia. Na moje usprawiedliwienie przemawiał zły stan mojego ducha.

Od tego czasu zaczęła się gehenna. Na apelu wieczornym szef „dał ile miał", czyli ukarał mnie siedmioma dniami zakazu opuszczania koszar (ZOK-u). Karę odbywałem sumiennie, biegałem z pełnym oporządzeniem do oficera dyżurnego, nie uczestniczyłem w rozrywkach, wykonywałem różne prace dodatkowe. Mogłem oglądać tylko dziennik telewizyjny.

Sądziłem, że po odbyciu tej kary będę żył spokojnie. Jednak szef dołożył mi kolejne siedem dni. Zrodził się we mnie bunt. Zacząłem robić uniki, wychodziłem z budynku gdzie kwaterowała kompania. Byłem więc poszukiwany przez służbę dyżurną, nie reagowałem na wołania i nie meldowałem się oficerowi dyżurnemu. W sumie pogarszałem swoją sytuację. Sprawa stała się poważna.

Z pomocą przyszli mi koledzy z byłej czwartej kompanii - Jan Ziemka i Krzysztof Tomczak.

- Nowak, coś z tym trzeba zrobić, byłeś dobrym podchorążym, a możesz zostać frajersko zgnojony - powiedział do mnie Krzysiu.

Zaproponowali mi, że pomogą załatwić tę sprawę z szefem i abym się do tego przygotował. Zrobiłem jak kazali. Spotkanie odbyło się w maga-

zynku szefa kompanii. Zameldowałem się regulaminowo, przeprosiłem szefa. Zostałem dopuszczony do stołu. Szef kompanii po pewnym czasie się rozweselił, opowiadał o sobie, o trudnym dzieciństwie na podkieleckiej wsi, w biedzie i ciągłym niedostatku. Wiele wówczas zrozumiałem. Szef kompanii uważał nas za inteligencję, przyszłych oficerów. Sądził, że my nim pogardzamy, nie szanujemy go. Tak nie było, ale on to tak odbierał.

Po tym spotkaniu sytuacja się unormowała. Szef kompanii kary anulował tak, że po trzecim semestrze mogłem być awansowany do stopnia kaprala podchorążego. Do końca mojego pobytu w szkole, szef kompanii był względem mnie bardzo w „porządku", a nawet trochę faworyzował. Nieraz z tego korzystałem, „wpadałem" do szefowego magazynka, aby dostać przepustkę, czy dwudniowy urlop. Szczególnie pomagał mi, gdy dowiedział się, że jestem żonaty (ożeniłem się w lutym 1962 roku), a następnie, że mam syna

- Nowak, niech wali, żona czeka, dziecko płacze - mówił, wręczając mi przepustkę.

W jego słownictwie walić oznaczało iść, jechać. Poza opisanym epizodem, drugi rok nauki przeszedł mi pomyślnie. Faktycznie w tym czasie najbardziej absorbowały mnie sprawy rodzinne.

Pod koniec drugiego roku odbywaliśmy praktyki dowódcze w jednostkach wojskowych. Ja, razem ze Zdzisławem Wardęckim, trafiłem do pułku artylerii naziemnej w Pleszewie. Tam zostałem wyznaczony na stanowisko dowódcy plutonu łączności w pułkowej baterii dowodzenia. Było to dla mnie nowe doświadczenie. Pierwszy raz miałem bezpośredni kontakt z żołnierzami zasadniczej służby wojskowej. Ponadto było to piękne miasteczko i mili ludzie. Pobyt swój wspominam bardzo ciepło. Egzamin praktyczny zdałem pomyślnie, a jednocześnie poznałem specyfikę organizacji łączności w artylerii.

Jestem już plutonowym podchorążym, rozpoczyna się trzeci rok nauki. Następuje ponowna reorganizacja kompanii, już według specjalności wojskowych. W jej wyniku zostałem wcielony do pierwszego plutonu radiowego, w którym pomocnikiem dowódcy plutonu był Piotr Michalski. Mnie wyznaczono na dowódcę, popularnie zwanej, „kapitalistycznej" drużyny, w odróżnieniu od innych, które walczyły o miano drużyn służby socjalistycznej (DSS). W mojej drużynie był między innymi Witek Cieślewski. Dostał dobre podstawy. Sam się przyznaje. Później pięknie potrafił znaleźć się podczas przemian ustrojowych. W 1990 roku został komendantem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności, następnie awansował do stopnia generała brygady, a nieco później został szefem Wojsk Łączności MON. Oczywiście przesadzam, moje zasługi w tej materii są iluzoryczne. Na trzecim roku nauki dowódca drużyny to była funkcja raczej administracyjna, a nie merytoryczna. Wszyscy byliśmy kolegami i nawzajem się wychowywaliśmy.

Dowódcy w trzeciej kompanii podchorążych okazali się bardzo przyzwoitymi ludźmi. Polubiłem nowego dowódcę kompanii, kapitana Lucjana Przeniosło. Był oficerem honoru i wychowywał nas w tym duchu, a także wpajał poczucie odpowiedzialności za swoje czyny.

Przepustki były limitowane. Mogło otrzymać je kilka procent stanu kompanii. Byłem kilka razy w Wierzbicy, gdzie odbywały się potańcówki w zaadoptowanym do tego celu młynie, bądź spichlerzu. Raz spotkaliśmy tam naszego dowódcę kompanii, który bawił się ze swoją żoną. Wiedział, że wielu z nas nie ma przepustek. Reperkusji nie było. Warunek był tylko jeden - powrót do koszar bez „podpadki". W Wierzbicy bawiliśmy Panią Kapitanową rozmową i tańcem. Była w naszym wieku, więc nie było to żadne poświęcenie. Ponadto była ładna, miła i dobrze tańczyła. W tym czasie dowódca kompanii mógł posiedzieć przy barze, co przekładał nad swawolny taniec.

Był środek nocy, z piątku na sobotę. Obudził nas głos podoficera dyżurnego „Alarm, alarm, alarm". Ubieramy się możliwie szybko i z pełnym oporządzeniem zimowym wybiegamy na plac alarmowy. Wieczorem mamy mieć bal w kasynie oficerskim. Już są zaproszone uczennice Szkoły Pielęgniarskiej z Wilczej. Do mnie ma przyjechać żona, Ala.

Początkowo wydawało nam się, że to tylko taka zagrywka dowódców i zaraz wrócimy do rejonu kompanii. Okazało się jednak, że będzie marsz. To też nas nie przeraziło, gdyż często odbywały się marsze na odległość 10-20 kilometrów. Tym razem dowódcy zrobili nam psikusa lub być może pomylili trasę.

Pokonaliśmy, jak niektórzy twierdzili, więcej niż czterdzieści kilometrów. Długo maszerowaliśmy po Ziemi Serockiej. Wyszliśmy z koszar w nocy, a wróciliśmy w porze obiadowej. Zmęczeni byliśmy okrutnie. Wielu kolegów nie wytrzymało i dojechało do koszar w karetce pogotowia. Większość z nas wytrzymała, chociaż ostatnie kilometry były dramatyczne. Porobiły mi się bąble na stopach. W czasie marszu wybierałem więc miękki teren, aby mniej bolało. Po powrocie do koszar pielęgniarka przecięła mi nożyczkami bąble na nogach. Nastąpiła duża ulga.

Bal odbył się zgodnie z planem. Werwy było trochę mniej, dziewczyny robiły co mogły, a i tak niektórzy zasypiali przy stolikach. Wszystko jest jednak do pokonania, gdy się ma dwadzieścia lat.

Szef kompanii lubił w soboty, późno w nocy, przychodzić i sprawdzać obecność podchorążych. Wielu z nas bywało na tak zwanej lewiźnie. Szef zaś z reguły był lekko na fali. Umawiałem się z moim sąsiadem z sypialni Adamem Gawłem, aby mnie krył. Przestawiał więc tabliczki na łóżkach. Szef spisywał podchorążego Gawła jako nieobecnego. Po pewnym czasie Adam meldował się do szefa z miną niewiniątka. Szef był trochę zdziwiony, ale skreślał Adama z czarnej listy. Tak funkcjonowaliśmy przez dłuższy czas. Podejrzewam, że inni stosowali też podobne fortele. Przebywanie po-

za koszarami nie stanowiło dla mnie problemu, bo miałem oryginalne druki przepustek i korzystałem z nich w razie potrzeby.

Na trzecim roku zostałem awansowany do stopnia sierżanta podchorążego. Kończy się nauka, zdajemy egzaminy końcowe, zaczynają się przygotowania do promocji. Rano i wieczorem treningi na placu musztry. Jest ciężko, ale nie narzekamy, bo przecież cel jest szczytny.

Nasi dowódcy wpadli na genialny pomysł, abyśmy w wolnych chwilach wyasfaltowali plac i drogi przy kasynie oficerskim. Zgłosiło się kilkunastu podchorążych, w tym i ja. Umowa była taka, że po ukończeniu pracy otrzymamy kilka dni urlopu. Tyraliśmy w upale i niemiłym zapachu, gdy inni odpoczywali. Drogi zostały wyasfaltowane. Niestety, urlopu nie było - wyższa konieczność - treningi do promocji.

Nadszedł dzień promocji. Promował nas generał Wojciech Jaruzelski. Zostajemy podporucznikami Wojska Polskiego w korpusie osobowym wojsk łączności. Na uroczystość przyjechała do mnie żona Ala, jej brat z żoną oraz mój starszy brat. Wszyscy byli zachwyceni. Otrzymaliśmy oklaski i gratulacje.

Pobyt w szkole kończyliśmy balem promocyjnym w kasynie oficerskim. Bawiłem się z żoną w gronie kolegów. Potem nastąpiło ostatnie pożegnanie i ocieranie łez. Etap pobytu i nauki w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu został zamknięty.

W swoich wspomnieniach bardzo mało uwagi poświęciłem nauce i problemom związanym z blokiem dydaktycznym. Uznałem jednak, że był to tak ważny element w naszym życiu, tyle czasu absorbował, że wymaga specjalnego potraktowania.

W bloku dydaktycznym i na placach ćwiczeń spędzaliśmy średnio dziesięć godzin lekcyjnych dziennie. Faktycznie od śniadania, z dwugodzinną przerwą na obiad, do kolacji czas wypełniony był nauką. Program nauczania był wszechstronny. Zgodnie z celami przygotowywani byliśmy do dowodzenia i wychowywania żołnierzy zasadniczej służby wojskowej, a także jako technicy do obsługi i eksploatacji urządzeń łączności. Paleta przedmiotów była bardzo szeroka. Od przedmiotów ścisłych, jak matematyka, poprzez techniczne, takie jak między innymi elektrotechnika, radiotechnika, urządzenia łączności, do humanistycznych, a więc historii, geografii, filozofii, psychologii, logiki, ekonomii i języka rosyjskiego. Istotę działania wojska poznawaliśmy w taktyce ogólnej i taktyce łączności. Uczyliśmy się podstawowych czynności z zakresu działania wojsk inżynieryjno-saperskich, chemicznych, a także topografii wojskowej.

Do działu ogólnego wchodziły takie przedmioty jak: regulaminy, musztra, wychowanie fizyczne i wyszkolenie strzeleckie. Nie wymieniłem wszystkich przedmiotów, podałem przykładowe. Chodzi mi o pokazanie, że absolwent rocznika 1963, to wszechstronnie wykształcony człowiek, który był przygotowany do wykonywania wielu zadań i na różne przeciwności losu.

Można w związku z tym zadać pytanie: jak dawaliśmy sobie radę? Z pewnością podołaliśmy obowiązkom, dzięki dobrej organizacji i wspaniałym wykładowcom. Nasi wykładowcy to nie tylko nauczyciele, ale też wychowawcy i opiekunowie. Byli z nami nie tylko na zajęciach programowych, ale także na treningach, ćwiczeniach i nauce własnej. Pomagali w zdobywaniu wiedzy całym grupom, jak też indywidualnie. Byli wspaniali. Z wieloma zaprzyjaźniłem się po powrocie w 1971 roku do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności na stanowisko wykładowcy.

Nasi przełożeni dbali także o nasz rozwój kulturalny. Wyjeżdżaliśmy do teatrów i kin, chociaż i w szkole był piękny kinoteatr. Organizowane były spotkania z ludźmi kultury i sztuki. Działały koła zainteresowań, a także zespół estradowy, w którym udzielali się między innymi Andrzej Woliński, Zdzisław Jawor, Mieczysław Jaźwiecki. Hala sportowa i boiska tętniły życiem.

## Z gwiazdkami na naramiennikach

Zawodową służbę wojskową rozpocząłem na stanowisku dowódcy plutonu w kompanii łączności pułku czołgów średnich w Czarnym. Moja droga do Czarnego była dość specyficzna. Podczas wyznaczania przydziałów w szkole prosiłem o skierowanie do Warszawskiego Okręgu Wojskowego, a dostałem wybór między okręgiem śląskim a pomorskim. Wybrałem Pomorski Okręg Wojskowy, ze względu na moje stare marzenia o Marynarce Wojennej. Ponieważ byłem żonaty i miałem już syna, dalsze moje życzenie związane było z szansą szybkiego otrzymania mieszkania. W Bydgoszczy otrzymałem przydział do Szczecina. Na prośbę kolegi Jurka Bławata zgodziłem się na zamianę Szczecina na Szczecinek. Ze Szczecinka trafiłem do Czarnego. W listopadzie 1963 roku otrzymałem klucze do mieszkania. Wojsko dotrzymało słowa.

Po trzech latach służby w jednostce zdałem egzaminy i rozpocząłem studia na Wydziale Elektroniki Wojskowej Akademii Technicznej. Studiowałem w jednej grupie z Guenterem Adamczykiem i Danielem Płonką.

W 1971 roku, już jako kapitan, zostałem wykładowcą taktyki wojsk łączności w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności (WSOWŁ) w Zegrzu. W tym samym czasie w uczelni pracowali następujący koledzy: Antoni Wieczorek, Leszek Kuza, Stefan Stańczak, Władysław Urbaniak, Edward Szybowski i Ryszard Majewski. Tworzyliśmy dość zgraną grupę rocznika R-63.

Przyjaźniłem się z Guenterem Adamczykiem, który był bardzo zdolnym oficerem. Los złączył nas na wiele lat. Przez pięć lat mieszkaliśmy razem w akademiku Wojskowej Akademii Technicznej. Wiele lat pracowali-

śmy razem w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności (WSOWŁ) w Zegrzu. Poznałem jego żonę Halinę, często odwiedzaliśmy się. Prawdopodobnie na skutek nieporozumień, nasze więzy rozluźniły się. Nie zmienia to faktu, że przez wiele lat wspólnej służby był dla mnie najbliższym kolegą i przyjacielem.

W ostatnich latach służby wojskowej los mocno złączył mnie z Antonim Wieczorkiem. Razem pracowaliśmy w Oddziale Szkolenia WSOWŁ. Antoni to zadziorny człowiek, ale przy tym uczynny, czuły, koleżeński, gotów do każdych poświęceń. Mile wspominam lata wspólnej pracy i aktywności zawodowej.

Będąc wykładowcą odbyłem roczny staż naukowy w Katedrze Taktyki Wojsk Łączności Akademii Sztabu Generalnego, gdzie spotkałem sympatycznego kolegę Jerzego Mazurkiewicza, etatowego pracownika tejże katedry. Ponadto miałem praktyki dowódcze w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej oraz w Brygadzie Łączności Wojsk Obrony Wewnętrznej w Kielcach. Dowódcą brygady był wówczas Andrzej Bischoff, urodzony dowódca, a przy tym miły kolega. Lubię Andrzeja, mam nadzieję, że z wzajemnością. Spotkałem tam również Zygmunta Sznepkę. Bardzo się przyjaźniliśmy.

Służbę wojskową zakończyłem na stanowisku szefa Oddziału Szkolenia WSOWŁ i w stopniu pułkownika odszedłem w dniu 5 października 1990 roku na emeryturę. Służyłem w Wojsku Polskim równo trzydzieści lat.

*Zbigniew Kłos*

# PIERWSZE KROKI

Pierwszy urlop oficerski spędziłem ciekawie i przyjemnie ze swoją dziewczyną u góralki w Kościelisku. Zorganizowali mi go Józek Otremba i Ignac Górski za podstawienie „dziadkowi" Ostrowskiemu do podpisu, pisma ściągającego ich z prewentorium Salamandra na egzaminy końcowe w naszej szkole.

Wypoczęty i pełen energii stawiłem się w dowództwie Wojsk Lotniczych w Poznaniu. Przyjął mnie szef Wojsk Łączności i Ubezpieczenia Lotów Wojsk Lotniczych pułkownik Zaczeniuk. Jednakże wyłącznie po to, by oznajmić mi dziwnym wschodnim akcentem: - ja was widzę w Sochaczewie i powtórzyć mi to raz jeszcze, po mojej skromnej prośbie o rozpatrzenie możliwości przydziału stanowiska bliżej Poznania.

Moja osoba zresztą wcale go nie interesowała. Nie pamiętam już czy byłem zły na tę decyzję, czy na potraktowanie mnie jak szczeniaka. Dość, że przez całą noc starałem się dotrzeć do jednostki. Połączenie kolejowe było fatalne.

Wcześnie rano wysiadłem na stacji w Sochaczewie i pod szlabanem kolejowym zobaczyłem wojskowy samochód, który jak się okazało jechał planowo na lotnisko, więc mnie zabrał. Z całym wyposażeniem dobrnąłem na miejsce zbiórki jednostki, jednak już po jej rozpoczęciu. Stanąłem więc skromnie na uboczu, czekając na jej zakończenie, by zameldować się dowódcy.

Nie było mi to dane, gdyż podbiegł do mnie wiekowy, jak mi się zdawało porucznik, który nie przedstawiając się, „zrugał" mnie na oczach całej jednostki, kazał odstawić bagaż i stawać do szeregu. Był to dowódca kompanii łączności porucznik Oksientowicz, w której miałem zająć stanowisko dowódcy plutonu.

Nikt nigdy nie przedstawił mnie oficjalnie dowódcy jednostki, ani też stanowi osobowemu jednostki. Zakwaterowany zostałem w koszarach na

sali żołnierskiej, wspólnie z czterema innymi oficerami, wcale nie młodymi. Tego samego dnia pełniłem już służbę dyżurnego łączności na starcie do nocnych lotów. Całe szczęście, że major Ałdaś zawiózł nas kiedyś na lotnisko w Modlinie i pokazał jak pracuje startowe stanowisko dowodzenia, inaczej pewnie do dziś nie otrząsnąłbym się z szoku.

Nikt także nie przedstawił mi struktury jednostki, ani jej zadań. Nie umożliwiono mi sprawdzenia stanu wyposażenia plutonu. Nigdy nie podpisałem protokółu przyjęcia, mimo moich bezczelnych, w mniemaniu przełożonych, interwencji w tej sprawie. Dużym problemem było eksploatowanie sprzętu starszej generacji, którego nie znałem mimo doskonałych wykładów kapitana Michalskiego. Przydało się jednak ogólne przygotowanie do rozwiązywania takich problemów.

Te pierwsze kontakty z wojskową rzeczywistością utkwiły mi tak bardzo w pamięci, że nawet dziś są żywe. Chyba właśnie dlatego, każdemu nowoprzybyłemu żołnierzowi służby zasadniczej, zawodowej czy podchorążemu przybywającemu na praktykę zawsze poświęcałem dużo czasu, żeby nie czuł się tak, jak ja w pierwszych dniach służby na nowym miejscu.

Być może, że nawet trochę z tym przesadzałem, szczególnie przy przyjmowaniu nowych praktykantów z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności, Wojskowej Akademii Technicznej czy podchorążych rezerwy, gdyż koledzy, którym nie chciało się czegoś załatwić stwierdzali: Niech pan idzie do Kłosa, on się panem zaopiekuje. Słowo pan w lotnictwie było już dawno używane. Przyznaję, że z takiej postawy mam wiele satysfakcji, gdyż jestem mile widziany przez wszystkich moich podopiecznych, gdziekolwiek się z nimi spotykam.

Do tych, którzy mnie, młodego oficera przyjmowali do służby nie czuję urazy, przecież jednak czegoś mnie nauczyli. Czuję za to większą wdzięczność do wykładowców ze szkoły oficerskiej za dobre przygotowanie fachowe i do życia wojskowego w ogóle. To „coś", czego nauczyli mnie pierwsi przełożeni, to samodzielność w działaniu, która pomogła mi bardzo w dalszej służbie, ale była utrapieniem dla moich przełożonych.

*Władysław Gładkowski*

# Wybrańcy losu

## Warszawskie początki

Promocja – pierwszy stopień oficerski i opuszczamy mury Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Po trudach nauki udajemy się na jednomiesięczny urlop, a potem ze skierowaniem w „ręku" do dalszej, ale już zawodowej służby wojskowej, jako oficerowie korpusu łączności w okręgach wojskowych, rodzajach sił zbrojnych i w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego.

Grupa wybrańców losu z szóstego plutonu „gwardii przybocznej kapitana Mańkowskiego", jak nazywał nasz pluton zastępca do spraw liniowych lub „głuchociemni", jak mówili podchorążowie z innych plutonów, w sile dziewięciu podporuczników: Jerzego Fiuka, Władysława Gładkowskiego, Jerzego Golińskiego, Józefa Joniaka, Zbigniewa Kuryłka, Brunona Majewskiego, Tadeusza Skowronka, Krzysztofa Tomczaka i Zbigniewa Zastąpiłło w dniu drugiego października 1963 roku zameldowała się u szefa kadr Sztabu Generalnego WP w Warszawie do pełnienia zawodowej służby wojskowej. Tam zostaliśmy poinformowani, że służbę zawodową będziemy pełnić w 1 Brygadzie Łączności MON w Warszawie na stanowiskach dowódczych. Do czasu zakończenia formowania brygady, będziemy w dyspozycji szefa Węzła Łączności MON i tam zostaną załatwione wszystkie sprawy związane z dalszą służbą wojskową.

Zameldowaliśmy się u szefa Węzła Łączności MON i otrzymaliśmy tam informację o trudnej sytuacji w zakresie zakwaterowania w garnizonie warszawskim. Po stwierdzeniu tego faktu, postawione zostało pytanie. Którzy oficerowie mają możliwości zamieszkania z rodzinami? Zgłosiło się trzech. Wówczas szef oznajmił, że ci oficerowie będą mieszkali u rodzin, do czasu uregulowania spraw mieszkaniowych. Pozostali zaś zostaną tymcza-

sowo zakwaterowani w kompleksie koszarowym 5 Pułku Łączności, na terenie kompanii transportowej Węzła Łączności MON. Został także ustalony na godzinę dwunastą dnia następnego termin spotkania z dowództwem tegoż węzła.

Po przybyciu do kompanii transportowej, zostaliśmy powitani przez jej dowódcę i zaprowadzeni do sali żołnierskiej, o powierzchni przewidzianej dla dwudziestu żołnierzy. Jednak z uwagi na fakt zakwaterowania oficerów, zagęszczenie zmniejszono do dwunastu łóżek. Sala wyposażona została w dwanaście krzeseł, dwanaście szafek przyłóżkowych, dwa stoliki i cztery szafy ubraniowe. W sali zakwaterowano dwunastu oficerów, w tym nas sześciu i sześciu oficerów rezerwy, powołanych do odbycia dwuletniej, okresowej służby wojskowej. Ci ostatni byli absolwentami uczelni technicznych o kierunku łączności i kilkuletnim stażu pracy zawodowej na bardzo różnych stanowiskach.

Po chwilach zadumy doszliśmy do wniosku, że mimo uzyskania stopnia oficerskiego nasze warunki mieszkaniowe pozostały takie same, jak za podchorążackich czasów. Umywalnia kompanijna tylko z zimną wodą i sala sypialna z tą samą liczbą łóżek. Pozostał w dalszym ciągu rytm życia kompanijnego, do którego należały: pobudka, komendy podoficera dyżurnego kompanii i cisza nocna. Otrzymaliśmy tylko jeden przywilej: mogliśmy korzystać z łaźni trzy razy w tygodniu, gdy żołnierze służby zasadniczej mogli z niej korzystać tylko jeden raz w tygodniu.

Na owym spotkaniu szef Węzła Łączności MON przedstawił kierowniczą kadrę węzła oraz poinformował nas, że organizacja 1 Brygady Łączności MON jest na ukończeniu. Do tego czasu mamy przejść szkolenie, mające na celu zapoznanie ze sprzętem węzła stacjonarnego i systemem łączności. Po rozmowie zostaliśmy także przydzieleni do poszczególnych jednostek organizacyjnych węzła. I tak Jurek Goliński i Tadziu Skowronek na Stację Telefoniczną, Zbyszek Kuryłek i ja na Stację Telegraficzną, Jurek Fiuk na Stację Teletransmisyjną, Krzysiu Tomczak na Stację Zasilania oraz Brunon Majewski i Zbyszek Zastąpiłło na Radiowe Centrum Odbiorcze (RCO), jako że byli najlepszymi radiotelegrafistami wśród „głuchociemnych". Na dowódcę plutonu szkolenia unitarnego żołnierzy wcielonych do brygady, a szkolonych w 5 Pułku Łączności, wyznaczony został Józek Joniak, posiadający największe doświadczenie w dowodzeniu, gdyż w szkole oficerskiej pełnił obowiązki pomocnika dowódcy plutonu podchorążych.

Pierwsze dwa dni służby zawodowej upłynęły w bardzo dobrej atmosferze, która była rezultatem wysokiej kultury przyjmujących nas oficerów. W trzecim dniu zameldowaliśmy się u kierowników stacji łączności zgodnie z otrzymanym przydziałem. Kierownicy stacji zapoznali nas ze strukturą organizacyjną, personelem kierowniczym oraz elementami technicznymi stacji. Ustalony został plan naszego szkolenia w zakresie zapoznania się z: przepisami obejmującymi ochronę tajemnicy wojskowej i służbowej, prowadze-

niem korespondencji przez środki łączności, eksploatacją sprzętu łączności na poszczególnych stacjach oraz zasadami działania i budową nowego sprzętu łączności.

Zostaliśmy wyznaczeni do pełnienia służby pomocnika oficera dyżurnego łączności Węzła Łączności MON, w czasie której zapoznawaliśmy się ze strukturą łączności stacjonarnej MON oraz organizacją służb dyżurnych. Kierownicza kadra węzła zobowiązana została do udzielania nam wszelkich wyjaśnień w zakresie obsługi i zasad pracy wszystkich urządzeń technicznych łączności.

Jak już wcześniej wspominałem, służbę zawodową rozpoczynaliśmy w bardzo dobrej atmosferze, wśród niezwykle kulturalnych oficerów starszych, w większości frontowych, którzy przeszli szlak bojowy 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki spod Lenino do Berlina. Najmłodszym stopniem oficerskim był porucznik, który 12 października tegoż roku awansował do stopnia kapitana.

Można przyjąć, że aklimatyzacja w nowych warunkach dowódczo-sztabowych przebiegała bez zakłóceń. Rozpoczęliśmy okres intensywnego dokształcania w praktycznej obsłudze różnorodnego, z reguły nowego, sprzętu łączności i poznawania stacjonarnego systemu łączności MON.

Godziny naszej służby, a raczej pracy, mieściły się w przedziale od ósmej do piętnastej. Całe popołudnie i noc mieliśmy do własnej dyspozycji. Koledzy żonaci mieli możliwość dłuższego przebywania z rodzinami, a kawalerowie mogli pozwolić sobie na podziwianie piękna Warszawy. Nie było również żadnego problemu z wyjazdami poza garnizon warszawski, gdyż przełożeni nasi byli pod tym względem bardzo wyrozumiali.

Podziwianie Warszawy rozpoczęliśmy od zwiedzania klubów oficerskich oraz kawiarni i restauracji. Jednakże było ono dla nas zbyt kosztowne. Przed opuszczeniem szkoły dostaliśmy bowiem dwie pensje w kwocie 3360 złotych, a urlop i koszty z nim związane były już za nami. Większą uwagę zwróciliśmy więc na rozrywki kulturalne, teatry, kina i kibicowanie „Legii". Czas upływał bardzo szybko i w drugiej połowie listopada obsadzono stanowiska dowódcze w 1 Brygadzie Łączności MON. Szef węzła łączności MON został dowódcą brygady, a kilku oficerów starszych włączono w skład jej dowództwa.

## Prawdziwa służba

Zaczął się także organizować batalion łączności, w którym mieliśmy pełnić służbę jako dowódcy plutonów. Dowódcą batalionu został major Walerian Kaczmarek z 5 Pułku Łączności. Po piętnastym listopada nasza praca zaczęła przekształcać się w służbę wojskową w jednostce liniowej.

W trzeciej dekadzie listopada odbyła się odprawa całej naszej dziewiątki z dowódcą brygady, na której przedstawiony został dowódca i skład batalionu. W skład batalionu wchodziły: sztab, cztery kompanie łączności w składzie trzech plutonów każda. Dla oficerów przewidziano następujące etaty: dowódca batalionu - podpułkownik, zastępca dowódcy - major/podpułkownik, dowódcy kompanii - kapitan/major, dowódcy plutonów - porucznik/kapitan. W końcu listopada kadrę batalionu stanowiło dziesięciu oficerów, w tym jeden oficer starszy w stopniu majora i dziewięciu oficerów w stopniu podporucznika oraz jeden podoficer nadterminowy, będący szefem kompanii.

W dniu następnym, po zgłoszeniu się rano do służby, zaczęła się prawdziwa służba wojskowa. Dowódca batalionu dokonał losowego wyboru dowódców kompanii i tak dowódcą kompanii telefonicznej został Tadek Skowronek, telegraficznej - Zbyszek Kuryłek, radiowej - Brunon Majewski, a kompanii pomocniczych węzłów łączności - autor, we własnej i skromnej osobie. Z pozostałych oficerów Jurek Fiuk został przydzielony do kompanii telefonicznej, Krzysiu Tomczak do telegraficznej, Zbyszek Zastąpiłło do kompanii radiowej i Jurek Goliński do kompanii pomocniczych węzłów łączności. Natomiast Józiu Joniak oddelegowany został do szkolenia podoficerów w kompanii szkolnej 5 Pułku Łączności.

Młodzi podporucznicy mieli pełnić obowiązki dowódców kompanii do czasu przybycia innych oficerów przewidzianych na te stanowiska. Dowódca batalionu przypomniał także zasadę podległości służbowej, w myśl której dowódcy kompanii odpowiadają za cały stan osobowy pododdziału - włącznie z oficerami, a wszystkie sprawy związane ze zwalnianiem i opuszczaniem garnizonu leżą w ich kompetencji. Natomiast ich sprawy załatwia osobiście dowódca batalionu. Była to najlepsza zasada na poradzenie sobie z dyscypliną wśród młodych oficerów, przez włączenie ich do odpowiedzialności za swoich kolegów.

Dni upływały szybko na przygotowaniu poszczególnych rejonów kompanii do przyjęcia żołnierzy po przysiędze, pobieraniu pełnego wyposażenia ćwiczebnego, uzbrojenia oraz sprzętu łączności ze składnic i warsztatów. Batalion, jako jednostką skadrowana, na okres wykonywania zadań uzupełniany był rezerwą. Kompanie przygotowywały plany szkolenia ogólnowojskowego i specjalistycznego. Po przysiędze żołnierzy przydzielono do poszczególnych kompanii. W zasadzie nie było różnicy kto zostanie przydzielony do jakiej kompanii, gdyż większość żołnierzy miała wykształcenie podstawowe i zasadnicze, a tylko kilku średnie. Ci zostali pisarzami w batalionie i kompaniach.

Stany etatowe kompanii wynosiły od dwudziestu do dwudziestu pięciu żołnierzy służby zasadniczej. Przygotowane zostały rozkłady zajęć w ten sposób, że zajęcia ogólnowojskowe odbywały się dla całego batalionu, a specjalistyczne w poszczególnych grupach. Korzystaliśmy z bazy szkoleniowej 5 Puł-

ku Łączności i z własnego sprzętu etatowego. Do każdych zajęć przygotowywane były konspekty, które dla dowódców plutonów zatwierdzał dowódca kompanii, a dla dowódców kompanii - dowódca batalionu.

Współpraca z „tatą", jak nazywaliśmy dowódcę batalionu, układała się dobrze. Był oficerem wyrozumiałym, ale wymagającym i dającym swoim podwładnym bardzo dobry przykład do naśladowania. Nie miał zwyczaju skarżenia się na podwładnych do przełożonych za niedociągnięcia w służbie, wynikające z młodzieńczej fantazji. Wszyscy wykonywaliśmy swoje zadania w miarę swoich możliwości jak najlepiej. Tak minął stary rok i rozpoczął się nowy 1964.

W styczniu dowódca brygady wraz ze swoim zastępcą zaplanował spotkanie z kadrą oficerską batalionu. Nie była to odprawa służbowa, a spotkanie mające na celu zapoznanie się z problemami młodych oficerów, wynikającymi z zawodowej służby wojskowej. W trakcie spotkania wysłuchaliśmy informacji o zadaniach brygady w 1964 roku i jej sprzęcie oraz zadaniach batalionu. Dowódca brygady zapytał także dowódcę batalionu: - jakie ma problemy w dowodzeniu młodą kadrą oficerską? Odpowiadając na to pytanie nasz przełożony stwierdził, że nie ma żadnych problemów, a zadania stawiane oficerom są wykonywane i proces szkolenia przebiega dobrze. Następne pytanie skierowane było do młodych oficerów i brzmiało: - co można zrobić, aby służba wojskowa była przyjemniejsza?

Jeden z kolegów zwrócił uwagę na bardzo złe warunki mieszkaniowe i brak perspektyw szybkiego otrzymania mieszkania rodzinnego oraz poważne trudności z zakwaterowaniem kawalerów. Na to dowódca brygady stwierdził, że ten problem jest dostrzegany przez dowództwo i stopniowo będzie rozwiązywany. Dodał także, „gdy ja byłem podporucznikiem, to warunki mieszkaniowe kadry nie były problemem, a najważniejsza była służba wojskowa". Następny nasz kolega, zabierając głos, zwrócił uwagę, że to był okres wojny i trudno go porównywać z okresem o dwadzieścia lat późniejszym. Wyjaśniając tę kwestię dowódca stwierdził, że tym porównaniem chciał zwrócić uwagę na trudne czasy wojenne i powojenne.

Tok szkolenia urozmaicany był raz w miesiącu alarmem, z marszem nocnym. W marszu brała udział cała kadra z wyjątkiem oficera pełniącego służbę i przyjmującego służbę. Spotkanie z dowódcą brygady dało jednak wynik pozytywny, gdyż dwaj kawalerowie otrzymali przydział mieszkania służbowego składającego się z jednego pokoju z używalnością kuchni. Nadarzała się więc okazja do oblewania pierwszego mieszkania przydzielonego naszym kolegom. Nie wydaje mi się, aby nasza drobna impreza spodobała się sąsiadom, którzy interweniowali z powodu „drgania kryształów w kredensie". Interweniującą panią uspokoiliśmy, że kryształy się nie potłuką i zaprosiliśmy na nasze przyjęcie. Niestety nie skorzystała. Więcej interwencji sąsiadów nie było. W trudnych warunkach mieszkaniowych, czyli na terenie kompanii, pozostało dalej czterech kolegów.

Służba nasza przebiegała spokojnie do siedemnastego marca. W tym dniu przypadają imieniny Zbigniewa. W naszej grupie było dwóch solenizantów i wypadało godnie uczcić to święto. Po godzinie szesnastej zebraliśmy się w mieszkaniu „kompanijnym", w którym był jeszcze jeden solenizant ze służby okresowej. Czciliśmy święto swoich kolegów w sposób uroczysty. Jednak nikt z nas nie przypuszczał, że takie świętowanie może okazać się tak trudne do przeżycia w dniu następnym.

W dniu osiemnastego marca w batalionie zaplanowane zostało strzelanie na strzelnicy garnizonowej z wyjazdem na te zajęcia o godzinie ósmej. Kadra miała przyjść o godzinie siódmej, aby dopilnować terminu wyjazdu. Trudno opisywać szczegóły świętowania, ale straty kadrowe były duże. Na stan dziesięciu oficerów, do służby zdolnych było tylko trzech, w tym dowódca batalionu oraz oficer pełniący służbę i przyjmujący służbę. Można powiedzieć, iż straty były zastraszające, „tak jak po prawdziwej, przegranej bitwie, w której także jeden z oficerów dostał się do niewoli", to znaczy na Komendę Garnizonu.

Pierwsi „wojownicy" zgłosili się do pracy dopiero około godziny czternastej, ale już z samego rana żony dzwoniły do dowódcy o chorobach mężów. Najgorsze oburzenie dowódcy wywołało wzięcie oficera „do niewoli" i braku „należytej obrony" ze strony tego oficera, z którym wracał „z wojny" do domu. Toteż dowódca wyraźnie to zaznaczył: jak się dowiem, który z oficerów był ostatni z oficerem „wziętym do niewoli", to go ukarzę. Jednak nikt się nie przyznał, ani nikt nie doniósł. W tym czasie szkolenie z batalionem prowadził dowódca batalionu i to na dobrym poziomie, mimo, iż wcześniej nie był do niego przygotowany. W następnym dniu otrzymaliśmy kilka uwag od „taty", przydających się w dalszej służbie wojskowej, i pełni pokory przystąpiliśmy do wykonywania swoich obowiązków. Dalsze szkolenie i tok życia służbowego przebiegały bez zakłóceń.

W końcu kwietnia odbyliśmy pierwszy trening w przygotowaniu dokumentacji rozwinięcia polowego węzła łączności, praktycznego rozwijania i nawiązywania łączności z udziałem węzła łączności Ministerstwa Obrony Narodowej. Był to również sprawdzian stanu technicznego naszego sprzętu. Pierwsze zajęcia podsumowujące okres szkolenia wypadły zadowalająco.

## Poligony i szkolenia

Początek czerwca, to przygotowanie do wyjazdu na poligon do Beniaminowa, na okres od czerwca do października. Na poligon wyjeżdżało się całym stanem osobowym i ze sprzętem. Wypada powiedzieć, że w pierwszym roku zawodowej służby wojskowej mieliśmy zapewnione oddychanie świeżym powietrzem przez trzy miesiące. Na poligonie trwał

normalny proces szkolenia żołnierzy, ale już w warunkach przybliżonych do rzeczywistych.

W tym okresie oficerowie mieli możliwość wykorzystania dwóch tygodni urlopu wypoczynkowego. Istniała także możliwość przyjazdu żon. Jeden z naszych serdecznych kolegów posiadał „wspaniały motocykl rajdowy" WFM, na którym chciała się nauczyć jeździć jego żona. Będąc dobrym mężem rozpoczął więc prowadzenie z nią nauki jazdy. W związku z tym, że w lesie, jak to w lesie, było mnóstwo drzew i wybojów, a kursantce pomylił się hamulec z gazem, tylko dzięki przytomności umysłu i refleksowi oraz sile fizycznej jednego z kolegów nie doszło do „zniszczenia drzewostanu" i kalectwa pięknej małżonki. Na zwróconą nauczycielowi jazdy uwagę, o niezbyt właściwym wybraniu ku temu terenu, padła odpowiedź: w każdej nauce i sztuce bojowej straty muszą być. W tym przypadku strat nie było, ale i zapał kursantki do nauki jazdy motocyklem całkowicie przygasł. Powrót z poligonu do Warszawy odbył się już bez nadzwyczajnych przygód. Życie wróciło do koszarowej normy.

Nasza dobra praca w batalionie przynosiła efekty i „tata" został awansowany do stopnia podpułkownika. Kadra oficerska wzmocniona została dwoma absolwentami szkoły oficerskiej w Zegrzu oraz oficerem przybyłym z Sieradza, o rok starszym od nas absolwentem Oficerskiej Szkoły Łączności. Z powodu braku możliwości otrzymania mieszkania, do jednostki wojskowej w Tomaszowie Mazowieckim, na własną prośbę, odszedł Jurek Fiuk. Kadra oficerska batalionu liczyła dwunastu oficerów.

W końcu października miała miejsce koleżeńska uroczystość, którą można uznać za pierwsze integracyjne spotkanie, z uwagi na udział w nim naszych żon. Okazją ku temu był ślub naszego kolegi odbywający się w pewnej miejscowości podwarszawskiej i wesele, w którym wzięli udział koledzy z żonami. Pod koniec roku pozostało już tylko trzech kawalerów i tak wkroczyliśmy w rok 1965 - drugi rok naszej zawodowej służby wojskowej.

Dobre wyniki w pracy i służbie zostały zauważone i zostaliśmy pochwaleni przez dowódcę brygady. Nadszedł czas sprawdzenia wyszkolenia naszych żołnierzy poprzez udział w ćwiczeniach szefa wojsk łączności. Batalion otrzymał zadanie rozwinięcia węzła łączności dla potrzeb kierownictwa Sztabu Generalnego WP. Postawione zadania wykonywaliśmy w czasie ćwiczeń dobrze. Powróciliśmy do koszar z tarczą.

Na początku czerwca nastąpił ponowny wyjazd na poligon do Beniaminowa, ale już z nowym dowódcą trzeciej kompanii, kapitanem przybyłym z 5 Pułku Łączności. W 1966 roku zapowiadano zmianę dyslokacji 5 pułku z Warszawy do Wałcza. Z tego powodu, dość szybko, wszystkie etaty w batalionie zostały obsadzone. We wrześniu wracaliśmy znowu do koszar.

Po powrocie, marzenie motoryzacyjne jednego z kolegów stało się rzeczywistością. Patrzymy, a tu nasz kolega podjeżdża pod koszary wymarzonym samochodem marki „Warszawa". U nas zdziwienie i zazdrość, a u kolegi

kilka godzin przyjemności. Jak się później okazało dość kosztownej, gdyż miał zaraz małą stłuczkę, a samochód był tylko z wypożyczalni.

W naszym gronie byli również oszczędni koledzy, którzy naszemu amatorowi motoryzacji pomogli w biedzie. Później było i tak, że gdy przy odbiorze pensji w kasie pożyczkodawca zwracał się o zwrot należności, nieraz słyszał - czy ja tylko tobie jestem winien? No, ale na koniec wszystko dobrze się kończyło.

Do batalionu na stanowiska szefa sztabu i dowódców pierwszej i drugiej kompanii wyznaczonych zostało trzech kapitanów z 5 pułku. Raport o przeniesienie na dowódcę grupy przygotowującej koszary w Wałczu dla 5 pułku złożył nasz „tata". Otrzymał zgodę i opuścił swoje „dzieci" - pozostawiając je na pastwę losu. Do batalionu przybyło także dwóch podporuczników, absolwentów szkoły w Zegrzu oraz porucznik marynarki, który zasilił kadrę trzeciej kompanii.

Sytuacja oficerów z Zegrza stawała się coraz trudniejsza. Na siedemnastu oficerów w naszym batalionie, nas, zegrzyniaków, było tylko ośmiu, przydzielonych po dwóch do każdej kompanii. Ponadto nie było już „mieszkania kompanijnego". Integracja przebiegała trudniej, bo już tylko w mieszkaniach naszych kawalerów lub jak mówiły niektóre żony w „melinach pijackich", jako że żonaci nie posiadali jeszcze mieszkań. Jednakże dla jednego z nas zaświeciła gwiazdka pomyślności. Otrzymał awans do sztabu brygady na oficera kadrowego. W ten sposób zyskaliśmy swojego człowieka, w ważnej dla naszej kariery wojskowej, komórce sztabowej.

Koniec roku nie był dla nas zbyt łaskawy. Nadchodziły trudne czasy. Natomiast dla żonatych kolegów zabłysła nadzieja w sprawach mieszkaniowych. Pierwsza Wojskowa Spółdzielnia Mieszkaniowa rozpoczęła zasiedlanie nowych budynków. Trzech naszych kolegów z tego skorzystało i płacąc drożej, niż za mieszkanie służbowe, poprawiło sobie warunki mieszkaniowe, przenosząc się na mieszkanie większe, dwupokojowe z ciemną kuchnią o powierzchni poniżej czterdziestu metrów kwadratowych. W styczniu cała trójka przeprowadziła się do nowych mieszkań. Była już możliwość zawiązywania więzów koleżeńskich na gruncie rodzinnym. Pierwsze spotkania odbywały się u kolegi mieszkającego w lokalu nr 1, gdyż nie było problemu z windą, a i do „dziada" było blisko.

## Pod kogucikiem

Po przybyciu do batalionu nowego dowódcy, wszyscy zwracaliśmy uwagę na jego zachowanie. Głos miał piskliwy oraz nadmiernie okazywał ważność swojej osoby. W naszym zespole nazywaliśmy go „kogucikiem", z uwagi na jego zachowanie. Pierwsze wrażenie nie było dobre i nie wró-

żyliśmy sobie dobrej z nim współpracy. Na dowódcę czwartej kompanii wyznaczony został oficer przybyły z Marynarki Wojennej. Zmieniła się atmosfera pracy i służby w batalionie. Oficerowie przybyli do batalionu przynieśli z sobą niezrozumiałe dla nas nawyki „współzawodnictwa" między oficerami i pododdziałami, a także zupełny brak współpracy, wzajemnej pomocy w interesie całego batalionu. Dotychczasowa integracja służbowa przeniosła się na życie pozasłużbowe. Rozpoczynała się integracja rodzinna.

Po dwu latach szkolenia nadeszła inspekcja wiosenna. Rozpoczęła się od ogłoszenia alarmu dla całej brygady. Batalion udał się w rejon alarmowy i rozwinął węzeł łączności. Jednak naszego kolegę dalej prześladował pech. Na wiosnę 1964 roku „dostał się do niewoli", a teraz nie stawił się na alarm. Chyba uparła się siła wyższa i nawet do godziny ósmej nikt nie zainteresował się losem, oczekującego na dołączenie do pododdziału, oficera. Po ósmej przyjechał samochód po pechowca. Okazało się, że są poważne trudności w nawiązaniu łączności telegraficznej. Po przyjechaniu pechowca w rejon alarmowy łączność telegraficzna została zaraz nawiązana. Oczekując za swój wyczyn na pochwały, usłyszał tylko od dowódcy brygady - „było przyjechać wcześniej". Jednakże nawiązanie łączności telegraficznej przez pechowca zapisało się złotymi zgłoskami w pamięci dowództwa brygady. Inspekcja została zaliczona na ocenę pozytywną. Przypadek ten - z pechowca zrobił fachowca od telegrafu. Mimo tego batalion częściej odwiedzał rejon alarmowy w celu doskonalenia łączności.

Wraz z nastaniem nowego dowódcy wytworzyła się trudna sytuacja w zakresie kompetencji w dowodzeniu. Dowódca batalionu interweniował w dowodzenie dowódców kompanii i nawet plutonów. Wytworzyła się sytuacja braku przejrzystości i odpowiedzialności za podejmowane decyzje i wykonywane zadania.

Nasz miłośnik motoryzacji znalazł wspólnika w eksploatacji samochodu P-70, ale znów powstały straty i problemy finansowe, a odnośne raporty dotarły nawet do dowódcy brygady. Sprawdziło się więc przysłowie: „powiadały jaskółki, że niedobre spółki".

Miesiąc maj był znowu niezbyt szczęśliwy dla kolegi pechowca, który zapragnął zostać sędzią piłki nożnej klasy międzynarodowej. I tu przysłowie okazało swoją mądrość: „za wysokie progi na takie nogi". Doszedł do sędziowania trzeciej ligi, ale służba wojskowa, to rzecz trudna do pogodzenia z pragnieniami osobistymi oraz planami i marzeniami. Tym bardziej przy złośliwości i braku zrozumienia przełożonych. A było to tak. W dniu sędziowania meczu otrzymał propozycję nie do odrzucenia - przyjęcie służby dowódcy warty. W tej sytuacji obowiązki w stosunku do sportu zwyciężyły, odpowiedział, że służby nie przyjmie i nie przyjął. Pojechał sędziować mecz. Na drugi dzień w brygadzie wybuchła afera. Pechowiec zameldował się u dowódcy brygady i po złożonym wyjaśnieniu otrzymał ustną naganę, ale również skończył z sędziowaniem.

W czerwcu znowu był wyjazd na poligon. A tam cały czas słychać było głos „koguta" i trwała walka dowódców kompanii o miano najlepszego pododdziału. Po odbyciu szkolenia poligonowego i przyjeździe do Warszawy czekał nas następny wyjazd na ćwiczenia w celu zabezpieczenia łączności telefoniczno-telegraficznej dla kierownictwa ćwiczenia.

W ćwiczeniu wzięli udział: dowódca batalionu, dowódca czwartej kompanii, ośmiu dowódców plutonów w stopniu podporucznika, w tym nas sześciu. Rozwinięcie węzła odbyło się bardzo sprawnie i jeszcze przed rozpoczęciem ćwiczenia wyjechaliśmy zwiedzać miasto Kwidzyn. Jednakże zwiedzanie miasta nie spodobało się niektórym oficerom z Kwidzyna, którzy interweniowali u kierownictwa ćwiczenia, ale afery nie było, gdyż wykazaliśmy się niebywałą szybkością działania.

W trakcie tego ćwiczenia cała nasza grupa oficerów z dowódcą batalionu na czele zakwaterowana została w jednej sali żołnierskiej. To zaś zainspirowało nas, aby „umilić" życie dowódcy batalionu. Do tego celu miał posłużyć brydż. Ustaliliśmy dyżury przy grze w brydża. Od momentu przyjścia dowódcy batalionu na wypoczynek nocny, rozpoczynały się rozgrywki brydżowe. My się zmienialiśmy, a dowódca grywał całe noce. W efekcie nie miał czasu na odpoczynek i sen, a więc był mniej upierdliwy dla podwładnych.

Po tym ćwiczeniu październik był już za pasem. A że był to rok awansowy, to dwunastego października sześciu z ośmiu podporuczników naszej grupy awansowało do stopnia porucznika. Dwom pozostałym oznajmiono, że ich awans przełożono na następny rok.

W tym czasie do batalionu skierowany został pluton przyszłych podchorążych na dziewięciomiesięczne szkolenie wojskowe na poziomie szkoły podoficerskiej dla specjalistów łączności. Pechowiec został wyznaczony na dowódcę tego plutonu i do prowadzenia szkolenia. W batalionie zaś trwało normalne szkolenie i współzawodnictwo o tytuł najlepszego plutonu, kompanii. W walce o ten tytuł nie miał konkurencji pluton pechowca, gdyż tworzyli go przyszli studenci WAT-u, ludzie o wysokiej kulturze osobistej, wykazujący duże zainteresowanie szkoleniem technicznym. Tak kończył się rok 1966 i zaczynał nowy, w którym głównym zadaniem sześciu „wybrańców losu", było odejście do dalszej służby na Węzeł Łączności MON, gdzie zresztą stawiali pierwsze kroki w zawodowej służbie wojskowej. Do kolejnego roku przetrwało tylko dwóch kawalerów, którzy dysponowali już mieszkaniami służbowymi.

Rok 1967 był rokiem dużej liczby ćwiczeń. Na wiosnę odbyły się ćwiczenia sztabowe, w których brał udział batalion i cały sprzęt, którym dysponował, rozwijając węzły łączności dla potrzeb kierownictwa ćwiczenia Sztabu Generalnego WP. Nasze stany osobowe uzupełnione zostały kierowcami z Miejskich Zakładów Komunikacyjnych Warszawa. Jednocześnie trwał proces szkolenia. Po raz pierwszy nie był organizowany wyjazd na

poligon, który zastąpiono rozwijaniem węzłów łączności. W sierpniu, w wypadku samochodowym w czasie pełnienia służby, zginął nasz kolega i wielki miłośnik motoryzacji Zbyszek Zastąpiłło. W batalionie pozostało już tylko pięciu oficerów z naszej grupy z Żegrza. Stosunki koleżeńskie ulegały dalszemu zacieśnianiu; już wszyscy posiadali mieszkania i obchodziliśmy imieniny w gronie koleżeńskim, spotykając się u każdego z nas dwa razy w roku.

W tym okresie organizowany był nowy dział łączności „Transmisja Informacji" i miała być organizowana Stacja Transmisji Informacji w Węźle Łączności MON. Na kurs odeszło czterech poruczników, którzy przeszli do Węzła Łączności MON na etaty tworzonej stacji. W batalionie został tylko pechowiec, który otrzymał awans do stopnia porucznika i na którego odejście dowódca batalionu nie wyraził zgody, jak twierdził z powodu jego fachowości.

Zbliżał się koniec roku, w którym zostały spełnione marzenia większości kolegów. W batalionie pozostał tylko jeden z nas, który także w końcu 1968 roku przeszedł do Węzła Łączności MON.

Tych kilka pierwszych lat, to był początek naszej zawodowej służby wojskowej, w której udało nam się osiągnąć swój cel. Przeszliśmy do pracy i służby na Węźle Łączności Ministerstwa Obrony Narodowej. Pozostaliśmy w stolicy. Poszerzyliśmy swoją wiedzę i zdobyliśmy niezbędne wojskowe doświadczenie. Założyliśmy własne rodziny i stworzyliśmy rodzinę R-63, która przetrwała całą służbę wojskową.

Dalsza służba wojskowa naszych kolegów przebiegała w Instytucjach Centralnych MON, w których osiągali coraz to wyższe stanowiska służbowe i stopnie oficerskie.

*Jerzy Mazurkiewicz*

# Choszczański rzut

## Jak to się stało

Był sierpień 1963 roku. Zbliżał się czas promocji, a my, podchorążowie, byliśmy w trakcie egzaminów końcowych lub już po nich. Czas wspaniały z przynajmniej dwóch powodów. Dopisywała piękna pogoda, a nowo utworzony zalew był tak blisko. Ponadto byliśmy już po przymiarkach oficerskich mundurów galowych, szytych na miarę w wojskowym zakładzie krawieckim w Warszawie. Także atmosfera panująca wśród podchorążackiej braci, będącej w większości w stopniach sierżantów i plutonowych podchorążych, była wyjątkowa, rozluźnienie dyscypliny widoczne i dające przedsmak wolności oficerskiej.

Myliłby się jednak okrutnie ten, kto by przypuszczał, że mieliśmy zbyt wiele swobody. Na straży dyscypliny stał sławny „de Gaulle", szef trzeciej kompanii podchorążych starszy sierżant Tadeusz Szemborski. Przydomek ten otrzymał ze względu na szczupłą i wysoką sylwetkę oraz zbliżony wygląd do wodza Francuzów.

Potrafił skutecznie hamować wolnościowe i rozrabiackie zapędy podchorążych, prawie równych sobie stopniem wojskowym i za moment oficerów. Umiał trzymać na wodzy te młode wilki, zmuszając je nieraz do stania przez długi czas na zbiórkach, szczególnie przed i po posiłkach oraz na apelach, zachowując przy tym stoicki spokój i „wstawiając" im swoje osławione mowy.

Któregoś dnia dotarła do nas wiadomość. Przyjechali „kupcy". Tak nazywano oficerów kadr, którzy decydowali o dalszym losie młodych oficerów. To od nich zależało, gdzie, kogo przydzielić, szczególnie jeżeli chodzi o rodzaje sił zbrojnych i okręgi wojskowe, choć jak się później okaże - nie tylko.

Procedury stawania przed komisją i zasady skierowań do służby zawodowej były podobne. Komisja składająca się z kilku, jeśli nie więcej osób, wzywała pojedynczo podchorążych na rozmowę. Jej członkowie byli dobrze przygotowani do działania i mieli z góry przygotowany przydział dla każdego z nas. Z reguły nie ulegał on zmianie w trakcie prowadzenia rozmowy.

Pytano się każdego z nas do jakiego rodzaju sił zbrojnych (wojska lądowe, marynarka wojenna, wojska lotnicze i obrona powietrzna) i do jakiego okręgu wojskowego chciałby iść i mimo otrzymywanej odpowiedzi, kierowano tam gdzie chciano, czyli zgodnie ze swoimi planami. Na przykład mnie zapytano: gdzie chcę iść? Odparłem, że do Warszawskiego Okręgu Wojskowego, ponieważ okręg ten obejmował swoim zasięgiem południowo-wschodnie obszary Polski, w tym Ziemię Krakowską i Karpaty, skąd się wywodzę. Zapytano, oczywiście, dlaczego? Przedstawiłem więc motywację, iż chcę służyć i pracować w południowo-wschodniej Polsce, ze względu na sentyment do gór i rodzinnych stron.

Członkowie komisji ze zrozumieniem pokiwali głowami, a przewodniczący orzekł, że mnie rozumie, lecz moje miejsce jest gdzie indziej, to znaczy w Pomorskim Okręgu Wojskowym. Okręgu przodującym, pierwszorzutowym, wyposażonym w nowoczesny sprzęt i potrzebujący nowej, młodej i prężnej kadry. Tam więc jest moje miejsce i żadnego odwołania od tej decyzji być nie może. A kraina to piękna, pełna jezior i lasów i na pewno ją polubię, co się zresztą później w pełni potwierdziło. Potwierdziło się także i przodownictwo, bo później utarło się powiedzenie, że w Wojsku Polskim są dwa okręgi przodujące (Śląski i Pomorski), a trzeci im dorównuje (Warszawski). A wszystkiego były trzy okręgi. Stosunek komisji do kandydatów na oficerów można uogólnić w jednym zdaniu: jeśli chcesz pójść do określonego okręgu lub garnizonu, to pójdziesz gdzie indziej.

W wyniku prac komisji, stworzone zostały listy z przydziałami przyszłych oficerów do poszczególnych rodzajów sił zbrojnych i okręgów wojskowych. A więc od tego momentu, nie było to już tajemnicą. Jednak na tych listach, bystre oko któregoś z podchorążych wypatrzyło dziwne małe znaczki, poczynione ołówkiem przed nazwiskami niektórych podchorążych. Wyglądały one jak literki S i budziły szerokie komentarze i domysły. Większość podchorążackiej braci skłaniała się ku temu, że może to oznaczać przydział do jednostki lub jednostek specjalnych. Ale jakich i gdzie by one się mieściły, nikt nie wiedział. Znaczki te postawione były przy niektórych nazwiskach podchorążych z pierwszego i drugiego plutonu, a więc plutonów zwanych ogólnoradiowymi. Dotyczyło to również i mnie. Tworzyło więc określoną tajemniczość i niepewność co do dalszych moich losów.

Następnie było fasowanie sortów mundurowych, czyli całego ubioru służbowego oficera i niezbędnego na czas „W" (wojenny), w tym między

innymi menażki, manierki, niezbędnika, będącego zestawem sztućców polowych. Wszystko to mieściło się w olbrzymim worze, z materiału w kolorze khaki i skórzanymi rączkami do dźwigania. Jego ciężar i wielkość sprawiały duży kłopot, nawet najsilniejszym, nie mówiąc już o niższych wzrostem i wagą, szczególnie z piątego plutonu. A trzeba pamiętać, że byliśmy bardzo dobrze wysportowani, silni i młodzi.

Po przeprowadzonej przez generała Wojciecha Jaruzelskiego w dniu pierwszego września 1963 roku, w obecności kadry dowódczej szkoły, zaproszonych gości oraz rodzin młodych oficerów, promocji, wieczorem odbył się oficerski bal promocyjny. Bal ten miał miejsce w niezwykle urokliwym pałacyku, wybudowanym jeszcze sporo czasu przed drugą wojną światową. Utrzymany bardzo starannie i położony na wysokiej skarpie wśród drzew sosnowych, po prawej stronie drogi Nieporęt-Serock, zaraz za kończącą się taflą zalewiska pałacyk, był wymarzonym miejscem dla takiej imprezy. Służył on również jako kasyno oficerskie, w którym były także organizowane bale dla podchorążych.

Niektórzy oficerowie zaraz po promocji, inni po balu, z przydziałowymi tobołami udawali się do rodzinnych domów na miesięczny urlop. Po nim zaś wraz z całym swoim dobytkiem do dowództwa rodzajów sił zbrojnych lub okręgów wojskowych, do których otrzymali przydział.

## Do Choszczna marsz

Spotkanie w dowództwie Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy miało chyba miejsce drugiego października w godzinach przedpołudniowych. I tu również działała komisja, już okręgowa, składająca się z oficerów dowództwa, w tym oczywiście także kadr, przydzielająca młodych oficerów już do poszczególnych jednostek wojskowych. Nas wszystkich, którzy mieliśmy wcześniej postawioną przy nazwiskach literkę S, skierowano od razu do Choszczna. Było nas ośmiu. Wymienię w kolejności alfabetycznej: Konstanty Karmelitow, Karol Kociałkowski, Stanisław Lubiak, Jerzy Mazurkiewicz, Mieczysław Miciak, Zygmunt Sznepka, Jan Worm i Zygmunt Ziętek.

Po tym spotkaniu już wiedzieliśmy, że w Choszcznie tworzy się nowa, bardzo ważna dla sił zbrojnych jednostka wojskowa. Ale jaki jest jej charakter oraz gdzie ta miejscowość dokładnie leży, nikt początkowo nie wiedział. Toteż gorączkowo szukaliśmy jej na mapie i odkryliśmy jako kilkutysięczne miasteczko na trasie kolejowej Poznań-Szczecin. Natomiast jego charakter mieliśmy poznać dopiero na miejscu.

Po zjedzeniu obiadu, już w godzinach popołudniowych „choszczański rzut", ze wszystkimi swoimi tobołami, udał się na stację kolejową Byd-

goszcz-Główna, a następnie pociągiem do Choszczna. Podróż przebiegła nadzwyczaj spokojnie. Trochę dyskusji o nieznanym, trochę żartów, a poza tym spanie i drzemki regenerujące siły.

Do Choszczna przyjechaliśmy w godzinach nocnych. Wysiedliśmy na dworcu kolejowym. Wydawał się solidny i stosunkowo duży, jak na taką miejscowość. Budynki stacyjne były jasnoszare, niezniszczone i dobrze oświetlone. Jakże inne od budynków stacyjnych w południowej, centralnej i wschodniej Polsce. Wewnątrz przestronna poczekalnia z kasami biletowymi i dużym bufetem. Dopiero później zorientowaliśmy się, że jest to stacja węzłowa dla kierunków Szczecin-Poznań i Barlinek-Kalisz Pomorski.

Przed dworcem czekał już na nas samochód ciężarowy, skrzyniowy z plandeką oraz kierowcą i dysponentem. Jadąc do jednostki z zaciekawieniem obserwowaliśmy miasto. Było nieoświetlone i jak gdyby wymarłe. Przez około półtora kilometra jazdy, począwszy od dworca kolejowego, aż do rynku, naliczyliśmy tylko kilka domów wyglądających na zamieszkałe. Reszta to były puste przestrzenie i ruiny domów.

Rynek przedstawiał sobą widok żałosny. Na środku stał kościół z dużej, czerwonej, starej cegły z zerwaną wieżą, a wokół same ruiny. Dalej jechaliśmy brukowaną drogą wśród pól i łąk, aby nareszcie dotrzeć do jednostki. Przed nią stało kilka budynków mieszkalnych, następnie brama wjazdowa i byliśmy wreszcie w jednostce. Podwieziono nas pod internat, gdzie otrzymaliśmy zakwaterowanie w wyznaczonych pokojach. Z reguły po kilku w jednym i z niewesołymi minami położyliśmy się spać, rozmyślając jeszcze długo o tym gdzie „wdepnęliśmy" i co nas czeka. Następne dni upłynęły pod znakiem poznawania koszar, przydziału stanowisk służbowych, zwiedzania miasta i oswajania się z oficerskim życiem w jednostce wojskowej.

Koszary okazały się solidne, poniemieckie i niezniszczone. Całkowicie inne od tych dotychczas mi znanych z Zegrza lub z obszarów byłego zaboru rosyjskiego i austriackiego. Rozmieszczone były około jednego kilometra od wylotu z miasta, po prawej stronie drogi do Drawna i Kalisza Pomorskiego.

Był to kompleks nowoczesny, bo zbudowany w 1937 roku. Dzielił się na dwie części. W części lewej znajdowała się jednostka radiotechniczna lotnictwa, kasyno, izba chorych, hala sportowa, internat dla kadry i duży zespół garażowy. Zaś po prawej stronie, za drugą bramą koszarową, zespół otynkowanych budynków koszarowych składający się z pięciu gmachów dwupiętrowych i dwóch jednopiętrowych typu niemieckiego, o wysokich czterospadowych dachach pokrytych czerwoną dachówką. Dalej był duży kompleks garażowy wraz ze stacją naprawy sprzętu technicznego.

Prawą część koszar zajmowała Jednostka Wojskowa 1609, będąca w istocie 20 Brygadą Artylerii, powstałą pierwszego kwietnia 1944 roku na naszych dawnych kresach wschodnich. Była to jej nazwa oficjalna. Nieofi-

cjalnie stanowiła armijną brygadę rakiet operacyjno-taktycznych (ABROT). A to oznaczało, że była brygadą Pomorskiego Okręgu Wojskowego, z którego na wypadek wojny wydzielano armię ogólnowojskową.

Rozlokowana była w ten sposób, że zaraz za biurem przepustek i ogrodzeniem stał blok koszarowy, w którym mieściły się: dowództwo brygady, oficer dyżurny i wartownia, garnizonowy węzeł łączności (GWŁ) i kompania maszyn inżynieryjnych. Dalej w rzędzie, w kierunku południowym pierwszy blok zajmował 16 dywizjon artylerii, będący w istocie 1 dywizjonem rakiet operacyjno-taktycznych, a drugi bateria dowodzenia brygady i bateria techniczna.

Po przeciwległej stronie placu alarmowego jednostki, vis a vis tych bloków stały dwa inne. Bardziej wysunięty na południe zajmowała bateria meteorologiczna oraz mieściły się w nim sale wykładowe, w tym także baterii dowodzenia brygady, a drugi blok zajmował 17 dywizjon artylerii, będący w istocie 2 dywizjonem rakiet operacyjno-taktycznych. Naprzeciw drugiej bramy koszarowej, poprzecznie w stosunku do pozostałych, stały dwa budynki jednopiętrowe. Mieściły się w nich stołówki żołnierskie oraz klub żołnierski z biblioteką. Zamykały one od północy plac alarmowy. Od południowej strony plac zamykał budynek pierwotnie przeznaczony na halę sportową, a ówcześnie stanowiący halę, w której obywały się treningi startów rakiet oraz obsługi rakiet i wyrzutni.

Każdy dwupiętrowy blok koszarowy składał się z piwnic, parteru i dwóch pięter. Ich struktura wewnętrzna i rozkład pomieszczeń na poszczególnych kondygnacjach były takie same. Do każdego bloku prowadziły dwa wejścia na klatkę schodową. Na każdej kondygnacji klatki schodowej było troje drzwi. W lewo prowadziły do korytarzyka, a stamtąd do dwóch pomieszczeń i toalety. Za czasów niemieckich pomieszczenia owe przeznaczone były na mieszkanie dla szefa kompanii i jego rodziny. Po wojnie, z reguły były to pomieszczenia służbowe kadry zawodowej. Na prawo drzwi prowadziły do pojedynczej sali średniej wielkości, która miała różne przeznaczenie. Mogła być salą żołnierską, salą wykładową lub pokojem służbowym kadry zawodowej. Na wprost, duże, dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe prowadziły do głównej części mieszkalnej. W niej długi przez cały blok biegł korytarz z dużą wnęką w pośrodku, dzielił kondygnację na dwie długie części. Po obu stronach korytarza gros pomieszczeń stanowiły duże sale żołnierskie, mogące pomieścić od ośmiu do szesnastu żołnierzy.

W części środkowej, po drugiej stronie korytarzowej wnęki, znajdowało się bardzo duże pomieszczenie, będące z reguły świetlicą. Magazynki broni, ubikacje i umywalnie były przy końcach korytarza. Miejsce pełnienia służby podoficera dyżurnego pododdziału mieściło się na korytarzu, przeważnie na wprost wnęki korytarzowej. Pomieszczenia były dobrze doświetlone i solidnie wykonane. Na korytarzach posadzkę stanowiła beżowa

lub ceglasta terakota, a w salach żołnierskich (sypialnych) był parkiet lub deski podłogowe. Zdziwienie budziły rozmieszczone w ścianach korytarzy wnęki z uchwytami na karabiny.

Był to dla nas poniekąd szok, bowiem byliśmy przyzwyczajeni do tego, że broń zamykana jest zawsze w solidnych magazynach lub magazynkach broni i pilnie strzeżona przez służbę dyżurną lub wartę i systematycznie nadzorowana przez kadrę. W związku z tym, pierwszy raz zdałem sobie sprawę, że w naszym wojsku, przecież ludowym i powołanym do obrony słusznej sprawy, zaufanie do żołnierza musi być w takim razie wielokrotnie mniejsze niż w armii hitlerowskiej. Jednakże przyczyny owego zjawiska mogły być także inne. Lata sześćdziesiąte były przecież latami pokoju, w których bezpieczeństwo ludzi liczyło się najbardziej. Może chodziło o zapobieżenie nieszczęśliwym wypadkom, na które młodzi ludzie są szczególniej narażeni.

Jednostka wojskowa 1609 posiadała trzy strefy dostępu. Strefa pierwsza - wejścia do kompleksu koszarowego. Strefa druga - wejścia do kompleksu koszarowego 20 Brygady, to jest przez bramę drugą i trzecia strefa - wejścia na teren garaży, gdzie przechowywane były bojowe wyrzutnie i nosiciele głowic, czyli rakiety oraz głowice ćwiczebne. Zaostrzone były także rygory zachowania tajemnicy przez kadrę i żołnierzy, a każdorazowo przy wyjeździe wyrzutni z rakietami na poligon i brygadowy plac ćwiczeń, mieszczący się w odległości kilku kilometrów od koszar, oraz w czasie powrotu, wygaszano wszystkie światła w koszarach i w tej części miasta, która była najbliżej.

Kiedy zorientowałem się do jakiej jednostki trafiłem, zacząłem szukać przyczyn. Myślę zresztą, że nie tylko ja. Zadawałem sobie pytanie. Co takiego się stało, że przeznaczono mnie do służby w tej jednostce? Ja i moi koledzy zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, iż przy kierowaniu do tej jednostki musiała obowiązywać selekcja i że dobierano nas według określonych kryteriów, ale jakich - nie wiedzieliśmy. Wiązało się to z tym, iż na owe czasy była to jednostka super tajna, o najnowocześniejszym sprzęcie, najwyższej technologii i olbrzymim znaczeniu dla działań operacyjnych i strategicznych.

Po długich rozmyślaniach stwierdziłem, że zasług politycznych nie miałem, a do partii wstąpiłem dosyć późno w szkole oficerskiej. Doszedłem więc do wniosku, iż musi to być „winą" Józefa Zięby. Ów winowajca to przedwojenny podoficer zawodowy wojska, daleki krewny po kądzieli mojego ojca i mieszkający w tej samej wsi. W latach pięćdziesiątych był sołtysem albo wójtem w Przytkowicach, mojej rodzinnej wsi. Wykonywał swoje obowiązki doskonale, posiadał wysoki autorytet u władz oraz mieszkańców wsi. Był lubiany i ogólnie szanowany.

Mimo tego, znany ze swojej zgryźliwości wujek Fryderyk, nie mógł mu wybaczyć, iż przed wrześniem 1939 roku zgrywał chojraka. Opowiadał

więc wielokrotnie, iż pytany o przyszły rezultat wojny z Niemcami pan sierżant Zięba, mężczyzna postawny i elegancki, rozwijał zamaszyście noszoną z fantazją pelerynę żołnierza podhalańczyka i głęboko przekonany prawił, że nie odda nawet jej kawałka, a co dopiero ziemi polskiej oraz że zwycięstwo jest pewne. Jak wiadomo historia negatywnie zweryfikowała te słowa i dała wujowi powód do częstych drwin z mądrości politycznej naszego sołtysa.

Jak wiadomo, o każdym z nas i naszych rodzinach, przed pójściem do szkoły oficerskiej zbierano opinie. Mnie i mojemu ojcu opinie te wystawiał właśnie ów sołtys, a przy tym krewny. Musiała więc być wyśmienita, mądrze napisana i politycznie znacznie na wyrost. Dająca mi pewien, jeśli nie znaczny, w zasadzie niezasłużony handicap.

Mój ojciec nigdy do partii nie należał. Był jednak w owych czasach uznawany za człowieka postępowego, akceptującego podstawowe reformy ustrojowe. Mimo swojego spokoju i flegmatycznego usposobienia w wielokrotnie prowadzonych dyskusjach ustosunkowywał się krytycznie do wszelkiego zła, nieprawości, a szczególnie idiotyzmów ideologicznych i ekonomicznych, mających swoje odzwierciedlenie w negatywnej działalności ludzi.

Szczególnie ostre starcia polityczne prowadził ze swoim przyjacielem, starym działaczem PPR, a potem PZPR Janem Lenkiewiczem. Można więc powiedzieć, że dzięki częściowo zafałszowanej opinii byłego podoficera zawodowego armii przedwrześniowej i krewnego rozpocząłem służbę w jednej z najnowocześniejszych i najpilniej strzeżonych jednostek rakietowych Układu Warszawskiego na ziemiach polskich.

Nasz przyjazd do Choszczna związany był z utworzeniem w 1963 roku w Choszcznie brygady rakiet operacyjno-taktycznych. Początek jej istnienia datował się na przełom 1962 i 1963 roku. Wówczas przybyła tu grupa organizacyjna pod dowództwem pułkownika Kazimierza Makolądry, której zadaniem było przygotowanie obiektu koszarowego oraz organizacyjne zabezpieczenie tworzenia tejże brygady. W skład tej grupy wchodziło także kilkunastu oficerów z innych jednostek rakietowych, szczególnie z brygady rakiet operacyjno-taktycznych z Bolesławca.

Wraz z nami do Choszczna dotarła także pokaźna grupa oficerów innych specjalności, na przykład: czterech specjalistów wojsk inżynieryjnych, czterech specjalistów wojsk radiotechnicznych (do baterii meteorologicznej, której wieloletnim dowódcą był znany z „urody", ilości potomstwa i niekonwencjonalnego zachowania, kapitan, a później major Zdzisław Zawierta), ponad dziesięciu uzbrojeniowców i jeszcze zdecydowanie więcej artylerzystów. Razem było nas około 50-ciu podporuczników, przeznaczonych głównie do obsadzenia stanowisk dowódców plutonów i równorzędnych. Był to także olbrzymi potencjał męski, jak na takie miasteczko.

Pięćdziesięciu młodych, jurnych i dobrze prezentujących się w mundurach mężczyzn, to przecież była wymarzona gratka dla choszczeńskich

dziewcząt, z której sporo skwapliwie skorzystało. Widać to także na przykładzie naszej grupy, z której pięciu na ośmiu ożeniło się z choszczniankami. W związku z tym, po latach, powtarzałem często żartobliwie, że dziewczyny z Choszczna powinny postawić pomnik temu, kto podjął decyzję o utworzeniu brygady w Choszcznie. No niestety, jak to w życiu, z konsumowaniem bywa nieźle, gorzej jest z zapłatą.

W jednostce wykorzystano nas w ten sposób, że do tworzącej się baterii dowodzenia brygady przydzielono Karola Kociałkowskiego, Stasia Lubiaka, mnie i Zygmunta Sznepkę. Karol został dowódcą plutonu radiostacji średniej mocy R-118, Stasiu plutonu radiowego, ja plutonu węzłowego, a Zygmunt plutonu radioliniowego, w którym były taktyczne stacje radioliniowe R-405. Mietek Miciak i Jasiu Worm trafili do baterii dowodzenia 16 dywizjonu na stanowiska dowódcy plutonu radiowego i dowódcy plutonu węzłowego, a Zygmunt Ziętek i Kostek Karmelitow na podobne stanowiska do baterii dowodzenia 17 dywizjonu.

Rozpoczęła się systematyczna praca polegająca na przyjmowaniu żołnierzy przychodzących z poboru oraz sprzętu, po który trzeba było przeważnie jeździć do innych jednostek, zakładów produkcyjnych lub remontowych. Przyszedł także czas na intensywne podstawowe szkolenie żołnierzy w okresie do przysięgi, a następnie dalsze szkolenie ogólnowojskowe i fachowe, czyli specjalistyczne, do wykonywania czynności związanych z przydzieloną na stałe funkcją.

W dni robocze po godzinach pracy, to jest w zasadzie późną porą popołudniową lub wieczorową oraz w dni świąteczne przebywaliśmy w internacie lub bywaliśmy w mieście. W związku z tym kilkanaście zdań o miasteczku, do którego rzucił nas los na dobre kilka lat.

## Historia Choszczna

Ziemia Choszczańska zasiedlona została przez Słowian, a następnie włączona do Polski przez Mieszka pierwszego. Jako ziemia graniczna, aż do trzeciej ćwierci trzynastego wieku należała do Polski, a jej status zależał od stosunku królów polskich do książąt pomorskich. Pod koniec trzynastego wieku przeszła jednak pod panowanie Marchii Brandenburskiej (Nowej Marchii).

Choszczno istniało jako osada słowiańska dużo wcześniej, lecz prawa miejskie otrzymało około 1285 roku. Wraz z wejściem w skład Marchii zmieniono jego nazwę, prawdopodobnie niemożliwą do wymówienia przez Niemców, na Arnswalde, co oznacza tyle co Adlerswarde, czyli orli las.

W 1402 roku Zakon Krzyżacki uprzedzając Polską nabył w zastaw Nową Marchię od ówczesnego margrabiego brandenburskiego Zygmunta

Luksemburga, a wraz z nią i Choszczno. W wyniku zwycięstwa Jagiełły pod Grunwaldem, Choszczno na krótko, to jest od 1433 do 1454 roku przeszło pod panowanie Polski, aby znów wrócić pod władzę Hohenzollernów i Brandenburgii, a potem Prus i Niemiec aż prawie do końca drugiej wojny światowej.

We wrześniu 1939 roku na bazie miejscowych koszar Niemcy zorganizowali specjalny obóz Oflag II B Arnswalde. Przebywało w nim ponad trzy tysiące jeńców polskich - oficerów wojny 1939 roku. Przywiezieni zostali do Choszczna na początku listopada 1939 roku ze Stargardu Szczecińskiego i przebywali tam do 1942 roku. Następnie zostali przeniesieni do obozu w Kłominie (Oflag II D Westwalenhof - Grossborn), gdzie przebywali do 1945 roku. W tymże obozie w Choszcznie przebywało także od 1940 roku kilkuset jeńców francuskich.

Choszczno zostało wyzwolone w wyniku operacji wiślańsko-odrzańskiej prowadzonej przez wojska radzieckie i polskie. Zacięte walki o Choszczno toczyły się od dziewiątego do dwudziestego drugiego lutego, z ich kulminacją w dniach szesnastego i siedemnastego oraz zdobyciem dwudziestego drugiego lutego 1945 roku. Długotrwałe walki o Choszczno wynikały z dobrego przygotowania obrony przez Niemców oraz przeciwuderzenia wykonywanego przez grupę armii „Wisła"(„Weichsel"), dowodzonej przez nie byle kogo, bo samego H. Himmlera, w skrzydło wojsk Frontu Białoruskiego idących na Berlin.

W wyniku długotrwałego ostrzału i wielokrotnego przechodzenia z rąk do rąk poszczególnych kwartałów miasta i pojedynczych budynków, zostało ono niemal doszczętnie zrujnowane. W dobrym stanie zachowała się tylko enklawa przylegająca do środkowej części jeziora Klukom, której głównymi ulicami były ulice Adama Mickiewicza i Bolesława Chrobrego. Wynikało to z faktu, iż ta część miasta nie leżała na kierunku głównego uderzenia i nie miała znaczenia militarnego. O dziwo, także koszary nie ucierpiały na skutek działań wojennych.

Samo miasto, położone na równinie w otoczeniu łąk i pól uprawnych, z dala od lasów, było turystycznie mało ciekawe. Z dawnych zabytkowych budowli zachowały się tylko: kościół, barbakan, w którym mieściła się biblioteka miejska oraz resztki murów obronnych, szczególnie w północnej części miasta. Jako miasto powiatowe posiadało dom kultury, kino, wspomnianą już bibliotekę publiczną oraz liceum ogólnokształcące, mieszczące się na końcu ulicy Chrobrego, zasadniczą szkołę zawodową przy dworcu PKP i dwie szkoły podstawowe. Były także dwa zakłady przemysłowe: mała fabryka radiatorów żeliwnych, leżąca blisko dworca kolejowego i dosyć spora mleczarnia, przy cmentarzu komunalnym.

Do podstawowych całorocznych rozrywek oferowanych przez miasto, można było zaliczyć restaurację „Zacisze", seanse filmowe w kinie oraz różne imprezy organizowane w domu kultury. Największym wzięciem

cieszyło się jednak „Zacisze". Mieszczące się w jednym budynku z komitetem powiatowym PZPR, w pobliżu jeziora, przy zbiegu ulic Bolesława Chrobrego i Piastowskiej, oferujące niezłe jedzenie i picie oraz trzy razy w tygodniu (w środę, sobotę i niedzielę) dancing, przyciągało nas młodych. Wewnątrz posiadało bardzo dużą salę dancingową, wokół której ustawione były stoliki, kilka sal mniejszych bezpośrednio połączonych z salą dancingową oraz salę bufetową i całe niezbędne zaplecze.

Bywaliśmy więc na dancingach z reguły dwa razy w tygodniu. Na początku dochodziło do scysji z młodymi choszcznianami, ale potem się uspokoili i pogodzili z faktem naszej dominacji, bo przecież bywało nas zawsze na dancingu, nie mniej niż kilkunastu. Tam także zrodziło się szereg męskich przyjaźni, które przetrwały później przez wiele lat.

Przy tej okazji rodzi się pytanie. Jak nam na te imprezy wystarczało pieniędzy? W owym czasie, czyli na początku zawodowej służby wojskowej w Choszcznie zarabialiśmy po 1780 złotych. Taka była pensja podporucznika. Z tego płaciło się ponad 600 złotych za całomiesięczne codzienne wyżywienie w kasynie, a resztę przeznaczaliśmy różnie. Przeważnie na papierosy, napoje, alkohol, podróże, książki i prasę oraz różne drobiazgi. Większość jednak na przyjemności związane z przebywaniem w „Zaciszu". Należy także nadmienić, że niewiele wydawaliśmy na ubrania, ponieważ panował zwyczaj chodzenia stale w mundurach, w tym także przebywania w nich w lokalach gastronomicznych.

W okresie letnim wspaniały relaks i wypoczynek oferowało jezioro z kąpieliskiem miejskim mieszczącym się przy Górze Miejskiej, naprzeciw budynku liceum ogólnokształcącego. Kąpielisko to wyposażone było w pomosty, odgrodzone miejsca kąpielowe i skocznie. Można było wspaniale się opalać i zażywać kąpieli, a także wypożyczyć kajak i popływać po jeziorze. Co wytrwalsi brali dziewczyny i pływali przepięknymi przesmykami na drugie jezioro, a następnie na jezioro Raduń.

Obszarowo nieduża Miejska Góra, zwana potocznie Małpim Gajem, była jedynym miejscem zalesionym w pobliżu miasta. Ciekawie położona, ze stromymi zboczami w kierunku jeziora i miasta, ze śladami niewielkiego, pradawnego cmentarza oraz wieloma dróżkami i ścieżkami, tworzyła miejsce często odwiedzane, szczególnie przez młodych. Utarło się nawet przekonanie, że jest to miejsce najczęściej traconej przez choszcznianki cnoty. Znawcy tego zagadnienia twierdzili natomiast, że jest to miejsce unikalne, jako że przypada tu najwięcej traconych cnót na metr kwadratowy powierzchni. Oczywiście latem.

Do większej przyjemności można było także zaliczyć wyjazdy poza Choszczno do Państwowego Gospodarstwa Rolnego Nadarzyn, w którym dyrektorem był poznany przez Zygmunta Sznepkę, niewiele starszy od nas Janusz Frąckowiak. W gospodarstwie tym była także stadnina koni oraz gorzelnia. Przyjeżdżaliśmy tam z dziewczynami, ale nie wszyscy. Co chęt-

niejsi jeździli konno, a wszyscy uwielbiali towarzystwo gospodarzy oraz ajerkoniak robiony na spirytusie gorzelnianym i jajkach z własnej hodowli kur przez przesympatyczną Terenię, żonę Janusza.

## W jednostce

Przyjemność przyjemnościami, ale pora nam wrócić do spraw służby wojskowej. Z chwilą powstania jednostki jej dowódcą został pułkownik Włodzimierz Kobylański. Mężczyzna więcej niż średniego wzrostu, postawny i przystojny, o nieco gruzińskiej urodzie. Mając twarz z dość długim cienkim nosem, pod nim zaś solidny wąs, a także czarne, przy tym częściowo posrebrzone włosy, mógł się podobać kobietom. Jednocześnie energiczny, o władczym charakterze i wysokiej kulturze osobistej, był dowódcą lubianym i szanowanym. Nie zajmował się drobiazgami, zostawiając je swoim podwładnym. Bardziej reprezentował jednostkę na zewnątrz i czynił starania o jej dobrą opinię w środowisku Choszczna oraz u przełożonych, niż kłopotał się sprawami wewnętrznymi, w których dawał wolną rękę swoim zastępcom.

Szefem sztabu brygady był pułkownik Józef Dynkowski, człowiek serdeczny, spokojny i życzliwy dla podwładnych, a przy tym bezpośredni przełożony baterii dowodzenia brygady, w której służyliśmy oraz odpowiedzialny przed dowódcą za dowodzenie i łączność. Obowiązki zastępcy dowódcy do spraw liniowych pełnił pułkownik Kazimierz Makolądra, zastępcy do spraw politycznych pułkownik Władysław Ura, zastępcy dowódcy do spraw technicznych pułkownik Władysław Kowalow.

Była to ekipa nad wyraz udana. Dobrze i z wysoką kulturą dowodząca jednostką, a przy tym stanowiąca grupę zapalonych myśliwych i niezłych brydżystów. Pozwalała podwładnym na dużą samodzielność w działaniu. Nie bała się powierzać trudnych zadań młodym oficerom i miała do nich zaufanie. Oficerów dowództwa cechowała także wyrozumiałość przy ocenie popełnianych błędów przez podwładnych, czego przykład przedstawiony będzie nieco dalej. W takiej atmosferze pracowało się wydajnie i rzetelnie, bez zbytnich stresów i ciągłych, złośliwych kontroli.

Systematycznie szkoliliśmy żołnierzy oraz bardzo często braliśmy udział w treningach taktycznych i ogniowych, a także ćwiczeniach, w związku z tym, iż jednostka nasza przygotowywała się do startów bojowych rakiet w ZSRR. Odbyły się one już w 1964 roku na poligonie nad Morzem Kaspijskim. Z łącznościowców brał w nich udział tylko Jasiu Worm, który szeroko o tym pisze w swoich wspomnieniach.

Na strzelanie wyjechało dowództwo brygady, dowództwa dywizjonów i dwie baterie startowe. Po jednej z każdego dywizjonu. Odpalano ra-

kiety R-300. Były to udoskonalone wersje rakiety V-2, a więc rakiety balistyczne o zasięgu do 300 kilometrów i apogeum około 80 km, na paliwo ciekłe, a więc naftę i utleniacz. Strzelania wypadły na ocenę bardzo dobrą, tak przynajmniej ocenili je Rosjanie.

Łącznościowców szkoliliśmy w salach wykładowych oraz na sprzęcie w koszarach i w terenie. Może przypomnę dwa epizody z tych szkoleń. Wraz z Zygmuntem Sznepką wyjechaliśmy ze swoimi plutonami za strzelnicę garnizonową w celu szkolenia załóg w terenie. Pluton radioliniowy Zygmunta ćwiczył rozwijanie anten radioliniowych i nawiązywanie łączności, zaś mój rozwijanie anten wozów dowodzenia i linii kablowych.

W pewnym momencie zapachniało burzą. Na horyzoncie zaczęły gromadzić się chmury deszczowe. Anteny stacji radioliniowych na masztach czternastoipółmetrowych były rozwinięte. W pewnym momencie z tyłu do stacji podszedł żołnierz z obsługi. Chciał wyciągnąć dodatkowe kolanko masztu antenowego. Miał jeszcze około metra do wozu, gdy wyciągnął ręce do przodu. W tej chwili między obudową stacji, a rękami żołnierza zauważyliśmy silną niebieską poświatę. Żołnierzem wstrząsnęło. Opuścił ręce i dalej stał nieruchomo.

Patrząc z odległości kilku metrów byliśmy przekonani, że porażony żołnierz zaraz upadnie. Tak się jednak nie stało. Podbiegliśmy do niego. Był cały sztywny i w szoku. Odnieśliśmy go na bok i położyli na trawie. Przez długi czas nie mówił i nie mógł dojść do siebie po przebytym szoku, mimo naszej troskliwej opieki. A przyczyna wypadku była jak zwykle prozaiczna. Stacja radioliniowa nie była uziemiona. I co ciekawe, chociaż ten przypadek nie zdarzył się w czasie burzy, a mimo to różnica potencjałów elektrycznych między zjonizowanym powietrzem a ziemią była tak duża, że mogła doprowadzić do nieszczęśliwego wypadku.

I drugi epizod. Był wrzesień, ciepła i piękna pogoda. Zgodnie z planem miałem prowadzić szkolenie żołnierzy w budowaniu dalekosiężnych linii kablowych w terenie lesistym. Wybrałem więc rejon dużego kompleksu leśnego na południe od Drawna, w tak zwanych Lasach Niemieńskich. Po wczesnym śniadaniu i przejechaniu około trzydziestu kilometrów, byliśmy na miejscu o godzinie ósmej. Przed rozpoczęciem szkolenia zrobiłem krótką przerwę na załatwienie potrzeb osobistych. Po kilku minutach wracający z lasu żołnierze nieśli mnóstwo dorodnych grzybów, w większości borowików i gorączkowo namawiali mnie na natychmiastowe grzybobranie. Nie wyraziłem na to zgody, lecz obiecałem im, że po zakończeniu szkolenia, a więc o godzinie trzynastej, pozwolę na godzinne zbieranie grzybów. Tak też się stało. Po przeprowadzonym szkoleniu i omówieniu uzyskanych wyników, żołnierze udali się na grzyby.

Co się później działo trudno opisać. Chłopcy nosili prawdziwki i nosili. Kładli je w pryzmach na „pałatkach", to znaczy pelerynach, z których można było także budować jednoosobowe namioty. Nazbierali cztery i pół

pałatki. Była to olbrzymia ilość prawdziwków. Taką ilość naraz widziałem po raz pierwszy.

Gdy zbieranie grzybów zakończyło się nakazałem żołnierzom, aby zabrali grzyby, zapakowali je na samochód i zawieźli do koszar, jako że byłem przekonany, iż zbierają je dla siebie. Ci jednak powiedzieli, że nie mogą zjeść więcej niż pół pałatki. Namawiali więc mnie, abym pozostałe zabrał. Nie bardzo chciałem, ponieważ nie miałem co z nimi zrobić. Byłem wówczas kawalerem. W pewnym momencie wpadłem na pomysł, aby zawieź te grzyby do domu mojej sympatii, na ulicę Mickiewicza. Tak też uczyniłem. Gdy wysypaliśmy je na podłogę w sporym pokoju, pokryły ją kilkunastocentymetrową warstwą prawdziwków. Opowiadano mi później, że pani domu ze swoimi córkami pracowała przy nich trzy dni. Daje to także wyobrażenie o ich ilości.

Ćwiczenia w brygadzie odbywały się często, lecz trwały krótko. Z reguły od trzech do pięciu dni. Myślę, że wynikało to z tego, iż uważano brygadę za jednostkę tak zwanego krótkiego życia, ponieważ była priorytetowym celem w zwalczaniu przez wojska rakietowe i lotnictwo nieprzyjaciela. Ćwiczenia przebiegały w ten sposób, iż z koszar wyjeżdżało się w nocy, nad ranem rozwijało łączność na polowych stanowiskach dowodzenia i między nimi, w dzień kiedy ćwiczyły dowództwa zabezpieczało się łączność, pod wieczór zwijało sprzęt i linie łączności oraz ustawiano kolumny do wymarszu, w nocy przemieszczano w nowe rejony, nad ranem rozwijało się i tak w kółko przez kilka dni.

W nocy nie można było odpocząć, ponieważ każdy oficer i podoficer zawodowy był dowódcą (dysponentem) pojazdu lub prowadził kolumnę marszową, wieczorem i rankiem kierowało się zwijaniem i rozwijaniem elementów łączności, a w dzień trzeba było nadzorować pracę sprzętu i załóg oraz naprawiać stale psujący się sprzęt.

O intensywności tych ćwiczeń niech świadczy fakt, iż w czasie ich trwania w zasadzie się nie spało, a i o drzemkę było niezwykle trudno. Pamiętam, że w trakcie kilku ćwiczeń chciałem chociaż raz zdjąć buty z nóg. Udało się to jednak tylko połowicznie. Po zdjęciu jednego z nich, otrzymałem sygnał wzywający mnie natychmiast do sztabu. Największym utrapieniem były jednak długie, nocne jazdy w kolumnach, szczególnie w ostatnich dniach ćwiczeń, kiedy już wszyscy byli potwornie zmęczeni.

Dla zwiększenia bezpieczeństwa przewożonych ludzi i sprzętu, kierowcy pojazdów mieli zagwarantowane osiem godzin snu na dobę, natomiast kadra walczyła ze zmęczeniem i snem na różne sposoby. A to wychylało się głowę z kabiny, a to prowadziło, czasami nawet bzdurne, rozmowy z kierowcami lub stosowało różne indywidualne sztuczki zapobiegające zasypianiu.

Zdarzało się jednak nieraz, iż w czasie jazdy usnęli kierowca i dysponent. Wówczas wóz wjeżdżał do rowu lub w pole, albo stawał na szosie,

powodował zderzenie lub uderzał w drzewo. Mnie zdarzyły się dwa lub trzy przypadki, kiedy kierowca zasnął za kierownicą, a mnie obudziło trzęsienie samochodu jadącego już po poboczu szosy. Tylko mój szybki refleks i nagły skręt kierownicą uratowały nas przed wjechaniem do rowu. A przypadki i kraksy w czasie ćwiczeń bywały różne.

Na przykład radiostacja średniej mocy R-118, zamontowana na samochodzie ciężarowym Star 66, jadąc z dużą prędkością na zakręcie wyleciała z szosy i ruchem korkociągu stoczyła się z kilkunastometrowego nasypu na bagnistą łąkę. Jadąc za nią z przerażeniem obserwowałem co się dzieje i w jakim położeniu znajduje się pojazd po wypadku. Leżała na boku i wyciekały z niej oleje i benzyna. Najbardziej obawiałem się o los ludzi siedzących w środku wiedząc, że przy takim korkociągu i upadku mogło dojść do nieszczęścia, a także mogły pozrywać się agregaty prądotwórcze, zamontowane w środku, i inne urządzenia łączności oraz pojemniki z częściami zapasowymi i naprawczymi.

Gdy więc zobaczyłem jak przez boczne okienko wyszła po kolei cała załoga, odetchnąłem z ulgą. Reszta była do naprawienia. Swoją drogą to załogę uratowało jej niechlujstwo, ponieważ swoje rzeczy osobiste, w tym plecaki, koce i materace wrzucili między dwa przedziały agregatowe. Gdy więc dwa, słabo przymocowane, zespoły spalinowo-elektryczne zerwały się, ugrzęzły w ich rzeczach osobistych, ratując im zdrowie, a może i życie.

Będąc dowódcami plutonów w baterii dowodzenia brygady, w większości ćwiczeń to my prowadziliśmy kolumnę marszową stanowiska dowodzenia brygady oraz planowaliśmy jego przemieszczenie, rozmieszczenie sprzętu w rejonach dla potrzeb dowodzenia. Rola dowódcy brygady, a w zasadzie szefa sztabu była taka, że wskazywał gdzie należy przemieścić stanowisko dowodzenia i o której powinno być czynne w nowym rejonie. Jako że dowódca baterii dowodzenia, będąc zajęty innymi sprawami, nie kwapił się zbytnio do prowadzenia kolumny, to rola ta przypadała któremuś z nas.

Przy okazji kilka zdań o dowódcach baterii dowodzenia brygady. Pierwszym jej dowódcą w trakcie organizacji, a później dowódcą plutonu ochrony był oficer piechoty porucznik Wacław Bloch. W dalszych latach oficer kadr sztabu brygady. Natomiast najbarwniejszą postać stanowił długoletni dowódca baterii dowodzenia kapitan Zygmunt Borowiec. Przystojny, złocisty blondyn o szczupłej i wysportowanej sylwetce. Szalony jeździec na motocyklu Jawa. Typ urodzonego dowódcy. Posiadał tę iskrę bożą, która przyciąga ludzi jak magnes i pozwala nad nimi panować bez krzyku i przymusu. Był typem watażki, za którym w ogień skoczyłaby kadra i żołnierze zasadniczej służby wojskowej. Dla nas zaś, młodych oficerów, stanowił wzór do naśladowania, a dla mnie do tej pory jest największym ideałem dowódcy i przełożonego. W latach późniejszych dowódcą baterii dowodzenia brygady był także Karol Kociałkowski.

# Konstap

W maju 1965 roku dowództwo brygady i jej bateria dowodzenia zostały poddane przez przełożonych pierwszemu gruntownemu sprawdzianowi, biorąc udział we frontowym ćwiczeniu pod kryptonimem „Narew". Od początku było ono okryte wielką tajemnicą. Charakteryzowało się także dużym zaangażowaniem dowództwa i znacznym wysiłkiem kadry i żołnierzy. Dotyczyło nas bezpośrednio i cechowało wieloma ciekawymi faktami i wartymi wspomnienia doświadczeniami.

W ramach przygotowania do tego ćwiczenia sprzęt już dużo wcześniej został ustawiony na placu alarmowym w gotowości do wyjazdu. Pogoda była wspaniała, słoneczna i bardzo ciepła. Czekaliśmy jeden dzień, drugi dzień. W trzecim dniu porządnie już wymęczeni upałem i bezczynnością poszliśmy we trójkę, Zygmunt Sznepka, Rysiu Saga - dowódca plutonu ochrony i ja, do kasyna na obiad. Po nim zostaliśmy jeszcze w bufecie, bo pragnienie męczyło nas okrutnie. Od zimnych napojów przeszliśmy jednak do wódeczki. W sumie przez dwie, trzy godziny wypiliśmy niedużo, bo nie więcej niż jedną półlitrową butelkę wódki. Wydawało nam się, że jest wszystko w porządku. Tak jednak nie było.

Pierwszy sygnał o tym, że będzie wyjazd przyniósł jeden z oficerów. Następnie pojawił się sam szef sztabu pułkownik Dynkowski, który łagodnie i z wielką kulturą tłumaczył nam, że mamy już dość w czubie i powinniśmy iść do swoich żołnierzy. Po chwilowym ociąganiu udaliśmy się na drugą stronę koszar. Po drodze Rysiu Saga „odstawił" wojenne pożegnanie ze swoją żoną i dziećmi. Odbyło się ono przed bramą wejściową do brygady w pobliżu dyżurki oficera dyżurnego i nacechowane było gorącymi łzami ronionymi na klęczkach. Następnie udaliśmy się do swoich pododdziałów.

Na tym epizodzie „film mi się urwał". Oprzytomniałem w kabinie samochodu. Było już ciemno, a wokół świeciły latarnie. Otworzyłem drzwi kabiny i wyszedłem z samochodu. W zasadzie nie wyszedłem, a wypadłem na pysk z dużej wysokości. Nie przypuszczałem bowiem, że samochód stał już na platformie kolejowej na stacji i do ziemi było około dwa, trzy metry. Całe szczęście dla mnie, że pociąg nie był w ruchu. Podniosłem się z trudem i spostrzegłem, że w pobliżu stoi dowództwo brygady i szef łączności major Janusz Dąbrowski. Dowódca brygady patrząc na mnie, ze stoickim spokojem powiedział tylko:

- Patrzcie, majorze Dąbrowski, jakich macie oficerów.

Pozbierałem się szybko i udałem do swoich żołnierzy. Po drodze z przerażeniem stwierdziłem, że mam pustą kaburę i brak w niej pistoletu. Ogarnął mnie chwilowy przestrach. Myślałem intensywnie, co mogło się stać. Doszedłem do wniosku, że mógł to zrobić kawalarz Rysiu Saga. Od-

szukałem go więc i mocno nim potrząsnąłem. Przyznał się natychmiast do żartu pod wściekłą groźbą obicia po pysku i pistolet oddał.

Dotarłem wreszcie do swoich żołnierzy, którzy rozwijali łączność przewodową w eszelonie. Kierował tym mój zastępca sierżant Roman Krzyżanowski, lat około trzydziestu, z dużym doświadczeniem fachowym, a przy tym dobry organizator i dowódca. Miał tylko jedną sporą wadę. Jak dostał żołd (miesięczną wypłatę) natychmiast wyjeżdżał do Szczecina i nie było go dwa, trzy, a nieraz cztery dni, to jest do czasu, aż przehulał wszystkie pieniądze. Później już, jak skruszony grzesznik, pracował uczciwie do końca miesiąca.

Łączność przewodową w eszelonie rozwijało się w ten sposób, iż zapewniało się oficerowi dyżurnemu eszelonu łączność z komendantem eszelonu, maszynistą, wartownią oraz wartownikami, a szczególnie wartownikiem na końcu składu pociągu.

Od samego początku jazdy eszelonu, nikt z ćwiczących nie wiedział jaka jest docelowa stacja kolejowa. Pierwszy z maszynistów miał wpisaną w dokumenty nazwę Konstap. Myśleliśmy więc, że jest to nazwa stacji docelowej. Szukaliśmy jej na mapach, lecz bez rezultatu. Sytuacja nieco się rozjaśniła, jak zmieniano na trasie kilka razy parowozy i każdy z maszynistów miał wpisaną jako stację docelową Konstap. Te zmiany parowozów prawdopodobnie podyktowane były potrzebą zachowania w tajemnicy całej trasy przejazdu eszelonu i miejsca odbycia ćwiczeń. Dopiero pod koniec podróży koleją dowiedzieliśmy się, iż Konstap jest skrótem od końcowej stacji przeznaczenia.

Jazda eszelonem trwała przeszło dobę i w jej efekcie dotarliśmy do Puszczy Białej w rejon Chorzele, Zimna Woda. Tam rozwinęliśmy stanowisko dowodzenia brygady, a w jego ramach węzeł łączności. Zapewnialiśmy wewnętrzną łączność przewodową na stanowisku dowodzenia brygady oraz dalekosiężną łączność radioliniową i pocztową ze stanowiskami dowodzenia armii. Łączność radiowa pracowała w zasadzie na odbiór. Wszystko przebiegało w miarę spokojnie, a łączność działała należycie.

Pewnego dnia, w godzinach przedpołudniowych, kiedy odpoczywaliśmy z majorem Dąbrowskim w zacisznym i nieźle nasłonecznionym miejscu, zaczął się niespodziewany ruch w okolicach centrum kierowania uderzeniami jądrowymi. Słychać było także mocno podniesione głosy. Podeszliśmy więc nieco bliżej i zobaczyliśmy bardzo dużo samochodów wyższego dowództwa, to znaczy samochody Wołga i inne, będące na wyposażeniu dowództwa armii i frontu. Ponadto kilku generałów, którzy podniesionymi głosami „rugali" dowódcę brygady. Był to widok niecodzienny i dla nas bardzo szokujący.

Przyczyna tego stanu rzeczy była nad wyraz ciekawa. Zaczęło się od tego, że jeden z młodych oficerów lubił kręcić się koło dowództwa i przebywać w centrum kierowania. Skorzystali z tego oficerowie artylerzyści,

stare wygi w swoim fachu, pełniący tam dyżur. Pozostawili w nocy owego oficera samego na dyżurze. Co prawda udzielili mu instruktażu i pokazali jak przyjmuje się komendy ogniowe, rozkodowuje informacje, koduje i przekazuje do dowództwa armii, lecz był to proceder dosyć trudny, ponieważ kodowanie było podwójne lub potrójne i łatwo było się pomylić. I tak też się stało.

W nocy przyszły komendy do wykonania uderzeń jądrowych. Oficer ten zrealizował określone procedury i przesłał zakodowane informacje o ich wykonaniu. Po sprawdzeniu okazało się jednak, że brygada wykonała uderzenie na stanowisko dowodzenia własnej armii. W ten sposób przestało ono istnieć, a bezrobotni generałowie przybyli na stanowisko dowodzenia brygady „wyrazić swoją opinię" o dowództwie brygady i jego umiejętnościach.

Na ćwiczeniu tym zdarzył się jeszcze jeden, warty wspomnienia przypadek. Kostek Karmelitow spacerując po lesie z lekarzem wojskowym porucznikiem Mokrskim napotkał i zapoznał ładną leśniczankę, Alicję z krainy czarów, a może oczarów. Efektem tego zdarzenia były potem częste wyjazdy w te rejony, a finałem ich ślub, który miał miejsce pod koniec 1965 roku.

Oprócz tych zdarzeń ćwiczenie przebiegło sprawnie, a udział w nim brygady oceniono pozytywnie, uznając wyeliminowanie własnego stanowiska dowodzenia armii jako wypadek przy pracy. Następnie wróciliśmy transportem kolejowym do Choszczna, a ćwiczenie zakończyło się dopiero po doprowadzeniu sprzętu do ponownej gotowości bojowej.

Wiedzieliśmy jednak, że wisi nad nami kara. Zaplanowaliśmy więc szkolenie pododdziałów poza koszarami myśląc, że nam się upiecze, jak nie będziemy pod ręką. Niestety. Pewnego dnia w rejon szkolenia przybył dyżurny baterii i zameldował, że czeka na nas w bateryjnej świetlicy szef sztabu brygady. Po naszym niespiesznym przybyciu, pułkownik Dynkowski trochę nas, winowajców postrofował i ukarał każdego trzema dniami aresztu domowego. Polegał on na tym, iż od godziny szóstej do godziny dwudziestej drugiej należało przebywać w koszarach, a w nocy spało się w internacie. Kary te darowano nam i skreślono z ewidencji już 22 lipca z okazji święta Odrodzenia Polski.

## Dalsze dzieje

A teraz kilka słów o szefie łączności brygady majorze Januszu Dąbrowskim. Był, raczej nie rzucającym się w oczy, mężczyzną średniego wzrostu. Niezwykle spokojny, sympatyczny i szanujący swoich podwładnych. Zwracał się do nas, młodych oficerów, przez pan, co w tamtym cza-

sie było ewenementem. Zawsze zapracowany i obłożony stertami papieru. Mistrz w opracowywaniu wszelkich sprawozdań. Nieraz mówił do mnie:

- Panie Mazurkiewicz, ja już więcej napisałem w życiu niż sam Mickiewicz, chociaż nie wierszem.

Pisząc sprawozdania, raz zerkał na papier, a raz ostentacyjnie na sufit i przy takiej metodzie sprawozdania były napisane wzorowo, zawsze zadawalając przełożonych. Miał żonę, Basię, ładną filigranową i niezwykle rozrywkową panią. Wodziła zawsze prym w towarzystwie, w tym szczególnie wśród młodych oficerów łączności.

W ciągu trzech lat pobytu w Choszcznie, jako pierwszy odszedł z 16 dywizjonu do Szczecina Mietek Miciak. Zaś na jego miejsce poszedł z baterii dowodzenia brygady Stasiu Lubiak. Ponadto z 17 dywizjonu odszedł na stanowisko kierownika polowej stacji pocztowej brygady Kostek Karmelitow, który oprócz pełnienia tych obowiązków, pomagał także w pracy szefowi łączności brygady. W następnych latach mnie skierowano do 17, a Karola do 16 dywizjonu, obu nas na stanowiska o następujących łączonych funkcjach: starszy pomocnik szefa sztabu dywizjonu, szef łączności, dowódca baterii dowodzenia.

Bateria dowodzenia składała się z plutonu radiowego, plutonu węzłowego, samodzielnej, dziesięcioosobowej drużyny przeciwlotniczej i sekcji przygotowania danych (SPD). W plutonie radiowym występowały dwie, krótkofalowe radiostacje średniej mocy R-118 i wozy dowodzenia R-125 różnych typów na gazikach. W plutonie węzłowym były aparatownia węzłowa RWŁ-1, dwie drużyny przewodowej łączności wewnętrznej i trzy drużyny przewodowej łączności dalekosiężnej. Łącznie bateria dowodzenia liczyła około 50 żołnierzy.

W porównaniu z bateriami startowymi mieliśmy prawie dwukrotnie więcej żołnierzy. Przy tym w bateriach startowych było zawsze po kilkunastu żołnierzy zawodowych, a u nas najczęściej nie tylko brakowało kadry, lecz nie było także podoficera zawodowego na stanowisku szefa baterii. Mimo tego dawaliśmy sobie nieźle radę, a jeżeli chodzi o stan dyscypliny i porządek w pododdziałach oraz wyszkolenie żołnierzy byliśmy lepsi od baterii startowych. Bateria dowodzenia 17 dywizjonu była przez dobrych kilka lat prawie etatową kompanią honorową 2 Pomorskiej Brygady Artylerii (byłej 20 Brygady Artylerii). Pod moim dowództwem brała także udział, jako kompania honorowa, w uroczystej odprawie wart przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Aby podnieść i utrzymać wysoki poziom dyscypliny i szkolenia, w sytuacji kiedy dowódcami plutonów, drużyn, załóg, aparatowni i radiostacji oraz szefem baterii byli żołnierze służby zasadniczej, obmyśliłem konkurs na żołnierza miesiąca. Opracowałem odpowiedni regulamin tego konkursu, zapoznałem z nim wszystkich żołnierzy, a na zebraniu żołnierskim powołaliśmy wspólnie komisję konkursową. Komisja obradując co

miesiąc, oceniała wyniki i proponowała wyróżnienia. Dla żołnierza miesiąca przewidziane było trzy dni urlopu, za drugie miejsce dwa dni urlopu, a za trzecie przepustka dobowa.

Oceniać żołnierzy było stosunkowo łatwo, ponieważ szkolenie polityczne i ogólnowojskowe prowadziłem osobiście z całą baterią. Szkolenie specjalistyczne oceniali dowódcy plutonów i samodzielnych drużyn. Do oceny dyscypliny i porządku włączaliśmy także szefa baterii.

Rezultaty współzawodnictwa były nadspodziewane. Żołnierze sami się mobilizowali, a wszystkiego pilnowali dowódcy plutonów, samodzielnych drużyn i szef baterii. Ja tylko stałem na straży sprawiedliwego oceniania i obiektywnego działania komisji. W efekcie tego współzawodnictwa przez wiele lat nie miałem problemów z dyscypliną żołnierzy i ich wyszkoleniem, mimo wakatów na etatach żołnierzy zawodowych. O dobrym wyszkoleniu specjalistycznym niech świadczy fakt, iż w okręgowych zawodach wojsk łączności Pomorskiego Okręgu Wojskowego drużyna kablowa z baterii dowodzenia 17 dywizjonu zdobyła pierwsze miejsce, a więc była najlepsza w okręgu. Także we wszystkich ćwiczeniach, sprawdzianach i egzaminach bateria wypadała dobrze i bardzo dobrze.

Jak już wspominałem, dużo ćwiczyliśmy w terenie. Ze względu na osobiste wątki i fakty prawie nie do uwierzenia, przypomnę jeden z nich. Na polecenie szefa sztabu dywizjonu majora Zbigniewa Mitręgi wyjechałem z baterią dowodzenia w teren, w okolice Stargardu Szczecińskiego. Miałem stanowić końcowe ogniwo w ćwiczeniu armijnym. Polegało to na tym, iż zapewniałem łączność radioliniową ze stanowiskiem dowodzenia armii i garnizonem w Choszcznie oraz radiową, krótkofalową za pomocą radiostacji R-118 na odbiór, w celu przyjmowania komend startowych z armii i przekazywaniu meldunków o ich wykonaniu drogą radioliniową. Cele były zawczasu przygotowane, a więc treść przekazywanych meldunków także.

Moja rola była więc prosta i bezproblemowa. Musiałem jednak przyjmować i przekazywać komendy startowe z centrum kierowania uderzeniami jądrowymi. Tworzyły go dwa połączone autobusy sztabowe, wyposażone w urządzenia głośnomówiące, wzmacniające i zasilające, które połączone były z radiostacją R-118 i aparatownią węzłową RWŁ-1C. W skład tej ostatniej wchodziła między innymi stacja radioliniowa R-405 Z, mogąca zapewnić czterokanałową łączność (w tym telefoniczną i telegraficzną) w dwóch kierunkach radioliniowych i w dwóch zakresach - metrowym lub decymetrowym.

W czasie pełnienia dyżuru w centrum kierowania, w pewnym momencie z głośników popłynęła piękna muzyka. W pierwszej chwili pomyślałem, że to obsługa aparatowni przestroiła odbiorniki radioliniowe na częstotliwość, na której pracuje jakaś rozgłośnia radiowa, co było surowo zabronione. W złości wypadłem więc z centrum kierowania i poszedłem do aparatowni. Po wejściu do środka stwierdziłem, że nikt nie słucha muzyki,

a częstotliwości odbiorników ustawione są zgodnie z danymi radioliniowymi. Byłem pewny, że żołnierze widząc jak się zbliżam, zdążyli z powrotem przestroić odbiorniki. Trochę więc ich obsztorcowałem i wróciłem do centrum, a tam znowu gra muzyka pełną parą. Wróciłem do aparatowni ponownie, a tam sytuacja bez zmian. Odbiorniki ustawione właściwie, a żołnierze zarzekali się, że nie przestrajali odbiorników.

W tej sytuacji zacząłem się zastanawiać, jaka może być przyczyna tego zdarzenia. Mając zaufanie do żołnierzy, postanowiłem zbadać inne ewentualności. Kazałem odłączyć kable łączące centrum kierowania z aparatownią węzłową i radiostacją R-118. Po sprawdzeniu wykonania tych czynności poszedłem ponownie do centrum kierowania, a tam muzyczka gra dalej. Usiadłem i był to moment zwątpienia w wiedzę, którą posiadałem. Nie mieściło mi się w głowie, aby mogły to robić same głośniki, bez urządzeń radiowych, w tym detektorów. Wszystko to wglądało na jakieś dziwne, i sprzeczne z podstawową wiedzą z zakresu radiotechniki, cuda.

Długo siedziałem i w myślach dokonywałem przeglądu sytuacji. W pewnym momencie nastąpiło olśnienie. Spojrzałem na mapę. Patrząc na nią uważnie stwierdziłem, że jesteśmy niecały kilometr od masztu antenowego nadajnika radiowego emitującego na falach długich program dla Polaków za granicą. Jego moc była tak duża, a odległość od niego tak mała, że nawet w okablowaniu wozów i urządzeniach głośnomówiących następowała detekcja sygnału i głośniki pracowały normalnie. Odetchnąłem z ulgą, zmieniłem sposób sterowania i wykorzystania urządzeń głośnomówiących, przywracającym tym samym niezakłóconą łączność i wiarę w posiadaną wiedzę.

Teraz powrócę do spraw osobistych. Zwykłą koleją rzeczy szukaliśmy partnerek, w tym na całe życie. I wcześniej, czy później każdy z nas na taką trafia. Ja ożeniłem się pierwszy, bo już w kwietniu 1965 roku z Danutą Pieszko. W tym samym roku ożenił się także Kostek Karmelitow z Alicją, poznaną na wspominanych już ćwiczeniach. Następnie ożenili się: Karol Kociałkowski z Wiesławą z Łodzi, poznaną na przysiędze wojskowej brata, który był w tym czasie podwładnym Zygmunta Ziętka oraz Zygmunt Ziętek ze Stenią, mieszkającą po sąsiedzku przy koszarach. W dalszej kolejności, chociaż trochę później, związki małżeńskie zawarli Stasiu Lubiak, Jasiu Worm i Zygmunt Sznepka. Wszyscy wzięli za żony rodowite choszczninanki. Chociaż w Choszcznie wybór dziewczyn w stosunku do potrzeb nie był zbyt duży, to trzeba przyznać, że łącznościowcy otrzymali za żony bardzo dorodne i urodziwe dziewczyny. Przy tym pracowite i poważnie podchodzące do życia. Efektem tego jest kilkudziesięcioletnie szczęśliwe pożycie tych par i brak rozwodów. Zaś wymieszanie krwi sprawiło, że rodziły się dzieci dorodne i mądre, na pociechę rodziców i dziadków.

Dla większości z nas Choszczno było bardzo ważnym, ale tylko etapem w życiu prywatnym i służbowym. Każdy z nas, wcześniej czy później, myślał o dalszym kształceniu, a to wiązało się z wyjazdem z Choszczna.

Pierwszym, który wyjechał z Choszczna na studia w Wojskowej Akademii Technicznej był Kostek Karmelitow. Następnie ubył w rodzinne strony Zygmunt Ziętek. Odszedł do Lublina na garnizonowy węzeł łączności, którego był potem długoletnim szefem. Karol Kociałkowski jako pierwszy, a ja następny rozpoczęliśmy studia w Akademii Sztabu Generalnego WP, zaś Stasiu Lubiak w Wojskowej Akademii Politycznej. Zygmunt Sznepka ubył do Kazunia, a następnie do Kielc, gdzie pracował w brygadzie łączności i kończył studia w Akademii Wychowania Fizycznego. Jasiu Worm ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Łączności, uzyskał tytuł inżyniera i w Choszcznie pełnił obowiązki szefa łączności brygady, pozostając tam do czasu odejścia na emeryturę.

*Tadeusz Wojtuszkiewicz*

# W STEPACH KAZACHSTANU

Minęło kilkanaście lat od ostatniego mojego wyjazdu na rozległe stepy Kazachstanu, które trzykroć dane mi było odwiedzić z racji służbowych powinności. Wiele momentów zatarło się już w pamięci, a notatki z podróży, jakie uprzednio robiłem, zawieruszyły się w czasie ostatniej przeprowadzki z Włocławka do Bydgoszczy, w której w 1991 roku, po trzydziestu dwu latach służby odszedłem na emeryturę.

Moja służba przez ostatnie dwadzieścia lat w jednostkach liniowych wojsk obrony przeciwlotniczej wiązała się z corocznymi, wielokrotnymi udziałami w ćwiczeniach, bądź też jedno i dwumiesięcznymi pobytami na poligonach artyleryjskich, najczęściej w Wicku Morskim, Drawsku i Biedrusku. Raz na trzy, pięć lat jednostka prawie w całym składzie, dwoma eszelonami jechała na wykonanie sprawdzających strzelań bojowych na poligonie w Kazachstanie.

Podróż w jedną stronę trwała około tygodnia, wliczając w to całodzienny przeładunek na stacjach granicznych na wagony kolei radzieckiej o szerokim torze. Wagony z przedziałami czteroosobowymi dla kadry były w miarę znośne, zaś żołnierze służby zasadniczej jechali w wagonach towarowych z pryczami przystosowanymi do leżenia.

Jechaliśmy przez Białoruś, Ukrainę i Rosję w stepy Kazachstanu. Z okien wagonów obserwowaliśmy zmieniające się krajobrazy, które często były zakryte pasami leśnymi. Pasy te spełniały dwojakie cele. Zasłaniały wgląd w teren, a ponadto chroniły w porze zimowej tory kolejowe przed zaspami.

Monotonię kilkudniowej podróży przerywały postoje na bocznicach, w czasie których obsługa kuchni i wyznaczeni na kelnerów żołnierze roznosili w termosach posiłki przygotowywane w wagonie kuchennym. W tym czasie obsługa pociągu uzupełniała zapasy paliwa i wody, jako że głównie ciągnęły nasz sześćdziesięcio-siedemdziesięciowagonowy eszelon

dwie, potężne, sprzężone lokomotywy spalinowe, które po szerokim torze gnały na wschód nawet sto kilometrów na godzinę. Gdy boki bolały już od leżenia, to w przedziałach tworzono grupy „karciarzy", które rozgrywały partie brydża, tysiąca, pokera lub szachów.

Zapamiętałem szczególnie jeden z wyjazdów, który przypadał na drugą połowę lipca. Trafiliśmy na iście tropikalne upały, zarówno na trasie przejazdu, jak i w samym Aszułuku. Rozebrani do slipek zbieraliśmy ręcznikiem ociekający pot z gołego torsu. Dodatkową udręką była konstrukcja wagonów osobowych, w których szyby w oknach zamontowano na stałe, bez możliwości ich otwarcia, a nagrzane słońcem dachy wagonów tworzyły warunki, jak w saunie. Poradziliśmy sobie z duchotą wybijając dwie szyby na przeciwległych końcach korytarza. Zrobiło się sporo lżej, a za rozbite szyby zapłaciliśmy później.

Rytuał codziennego, porannego picia kawy, niekonieczne wzmocnionej przez szefa bufetu, który dysponował znacznym zapasem (przydziałem na głowę) środków „dopingujących", sprzyjał różnym wspomnieniom i opowiadaniom, a także stwarzał okazję do zakładania się o wiele różnych spraw. Poniżej przedstawię dwa autentyczne zakłady.

Miała w sobie coś dziwnego stacja kolejowa Aszułuk, znajdująca się na trasie Moskwa-Saratow-Astrachań, na której wiele, wiele razy przyszło nam wsiadać i wysiadać z pociągu „Lotos", albo rozładowywać się i załadowywać do eszelonów. Otóż bardzo wielu osobom, tak wśród oficerów, jak i żołnierzy służby zasadniczej, które tam wysiadały, przestawiały się strony świata. I nijak nie dawało się wytłumaczyć tym „przestawionym", że w tym kierunku to jest to, a w tamtym - tamto.

Pewnego razu na stacji Aszułuk znalazła się grupa oficerów Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego, powracająca koleją do Astrachania, aby stamtąd udać się samolotem do Warszawy. Dwóch spośród nich, jeden pułkownik z Moskwy, chwilowo rezydujący w Warszawie i drugi - pułkownik K. z Bydgoszczy, zaczęło się głośno zastanawiać, z której strony stacji przyjedzie ten pociąg z Moskwy do Astrachania (czyli, gdzie tu jest północ, a gdzie południe?). Oficer radziecki twierdził, że z tej, polski - że z tamtej. Pozostali oficerowie mieli na ten temat swój punkt widzenia, ale głosu nie zabierali, czekając co z tego wyniknie. I doczekali się - zakładu o butelkę koniaku. Kiedy pociąg do Astrachania nadjechał ze strony wskazanej przez polskiego oficera, nikt się grzecznościowo nie odezwał, a skoro tylko samolot wystartował z Astrachania i wziął kurs na Warszawę, radziecki pułkownik zaserwował wszystkim po lampce niezłego koniaku.

W jednej z takich podróży po raz pierwszy brał udział, starszy już doświadczeniem oczywiście, pułkownik B. z Bydgoszczy. Kiedy po opuszczeniu Saratowa, z prawej i lewej strony zdążającego na południe pociągu widać było bezkresne, płaskie obszary, jednoznacznie kojarzące się ze stepem a nie z polami uprawnymi, w gronach obserwatorów stojących

w oknach naszych wagonów toczyły się dyskusje o tym, co mogłoby wyrosnąć na tych obszarach i ile by tego było.

Od czasu do czasu, w pewnej odległości od linii kolejowej, widać było bardzo duże pryzmy czegoś usypanego bezpośrednio na stepie. Zainteresował się nimi wspomniany już pułkownik B. Zaczął dywagować, co też to mogłoby być, a następnie na sugestię pułkownika G., który tę trasę zaliczył już nie jeden raz, że w tych pryzmach znajduje się pszenica, zaśmiał się tylko i powiedział, iż gotów jest założyć się o koniak, że są to pryzmy piasku, a jeśli nie piasku, to na pewno nie pszenicy. Zakład przyjęto, ręce „przecięto" i towarzystwo czekało na jakąś stacyjkę, w rejonie której te pryzmy byłyby bliżej torówi można by to sprawdzić. I stało się tak w rejonie stacji Wierchnij Baskuńczak. A kiedy już dla pułkownika B. było jasne, że to pszenica, powiedział, że nawet dwa koniaki postawi, bo „nie spodziewał się, że Kraj Rad tak go jeszcze potrafi zaskoczyć".

Nasze radziecko-poligonowe podróże wypadały akurat w okresie, kiedy w Polsce półki sklepowe raczej nie uginały się od towarów. A jeśli już, to nie od kawy, rodzynek, arbuzów, złota i to po bardzo atrakcyjnych cenach. Wniosek był prosty. Należało w miarę możliwości połączyć poligonowe obowiązki z wykonaniem paru interesujących zakupów.

Zakupy w Moskwie charakteryzowały się pewną specyfiką polegającą na tym, że tylko w niektórych sklepach, położonych w różnych częściach Moskwy, można było dostać określone towary. I tak: złoto na Gorkiego, kawę w GUMie (Gasudarstwiennom Uniwermagie) i innych „gastronomach", a rodzynki, bywało, że tylko na Arbacie. Należało więc mieć dobre informacje, czytelny plan Moskwy i moskiewskiego metra, a reszta zależała od szybkości poruszania się, łatwości porozumiewania z „diewuszkami", no i szczęścia w trafieniu na właściwy asortyment.

Niezłe zakupy w połączeniu ze zwiedzaniem można było zrobić na wystawie osiągnięć gospodarki radzieckiej, czyli tak zwanej We-De-En-Cha - „Wystawki Dostiżenij Narodnowo Chazjajstwa". Po drodze mijało się słynną moskiewską wieżę telewizyjną Ostankino oraz jeszcze bardziej znany i słynny pomnik prezentowany na początku większości radzieckich filmów fabularnych - „Raboczij i kałchoznica". Po udanych zakupach, w drodze powrotnej do hotelu położonego w takim, czy innym „piereułkie", dochodził jeszcze problem przechodzenia przez bramki w metrze, bo ze względu na zajęte ręce, nie było jak wrzucić pięciu kopiejek do automatu a bramka zamykała się zbyt szybko.

Zakupy na trasie przejazdu eszelonu odbywały się pieszo, i biegiem. Były także improwizowane: jest towar mniej czy bardziej potrzebny, ale nie starczy czasu, żeby jeszcze raz tu zajrzeć oraz trzymające w niepewności pytanie - stoi jeszcze ten eszelon na stacji, czy już odjechał?

Było w naszym towarzystwie kilku kolegów wyspecjalizowanych w pogoni za eszelonem, ale co najdziwniejsze - zawsze udawało im się go

dojść. To po pierwsze, a po drugie - z wieloma z tych okazyjnych zakupów nie wiadomo było później co zrobić. Acha, pamiętam jeszcze jeden ciekawy zakup, prawie obowiązkowy. Otóż, kiedy w drodze powrotnej do Polski pociąg zbliżał się w środku nocy do stacji Wierchnij Baskuńczak, towarzystwo było budzone przez „prowadnice" wagonów i informowane, że na stacji czekają z arbuzami. No więc wszyscy w dresach wyskakiwali na peron i nabywali po kilka okazałych arbuzów w cenie trzypięć rubli sztuka.

Od tego momentu rozpoczynał się bardzo poważny problem. Jak te arbuzy w całości dostarczyć do Polski? Mocno też siadało morale tragarzy arbuzów, kiedy okazywało się, że w Moskwie arbuzy są w cenie 18 kopiejek za kilogram. Tyle tylko, że nie było żadnej gwarancji, że akurat uda się je w Moskwie kupić oraz - kudy tym moskiewskim arbuziątkom do ogromniastych arbuzów z Kazachstanu.

Aby robić zakupy w okołopoligonowych miejscowościach, takich jak Tambowka, Charabali czy Nikolsk, należało dorwać się do Uaza, jakiegoś okazyjnego autobusu, czy nawet do Kraza (olbrzymi samochód ciężarowy) i nie denerwować się kilkugodzinną jazdą. A drogi, którymi się jeździło były w trzech kategoriach: z płyt betonowych ułożonych na rozstaw kół samochodów ciężarowych (nasi kierowcy, szczególnie samochodów osobowych, mieli duże trudności z trafieniem na te prowadnice), z pięknie ubitej gliny (na ogół było upalnie i ta glina rzeczywiście zdawała egzamin) oraz czegoś, co przypominało pierwszą warstwę asfaltu (trasa Wołgograd-Astrachań i dalej na wschód).

Ale za to, kiedy już dojechało się na miejsce, było się zaskoczonym asortymentem towaru. A to całe palety złotych obrączek i pierścionków (później tylko dla znajomych), a to masą różnych, niespotykanych wtedy w Polsce, „techniczieskich izdielij", włącznie z wrzecionami tkackimi, rowerkami dla dzieci i samochodzikami na pedały. Radzieckie stabilizatory napięcia bardzo długo poprawiały jakość telewizji w zielonych garnizonach, młynki do kawy były zakupem obowiązkowym, samowary do dzisiejszego dnia dekorują nam mieszkania. Zaś śrubokręty z wymiennymi końcówkami pachniały wręcz Zachodem. A propos Zachodu, to ostatnie wyjazdy kojarzą mi się zawsze z najlepszymi markami właśnie zachodniej pasty do zębów, kremów do golenia czy proszków do prania.

Mimo powagi, przyjaźni i oczywiście pewnych obaw, bywały także w gronie radziecko-polskim kawały „polityczne". A oto jeden z nich. W wielu syberyjskich dywizjonach rakiet przeciwlotniczych do ochrony tychże, z racji bardzo surowych warunków klimatycznych, zamiast wartowników zatrudniano tygrysy, syberyjskie ma się rozumieć. W jednym z dywizjonów, do „parku" tygrysów - wartowników, przyjęto młodego tygrysa. Nie minęła doba, a w spokojnym zazwyczaj dywizjonie, rwetes i bieganina. Okazało się, że wszyscy szukają szefa sztabu dywizjonu. Stary

tygrys nie czekając, aż przyjdą do nich wypytywać w tej sprawie, a mając pewne podejrzenia, zawołał młodego tygrysa, i zapytał:

- Czy to aby nie ty przyłożyłeś łapę, to znaczy kły, do tej historii?

Młody skulił ogon i przepraszającym tonem oznajmił:

- Jest mi bardzo przykro, ale byłem bardzo głodny.

Stary tygrys pokiwał głową i odrzekł:

- Durak ty, durak. Ja dwa tygodnie temu, też z głodu, co prawda, zjadłem zastępcę dowódcy dywizjonu do spraw politycznych i jak dotąd, jeszcze go nikt nie szukał.

Zachowały mi się w pamięci rozległe przestrzenie stepów, zwłaszcza w zachodniej części Kazachstanu, w rejonie dolnego odcinka Wołgi, między Wołgogradem a Astrachaniem, gdzie każdorazowo odbywaliśmy ćwiczenia połączone ze strzelaniem bojowym do różnych celów powietrznych, a więc rakiet oraz środków bezpilotowych.

O roślinności stepowej nie będę pisał, gdyż każdy z nas ma pewną wiedzę na ten temat. Świat zwierzęcy na stepie reprezentowany był przez małe zwierzątka, różne gatunki gryzoni, chomiki, ptaki biegające, liczne gady, jadowite pająki i skorpiony. Okazałego skorpiona zatopionego w płytce z żywicy epoksydowej przywiozłem na pamiątkę, a otrzymałem ją od sympatycznego kapitana Olega, oficera łączności komendy poligonu. Za ów upominek zrewanżowałem się między innymi talią kart do gry w brydża, zwłaszcza, że był to chodliwy towar, gdyż koszulki kart były nieco „rozebrane", przedstawiając akty panienek. Nie doczekałem się jednak orientalnych fajek, jakie podczas wieczoru „drużby" obiecał przysłać pochodzący z Turkmenii major Władimir.

Na tych rozległych i trudnych do życia obszarach mieszkający tam ludzie zajmowali się głównie pasterstwem i nie mieli łatwego życia. Pewnego dnia jadąc samochodem terenowym spotkaliśmy idącego starszego mężczyznę z workiem na plecach. Ubrany w typowy drelich, wracał z najbliższego miasteczka odległego od jego osady o około siedemdziesiąt kilometrów. Niósł zakupiony tytoń, cukier, herbatę, kaszę i coś tam jeszcze. Zakupione produkty nabył za skórki upolowanych w stepie gryzoni. Był uradowany naszym spotkaniem, gdyż podwieźliśmy go prawie pięćdziesiąt kilometrów, a przed nim było jeszcze kilka godzin wędrówki przez step.

W podróży powrotnej przez Astrachań, Wołgograd i Moskwę imponujące wrażenie wywarła na nas Wołga, olbrzymia zapora i zbudowana na niej elektrownia wodna, należąca do największych w świecie, mająca moc wielu milionów kilowatów. Już z odległości kilkudziesięciu kilometrów wzrok przykuwał górujący nad Wołgogradem Kurchan Mamajewa, a na jego szczycie obelisk. Pomnik ku czci „Bohaterów Stalingradu (Wołgogradu)". We wrześniu 1942 roku trwały tu heroiczne walki obrońców Stalingradu z Niemcami o zawładnięcie wzgórzem wznoszącym się nad miastem. Punktem centralnym zespołu pomnika jest olbrzymia, 52 metro-

wa postać kobiety z mieczem w ręku. Długość samego miecza wynosi dwadzieścia siedem metrów. Posąg żołnierza i płaskorzeźby na ścianie ruin przedstawiają epizody historycznej bitwy. W centrum Panteonu ręka wzniesiona ku górze, wyrastająca jakby z ziemi, trzyma pochodnię z wiecznym płomieniem - pochodnię głoszącą chwałę i wieczny żal po tych, którzy tutaj zginęli, życiem opłacając zwycięstwo.

W drodze powrotnej z poligonu, po zakończeniu ćwiczeń i strzelań na oceny bardzo dobre, dowództwo zorganizowało nam, za zezwoleniem Rosjan, którzy nas pilotowali w eszelonie, kilkugodzinny postój i zwiedzanie Wołgogradu. Była to praktyczna lekcja historii, a zarazem wspomnienia chwały i bohaterstwa żołnierzy radzieckich, a także milionowej rzeszy obrońców - mieszkańców miasta.

*Edward Szybowski*

# Minęły lata

Ojca zbyt dobrze nie pamiętam. Zmarł bowiem w wyniku obrażeń wojennych, gdy miałem zaledwie sześć lat. Jak przez mgłę przypominam sobie uczestnictwo w jego pogrzebie. Z mamą miałem kontakt raz na 2-3 dni, bo jako położna odbierała porody gdzieś w Borach Tucholskich pomagając w tych ciężkich czasach innym ludziom.

Czułem się jednak dowartościowany, bowiem w czasie, kiedy mamy nie było w domu musiałem udzielać doraźnej pomocy w prowadzonym przez nią Ośrodku Zdrowia zajmując się rozdzielnictwem mleka w proszku z Unry, dezynfekcją ran, przy czym jodyna i żółta zasypka dermatol, gaza i bandaż, to były jedyne w tych czasach środki opatrunkowe.

Ponieważ ośrodek zdrowia miedzą graniczył z mleczarnią, bardzo często pomagałem w produkcji masła i twarogu. To doświadczenie wpłynęło na wybór mojego zawodu: w siedemnastym roku życia ukończyłem Technikum Mleczarskie we Wrześni.

Roczna praca w Zakładzie Mleczarskim w Chojnicach i spotkanie z Edim Landowskim, ja - produkcja on - biuro, pozostawiła w nas wiele wspomnień. Wieczorami chodziliśmy do klubu Ligi Przyjaciół Żołnierza na kursy motorzystów i żeglarski, nie zdając sobie sprawy, że to pierwszy krok do służby w Marynarce Wojennej. Później uświadamiając sobie trzyletnią perspektywę służby na morzu bardzo szybko zmieniliśmy zainteresowania na łączność (zamarzyły nam się radio, telewizja) i w ten sposób znaleźliśmy się w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu.

Do szkoły oficerskiej przyszedłem z bagażem doświadczeń życiowych, sprawny fizycznie, z prawem jazdy, stopniem żeglarza, dlatego zarówno aklimatyzacja, jak cały pobyt w szkole zaliczyłem bez stresu i z bardzo dobrymi wspomnieniami.

Z wielu zawodów szkolnych, międzyuczelnianych, jak i ze startów jako członek Ludowego Zespołu Sportowego Nowy Dwór Mazowiecki,

warte odnotowania są następujące moje wyniki: mistrz szkoły w trójboju wojskowym, dwukrotny mistrz szkoły w skoku wzwyż, rekordzista szkoły w skoku wzwyż wynikiem 182 centymetry uzyskanym na zawodach w Pułtusku, trzecie miejsce w sztafecie 5 razy 1000 metrów uzyskane na zawodach szkół oficerskich w Jeleniej Górze pod kierownictwem naszego wspaniałego dowódcy kapitana Stanisława Skibińskiego.

Moim serdecznym kolegą i przyjacielem, a jednocześnie rywalem sportowym w szkole był Władek Urbaniak. Później los pozwolił nam przedłużyć tę wspaniałą znajomość na kilkanaście lat. Patrząc z perspektywy lat, w czasie trzyletniego pobytu w szkole oficerskiej, do najbliższych mi osób, z którymi miło spędziłem czas nad Zalewem Zegrzyńskim i na zawodach, oprócz Władka zaliczam Mariana Szklarka, Mietka Bąka, Adama Nagiełłę i Jurka Wapniarza.

Po ukończeniu szkoły wspólnie ze Stefanem Fręśko, Edkiem Landowskim, Zbyszkiem Berlińskim i Januszem Nadratowskim zamieszkaliśmy w jednym pokoju o powierzchni 18 $m^2$ w hotelu garnizonowym w Bydgoszczy. Do tej samej jednostki, tj. pułku łączności, przydział również otrzymali Piotrek Michalski, Andrzej Amieławski i Paweł Florczak.

Ponieważ w tym czasie zmieniłem stan cywilny, moje odwiedziny małżonki w ciągu roku zaowocowały pięćdziesięcioma dniami aresztu domowego. Jako zestresowany, ale ambitny młody oficer, po rozmowie z wyższym przełożonym (spoza jednostki), zostałem przeniesiony do Kołobrzegu.

W pułku zmechanizowanym zostałem przyjęty bez tego pięćdziesięciodniowego balastu w karcie kar i wyróżnień oraz z przydziałem mieszkania - kawalerki (głownie za sprawą małżonki, która była w ciąży). Pomimo że tylko półtora roku służyłem w tej jednostce, okres ten wspominam jako najpiękniejszą kartę zapisaną w całym życiu wojskowym. Tam wykorzystałem swoją wiedzę i praktykę wyniesioną ze szkoły oficerskiej, zarówno w jednostce, jak i na poligonie. Tak skonsolidowanej kadry oficerskiej i podoficerskiej dzięki sumiennemu wykonywaniu zadań, a potem także na wspólnej zabawie nie spotkałem już nigdy. Moim dowódcą kompani łączności był wówczas porucznik Stanisław Piasecki.

Nasz ukochany komendant OSŁ pułkownik dyplomowany Edward Gierasimczyk w 1966 roku ściągnął wielu oficerów z naszego rocznika do szkoły. W grupie sportowej znaleźli się: Władek Urbaniak, Antoś Wieczorek, Rysio Majewski i ja. W grupie intelektualistów (moje określenie) znajdowali się Czesiu Jasik, Zygmuś Chojnowski i Leszek Kuza. Zastanawiałem się jak nazwać grupę, w której znalazł się Jasio Ziemka - chyba nie będzie przesadą jeśli nazwę ją „silną z przyrodzenia".

W tym samym roku po otrzymaniu zgody od szefa Wojsk Łączności MON rozpoczęliśmy z Władkiem Urbaniakiem studia zaoczne na AWF-ie. Dosyć uciążliwie się studiowało dowodząc plutonem u majora Borkowskiego ps. "Tata łap", o czym przekonał się osobiście służący z nami Czesiu Jasik. Pomysły

miał różne, jak na przykład czuwanie nad zmianą czuwającą, czy obserwacja wartownika na posterunku. Oprócz studiów i dowodzenia plutonami prowadziliśmy z Władkiem treningi reprezentacji szkoły w trójboju wojskowym.

Chociażby ze względów statystycznych, jeśli chodzi o moją działalność w dowodzeniu, odnotujmy fakt, że mój 31 pluton w 1967 roku został przodującym WSOWŁ. Zdarzenie to zbiegło się z ukończeniem przeze mnie drugiego roku studiów na AWF-ie, co wpłynęło na przeniesienie służbowe do zajęć w hali sportowej. Od tego czasu razem z Władkiem Urbaniakiem zostaliśmy instruktorami WF-u. Majorowi Kocielskiemu, ogólnie mówiąc, nie udało się przeszkodzić nam w ukończeniu AWF-u. Przy okazji pobytu na AWF-ie ukończyliśmy specjalizację trenerską w LA. Ten rok był bardzo szczęśliwy, bo w prezencie otrzymałem drugiego syna.

Po odejściu majora Kocielskiego doczekaliśmy się wspaniałego szefa (majora magistra), później doktora Leona Kalinowskiego. Pod jego kierownictwem zmieniliśmy nawierzchnię stadionu, uruchomiliśmy basen, przebudowana została mała strzelnica, a fort i teren do niego przyległy zamieniliśmy na przystań wodną z pomostami i domkami kempingowymi. Doceniono nasze wysiłki wyróżniając złotą odznaką za zasługi dla sportu w województwie warszawskim.

W latach 1975–1976 jako oficer sportowy sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego pozostawiłem swój ślad w postaci poligonowego ośrodka szkoleniowego w miejscowości Głębokie. Do moich podstawowych obowiązków należało prowadzenie zajęć z Radą Wojskową POW oraz szkolenie i kontrola podległych instruktorów wychowania fizycznego w okręgu.

Dla scalenia rodziny (żona z młodszym synem w mieszkała dalej w Zegrzu, ja ze starszym w Bydgoszczy) przyjąłem propozycję etatu instruktora WF-u w najgorszej jednostce w Warszawie, w pułku budowlanym rozrzuconym od Pragi do Okęcia, którego żołnierze przebywali od śniadania do kolacji na budowach. Dzięki wspaniałej postawie części kadry (Wydra, Sejbuk, Sadowski, Rzepka) oraz woli walki sportowej żołnierzy budowlańców wygraliśmy trzy spartakiady z takimi tuzami, jak WSW, Samochodówka, czy Modlin. To był szok w Zgrupowaniu.

Po pięciu latach codziennych dojazdów z Zegrza do Warszawy i z powrotem otrzymałem mieszkanie. Pierwsze nasze mieszkanie, które miało centralne ogrzewanie. Minęło szesnaście lat służby zawodowej i trzydziesty ósmy rok życia. Radość była ogromna, tym bardziej, że zbiegła się z przyjęciem stanowiska kierownika WF w Sztabie Generalnym WP. Zmiany organizacyjne i szkoleniowe, jakie wprowadziłem w przygotowanie reprezentacji sportowych zaowocowały i już w pierwszym roku wygraliśmy zawody. W ciągu pięciu lat mojego pobytu na Rakowieckiej (nie kojarzyć z drugą stroną ulicy) nie oddaliśmy palmy pierwszeństwa w zawodach IC MON. Do wyróżniających się zawodników należeli: Tadeusz Jedynasty, Jerzy Nawrót, Witold Skała, Bolesław Urbański, Ryszard Chmielewski. Za całokształt osiągnięć sporto-

wych w dniu 12 października 1986 roku zostałem odznaczony przez szefa Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego WP - medalem za zasługi w rozwoju kultury fizycznej w Wojsku Polskim.

Pomimo tych sukcesów, z powodu nie wyrażenia przeze mnie zgody na dodatkowe zajęcia niezwiązane z działalnością sportową, zostałem przeniesiony do Ligi Obrony Kraju na etat zastępcy kierownika Biura Stołecznego Zarządu Wojewódzkiego LOK-u, któremu podlegał Wojewódzki Ośrodek Łączności, Wodny i Modelarski. Ponieważ w Zegrzu zdobyłem wszystkie patenty związane ze sportami wodnymi, a wcześniej ukończyłem łączność, to w LOK-u musiałem tylko uzupełnić wiedzę z zakresu modeli pływających i latających.

Oprócz szkolenia telegrafistów dla potrzeb wojska, prowadziliśmy cywilne szkolenia pisania na maszynie na rzecz różnych instytucji, a w zakresie wodnym kursy żeglarskie, motorowodne, płetwonurków. Głównym kierunkiem działalności sportowej w LOK-u były sporty obronne i one skupiały najwięcej dzieci i młodzieży. Wszelkiego rodzaju zawody w LOK-u odbywały się na szczeblu dzielnicy, wojewódzkim, centralnym i międzynarodowym. Warszawa współpracowała i rywalizowała z wszystkimi stolicami państw Układu Warszawskiego. Dla dzieci i młodzieży wyjazdy za granicą stanowiły dodatkowy bodziec w przygotowaniu się do zawodów międzynarodowych. Te same lub podobne wyjazdy na zawody dotyczyły radiopelengacji i modelarzy. Dodatkowo i z dużą odpowiedzialnością prowadzone były kluby strzeleckie na terenie całego województwa warszawskiego.

Mimo że w swoim pionie szkolenia i sportów obronnych dysponowałem dwoma pracownikami cywilnymi, to jednak organizacja jakichkolwiek zawodów sprawiała wiele problemów: to już nie było wojsko, to społecznicy ze swoimi humorami i różnym podejściem do wykonywanej pracy. Był to najtrudniejszy okres w mojej całej dotychczasowej służbie.

W LOK-u pracowałem pięć lat, do 1990 roku, to jest do czasu zlikwidowania naszych etatów. Uważam, że nie była to najlepsza decyzja, twierdząc tak, myślę nie o sobie, ale o dzieciach i młodzieży, bowiem generalnie cała działalność była ukierunkowana na ich rozwój, zarówno fizyczny jak i psychiczny. Niestety, działalność ta została zakończona; w tę pustkę nie zaproponowano im dokładnie NIC.

Od roku 1990 do 1991 byłem w dyspozycji Karola Kociałkowskiego, który przeniósł mnie do rezerwy, za co mu serdecznie dziękuję. Moje wyrazy wdzięczności kieruję do Brunona Majewskiego, który mi bardzo pomógł w trudnym dla mnie momencie życiowym. Po wtóre w jednej grupie ukończyliśmy zaocznie Podyplomowe Studium Organizacji i Kierowania w Akademii Sztabu Generalnego WP w latach 1982-1984. Serdeczne podziękowania składam Antosiowi Wieczorkowi i jego żonie za współpracę, przyjaźń i nieprzespane, brydżowe noce w Zegrzu. Bardzo miło wspominam Tadzia Skowronka, jego wyjątkową serdeczność i szczerość - przesyłam także ukłony jego wspaniałej żonie.

*Jan Worm*

# Bojowe strzelania rakietowe

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku rozbudowane ponad potrzeby i możliwości państwa Wojsko Polskie przeszło głęboką restrukturyzacje zmierzającą do dostosowania go do potrzeb atomowego pola walki. Między innymi wprowadzono na uzbrojenie rakiety ziemia-ziemia przystosowane do przenoszenia broni masowego rażenia, a w szczególności głowic jądrowych. Poczynając od 1961 roku w dość szybkim tempie tworzono związki taktyczne i oddziały rakiet. Jeden z trzech sformowanych wówczas związków taktycznych rakiet zlokalizowany został w Choszcznie.

Organizację tej jednostki wojskowej rozpoczęto 1 grudnia 1962 roku. W jej skład wchodziły dwa dywizjony rakiet operacyjno-taktycznych, bateria techniczna oraz pododdziały dowodzenia i zabezpieczenia działań. Do ich bojowego wykorzystania niezbędne było blisko 350 różnego typu i przeznaczenia pojazdów, agregatów i maszyn obsługiwanych przez około tysiąc żołnierzy, w tym ponad jedną czwartą zawodowych.

Brygada rakiet była jednostką małą, lecz nowoczesną, wysoce mobilną i dysponująca olbrzymim potencjałem rażenia. Była głównym środkiem wsparcia działań wojsk własnych i sojuszniczych uderzeniami rakiet z głowicami jądrowymi. Dlatego utrzymywana była nieprzerwanie w najwyższej gotowości bojowej.

20 Brygada Artylerii, bo taką nosiła nazwę w latach 1962-1967, przemianowana na 2 Pomorską Brygadę Artylerii (1967-1992) cieszyła się opinią jednego z najlepszych związków taktycznych w Wojsku Polskim. W szczególności podkreślano jej gotowość i zdolność bojową, doskonałe wyszkolenie specjalistyczne, skuteczną działalność wychowawczą, tradycyjnie wysoką kulturę dowodzenia i bardzo dobre morale żołnierzy. Właśnie żołnierze i kadra zawodowa stanowili o wartości brygady. Żołnierze zawodowi starannie dobierani i surowo selekcjonowani, prezentowali wysoki poziom wiedzy ogólnej i umiejętności fachowych. Do wspomnianej

brygady, po promocji w pierwszych dniach października 1963 roku, skierowano rozkazem dowódcy POW ośmiu kolegów z OSŁ do pełnienia służby w pododdziałach dowodzenia na stanowiska dowódców plutonów.

Z różnych przyczyn i uwarunkowań, głównie z uwagi na podjęcie nauki w akademiach wojskowych lub w uczelniach cywilnych, a także przeniesień do innych garnizonów, w poczynaniach służbowych zostałem osamotniony: z naszej ósemki do końca swojej zawodowej służby wojskowej pozostałem sam w Choszcznie.

Obecnie, po wielu latach z zadumą i rozrzewnieniem wspominam przebyte lata na stanowiskach dowódcy plutonu, baterii, pomocnika oraz szefa łączności brygady. Szczególnie podniosłymi wydarzeniami było organizowanie i kierowanie systemem łączności w licznych, bardzo intensywnych i skomplikowanych ćwiczeniach, w tym także odbywanych na dalekim poligonie w byłym ZSRR - ćwiczeń z bojowymi startami rakiet.

W okresie mojej służby wojskowej rakietowcy z Choszczna ośmiokrotnie uczestniczyli w takich ćwiczeniach przeprowadzając starty 16 rakiet. Pierwszy w historii brygady start odbyto w 1964 roku, zaś ostatnią rakietę w brygadzie, a także w Wojsku Polskim wystrzelono w 1989 roku.

Każdorazowo w zabezpieczeniu ćwiczeń ze startami bojowymi rakiet uczestniczyli łącznościowcy, to jest żołnierze służby zasadniczej i kadra zawodowa, liczebnie ustalana do tematycznie planowanych zamierzeń taktycznych, przegrupowań stanowisk dowodzenia armii, brygady i dywizjonów oraz stanowisk startowych, a także wielkości zajmowanego ugrupowania bojowego.

Najczęściej w zabezpieczeniu systemu łączności podczas ćwiczeń ze startami bojowymi brał udział szef łączności brygady, oficer lub chorąży z baterii dowodzenia brygady i dywizjonów oraz po jednej drużynie telefonicznej ze wspomnianych pododdziałów w składzie 3-7 osobowym. Żołnierze służby zasadniczej - telefoniści, z reguły byli wcześniej przeszkalani i przygotowywani do rozwijania telefonicznych linii przewodowych w warunkach szczególnych. Odbywało się to na obiekcie garnizonowego ośrodka szkolenia bojowego, podczas ćwiczeń z pododdziałami startowymi oraz w terenie z wytypowaną do startów bojowych, najlepszą baterią startową z każdego z dywizjonu.

Taka forma szkolenia podyktowana była doborem żołnierzy służby zasadniczej do drużyn telefonicznych ze wszystkich pododdziałów brygady, którzy byli w składach lub tworzyli zespoły muzyczny, taneczny, teatralny i recytatorski. Tradycją startów bojowych był bowiem wieczór przyjaźni organizowany przez kierownictwo ćwiczenia, to jest Szefostwo Wojsk Rakietowych i Artylerii MON, a realizowany siłami brygady uczestniczącej w startach bojowych dla stanów osobowych komendy kosmodromu.

Nasuwa się pytanie - dlaczego w startach bojowych uczestniczyli tylko żołnierze przeszkoleni jako telefoniści, pomimo że w pododdziałach dowodzenia brygady było dużo obsług i drużyn łączności radiowej KF i UKF,

stacji radioliniowych, ruchomych węzłów łączności, a także aparatowi łączności specjalnej?

Dla zabezpieczenia dowodzenia podczas startów bojowych wykorzystywano tylko łączność przewodową rozwijaną pomiędzy stanowiskami dowodzenia w relacji armia-brygada-dywizjony i strzelające baterie, a także między brygadą, a baterią techniczną i meteorologiczną. Przyjęty sposób zapewniania łączności przewodowej zabezpieczał bowiem skrytość dowodzenia ćwiczących i strzelających jednostek wojskowych na poligonie byłego Związku Radzieckiego.

Organizowano również łączność radiową przy użyciu ultrakrótkofalowych radiostacji małej mocy pomiędzy ćwiczącymi oddziałami i pododdziałami brygady w sieciach i kierunkach radiowych uruchamianych na okres przegrupowań lub utraty łączności telefonicznej. Obsługę radiostacji i wozów dowodzenia stanowili jednak żołnierze armii radzieckiej i tylko oni osobiście przekazywali określone rozkazy, meldunki i komendy wykonawcze doręczane na specjalnych blankietach przez oficerów sztabów lub dowódców pododdziałów.

Innym ważnym czynnikiem decydującym o właściwym zabezpieczeniu łączności podczas strzelań bojowych był sprzęt. Należało przygotować i dysponować określoną ilością kabla telefonicznego typu PKL-2 (polowy kabel lekki), PKA (polowy kabel akustyczny), TTWK (telefoniczno-telegraficzny wieloparowy kabel) i odpowiednim osprzętem do jego rozwijania i zwijania, a także systemem tablic z fosforyzującym odblaskiem w formie przyjętych znaków taktycznych ćwiczących oddziałów i pododdziałów niezbędnych na okres przegrupowań dzienno-nocnych podczas zajmowania i rozwijania się w ugrupowanie bojowe.

Z uwagi na to, że w użytku bieżącym brygada posiadała mniejsze ilości kabla telefonicznego w stosunku do potrzeb poligonowych, konieczne było uzyskanie zezwolenia od dowództwa Pomorskiego Okręgu Wojskowego na czasowe zdjęcie z zapasów dodatkowych ilości kabla i osprzętu telefonicznego.

Na ogół łącznościowcy dysponowali transportem składającym się z dwu do trzech samochodów Star-660 przystosowanych do przewozu wspomnianego sprzętu telefonicznego oraz jednym samochodem osobowo terenowym. Korzystano również z innych dostępnych środków transportowych, zwłaszcza przy zwijaniu kabla telefonicznego, kiedy to chodziło o zmieszczenie się w normie czasu lub radykalnym przyspieszeniu tempa budowy linii telefonicznych.

Strzelania bojowe brygada wykonywała na ogół raz na trzy lata, w okresie maj-czerwiec. Taki termin podyktowany był warunkami klimatycznymi w strefie azjatyckiej, gdzie we wczesnych godzinach przedpołudniowych temperatura przekraczała już 30° C. Czasokres pobytu brygady na kosmodromie, to jest dyslokacja stanów osobowych, urządzanie parku

maszyn, przeglądy sprzętu technicznego, odbycie rekonesansu rejonów stanowisk oraz przebieg ćwiczenia taktycznego połączonego ze startami bojowymi wynosił około siedmiu do dziesięciu dni, co wraz z dojazdem i powrotem transportem kolejowym trwało do jednego miesiąca.

Najwcześniej, bo od chwili załadowania sprzętu na transport kolejowy i rozlokowania stanów osobowych z ćwiczących oddziałów i pododdziałów w wagonach i przedziałach, pracę podejmowali łącznościowcy, rozwijając linię telefoniczną wzdłuż zestawu wagonowego. Na zestaw całego transportu przypadło przeszło sześćdziesiąt platform i około sześć wagonów osobowych. Były wydzielone telefony dla komendanta transportu, oficera dyżurnego, dowódcy warty, szefa kuchni i żołnierzy wartowników rozmieszczonych w kabinach pojazdów wymagających ochrony, a także w elektrowozie i końcowym wagonie transportu.

O ile z utrzymaniem sprawności technicznej rozwiniętej linii telefonicznej w czasie transportu do granicy państwa nie było większych trudności, to po przeładowaniu sprzętu w Brześciu na platformy radzieckie i ich wagony osobowe, telefoniści nieustannie zmuszani byli do usuwania powstałych uszkodzeń lub modernizowania istniejącej linii. Działo się tak na skutek przyłączania do składu nowych wagonów, np. z mazutem, węglem, wyrobami hutniczymi itp. Uszkodzenia polegały głównie na wycinaniu odcinków kabli przez obsługę kolei lub innych osób znajdujących się w obrębie składu transportu na stacjach kolejowych podczas krótkotrwałych postojów.

Podczas planowanych dłuższych postojów, na przykład wydawania posiłków, wysyłano patrole ze składu drużyn telefonicznych dla zabezpieczenia przed ewentualnymi kradzieżami i przeprowadzania napraw wcześniej powstałych uszkodzeń. Pomimo tego, że dyżurujące zespoły telefonistów podczas przejazdu transportu kolejowego do stacji docelowej posiadały ubrania robocze, to byli oni najbardziej zabrudzonymi żołnierzami spośród innych.

W transporcie dla kadry zawodowej brygady, rozjemców i oficerów towarzyszących z okręgu wojskowego wydzielane były wagony z przedziałami sypialnymi. Podoficerowie i żołnierze służby zasadniczej, po przekroczeniu granicy podróżowali również w wagonach sypialnych nie posiadających przedziałów. W przedziałach na ogół podróżowało czterech oficerów (chorążych) dobierając się według zainteresowań, upodobań lub towarzysko. Jeszcze w okresie poprzedzającym wyjazd większość kadry zabezpieczała się w „procentowe napoje", ażeby w godzinach wieczornych organizować koleżeńskie przedziałowe biesiadowanie.

Zazwyczaj godziny przedpołudniowe przebiegały według opracowanego planu, w którym przewidziano indywidualne lub grupowe szkolenie specjalistyczne oraz doskonalenie z języka rosyjskiego. Przy sprzyjającej pogodzie szkolenie prowadzone było na otwartej platformie, na której rzędami ustawiano krzesła i stoły, wykorzystywane na poligonie, jako wyposażenie polowego klubu żołnierskiego.

Po kilkudniowej podróży, borykając się z różnymi losowymi przeciwnościami w eksploatowanej wzdłuż transportu linii telefonicznej i dotarciu do stacji docelowej - Kapustnyj Jar, stwierdzano ubytki kabla telefonicznego w potrojonej ilości stanu wyjściowego, a zwinięty kwalifikował się do wybrakowania z uwagi na dużą liczbę wykonanych złącz.

Po rozładowaniu transportu i przegrupowaniu się do nakazanego obozowiska następował podział i rozlokowanie stanów osobowych do kwater stałych, w postaci parterowych baraków usytuowanych na obrzeżach kompleksu koszarowego komendy poligonu. Sprzęt lokowano na wytyczonym terenie w pobliżu miejsca zakwaterowania. W wydzielonych i udostępnionych obiektach dla potrzeb brygady brak było miejscowych, wewnętrznych połączeń telefonicznych. Należało niezwłocznie przystąpić do rozwinięcia sieci połączeń pomiędzy zorganizowanym węzłem łączności, a poszczególnymi oddziałami i pododdziałami, służbami dyżurnymi, zastępcami dowódcy, parkiem samochodowym, a także zakwaterowanym w hotelu komendy poligonu dowódcą brygady, szefem Wojsk Rakietowych i Artylerii okręgu oraz dowódcą Centralnej Grupy Kontrolnej MON. Na zrealizowanie powyższego zadania przez łącznościowców, licząc od chwili zakwaterowania i ustawienia pojazdów w parku samochodowym szef sztabu wyznaczał osiem godzin. Wykonanie w tym czasie tego zadania oznaczało duży wysiłek dla telefonistów, mimo, że wcześniej zaznajamiano ich z istniejącą zabudową koszarową, a w nich z dyslokacją poszczególnych oddziałów i pododdziałów, a także zakwaterowanych osób funkcyjnych, którym należało zainstalować aparaty telefoniczne. Trudnością było praktyczne dotarcie i odszukanie właściwych abonentów.

Kable telefoniczne w większości rozwijano na zewnątrz budynków, a końcówki wprowadzano do pomieszczeń przez okna podłączając końcowe aparaty telefoniczne. W ten sposób zabezpieczano się przed uszkodzeniami kabli, co gwarantowało pewność realizowanych połączeń telefonicznych. Szef łączności w tym czasie nadzorował urządzany węzeł łączności. Sprawdzał przyłącza uruchamianych kierunków, sporządzał tabele kryptonimów stacji telefoniczno-telegraficznych, przydzielał abonentom numery funkcyjne. Ponadto odbywał rozmowy z szefem stacjonarnego węzła łączności komendy poligonu w celu zaznajomienia się z możliwością otrzymania na okres trwania ćwiczenia obsług radiostacji ultrakrótkofalowych dla zabezpieczenia łączności radiowej.

Z uwagi na częściowe wykorzystanie kabla do podłączenia się do systemu stacjonarnego, zachodziła potrzeba uzupełnienia kabla na czas trwania ćwiczenia z zasobów komendy poligonu. Uzgodniono, że wszystkie potrzeby będą realizowane na podstawie złożonego zapotrzebowania i w oparciu o opracowany i zatwierdzony schemat wykorzystania środków radiowych i planowanych relacji telefonicznych pomiędzy stanowiskami dowodzenia z uwzględnieniem przybliżonych odległości między nimi.

Jednocześnie powiadomiono, że za wszystko, co będzie wydzielone na potrzeby ćwiczących pododdziałów z komendy poligonu stosowane będą odpowiednie opłaty, zgodnie z określonym taryfikatorem.

Przygotowano więc niezbędną dokumentację szefa łączności brygady na okres planowanych ćwiczeń taktycznych ze startami bojowymi rakiet i po akceptacji przez dowódcę i zatwierdzeniu przez szefa sztabu brygady - odpis w języku rosyjskim przekazano do komendy poligonu.

Dla szefa łączności rozpoczynał się natomiast kolejny etap pracy, a mianowicie przegląd i sprawdzenie stanu technicznego sprzętu oraz wydzielenie sił dla właściwego przygotowania kabla telefonicznego, będącego w magazynie komendy poligonu. Udostępniany kabel telefoniczny, po wcześniejszym użytkowaniu, był składowany w wielkim nieładzie, częściowo nawinięty na bębny oraz w formie luźnej, po prostu w kłębowisku. Długo więc trwała praca nad przywróceniem możliwości użytkowania tego kabla zgodnie z jego przeznaczeniem.

Niemniej ważnym wyzwaniem dla szefa łączności było odbycie w terenie rekonesansu dla wyboru przyszłych stanowisk dowodzenia i rejonów stanowisk startowych. Uczestniczący w tym zamierzeniu oficerowie reprezentowali szefostwo Wojsk Rakietowych i Artylerii okręgu, dowództwo brygady oraz ćwiczące oddziały i pododdziały. Na to zamierzenie planowano zazwyczaj jeden dzień. Wyjazd następował wczesnym rankiem, a powrót wraz z zachodem słońca. Z takiego wyjazdu w pamięci najlepiej zachowały się bezgraniczne stepy i smak kawy z termosu. Nigdy tak nie smakowała, jak wówczas. Może dlatego, że było bardzo słonecznie, niebo bezchmurne, temperatura powietrza już rano przekraczała 30° C. W takim dniu dla wytypowanej kadry i żołnierzy służby zasadniczej zorganizowano wyjazd do odległego o około 350 km Wołgogradu. Była to więc okazja dla dokonania odpowiednich zakupów i wydatkowania przydzielonych środków płatniczych, to jest rubli przeznaczanych najczęściej na sprzęt RTV, wyroby złotnicze i inne potrzeby. Każdy żołnierz otrzymywał za dzień pobytu poza granicą kraju stosowny ekwiwalent pieniężny - wypłacony za planowany pobyt na ćwiczeniach.

W dniu rozpoczęcia ćwiczeń, w godzinach popołudniowych, dokonano uroczystego przyjęcia na stan brygady wydzielonych drużyn, obsług wozów dowodzenia z komendy poligonu i przydzielenia ich poszczególnym dowódcom ćwiczących oddziałów i pododdziałów. Należało się zaznajomić z żołnierzami, określić sposoby wykorzystania środków radiowych, zamontowanych w wozach dowodzenia, przekazywania określonych sygnałów i komend wykonawczych oraz włączyć do składu osobowego ćwiczących pododdziałów. Zgodnie z ustaleniami, w godzinach wieczornych wprowadzono dla brygady podwyższoną oraz pełną gotowość bojową. Nastąpiło wprowadzenie sprzętu na wcześniej określone punkty zbiórek i drogi przegrupowania.

Już podczas rekonesansu wyznaczone drogi marszu dla przegrupowujących się oddziałów i pododdziałów brygady zostały oznakowane fosforyzującymi tabliczkami. Takie przedsięwzięcie było konieczne szczególnie w porze wieczorowej i nocnej, z uwagi na sieć dróg lub ich zupełny brak. Wystarczało jednak, że trzy lub cztery pojazdy jadące jednym śladem ugniotły suchą stepową roślinność, a tworzyły się koleiny do złudzenia przypominające drogę. Na czas marszu pojazdy w porze nocnej posiadały włączone jedynie światła postojowe, co przy braku odpowiedniego doświadczenia i znajomości terenu ze strony kierowców i dysponentów powodowało określone trudności w pokonywaniu terenu. Kierowcy wiedząc, że utrata kontaktu wzrokowego z poprzedzającym pojazdem może być zgubna w dotarciu do celu, za wszelką cenę starali się utrzymywać nakazane odległości między pojazdami.

Obszar stepowy to wielka równina, bez jakichkolwiek charakterystycznych punktów terenowych, z wyjątkiem odległych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów wież, tzw. punktów terenowych określających współrzędne danego miejsca. Po około 2-2,5 godzinach jazdy poszczególne dowództwa i sztaby oraz ćwiczące pododdziały osiągały wyznaczone rejony stanowisk dowodzenia i stanowiska startowe (SS). Zespoły (drużyny) telefoniczne przystąpiły natychmiast do rozwijania linii telefonicznych na kierunkach ze stanowiska dowodzenia brygady do stanowiska dowodzenia armii, dywizjonów, baterii meteorologicznej i technicznej oraz sieci telefonicznej wewnętrznej stanowiska dowodzenia.

Telefoniczne linie na kierunkach rozwijano z samochodów, by w ten sposób w jak najkrótszym czasie nawiązać łączność z przełożonym i podwładnymi. Rozwijane kierunki linii telefonicznych przyjmowało na łączówki polowych skrzynek teletechnicznych (PST) i poprzez wieloparowy kabel TTWK 10×2 doprowadzano do kierunkowych urządzeń głośnomówiących L-232, zamontowanych w autobusach kierowania uderzeniami AS-2 i AS-250 tzw. autobusach sztabowych. Podobnie, pod rygorem obowiązujących norm czasowych, rozwijano łączność przewodową w dywizjonach do baterii startowej, tj. do 2-3 stanowisk startowych siłami drużyn telefonicznych dywizjonów.

Te sposoby rozwijania linii telefonicznej kablem PKA i PKL-2 w pełni zapewniały łączność dowodzenia oraz gwarantowały pełną gotowość bojową do działań w czasach normatywnych. Ale nie odbyło się bez kłopotów. Od świtu, największym zagrożeniem dla rozwiniętych linii telefonicznych było żerowanie stepowych zwierzątek, przypominających nornice, a zwane potocznie suslikami. Niebezpieczeństwo wynikało głównie z obgryzania powłok kablowych do gołych przewodów, co doprowadzało do zwarć. Takie przypadki powodowały utratę łączności i konieczność niezwłocznego wysyłania dyżurnych telefonistów w celu usuwania pojawiających się uszkodzeń.

Innym niebezpieczeństwem dla eksploatowanych linii telefonicznych było ich zrywanie przez przemieszczające się stada żerujących koni lub tabuny owiec wypasanych na stepie i okazjonalnie doglądanych przez zamieszkujące tam, w ukryciu przed słońcem w ziemiankach, rodzinny kazachskie. Ludzie ci żyją zgodnie z naturą, wstają o świcie, kładą się o zmroku, pozostają w jakieś cudownej symbiozie z tym, co ich otacza, jakby obok zdobyczy współczesnej cywilizacji, smakują prostego życia i potrafią się nim cieszyć. Wypasają owce. Im są biedniejsi, tym bardziej gościnni i skorzy do wielkiej pomocy.

Po rozwinięciu łączności przewodowej i powrocie drużyn telefonicznych w rejon stanowiska dowodzenia brygady organizowano odpoczynek oraz wydzielano dyżurnych telefonistów na wypadek potrzeby przywracania utraconej łączności. Praktykowano, że w godzinach rannych, po nocnym zajmowaniu nowych rejonów stanowisk startowych i stanowisk dowodzenia przez ćwiczące oddziały i pododdziały, zwinięte uprzednio linie przewodowe i sprzęt należało odpowiednio sprawdzić i przygotować do ponownego rozwijania.

Dla artylerzystów rozpoczynał się natomiast okres intensywnych ćwiczeń z zestawami rakiet szkolnych i z zajmowaniem kolejnych stanowisk startowych w ramach przegrupowań, raz lub dwa razy na dobę. Dla łącznościowców był to okres zwijania i rozwijania linii telefonicznych w ramach ugrupowania bojowego. Po dobrych ocenach z praktycznych umiejętności obsług zestawów rakietowych i elaboracji rakiet skrupulatnie ocenianych przez oficerów-specjalistów kierownictwa poligonu, nadchodziło długo oczekiwane w ćwiczeniu przegrupowanie w wyznaczony rejon stanowisk startowych do odbycia startów rakiet bojowych.

Łącznościowcy musieli rozwinąć dodatkowy kierunek pomiędzy stanowiskiem dowodzenia armii, a obiektem stałym, tj. trybuną na około 50–60 miejsc siedzących, zwanym stanowiskiem obserwacyjno-informacyjnym. Dyslokacja tego obiektu była na tyle niekorzystna, że wokół przebiegały utwardzone drogi dojazdowe oraz dość gęsto porośnięte tereny stepowe z bujną roślinnością. U podnóża trybuny, znacznie wcześniej rozwinięto klub polowy z zapleczem gastronomicznym, w którym po zakończonym ćwiczeniu dowódca brygady organizował okolicznościowe przyjęcie dla zespołu oficerów radzieckich nadzorujących i kontrolujących prace funkcyjnych obsług baterii startowych i innych, kierownictwa ćwiczenia MON i okręgu wojskowego oraz dowódców ćwiczących oddziałów i pododdziałów startowych i zabezpieczenia.

Z uwagi na to, że czas na wybudowanie wspomnianego kierunku był ograniczony, a sił oraz motywacji z każdym dniem ćwiczenia ubywało, zdecydowano, że linię kablową rozwinie się w sposób możliwie najkrótszy do pokonania, czyli przez ów teren porośnięty specyficzną roślinnością stepową oraz przez odkryty przez nas przepust pod utwardzoną drogą.

Początek pokonywania wspomnianego terenu, przez który docelowo zamierzano rozwinąć linie kablową, jako już końcowy odcinek długości około dwóch kilometrów, nie wskazywał na jakiekolwiek trudności z jego pokonaniem. Po rozwinięciu z samochodu jednego bębna kabla PKA, okazało się, że teren staje się podmokły, nie do pokonania przez samochód. W tych warunkach zdecydowano, że dalsze rozwijanie kabla telefonicznego będzie kontynuowane z wózka.

Samochód zdołał się wycofać i okrężną drogą dojechał do miejsca docelowego, natomiast dla telefonistów rozpoczęła się ogromnie uciążliwa praca ze względu na podmokły teren, wysoką roślinność oraz kąśliwe komary, które płoszone z żerowisk przez przemieszczających się telefonistów tworzyły dosłowne chmury nad ich głowami. Łącznościowcy broniąc się przed jadowitymi komarami, wykorzystywali wszystko czym aktualnie dysponowali, chroniąc przede wszystkim twarze i dłonie. Odgłosy przekleństw na tej „drodze przez mękę" słyszano na znacznych odległościach. Później okazało się, że usypując wzniesienie na trybunę wybierano połacie ziemi, powodując, że podczas opadów tworzyło się bardzo duże rozlewisko, określane mianem limanu. Uczestniczący w rozwijaniu kabla żołnierze z pewnością na trwale zapamiętali to wydarzenie.

Po rozwinięciu kabla telefonicznego przez tzw. liman, ostatnią przeszkodą było pokonanie przepustu pod drogą o szerokości sześciu metrów, który gwarantował bezpieczną eksploatację wybudowanego kierunku, ważnego dla kierownictwa ćwiczenia z uwagi na możliwość wsłuchiwania się w komendy poprzedzające starty rakiet, a także w komunikaty o ich starcie, locie i upadku, czyli trafieniu w cel. Przepust o średnicy około 60-70 cm miał gwarantować bezpieczne przeczołganie się z kablem na przeciwległą stronę drogi. Innej możliwości po prostu nie było. Wybrany z pośród telefonistów najszczuplejszy żołnierz, mniej więcej w połowie przepustu zaklinował się poprzez występujące nierówności i ograniczenia, co spowodowało kolejny stres. Odwaga, zmysł i pomoc innego żołnierza doprowadziła w końcu do uwolnienia uwięzionego telefonisty i rozwinięcia kierunku telefonicznego.

Brygada wykonała dwa starty bojowe. Jeden o zmierzchu, drugi w porze nocnej. Oba z uwagą śledzone przez ćwiczące stany osobowe. Trudno opisać radość towarzyszącą odbytym startom. Gorące uściski, wesołe żarty, gromki uśmiech przywróciły żołnierzom siły i chęci do dalszej pracy, mimo ich potwornego zmęczenia. Nie wiem, czy ktokolwiek zdoła sobie dziś wyobrazić scenerię owego nocnego strzelania. Słup ognia wydobywający się z silników wynoszonej rakiety rozjaśnił teren w promieniu kilku kilometrów, było widno niczym w dzień. Kiedy artylerzyści świętowali sukcesy dokonanych startów, łącznościowcy zmagając się z potwornym zmęczeniem i wysoką temperaturą powietrza, długo jeszcze zwijali kable telefoniczne na stepie, by następnie przygotować je do przekazania komendzie poligonu.

*Marian Kruszyński*

# W KRAINIE WIELKICH JEZIOR

## Nasza jednostka

Grupa absolwentów Oficerskiej Szkoły Łączności rocznik 63, wyznaczona kadrowo do obsady stanowisk w instytucjach i jednostkach rozpoznania wojskowego, otrzymała szczególne przygotowanie. Otóż po raz pierwszy w historii szkoły, w 1962 roku, na mocy rozkazu szefa Sztabu Generalnego WP utworzono profil szkolenia - specjalność wojskową, pod nazwą przeciwdziałanie radioelektroniczne.

Najogólniej, profil ten swoim zakresem obejmował teorię rozpoznania radioelektronicznego i przeciwdziałania w celu dezorganizacji systemów radioelektronicznych wojsk NATO. Teraz wydaje się, że nie było to tylko genialne posunięcie naszych sztabowców z najwyższego szczebla sił zbrojnych, ale przede wszystkim potrzeba czasu i nakaz pierwszego sojusznika z Układu Warszawskiego. Potrzeba czasu wynikała z faktu, że przyszła wojna i walka radioelektroniczna przeciwstawnych stron miała się rozgrywać w swej istotnej części w przestrzeni radioelektronicznej.

Jedną ze specjalistycznych jednostek był 8 Ośrodek Przeciwdziałania Radiowego, utworzony zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 0108/Org. z dnia 26 października 1962 roku. Powstał on na bazie batalionu przeciwdziałania radiowego funkcjonującego od 24 lipca 1958 roku w strukturach organizacyjnych 5 Pułku Łączności, mieszczącego się w koszarach przy ul. Żwirki i Wigury w Warszawie. W dniu 20 kwietnia 1963 roku na terenie 5 Pułku Łączności odbył się uroczysty apel, na którym pożegnano żołnierzy nowo utworzonego ośrodka, po czym przeniesiony on został do Giżycka na Mazurach.

W lipcu 1970 roku na podstawie zarządzenia szefa Sztabu Generalnego WP nr 028/OKG rozpoczęto przeformowywanie ośrodka w 8 Pułk Zakłó-

ceń Radiowych. Po trzech latach, bo już 1 lipca 1973 roku szef Wojsk Łączności MON, generał brygady Leon Kołatkowski, wręczył pułkowi sztandar wojskowy nadany mu przez Radę Państwa. Zaś w lipcu 1974 roku nastąpiło ponowne przeniesienie pułku, tym razem do Grudziądza. Jednostkę zakwaterowano w historycznych koszarach, w których w latach 1920–1939 mieściło się Centrum Wyszkolenia Kawalerii Wojska Polskiego.

W pięćdziesiątą rocznicę ostatniej promocji oficerskiej w Centrum Wyszkolenia Kawalerii do koszar 8 Pułku Zakłóceń Radiowych przybyło około stu pięćdziesięciu kawalerzystów z całego świata, w tym najwięcej ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Odsłonięto i poświęcono tablicę pamiątkową. Doszło tam do spotkania wielu żołnierskich pokoleń. W dniu 17 czerwca 1991 roku, w ramach obchodu 700-lecia miasta Grudziądza, koszarom przywrócono imię księcia Józefa Poniatowskiego.

## Mazurska siódemka

Jesienią 1963 roku przybyli do Giżycka młodzi oficerowie, siedmiu podporuczników. Po zakończonym już urlopie otrzymali w Departamencie Kadr MON w Warszawie skierowania natychmiastowego stawiennictwa w Jednostce Wojskowej 1109. Można więc powiedzieć, że przydział i skierowania do Giżycka odbyły się tranzytem w Warszawie.

To był wielki szok, bowiem prawie wszyscy z nas myśleli, że dostaniemy jeszcze kilka dni na wyrażenie zgody, a może nawet na zmianę miejsca przyszłej zawodowej służby wojskowej. Mnie osobiście opanował nastrój, jaki być może jest w okręcie podwodnym, gdy wyczerpały się akumulatory i można przewidywać, że nie wypłynie na powierzchnię. Ten wstrząs był nie tylko wstępem do nieznanej przyszłości, ale także uświadomił mi, że stresy i sytuacje kryzysowe mogą być zjawiskiem częstym.

Trzeciego dnia października Anno Domini 1963, siedmiu wspaniałych, czytaj przestraszonych, przyjechało do Giżycka. Nastąpiło krótkie przyjęcie, przedstawienie dowództwa jednostki i przydzielenie nam funkcji.

Dowódcą ośrodka był pułkownik Adam Kochan, zastępcą do spraw liniowych podpułkownik Stanisław Krajewski, szefem sztabu major Andrzej Gołębiewicz, pomocnikiem do spraw technicznych podpułkownik Czesław Koźliński - późniejszy dowódca pułku, a kwatermistrzem major Stanisław Jaroszewski - były dowódca pułku artylerii w drugiej wojnie światowej.

Przydzielono nam stanowiska dowódców plutonów w poszczególnych kompaniach ośrodka, bo taka była struktura organizacyjna jednostki. Do kompanii rozpoznania radiowego KF (krótkofalowego) trafili Antoni Korepta, Edmund Tymiński i ja. Do kompanii rozpoznania i zakłóceń radio-

wych UKF (ultrakrótkofalowych) skierowano Eugeniusza Krzyżanowskiego i Mikołaja Pielichiewicza, kompanię radioliniowo-kablową zasilił Wiesław Gawart wraz z Józefem Leszczyńskim.

Dowódca jednostki przedstawił nam wymagania wynikające z zakresu obowiązków, ostrzegł przed niebezpieczeństwami, jakie mogą nas spotkać w tym nowym środowisku, szczególnie poza służbą, a więc wśród cywili i polecił dobrze się rozlokować w pokojach internatowych na terenie jednostki. O lokum mieszkaniowym nie będę wspominał, bowiem było ono typowe dla koszar poniemieckich, a więc znane większości kolegom.

## Mazury, oj Mazury

Giżycko, dwudziestotysięczne miasto i siedziba naszej jednostki wojskowej, położone jest w Krainie Wielkich Jezior, dokładnie nad jeziorem Niegocin, stanowiącym zlewnię dwóch największych w Polsce jezior - Śniardwy i Mamry. Ogółem na całym Pojezierzu Mazurskim jest dwa tysiące siedemset jezior o powierzchni ponad jednego hektara każde.

Liczne jeziora leżące w strefie wyżyn morenowych (polodowcowych), rzędu trzydziestu do stu metrów nad poziomem morza, tworzą niezwykle widowiskowy krajobraz. Tu też zachowały się największe zespoły leśne, takie jak Puszcza Piska, Puszcza Borecka i na krańcach Puszcza Augustowska.

Na tych obszarach istnieją sprzyjające warunki przetrwania w stanie naturalnym wielu gatunków rzadkich już obecnie w Europie zwierząt. Utworzono więc szereg rezerwatów krajoznawczych, florystycznych, faunistycznych i leśnych. Między innymi są to rezerwaty: ochrony łosia, żeremia bobra, odtworzonego konia leśnego - tarpana, ochrony ptaków a wśród nich łabędzi, czapli siwej, żurawi, orła bielika, orła przedniego i czarnego bociana. Najbliżej Giżycka, na jeziorze Dobskim, będącym częścią jeziora Mamry, na wyspie Wysoki Ostrów znajduje się skupisko kormoranów.

Pochodną położenia geograficznego i ukształtowania terenu jest klimat. Na Pojezierzu Mazurskim jest on ostrzejszy niż w pozostałych regionach Polski. Wygasają tu wpływy oceanu i klimatu morskiego. Wpływ klimatu kontynentalnego na Pojezierzu Mazurskim przejawia się opóźnieniem wiosny, bardzo mroźną zimą, dłużej zalegającą pokrywą śnieżną, wcześniejszą jesienią i krótszym okresem wegetacyjnym. Podsumowując warunki klimatyczne tego rejonu można powiedzieć, że jest to „mały Sybir", co prawie codziennie potwierdza mapa telewizyjnej prognozy pogody.

Na tak urozmaiconym i atrakcyjnym pod względem krajobrazowym obszarze pojezierza, od setek lat kształtowały się procesy ludnościowe. Jeden kierunek tych procesów kształtowali na pewno Krzyżacy, a raczej bezwzględne tępienie przez nich ludności rodzimej i ściąganie w to miejsce

osadników, najchętniej niemieckich. Kierunek drugi, to w ślad za intensywną kolonizacją niemiecką z Zachodu, wystąpił duży ruch ludności osiedleńczej z Mazowsza, a zatem ludności Polskiej. Byli to Mazurzy, którzy wykazywali w przeszłości dużą ekspansywność osadniczą, nie tylko w kierunku północnym. Należy także dodać, że tereny między Wisłą a Niemnem nazywane były przez Niemców Prusami Wschodnimi.

Ekspansywność Mazurów nie miała cech świadomej i zaborczej kolonizacji, a po prostu zasiedlanie opustoszałych terenów. W ten sposób, południowa część Prus Wschodnich zasiedlona została ludnością z Mazowsza i od nazwy ludności przyjęła nazwę Mazury. Mazurzy zaś posługiwali się jednym z dialektów języka polskiego.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej i rewolucyjnych ruchach niepodległościowych we wszystkich dzielnicach porozbiorowych Polski, doszło do plebiscytu w Prusach Wschodnich. Niestety plebiscyt przeprowadzony 11 lipca 1920 roku przyniósł Polakom klęskę. Za Polską opowiedziało się tylko 0,7% ludności! Tak więc Mazury pozostały do 1945 roku pod administracja niemiecką.

W związku z zaszłościami historycznymi na tej ziemi pozostały mi głęboko w pamięci dwa epizody. Pierwszy, gdy byłem już dowódcą kompanii zakłóceń radiowych i wykonywałem zadanie szkoleniowe w rejonach Orzysza i Kolna. Po zatrzymaniu kolumny samochodów tuż przed malowniczą rzeczką Wincenta i miejscowością o tej samej nazwie, to jest około dziesięciu kilometrów przed Kolnem, moi żołnierze wykryli na skraju lasku, po prawej stronie drogi, ruiny fundamentów dwóch niewielkich budowli. Przy jednej, bliżej rzeczki Wincenta, był przytwierdzony niewyraźny napis „Tu była strażnica Wojska Polskiego do 1939 r."

Po zasięgnięciu języka w owej miejscowości dowiedzieliśmy się, że napotkane miejsce, to ślady wojskowej strażnicy polskiej osłaniającej polskie Kolno a po sąsiedzku strażnicy niemieckiej, ostrzegającej przed wstępem na teren Trzeciej Rzeszy. Miejscowa wieść niesie, że niemieccy pogranicznicy, uprzedzeni o wybuchu wojny, w nocy przed pierwszym września wymordowali skrycie całą załogę polskiej strażnicy.

Drugi epizod związany jest z ćwiczeniami i szkoleniem taktycznym w różnych rejonach Mazur. W cudownie urokliwych miejscach wyżyn, lasów i jezior spotykaliśmy się z ludnością różnego pochodzenia. Tam właśnie przekonałem się, że ludzie na co dzień mówią różnymi językami: polskim, ukraińskim, po niemiecku oraz łamaną polszczyzną z ciekawym zaśpiewem. Nie wszystkie spotkania były przyjemne. Niektórzy z mieszkańców nawet nie pozwalali żołnierzom zaczerpnąć wody z przydomowej studni. Tak było niestety kiedyś, dzisiaj zapewne jest inaczej. Kiedy swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się na spotkaniu u dowódcy jednostki, ten powiedział - nie przejmuj się, panoramę życia tworzą wszyscy, barwy jej przydają niektórzy.

## Jacy byliśmy

Czas opowiedzieć historię, jaką zaczęło tworzyć siedmiu podporuczników przybyłych do Giżycka. Posłużę się metodą trochę bolesną, ale chyba dobrze służącą temu, co chcę przekazać. Rozpocznę więc od krótkich charakterystyk nas wszystkich, aby pokazać jak żyliśmy, czego dokonaliśmy, czy też może czego nie osiągnęliśmy. Będą to z konieczności charakterystyki dokonane w sposób subiektywny, a więc nienajlepszy.

Antoni Korepta, chłopak z Sosnowca, chociaż tak pięknie nie śpiewał jak jego sławny rodak Jan Kiepura. Za to grał, jako podchorąży w zespole muzycznym na kontrabasie, a jako oficer, nieraz przełożonym na nosie. Z kolegami zawsze grał uczciwie i sprawiedliwie. Kiedy ktoś „fałszował" dostawał od Antka niesamowitą ripostę. Zyskał szybko szacunek dowództwa i zaufanie kolegów, zwłaszcza starszych oficerów, co nie było takie łatwe dla innych. Ponadto, wespół z kolegami naszego rocznika, muszę przyznać, że Tosiek był najprzystojniejszym facetem w naszej grupie. Wysoki, czarny jak kruk, o ciemno śniadej cerze i harmonijnej budowie. Dodatkowym jego atutem było posiadanie bogatych i wspaniałych rodziców. Często go odwiedzali w Giżycku i zasilali materialnie. Jako pierwszy z nas i pozostałej kadry jednostki jeździł nowym motocyklem Junak, a następnie samochodem osobowym. Należy wspomnieć także o modnych ubraniach, bo Toni często powtarzał - nic tak nie poprawia mężczyźnie samopoczucia, jak świeży ciuch.

Mój syn Maciej nieraz mówi, jak to pan Antoś uczył go jeździć samochodem. Wsadzał między siebie a kierownicę i powoli jechali, mimo że Maciuś miał tylko trzy latka.

Antoni był zdolnym oficerem i dobrym dowódcą. Jego pluton, a później kompania były zawsze w ścisłej czołówce jednostki pod względem wyszkolenia i dyscypliny. Jego podkomendni służby zawodowej i zasadniczej, bardzo go szanowali, a nawet lubili i w zasadzie nigdy nie zawodzili w sytuacjach trudnych, prawdziwie bojowych. Przede wszystkim dlatego, że był sprawiedliwym, otwartym i dobrym przełożonym - psychologiem: umiał przewidzieć na co stać szeregowca, chorążego czy oficera.

Wydaje mi się, że jeżeli iloraz inteligencji przeciętnego człowieka zawiera się w przedziale 80-120, to u Tośka, wierzcie mi, na pewno wynosił powyżej 120! Antoś razem ze mną rozpoczął studia w Akademii Sztabu Generalnego WP w 1973 roku.

A na koniec bezlitosne pytanie. Czy zrobił karierę? Chyba tak, bo zajmował wysokie stanowiska dowódcze w wojsku, osiągnął wysoki standard życia, osiadł z żoną i dorodnymi córkami w Olsztynie, tam gdzie pragnął być i robi to, na co ma ochotę. Jest jak zawsze nieustającym optymistą.

Edmund Tymiński. To był pierwszy żonaty, młody oficer, poważny i dystyngowany mężczyzna. Jego żona, przepiękna szczupła blondynka,

posiadała wyższe wykształcenie. Któż z nas w tamtych czasach nie marzył o takiej żonie i podobnych szansach na przyszłość. W dodatku była dziewczyną niezwykle elegancką i inteligentną. Dostała posadę czołowego urzędnika w urzędzie miejskim w Giżycku. Nawet oficerowie starsi, z czasem nasi przyjaciele, którzy tkwili w korzystnych kręgach środowiskowych, nie mieli lepszej sytuacji, aniżeli Edmund z żoną Basią.

Ponadto nasz przyjaciel trafił wyjątkowo szczęśliwie na sprzyjający grunt. Został dowódcą plutonu szkolnego oraz najwcześniej i najszybciej z nas dowódcą kompanii. Trafił od razu pod kuratelę wspaniałego dowódcy, późniejszego prokuratora jednostek garnizonu koszalińskiego w Pomorskim Okręgu Wojskowym - Jerzego Makowieckiego, zresztą też mojego przełożonego, a następnie przyjaciela. Jurek zasługuje na kilka ciepłych zdań. To był wyjątkowy oficer pracy i sukcesu. Żywy przykład stwierdzenia „chcieć to móc", bez względu na warunki i okoliczności. Jeżeli Jurek zamierzył i o tym głośno obwieścił, że jego pododdział będzie najlepszym w jednostce, to tak się działo.

Edmund Tymiński właśnie trafił pod jego kuratelę i efekty były natychmiastowe. Starsi koledzy z innych pododdziałów z zazdrością mówili:

- Ten, to się w czepku urodził i chyba dodatku w pływackim.

Po szybkich sukcesach, nasz bohater, nie wybrał kariery dowódczej na przyszłość, ale postarał się, aby umieszczono go w grupie operacyjnej sztabu pułku. Pracował, wykazywał się i obserwował jak dowódcy kompanii czy batalionów zbierali należny im, a często niezasłużony opeer.

Mikołaj Pielichiewicz był całkowicie odmiennym typem człowieka. Najwyższy wzrostem, o spokojnym usposobieniu, rozważny w działaniu, może nawet nieco flegmatyczny. Posiadał dużą wiedzę, ale nie manifestował swoich poglądów i racji. Nigdy nie był „Filipem" i nie wyskakiwał nieopatrznie jak Filip z konopi. Mikołaj - zwany przez nas Miszelem - osiągał dobre wyniki, może nawet lepsze od innych oficerów. Sprawiał jednak wrażenie i dawał to odczuć przełożonym, że na pierwszym miejscu mu nie zależy.

Trafił też na początku do nieodpowiedzialnego środowiska. Jego bezpośredni przełożeni mieli ustawiczne problemy alkoholowe, a on nie pił. Stąd też często brakowało promocji jego wyników. Wychodził na swoje, ale inni w tym czasie już odbierali medale na podium zwycięzców.

Ożenił się z fajną dziewczyną i urządził na dojrzałe lata we Wrocławiu. Ma syna, który podobno w wieku pięciu lat rozwiązywał zadania na poziomie matematyki wyższej. Jeśli o naszym Miszelu możemy powiedzieć prawdziwie, że niewątpliwie był mistrzem, tylko trafił na złe rozdanie kart losu, to tenże los nagrodził go geniuszem syna.

Eugeniusz Krzyżanowski był typem samotnika chodzącego własnymi ścieżkami. Po kilku latach, zresztą na własną prośbę, został przeniesiony służbowo do innej jednostki w okolice Warszawy.

Józef Leszczyński był jednym z najwspanialszych kolegów. Do Giżycka przyszedł jako drugi żonaty młody oficer. W odróżnieniu od Edmunda miał już córeczkę. Człowiek i oficer z zasadami, jakby żywo przeniesiony z kadry przedwojennej, ale tej wzorowej, bez znanych nam nałogów. Nie uznawał kłamstwa i zawsze dotrzymywał złożonych obietnic. Przez niego wypowiedziane słowo uważaliśmy za święte. Był oficerem niezwykle zdolnym i jednocześnie ambitnym, o iście matematycznym podejściu do oceny zjawisk życia codziennego. Pracując, ukończył zaoczne studia politechniczne; parę lat kierował pułkowymi warsztatami remontowymi. Miał bardzo dobre osiągnięcia w pracy. Znany był jako niezwykle życzliwy przełożony, a jednocześnie odpowiedzialny i wymagający.

Wiesław Gawart zapowiadał się jako silny i energiczny oraz zdolny oficer. Jednakże los jego był tragiczny. Na pierwsze w swoim życiu oficerskim święta Bożego Narodzenia wyjechał do domu rodzinnego, zabierając ze sobą swój służbowy pistolet TT. I stało się nieszczęście. Idąc tradycyjnie przed północą do kościoła na „Pasterkę", chciał sprawdzić zabezpieczenie broni. Padł strzał, a jego narzeczona krzyknęła - zabiłeś mnie. Gdy Wiesiek to usłyszał, natychmiast odszedł na stronę i strzelił do siebie. Niestety śmiertelnie. Okazało się natomiast, że pierwszy pocisk tylko lekko zranił dziewczynę w nogę.

Było to smutne zakończenie roku dla nas wszystkich. Odszedł od nas na zawsze serdeczny przyjaciel i kolega. Dowódca jednostki zarządził, aby broń kadry zdeponować w pancernych sejfach i wydawać tylko na użytek służby. W przyszłości jednak nie zawsze przestrzegano tego rozkazu. Po strzelaniu czy ćwiczeniach, broń dalej była w zasięgu ręki. Przykrych konsekwencji jednak więcej nie było.

O sobie nie wypada dużo pisać. Ale osiągnięć służbowych mi nie brakowało. Jeśli chodzi o życie osobiste i rodzinne, to już w drugim roku pobytu na Mazurach ożeniłem się ze wspaniałą giżycczanką Wiesią, urodzoną w Wilnie. W 1977 roku z żoną, synem i córką przeprowadziłem się do Warszawy, rozpoczynając pracę nauczyciela akademickiego w Akademii Sztabu Generalnego WP w Rembertowie.

Kończąc charakteryzowanie naszej dzielnej „mazurskiej siódemki" należałoby jeszcze wspomnieć o dwóch kolegach. Jeden z nich to Roman Czykiel, służący po sąsiedzku w 4 Pułku Zakłóceń Radiolokacyjnych. Z naszego rocznika był tam jedynakiem. Dobrze sobie radził, bowiem doszedł do stanowiska kwatermistrza - zastępcy dowódcy pułku.

Bezpośrednią łączność z Romkiem utrzymywaliśmy poprzez kasyno, które było usytuowane przy ulicy Mazurskiej, dokładnie między naszymi jednostkami. Często jego i nasza droga z jednostki do domu prowadziła właśnie przez to kasyno. Czasami wydawało nam się, że odcinek z domu do jednostki był znacznie krótszy od powrotnego. Może jestem w błędzie, ale nie będziemy powoływać ekspertów do wyjaśnienia tej kwestii.

Ostatnim, który dołączył do nas był Jerzy Zieliński. Przybył on do naszego pułku dopiero po paru latach w celu odbycia dalszej, zawodowej służby. Służył w Giżycku do emerytury.

## Nasze życie

Zadaniem najważniejszym dla każdego oficera było szkolenie i wychowanie żołnierzy. Przy każdej okazji służbowej dowództwo jednostki podkreślało, że wartość oficera dowódcy mierzona jest stopniem wyszkolenia i zdyscyplinowania jego żołnierzy. Rozwiązywaliśmy ten problem praktycznie szkoląc żołnierzy w salach wykładowych, na sprzęcie czyli aparatowniach radioodbiorczych i stacjach zakłóceń radiowych oraz w czasie ćwiczeń w terenie.

Szkolenie stanowiło problem trudny, bowiem poznanie i obsługa sprzętu elektronicznego wymagała dobrego przygotowania technicznego żołnierzy. Komfortem było, gdy do pododdziału przychodzili ludzie ze średnim wykształceniem i w dodatku technicznym. Praktycznie takie przygotowanie miało nie więcej niż dwadzieścia procent szkolonych.

Każdy z nas, młodych oficerów, mógł stosować wszystkie dozwolone metody, swoją wiedzę i inwencję, a także wzorować się na starszych kolegach. Prawdę mówiąc, to największe efekty dawało stosowanie metod sprawdzonych wcześniej. Czy jednak wszyscy doświadczeni dowódcy chcieli nam podpowiadać? Przecież przez cały czas służby była rywalizacja, kto lepszy.

Oczywiście, miałem to szczęście, iż otrzymywałem pomoc ze strony wcześniej już wymienionego Jerzego Makowieckiego, a także wielce mi życzliwego dowódcy innej kompanii - porucznika Jerzego Szubki. Podpowiadali mi wiele razy jak unikać błędów i jak eliminować tak zwane cwaniactwo żołnierzy w procesie wychowania, które niejednego młodego oficera wpuszczało w przysłowiowe maliny. Ponadto najwyższą formą pomocy dla mnie z ich strony była osłona swoim dużym autorytetem w sytuacjach kryzysowych. Przykład ten potwierdza też, że postępowanie człowieka wyznaczają nie tylko reguły prawa i regulaminów, ale także i reguły życia. A w to życie cały czas dopiero wchodziliśmy.

Podsumowaniem wyników każdego oficera były egzaminy i inspekcje. Wprowadzono także tak zwane współzawodnictwo. Sporządzano wykresy, tabele wyników oraz wnioski do wyróżnienia lub ukarania. To ostatnie było mocno krytykowane. Osobiście uważałem, że wzorem ocen sportowych nie było to takie złe. Jeśli tabela wyników pokazywała gradację wartości, to naocznie było widać, kto jest dobrym, a kto musi solidnie popracować.

Problemy wychowawcze żołnierzy nie były mniej ważne od szkolenia. W tamtych czasach też zdarzały się akty przemocy, nadużywano alkoholu i stosowano metody poniżania żołnierzy, zwłaszcza młodych służbą. W porównaniu z dniem dzisiejszym było jednak takich przypadków znacznie mniej. Nie było tak zwanej „fali", a występki w postaci znęcania się i zdziczałych wybryków wśród szeregowych były rzadkością. Dlaczego?

Po pierwsze, nie było narkotyków, tak łatwo dostępnych jak dzisiaj i w olbrzymiej większości żołnierze byli „normalni". Po drugie - nad życiem i zachowaniem żołnierzy była sprawowana ustawiczna kontrola. Nieoficjalnie było wiadomo wszystkim, że kontrwywiad wojskowy miał swoje „wtyczki" w każdej komórce żołnierskiego funkcjonowania. Praktycznie był to szeregowy, podoficer lub nawet oficer w plutonie, kompanii czy batalionie. Taki informator przekazywał bezpośrednio lub telefonicznie oficerowi kontrwywiadu wojskowego, co ciekawego działo się w pododdziale. Chodziło zwłaszcza o niewłaściwe zachowania żołnierzy, kadry, o reakcje na sytuacje polityczne w kraju i wreszcie o różne wypowiedzi świadczące o nastrojach ludzi.

Dowódca kompanii wiedział, że ktoś taki w pododdziale funkcjonuje. Podobnie odczuwali także żołnierze. Jednak personalnie był to ktoś niewiadomy, „iks". W przypadku zdemaskowania „iksa", jeszcze tego samego dnia był on przenoszony do innego garnizonu. Być może jego rolę można porównać do współczesnego świadka koronnego.

Po trzecie - kontrola była sprawowana przez kadrę oficerską i chorążych ustawicznie w ciągu całej doby, zwłaszcza w porze wieczorowej i nocnej. Oficerowie młodsi, kawalerowie, byli kwaterowani w pomieszczeniach przykompanijnych lub w części bloku koszarowego, wydzielonego na internat kadry. Nie mieli zatem dalekiej drogi do pododdziałów, którymi, moim zdaniem, interesowali się bardziej, aniżeli dzisiejsza młoda kadra dowódcza. W każdej chwili mogli kontrolować przestrzeganie regulaminów i porządku wojskowego. Nad żołnierzami wisiał więc stale „miecz Damoklesa", który zresztą także ich ochraniał przed głupotą i nienawiścią innych.

Czy wszystkie metody były właściwe z punktu widzenia i rozważania dnia dzisiejszego? Może i nie, ale wiem na pewno, że były skuteczne i wybrykami żołnierzy nie zajmowali się tak często prokuratorzy wojskowi i minister obrony narodowej. No cóż, obserwując sytuację dzisiaj, możemy spokojnie powiedzieć: za naszych czasów..., lub filozoficznie spuentować - każde pokolenie ma takie problemy, na jakie sobie zasłużyło.

Ważną częścią szkolenia i wychowania wojskowego były ćwiczenia. W naszej jednostce miały one specyficzne formy, od pojedynczego operatora aparatowni radioodbiorczej czy stacji zakłócającej, poprzez kompanię, batalion i pułk. Ćwiczyliśmy autonomicznie w pięknych rejonach Pojezierza Mazurskiego i integralnie w ramach wspólnych ćwiczeń na szczeblu sił zbrojnych.

Wszystkie formy były ciekawe i dostarczały niezapomnianych wrażeń. Przede wszystkim sprawdzały stan wyszkolenia oraz fizyczne możliwości ludzi i techniczne sprzętu. Dawały wiele wskazówek - jak później prowadzić szkolenie w koszarach, jakie są niedomogi i wreszcie kto, tak naprawdę jest dobrym, a kto się maskuje.

Był to zawsze wymagający sprawdzian dla szeregowców i kadry zawodowej. Na ćwiczeniach poznawaliśmy prawdziwe możliwości sprzętu, a także odpowiedzi na pytania - czy jego właściwości potwierdzają się w każdych warunkach i w każdym terenie? Wreszcie ćwiczenia dawały szansę dokładnego poznania nie tylko Mazur, ale i innych zakątków Polski, w których niejeden żołnierz był po raz pierwszy.

Dwa przeżycia z tamtych ćwiczeń pozostały mi w pamięci do dziś. Jedno, dotyczące wiedzy historycznej, w tej części ówcześnie zakazanej. Otóż w czasie wolnym, podczas spaceru krajoznawczego spotkałem emerytowanego nauczyciela języka polskiego, który uczył młodzież w szkole średniej. Po nieco nieufnym przywitaniu cywila z wojskowym, staruszek zapytał mnie:

- Skąd pan pochodzi?

Pytanie padło ze względu na brak wyraźnych i charakterystycznych cech wymowy. Odrzekłem więc:

- Z okolic Radomska, pod Częstochową.

- A dlaczego dodaje pan pod Częstochową? - pytał dalej.

- Dlatego, że niektórzy mylą Radomsko z Radomiem.

Na to on odrzekł:

- Mnie to nie dotyczy, bo też jestem z tych okolic, a mianowicie z Piotrkowa Trybunalskiego, a to po sąsiedzku.

Finał spotkania był taki, że zaufał mi, zaprosił do swojego skromnego domku na szklaneczkę wody. Tam dał mi do przeczytania dwa pisemne opracowania. Jedno dokumentowało zagładę dwunastu i pół tysiąca polskich oficerów i inteligentów w trzech radzieckich obozach zagłady: Katyniu, Charkowie i Ostaszkowie. Drugie, to opis celowej katastrofy samolotu z generałem Sikorskim w Gibraltarze.

Proszę, wierzcie mi, że o obu tych faktach historycznych dowiedziałem się po raz pierwszy w życiu! Czy przeżyłem szok? Wybaczcie mi - nie powiem, bowiem każdy z nas ma psychikę o różnej skali wytrzymałości. Oczywiście, swoich odkryć nie nagłaśniałem. Nie mogłem, bo takie były czasy.

Drugie przeżycie związane było z ćwiczeniami w ramach całych sił zbrojnych, a mój pułk był jednostką szczebla frontowego. Po całodobowym dyżurze oficera operacyjnego na stanowisku dowodzenia pułku, udałem się późnym wieczorem na zasłużony odpoczynek do namiotu hotelowego. Stojący obok łóżka polowego aparat telefoniczny skusił mnie, aby jeszcze coś powiedzieć kolegom pełniącym służbę na stanowisku dowodzenia. Nakryłem mikrofon chusteczką i zniekształconym głosem zameldowałem:

- Uważajcie, jedzie do was naczelny dowódca!

- Kto mówi? - zapytał kolega.

- Operacyjny szefostwa - odrzekłem i położyłem się spać.

Niestety, nieświadomie ukarałem siebie. Za parę minut stanął przy moim łóżku żołnierz w pełnym rynsztunku, obudził mnie i zameldował:

- Dowódca zarządził zbiórkę całego stanu osobowego stanowiska dowodzenia.

Poszedłem tam, wszyscy mieli już hełmy na głowach, maski przeciwgazowe w gotowości do użycia, słowem istne piekło. Dowódca pułku, pułkownik Koźliński, ogłosił:

- Przyjeżdża do nas dowództwo frontu ćwiczącego i musimy być wszyscy w pełnej gotowości, aż do odwołania.

W związku z tą sytuacją zapytałem:

- Czy ci po służbie też muszą być?

Dowódca żachnął się mocno i rzekł:

- Kochany, kochanieńki (takich zwrotów używał często i tak był nazywany), jak śmiesz rezygnować z jedynej i niepowtarzalnej okazji spotkania generała. To rozkaz i obowiązek być tutaj - odpowiedział.

Więc cóż miałem robić, zostałem. Przecież nie mogłem powiedzieć, że ja to wymyśliłem, skoro cały stan osobowy stanowiska dowodzenia został postawiony na nogi. Dobrze jest czasem pożartować, prawda?

Ćwiczenia, ćwiczenia i po przyjeździe do garnizonu człowiek bardziej szanował koszary, bo z nich częściej bywał w domu, bardziej kochał żonę i rodzinę, a nawet szanował teściową. Chociaż ja i inni koledzy, którzy weszli w rodziny „wileńskie" nie mieliśmy podstaw do narzekania na teściów.

Bardzo ważną częścią naszego życia wojskowego były również uroczystości okolicznościowe z okazji obchodzenia świąt państwowych i dnia Wojska Polskiego. Nadzwyczaj przyjemne były zabawy taneczne organizowane na terenie jednostki. Te uroczystości i zabawy integrowały środowisko wojskowe. Zawiązywały się przyjaźnie między różnymi rodzinami i tworzyły nowe układy towarzyskie. Zmniejszał się poniekąd dystans służbowy oficerów starszych i młodszych. Na tych imprezach cała kadra tworzyła jakby jedną, wielką rodzinę.

W dniu 1 lipca 1973 roku pułk otrzymał sztandar. Było to wielkie wydarzenie dla całej naszej społeczności. Po oficjalnych ceremoniach dowódca jednostki wydał uroczysty obiad dla gości zaproszonych z Warszawy, władz miejskich i swojej kadry z małżonkami.

Szef Wojsk Łączności, generał Kołatkowski, wzniósł kilka toastów, a jeden z nich za zdrowie i dalsze sukcesy dowódcy pierwszego batalionu - majora Kruszyńskiego. Na to ktoś głośno powiedział, iż rzeczony dowódca jest kapitanem, bo istotnie tak było. Generał ponownie podkreślił zdrowie majora. Po takim dictum wszyscy koledzy złożyli mi gratulacje i przyszło

tylko czekać na nadejście rozkazu awansowego. Rozkaz niestety nie przyszedł, a słowa wysokiego przełożonego okazały się puste. Wtedy wśród moich kolegów zaczęło krążyć powiedzenie: jak oficer mówi, że pije - to pije, a jak mówi, że daje - to ... mówi.

Życie w środowisku cywilnym było mocno urozmaicone. Nie było bezrobocia, wszyscy pracowali. Jednak sytuacja materialna rodzin nie była dobra. Ważniejsze zakupy domowe podpierano pożyczką z Koleżeńskiej Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej (KKOP) lub pomocą zasobnych krewnych. Kłóciło się to mocno z krajobrazem zewnętrznym. Dookoła widać było piękne samochody turystów zagranicznych, głównie z rejestracją niemiecką, francuską, szwedzką, ściągających na piękne Mazury. Najwięcej było Niemców, bowiem oni oprócz doskonałego wypoczynku oglądali, a nawet lustrowali niektóre domy i zabudowania, ponoć kiedyś przez nic pozostawione. Budziło to w nas uczucia nieprzyjazne i odpychało od nich.

Sytuacja mieszkaniowa kadry też była zła. Statystycznie do dwóch najgorszych pod tym względem garnizonów w Polsce zaliczano Kraków i Giżycko. W Giżycku stacjonowało w tym czasie siedem dużych jednostek wojskowych! Sytuacja mieszkaniowa poprawiła się dopiero za kilka lat, ale my, niestety, musieliśmy odchodzić w ramach zmiany dyslokacji pułku do Grudziądza lub na studia i następnie do nowych garnizonów.

*Andrzej Bischoff*

# PRZEWROTNOŚĆ LOSU

Długo zastanawiałem się o czym pisać. Co może jeszcze spotkać się z zainteresowaniem Szanownego Czytelnika? Nie chciałbym zanudzać. Nie mam wprawy, aby coś z lekkością i polotem wspominać. Pisząc te wspomnienia ograniczyłem się tylko do wyselekcjonowanych zdarzeń. Wybaczcie mi więc, że chcę tylko pokazać pewne nie złowrogie fatum, które nade mną ciążyło oraz pewną przewrotność losu, towarzyszącą mojej trzydziestosiedmioletniej służbie wojskowej. A więc pozwólcie, że przedstawię kilka ciekawszych zdarzeń z mojego wojskowego życiorysu.

Pomińmy znane w naszym środowisku R-63 wybryki okresu podchorążackiego: ucieczki z zajęć na plażę nad nowym Zalewem Zegrzyńskim, pokonywanie mostu górnym przęsłowym przejściem, czy Bugo-Narwi wpław pod mostem, do czego zresztą przyczyniali się koledzy patrolujący to jedyne przejście. Pamiętamy nieszczęsną wyprawę lekko trunkową (no, bo było tylko parę butelek wina), na początku trzeciego roku, kojarzoną z rozdartymi spodniami oficera dyżurnego szkoły pana majora Skolimowskiego i zerwaniem się z prześcieradłowych powrozów naszego przemiłego kolegi Bogusia Szczecińskiego. Ta nieszczęśliwa wyprawa skończyła się dla mnie dziesięciodniowym aresztem. A tak na marginesie tego wyczynu, chlubili się niektórzy systematyczni „podpadacze" ilością zaliczonych dni aresztu. Licytowałbym się z nimi, bo choć tylko trzy razy nakładano na mnie taką karę, to w sumie sporo uskładało się tych aresztanckich dzionków.

Tak więc po pięknych, beztroskich latach podchorążackich przyszło mi wrócić do służby w tym samym 5 Pułku Łączności, stacjonującym przy ul. Żwirki i Wigury w Warszawie, w którym wiosną trzy lata wcześniej rozpocząłem tę wojskową, życiową przygodę. Pierwszy raz przewrotność mojego losu objawiła się właśnie wiosną 1960 roku. Wskutek świadomie podjętej próby uniknięcia odbycia zasadniczej służby wojskowej, w niej znalazłem powołanie i związałem się z wojskiem na całe życie. A było to tak.

Wraz z przyjacielem z lat szkolnych, po relegowaniu mnie z Politechniki Warszawskiej, a kolegi z Uniwersytetu Warszawskiego, za lenistwo, nie przywiązywanie właściwego znaczenia do studiów i uleganiu w większości czasu uciechom tych lat, wyraziliśmy chęć zgłoszenia się do pracy w kopalni węgla na Śląsku, w zamian za zaliczenie zasadniczej służby wojskowej. Chcąc załatwić niezbędne formalności zgłosiliśmy się więc do macierzystego WKR-u (Wojskowej Komendy Rejonowej), mieszczącego się przy ul. Sękocińskiej na Ochocie.

Sierżant, po wysłuchaniu nas, tak się chyba tym ucieszył, że oto niespodziewanie trafiło mu się dwóch facetów na uzupełnienie najbliższego poboru, iż o mało nie skręciło go ze śmiechu. Nam jednak nic nie zakomunikował. Zalecił nam spacer po Ochocie. My rozluźnieni, pełni nadziei na pozytywne załatwienie sprawy, po kilkunastu minutach powróciliśmy, a tu pan sierżant oczywiście z ironicznym uśmiechem wręczył nam karty powołania. Stało się to na dwa tygodnie przed Wielkanocą. Wyobrażacie sobie, jak po wyjściu z tego miłego budynku skręcało nas ze śmiechu! Oczywiście, mój Tata dopiero w przeddzień mojego pójścia do koszar dowiedział się, że synek nie jest już studentem, a przyszłym rekrutem.

Tak więc zaczynałem służbę zawodową w tym samym pułku, gdzie odbyłem okres rekrucki. Z doświadczeń młodego oficera dla porządku wyznać muszę, że tu, w 5 Pułku Łączności, jako dowódcy plutonu radiostacji R-102, przydarzyło mi się nieprzyjemne zdarzenie. Działo to się w dniu obsługi sprzętu. Nie pamiętam dzisiaj, czy w tych latach nazywano ten dzień - dniem techniki, ale mniejsza z tym. Splot głupich, nieprzemyślanych decyzji i czynności bez wyobraźni młodego oficera i jego podwładnych doprowadzić mógł do zgubnych następstw.

W tym dniu jeden z nadajników R-102 został ustawiony między blokami koszarowymi, na trawniku przed blokiem 1 Brygady Łączności. Kierowca po wyprowadzeniu samochodu, oczywiście skrupulatnie zamknął kabinę i udał się do innych zajęć (bywało przecież, że na 2-3 pojazdy był tylko jeden kierowca). Dowódca tego nadajnika, też żołnierz służby zasadniczej (jak pamiętam tępy, ale bardzo sumienny chłopak), stwierdziwszy, że w kanistrze z paliwem do agregatu prądotwórczego zamiast benzyny ma wodę, nie pamiętam czy mnie o tym zameldował i czy mu może odbąknąłem „to ją wylej", w każdym bądź razie zaczął zawartość tego kanistra opróżniać tuż pod pojazdem.

Po jakimś czasie, porządkując nadal radiostację, na przypadkowym wieczku do puszki przystąpiliśmy do spalania ścinków taśm dalekopisowych i blankietów radiotelegramów. Chcąc przygasić ten ogień nogą nadepnąłem to cholerne wieczko, które odskoczyło i potoczyło się w miejsce tej rozlanej cieczy. Oczywiście woda tym razem cudownie przemieniła się w benzynę, no i wyobrażacie sobie co się działo!

We wspomnieniach kolegów z 1 Brygady Łączności, wyglądało to groźnie. Pożar pod zbiornikami, samochód z zamkniętą kabiną (kluczyków

w tym momencie i tak by nikt nie znalazł). Właśnie chłopcy z 1 Brygady Łączności, którzy przez okna zauważyli co się dzieje, podążyli z pomocą z różnym podręcznym sprzętem. Co prawda, jak zwykle w takich chwilach, technika i emocje spowodowały, że tylko co druga gaśnica zadziałała. Jeden z oficerów naszego pułku, prowadzący zajęcia z plutonem szkolnym, widząc co się dzieje poświęcił swój płaszcz zimowy. Był już mocno podniszczony, no, ale ów pan domagał się, abym mu go odkupił. Ostatecznie dowódca jednostki kazał wydać mu z magazynu nowy płaszcz.

Skończyło się szczęśliwie, ale tak pamiętliwie, że nawet dzisiaj paląc na działce gałęzie czy trawę, a zwłaszcza papiery, przeczulony jestem na zachowanie bezpieczeństwa. Żonę z grabiami, łopatą i wężem wodnym (nie benzynowym) powołuję do drużyny przeciwpożarowej.

Po tym wypadku przełożeni uznali, iż może lepiej będzie nie dawać mi więcej okazji do zabawy z ogniem i że raczej mam zadatki do pracy sztabowej. Ktoś musiał przecież wykonać prace „przeniesieniowe" do nowego garnizonu, gdy po roku cieszenia się służbą w rodzinnej stolicy okazało się, że przenoszą nas bliżej rubieży operacyjnej - do Wałcza.

Zdążyłem właśnie się ożenić i zagospodarować otrzymane, jakieś niewielkie, ale już samodzielne mieszkanie, a tu hiobowa wieść uderzyła jak grom z jasnego nieba. Tak więc pan major Walerian Kaczmarek, wcześniej pierwszy dowódca całej warszawskiej grupy absolwentów, która trafiła do 1 Brygady Łączności, po przejściu do naszego pułku, zaproponował moją osobę na pomocnika szefa sztabu z zadaniem przewiezienia tajemnic mobilizacyjnych i zadaniowo-operacyjnych do Wałcza. W latach 1965–1966 w Wałczu znaleźli się: Witek Cieślewski, Jurek Walczyński, Janek Juszkiewicz i krótko Heniek Fidura oraz później, po ukończeniu WAT-u, w drodze do wymarzonej Marynarki Wojennej, równie krótko Wałcz zaliczył Marian Moneta.

Wałcz w tamtym czasie, podobnie jak chyba większość zachodnich garnizonów, to był jeszcze prawie dziki zachód. Konglomerat ludnościowy i kulturowy. Od początku niesnaski i awantury z kadrą 49 Pułku Zmechanizowanego, na którego obszary dotychczasowych wpływów mieli teraz zakusy nowo przybyli łącznościowcy. Niejedno zdarzenie pamięta jedyna wówczas większa knajpa w centrum Wałcza, kasyno czy internat.

Minęły cztery lata i stanąłem na starcie na studia do Akademii Sztabu Generalnego. O tym starcie też można by dużo opowiadać. Wspomnę tylko, że gdybym na egzaminie w sztabie okręgu w Bydgoszczy nie podejrzał na mapie u Witka Bienia, z zaprzyjaźnionego pułku w Świeciu, jak rysuje się kolumnę kompanii w marszu lub rubież ataku i nie ściągnął od niego z pół dyktanda z języka rosyjskiego, to z tych studiów nic by nie było. Ale większość z nas była taka zielona.

Za to pozwoliliśmy Witkowi przez pierwszy rok mieszkać razem z nami w trzyosobowym pokoju. Drugim lokatorem był Zbyszek Chruściński, późniejszy dowódca 12 Pułku Radioliniowo-Kablowego w Świeciu,

komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności, a następnie szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Szczecinie.

Przyznać muszę, że przez trzy lata studiów, trzeba było mieć wiele zdrowia, by obok zajęć programowych znieść wielogodzinne partyjki brydżowo-pokerowe, no i zdrowy żołądek i wątrobę. Mogą to potwierdzić Jurek Malinowski i Marian Szklarek jako, że też się do tego przyczyniali.

Wysiłek fizyczny wkładany podczas zajęć w Rembertowie, ćwiczeń pociągowych, to znaczy ćwiczeń dowódczo-sztabowych, w których wykorzystywano pociągi, jako miejsce pracy i transportu, obozów górskich i podróży historyczno-wojskowych, zwielokrotniły długotrwałe podróże do rodziny. W tamtym czasie, w ostatniej chwili przybywało się na dworzec główny przy Towarowej, często bez biletu i przez okno wciąganym się było do wagonu, a później stało się całą kilkugodzinną podróż w niesamowitym ścisku, na jednej nodze, nieraz jako zmiennik w „kiblu". Wyliczyłem, że przez te trzy lata studiów przejechałem pociągami kulę ziemską prawie półtora raza.

Ten wysiłek odbija mi się teraz bólami kręgosłupa. Kolega Zbigniew Chruściński, z którym podczas trzyletnich studiów mieszkaliśmy w jednym pokoju, i tak miał mnie za wzór pracowitości. Dzisiaj twierdzi, że nie tylko podnoszenie ciężarów przyczyniło się do zwyrodnienia mojego kręgosłupa, ale też zamiłowanie do malowania map. Bo jak wspomina, gdy w piątek wyjeżdżał w odwiedziny do rodziny, a ja zaczynałem rysować mapę, to gdy wracał w niedzielę wieczorem zastawał mnie dalej nad mapą. Może tak i było, może była to ta sama mapa, a ja byłem leniwy?

Kolejna przewrotność i zbieg nieporozumień tak potoczyły dalszymi moimi losami, że na całe życie utwierdziły mnie w przekonaniu: „póki tyłkiem nie siądziesz na stołku, to do ostatniej chwili nie bądź pewny siebie".

Otóż kończąc Akademię Sztabu Generalnego WP, na rozmowach kadrowych z zadowoleniem przyjąłem propozycję objęcia stanowiska szefa sztabu 4 Pułku Łączności w Bydgoszczy. Było to już jakoby przesądzone. W końcowym efekcie okazało się, że nie. Podczas urlopu odbywanego w Wałczu wezwano mnie przed oblicze szefa Wojsk Łączności Ministerstwa Obrony Narodowej pana generała Kołatkowskiego, wizytującego w tym czasie 2 Brygadę Łączności w Wałczu i przedstawiono mi nową propozycję: objęcia stanowiska dowódcy batalionu WSD (wysuniętego stanowiska dowodzenia), z bliską perspektywą objęcia stanowiska szefa sztabu brygady. Propozycja była kusząca, a że panu generałowi trudno było odmówić, a z Wałczem byłem już zżyty, więc się zgodziłem, uprzedzając jednak, że wcześniej przy rozdziale absolwentów była dla mnie inna propozycja. Oczywiście, pan generał i jego zastępca pan pułkownik Władysław Wawszkiewicz uznali, że nie ma problemu i to się zmieni.

Wszyscy byli zadowoleni, ja, przełożeni i dowódca brygady pan pułkownik Stanisław Markowski. Z pełnym uniesieniem i samozadowole-

niem, w ostatnich dniach przed stawieniem się w sztabie Pomorskiego Okręgu Wojskowego na spotkanie z dowódcą okręgu i w sprawie przydziału do jednostek, podjąłem się odnowienia mieszkania, po czym pewny swego udałem się do Bydgoszczy.

Moja pewność była tak wielka, że odbierając w oddziale kadr skierowanie do jednostki, nawet na nie nie patrząc, schowałem je do kieszeni. Dopiero gdy nasz starszy grupy akademickiej pan pułkownik Zbigniew Hodyr rozdawał bilety na podróż do jednostek okazało się, że dla mnie ich nie ma. Ze zdumieniem odkryłem, że mam skierowanie do 4 Pułku Łączności, mieszczącego się dwie ulice obok.

Mimo podjętych wyjaśnień, kilkudniowych zabiegów, nic już się nie zmieniło. Co prawda wmawiano mi, że po roku mogę wrócić do Wałcza, ale na kolejny rok rozłąki z rodziną i na niepewne rozwiązania już się nie godziłem. Czwarty pułk łączności w Bydgoszczy to była bardzo dobra jednostka. W tym czasie jej dowódcą był pułkownik Tadeusz Mordaka, a jego zastępcami podpułkownicy. Naraz przychodzi na szefa sztabu młody kapitan.

Ponieważ, jak państwo wiecie, wzrostu jestem raczej nieśredniego, a jak się okazało mój poprzednik, podpułkownik Niepokulczycki był ode mnie o jakieś pół głowy niższy, więc szybko uknuto w pułku żartobliwe powiedzonko (nie wiem czy jego autorem nie był Zbyszek Berliński). Gdy w trakcie przekazywania obowiązków razem chodziliśmy po terenie koszar, mówiono „oto idzie Rumcajs z Cypiskiem". Rumcajs odszedł, Cypisek przykleił się już do mnie na stałe. A tak już na pewno: Zbyszek Berliński opowiadał taką dykteryjkę: „dlaczego pan Niepokulczycki idąc podczas ćwiczeń przez las tak się uśmiecha? Bo go po j... łaskoczą źdźbła trawy".

Na początku lekko nie było, ale spotkałem się z przychylnością i wsparciem naszych kolegów pełniących służbę w pułku: Zbyszka Berlińskiego, Pawła Florczaka, Zenona Bystrego, Sylwka Szczygielskiego, Edmunda Landowskiego, a także później przybyłego do pułku Stefana Fręśko. Szczerze cieszyli się, że na tak wysokie w hierarchii pułku stanowisko przyszedł kolega z R-63. Było ciężko, a ponadto w tym czasie bezpośrednim przełożonym pułku był szef sztabu okręgu, wymagający i stojący u progu kariery generał brygady Apoloniusz Golik. Można więc sobie wyobrazić jaką dostawaliśmy szkołę.

Ale jakoś radziliśmy sobie. Był to okres wielkiej życzliwości i więzi koleżeńskiej, częstych na gwizdek, czy telefon „skrzyknięć" na spotkania towarzyskie lub podwieczorki taneczne w pobliskim kasynie na Osiedlu Leśnym. Prym towarzyski wodził oczywiście Zbyszek Berliński, zmuszający nas nieraz do śmiechu na klęczkach. Stefan Fręśko, od czasu do czasu, prostował ideologicznie i opier... Pawła F., a nasze żony prostowały nas wszystkich. Do tego grona, już po moim odejściu do Kwidzyna, dołączył wraz z rodziną Karol Kociałkowski, obejmując stanowisko szefa sztabu pułku.

W styczniu 1976 roku byłem już w Kwidzynie z zadaniem sformowania 24 Pułku Łączności, przeznaczonego do zapewnienia łączności stanowiskom dowodzenia tyłów frontu. Tu też ponoć miałem być niedługo: do sformowania pułku, a pozostałem prawie 6 lat.

Lata osiemdziesiąte, to służba w Kielcach na stanowiskach szefa sztabu, a później dowódcy 20 Brygady Łączności Wojsk Obrony Wewnętrznej. Szkoda, że doszło do likwidacji tej jednostki, dobrze wyszkolonej, z dobrymi koszarami i zapleczem technicznym oraz bardzo dobrą bazą szkoleniową. W okresie gdy brygadą dowodził mój serdeczny kolega (też z grupy ze studiów w Akademii Sztabu Generalnego) pan pułkownik Aleksander Gruszeczka, a ja byłem szefem sztabu, któregoś roku, dopełniając rutynowo obowiązku przyjęcia i przedstawienia podczas apelu brygadowego nowoprzybyłych absolwentów akademii, szkół oficerskich i szkół chorążych, idąc przed frontem pododdziałów pytałem się kolegi Alka - czy pamiętasz swoje przybycie do jednostki? Bo ja pamiętam takie same powitanie w pułku w Warszawie, jak stojąc w 1963 roku podobnie koło trybuny jak teraz ci absolwenci i patrząc na ówczesnego dowódcę 5 Pułku Łączności podpułkownika Rysia, prawie siwego mężczyznę około pięćdziesiątki, to człowiek nie dopuszczał do siebie myśli, iż możliwe jest osiągnięcie kiedyś tak wysokiego stopnia wojskowego i doczekanie takiego stanowiska. I oto pewno ci młodzi chłopcy patrząc na nas dwóch myśleli sobie - jakie to stare pryki dowodzą tą jednostką, a kiedy my dojdziemy do tych zaszczytów?

Dla potwierdzenia tezy o usadowieniu się na właściwym stołku we właściwym czasie, jeszcze raz o kolejnej przewrotności losu. Wracając w 1989 roku, po dwudziestu czterech latach, do kochanej Warszawki, zostałem rozkazem personalnym MON wyznaczony na stanowisko, na które się wcześniej zgodziłem, a po przybyciu na miejsce musiałem oczywiście znów objąć inne stanowisko.

Opisane zdarzenia, mimo wywoływanych okresowych stresów, nie obracały się przeciwko mnie, bo ponoć nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Proszę jednak nie kojarzyć tych moich losowych przypadków z działalnością kadrową naszego szanownego kolegi Brunona. On musiał później prostować, to co inni wymyślili i pokręcili oraz wyprowadzać mnie na prostą. Dziękuję Ci, za to Brunonie.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom, kolegom i ich małżonkom z naszej rodziny R-63, za okazywaną mi życzliwość i wsparcie przez te trzydzieści siedem lat służby.

***Od redakcji:*** *Autor do osiągnięcia wieku emerytalnego, to jest do 1997 roku, był dyrektorem Departamentu Spraw Obronnych w Ministerstwie Łączności. Na stanowisku tym pracował nadal jako pracownik cywilny do kwietnia 1999 roku. Z drugą swoją wybranką, Krystyną, mieszka obecnie w Markach koło Warszawy.*

*Bernard Otremba*

# Bracia

## Droga do gwiazdek

Był to jedyny przypadek w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu i chyba nie tylko, żeby dwóch braci było na tym samym roczniku, w jednej kompani i do tego w tym samym plutonie i drużynie oraz aby razem promowani byli na pierwszy stopień oficerski. Tych dwóch braci, to mój starszy brat Józek i ja młodszy - Bernard, zwany Benem lub Benkiem. A wszystko zaczęło się jak zwykle przypadkowo i przez splot niespodziewanych zdarzeń. Także nasze drogi do OSŁ były różne.

Szkołę średnią, I Liceum Ogólnokształcące w Katowicach, ukończyłem w 1960 roku. Po zdaniu matury, stanąłem przed problemem. Co dalej? Ojciec wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie będzie pomagał mi finansowo, gdybym zdecydował się na studia dzienne. Ujął to w następujących słowach - synu, masz podjąć pracę, a jak nie, to wynoś się z domu.

Po namyśle nad tym, co mi powiedział ojciec, nie mając innego wyboru, skierowałem swoje kroki do Wojskowej Komendy Rejonowej (WKR) w Katowicach i poprosiłem o skierowanie mnie na egzaminy do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Wybrałem zaś Zegrze dlatego, że moimi ulubionymi przedmiotami w ogólniaku były przedmioty ścisłe, matematyka, fizyka, chemia i te zainteresowania zdecydowały o wyborze szkoły.

O decyzji zdawania egzaminów do szkoły oficerskiej powiadomiłem swojego starszego brata Józka, który odbywał już w tym czasie zasadniczą, trzyletnią służbę wojskową w Marynarce Wojennej. Poszedł do niej na ochotnika i służył już wówczas drugi rok. Brat, chcąc się ze mną spotkać, złożył także w swojej jednostce prośbę o skierowanie go na egzaminy wstępne do szkoły, którą ja wybrałem.

W Wojskowej Komendzie Rejonowej otrzymałem skierowanie na egzaminy do Zegrza i bilet na drogę. W szkole oficerskiej stawiłem się na początku września. Zakwaterowano nas w namiotach. Stamtąd wożono do Warszawy na komisję lekarską oraz prowadzano na egzaminy. Komisja uznała, iż jestem na tyle zdrowy, że mogę zostać oficerem. Egzaminy zaś, w tym pisemne i ustne zdawałem bardzo dobrze. Gorzej było ze sprawdzianem z wychowania fizycznego. Miałem wtedy 176 centymetrów wzrostu i 56 kg. Sprawdzian z WF-u był dla mnie niezwykle trudny, bo krzepa nie taka, jaka była konieczna, a i wytrzymałość nijaka. Najgorzej było z biegiem na trzy kilometry. Kończyłem bieg z sercem na ramieniu i językiem na brodzie. Potem nastąpił czas oczekiwania na ogłoszenie wyników. Egzamin zdałem. Po ogłoszeniu wyników egzaminów nastąpiła wielka radość. Zostaliśmy przyjęci do szkoły, ja oraz mój brat Józek.

W trakcie zdawania egzaminów prawie się z bratem nie widziałem. Ci bowiem, którzy przyjechali z jednostek wojskowych zdawali egzaminy w innej grupie. Praktycznie, mimo że Józek nie czynił większych starań przy ich zdawaniu, to oznajmiono mu, że egzaminy zdał i został przyjęty do szkoły.

Po ukończeniu w 1958 roku Liceum Ogólnokształcącego w Katowicach pragnieniem Józka było dostanie się do Wyższej Szkoły Marynarki Handlowej. Pomimo zdania egzaminów wstępnych z ocenami bardzo dobrymi, do szkoły się nie dostał z powodu dużej liczby kandydatów i ograniczonej liczby miejsc. Z tego też względu, zaraz po nieudanej próbie dostania się do Wyższej Szkoły Marynarki Handlowej, zgłosił się na ochotnika do odbycia służby wojskowej w Marynarce Wojennej.

Służbę w marynarce rozpoczął w Ośrodku Szkolenia Specjalistów Marynarki Wojennej w Ustce. Tam odbył szkolenie unitarne, po czym skierowano go do Szkoły Podoficerskiej. Po zakończonym tam szkoleniu wcielono go do dywizjonu trałowego. W okresie 1959-1960 brał czynny udział w trałowaniach bojowych na Bałtyku.

W 1960 roku złożył dokumenty do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Na egzaminy wstępne nie mógł się jednak stawić w wyznaczonym terminie, gdyż w tym czasie wykonywał zadania na morzu. Zaraz po tym fakcie dowiedział się z listu, że ja będę zdawał egzaminy do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Postanowił więc razem z dwoma kolegami złożyć dokumenty w Zegrzu. Tak też zrobili i otrzymali skierowanie na egzaminy.

Jednakże na egzaminy nie stawili się w wyznaczonym czasie, gdyż przez trzy dni przebywali na samowolnym oddaleniu. Do szkoły przybyli wówczas, gdy już egzaminy wstępne prawie zostały zakończone. Było to ich celowym działaniem, gdyż nie chcieli się dostać do szkoły i zostać oficerami. Główną przyczyną przyjazdu Józka do Zegrza była chęć spotkania się z bratem i przeżycia jeszcze jednej przygody. Mimo tego, po upływie miesiąca od powrotu do macierzystej jednostki, wezwano ich na rozmowę i oznajmiono, że zostają skierowani do Oficerskiej Szkoły Łączności w Ze-

grzu. Takim więc sposobem mój starszy brat, będący już w stopniu wojskowym mata, został podchorążym.

Po zakończonych egzaminach powróciłem do domu rodzinnego, gdzie po miesięcznym okresie oczekiwania nastąpił wyjazd do szkoły w Zegrzu. W szkole stawiłem się 27 września 1960 roku, aby od razu dostać się w wojskowy magiel. Rozpoczął się od kąpieli, strzyżenia „na glacę" i ponownego badania lekarskiego, ale tym razem przed komisją lekarską szkoły. Potem było fasowanie mundurów i pierwszy kontakt z szefem trzeciej kompanii sierżantem Szemborskim. Z kolegami, z którymi zaprzyjaźniłem się na egzaminach, z wielkim trudem i dopiero po wielu dniach zaczęliśmy się rozpoznawać. Wszystko to było za sprawą zmiany naszego wyglądu zewnętrznego, po ogoleniu głów i przebraniu w drelichowe mundury polowe.

Pierwszy rok nauki i służby wojskowej w szkole charakteryzował się dużym wysiłkiem fizycznym na zajęciach typowo wojskowych, takich jak: musztra, taktyka pojedynczego strzelca na polu walki, wychowanie fizyczne, regulaminy oraz intensywną nauką z innych przedmiotów. W tym okresie nie wychodziłem prawie na przepustki.

Na drugim roku, już miałem kilku serdecznych przyjaciół. Należeli do nich Witek Cieślewski, Mietek Marciocha i inni. Na początku drugiego roku nadano nam specjalności wojskowe i zgodnie z nimi przydzielono nas do poszczególnych plutonów. Ja, wraz z bratem, zostałem przydzielony do drugiego plutonu o profilu radiowym. Moim dowódcą drużyny był Stefan Fręśko.

Drugi rok służby upłynął mi na intensywnej nauce przedmiotów zawodowych. Popołudnia zaś, wypełniała nauka własna. Zamiast jednak chodzić do bloku wyszkolenia, wybierałem przeważnie salę gimnastyczną, gdzie razem z kolegami ćwiczyliśmy po dwie, trzy godziny gimnastykę i podnoszenie ciężarów.

Nagle, pod koniec drugiego roku, do szkoły wezwana została przez komendę szkoły nasza matka. Wiązało się to ze złożeniem przez Józka prośby o zwolnienie ze szkoły oficerskiej. Brat wykoncypował sobie, że ma już zaliczoną z nawiązką całą obowiązującą służbę wojskową i najlepiej mu będzie w cywilu. Nie wiem czy w tym przedsięwzięciu, po części, nie maczała swoich palców jego przyszła żona Hanka. Po rozmowach Józka i matki z komendantem szkoły pułkownikiem Gierasimczykiem, Józek wycofał swoją prośbę i pozostał w szkole do promocji.

Trzeci rok służby w szkole to nauka, nauka oraz doskonalenie umiejętności zawodowych, pracy na urządzeniach łączności, zdobywanie klasy radiotelegrafisty, a także dalsze doskonalenie kondycji fizycznej. W połowie trzeciego roku Józek pojechał na badania lekarskie do Warszawy, gdzie po rozpoznaniach wykryto u niego zaczątek choroby płuc. W związku z tym pozostawiono go na leczeniu w szpitalu, a następnie skierowano do sanatorium „Salamandra" w Zakopanem.

Rok ten kończył się egzaminami komisyjnymi. Zdałem je z łatwością. W tym czasie Józek otrzymał przepustkę ze szpitala i stawił się na egzaminy, które także zaliczył. Okoliczności przybycia Józka na egzaminy wyjaśnia w swoich wspomnieniach Zbyszek Kłos, który pełnił wówczas funkcję pisarza trzeciej kompanii podchorążych.

Po egzaminach nastąpił krótki okres wyczekiwania na promocję. Odbyła się ona tradycyjnie w pierwszą niedzielę września, a więc 1 września 1963 roku. Jakaż była radość naszych rodziców, którzy przybyli na promocję i widzieli, jak ich dwaj synowie promowani byli na oficerów. Na zabawie promocyjnej jednak nie byliśmy, ponieważ Józek postanowił w tym dniu wziąć ślub cywilny i kościelny z Hanką w Legionowie, a ja musiałem uczestniczyć w tych uroczystościach.

Po uroczystościach rodzinnych nastąpiło pożegnanie z kolegami, a następnie wyjazd - z całym ekwipunkiem oficerskim, to jest mundurami, bielizną osobistą i innymi niezbędnymi oficerowi rzeczami, które zostały zapakowane do dwóch dużych worów i oficerskiego pojemnika, które trzeba było dźwigać samemu do rodziców w Katowicach. Miesięczny urlop w domu rodzinnym spędziłem miło. Pieniądze, które otrzymaliśmy jako pierwszą pensję, szybko się rozeszły.

Po szkole, ja i Józek, dostaliśmy przydział do Śląskiego Okręgu Wojskowego. Stawiliśmy się więc w kadrach SOW we Wrocławiu 1 października. Byliśmy tam jednymi z kilkudziesięciu młodych podporuczników czekających na służbowy przydział. Stres z tym związany, panujące podniecenie i nerwy były ogromne. Każdy chciał otrzymać przydział blisko rodzinnego domu lub tam, gdzie sobie wymarzył. My chcieliśmy iść do Opola, gdyż stąd najbliżej było do rodzinnych Katowic. Po przeprowadzeniu z nami wstępnych rozmów i dłuższym oczekiwaniu oznajmiono nam, że otrzymujemy przydział do 10 Sudeckiej Dywizji Pancernej w Opolu; obaj do 41 dywizyjnego batalionu łączności na stanowiska dowódców plutonów. Ja objąłem stanowisko dowódcy plutonu dowodzenia w kompanii radiowej.

I tu potrzebne byłoby wyjaśnienie tego fenomenu lub odpowiedź na pytanie: jak to się stało, że otrzymaliśmy przydział tam, gdzie chcieliśmy? To się przecież w wojsku wówczas nie zdarzało. Do dnia dzisiejszego stanowi to dla mnie zagadkę.

## Pierwsze oficerskie lata

Zgodnie z przydziałem służbowym stawiłem się w kompanii radiowej, której dowódcą był kapitan N.S. Jej szef sierżant Smajda wskazał mi internat i skierował na ulicę Drzymały celem zakwaterowania. Jak się okazało, budynek, w którym był internat spełniał kilka funkcji. Na parterze była re-

cepcja, Komenda Garnizonu oraz areszt garnizonowy. Na pierwszym piętrze internat, zaś na drugim - hotel garnizonowy. Kierowniczka internatu przyjęła mnie bardzo miło. Powiedziała jednak, że zakwateruje mnie w internacie, ale pod warunkiem, że przyniosę z jednostki łóżko, materac i koce, gdyż takowymi nie dysponuje. Miesięczna opłata za internat w tym czasie wynosiła 90 złotych, które musiałem zapłacić, abym mógł wprowadzić się do internatu.

Udałem się po pomoc do szefa kompanii radiowej, który wydał mi sprzęt i zorganizował jego przeniesienie do internatu. Kiedy już wprowadzałem się na nowe miejsce zakwaterowania, nie wiedziałem, że przyjdzie mi w nim mieszkać przez cztery lata. Współlokatorami moimi byli różni oficerowie i podoficerowie zawodowi. Spotkałem tam oficerów, którzy rok, dwa lata wcześniej kończyli Oficerską Szkołę Łączności w Zegrzu. Przebywali tam żonaci oficerowie, którzy byli służbowo przeniesieni do Opola i oczekiwali na mieszkanie służbowe. Zamieszkiwali także długoletni kawalerowie, którym nie chciano przydzielić mieszkań służbowych, gdyż było ich stale za mało.

Warunki socjalne w internacie były nędzne, a można powiedzieć złe. Pokoje były nieduże. Mieszkało w nich po dwóch, trzech, a niekiedy czterech lokatorów. Brakowało w nich podstawowego wyposażenia w sprzęt gospodarstwa domowego. Nie było lodówek do przechowywania żywności i kuchenek do przyrządzania posiłków, żadnego pomieszczenia, które spełniałoby rolę świetlicy. Regulamin internatu był bardzo srogi. Określał czas odwiedzin osób postronnych, na przykład dziewcząt, tylko do godziny dwudziestej drugiej. Po tej godzinie nie mogły przebywać na terenie internatu żadne obce osoby, a szczególnie młode panie.

Jeśli chciałem spędzić noc z dziewczyną, to zamawiałem i płaciłem za pokój gościnny w hotelu garnizonowym. Gdy zaś wracałem z dancingu po północy z poderwaną dziewczyną, to często trzeba było ją przemycać do pokoju pod okienkiem recepcyjnym lub wciągać przy pomocy powiązanych prześcieradeł na pierwsze piętro.

Porządek naszego dnia służbowego przedstawiał się następująco. Pobudka o godzinie szóstej, następnie toaleta poranna i szybkie śniadanie w internacie, przyrządzone samodzielnie. Do jednostki przybywaliśmy o siódmej. Szkolenie żołnierzy trwało od ósmej do czternastej. Od czternastej do piętnastej odbywała się codzienna odprawa u dowódcy kompanii w celu omówienia zadań i zajęć na następny dzień. Po odprawie kadra zawodowa, w tym i ja, udawała się na obiad do stołówki żołnierskiej, na której żywiły się także ich rodziny, spożywając posiłek w oddzielnych pomieszczeniach stołówki.

Po obiedzie wracaliśmy do internatu, ucinaliśmy krótką drzemkę i około godziny osiemnastej wychodziliśmy do miasta, aby spożyć kolację, najczęściej w restauracji „Polonia". Kolacja często zakrapiana była alkoholem. Z reguły, po kolacji następowała wędrówka po Opolu do restauracji

„Casino", „Europa" lub innych knajp, gdzie odbywały się dancingi. Można tam było potańczyć, poderwać dziewczynę i zabawić się. Wypady te kończyły się około pierwszej, drugiej w nocy. Następnie powrót do internatu, krótki samotny sen w łóżku lub z dziewczyną i rano wszystko zaczynało się od nowa. W pierwszych latach, do wyżej wymienionego rozkładu dnia, dochodziły służby oficera dyżurnego jednostki i patrole garnizonowe; zajmowały one cztery do pięciu dób w miesiącu.

W pierwszym okresie mojego pobytu w Opolu poznałem moją pierwszą wielką miłość, nauczycielkę o imieniu Małgorzata, którą zdrobniale nazywałem Gośką. Pracowała i mieszkała w Niemodlinie, około dwudziestu czterech kilometrów za Opolem. Miała tam swoje mieszkanie służbowe - jeden pokój bez żadnych wygód. Spotykałem się z nią dwa, trzy razy w tygodniu w Opolu lub Niemodlinie. Nasza znajomość trwała prawie cztery lata, do czasu kiedy to Gośka rzuciła mnie świadomie po złamaniu nogi. Noga zrosła się nieprawidłowo. Z tego powodu nie wyobrażała sobie, abyśmy mogli być nadal razem.

Oprócz zajęć codziennych, trzy, cztery razy do roku odbywały się ćwiczenia, które trwały nawet miesiąc i dłużej. 31 grudnia 1967 roku pełniłem służbę oficera dyżurnego jednostki. O godzinie szesnastej trzydzieści przybyli do jednostki oficerowie z dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego i ogłosili alarm. Dywizja wyjechała w rejony alarmowe. Obowiązki oficera dyżurnego przekazałem wyznaczonemu wcześniej następcy, a sam udałem się do mojego plutonu. Szybko zapadł zmrok. Batalion łączności rozwinął węzeł łączności, a dowództwo i sztab dywizji ulokowały się w pobliżu.

Sprzęt łączności w owym czasie był kiepski. Łączności radiowej z oddziałami i samodzielnymi pododdziałami dywizji nie było prawie żadnej. Chodząc między swoimi wozami dowodzenia, pytałem obsługujących żołnierzy o łączność, lecz w eterze panowała cisza.

Dowództwo odwołało alarm o godzinie dwudziestej. Batalion łączności zwinął węzeł łączności i powrócił do garnizonu. Mnie natomiast nikt nie powiadomił o odwołaniu alarmu. Około pierwszej w nocy zorientowałem się, że w rejonie alarmowym jest tylko mój pluton. Podałem więc sygnał do opuszczenia miejsca ćwiczeń i powrotu do garnizonu. W tę noc, jakże ważną dla młodego człowieka, miałem być z dziewczyną na zabawie sylwestrowej i hucznie witać nowy rok, a spędziłem ją w lesie.

W czwartym roku pobytu w internacie wojskowym, mieszkałem w pokoju z kolegą, także młodym oficerem Tadeuszem, który był dowódcą plutonu regulacji ruchu w kompanii sztabowej. Wspólnie postanowiliśmy tak narozrabiać w internacie, aby komendant garnizonu (bo od niego to zależało), wydał decyzję kierownikowi Garnizonowej Administracji Mieszkań o przydzieleniu nam mieszkań służbowych - kawalerek.

Był początek 1968 roku, kiedy to dostaliśmy w końcu upragnione, własne M-2. Składało się ono z pokoiku o powierzchni 16 metrów kwadrato-

wych, przedpokoju i ubikacji. Wyposażone było w dwupalnikową kuchenkę gazową, a całe mieszkanie miał ogrzewać w zimie mało wydajny piec kaflowy.

Moi przełożeni nie byli szczególnie zachwyceni tym, że prowadziłem życie dość swawolnego kawalera. Postanowili więc mnie „sprzedać" do Ośrodka Szkolenia Podoficerów Służby Czynnej w Strzegomiu. W pomyśle tym szczególnie zainteresowany był kadrowiec dywizji, podpułkownik Kozłowski. Z tego powodu wezwał mnie do sztabu szef łączności podpułkownik Ziobrowski i powiedział - proszę pojechać do szkoły w Strzegomiu po odbiór podoficerów służby zasadniczej i przywieźć ich do Opola po odbytym szkoleniu. Ponadto zalecił: zapoznaj się z jednostką, gdyż wszystko wskazuje na to, że dostaniesz tam przeniesienie służbowe.

Pobrałem rozkaz wyjazdu i ruszyłem w drogę. Droga była długa, gdyż wymagała jazdy koleją i dwóch przesiadek. Na stacji Jaworzyna, gdzie czekałem na przesiadkę, przerwa trwała około trzech godzin. Poszedłem więc do pobliskiej knajpy, aby zjeść obiad. Tu zaraz przysiadło się trzech cywilów, którzy zaczęli stawiać gorzałę. Nie wylewałem za kołnierz, lecz kiedy zbliżał się czas odjazdu do Strzegomia przeprosiłem nieznajomych mówiąc, że muszę kontynuować podróż służbową.

W Strzegomiu stawiłem się po odbiór elewów w stanie znacząco wskazującym na spożycie alkoholu. Oficer dyżurny, gdy poinformowałem go o celu przybycia, skierował mnie do szefa sztabu ośrodka. Ten zaś poinformował mnie, że podoficerów wysłano już pociągiem do Opola, a mnie nawet by ich nie przekazał, bo jestem pijany. Machnąłem więc ręką, obróciłem się na pięcie i poszedłem w stronę bramy głównej. Szef sztabu coś tam jeszcze za mną gadał, ale go nie słuchałem.

Po powrocie do Opola wezwał mnie natychmiast szef łączności dywizji. W czasie naszego spotkania powiedział, że nie wywiązałem się z powierzonego zadania oraz na koniec naszej rozmowy poinformował mnie, że moje przeniesienie do Strzegomia jest już nieaktualne, bo mnie już tam nie chcą. Bardzo ucieszyłem się z tej decyzji, gdyż nie chciałem opuszczać garnizonu Opole.

## Dalsze boje i przeboje

Służbę wojskową w stopniu oficerskim rozpocząłem w 1963, a zakończyłem we wrześniu 1983 roku. Przesłużyłem więc pełne dwadzieścia lat w służbie zawodowej w wojsku, nie licząc trzech lat nauki w szkole oficerskiej. Służbę wojskową w stopniu oficerskim rozpocząłem od stanowiska dowódcy plutonu wozów dowodzenia kompanii radiowej 41 batalionu łączności. Stąd przeniesiono mnie do kompanii łączności w 2 Pułku Czoł-

gów na stanowisko dowódcy plutonu remontu sprzętu łączności. Funkcję tę pełniłem przez dwa lata. Przez następne cztery lata dowodziłem kompanią łączności 10 Pułku Czołgów Średnich. Stamtąd powróciłem do dywizyjnego batalionu łączności na stanowisko pomocnika szefa sztabu batalionu, na którym pracowałem cztery lata. Zaś służbę oficerską kończyłem w 13 Pułku Czołgów, gdzie przez sześć lat pełniłem obowiązki szefa łączności pułku.

W czasie całego okresu służby zawodowej odbyłem kilka przeszkoleń. Zaliczam do nich dwa trzymiesięczne kursy doskonalące w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu, trzymiesięczny kurs w ośrodku doskonalącym w Legnicy oraz jeden sześciomiesięczny wyższy kurs doskonalenia oficerów (WKDO), odbyty w Wyższej Szkole Oficerskiej w Zegrzu.

Przez okres czterech lat po objęciu stanowiska szefa łączności 13 pułku, przełożeni moi, a szczególnie dowódcy pułku, wstrzymywali decyzję wysłania mnie na WKDO, motywując to przeważnie ćwiczeniami pułkowymi i koniecznością mojej obecności. Dowódcy pułku zmieniali się co roku, a ja, pomimo, że byłem na etacie majora, nie mogłem awansować. W piątym roku załatwiłem sobie przez szefa łączności dywizji decyzję wysłania mnie w okresie styczeń-czerwiec na kurs WKDO. Dowódca pułku, gdy dowiedział się o tym, tylko zgrzytnął zębami.

Kurs ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym, gdyż nauka zawsze była moją silną stroną. Powróciłem do jednostki i byłem przekonany, iż w najbliższym czasie otrzymam awans. Przyszedł październik, święto Wojska Polskiego, awanse, ordery i odznaczenia. A tu nic. Udałem się więc do dowódcy pułku, aby mi wyjaśnił - dlaczego nie wystąpił z wnioskiem o awans? Dowódca wezwał oficera kadr pułku, nawiasem mówiąc mojego kolegę, który na jego prośbę powiadomił mnie, iż do stopnia majora może awansować ten, który przesłużył w stopniu kapitana co najmniej pięć lat, posiada ukończony WKDO i nie jest karany.

Wysłuchałem tych wyjaśnień i spokojnie, acz stanowczo odrzekłem:

- Przecież spełniam te kryteria! Dlaczego więc nie wystąpiono o awans dla mnie?

Na to dowódca pułku ze stoickim spokojem odpowiedział:

- Jeżeli pan kapitan będzie się starał, to w następnym roku wystąpię z takowym wnioskiem.

Na takie dictum odpowiedziałem dowódcy:

- W następnym roku sam zwolnię się ze służby, bo nie będę współpracował z takim dowódcą, który widzi tyko własny interes i swoje korzyści, a nie dba o dobro swoich podwładnych.

Moje rozgoryczenie po fakcie pominięcia mnie w awansie było zasadne, tym bardziej, że mój udział we wszystkich ćwiczeniach pułkowych, egzaminach i sprawdzianach oraz łączność, za którą byłem odpowiedzialny, zawsze oceniana była bardzo dobrze.

Słowo dane dowódcy zrealizowałem po sześciu latach pracy w 13 pułku. Zwolniłem się ze służby wojskowej ze względu na stan zdrowia; dzięki komisji lekarskiej, która uznała mnie za niezdolnego do zawodowej służby wojskowej. Pożegnanie z jednostką i mundurem nastąpiło trzeciego września 1983 roku. O ostatecznej motywacji do podjęcia tego kroku dużo by mówić. Pozwól jednak czytelniku, że jej nie ujawnię, chociaż jest bardzo ciekawa.

A teraz kilka słów o życiu prywatnym i rodzinnym. Przyszłą żonę poznałem w 1968 roku. W tym samym roku w sierpniu wyjechaliśmy na ćwiczenia, a następnie z „braterską pomocą" do Czechosłowacji. Mój pułk czołgów, w którym wówczas służyłem, działał najdalej od polskiej granicy, bo aż w pobliżu granicy austriackiej. Pobraliśmy się jednak dopiero w 1969 roku. Żyło się nam, jak na owe czasy, całkiem dobrze. Żona posiadała własne mieszkanie spółdzielcze. Pracowała także jako bufetowa, a jej zarobki tygodniowe były 2-3 krotną wielkością moich pensji.

W małżeństwie naszym, jak chyba we wszystkich rodzinach, były chwile dobre i złe. Materialnie powodziło nam się dobrze. W 1977 roku urodził nam się syn, któremu daliśmy na imię Sławomir. Jednakże sytuacja między nami systematycznie się pogarszała, aby w 1988 roku doprowadzić do ostrego kryzysu małżeńskiego, a następnie w styczniu 1990 roku do rozwodu. Małżonka, już po rozwodzie, zmarła niestety w tym samym roku w sierpniu. I mimo, że nie byliśmy już rodziną organizowałem jej pogrzeb i wszystkie związane z tym przykrym faktem uroczystości.

Podczas kryzysu małżeńskiego w 1988 roku poznałem swoją następną żonę Irenę. Zawarłem z nią związek małżeński w 1990 roku, po uzyskaniu rozwodu. W związku tym trwamy szczęśliwie po dzień dzisiejszy.

***Od redakcji**: Po zakończonej służbie wojskowej Bernard pracował jeszcze wiele lat w Rejonowym Urzędzie Pocztowym w Opolu. Józek od 1970 do 1990 roku pełnił służbę w sztabie 10 Dywizji Pancernej i zakończył ją w stopniu podpułkownika.*

*Zdzisław Gorzelany*

# TRÓJKĄT BERMUDZKI

Każdy, kto będzie czytał te wspomnienia, zastanowi się skąd ten tytuł. Trójkąt Bermudzki kojarzy się bowiem każdemu z niewyjaśnionymi i niewytłumaczonymi zaginięciami. W moim przypadku niezupełnie tak było. Mnie udało się odejść z Żagania. Pomógł mi w tym przypadek. Ale o tym będzie później.

Na początku października 1963 roku udałem się do Wrocławia, siedziby sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego, do oddziału kadr po przydział służbowy. Otrzymałem go do 11 Dywizji Pancernej (zwanej później drezdeńską) do Żagania, miasta znajdującego się w najbardziej zmilitaryzowanym wówczas województwie zielonogórskim, leżącego nad rzeką Bóbr i swoją historią sięgającego początków XII wieku. Nie mogę powiedzieć, że skakałem ze szczęścia, chociaż miejsce mojego „zesłania" było lepsze od Gubina, czy Krosna Odrzańskiego.

Te trzy garnizony stanowiły w wojsku tak zwany „trójkąt bermudzki". Sam pochodziłem z Nowej Soli, miasta oddalonego od Żagania o około czterdzieści kilometrów. Tam spędziłem lata dziecięce i młodzieńcze. Tam mieszkała moja rodzina.

Zawodową służbę wojskową rozpocząłem w dywizyjnym batalionie łączności i oczywiście na dzień dobry otrzymałem do szkolenia młody rocznik. Szkoliłem ich na radiotelegrafistów. Szło mi to dobrze, ponieważ nieźle znałem tajniki służby ruchu radio, mimo że ukończyłem specjalność radioliniową (sprzętu takowego nie było jeszcze w naszej dywizji).

Życie toczyło się jak w każdym garnizonie - na szkoleniu wojska, na wszelkiego rodzaju ćwiczeniach i oczekiwaniu na kontrole i inspekcje szczebli nadrzędnych.

Garnizon żagański nie mógł narzekać na monotonię, między innymi dlatego, że w „zasięgu ręki" był duży poligon. Wszystkie pokazy dla dygnitarzy rządowych i wojskowych, rodzimych i innych państw tu się od-

bywały. Zabezpieczała je oczywiście nasza dywizja. Udział w tych „zabawach" zapewniony mieli zawsze łącznościowcy.

Oprócz mnie, skierowanie do Żagania otrzymała liczna grupa czołgistów i piechocińców. Zakwaterowani byliśmy w internacie garnizonowym. Zawiązały się znajomości i przyjaźnie, trwające zresztą do dziś. Czas wolny, którego nie było za wiele, spędzaliśmy bardzo przyjemnie, bo naprawdę było gdzie.

Może z tym stwierdzeniem, że życie toczyło się jak w każdym garnizonie, lekko przesadziłem. Przede wszystkim dywizja żagańska miała znaczącą rolę do spełnienia w razie konfliktu zbrojnego. Do niej kierowano najnowszy sprzęt, najlepszych dowódców wyższych szczebli itp., a co za tym idzie i przełożeni wysokich szczebli dowódczych stawiali odpowiednie wymagania. W związku z takim stanem rzeczy, służba wcale nie była lekka. Częste kontrole, inspekcje, alarmy, ćwiczenia sztabowe i z wojskami - takie było życie w tej dywizji.

Zdarzały się również wpadki. Kiedyś dowódca dywizji zaaplikował jednostce trening z musztry w godzinach popołudniowych przez cały miesiąc. Batalion miał na zaopatrzeniu sztab dywizji, a dowódca dywizji widocznie osobiście szedł do magazynu mundurowego. Po drodze zajrzał do jednej z kompanii. Podoficer dyżurny tej kompani, który później tłumaczył, że myślał, iż jest to kapral z Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW), nie złożył mu meldunku. Kapral poniósł konsekwencje dyscyplinarne, ale jednostka również.

Osobny rozdział w życiu dywizji stanowiła realizacja serialu „Czterej pancerni i pies". Znakomita większość odcinków realizowana była na poligonie żagańskim, na ulicach i w domach miasta. Liczny udział, jako statyści, mieli zapewniony również żołnierze naszej jednostki, którzy przeważnie występowali, jako żołnierze niemieccy.

W 1968 roku nasza dywizja brała udział w operacji „Dunaj" w Czechosłowacji, w ramach działań wojsk Układu Warszawskiego. Krążyły wtedy rożne dowcipy, między innymi taki, że Czesi zwrócili się o pomoc do ZSRR w roku 1938, a otrzymali ją trzydzieści lat później. W trakcie przemieszczania się kolumny sztabu dywizji na stanowisko dowodzenia rozwinięte koło Hradec Kralowe w samochodzie marki Robur, na których były montowane stacje radioliniowe R-401M, poluzowały się i odpadły śruby w jednym z tylnych kół. Pojazd musiał się zatrzymać. Zostałem wraz z jego załogą. Dowódcą stacji był kapral służby zasadniczej, a załoga uzbrojona była w ostrą amunicję i granaty. Po usunięciu usterki ruszyliśmy za kolumną. Po drodze mijaliśmy wsie i miasteczka, a w nich wrogo nastawioną ludność, poprzestawiane drogowskazy, nieprzychylne napisy i palące się na drogach opony.

Inny ciekawy rozdział w mojej zawodowej służbie wojskowej stanowili żołnierze długoterminowej zasadniczej służby wojskowej. Nazywaliśmy

ich „nieślubnymi dziećmi Spychalskiego" lub pięciolatkami. Była to młodzież niejednokrotnie z tak zwanych dobrych domów. Ponieważ stwarzała rodzicom problemy wychowawcze, a była możliwość pozbycia się ich z domów, kierowano więc ich do wojska.

Ja miałem kilkunastu takich „gagatków". Któregoś dnia jeden z owych „pięciolatków" samowolnie oddalił się z jednostki. Aby uniknąć meldunku o takich wypadkach do sztabu nadrzędnego i w trosce o właściwy image jednostki w oczach przełożonych, tego typu sprawy załatwialiśmy we własnym zakresie. Żołnierza znalazłem i po doprowadzeniu do pododdziału wezwałem na rozmowę. W trakcie „konwersacji" o przyczynach tego wyskoku, nie wytrzymałem idiotycznych wynurzeń żołnierza. Zachowałem się nieprzyzwoicie wobec niego i po prostu „po ojcowsku" sprawiłem mu niewielkie lanie.

Rozmowa prowadzona była bez świadków i przy drzwiach zamkniętych. Po trzech dniach zostałem wezwany wraz z dowódcą jednostki do prokuratury wojskowej w Żaganiu, później przeniesionej do Zielonej Góry. Rozmowa nie należała do przyjemnych, ale skończyła się dla mnie dość dobrze. Ukarany zostałem przed dowódcę jednostki pięciodniowym aresztem domowym.

Jednak najważniejszą rzeczą dla mnie było to, że pozbyłem się bezpośredniej pracy z żołnierzami. Po tym incydencie zostałem przeniesiony na stanowisko pomocnika szefa sztabu do spraw szkolenia. W sztabie pracowało mi się nieźle. Zajmowałem się planowaniem szkolenia, grafikami służb, sprawami organizacyjno-ewidencyjnymi i zakupami. Ponosiłem co prawda odpowiedzialność finansową, ale to było bez porównania lepsze od odpowiedzialności za żołnierzy. Wkrótce doszły nowe zajęcia. Miałem przygotowanie pedagogiczne, poza tym przed pójściem do szkoły oficerskiej dwa lata uczyłem w szkole, więc kuratorium oświaty na wniosek dowódcy jednostki, powierzyło mi stanowisko dyrektora zasadniczej szkoły zawodowej. Do tej szkoły uczęszczali żołnierze długoterminowej zasadniczej służby wojskowej, zwani pięciolatkami. Wobec tego dodatkowo miałem pracę administracyjną, w tym prowadzenie dokumentacji szkoły (dzienniki lekcyjne), opracowywanie planów zajęć i rozliczenie godzin pracy nauczycieli, wypisywanie świadectw i załatwianie spraw w kuratorium.

W 1974 roku do Żagania przyjechała inspekcja MON. Batalion łączności zdał ją bardzo dobrze. Muszę tu dodać, że nasza jednostka nigdy inspekcji nie „zawaliła". Na nas zawsze można było liczyć i przełożeni dobrze o tym wiedzieli. Pełniłem wówczas obowiązki szefa sztabu. Któregoś dnia do naszej jednostki przybył szef inspekcji generał Sieczkowski. Byłem wówczas w pomieszczeniu oficera dyżurnego. Po regulaminowym meldunku wyszedłem z nim do sztabu jednostki, do gabinetu dowódcy. Tam oznajmił, że w tym pomieszczeniu odbędzie się inspektorskie wysłuchanie dla kadry sztabu dywizji i jednostek zabezpieczenia. Po uzgodnieniu ter-

minu tego zamierzenia zaczęliśmy rozmawiać o sprawach ogólnych, służbie wojskowej i życiu osobistym. Nadmieniłem mu, że z chęcią bym „uciekł" z Żagania. Przy pożegnaniu powiedział, żebym napisał raport o przeniesienie. Musiałem wywrzeć na nim dobre wrażenie, bo pisane dotąd prośby o przeniesienie nie dawały żadnego rezultatu.

Nasza dywizja zawsze dużo ćwiczyła, zarówno z wojskami, jak i samymi sztabami. Po jednym z takich ćwiczeń, w czasie ich podsumowania, szef łączności dywizji miał do mnie i kolegi jakieś nieuzasadnione obiekcje. Zdenerwowałem się i wyszedłem z odprawy, głośno zamykając drzwi. Na efekty długo nie czekałem. Stanowisko szefa sztabu rozpłynęło się we mgle.

Zostałem przeniesiony do wydziału łączności sztabu dywizji. Koledzy śmiali się, że idę na kurs dobrego wychowania, bliżej „ukochanego" szefa. Praca w sztabie dywizji była spokojniejsza. Oprócz etatowych obowiązków, wyznaczany byłem do różnego rodzaju komisji kontrolujących podległe jednostki. Ponadto byłem w grupie oficerów wyznaczonych do pełnienia służby operacyjnej.

Z szefem łączności nie tolerowaliśmy się. Uważałem go za bufona i lizusa. On musiał mieć o mnie też złe zdanie, skoro robił wszystko, aby mnie pognębić. Na wiadomość, że napisałem raport o przeniesienie, z ironicznym uśmieszkiem proponował mi kupno lornetki, abym lepiej przyjrzał się miejscu nowego przydziału. Ja mu odpowiadałem, że pożyjemy - zobaczymy.

W październiku 1975 roku skierowany zostałem na Wyższy Kurs Doskonalenia Oficerów (WKDO) w Zegrzu. Niemały w tym udział miał Brunon Majewski. Bez jego pomocy w życiu bym się tam nie znalazł. Po powrocie z kursu dalej pracowałem w wydziale łączności sztabu dywizji.

W grudniu 1976 roku przyszedł rozkaz personalny o przeniesieniu mnie do Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia (WITU) w Zielonce. Ósmego marca 1977 roku zameldowałem się u komendanta WITU celem pełnienia dalszej służby. Zostałem wyznaczony na kierownika sekcji zajmującej się zakupem aparatury do prac naukowo-badawczych, jej legalizacją i naprawami. Jesienią 1981 roku zostałem skierowany przez komendę instytutu do terenowych grup operacyjnych w Siedleckiem, a po ogłoszeniu stanu wojennego byłem komisarzem wojskowym na terenie kilku gmin, tegoż województwa. Z wojskiem pożegnałem się i na emeryturę odszedłem 23 listopada 1990 roku.

*Zygmunt Adamski*

# W WOJSKACH OPL ŚLĄSKIEGO OKRĘGU WOJSKOWEGO

Jak każdy człowiek, przy różnych okazjach wracam myślami do przeżytych zdarzeń. Wielokrotnie wydawało mi się, że jest ich co niemiara. Okazało się jednak, że czas zatarł nie tylko szczegóły, ale zapomniałem nawet wiele istotnych faktów, a także kiedy miały one miejsce, nie wspominając już o nazwiskach. W efekcie w pamięci pozostały tylko niektóre, może nie zawsze najbardziej istotne. Przekonałem się o tym w momencie przystąpienia do próby pisemnego przedstawienia swych losów z pierwszych lat oficerskiej służby.

Po promocji wystąpiło u mnie (myślę, że także u wielu innych kolegów) chyba typowe uczucie zadowolenia z osiągnięcia pewnego życiowego celu, na który składały się pierwsze oficerskie gwiazdki, zdobycie zawodu stanowiącego materialną i finansową podstawę samodzielnej egzystencji, a także zakończenie dosyć uciążliwych ograniczeń związanych z rolą podchorążego szkoły oficerskiej. Muszę jednak przyznać, że owe zadowolenie mieszało się z uczuciami niepewności, a nawet niepokoju, co do dalszych losów, a zwłaszcza miejsca służby.

Nastroje wyraźnie mi się poprawiły, kiedy zostałem skierowany do dalszej służby w Śląskim Okręgu Wojskowym. Tam zaś organa kadrowe wyznaczyły mnie na dowódcę plutonu w okręgowym pułku łączności we Wrocławiu. Zadowolenie z tego faktu wynikało z kilku przesłanek. Po pierwsze miejsce służby znajdowało się w dużym mieście, a w takim się wychowałem i mieszkałem przed rozpoczęciem nauki w OSŁ. Po wtóre – było w miarę blisko miejsca zamieszkania najbliższej rodziny. Ponadto pozwalało na utrzymywanie stałych kontaktów z kolegami, zwłaszcza z Mietkiem Jaźwieckim, z którym los zetknął mnie pierwszego dnia podchorążackiego żywota (nie tylko byliśmy w tej samej drużynie, ale także „łóżkowymi" sąsiadami) i od tej chwili zaprzyjaźniliśmy się.

Minął niecały miesiąc służby w pułku łączności, kiedy wezwano mnie do oddziału kadr okręgu. Tam zaproponowano mi (czytaj: nakłaniano, przekonywano) zmianę jednostki wojskowej. Chodziło o przejście do samodzielnej kompanii radiotechnicznej podległej bezpośrednio dowództwu ŚOW. Jednostkę tę rozbudowano później do batalionu. W trakcie przeprowadzanej ze mną rozmowy zrozumiałem, że decyzja kadrowa praktycznie zapadła, stąd moja zgoda była symboliczna.

W nowej jednostce zostałem wyznaczony na dowódcę środków nadawczych, czyli wszystkich (eksploatowanych i będących na tzw. ZN - zapasie nienaruszalnym) radiostacji. Było tego sporo. Nie licząc radiostacji przenośnych (R-108, R-105), to samych radiostacji średniej mocy KF R-118 (wtedy najnowszych typów), jak i radiostacji R-102 było kilkanaście. Do tego dochodziło kilka radiostacji starszych typów, między innymi radiostacja RAF KW-5, a nawet jedna „wojenna" tzw. RAT, czyli radiostacja armijnych tyłów, zamontowana na trzech samochodach ciężarowych.

Tę ostatnią widziałem po raz pierwszy. Na dodatek instrukcja do niej (w języku rosyjskim) była niekompletna. Natknąłem się więc na pierwszą, poważną, techniczno-eksploatacyjną przeszkodę w zawodowej służbie. Zrodziły się obawy. Czy dam sobie radę z jej pokonaniem? Czas gonił. Eksploatacja tej radiostacji była niezbędna podczas ćwiczeń i dyżurów pełnionych wspólnie z jednostkami Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Ze względu na swą dużą moc służyła bowiem do powiadamiania wszystkich jednostek okręgu (zwłaszcza OPL) o sytuacji i zagrożeniu z powietrza.

W moich działaniach, zmierzających do jak najszybszego zaznajomienia się z tą radiostacją, los mi wyjątkowo sprzyjał. Okazało się, że jeden z moich podwładnych żołnierzy zasadniczej służby woskowej jest zapalonym i dobrym radioamatorem. Przydzieliłem go więc do załogi tej stacji. Dzięki jego radioamatorskiej smykałce i dużym umiejętnościom praktycznym, a także mojemu niezłemu przygotowaniu fachowemu, w dość krótkim czasie na tyle poznaliśmy tę radiostację, że można ją było eksploatować i szkolić pozostałych członków załogi.

Powyższy epizod uświadomił mi kilka spraw. Po pierwsze - zacząłem bardziej cenić wkład wykładowców z OSŁ w nasze przygotowanie zawodowe. Uświadomiłem sobie zasadność ich uporu i konsekwencji we wpajaniu nam teoretycznych i praktycznych podstaw elektrotechniki i radiotechniki oraz budowy i eksploatacji sprzętu. Po drugie - uwierzyłem w siebie. Przekonałem się, że posiadam niezbędną wiedzę i umiejętności fachowe, pozwalające na poznanie sprzętu nie prezentowanego nam w szkole. Po trzecie - powyższe potwierdza, że program i metody kształcenia oficerów łączności na początku lat sześćdziesiątych były efektywne.

Eksploatowanie radiostacji RAT przysporzyło mi trochę zawodowych kłopotów i to nie tylko o charakterze technicznym. Wspomniany żołnierz - radioamator najlepiej poznał ową radiostację i jej możliwości, stąd został

wyznaczony na dowódcę załogi. W ramach współdziałania z jednostkami lotniczymi i WOPK, radiostacja ta rozwinięta na przykoszarowym placu ćwiczeń, często pracowała przez całą dobę, a nawet kilka dni pod rząd.

Jej dowódca uległ pokusie radioamatora i korzystając z dużego jej zasięgu (zwłaszcza w porze wieczorowo-nocnej), bez mojej zgody nawiązał kilka interesujących łączności z krótkofalowcami zagranicznymi, między innymi z Dalekiego Wschodu i Afryki. Nie uszło to jednak uwadze naszych jednostek wyposażonych w sprzęt rozpoznania i namierzania radioelektronicznego. Fakt i miejsce łączności zostały ustalone. Określono też personalia nadawcy, gdyż posługiwał się swoim prywatnym znakiem krótkofalowca. Odpowiednie służby wszczęły formalne dochodzenie.

Sprawa ta wyglądała początkowo na bardzo poważną pod względem konsekwencji służbowych, a nawet karnych. Skończyła się jednak szczęśliwie. Żołnierz - radioamator przestał być dowódcą stacji i został ukarany przez dowódcę jednostki maksymalnym wymiarem kary aresztu. Ja otrzymałem niesamowitą burę na „dywaniku" i naganę ustną za brak należytego nadzoru służbowego.

Pomimo zastosowania konsekwencji dyscyplinarnych, nagłośnienia całej sprawy w jednostce, przeprowadzenia odpraw służbowych z kadrą i żołnierzami służby zasadniczej, wykorzystywanie sprzętu wojskowego do nawiązywania łączności krótkofalowej powtórzyło się. Sprawcą był ten sam, wyżej wspomniany żołnierz.

Na poligonie w Wicku Morskim, w ramach wspólnych ćwiczeń z jednostkami artylerii przeciwlotniczej, do porozumiewania się na bliskich odległościach wykorzystywano także ultrakrótkofalowe radiostacje przenośne małej mocy (R-109, R-105). W owym czasie na temat walorów tego typu radiostacji krążyło wiele dowcipów i powiedzonek, a do najbardziej popularnych należało „widzę cię, a nie słyszę".

I oto w mojej obecności, próbując za pomocą radiostacji R-109 nawiązać łączność z odległym o około dwa kilometry ćwiczącym dywizjonem artylerii przeciwlotniczej, wspomniany żołnierz dosyć przypadkowo (chociaż nie mam pewności czy nie czynił tego wcześniej) usłyszał wołanie krótkofalowca z okolic Moskwy. Odpowiedział mu i był słyszany. Łączność była krótka, bo trwała około minuty i polegała na wymianie sygnałów rozpoznawczych i informacji o słyszalności. Gdybym nie był świadkiem tego zdarzenia, to nie uwierzyłbym, że za pomocą radiostacji UKF o tak niewielkiej mocy i na antenie prętowej można nawiązać i chwilowo utrzymać łączność foniczną na tak dużą odległość. Chyba zaistniały niezwykle sprzyjające warunki propagacji fal radiowych o tak słabej mocy.

Służba w mojej jednostce była dosyć uciążliwa, ale ciekawa. Co najmniej przez trzy miesiące w roku szkolenie odbywało się na poligonach, zwłaszcza w Wicku Morskim i w Żaganiu. Braliśmy także udział w ćwiczeniach organizowanych przez Śląski Okręg Wojskowy i Wojska Obrony Powietrznej Kraju.

W garnizonie, kiedy jednostki lotnicze miały loty, pełniliśmy kilka razy w miesiącu dyżury, mające na celu doskonalenie umiejętności w wykrywaniu celów i powiadamianiu o nich jednostek okręgu. Ponadto, ze względu na małą liczbę kadry, zwłaszcza oficerów, służba oficera dyżurnego przypadała nam dwa, trzy razy w miesiącu. Obciążenie służbowe było więc dość duże.

W funkcjonowaniu jednostki i działaniu kadry występowało wiele niewiadomych. Dotyczyło to tak uściślania zadań nowej, stale rozwijającej się jednostki i sposobów jej bojowego wykorzystania, jak również dostosowywania do nich programów i metod szkolenia. Osobny problem stanowiło zabezpieczenie sprzętowe i utrzymanie go w stałej gotowości bojowej i eksploatacyjnej.

Napotykając na problemy i trudności, niezbędna była inwencja i aktywność w poszukiwaniu optymalnych rozwiązań organizacyjnych, szkoleniowych i technicznych. Ich rozwiązywanie przynosiło satysfakcję, pogłębiało motywacje zawodowe i gotowość do pokonywania kolejnych trudności i przeszkód. Tych ostatnich było niemało. Pomijam trudności z wyszkoleniem na łącznościowców żołnierzy ze słabym przygotowaniem ogólnym i posiadających zawody mało związane z tą profesją (malarze, ślusarze, górnicy, rolnicy itd.) oraz problemy związane z utrzymaniem sprzętu w stałej sprawności.

Przykładem istotnego problemu do rozwiązania było poprawienie słabej słyszalności w niektórych porach doby, sygnałów nadawanych fonem do jednostek okręgu oraz komunikatów o sytuacji powietrznej. Wiele na ten temat rozmawialiśmy. I oto ktoś w dyskusji rzucił mimochodem słowa, że „gdyby można było nadawać te meldunki alfabetem Morse`a, to problem by zniknął lub występował sporadycznie". Pomysł był niezły, ale trudny do realizacji. Nadający meldunki musiał bowiem doskonale je odczytywać i jednocześnie nadawać bezpośrednio z planszetu. Przy małej ilości celów powietrznych nie było to zbyt skomplikowane. Natomiast przy większej ich ilości trudności rosły, aż do ograniczenia możliwości realizacyjnych.

Z drugiej strony, odbierający meldunki w jednostkach powinni na tyle znać alfabet Morse`a, aby podawane informacje nanosić na planszet. To było jeszcze trudniejsze, niż nadawanie meldunków kluczem telegraficznym. Dlatego początkowo realizacja tego pomysłu wydawała się niewykonalna. Rozpoczęto próby oraz szkolenie wybranych radiotelegrafistów i planszecistów. Efekty były słabe. Sprostać temu zadaniu mogli bowiem tylko dobrzy radiotelegrafiści, po nabyciu umiejętności planszecisty. Ograniczenia te doprowadziły jednak do zarzucenia tego pomysłu. Wspominam o nim dlatego, że wrócono do niego w czasie przygotowywania się do ćwiczeń jednostek radiotechnicznych wojsk lądowych państw Układu Warszawskiego.

Końcowym efektem tych ćwiczeń miała być rywalizacja (swoiste zawody) w wykrywaniu celów powietrznych i powiadamianiu o nich wojsk. Chcąc zniwelować obiektywne mankamenty w łączności, postanowiono powrócić do zarzuconego pomysłu. W jednostkach okręgu do pomocy planszecistom przydzielono wyszkolonych radiotelegrafistów, którzy zapisywali meldunki przesyłane Morse`em i przekazywali im na małych karteczkach.

Trudności z odbiorem meldunków i nanoszeniem ich na planszet rozwiązano. Oczywiście nie na stałe, tylko na okres tych ćwiczeń. Natomiast większym problemem było ich bezbłędne nadawanie bezpośrednio z planszetu. Okazało się, że tylko jeden podoficer zawodowy i ja, byliśmy w stanie spełniać te oczekiwania. W trakcie ćwiczeń realizowaliśmy to zadanie na zmianę prawie przez trzy doby.

Rywalizacje wygraliśmy, czego nie mogli „przeżyć" nasi byli sojusznicy radzieccy. Muszę jednak zaznaczyć, że sukces ten nie spowodował upowszechnienia i udoskonalenia nowego pomysłu i został on ponownie zarzucony. Mnie jednak włożony wysiłek został zrekompensowany nietypowymi wyróżnieniami. Otrzymałem bowiem dwa tygodnie urlopu nagrodowego od szefa Sztabu Generalnego WP i stosowne gratyfikacje pieniężne od dowódców Śląskiego Okręgu Wojskowego i swojej macierzystej jednostki. Pozwoliło mi to na pewną „rozpustę", to znaczy na pierwszy w życiu wyjazd i urlop zagraniczny. Oczywiście w KDL-u, czyli w krajach tak zwanej demokracji ludowej - w Rumunii i Bułgarii.

Moje na ogół pozytywne wspomnienia z początków zawodowej służby wojskowej przyćmiewają te, które dotyczą warunków socjalno-bytowych (zwłaszcza zakwaterowania) młodej kadry w mojej jednostce. Po otrzymaniu przydziału służbowego do Wrocławia nie spodziewałem się, że będą one tak złe. Myślę, że w dzisiejszych czasach (przełomu wieków) byłyby one nie do zaakceptowania przez kadrę na starcie do zawodowej służby wojskowej.

Otóż jesienią 1963 roku pięciu młodych oficerów przybyłych do jednostki zakwaterowano w dwóch małych pomieszczeniach w macierzystym pododdziale. Ich wyposażenie niewiele różniło się od typowego wyposażenia sal żołnierskich. Uzupełniono je o dodatkowe szafy metalowe i stoły świetlicowe. W rejonie pododdziału, w podobnych warunkach zakwaterowani byli również starsi służbą oficerowie i podoficerowie zawodowi.

Egzystując w takich warunkach, niewiele różniących się od żołnierskich, pozbawieni zostaliśmy nie tylko możliwości zachowania osobistej intymności (umywalnie i sanitariaty były ogólnie dostępne), lecz także warunków do odpoczynku i życia prywatnego. Muszę przyznać, że wstydziłem się i ukrywałem przed najbliższymi prawdę o warunkach w jakich żyłem.

Warunki zakwaterowania stanowiły główny mankament socjalno-bytowej rzeczywistości, lecz także wyżywienie nastręczało problemy.

W nowo utworzonej i małej jednostce nie było kasyna, a kantyna dostępna była tylko w określonych godzinach. Istniała co prawda możliwość zaprowiantowania się i żywienia w stołówce żołnierskiej, lecz wyżywienie mogło być identyczne, jak dla żołnierzy służby zasadniczej.

W tej sytuacji, przy braku pozytywnych reakcji na nasze protesty i czynione zabiegi dla poprawienia tego stanu, skorzystałem z zaproszenia Mietka Jaźwieckiego i zamieszkałem u niego, a właściwie u jego teściowej, mającej dość obszerny dom jednorodzinny. Wiązało się to co prawda z codziennym dojazdem pociągiem 30 kilometrów z Oławy, a następnie pół godziny tramwajem, lecz warunki domowe i atmosfera rekompensowały te utrudnienia. Oczywiście finansowałem koszty wyżywienia i swego zakwaterowania.

W pewien jednak sposób zakłócałem domownikom rodzinną atmosferę. Nie mogłem więc nadużywać gościnności i po prawie czterech miesiącach wróciłem do kwatery w jednostce. W tym czasie dokonano modernizacji pomieszczeń przeznaczonych do zakwaterowania kadry, wyraźnie poprawiając ich standard. Nadal jednak staraliśmy się o miejsca w internacie garnizonowym, znajdującym się poza koszarami. Zakończone to zostało sukcesem dopiero po interwencji zastępcy dowódcy okręgu ds. politycznych, do którego zwróciliśmy się z prośbą o pomoc.

Powyższe wspomnienia oscylowały wokół problemów raczej poważnych, ściśle związanych z wdrażaniem się do zawodowej służby i funkcjonowaniem na pierwszych stanowiskach służbowych. Przypominam sobie także inne, mniej oficjalne, nie zawsze polecane do naśladowania. Oto jeden z takich przykładów.

Stałym elementem szkoleniowym jednostki były ćwiczenia i zajęcia na poligonie w Wicku Morskim. Przebywaliśmy tam jeden, dwa razy w roku, zazwyczaj przez okres nie krótszy niż jeden miesiąc. Kadra zawodowa mająca swoje rodziny we Wrocławiu otrzymywała krótkie urlopy, zazwyczaj trzydniowe. Kawalerowie zaś, dla relaksu, rozrywki i szeroko pojętego „odchamienia", a nawet kontaktu ze „światem cywilnym", otrzymywali zgodę na kilkunastogodzinny wyjazd do Ustki, odległej o około dwadzieścia kilometrów od naszego miejsca postoju. Program takich wyjazdów ograniczał się do restauracyjnej kolacji, dansingu lub potańcówki w domu wczasowym.

W jedną sobotę postanowił wybrać się z nami, czyli grupą około dziesięciu młodych oficerów i podoficerów, czterdziestopięcioletni dowódca jednostki. Większość z nas, w tym i dowódca, poszła na dancing do nadmorskiej restauracji. Symboliczny posiłek, alkohol, dziewczyny, tańce i dowcipy - czyli typowa towarzyska impreza. Humory były coraz lepsze, tylko nasz dowódca markotniał. Nie bardzo lgnęła do jego towarzystwa płeć piękna. Początkowo te niepowodzenia łagodził alkoholem. A następnie w trakcie najlepszej zabawy oznajmił, że wraca do obozowiska w Wic-

ku Morskim. Oznaczało to koniec zabawy lub pozostanie do czasu przyjazdu po nas samochodu. Mieliśmy już trochę w czubie, dziewczyny nie były brzydkie, stąd wszyscy postanowiliśmy kontynuować zabawę.

Ponieważ wszystko, co dobre szybko się kończy, skończył się także dancing. Odprowadziliśmy panie do domu wczasowego i pozostaliśmy na ulicy cichej i śpiącej Ustki. Wracać pieszo do obozowiska - bez sensu, tym bardziej, iż niektórzy poruszali się zakosami.

Jeden z kolegów podsunął myśl, aby pójść do komendy garnizonu. Zaspany oficer dyżurny poinformował nas, że nie posiada możliwości zapewnienia nam noclegu. Zachowywaliśmy się dość poprawnie, chociaż natarczywie domagaliśmy się stworzenia warunków do odpoczynku. Naraz jeden z kolegów zauważył, że z dyżurką sąsiaduje areszt, a w nim są puste cele aresztanckie, z podwyższeniem używanym jako miejsce do spania dla aresztantów. To było to, co nas wtedy najbardziej interesowało. Usilnie nakłanialiśmy więc oficera dyżurnego do wyrażenia zgody na wykorzystanie tej prowizorycznej sypialni. Pomimo oporów w końcu ustąpił. Tak więc po raz pierwszy i jedyny w służbie wojskowej spędziłem noc na aresztanckiej pryczy. Zaś w Ustce przez wiele lat krążyła fama o tym, jak to zamknięto wszystkich oficerów i przetrzymywano ich w areszcie.

Utkwił mi także w pamięci następujący epizod. Otóż w pierwszych miesiącach mojej oficerskiej służby jednostka przygotowywała się do ćwiczeń. W wyznaczony rejon mieliśmy się przemieścić transportem kolejowym. W wirze typowych przygotowań, związanych głównie ze sprawnością sprzętu, nie zwróciłem szczególnej uwagi na fakt, iż kilku dowódców radiostacji, w tym podoficerów zawodowych, usilnie zabiegało o wymianę kanistrów do benzyny. Dwa lub trzy zupełnie nowe udało mi się załatwić. Jaki był cel tych starań i faktyczne przeznaczenie tych zupełnie nowych pojemników okazało się w trakcie załadunku ludzi i sprzętu na rampie kolejowej Wrocław Fabryczna.

Otóż z dworcem sąsiadują zabudowania wrocławskiego browaru. Jego pracownicy, podobnie jak zdecydowana większość wrocławian, byli przychylnie ustosunkowani do wojska. Nie żałowali więc żołnierzom „złocistego napoju" prosto z taśmy produkcyjnej. Mając odpowiednie naczynia, przebywający na rampie kolejowej żołnierze zaopatrywali się bezpłatnie w większe ilości niezłego piwa. Nadmieniam, że nie gardziła nim także kadra zawodowa. Stąd podróż na wymienione ćwiczenia upłynęła szybko i w niezłych humorach.

Powyższe wspomnienia stanowią jedynie wycinki, często marginalne, mych początkowych zawodowych losów. Muszę przyznać, że wracam do nich naprawdę z dużym sentymentem. I to nie tylko ze względu na tęsknotę za młodymi latami. Także za okresem dużej sprawności zawodowej, czasami bardzo wytężonej, ale i owocnej pracy. Służby pełnej trudu, wysiłku i poświęceń, lecz przynoszącej dużo satysfakcji. Z podniesionym czołem

mogę bowiem stwierdzić, że nieźle dawałem sobie radę z kłopotami zawodowymi i przeciwnościami losu. Myślę, że było to efektem dobrego przygotowania nas do zawodowej służby przez wykładowców i dowódców naszej Alma Mater.

***Od redakcji:*** *Zygmunt Adamski ukończył studia magisterskie i podyplomowe o profilu pedagogicznym. Jako oficer starszy pracował w uczelniach wojskowych i IC MON, pełniąc szereg odpowiedzialnych funkcji dydaktycznych, a także kierowniczych, między innymi zastępcy i szefa oddziału w IC MON. W listopadzie 1991 roku w stopniu pułkownika odszedł w stan spoczynku.*

*Wojciech Dunal*

# Oficerski szlak

## Wałcz

Do 2 Ośrodka Rozpoznania Radioelektronicznego w Wałczu trafiłem wraz z Jurkiem Malinowskim, Andrzejem Sędłakiem, Marianem Szklarkiem, Jurkiem Zielińskim, Markiem Kotowodą i Józkiem Jóźwikiem. Zakwaterowano nas w internacie, w pokojach dwuosobowych, przy ul. Stalingradzkiej, niedaleko dworca kolejowego. Piękne, poniemieckie wille w ogrodach, jeziora i lasy wokół miasta sprawiły, że od razu polubiłem to miasto. Nawet dzisiaj zapach maciejki kojarzy mi się z Wałczem. Jurka Malinowskiego, podporucznika Eugeniusza Malinowskiego (absolwenta z Jeleniej Góry) i mnie przydzielono do kompanii szkolnej dowodzonej przez podporucznika Bogdana Wierchowicza, absolwenta z Zegrza. Dowódcą szkoły był kapitan Stawski. Poczuliśmy się dumni, gdyż otrzymaliśmy etaty kapitańskie. Kariera stanęła przed nami otworem.

Powitanie młodych oficerów w jednostce było sztampowe i wbrew moim oczekiwaniom. Przyjął nas szef kadr i odczytał rozkaz o przydziałach. Pierwszy zimny prysznic otrzymaliśmy po oficjalnym objęciu stanowisk dowódców plutonów. W kompani był tylko szef kompanii i dwóch kaprali - dowódców drużyn. Nie było ani jednego szeregowca. Wyszkoleni żołnierze rozjechali się do jednostek, a nowi jeszcze nie przybyli. Dowódca kompani postawił przed nami pierwsze bojowe zadanie: przebrać się w ubrania robocze, zaopatrzyć się w farbę, pędzle, drabiny i malować pomieszczenia kompanii. Myślałem, że szlag mnie trafi. To po to uczyłem się w szkole, żeby teraz bawić się w malarza? Myślałem sobie: nawet w czasie wojny konwencja genewska nie dopuszcza pracy oficerów. Czułem się upokorzony. Jakby tego było mało, po wykonaniu tego zadania „bojowe-

go" otrzymaliśmy nowe. Wywieziono nas do pobliskiego PGR-u, i tam słomą ze sterty napychaliśmy sienniki do żołnierskich łóżek.

Po uporaniu się z tym zadaniem pojawiło się następne: pisanie konspektów do zajęć na cały tydzień. I znów niespodzianka. W jednostce było trochę sprzętu zachodniego, którego nie widzieliśmy w szkole. Sprzęt był, ale nie było instrukcji w języku polskim. Zgodnie z praktyczną zasadą panującą w wojsku, że przełożonego nie obchodzą trudności podwładnego (teoretycznie zasada niezgodna z regulaminem), musieliśmy metodą prób i błędów sami dochodzić do sedna sprawy.

Do zajęć przygotowywaliśmy się solidnie. Już na wstępie poinformowano nas, że w kompanii obowiązuje współzawodnictwo pomiędzy plutonami. Na korytarzu wywieszono odpowiednią tablicę. Chcieliśmy też zaimponować żołnierzom swoją wiedzą. Byli oni niewiele młodsi od nas. Szybko przyszło otrzeźwienie. Okazało się, że ustawiliśmy poprzeczkę za wysoko. Poziom ogólny (pomimo specjalnego doboru poborowych do jednostki) żołnierzy był za niski, aby mogli pokonać tę poprzeczkę. Żołnierze mieli poważne kłopoty nie tylko z elektrotechniką czy radiotechniką, ale także z opanowaniem alfabetu Morse'a.

Zajęcia ze służby ruchu radio były przerażająco nudne. Ile można było stukać w klucz, aby żołnierzowi wbić do głowy parę liter, które na drugi dzień i tak zapomniał. Od czego jednak jest pomysłowość kaprali. Pamiętam kaprala Bogacza. On to, jak się później okazało, uczył żołnierzy liter alfabetu każąc je wystukiwać siedzeniem o taboret. Metoda niezbyt elegancka, ale skuteczna.

Pomimo pierwszych niepowodzeń zapał nas nie opuszczał. Tryskaliśmy energią i nie żałowaliśmy czasu na szkolenie. Kwitło autentyczne współzawodnictwo. Każdy z nas chciał, aby jego żołnierze byli rzeczywiście dobrze wyszkoleni. Często sami planowaliśmy dodatkowe zajęcia, nie tylko na salach wykładowych, ale i w terenie. W tamtych czasach nie było ograniczeń zużycia środków pozoracji pola walki czy amunicji. Zużywało się ich tyle, ile było potrzeba. Informowaliśmy tylko dowódcę kompanii o naszych zamiarach i reszta należała do nas. Robiliśmy nocne alarmy połączone z marszami kondycyjnymi i walką pluton przeciwko plutonowi. Zabawy te organizowaliśmy głównie w pobliżu wiosek. Taka młodzieńcza fantazja. Skoro my nie śpimy, to dlaczego inni mają spać?

Muszę przyznać, że żołnierze nasi byli dobrze wyszkoleni pod każdym względem. Potwierdzały to egzaminy prowadzone po zakończeniu szkolenia przez komisje ze stolicy. Największą zmorą było pisanie konspektów na każde zajęcia na cały tydzień. Rozumiem, że trzeba mieć konspekt do zajęć, aby je dobrze przeprowadzić. Dlaczego jeden konspekt, np. na zwroty w marszu, nie mógł wystarczyć na trzy zajęcia z tego samego tematu? Tego nie mogliśmy pojąć. Poradziliśmy sobie i z tym problemem. Pisaliśmy kon-

spekty przez kalkę zostawiając miejsce na datę. Pisanie tych konspektów pochłaniało nam wiele czasu i to głównie w soboty, w dni kiedy wiele dziewczyn wyczekiwało na nas w kawiarniach i restauracjach.

Życie towarzyskie skupiało się w dzień na plaży i jeziorze, a wieczorami albo w klubie garnizonowym albo w restauracji „Centralna". Zimą odpadała plaża. Cóż innego mogli robić młodzi oficerowie, którzy przez trzy lata siedząc w szkole otrzymywali żołd nie wystarczający na papierosy. Teraz czuliśmy się jak paniska. Wydawało nam się, że mając 1750–1780 złotych miesięcznie możemy nareszcie poszaleć. Z tego przekonania szybko się wyleczyłem. Okazało się, że tej góry pieniędzy starcza do połowy miesiąca. Chcąc nie pozostać w drugiej połowie miesiąca bez jedzenia, prowiantowaliśmy się w kasynie na całodzienne wyżywienie. Reszta była do naszej dyspozycji. I tak zdarzało się, że pod koniec miesiąca trzeba było sprzedać parę kolacji, aby mieć na papierosy.

Byliśmy młodzi i piękni. Mogliśmy przebierać w dziewczynach, tym bardziej, że tamtejsze społeczeństwo było bardzo życzliwie nastawione do wojska. Na nasz plus działało to, że służyliśmy, jak mówiono, w elitarnej jednostce. W Wałczu był jeszcze pułk zmechanizowany. Żołnierze tego pułku chodzili w wysokich butach i mieszkańcy miasta łatwo nas rozróżniali. Mieliśmy zdecydowanie większe powodzenie u dziewczyn, niż koledzy z pułku zmechanizowanego. Później, po wielu latach, jeżdżąc na poligon w Drawsku, nieraz przejeżdżałem przez Wałcz. Ogarniała mnie zawsze melancholia i tęsknota za tamtymi latami.

W Wałczu cała nasza paczka nie bawiła długo. Jesienią 1965 roku całą jednostkę załadowano na transporty kolejowe i przeniesiono do Przasnysza. Wolna Europa zauważyła ten ruch i podała komunikat, że banda szpiegów Mroza przeniosła się do Przasnysza. Było dużo płaczu, przyrzeczeń dozgonnej miłości, powiewania chusteczkami itp. Z żalem rozstawaliśmy się nie tylko z sympatiami, ale również z miastem. Z tego co pamiętam, to jedyna dozgonna miłość, jaka przetrwała, to Jurka Malinowskiego, ale dożywocie dostał już w Wałczu. Większość chyba hołdowała zasadzie: tam gdzie garnizon, tam moja dziewczyna.

## Przasnysz

Przasnysz sprawił na nas przygnębiające wrażenie. Mała, zaniedbana rolnicza mieścina. W jaką ulicę nie skręciłeś, to wkrótce znajdowałeś się w polu. Nieraz mówiliśmy: Boże, cośmy Ci uczynili, że tak nas pokarałeś. Zajęliśmy koszary (budowane za cara) po szkolnym pułku lotniczym, który został przeniesiony chyba do Radomia. Pierwsza noc w nowym garnizonie nie nastrajała optymistycznie. Zakwaterowano nas w olbrzymiej sali (była

jeszcze większa i wyższa niż w Zegrzu). Na podłodze leżały sienniki wypchane słomą i koce. Było to nasze spanie.

Usiedliśmy na tych siennikach i zadumaliśmy się nad swoim losem.

- Panowie oficerowie, podobno obok jest klub oficerski, proponuję uczcić nasz nowy garnizon - powiedział któryś z kolegów.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Czciliśmy nasz nowy garnizon do rana. Nawet tych nieszczęsnych sienników nie wykorzystaliśmy. Pierwsza noc za nami.

Na drugi dzień niespodzianka. Nasi dowódcy oznajmili nam, że pracujemy od rana do kolacji z przerwą na obiad do odwołania. Trzeba było koszary doprowadzić do porządku i przygotować się do szkolenia i pracy bojowej. Dostawaliśmy nieźle w kość przez parę miesięcy. Tyraliśmy jak katorżnicy. Po godzinie dwudziestej mieliśmy wolne. Jeśli ktoś miał jeszcze trochę sił, to czekał na niego klub oficerski lub najlepsza mordownia w Przasnyszu - „Zacisze". Ale opłaciło się tyrać. Z chwilą rozpoczęcia programowego szkolenia praca została unormowana.

Wkrótce wyznaczono mnie na dowódcę kompani szkolnej. Była to nieduża kompania składająca się z trzech plutonów i licząca około 60 żołnierzy. Pracowałem, można powiedzieć, w białych rękawiczkach. Po godzinie piętnastej we władanie kompanię obejmował szef, a ja byłem wolny. Nie przepracowywałem się, a wyniki były bardzo dobre. Trzeba przyznać, że warunki zakwaterowania mieliśmy, w porównaniu z Wałczem, znakomite.

Otrzymałem wraz z Józkiem Jóźwikiem (ksywa Ker) pokój z kuchnią. Wkrótce kupiliśmy sobie komplet mebli i urządziliśmy naszą garsonierę. Życie w jednostce było monotonne - na szczęście. Wszystko było dobrze zorganizowane i zaplanowane. Nie było nerwowości. Głównym naszym zadaniem było szkolenie, szkolenie i szkolenie. Parodniowe ćwiczenia w najbliższej okolicy można było traktować jako przerywnik w monotonii koszarowej.

Mieliśmy wspaniałe dowództwo. Szczególnym szacunkiem darzyłem dowódcę pułkownika Zbigniewa Mroza. Był to oficer wymagający, ale troskliwy i życzliwy oficerom. Otwarty był na wszystkie problemy, jakie mieli oficerowie. Nie znosił pijaństwa kadry w mieście. Oficjalnie oświadczył kadrze, że jeśli ktoś ma ochotę się urżnąć, to tylko w klubie oficerskim. Koledzy mają zadbać, aby delikwent bezpiecznie wrócił do domu lub hotelu. Jeśli nie może iść o własnych siłach, oficer dyżurny odwiezie nieszczęśnika do domu. Trzeba przyznać, że nie nadużywaliśmy dobroci i wyrozumiałości naszego dowódcy.

Z upływem czasu Przasnysz zaczął mi się podobać. Spokojna, dobrze zorganizowana służba, urodziwe dziewczęta (nie spodziewałem się tego po tym grajdole) i nieutulone w żalu żony oficerów, których rozkaz wywiał do Radomia. Znalazłem tutaj piękną dziewczynę i wkrótce urzędnik Urzę-

du Stanu Cywilnego wydał wyrok dożywocia, zatwierdzony potajemnie przez księdza. Żony znaleźli tutaj Marian Szklarek, Janek Bąk, Marek Kotowoda i Józek Jóźwik. Tutaj też dostałem pierwszego koszarniaka.

W pewną niedzielę wyjechałem ze swoją wybranką do Warszawy, do swoich rodziców. Po powrocie dowiedziałem się od swojej przyszłej teściowej, że szuka mnie cała jednostka. Dostałem porządnego pietra. Biegiem do koszar. Przez głowę przelatywały mi różne niedorzeczne myśli. Oficer dyżurny poinformował mnie o przyczynach poszukiwań. Odetchnąłem z ulgą. Żołnierz sprzątający magazynek broni wyjął z gabloty szkolnej zapalnik do granatu. Wyciągnął zawleczkę i stracił połowę palca wskazującego. Do dzisiaj nie wiem skąd w gablocie, używanej dziesiątki razy do szkolenia, wziął się zapalnik bojowy. Nie wyjaśniła tego i WSW, pomimo wielomiesięcznego dochodzenia. Podejrzewam, że zapalnik ten musiał przynieść sam żołnierz i celowo go zdetonował, aby uzyskać zwolnienie ze służby wojskowej, o co usilnie zabiegał. Za brak nadzoru oraz opuszczenie garnizonu bez zezwolenia dostałem 5 dni.

## Biała Podlaska

W styczniu 1966 roku przyrzekałem dozgonną miłość swojej wybrance, a jesienią pakowałem manatki i znowu transportem wojskowym udałem się do Białej Podlaskiej na dalszą poniewierkę. Na swoje nieszczęście, pod naciskiem żony, a wbrew dowódcy jednostki, sam poprosiłem o przeniesienie. Cały nasz dobytek mieścił się w drewnianej skrzyni wielkości dużego stołu. Spakowaliśmy ubrania i sporo skorup, które otrzymaliśmy w prezencie ślubnym. Po otworzeniu skrzyni w Białej Podlaskiej, ujrzeliśmy z żoną kupę kolorowego szkła. W Białej Podlaskiej zjawiłem się chyba we wrześniu 1966 roku, gdyż w październiku otrzymałem awans do stopnia porucznika. Wniosek był napisany jeszcze w Przasnyszu. Tutaj zaczęła się moja golgota. Ze starej paczki towarzyszyli mi Marek Kotowoda i Jurek Zieliński. Znacznie później dołączył do nas Geniu Krzyżanowski.

Koszary odziedziczyliśmy po lotnikach. Przedstawiały sobą obraz nędzy i rozpaczy. Kilka walących się drewnianych baraków i parę małych jednopiętrowych budynków przeznaczonych na mieszkania, które później wykorzystano na budynki sztabowe. Cały teren pokrywało zielsko sięgające do pasa. Takiej nędzy jeszcze nie widziałem. Zastanawiałem się, jak mogło tutaj kwaterować wojsko. Przypomniało mi się zebranie w Wałczu. Mieliśmy podjąć zobowiązania mające na celu zaoszczędzenie pieniędzy. Żołnierze wymyślili, że będą chodzić do lasu i robić miotły do zamiatania koszar. W tej sytuacji taka mizeria była uzasadniona. W każdym razie ogarnęła mnie rozpacz.

Naszym zadaniem było stworzenie z batalionu z Przasnysza 9 Pułku Rozpoznania Radiowego. Przed nami stanęło iście pionierskie zadanie, z niczego stworzyć coś, co miało być pierwszym w wojsku pułkiem rozpoznania radiowego, podporządkowanym pod względem operacyjnym Głównemu Inspektorowi Szkolenia. Jedyny sprzęt specjalistyczny, jaki poruszał się na kołach, to 2-3 namierniki R-306, chyba jeden R-301 i parę radiostacji R-118. Nie było aparatowni słuchowych i mechanicznych. Co prawda sprzęt do tych aparatowni był, ale luzem. Przewoziliśmy go w drewnianych skrzyniach, montowany był każdorazowo w namiotach na szkolnych stołach. W tych warunkach, każde ćwiczenia to była istna mordęga.

Ćwiczeń tych było od groma. Nigdy przedtem i potem nie spędzałem tyle czasu na różnych poligonach. Od wiosny do późnej jesieni ciągle ćwiczenia. Po 2-4 tygodniach ćwiczeń wracaliśmy do koszar, by policzyć rodzinę, trochę naprawić zdezelowany sprzęt i jazda na kolejne ćwiczenia. W przerwach między ćwiczeniami, w koszarach nie brakowało atrakcji. Ciągle alarmy, zbiórki i marsze kondycyjne. Można było wojsko polubić.

Byłem dowódcą kompani przechwytywania maszynowego. W batalionie była jeszcze kompania słuchowa i kompania namierzania. Zastępca dowódcy pułku ds. liniowych był urodzonym żołnierzykiem i lubił bawić się w wojnę. Ledwo rozwinęliśmy ten nasz „sprzęt" (najczęściej nocą, przy latarkach) on wykrywał samolot zwiadowczy npla (nieprzyjaciela) i nakazywał tzw. przerzut. A było co zwijać i rozwijać. Najpierw namioty, później zdezelowane stoły szkolne, wypakować ze skrzyń sprzęt, ustawić na stołach, połączyć go pajęczyną kabli, złożyć meldunek o gotowości i mogliśmy bić wroga. Następna komenda, jaka najczęściej padała, to zmiana miejsca postoju.

Pamiętam, że z kolegą podporucznikiem Jurkiem Cichoszem, który dowodził kompanią przechwytywania słuchowego, nie sypialiśmy po trzy doby. Niewyspani, głodni, często przemoczeni złorzeczyliśmy na czym świat stoi. Miałem dosyć wojska i tej zabawy w wojnę. Trwało to chyba ze dwa lub trzy lata. Później zaczęły przychodzić do pułku aparatownie na kołach. Było już trochę lżej. Jednak w mojej sytuacji nic się nie zmieniło. Znowu ćwiczenia i testowanie nowego sprzętu.

Przez dziewięć lat pobytu w Białej Podlaskiej zaliczyłem więcej poligonów, niż przez całą służbę wojskową. Zapomniałem powiedzieć o najważniejszym sprzęcie, jaki zabieraliśmy na poligony. Była to buda ze starej radiostacji przerobiona na bufet obficie zaopatrzony w trunki. Wprawdzie był to bufet dla „naczalstwa", które nie gardziło trunkami, ale od czego przedsiębiorczość młodych oficerów. To urządzenie pomogło nieraz przetrwać w chwilach zwątpienia w sens obranej drogi.

W listopadzie (roku nie pamiętam) organizowaliśmy pokaz sprzętu rozpoznania dla generalicji na poligonie w Drawsku. Miałem demonstro-

wać stanowisko przechwytywania zwielokrotnionego. Najważniejsze urządzenie tego stanowiska, TG-47 (produkcji węgierskiej), wielkości dużej lodówki, było niesprawne od początku, od kiedy przywieziono je do pułku. Nie było specjalisty, który mógłby podjąć się naprawy. Kiedy zgłosiłem zastrzeżenia, że nie ma sensu zabierania tego sprzętu na pokaz, technik pułku powiedział mi:

- Będziesz miał na poligonie miesiąc czasu, to go naprawisz.

Na to ja bez namysłu odparłem:

- Nie jestem dowódcą kompanii, nie znam się na naprawianiu tego sprzętu i nie dotknę się do niego.

- To jest rozkaz i musisz go wykonać - zawyrokował technik.

- W takim razie poproszę o ten rozkaz na piśmie - odrzekłem bezczelnie.

Myślałem, że szlag go trafi. Na tym nasza rozmowa się skończyła, ale stosunki od tej pory były zimnowojenne.

Na poligonie śnieg i mróz. Stanowiska rozwinęliśmy w namiotach, w których często, na siennikach rzuconych na ziemię, spaliśmy. Przyjechał specjalista od sprzętu z Głównego Inspektoratu Szkolenia. Okazało się, że był takim samym specjalistą, jak ja.

Zbliżał się pokaz. Zastępca dowódcy pułku ds. technicznych, który trochę złagodniał, powiedział: nie ma innego wyjścia, zrób tak, aby jak najwięcej lampek migotało, omiń TG-47 i puść na odbiór prosty. Tak też zrobiłem. Podchodzi grupa generałów, a ja mam duszę na ramieniu. Co będzie, jak któryś zna się cokolwiek na tym sprzęcie? Wszelkie konsekwencje spadną na mnie, zgodnie z zasadą, że winien jest zawsze lewoskrzydłowy.

Podchodzi jeden z generałów i patrzy na dalekopis.

- Jaką stację porucznik odbiera?

Rzuciłem okiem na dalekopis:

- Melduję, że francuską.

Generał podchodzi bliżej, przygląda się chwilę i mówi:

- Ale to jest po włosku!

- Tak jest obywatelu generale - powiedziałem - to jest stacja francuska nadająca serwis dla stacji włoskiej.

Generał pokręcił głową i mówi:

- Urządzenie węgierskie, przystawka polska, odbiornik radziecki, dalekopis niemiecki, stacja francuska i pisze po włosku.

Chwilę postał i mówi do kolegów:

- Wychodzimy, jesteśmy za głupi, aby to zrozumieć.

Pokaz został wysoko oceniony przez przełożonych.

W garnizonie „kwitło życie towarzyskie", które dostarczało nam wiele rozrywek. Mieliśmy do dyspozycji klub w baraku i dwie restauracje w mieście: „Podlasiankę" i „Stylową" (nawet niezła knajpa). Biała Podlaska, pomimo że była większym miastem niż Przasnysz, była jednak jeszcze więk-

szym zadupiem. Wszędzie było daleko. Pozostawały tylko wymienione przybytki rozrywki.

Pomimo trudności, było wesoło. Kadra, pochodząca z całej Polski, nie stroniła od trunków i dostarczała nam również innych rozrywek. A to dowódca gonił z siekierą żonę wokół bloku, a to dowódca batalionu siodłał krzesło i ciął szablą wszystko co miał w zasięgu. Po jednej takiej szarży mieszkanie wyglądało jak prawdziwe pobojowisko. Brakowało tylko poległych. Jeden z kolegów zabawiał się w restauracji „Podlasianka" i ktoś go zaczepił. Telefonicznie ogłosił alarm w kompani (był dowódcą kompani pięciolatków) i wezwał ich na pomoc. Nie trzeba było im dwa razy powtarzać. Nocą wsiedli do kilku taksówek. Po przybyciu na miejsce okręcili pasy wokół rąk i przypuścili szturm na restaurację. Trzeba przyznać, że byli bardzo rycerscy. Oszczędzili tylko kobiety. Po tym zdarzeniu przewodniczyłem rozprawie sądu honorowego. Obwiniony wyszedł z tego obronną ręką: otrzymał naganę.

Były również inne atrakcje warte odnotowania. Pewnego wieczoru zarządzono alarm dla kadry. Po przybyciu do koszar dowódca pułku oświadczył, że jeden z żołnierzy mojego batalionu, po zdaniu służby, zabrał „kałacha," skrzynkę amunicji (chyba 660 szt.) i zniknął. Zamiast zawiadomić WSW, kazał nam się przebrać w cywilne ubrania i ruszyć na poszukiwania. Była późna jesień.

Na drugi dzień dowódca plutonu, podporucznik Dziemidowicz, szedł z dwoma żołnierzami. W pewnej odległości w świetle latarni dostrzegł sylwetkę żołnierza. Krzyknął:

- Czy ma pan zapałki - polecając jednocześnie swoim żołnierzom pozostać na miejscu.

Sam ruszył w stronę nieznajomego żołnierza. Kiedy był blisko, obaj poznali się. Żołnierz próbował wyciągnąć spod kurtki broń. Nie zdążył. Został obezwładniony i doprowadzony do koszar.

Historia, jakich wiele. Jednak w tej historii było coś niezrozumiałego. Żołnierz ten, wraz z kolegą z Terespola, wybrali „wolność" w ZSRR. Postanowili wpław pokonać Bug. Kolega naszego bohatera opadł z sił i zawrócił na polski brzeg. Żołnierz pokonał Bug. Kiedy spostrzegł, że nie ma kolegi, postanowił wrócić do Polski. Płynąc z powrotem utopił skrzynkę amunicji. Wrócił do Białej Podlaskiej i pętał się po ulicach, aż trafił na podporucznika Dziemidowicza. Po raz pierwszy spotkałem się z człowiekiem, który z bronią w ręku uciekał do Wielkiego Brata.

Pewnego dnia saper pułkowy, w ramach szkolenia kadry, zorganizował na skraju lotniska pokaz działania plastiku. Obłożył nim trzy słupy: betonowy, drewniany i stalowy. Odprowadził nas, w jego mniemaniu, na bezpieczną odległość i ustawił w szyku rozwiniętym. Staliśmy na polu, gdzie były wysadzone młode sosenki. Czekaliśmy na odpalenie. Poczułem dziwny niepokój i w pewnym momencie strach. Przypomniało mi się, że

bezpieczna odległość to około 700 metrów, a z tej odległości, na tle szarego pola, nie powinienem widzieć wyraźnie tych słupów. Ktoś nieśmiało zauważył, że za blisko stoimy.

– Nie bój się, wiem co robię – odpowiedział saper.

Miałem wielką ochotę położyć się w bruździe pomiędzy sadzonkami. Wstydziłem się. Pomyślałem: koledzy wezmą mnie za tchórza i będą naśmiewać się. Nagle usłyszałem przeraźliwy jazgot, a potem ogłuszający huk. Kątem oka spostrzegłem, że sierżant stojący o dwa kroki ode mnie obrócił się o 180 stopni i upadł twarzą w bruzdę. Drugi krzyknął: o k..., nowa kurtka. Odłamek rozorał mu rękaw i mięsień przedramienia. Sierżant dostał odłamkiem w bok, tak że monety i papierosy z kieszeni znalazły mu się w brzuchu. Tylko szybkie przewiezienie go do szpitala i cud (jak powiedzieli chirurdzy) uratował mu życie. Dochodzenie wykazało, że kadra stała w odległości 137 metrów od miejsca wybuchu. Gdybyśmy stali 30 metrów dalej, w pułku powstałoby wiele wakatów: większość odłamków przeleciała nad naszymi głowami.

W 1972 roku ukończyłem wydział prawa na uniwersytecie w Lublinie. Pierwsza prośba o pozwolenie studiowania prawa, jako kierunku nieprzydatnego w wojsku, została odrzucona. Uciekłem się do oszustwa pisząc prośbę o pozwolenie studiowania pedagogiki i pozwolenie otrzymałem. Zdałem jednak na prawo. Po trzech latach przyszło z Warszawy zapytanie co ten Dunal studiuje (ktoś mnie podkablował). Straszono mnie cofnięciem zgody, ale na straszeniu się skończyło. Uparłem się skończyć prawo, gdyż miałem serdecznie dosyć wojska i zamierzałem się z nim rozwieść.

Nie było wówczas atmosfery do studiowania. W całym pułku było chyba trzech oficerów po studiach: zastępcy ds. politycznych, technicznych i sekretarz partii. Dopiero później zaczęli przychodzić nieliczni oficerowie, absolwenci Wojskowej Akademii Technicznej.

Wówczas to szef sztabu poszedł do dowódcy pułku i powiedział: Władek, coś musimy k.... zrobić, bo te akademiki nas wykończą (autentyczne). Atmosfera w pułku była paskudna. Dowództwo nie wiedziało, co to jest troska o kadrę. Hołubiło lizusów. Problemy kadry były im obce. W ciągu dnia potrafili kilka razy zmieniać zdanie. Rację miał ten, kto ostatni wychodził. Sam tego doświadczyłem. Kiedy żona spodziewała się pierwszego dziecka i miała poważne kłopoty zdrowotne, mnie w tym czasie usiłowano wysłać na poligon. Batalia o mój wyjazd trwała parę dni. Raz wyjeżdżałem, raz nie. I tak w kółko. Dowódca znalazł rozwiązanie. Załatwił śmigłowiec i umieścił żonę w szpitalu w Lublinie. W końcu, po wielu udrękach, pozostawiono mnie w koszarach.

Po skończonych studiach poprosiłem o przyznanie mi czterystu złotych dodatku. Odpowiedź brzmiała – nie. Studia prawnicze są dowódcy kompanii nieprzydatne. Zastępca dowódcy ds. politycznych zaproponował: przyjdziesz do „aparatu", oczywiście politycznego, będziesz miał do-

datek. Cóż było robić. Przy pensji ok. 3000 zł dodatek ten był spory. Sprzedałem się za czterysta złotych. Pomyślałem sobie, że w tym „aparacie" trochę odpocznę. I tak zostałem politycznym. Później tego żałowałem, ale nie było odwrotu. Będąc zastępcą dowódcy batalionu praktycznie dowodziłem batalionem, zwłaszcza w czasie ćwiczeń. Dowódca nie miał do tego serca. Przed objęciem tego stanowiska pracował w wyszkoleniówce i wydawał ołówki i zeszyty.

Zamiast jednej kompanii miałem na głowie trzy. Później dowódca poszedł na jakiś kurs i przez dziewięć miesięcy byłem „czepeo", czyli czasowo pełniący obowiązki. Atmosfera w pułku stawała się nie do zniesienia. Nieraz, zwłaszcza w poniedziałki, długo stałem przed bramą koszar i bałem się do nich wejść. Przychodziły mi nawet myśli o dezercji.

Od pewnego letniego popołudnia wszystko uległo zmianie. Kiedy wychodziliśmy z obiadu w kasynie, do koszar wjechał autokar i zaczęli się z niego wysypywać oficerowie w służbowych mundurach. Inspekcja. Kompletne zaskoczenie! Dowódca pułku, nie czekając na samochód, który po niego wysłano, biegiem gnał do koszar, w drodze przypinając sobie gwiazdki do nowego munduru polowego. Na drugi dzień, w południe, wiadoma już była ocena. Pułk otrzymał ocenę dostateczną ze strzelania (trudno było strzelanie sfałszować) i za stan moralno-polityczny ledwie zadawalającą.

Inspekcji przewodniczył generał Ligaj, niezły aktor dramatyczny. Na omówieniu inspekcji łapał się to za głowę, to za serce. W końcu stwierdził, że słabo mu się robi od słuchania o bałaganie w pułku i zarządził przerwę. Z tej pierwszej mojej inspekcji utkwiły mi w pamięci dwa komiczne epizody. Na strzelaniu kadry prowadzący strzelanie dostał porządne opeer od przewodniczącego podkomisji pana podpułkownika z oddziału szkolenia Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Przyczyną reprymendy był brak sznurka ogólnowojskowego, na którym miały wisieć warunki strzelań. Prowadzący strzelanie nie wiedział, jak wygląda sznurek ogólnowojskowy i plansze powiesił na zwykłym sznurku.

Po raz drugi ze specjalistą od sznurków spotkałem się już miesiąc po inspekcji. W niedzielę siedziałem w klubie z żoną i nowym dowódcą pułku. Wszedł specjalista i przysiadł się do nas. Dowódca zamówił kawę i koniak. Specjaliście rozwiązał się język. Zaczął nam opowiadać o nagrodzie, jaką dostał od ministra obrony narodowej. Otóż w regulaminie była określona wysokość, na jakiej miał w izbach żołnierskich wisieć termometr. Był problem, jak tę wysokość mierzyć: czy od drewnianej podstawy, czy od kulki z rtęcią? On to sprawił, że problem ten rozwiązano. Należy mierzyć od kulki, bowiem długość podstawy może być różna.

Inspekcja ta miała jedną dobrą stronę. Rozgoniła dowództwo pułku po Polsce. Pozostali tylko (nie za długo) zastępcy ds. politycznych i technicznych, chyba dla zachowania ciągłości dowodzenia. Otrzymaliśmy dowódcę

z prawdziwego zdarzenia. Przyszedł do pułku z pierwszej dywizji. Był piechocińcem. Nie miał pojęcia o rozpoznaniu radiowym i technicznych sprawach pułku (potrafił się do tego przyznać), ale znał się na dowodzeniu. Był oficerem znającym wagę słowa. Wiedział, co to honor. Był wymagający, sprawiedliwy i niepamiętliwy. Mógł człowieka zrugać, a wychodząc od niego nie czuło się złości. Szybko zyskał sobie powszechny szacunek kadry.

Byliśmy kiedyś na ćwiczeniach na poligonie w Orzyszu. Wezwał mnie do swojego namiotu i powiedział: lecimy śmigłowcem na posterunki namierzania. Po wylądowaniu przy pierwszym posterunku (R-301) mówi: zanim dojdziemy do dowódcy posterunku, mów, co jest niewłaściwie zrobione na polu antenowym. Rozkaz wykonałem. Po wejściu do dowódcy posterunku i przywitaniu się, dowódca posterunku dostał porządną burę od dowódcy pułku. Zrobił to w sposób, który nie pozwalał się czuć dotkniętym. Powtórzył słowo w słowo to, co mu powiedziałem oglądając pole antenowe. Po wyjściu powiedział: zabrałem cię specjalnie na tę wycieczkę, abyś mnie trochę podszkolił. Niech wiedzą, że i piechociniec może się trochę znać na technice pułku.

Po paru ćwiczeniach nowy dowódca pułku wezwał mnie kiedyś do siebie i powiedział, że jako politruk marnuję się. Proponuje mi wrócić do pionu dowódczego i objąć stanowisko dowódcy batalionu. Odpowiedziałem, że chętnie bym to zrobił, ale jak się ponownie przekwalifikować. Oświadczył mi, że pojedzie do dowódcy okręgu i to załatwi. Jak powiedział, tak uczynił.

Niestety dowódca okazał się za słaby w konfrontacji z moją teczką, jaką miałem w Wojskowej Służbie Wewnętrznej. Nie wiedziałem, że oprócz teczki w kadrach mam jeszcze teczkę w WSW. Dowiedziałem się, że wojsko nie ma do mnie zaufania, gdyż poprzez ożenek wszedłem do rodziny wrogów ludu. Stryj żony, ps. „Ryś", był dowódcą plutonu Narodowych Sił Zbrojnych i po wojnie napadł na posterunek w Krasnosielcu, odbił swoich kolegów i przy okazji wykonał wyroki na trzech ubowcach. Był ścigany listem gończym przez dziewiętnaście lat. W końcu sprawiedliwość go dopadła.

W tamtym czasie nie widziałem tego jegomościa na oczy. Wiedziałem, że toczy się przeciwko niemu proces. Nie wierzyłem, że to może mieć jakieś znaczenie dla mojej kariery wojskowej. W rodzinie żony byłem niejako symbolem czasów, kiedy ta rodzina niewinnie cierpiała. Dla „naszych" byłem człowiekiem podejrzanym i nie zasługującym na zaufanie, pomimo że dali mi oficerskie gwiazdki i zwerbowali w szeregi siły przewodniej. Powinienem chyba wystąpić o przyznanie mi praw kombatanckich za prześladowania przez komunę.

Służba w Białej Podlaskiej to najgorszy okres w moim życiu zawodowym. Trafiłem do jednostki (na własne życzenie), którą trzeba było dopiero tworzyć. Warunki koszarowe były paskudne. Walące się baraki i szczury biegające po izbach żołnierskich. Miałem nieszczęście być kierowanym

przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o dowodzeniu. Dowódcy batalionów, w stopniach kapitanów, mieli po czterdzieści pięć i więcej lat. Dawno zapomnieli sztuki dowodzenia.

Mój dowódca batalionu (ten od szabli) wzywał nas na odprawę kilka razy dziennie. Po naszym przybyciu do jego kancelarii, on wspierał głowę na rękach i prowadził pracę myślową, jak sam to określał. Często odprawa kończyła się na tej pracy myślowej. Zarówno dowództwo jednostki, jak i dowódcy batalionów nie mieli bladego pojęcia o rozpoznaniu radiowym. Z tą problematyką zetknęli się dopiero w pułku. Przygotowanie do prowadzenia rozpoznania radiowego mieli tylko oficerowie z Przasnysza. Oni jednak nie zajmowali kierowniczych stanowisk. „Góra" w Warszawie doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji w jednostce. Nie znalazł się jednak nikt odważny, kto by powiedział: panowie, nie nadajecie się na te stanowiska i musicie poszukać sobie innej pracy. W myśl porzekadła, trzeba było psa uderzyć, ale brakowało kija. Kijem tym stała się inspekcja. Zapomniano tylko o pozostałej kadrze. Rzucono na nią odium nierobów i nieudaczników. Gnębiono nas kontrolami, ograniczono awanse i fundusz nagród. Ustępujący dowódca dokładnie ten fundusz wyczyścił, obdarzając nagrodami swoich totumfackich.

Pomimo to, po zmianie dowództwa do dowódcy batalionu włącznie, w pułku zapanowała inna atmosfera. Chciało się w nim pracować. Nowe dowództwo, a szczególnie dowódca pułku pułkownik Stanisław Krawczyk znakomicie łagodził niedogodności pozostałe po inspekcji. Pod jego dowództwem wkrótce pułk otrzymał dobrą ocenę.

Nie chciałbym, aby powstało wrażenie użalania się nad sobą, że moja droga zawodowa to jedno pasmo nieszczęść. Dane mi też było służyć pod komendą wspaniałych dowódców i poznać wielu wartościowych oficerów. Służyłem również w jednostkach, w których praca dawała radość i satysfakcję. W 1975 roku zostałem przeniesiony do Giżycka na stanowisko zastępcy dowódcy pułku. Służbę tam pełniłem prawie pięć lat z nienajgorszym powodzeniem. Po 35 latach służby odszedłem z wojska na własną prośbę w stopniu pułkownika. Przez te lata zaliczyłem sześć garnizonów, co daje niezły wynik. Dochowałem się dwóch wspaniałych synów i w sumie życie swoje uważam za udane.

***Od redakcji:*** *Autor w 1972 roku ukończył studia magisterskie na wydziale prawa Uniwersytetu Lubelskiego, studia podyplomowe z socjologii w Wojskowej Akademii Politycznej, a także roczne studium podyplomowe z profilaktyki prawa. W 1981 roku objął stanowisko zastępcy dowódcy ds. politycznych 2 Warszawskiej Brygady Saperów. W latach 1989–1990 był zastępcą komendanta Instytutu Informatyki. W latach 1991–1994 pracował w Komendzie Głównej Żandarmerii w oddziale śledczo-dochodzeniowym. W styczniu 1995 roku na własną prośbę odszedł do rezerwy po 35 latach służby wojskowej.*

*Karol Kociałkowski*

# Służba i sport

## Cywil sportowiec w zegrzyńskiej podchorążówce

Podejmując próbę podzielenia się swoimi wspomnieniami zawodowymi i sportowymi wydaje mi się konieczne potwierdzić raz na zawsze, wszem i wobec, że sport i wojsko to moje pasje lat młodzieńczych i późniejszych. Ze sportem i wojskiem zetknąłem się na dobre bardzo wcześnie, bo już w latach nauki w Liceum Ogólnokształcącym nr 8 w Poznaniu, za sprawą nauczyciela z Przysposobienia Wojskowego, pana Jana Nowaka i przychodzącego do naszego liceum na zajęcia pozalekcyjne z gier sportowych trenera koszykówki z klubu Olimpia Poznań, pana Stanisława Gałka. I tak już z tymi pasjami zostało do dzisiaj, chociaż muszę w tym miejscu przyznać, że na początku lat 90. zostałem także skutecznie zarażony myślistwem.

Kontynuując naukę w liceum ogólnokształcącym, mimo mojego wzrostu nie pasującego w żaden sposób do basketu, złożyłem podanie do klubu i szybko stałem się zawodnikiem sekcji koszykówki Olimpii, a następnie, po kilku miesiącach, grałem w pierwszej drużynie juniorów, która uczestniczyła w rozgrywkach mistrzowskich ligi juniorów na szczeblu Poznańskiego Okręgowego Związku Koszykówki. Przygoda z uprawianiem koszykówki trwała do 4 października 1960 roku, to jest do momentu założenia munduru podchorążackiego w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu k. Warszawy.

Już na początku mojej kariery wojskowej - na podchorążówce - miałem to żołnierskie szczęście, że trafiłem do kompanii niezwykłej i szczególnej, ponieważ znalazło się w niej wielu bardzo dobrych sportowców z różnych dyscyplin sportowych, a także muzyków, artystów estradowych, a nawet i malarzy zwykłych oraz artystycznych.

Kompania nasza, mając w swoim składzie takich ludzi, stała się wkrótce jedną z najlepszych w wielu dyscyplinach sportu, w tym w koszykówce, a w niektórych przedsięwzięciach artystyczno-estradowych również najlepszą w szkole.

W tak znakomitym towarzystwie i sprzyjającym klimacie mogłem realizować swoje sportowe i zawodowe marzenia. W krótkim czasie po rozpoczęciu nauki powołana została w kompanii drużyna koszykówki, która niebawem okazała się najlepszą w szkole. Palmę pierwszeństwa dzierżyła nieprzerwanie do promocji oficerskiej. Pochwalę się w tym miejscu nieśmiało, że wspólnie z Ryśkiem Majewskim stanowiliśmy trzon reprezentacji kompanii i szkoły w koszykówce, która na mistrzostwach szkół i uczelni wojskowych Wojska Polskiego w latach 1961-1963 mieściła się zawsze w pierwszej ósemce zespołów startujących w tych mistrzostwach. Mimo że nasza drużyna zaliczała się do lepszych drużyn tych mistrzostw, to jednak nie mogliśmy nigdy sprostać drużynom wrocławskim, poznańskim i łódzkiej, ponieważ w ich składach występowali zawodnicy ligowi, albo ze stażem ligowym, z których tuż przed mistrzostwami, w majestacie ówczesnego prawa, „zrobiono" podchorążych. Mimo tych „obiektywnych" wówczas przeciwności losu żołnierskiego, w wyniku ambitnej postawy mojej drużyny, która momentami „gryzła nawet parkiet" udawało nam się z nimi niekiedy walczyć jak równy z równym, chociaż w końcu po ciężkiej sportowej walce na boisku i tak zawsze byli górą.

Nie tylko w sporcie i działalności artystyczno-estradowej byliśmy najlepsi w szkole. Również działalność „rozrywkowa" w szkole i poza nią nie była nam obca, a powiedziałbym była naszą domeną. Często więc „zgrają" wyjeżdżaliśmy do Warszawy na tak zwane „gościnne występy". Prawie zawsze, gdy wracaliśmy w niedzielę wieczorem z takiej eskapady warszawskiej, musieliśmy umiejętnie opłotkami omijać dyżurkę oficera dyżurnego szkoły, by nazajutrz nie stawać do karnego raportu służbowego. Pamiętam, jak z jednej z takich eskapad wróciliśmy do kompanii. Było tuż, tuż po capstrzyku, no ale bardzo wesoły nasz Geniu Komędera, chcąc koniecznie zademonstrować nam swoją sprawność fizyczną, po wcześniejszym zakładzie z kolegami o dobre wino (wtedy wieść niosła, że była to Lacrima) - próbował przejść skrajem swego łóżka z jednego końca na drugi. Śmiechu było co niemiara, bo mimo wielkiej ambicji i hartu ducha zakład koleżeński przegrał, ponieważ przechodząc skrajem swojego łóżka kilkakrotnie spadał z niego na podłogę. Nic złego, oczywiście, w tej zabawie go nie spotkało. Ale nie to było w tym najważniejsze. Uważał, że przegrany zakład to sprawa honorowa podchorążego, a dla niego honor żołnierza był i jest zawsze nadrzędną cechą charakteru. Musieliśmy długo go przekonywać i uspokajać, że wszystko jest w porządku i honor nie doznał uszczerbku. Od tego wydarzenia w gronie podchorążackim pozostał na zawsze mistrzem Komęderą.

Pierwszy miesięczny urlop wypoczynkowy po promocji oficerskiej bardzo szybko minął i tym samym skończyła się beztroska, podchorążacka sielanka, a zaczęło się twarde wojskowe życie koszarowo-poligonowe.

Zgodnie z wcześniejszym przydziałem absolwentów OSŁ, przeprowadzonym w naszej zegrzyńskiej „Alma Mater", pełen troski i niepokoju zameldowałem się w Oddziale Kadr Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy, by tam otrzymać skierowanie do pierwszej pracy. Jak pamiętam, przyjął mnie i kolegów serdecznie szef oddziału pułkownik Mieczysław Śliwa, który, po krótkiej informacji o okręgu i czekających nas nowych obowiązkach na stanowiskach oficerskich w jednostkach wojskowych, polecił udać się do oficerów kierunkowych w oddziale. Poinformowali nas o imiennym przydziale i o innych szczegółach organizacyjno-porządkowych po przybyciu do jednostek. Bardzo sympatyczny i miły pan major Czesław Bielecki w trakcie prowadzonej rozmowy kadrowej poinformował mnie, że żołnierski los rzuca mnie do garnizonu Choszczno, a tam do jednostki rakietowej.

Jak się później okazało, żadnego wyboru nie miałem, bo potrzeby kadrowe nowo formowanej brygady rakietowej były daleko większe od możliwości okręgu. Okazało się więc, że wraz ze mną do brygady trafiło kilku kolegów z podchorążackiej kompanii: Kostek Karmelitow, Jurek Mazurkiewicz, Zygmunt Sznepka, Mietek Miciak, Janek Worm, Staszek Lubiak oraz Zygmunt Ziętek.

Łącznie - jak pamiętam - przybyło wtedy do brygady ponad 40 oficerów, absolwentów szkół i akademii wojskowych. Po przybyciu do brygady skierowany zostałem do wydziału kadr, a tam przed oblicze szefa, majora Mieczysława Sowy, który po krótkiej rozmowie poinformował mnie, że zostanę wyznaczony na stanowisko dowódcy plutonu radiostacji R-118 w baterii dowodzenia brygady. Razem ze mną do tej baterii trafili Jurek, Zygmunt i Staszek. Wspólnie z nimi dzieliłem początkowy, trudny okres pracy młodego i niedoświadczonego oficera w jednostce, której bieżące zadania przerastały wówczas często wcześniejsze moje wyobrażenia o służbie zawodowej oficera.

Początki mojej pracy w baterii nie były zachęcające, bo i zadania były bardzo trudne do wykonania, a także i brak doświadczenia zawodowego nie sprzyjał ich właściwej i terminowej realizacji. Dla mnie w tym czasie najważniejsze było, jak przebywanie w baterii lub w hotelu i oczekiwanie na zadanie lub sygnał, a w ślad za tym na zaprogramowany wcześniej przez przełożonych „bieg wydarzeń". Jeśli zamierzałem rzeczywiście opuścić garnizon, to tylko nielegalnie, ponieważ każde legalne uruchomienie tej procedury często mogłoby kończyć się dla mnie niepowodzeniem, ze względu na cel nadrzędny, jakim była zawsze gotowość mojego pododdziału do wykonania często nieplanowych zadań.

Mimo tych początkowych kłopotów i trudności nie zapomniałem o mojej drugiej pasji, którą było już od lat czynne uprawianie sportu i dla-

tego, po kilku miesiącach pracy w brygadzie, zacząłem czynnie uczestniczyć w rozgrywkach brygadowych pod okiem „fizruka" brygadowego, kapitana Ferdynanda Mikulewicza. Zapisałem się także do sekcji piłkarskiej Klubu Sportowego Grunwald Choszczno. W klubie tym, jako piłkarz-amator, występowałem do 1967 roku. W tym okresie, występując w tej drużynie awansowałem z nią z klasy „B" do ligi międzywojewódzkiej. Na chwilę więc z przyczyn obiektywnych (nie było w garnizonie sekcji koszykówki) musiałem rozstać się z moją ulubioną dyscypliną sportową, jaką była wciąż koszykówka.

W wolnych chwilach, na zajęciach z wyszkolenia fizycznego, a także w ramach koła sportowego w jednostce, brałem jednak piłkę i ćwiczyłem oraz doskonaliłem wybrane elementy gry w koszykówkę, licząc ciągle, że kiedyś wrócę do tej dyscypliny sportu jako trener, nauczyciel, a może jako sędzia lub działacz sportowy.

Nie zasypywałem gruszek w popiele i sportowo rozwijałem się nadal. Powołany zostałem do reprezentacji brygady w piłce ręcznej, która zdobyła w 1965 roku w Elblągu mistrzostwo Pomorskiego Okręgu Wojskowego, w grupie kadry zawodowej jednostek samodzielnych.

Natomiast w 1966 roku w Budowie, w mistrzostwach Pomorskiego Okręgu Wojskowego w trójboju wojskowym, startując w reprezentacji brygady, zająłem łącznie w trzech konkurencjach 16 miejsce na ponad 100 startujących zawodników z jednostek okręgu, a na torze przeszkód (jedna z konkurencji trójboju) zdobyłem brązowy medal. Za to właśnie osiągnięcie w tym samym roku powołany zostałem do reprezentacji POW na mistrzostwa Wojska Polskiego w trójboju wojskowym. Nie dane mi było jednak wyjechać na zgrupowanie przed tymi mistrzostwami, a tym samym może i uczestniczyć w mistrzostwach WP, ponieważ przełożeni w baterii i w brygadzie nie wyrazili zgody na mój start w mistrzostwach Wojska Polskiego - jak mi przekazano wtedy - ze względów służbowych.

Okazało się więc już na początku kariery zawodowej, że mój udział w zawodach sportowych, organizowanych zarówno przez podmioty cywilne, jak i wojskowe, nie zawsze dawał się pogodzić z działalnością służbową. Wydawało mi się wtedy i wydaje nadal, że w takich przypadkach potrzebna jest odrobina dobrej woli ze strony przełożonych, a sprawdziłoby się wtedy polskie porzekadło, że „wilk syty i owca cała", a więc wszystko przy odrobinie chęci można by zawsze ze sobą pogodzić.

Dowodzenie pododdziałami w brygadzie było dla mnie okresem niezwykle trudnym, bo zadania, jakie trzeba było wtedy realizować, należały do gatunku skomplikowanych i o podwyższonym stopniu ryzyka. Utkwił mi w pamięci jeden z wielu epizodów związanych z zajęciami taktycznymi w polu. Był dzień 31 grudnia 1968 roku, kilkanaście stopni mrozu i śnieg. W brygadzie wprowadzony został przez szefa Wojsk Rakietowych i Artylerii POW stan pełnej gotowości bojowej, z wyjściem do rejonu alarmowe-

go. Tam w trudnych warunkach terenowych i klimatycznych, po dobrze wykonanym zadaniu, wróciłem szczęśliwie ze swoim wojskiem do garnizonu w późnych godzinach popołudniowych.

Udało mi się jeszcze wszystkie służbowe sprawy w koszarach załatwić tak, że mogłem wspólnie z małżonką powitać Nowy Rok na zabawie sylwestrowej zorganizowanej w hali sportowej brygady. Innym z kolei, nie mniej ciekawym wydarzeniem z tego okresu, było wykonanie ćwiczenia taktycznego brygady z pełnego zaskoczenia, połączonego z przegrupowaniem transportem kolejowym do stacji kolejowej „Konstap". Nikt wówczas nie był w stanie określić, gdzie leży ta stacja - nawet ekipy konduktorskie, zmieniane w sposób wówczas zastanawiający bardzo często - też nie były w stanie stacji tej ani znaleźć na swoich mapach, ani skutecznie ją rozszyfrować.

Okazało się, po prawie dobowej podróży transportem kolejowym, że dotarliśmy do małej stacji kolejowej Śniadowo koło Łomży, a stacja „Konstap" była tylko umownym skrótem operacyjnym ustalonym przez kierownictwo ćwiczenia oznaczającym końcową stację przeznaczenia.

Po kilku latach służby zdecydowałem się napisać raport o skierowanie na zaoczne studia w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie; chciałem realizować swoje marzenia sportowe. Nic z tego jednak nie wyszło, bo kolejni przełożeni w brygadzie byli odmiennego zdania i dlatego studia sportowe musiałem na razie odłożyć ad acta.

Po prawie dwuletnim dowodzeniu baterią dowodzenia brygady zdecydowałem się napisać kolejny raport - tym razem - o skierowanie na studia stacjonarne w Akademii Sztabu Generalnego WP. Mimo iż dowódca brygady nie poparł tego raportu, dotarł on do sztabu POW i o dziwo na tej podstawie zostałem wezwany na rozmowę kwalifikacyjną, którą zaliczyłem pozytywnie i tym samym zostałem zakwalifikowany na dwutygodniowy kurs przygotowawczy do Rembertowa. Dowódca brygady poczuł się chyba dotknięty takim obrotem sprawy, bo zabiegał w sztabie okręgu, by moje studia w akademii odłożyć do następnego roku.

O podjętych takich właśnie działaniach zostałem w sztabie brygady przez dowódcę brygady osobiście poinformowany. Ale na podstawie rozkazu dowódcy POW zostałem jednak na kurs przygotowawczy skierowany. W konsekwencji okazało się, że coś za coś: w efekcie urlopu wypoczynkowego za 1971 rok nie zdążyłem wykorzystać, ponieważ bardzo umiejętnie uniemożliwiał mi to wtedy osobiście dowódca brygady, poprzez stawianie różnych skomplikowanych zadań z terminem ich wykonania zbieżnym z dniem mojego rozliczenia się z jednostką i wyjazdem na kurs przygotowawczy do Rembertowa.

Mogłem dochodzić swoich praw urlopowych, ale wybierając wojskowe studia akademickie świadomie z takiego postępowania zrezygnowałem, wiedząc, że urlopu tego i tak już nigdy nie wykorzystam. Zaliczyłem go więc w poczet żołnierskich strat, nigdy nie do odzyskania.

I tak minęły lata ciężkiej żołnierskiej służby w brygadzie, a ja w tym okresie, mimo obiektywnych trudności, uzyskałem kolejne osiągnięcia w sporcie o czym wcześniej wspomniałem, a w działalności służbowej zakończyłem ten okres również mocnym i to bardzo pozytywnym akcentem, bo jako jeden z ośmiu oficerów zostałem przyjęty na I rok studiów. Uznałem więc to za swój niewątpliwy zawodowy sukces, ponieważ w kursie przygotowawczym o 8 miejsc akademickich dla oficerów łączności rywalizowało wraz ze mną aż 29 kolegów łącznościowców.

Studia akademickie to bardzo ciężkie trzy lata mozolnej pracy w zdobywaniu wiedzy taktyczno-operacyjnej. Każdy rok studiów udało mi się skończyć z oceną bardzo dobrą, zdobywając już po I roku zaszczytny tytuł „Przodujący Słuchacz ASG WP". Tytuł ten potwierdzałem w kolejnych latach studiów. Najtrudniejszy jednak był I rok studiów, bo i aklimatyzacja, początek prawdziwej taktyki, no i przedmioty ogólne, w tym szczególnie matematyka wyższa, którą trzeba było zaliczyć egzaminem końcowym na pierwszym roku. Przywołać muszę zabawną historyjkę z tą matematyką. Było to w jeden z poniedziałków na przełomie lutego i marca 1972 roku. Przed godziną ósmą w holu obok gabinetu komendanta akademii jak zawsze zbierali się cywilni wykładowcy z Politechniki Warszawskiej. I traf chciał, że wtedy zjawił się również zastępca komendanta akademii do spraw liniowych generał Władysław Kopijkowski, który bardzo zdziwił się widząc tylu cywili w holu. Podszedł więc do jednego z tych wykładowców i zapytał, co tutaj robią. Na twarzach wykładowców pojawiło się wielkie zdziwienie. Jeden z nich odpowiedział, że za chwilę rozpoczynają zajęcia z matematyki wyższej na I roku studiów. Generał zdziwiony tą odpowiedzią zareplikował:

- Co za zajęcia z matematyki? Jest to przecież uczelnia wojskowa, a nie cywilna. Tu przecież żadnych zajęć z matematyki się nie prowadzi.

Nakazał przywołać oficera dyżurnego, który na jego polecenie wyprowadził osoby cywilne poza biuro przepustek akademii.

Zdarzenie to rozniosło się po akademii lotem błyskawicy i wywołało wielki szum, szczególnie w środowisku słuchaczy. W tym dniu zajęć z matematyki już nie mieliśmy. W dniu następnym w ramach tych zajęć był czas wolny i nauka własna. W wyniku wielu zabiegów oddziału szkolenia udało się szczęśliwie konflikt ten zażegnać i po kilku dniach zamieszania wszystko wróciło do normy. Generał Kopijkowski prawdopodobnie już nigdy nie interesował się osobami cywilnymi poruszającymi się po terenie akademii. Jak fama akademicka głosiła, generał ten znał się tylko na musztrze pojedynczego żołnierza, którą namiętnie od nas, na co dzień, na swój sposób egzekwował. Sam natomiast nigdy aż tak bardzo o osobistą prezencję i wygląd zewnętrzny nie dbał. Złośliwi słuchacze i ci pracownicy akademii, którym często dawał się we znaki, mówili o nim wówczas, że to - przepraszam za określenie - najmniej gramotny generał ludowego Wojska Polskiego.

Koniecznie muszę też wspomnieć o tak zwanych „pociągówkach". Były to koszmarne dni i nieprzespane noce, przebyte w wagonach przystosowanych do przewozu towarów i zwierząt (udawało się nam odpoczywać w przedziałach wagonów osobowych, ale niewystarczająco dla regeneracji sił). Na czas naszych ćwiczeń wstawiono do tych wagonów stare, podniszczone i kulejące stoły łączone nietrwale dużymi blatami. W takich prowizorycznych warunkach i do tego w czasie biegu pociągu pracowaliśmy na mapach i wykonywaliśmy obowiązujące dokumenty bojowe. Po drodze, na organizowanych w dzień i w nocy przez nauczycieli akademickich punktach pracy, występując w różnych funkcjach dowódczych i sztabowych, trzeba było być niezwłocznie po wyjściu z wagonu przygotowanym do: orientacji topograficznej i taktycznej, określenia w terenie rubieży styczności wojsk i przedniego skraju i wreszcie do ogłoszenia zamiaru i jego uzasadnienia w zaistniałej sytuacji taktyczno-operacyjnej.

Na pierwszy rzut oka zadania te były prawie niewykonalne, ale jak się okazało, można było je zrealizować i to nawet niekiedy bardzo dobrze. Nie zapominałem jednak o sporcie. Będąc na III roku studiów ukończyłem kurs i zdałem egzamin uzyskując stopień sędziego kandydata w koszykówce. Jeszcze w Warszawie rozpocząłem swoją „przygodę z gwizdkiem", sędziując mecze młodzieżowe, rozgrywane w ramach spotkań mistrzowskich prowadzonych przez Warszawski Okręgowy Związek Koszykówki.

## Dalsze losy zawodowe i sportowe

Po ukończeniu akademii żołnierski los rzucił mnie do Koszalina, a tam do sztabu 8 Dywizji Zmechanizowanej, na stanowisko szefa łączności tej dywizji. Rodzina tymczasem pozostawała w Choszcznie. W sztabie dywizji zameldowałem się do szefa sztabu pułkownika Adama Śliwy, który niezwłocznie przedstawił mnie na odprawie sztabu dywizji, a następnie w wydziale łączności. Byłem w tym czasie jednym z najmłodszych oficerów sztabu dywizji, a na pewno najmłodszym szefem wydziału w tym sztabie i sztabach dywizji POW.

Praca w wydziale łączności była bardzo ciekawa, ale i specyficzna oraz niezwykle skomplikowana. Oficerowie tam pracujący byli to panowie lekko podtatusiali o ponad 20 lat starsi ode mnie i przy tym uważający się za w pełni kompetentnych fachowców, a w rzeczywistości było nieco inaczej.

W tej sytuacji musiałem tak działać, by w niczym nikogo nie urazić, a zadania wykonywać w określonym czasie i możliwie najlepiej, jak to było tylko możliwe. Sytuacja taka trwała około 3 miesiące. Przygotowywaliśmy się wtedy do kolejnego ćwiczenia dowódczo-sztabowego w sztabie dywizji i wówczas okazało się, że moja wiedza akademicka z zakresu sztuki opera-

cyjno-taktycznej okazała się niezbędna do zaplanowania aplikacyjnego systemu łączności w tym ćwiczeniu.

Od tego momentu zacząłem zyskiwać sobie uznanie współpracowników, aż stało się tak, że po następnych kilku miesiącach byliśmy wszyscy serdecznymi kolegami, a nawet i przyjaciółmi. Była to dla mnie wielka satysfakcja i kolejny sukces w karierze zawodowej, tym bardziej że w dywizji ogólnowojskowej stawiałem wtedy pierwsze kroki.

Nie zrażony początkowo obiektywnymi i subiektywnymi trudnościami w działalności służbowej w sztabie dywizji kontynuowałem swoją „przygodę z gwizdkiem". W tej społecznej działalności sportowej zanotowałem już w Koszalinie niewątpliwy sukces sportowy: po ponad rocznym stażu sędziowskim uzyskałem w 1975 roku status sędziego szczebla centralnego z uprawnieniem do prowadzenia spotkań II ligi koszykówki męskiej i żeńskiej.

Normalnie status taki uzyskiwało się po kilku, a niekiedy i po kilkunastu latach terminowania w rozgrywkach okręgowych. Rozpoczęły się więc wyjazdy do miejscowości oddalonych często o setki kilometrów od Koszalina. Zważywszy jednak na moją dyspozycyjność w pracy zawodowej, musiałem z konieczności bardzo umiejętnie postępować, godząc obowiązki służbowe z obowiązkami sportowymi. Często zdarzały się jednak sytuacje stresowe, ale na moje szczęście były to przypadki sporadyczne. Udało się je w porę zażegnać, w czym wielka zasługa mojej małżonki, której w tym miejscu za to serdecznie dziękuję. Była to przecież wspólna sprawa dla dobra naszej rodziny. Ona to doskonale rozumiała.

W czasie mojej pracy w Koszalinie dywizja dyslokowana była w obszarze od Trzebiatowa do Słupska. Oznaczało to dla mnie rozwiązywanie bardzo wielu trudnych i skomplikowanych zadań, tak w systemie stacjonarnej łączności garnizonowej i międzygarnizonowej, jak i w systemie dywizyjnych polowych węzłów łączności.

Miałem jednak trochę żołnierskiego szczęścia i tym samym ułatwione zadanie, bo skutecznie wspierany byłem przez swoich oficerów wydziału. Mogłem także liczyć na przychylność w rozwiązywaniu problemów ze strony szefa sztabu pułkownika Śliwy oraz dowódców dywizji, kolejno generała Wacława Szklarskiego i generała Tadeusza Urbańczyka (generał Urbańczyk zmarł w 1989 roku w wieku 58 lat, a los tak zrządził, że uczestniczyłem w jego pogrzebie w składzie oficjalnej delegacji Warszawskiego Okręgu Wojskowego, żegnając go jako byłego szefa sztabu). Szczególnie jednak wspominam tego drugiego, który przygotowując, a następnie prowadząc ćwiczenie taktyczne z wojskami dywizji po rzeczywistym przegrupowaniu jej wojsk na odległość około 150 kilometrów pk. „Edredon- 76", dużo słuchał, radził i pomagał. A było to naprawdę tak.

Wcześniej, po zapoznaniu się z moimi propozycjami, jak rzeczywiście zapewnić łączność i dowodzenie wojskami dywizji wykorzystując etatowy

sprzęt łączności dywizyjnego batalionu łączności, generał Urbańczyk zaakceptował je i wzbogacił jeszcze swoimi cennymi, praktycznymi wskazówkami. Następnie, w okresie rzeczywistego wykonania marszu przez sztab dywizji i pułki dywizyjne, na odległość około 150 km, osobiście kierował tym marszem z wozu dowodzenia R-3z mając mnie przy swoim boku. Wszystko się wtedy udało: sprzęt nie zawiódł i osoby funkcyjne wykonały swoje zadania wzorowo. Musiałem zastosować wiele forteli i manewrów sprzętem i ludźmi, by zadanie normalnie prawie niewykonalne zostało wykonane i to bez zastrzeżeń. Ćwiczenie to było ćwiczeniem doświadczalnym, a wiec było tak intensywne i wyczerpujące, że w trzeciej dobie jego trwania kadra sztabu dywizji słaniała się ze zmęczenia na nogach. Jak pamiętam formalnie, nie przewidziano w tym ćwiczeniu żadnego odpoczynku, bądź przerwy operacyjnej. Zmęczenie udzieliło się również i mnie. W trzeciej dobie trwania ćwiczenia około północy, będąc w centrum dowodzenia sztabu dywizji w pełnym oporządzeniu z hełmem na głowie usiadłem na moment na krześle, by chwilę odsapnąć - i stało się - zasnąłem tak twardo, że koledzy używając różnych sposobów nie potrafili mnie dobudzić. Sam natomiast otworzyłem oczy - nie wiedząc, gdzie jestem i co się ze mną dzieje - gdy już zaczynało świtać. Obudziłem się w takiej pozycji w jakiej zasnąłem. Długo bolały mnie wszystkie kości. Podobnych przypadków w tym ćwiczeniu było więcej.

A teraz z innej beczki. W garnizonie były bardzo ciekawe, niepisane zwyczaje w dowództwie i sztabie dywizji. Oficjalnie pracowaliśmy do godziny 15.15, a w soboty do 13.00. Ale bywało bardzo różnie: niejednokrotnie przebywaliśmy w sztabie w godzinach popołudniowych, wieczornych, a nawet i w niedziele. Po południu lub wieczorem zjawiał się w sztabie dowódca lub szef sztabu dywizji, wtedy oficer operacyjny miał obowiązek o tym powiadomić telefonicznie wybranych szefów, którzy wiedzieli z kolei, że mają niezwłocznie znaleźć się w swoich gabinetach. W tym zacnym gronie nigdy mnie nie zabrakło. I wtedy siedzieliśmy czasem godzinami, czytając nawet z nudów gazety, do momentu, kiedy przełożony nie opuścił sztabu. Wówczas odbój dawał oficer operacyjny. Ale były i przypadki, że przełożeni korzystając z tak zwanych „gorących linii" telefonicznych stawiali nam zadania, jak każdego dnia w godzinach służbowych. I było to dla nas normalne, nikt z tego powodu nie był zdziwiony.

Przypominam sobie również dość zabawny, ale jak się później okazało brzemienny w skutkach epizod. Pewnego dnia, w lutym 1975 roku, miałem przygotować dowódcy, generałowi Szklarskiemu, materiał analityczny z działalności garnizonowego węzła łączności. W czasie gdy oczekiwałem w adiutanturze wraz z innymi kolegami na wejście do gabinetu dowódcy, wszedł oficer w stopniu pułkownika i zwrócił się akurat do mnie pytając, czy jest dowódca. Odpowiedziałem, że jest i jednocześnie grzecznie zaznaczyłem, że wszyscy tu jesteśmy z pilnymi i terminowymi sprawami i ocze-

kujemy na swoje wejście do gabinetu. Oficer ten mimo to uchylił drzwi gabinetu i niezwłocznie wszedł do dowódcy. Po chwili z gabinetu wyszedł oficer sztabu dywizji, który poinformował nas, że dowódca dzisiaj nikogo już nie przyjmie, a w swoich sprawach zostaniemy przyjęci przez dowódcę jutro w tym samym czasie. Wróciłem więc do wydziału.

Po kilku chwilach zadzwonił do mnie dowódca dywizji nakazując natychmiastowe zameldowanie się u niego w gabinecie. No i okazało się wtedy, że tym oficerem, który wszedł do adiutantury, a następnie do dowódcy był I sekretarz Komitetu Partyjnego POW pułkownik Ryszard Milczarek (późniejszy generał, zastępca dowódcy ŚOW ds. politycznych). Dywanik u dowódcy dywizji trwał ponad pół godziny, a ja w tym czasie musiałem wysłuchać od dowódcy dużo nauk i pouczeń, jak należy zachować się w takich przypadkach i o tym, że z tego powodu oficer ten wywiezie prawdopodobnie złe wrażenie z dywizji, która, jak stwierdził, cieszyła się zawsze dotąd wysokim uznaniem dowódcy POW generała Wojciecha Barańskiego.

Były również i inne reperkusje, które bezpośrednio mnie dotknęły. Los tak zrządził, że od ukończenia akademii byłem w Funduszu Przyspieszonego Rozwoju i miałem szansę skorzystać z przywileju z tym związanego, czyli być mianowanym na stopień majora w trybie przyśpieszonym, to znaczy o rok wcześniej. Stało się jednak inaczej. Pułkownik Milczarek załatwił to - jak się domyślam - u dowódcy tak, że na stopień majora zostałem mianowany w trybie zwykłym w październiku następnego roku, kiedy byłem już szefem sztabu pułku w Bydgoszczy. Tymczasem nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy dywizji. Generała Szklarskiego zmienił generał Urbańczyk; z tylko półrocznej służby pod jego dowództwem mam wiele miłych wspomnień i mocnych wrażeń z odbytych ćwiczeń z wojskami dywizji. Napisałem o tym wcześniej we wspomnieniach z ćwiczenia pk. „Edredon-76".

Niedługo, bo zaledwie półtora roku, cieszyłem się Koszalinem i pracą w sztabie dywizji. Rodzina moja nie zdążyła się jeszcze dobrze zaaklimatyzować w nowym garnizonie, bo mieszkała ledwo rok, a już sposobić się musiała do następnej przeprowadzki do kolejnego garnizonu.

Po ćwiczeniu dywizyjnym, w sztabie dywizji pojawił się nie zapowiadany szef łączności POW pułkownik Andracki, który w rozmowie ze mną oznajmił, że będzie zabiegał u dowódcy dywizji generała Urbańczyka o zgodę na moje przejście na stanowisko szefa sztabu pułku. Niebawem dowiedziałem się od dowódcy dywizji, że to on przesądził o moim przejściu do Bydgoszczy - ale jak mi zaznaczył - tylko dlatego, bym w krótkim czasie i po odbyciu kursu kandydatów na dowódców pułków, zgodnie z ustaleniem ówczesnego szefa Departamentu Kadr MON generała Zygmunta Zielińskiego, mógł objąć w tym garnizonie kolejne wyższe stanowisko służbowe w wojskach łączności - dowódcy pułku.

Wolą przełożonych w końcu maja 1976 roku kolejnym żołnierskim przystankiem w mojej karierze zawodowej był 4 Pułk Łączności w Bydgoszczy i pełnienie tam funkcji szefa sztabu.

Miłym zaskoczeniem dla mnie było spotkanie w pułku pięciu kolegów R-63: Stefana, Pawła, Zbyszka, Sylwka i Zenona. Oni to właśnie bardzo mi pomogli bezkolizyjnie wejść w nowe i jak się później okazało bardzo specyficzne środowisko, tym bardziej, że byłem wtedy najmłodszym stażem i wiekiem członkiem dowództwa tego pułku. Z wielką satysfakcją przyznaję w tym miejscu, że szczególną radę i pomoc w tym okresie okazał mi Zbyszek Berliński. Jego kilkunastoletni pobyt w tym pułku powodował, że znał wszystkich i wszystko, i dlatego jego uwagi, spostrzeżenia i sugestie stały się kluczem do sprawnego rozwiązywania przeze mnie niełatwych problemów, z jakimi przyszło mi się zetknąć w codziennej działalności służbowej.

Sytuacja, jak ją dzisiaj nazywam, trudna i skomplikowana trwała krótko, bo do marca 1977 roku. Wtedy nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy pułku. Został nim podpułkownik Władysław Komarzański, który w odróżnieniu od swojego poprzednika, swoim niekwestionowanym autorytetem, a także silną osobowością potrafił wprowadzić wiele pozytywnych i korzystnych zmian w organizacyjnej i szkoleniowej działalności pułku. Z jednej strony sytuacja ta pozwoliła mi stanąć na nogi, a z drugiej spadło na mnie szereg nowych zadań i obowiązków. Zresztą uważam, że tak powinno być już wcześniej, ale musiał to zrobić ktoś, kto to potrafił i na tym się znał. Uważam, że o jego poprzednikach tak jednak powiedzieć nie można.

Efektem takiej działalności było w krótkim czasie wyróżnienie pułku za działalność szkoleniową za 1977 rok w rozkazie szkoleniowym dowódcy okręgu i w drodze wyróżnienia skierowanie dowódcy, pułkownika Komarzańskiego, na studia do akademii Woroszyłowa w ZSRR. Była to dla mnie ogromna satysfakcja, tym bardziej, że udało mi się bezkolizyjnie ten zawodowy sukces pogodzić z działalnością sportową.

Tak, jak już wcześniej zaznaczyłem, życie sportowe było zawsze moim drugim domem, który zacząłem również budować od podstaw w Bydgoszczy. Rozpocząłem swoją działalność w sekcji koszykówki Wojewódzkiej Federacji Sportu, nie zaprzestając kontynuowania „przygody z gwizdkiem". Ponieważ jednostka stacjonowała na tyłach kompleksu Wojskowego Klubu Sportowego Zawisza, z konieczności (sprawy alarmowe), ale i z przyjemności zacząłem za obopólną akceptacją aktywnie współpracować z kierownictwem tego klubu. W dalszym ciągu jednak, gdy zajęcia sportowe tego wymagały, opuszczałem garnizon bez zgody przełożonych.

W tamtych latach odbywały się również spotkania koleżeńskie R-63 garnizonu Bydgoszcz. Jedno z takich spotkań odbyło się u nas w domu. Gościła wtedy u mnie silna grupa w składzie: Stefan, Zbyszek, Paweł, Mały

i Brunon. Kiedy około północy zabrakło alkoholu, a byli jeszcze chętni do wypitki, musiałem w ekspresowym tempie rozrobić trochę spirytusu. Wódka tak zrobiona wszystkim bardzo smakowała i oczywiście została wszystka wypita. Rano, jak wstaliśmy, zajrzałem do pokoju i widzę na stole kieliszki z jakimś białym osadem na dnie. Po sprawdzeniu okazało się, że w nocy spirytus zamiast z wodą i cukrem waniliowym rozrobiłem z wodą i mąką ziemniaczaną, ale nikt tego wcześniej w trakcie spożywania nie zauważył, a wódka zrobiona w nocy tą recepturą była, jak wszyscy wtedy orzekli, bardzo dobra. Na drugi dzień, gdy się o tej recepturze dowiedzieli, śmiechu było co niemiara.

Okres mojej pracy w dowództwie pułku zaliczam do udanych, pomimo wielu trudności obiektywnych, w których między innymi uwzględnić należy umiejscowienie pułku w pobliżu sztabu okręgu, jak i subiektywnych, do których zaliczyć muszę, moim zdaniem, nienajlepszą współpracę na co dzień w gronie dowództwa, spowodowaną prawdopodobnie zbyt dużą rozpiętością wiekową oficerów tego dowództwa (na przykład najmłodszy, to znaczy ja miałem 35 lat, a najstarszy podpułkownik Piszczałkowski 50).

Kolejne lata pracy zawodowej, w których nadal kontynuowałem konspiracyjną „przygodę z gwizdkiem", uznać muszę również za udane. Pozwoliły mi one wspinać się na kolejne, wyższe szczeble kariery zawodowej. Potwierdzeniem tego była moja praktyka podstawowa w Departamencie Kadr MON, rozpoczęta w marcu 1979 roku. Trafiłem tam do Oddziału III pod skrzydła cenionych przełożonych - pułkowników Roztockiego i Soborskiego. W oddziale tym poza wszelką wątpliwością przestrzegane było prawo żołnierza, mocą którego wiedział on, że przełożeni nie tylko powinni nim dobrze kierować, ale i sprawiedliwie rozliczać ze stawianych zadań. Tam też dopiero, pomimo wykonywania wielu skomplikowanych zadań, mogłem po raz pierwszy, za zgodą przełożonych, jawnie kontynuować swoją „przygodę z gwizdkiem" oraz społeczną działalność w Wydziale Gier i Dyscypliny Polskiego Związku Koszykówki. Potwierdzeniem tego było niepowtarzalne wydarzenie, do jakiego doszło w maju 1980 roku.

Wtedy to, wspólnie z Brunonem, zostaliśmy nominowani przez swoje związki sportowe do udziału w finale Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Częstochowie. Ja w koszykówce, a Brunon w boksie. Otrzymaliśmy oczywiście oficjalną zgodę, w ramach urlopu okolicznościowego, na wyjazd i tygodniowy pobyt w Częstochowie.

Prawie dwuletni pobyt w Departamencie Kadr zapisał się na mojej żołnierskiej drodze w sposób szczególny, bo dane mi było w tym okresie uzyskać znaczące moim zdaniem osiągnięcia i doświadczenia zawodowe nie tylko w działalności kadrowej, a także w okresie tym udało mi się wykonać znaczący krok w działalności sportowej.

Wspominam o tym dlatego, bo po zakończeniu praktyki kadrowej z oceną bardzo dobrą wyznaczony zostałem na stanowisko służbowe

w dowództwie brygady w Sieradzu, a w sporcie w tym okresie uzyskałem najwyższe krajowe wtajemniczenie sędziowskie - sędziego klasy związkowej. Zostałem także nominowany na zastępcę przewodniczącego Wydziału Gier i Dyscypliny Polskiego Związku Koszykówki. Z takim oto bogatym doświadczeniem zawodowym i sportowym rozpocząłem 17 listopada 1980 roku w dowództwie brygady radioliniowo-kablowej w Sieradzu kolejny etap mojej zawodowej służby wojskowej.

## Kilka migawek ze stanu wojennego

Cały 1981 rok to okres wytężonej pracy i uczestniczenia z brygadą w szeregu ćwiczeń i treningów sztabowych. Były one tak planowane, że jedne się kończyły, a następne już się zaczynały. Cały ten rok, w oparciu o te ćwiczenia, poświęciłem na poprawianie i uzupełnianie dokumentacji sztabowej na okres zadań specjalnych i klęsk żywiołowych. Pamiętam manewry pk. „Sojuz-81" prowadzone od początku lutego przy naszej zachodniej granicy. Miały one być sprawdzianem mobilności brygady i jej zdolności do przegrupowania na duże odległości. Opracowałem wtedy podobny plan przegrupowania brygady, jak na przegrupowanie dywizji w 1976 roku. Wszystko udało się znakomicie.

Bezpośrednio po tych ćwiczeniach i po kolejnym przegrupowaniu, z kolei na rubieże centralne i wschodnie, brygada ćwicząc dalej otrzymała następne zadanie, polegające na rozwinięciu osi radioliniowych Warszawa-Wrocław, Warszawa-Bydgoszcz-Poznań oraz Warszawa-Siedlce, a więc praktycznego sprawdzenia w terenie zadania opracowanego wcześniej na mapach.

Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że stan łączności przede wszystkim sprawdzali oficerowie radzieccy, a szczególnie interesowali się wydzielonymi dla nich, utajnionymi kanałami zestawionymi, w relacji Moskwa-Warszawa-Legnica. Ciężko było sprostać ich wymaganiom, ale jakoś znów się wszystko dobrze skończyło.

W lipcu tego roku sprowadziłem rodzinę do garnizonu i już mi było trochę lżej, choć zadań służbowych z dnia na dzień przybywało. Bardzo trudny był to dla mnie okres. Wyjazdy służbowe - a było ich sporo - przeplatane były wyjazdami sędziowskimi do różnych, często oddalonych od Sieradza miejscowości i sportowymi do Warszawy na planowe zebrania Wydziału Gier i Dyscypliny Polskiego Związku Koszykówki, w którego pracach systematycznie i aktywnie uczestniczyłem.

Nadszedł mroźny wieczór 12 grudnia 1981 roku. Była to wolna sobota. Dla mnie była jednak dniem pracy i dlatego do godzin popołudniowych wykonywałem w brygadzie zadania szkoleniowe. Szczątkowe informacje

wolno docierały do brygady, ale nic na razie, jeszcze w godzinach popołudniowych, nie wskazywało, że najbliższa noc może być brzemienna w skutkach i przejdzie na trwałe do historii naszej Rzeczypospolitej.

Jak każdego dnia wróciłem z pracy do domu późnym popołudniem i jak to zwykle w soboty w Sieradzu bywało, miałem wybrać się z żoną do znajomych. Oczywiście, nic z tych planów nie wyszło, bo już około godziny 17.00 oficer dyżurny brygady powiadomił mnie, że o 18.00 mam być w jednostce. Po przybyciu do jednostki dowiedziałem się od dowódcy pułkownika Osóbki, że przełożeni wprowadzili dla brygady stan podwyższonej gotowości bojowej, oznaczający pobyt w koszarach do czasu wprowadzenia kolejnych sygnałów podwyższających lub obniżających ten stan. Po kolacji skonsumowanej w jednostce, około godziny 19.00 zaczęły docierać do brygady nieciekawe, bieżące informacje o sytuacji w kraju. Razem z tymi informacjami, w sposób selektywny, także zadania dla brygady, które wcześniej, na podstawie opracowanych w sztabie dokumentów operacyjnych, zostały praktycznie przećwiczone w wyznaczonych wcześniej miejscach i rejonach.

Od tego momentu - jak pamiętam, było to około 20.00 - sytuacja stała się jasna i tożsama z późniejszymi wydarzeniami, które zapoczątkowane zostały o północy. Eskalacja napływających zadań narastała z każdą godziną. Przygotowywano w brygadzie zespoły żołnierzy zawodowych do wykonania na określony sygnał zadań specjalnych na terenie miasta, związanych z ochroną obiektów użyteczności publicznej, instytucji i przedsiębiorstw państwowych oraz wojskowych osiedli mieszkaniowych.

Szczególne zadania tej pamiętnej nocy wykonywała też kadra zawodowa w urzędach pocztowo-telekomunikacyjnych, nadzorując wprowadzoną o 24.00 ciszę w eterze w systemie łączności miejskiej i garnizonowej. Łączność garnizonowa po kilku dniach została przywrócona, ale z zastosowaniem w tym systemie całodobowego nasłuchu. Moje zadanie w tej historycznej nocy było wyjątkowe. Jako zastępca dowódcy do spraw liniowych odpowiedzialny byłem za przygotowanie i wyprowadzenie rzutu kołowego, sprzętu specjalnego i zabezpieczenia na punkty pracy w obszar województw od północno-wschodnich do północno-zachodnich. Zadanie to było wcześniej kilkakrotnie praktycznie ćwiczone i polegało na wybudowaniu osi radioliniowych w relacjach: Warszawa-Bydgoszcz-Poznań-Wrocław, Warszawa-Wrocław i Warszawa-Siedlce.

O godzinie 1.15 wprowadzony został stan pełnej gotowości bojowej dla rzutu kołowego, sprzętu specjalnego i zabezpieczenia. Dowódcom stacji postawiłem zadanie, by w czasie do 20 godzin od momentu osiągnięcia wyznaczonego punktu pracy rozwinęli stacje i weszli w czynny system łączności zgodnie z otrzymanymi dokumentami łączności. Czynny system łączności został uruchomiony w godzinach popołudniowych dnia 14 grudnia 1981 roku. W tym czasie rozwinięta została w rejonie Siedlec, limitująca

ten czas, ostatnia z zaplanowanych stacji radioliniowych w tym systemie łączności. Łącznie do wykonania tego zadania wykorzystanych zostało 59 stacji radioliniowych R-404, R-409 i R-405. System ten został opracowany z takim wyliczeniem, aby ze względu na braki w sprzęcie radioliniowym stacje zapasowe były rozmieszczone tylko na stacjach początkowych i końcowych rozwiniętych osi radioliniowych.

Do ochrony pracujących stacji, rozmieszczonych poza rejonami zamkniętymi, zaangażowanych zostało 324 żołnierzy służby zasadniczej i rezerwy z jednostek i instytucji wojskowych stacjonujących w pobliżu rejonów rozwinięcia stacji.

Do wykonania tego zadania specjalnego, o którym wspominam, z sieradzkiej brygady wydzielonych zostało łącznie 579 żołnierzy (około 65% stanu ewidencyjnego), w tym 40 oficerów, 45 chorążych, 31 podoficerów zawodowych i 31 podchorążych rezerwy, a także 222 pojazdy mechaniczne.

W czasie kiedy stacje radioliniowe stopniowo docierały na swoje punkty pracy, ja, około piątej nad ranem, uzbrojony w broń krótką i maszynową oraz obronne granaty bojowe F-1 wyruszyłem samochodem osobowo-terenowym z Sieradza przez Warszawę do Rembertowa, na stanowisko kierowania czynnym systemem łączności dla potrzeb kierownictwa władz państwa i Ministerstwa Obrony Narodowej.

Tej nocy temperatura spadła prawie do 10 stopni poniżej zera. Warunki przegrupowania były trudne, a miejscami, ze względu na oblodzenie dróg, bardzo trudne. Obyło się jednak bez wypadków, kolizji i uszkodzeń. W kolejnych grudniowych dniach mróz był jeszcze silniejszy. W wyniku obfitych opadów śniegu przez kilka następnych dni powstały kilkumetrowe zaspy, które z kolei spowodowały, że pracujące stacje radioliniowe na punktach pracy zostały całkowicie odcięte od „reszty świata".

Do dostarczania w rejony pracujących stacji wszelkiego rodzaju zaopatrzenia, w tym głównie żywności, trzeba było przez okres około trzech tygodni używać śmigłowców. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia mróz stał się jeszcze ostrzejszy, poniżej -15 stopni, opady śniegu nie ustawały, a ja, w takich warunkach, będąc przez ponad dwie świąteczne doby bez przerwy w drodze, sprawdziłem wszystkie pracujące stacje radioliniowe w obszarze Warszawa-Bydgoszcz-Poznań. Warunki panujące na drogach oraz zachowania miejscowej ludności na widok żołnierzy na trwałe pozostaną w mojej pamięci, jako bardzo trudne i niepowtarzalne.

Aby zadośćuczynić prośbom żołnierzy i podziękować im za ogromny wysiłek i trud w realizacji tego zadania, za zgodą dowódcy brygady, zorganizowałem dla ćwiczących grupowe wyjazdy świąteczne i noworoczne do swoich najbliższych. Zamierzenie to okazało się trafne i w pełni udane pod każdym względem. Wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Z „wojny", jak się zwykło wtedy mawiać, wróciłem do garnizonu z żołnierzami i ze sprzętem łączności 9 stycznia 1982 roku. Następne tygo-

dnie i miesiące poświęciłem na mozolną pracę przy usuwaniu usterek technicznych, a także na nadzór nad odtwarzaniem zdolności bojowej brygady.

Okres trwania stanu wojennego to czas, w którym przyszło mi również kierować „grupami operacyjnymi", w których składzie uczestniczyła wytypowana kadra brygady. Realizowane przez te grupy zadania były często ważniejsze od bieżących zadań szkoleniowych brygady. Sytuacja ogólna na terenie województwa sieradzkiego była w tym czasie bardzo trudna, by nie określić ją jako tragiczną. I właśnie w tak skomplikowanych warunkach można było poznać wysoką dojrzałość obywatelską kadry zawodowej, która wykonując zadania określone dla „grup operacyjnych" zdała trudny egzamin w niesieniu pomocy mieszkańcom miast i wsi województwa sieradzkiego. Przyczyniła się tym samym do likwidacji wszelkiego rodzaju wynaturzeń oraz przeciwdziałała łamaniu prawa przez partyjnych dygnitarzy szczebla gminno-miejskiego. Skutecznie także reagowała w administrowanym terenie na bałagan i nieporządek we wszystkich sferach życia społecznego. Zadania te kadra zawodowa brygady wykonała - moim zdaniem - z honorem i żołnierską godnością.

Przewinęła się w tym wątku, mimo woli, nutka polityki, ale wspominając i przywołując okres stanu wojennego, w którym z racji wykonywania obowiązków służbowych czynnie uczestniczyłem, nie mogłem niestety tego się ustrzec. Taka była bowiem i jest prawda o tym historycznym dla Rzeczpospolitej okresie.

Pamiętam również niedogodności wynikające z wprowadzenia godziny milicyjnej, trwającej każdego dnia od 22.00 do 6.00 rano. Po jej wprowadzeniu obowiązywał bezwzględny zakaz opuszczania swojego miejsca zamieszkania i poruszania się po mieście bez specjalnego zezwolenia. To utrudnienie - na moje szczęście - mnie jednak nie dotyczyło z racji zajmowanego stanowiska służbowego i wykonywanych zadań specjalnych na styku z miejskim i wojewódzkim urzędami spraw wewnętrznych.

Po dwóch miesiącach od wprowadzenia stanu wojennego ruszyły sportowe rozgrywki we wszystkich dyscyplinach sportu, w tym i w koszykówce. W międzyczasie dopełniłem również stosownych formalności związanych ze sportowym przemeldowaniem, by ze względu na aktualne miejsce zamieszkania stać się rzeczywistym członkiem Łódzkiego Okręgowego Związku Koszykówki.

Pierwszy w tym okresie mój sędziowski wyjazd miał miejsce w dniu 6 lutego 1982 roku do Leszna na zawody o mistrzostwo II ligi męskiej. Kolejnymi miastami, które odwiedziłem w celach sportowych w tym specyficznym okresie były Koszalin, Katowice, Gdańsk, Brzeg i Rybnik; miałem do każdego z tych miast oddzielne zezwolenie okresowe na pobyt. Zwalniałem się równocześnie u przełożonego, nigdy nie mówiąc prawdy, jaki jest rzeczywisty powód mojego wyjazdu.

W okresie trwania stanu wojennego urlop wypoczynkowy musiał być dzielony co najmniej na dwie części, ja miałem wtedy to żołnierskie szczęście, że urlop wykorzystałem w całości, w czerwcu 1982 roku, jako wyróżnienie przez ministra ON miesięcznymi wczasami nagrodowymi w Soczi (daw. ZSRR). Były to piękne i ciekawe dni pod każdym względem, pełne niezapomnianych wrażeń i przeżyć.

Była to również pierwsza i jedyna wycieczka do pięknych i ciekawych miejsc na Krymie, nie za własne pieniądze, bo na własny rachunek nigdy do niej by nie doszło ze względu na wysokie koszty, które wtedy przerastały znacznie moje możliwości finansowe.

Przed kolejną wyprawą do nowego garnizonu podwyższyłem swoje kwalifikacje na Podyplomowym Studium Operacyjno-Strategicznym w Akademii Sztabu Generalnego WP w Rembertowie w latach 1983–1984. W grupie, w której starszym był pułkownik Jarosław Bielecki (później generał dywizji, zastępca szefa Sztabu Generalnego WP) było nas trzech z R-63: Andrzej Bischoff, Marian Moneta no i ja. Pomimo że było dużo pracy, przyjął się pewien rytuał za sprawą Andrzeja. Musiał on codziennie zaliczyć 90-minutową drzemkę poobiednią. Starszy grupy to zaakceptował i dlatego także i my mieliśmy w tym czasie wolne. Wszyscy koledzy z PSOS-u wiedzieli, że Andrzeja budzić nie wolno. Przestrzegał tego również i starszy grupy. Problem wyłaniał się tylko wtedy, gdy coś działo się w tym czasie na szczeblu akademii. Było to zawsze zmartwienie starszego grupy, który nigdy Andrzeja nie budził, a wszystko załatwiał bezkonfliktowo.

W 1986 roku współorganizowałem na rynku sieradzkim pierwszą i ostatnią w okresie powojennym promocję absolwentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Wojsk Łączności z Zegrza. Było to pod każdym względem wielkie wydarzenie w garnizonie dla społeczności sieradzkiej. Przeżyłem też chwilę grozy w czasie tej uroczystości.

Opiszę ją w wielkim skrócie. Przed rozpoczęciem defilady absolwentów przełożeni i zaproszeni goście musieli przejść z rynku na trybunę honorową, wybudowaną nieopodal liceum ogólnokształcącego przy ul. Żwirki i Wigury. Po zajęciu miejsc na trybunie przez kierowniczą kadrę szkoły, brygady i zaproszonych gości, ale jeszcze przed rozpoczęciem defilady kończącej uroczystość promocyjną, w jednym miejscu trybuny pod obciążeniem popękało kilka desek. Na szczęście nikt z tego powodu nie ucierpiał. Jak zwykle w takich okolicznościach pojawiło się w kręgach zbliżonych do organów Wojskowej Służby Wewnętrznej szereg domysłów i podejrzeń. Wszystko jednak w końcu zostało wyjaśnione i okazało się, że był to zwykły przypadek, ponieważ wada była ukryta w materiale, z którego wykonana została podłoga tej trybuny.

Po uroczystościach promocyjnych, w połowie września zadzwonił do mnie zastępca szefa Wojsk Łączności MON pułkownik Zdzisław Klimczyk

proponując zmianę garnizonu na Warszawę, a tam objęcie stanowiska zastępcy szefa Wojsk Łączności Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Po kilkunastu kolejnych dniach od zastępcy szefa Departamentu Kadr MON pułkownika Wacława Roztockiego otrzymałem inną propozycję, nowego stanowiska w tym okręgu – szefa Oddziału Kadr. Zmaterializowała się w końcu ta druga propozycja i w dniu 17 listopada 1986 roku po raz pierwszy na szlaku swojej żołnierskiej wędrówki wylądowałem w murach Cytadeli Warszawskiej na warszawskim Żoliborzu.

## Przystanek Cytadela Warszawska

Żołnierski los rzucił mi kolejne wyzwanie, powodując, że w niezwykle trudnym i historycznie skomplikowanym okresie dane mi było rozwiązywać złożone, a zarazem często niełatwe problemy ludzkie i kadrowe w jednostkach i instytucjach Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Przekraczając wejście do Cytadeli Warszawskiej wydawało mi się, że znalazłem się w innym, nie znanym mi dotychczas świecie i uzmysłowiłem sobie wtedy, że zaskakiwany mogę być różnymi niespodziankami o zabarwieniu tak pozytywnym, jak i negatywnym, tym bardziej że dowództwo i sztab okręgu to dla mnie zupełnie nowe żołnierskie środowisko, no i nowe otoczenie. Wrażenie takie niósł ze sobą jakościowo inny charakter pracy w porównaniu do tego, jaki poznałem w dotychczasowej 26-letniej liniowej służbie wojskowej. I stało się, jak przewidywałem, bo jeszcze w tym samym dniu, w którym meldowałem się u dowódcy okręgu, tj. 17 listopada, nakazano mi rozpocząć kierowanie oddziałem kadr, a tym samym pełnić już nowe obowiązki służbowe. Zastanawiałem się, jak rozpocząć swoje urzędowanie. Mogły zdarzyć się przecież różne niespodzianki, bo schody były dość wysokie i ze starego drewna. A w tej sytuacji w każdej chwili mogłem co najmniej skręcić nogę.

I zaczęło się. Jeszcze nigdy w tak ekspresowym tempie nie przyjmowałem obowiązków służbowych w nowym garnizonie. Nie został też napisany na tę okoliczność protokół przekazania obowiązków, mimo że przepisy wówczas i dzisiaj stanowią, że wymóg ten jest prawnie obowiązkowy.

Pozostanie dla mnie chyba też na zawsze tajemnicą, dlaczego w taki właśnie sposób i tak błyskawicznie nastąpiło przekazanie obowiązków służbowych na kierowniczym stanowisku w dowództwie okręgu. Mogę się jedynie tylko domyślać, dlaczego tak się właśnie stało. Innymi słowy, prawo sobie, a życie i decyzje przełożonych sobie. I znów, jak głosi porzekadło, okazało się, że najciemniej jest pod latarnią.

Na podstawie swojego skromnego doświadczenia żołnierskiego uważam, że w wojsku ze sposobem postępowania przełożonych bywało nie-

kiedy chimerycznie, a tym samym i nie zawsze sprawiedliwie. Potwierdzeniem tej hipotezy była cenna uwaga, jaką przekazał mi zastępca szefa Departamentu Kadr MON pułkownik Roztocki, który w czasie rozmowy w jego gabinecie, przed wyjazdem do sztabu okręgu, zwrócił się do mnie mówiąc:

- Staraj się przez najbliższy rok wykonywać wszystko jak najlepiej i tak, by w pełni zadowolić dowódcę okręgu. Bo jeśli w najbliższym roku z czymś podpadniesz, albo czegoś nie wykonasz po jego myśli, to możesz wylądować poza Cytadelą i na taką decyzję nikt wpływu mieć nie będzie.

Pierwsze miesiące pobytu w sztabie okręgu potwierdziły, że wskazówka ta okazała się bardzo cenna i trafna, a być może uchroniła mnie od tego najgorszego.

Czas uciekał milowymi krokami, a do najważniejszego mojego rocznego przedsięwzięcia - przeglądu kadrowego na szczeblu dowódcy okręgu - pozostało niewiele, bo zaledwie półtora miesiąca. Okres ten dla mnie, początkującego na tak wysokim szczeblu, a odpowiedzialnego za sprawy kadrowe oficera, obwarowany jeszcze szczególnymi okolicznościami, o których wspomniałem wyżej, to bardzo ciężka praca. Wykraczała ona niekiedy ponad siły i możliwości. To wreszcie ogromny, nie zawsze widoczny na zewnątrz, wysiłek wszystkich pracowników oddziału kadr nad przygotowaniem szczegółowej analizy i wymaganej dokumentacji do tego przedsięwzięcia. Mimo że były nieprzespane noce, wykorzystane skutecznie popołudnia i dni wolne od pracy, to ciągle byłem w tak zwanym niedoczasie, bo czas uciekał i uciekał najszybciej jak to było możliwe. Ze zmiennym szczęściem próbowałem go dogonić. W związku z tym, że sportowcem byłem jednak niezłym, więc często na mecie byłem w czołówce.

Zbiór materiałów analitycznych przedstawiałem dowódcy okręgu do akceptacji kilkakrotnie, jednak za każdym razem był on gorzej oceniany, bo posiadał - zdaniem dowódcy okręgu - coraz więcej błędów merytorycznych.

Nie godziłem się z tymi uwagami, ale pamiętając słowa pułkownika Roztockiego, mimo że ręce często mi opadały, musiałem pokornie się z tymi uwagami albo utożsamiać i jak się dało, umiejętnie merytorycznie nieco je poprawiać, albo nie dokonywać żadnych zmian lub poprawek. Niepodważalnym, w tym okresie, atutem dowódcy była jego bardzo dobra znajomość kadry i jednostek okręgu, w tym szczególnie kierowniczej kadry z jednostek i instytucji bezpośrednio jemu podległych.

W tym czasie, pracując na dorobku, w ekspresowym tempie musiałem zapoznawać się tak z kadrą i jednostkami, jak i z procedurą przygotowania i przeprowadzenia przeglądu kadrowego na szczeblu dowódcy okręgu, wnosząc do tego przedsięwzięcia dużo swoich autorskich rozwiązań. Pamiętam, jak tydzień przed terminem przeglądu przedstawiłem dowódcy - moim zdaniem - już ostatnią wersję tego materiału. Nic podobnego - został

on ponownie pokreślony i mocno skrytykowany, ale oddając mi ten materiał dowódca okręgu generał broni Jerzy Skalski stwierdził:

- Nic już teraz w tym materiale nie poprawiajcie, bo nie ma na to czasu. Na przeglądzie kadrowym okaże się, jak on został przygotowany i ciekaw jestem, jak wy to wszystko, co w nim napisaliście, obronicie, bo materiał jest nie do przyjęcia.

W przeglądzie kadrowym uczestniczyło dowództwo okręgu, szefowie rodzajów wojsk, dowódcy dywizji, a także zaproszeni goście w osobach generała Żaka i pułkownika Roztockiego. Przegląd kadrowy, po powitaniu przez dowódcę zaproszonych gości, rozpoczął się moim 30-minutowym wprowadzeniem, a następnie udzielałem „z marszu" odpowiedzi na pytania generała Żaka i dowódcy okręgu, po czym dowódca zarządził 30-minutową przerwę na drugie śniadanie. Nie minęło jednak kilka minut, a szef sekretariatu dowódcy powiadomił mnie, bym natychmiast meldował się do gabinetu dowódcy. Wchodząc do gabinetu naprawdę miałem duszę na ramieniu, a w głowie ostatnie bardzo złe notowania u dowódcy, dlatego byłem pełen obaw i niepokoju o swój dalszy żołnierski los, a tu staje się coś niesamowitego, bo spotyka mnie z pełnego zaskoczenia bardzo miłe przyjęcie.

Widzę na twarzy dowódcy uśmiech i za moment słyszę:

- Jestem bardzo zadowolony z materiału na dzisiejszy przegląd kadrowy, no i z waszego wystąpienia. Również wysoko zostaliście ocenieni przez szefa Departamentu Kadr MON.

Usłyszałem jeszcze od dowódcy kilka ciepłych i kurtuazyjnych słów i za moment byłem już poza jego gabinetem. Mimo że to zdarzenie trwało raptem może kilka minut, to jednak zmieniło ono na korzyść podejście dowódcy do spraw kadrowych, które przedstawiałem mu do akceptacji. Od tego czasu przyznał mi więcej kompetencji przy uzgadnianiu i załatwianiu spraw kadrowych na szczeblu okręgu. Efektem takiej oceny było również nazajutrz natychmiastowe przyznanie przez dowódcę znacznej kwoty pieniędzy na nagrody dla mnie i pracowników oddziału. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby było odwrotnie. I znowu wracam w tym momencie do cennej wskazówki udzielonej mi przez pułkownika Roztockiego, tuż przed moim przekroczeniem wejścia do Cytadeli.

Przywołałem w pamięci w miarę szczegółowo tylko jeden z bardzo wielu ciekawych epizodów, jakie wydarzały się w okresie, kiedy dowódcą okręgu był generał broni Jerzy Skalski. Epizod ten dowodzi, jak ekwilibrystycznie należało niekiedy postępować z przełożonymi, by ich nie urazić, a jednocześnie postępując niekiedy wbrew ich poleceniom dobrze wykonać wcześniej postawione zadanie.

Wiele innych ciekawych wydarzeń miało miejsce również w okresach, kiedy dowódcami okręgu byli kolejno: generał brygady Jan Kuriata (1988–1989), generał dywizji Zdzisław Stelmaszuk (1989–1990), generał brygady

Leon Komornicki (1990–1992) oraz generał dywizji Julian Lewiński (1992–1995). Opisując wcześniej dość szczegółowo jedno bardzo pouczające zdarzenie, uważam, że tylko sygnalnie napisałem o panującej atmosferze i o sposobie wykonywanych zadań w sztabie okręgu. Nie mogę nie wspomnieć jeszcze o innym wydarzeniu, ale już w sferze działalności szkoleniowej okręgu, posiadającym szczególny wymiar gatunkowy, bo związanym z corocznym wieloszczeblowym ćwiczeniem taktycznym prowadzonym przez dowódcę okręgu.

Jest marzec 1995 roku. W sztabie okręgu trwają rutynowe przygotowania dowództwa i sztabu do ćwiczenia z wojskami pod kryptonimem „Klon-95". Na to ćwiczenie wraz z wieloma innymi oficerami rezerwy powołany został - na jego osobiste życzenie - szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, minister, podporucznik rezerwy Henryk Goryszewski, będący na przydziale mobilizacyjnym w oddziale rozpoznawczym sztabu okręgu. Nadmieniam, że procedura powołania ministra na ćwiczenie w niczym nie odbiegała od przyjętych i obowiązujących zasad związanych z powołaniem oficerów rezerwy na ćwiczenia wojskowe. A więc począwszy od doręczenia karty powołania, poprzez umundurowanie w oddziale gospodarczym (4 Pułk Zabezpieczenia Dowództwa WOW) do przyjęcia oficera w sztabie okręgu.

Jak zawsze przed takim ćwiczeniem przygotowywałem z odpowiednim wyprzedzeniem propozycje do mianowania na kolejne stopnie wojskowe w korpusie oficerów i korpusie chorążych. Nie ukrywam, że przed tym ćwiczeniem było mi to o wiele łatwiej wykonywać, ponieważ niezbędne formalności związane z mianowaniem oficerów rezerwy na kolejne stopnie wojskowe, w tak zwanej „krótkiej drodze", z wielką życzliwością załatwił minister Goryszewski, poprzez wcześniejsze kontrasygnowanie przygotowanych przeze mnie dokumentów kadrowych.

Jego nazwisko było również w gronie oficerów rezerwy proponowanych do mianowania po zakończeniu tego ćwiczenia. Ta życzliwość nie była wcale związana - jak oceniam - ponad wszelką wątpliwość z faktem jego nominacji. On po prostu - jak powtarzał przy każdej okazji - kocha mundur i ma wielki szacunek i uznanie dla ludzi w mundurach, doceniając ich codzienny wysiłek i oddanie Ojczyźnie. Niejednokrotnie o tym przekonałem się osobiście w późniejszych moich kontaktach z ministrem Goryszewskim, nawet wtedy, kiedy przestał być już szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Ćwiczenie przebiegło sprawnie i ocenione zostało przez przełożonych bardzo dobrze. Wybrane etapy tego ćwiczenia były także obserwowane przez prezydenta Rzeczpospolitej i towarzyszące mu osoby, posłów i senatorów, kierownictwo MON z ministrem Zbigniewem Okońskim oraz kierownictwo Sztabu Generalnego WP z szefem sztabu generałem broni Tadeuszem Wileckim.

Na zakończenie ćwiczenia na jednym z punktów pokazu odbyła się uroczystość wręczenia aktów nominacyjnych oficerom rezerwy mianowanym przez ministra obrony narodowej na kolejne stopnie oficerskie w rezerwie. Wśród mianowanych był minister Goryszewski. Organizacyjne przygotowanie tej uroczystości należało do mnie. Przygotowując oficerów rezerwy do tej uroczystości ustawiłem ich w kolejności starszeństwa stopnia wojskowego i w tym układzie minister Goryszewski znalazł się w szeregu na końcu. Inni oficerowie uczestniczący w tej uroczystości starali się mnie przekonać, by ministra przesunąć na czoło tego szeregu. Na takie dictum tych oficerów sam minister był przeciwny temu, twierdząc, że „wojsko lubi porządek i dlatego nic tu zmieniać nie powinniśmy". Tak też zostało.

Uroczystość nominacyjna celebrowana przez dowódcę okręgu generała Juliana Lewińskiego, w obecności oficerów kierownictwa ćwiczenia, w tym kapelana WOW księdza podpułkownika prałata Tadeusza Dłubacza, przebiegła sprawnie i zgodnie z ceremoniałem wojskowym. Przełożeni i zaproszeni goście zadowoleni wrócili do Warszawy, a uczestnicy ćwiczenia w swoje wyznaczone rejony ześrodkowania wojsk. Nazajutrz dowódca okręgu omówił z kierowniczą kadrą okręgu przebieg tego ćwiczenia.

W omówieniu uczestniczył oczywiście minister, porucznik rezerwy Henryk Goryszewski, który bezpośrednio po jego zakończeniu przeprowadził z kierowniczą kadrą okręgu tzw. prasówkę, w ramach której, nawiązując do tła operacyjnego ćwiczenia, przedstawił aktualną sytuację społeczno-gospodarczą i polityczną kraju oraz odpowiadał na pytania oficerów. Tym akcentem zakończyło się pomyślnie kolejne przedsięwzięcie szkoleniowe okręgu.

Wracając wspomnieniami do drugiej połowy lat osiemdziesiątych, stwierdzić muszę, że okres ten stawał się coraz ciekawszy i rzucał coraz to trudniejsze wyzwania; od pracowników pionu kadrowego wymagał ogromnego wysiłku fizycznego i intelektualnego. Już bowiem w drugiej połowie 1987 roku zapadła decyzja o rozpoczęciu z dniem 1 stycznia 1988 roku restrukturyzacji w siłach zbrojnych. Pierwsze zadania restrukturyzacyjne objęły jednostki Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Rozpoczęła się więc restrukturyzacja jednostek skadrowanych: 3 i 9 Dywizji Zmechanizowanych oraz Rezerwowej Dywizji Zmechanizowanej, posiadających w swoim składzie znaczną ilość kadry zawodowej. Dla organów kadrowych wszystkich szczebli dowodzenia w okręgu rozpoczęły się bardzo trudne rozmowy kadrowe, bo w okresie pierwszego roku trwania restrukturyzacji zamykały się tylko propozycjami z obszaru okręgu. Przedstawiane więc kadrze zawodowej propozycje kadrowe nie zawsze były ciekawe i atrakcyjne pod względem wyboru zarówno tak stanowiska służbowego, jak i nowego garnizonu.

Trudnością dodatkową była w tym czasie totalnie mała dyspozycyjność kadry, spowodowana trudną, a nierzadko bardzo trudną sytuacją

materialną; szczególnie dotyczyła ona chorążych i podoficerów zawodowych. Wspomnę i o tym, że ze względu na bardzo złą w tym czasie sytuację mieszkaniową w garnizonach okręgu, trudno było również przekonać oficerów do podjęcia przez nich studiów akademickich i podyplomowych, między innymi w Akademii Obrony Narodowej.

W efekcie bowiem wiązało się to, po ukończeniu studiów, z objęciem przez nich nowych stanowisk służbowych w innych garnizonach, często poza obszarem administrowanym przez Oddział Kadr Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Była to moim zdaniem sytuacja anormalna, ponieważ z jednej strony likwidowano stanowiska oficerskie, z drugiej natomiast trwał nabór kandydatów na wojskowe studia akademickie i podyplomowe, którym trudno było cokolwiek po ich ukończeniu zaproponować. Byłem jednak przez przełożonych systematycznie rozliczany. Moim zdaniem, nikt wtedy tym się nie przejmował. Nie wiem też, czy próbował wtedy ktoś nad tym skutecznie zapanować. Znacznie, również z tego powodu, zmniejszył się w tym okresie nabór do podoficerskich szkół zawodowych. I jak tu mówić o normalności, skoro z jednej strony trwała restrukturyzacja, a z drugiej musiałem przestrzegać ustalonych przez przełożonych limitów tych naborów. Z realizacji tego przedsięwzięcia również musiałem się systematycznie rozliczać. Rozliczenia, o których wspominam, odbywały się w Departamencie Kadr oraz na posiedzeniach rad wojskowych WOW, a tam żarty się kończyły i mocno trzeba się było bronić przed różnymi atakami. Nie zawsze jednak wychodziłem z tych opresji obronną ręką. Ale tak już wtedy bywało.

Okazało się wkrótce, że w wyniku zmian restrukturyzacyjnych, w 3 DZ, 9 DZ oraz Rezerwowej DZ na utworzone po raz pierwszy w siłach zbrojnych tzw. wykazy przejściowe na okres dwóch lat (1988–1989), trafiło 292 żołnierzy zawodowych z restrukturyzacyjnych jednostek.

Każdy z tych 292 żołnierzy zawodowych miał swój osobisty problem, który był przeszkodą często nie do pokonania w przyjęciu przez niego proponowanego stanowiska poza macierzystym garnizonem. Z dnia na dzień schody te rosły, a problemy do rozwiązania stawały się coraz trudniejsze.

Zgodnie z ustaloną przez przełożonych procedurą raz w tygodniu składałem meldunek ministrowi obrony narodowej, poprzez jego szefa gabinetu lub Departament Kadr, o sytuacji kadry zawodowej pozostającej na wykazach przejściowych. Wiedziałem również, że minister życzył sobie, by w każdym kolejnym meldunku wykazywać zmniejszanie się ilości kadry pozostającej na wykazach przejściowych, w wyniku wyznaczania ich na kolejne stanowiska służbowe.

Rzeczywistość była jednak inna, przełożeni nie byli z niej zadowoleni; w tym czasie właśnie tylko wartościowi żołnierze zawodowi zwracali się z prośbami o zwolnienie z zawodowej służby wojskowej, ponieważ naj-

wcześniej potrafili znaleźć różne możliwości rozpoczęcia pracy na własny rachunek. Muszę w tym miejscu przyznać, na podstawie posiadanych przeze mnie informacji z tamtego okresu, że w zdecydowanej większości przypadków manewr ich był udany i skończył się dla tej kadry bardzo pozytywnie. Najlepiej z tym problemem radzili sobie młodzi oficerowie i chorążowie.

W wojsku natomiast pozostawali praktycznie tylko tacy żołnierze zawodowi, którym z różnych względów, w tym szczególnie z braku wymaganych kwalifikacji, trudno było cokolwiek na odcinku cywilnym zaproponować. A że w myśl staropolskiego porzekadła „wojskowa kołdra kadrowa była wtedy też bardzo krótka, to jakby nią wówczas nie ruszyć, to zawsze nogi z niej wystawały" - i dlatego w armii dla nich też nie można było znaleźć rozsądnego rozwiązania.

Te obiektywne trudności oni sami jeszcze potęgowali, bo wyrażali zgodę na przyjęcie stanowiska służbowego tylko w macierzystym garnizonie. Było to z ich strony nie do końca uczciwe, generalnie bowiem ustawiali się ze swoimi decyzjami „na nie", na przedstawiane im przez organy kadrowe, możliwe - moim zdaniem - do przyjęcia propozycje kadrowe.

Mógłbym na ten temat napisać naprawdę wiele. I każdy taki żołnierski przypadek charakteryzować może nieco inaczej. Ale w gruncie rzeczy cel był zawsze jeden. Daleko idąca żołnierska pomoc. Jestem przekonany, że to, o czym w sprawie restrukturyzacji do tej pory napisałem, powinno być wystarczające i skłaniające nas, byłych żołnierzy zawodowych, do osobistych refleksji nad tym problemem.

Pokazałem bowiem na wybranym przykładzie początek restrukturyzacji w siłach zbrojnych i problemy do rozwiązania - głównie ludzkie - jakie ona ze sobą wniosła na wstępie i dalej wnosi do naszych żołnierskich szeregów. Trwa ona już prawie 15 lat i na dzisiaj - a jest już styczeń 2003 rok - niestety nie widać jej zakończenia. Dzieje się tak moim zdaniem dlatego, że decydenci w resorcie obrony narodowej, przygotowując kolejne dokumenty prawne, zwalniają z zawodowej służby wojskowej kolejne wybrane grupy kadry zawodowej (głównie oficerów starszych). Realizowane jest więc sukcesywnie twierdzenie wypowiedziane na początku lat dziewięćdziesiątych przez jednego z byłych wiceministrów obrony narodowej, że kadra zawodowa chodząca kiedyś w brązowych butach nie powinna dzisiaj pełnić zawodowej służby wojskowej.

Mile wspominam z tego okresu kilkakrotne spotkania rocznicowo-okolicznościowe kierowniczej kadry okręgu z generałem Józefem Kuropieską, z okazji kolejnych rocznic jego urodzin. Spotkania te, poza wrażeniami estetycznymi, miały również i swój osobisty wydźwięk, ze względu na szczególną charyzmę generała - jubilata. Pierwsze takie spotkanie odbyło się w maju 1994 roku z okazji 90. rocznicy jego urodzin. Były wtedy przy stole szwedzkim piękne toasty i miłe wspomnienia, w szczególności

z przebytej żołnierskiej drogi jubilata, a naprawdę było co wspominać. Opowiadano też przy tej okazji różne anegdotki dzisiejsze i wczorajsze. Prym jak zawsze wiódł generał - jubilat, bo sypał nimi jak z przysłowiowego rękawa. Bardzo ciekawe i pouczające, jak mówił wtedy, były jego spotkania w pałacu prezydenckim oko w oko z prezydentem RP Aleksandrem Kwaśniewskim. Zderzenie młodości, jak mówił, z doświadczeniem życiowym i żołnierskim było czymś w rodzaju substancji wybuchowej, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu, bo zawsze coś dobrego na przyszłość - jego zdaniem - dla obu stron pozostało i pozostanie na zawsze.

Generał - jubilat nie pozwalał nigdy, by w jakikolwiek sposób pomijano go w toastach i mimo przecież sędziwego już wieku starał się, i to z powodzeniem, dorównywać nam, dużo młodszym od siebie oficerom. Często więc słyszeliśmy w czasie spotkań z nim:

- No, panowie oficerowie, już dawno nie piliśmy, a mamy przecież nalane. Kto tu więc kogo ma zapraszać do kielicha. Nie ociągajcie się, bo zmienię o was zdanie.

Jeśli zaś wznoszono toasty za zdrowie generała - jubilata z życzeniami dla niego 100 lat życia, to natychmiast przerywał ten toast i zwracając się do życzeniodawcy mówił:

- Panie pułkowniku, dlaczego Pan mi życzy tylko 100 lat, a nie na przykład 105 lat lub 110 lat.

Na takie dictum jubilata toasty musiały być oczywiście poprawiane. Dzielił się w czasie tych jubileuszowych spotkań również swoimi bogatymi wspomnieniami, wygłaszając je zawsze barwnie i ze znaną swadą. Dowiedziałem się wtedy, między innymi, że zimą 1935 roku, gdy był na pierwszym roku Wyższej Szkoły Wojennej, uczestniczył w pokazie sprzętu łączności w Zegrzu. Zaprezentowano im tam - jak się wyraził - wielkie ubóstwo w sprzęcie łączności. Był tym bardzo niemile zaskoczony. Gdy generał - jubilat opowiadał swoje przeżycia, to słuchający go odnosili wrażenie, że ma fenomenalną pamięć. Zawsze zaczynał opowiadać w ten oto sposób:

- Pamiętam jak pod koniec stycznia 1950 roku spotkałem przypadkowo na ulicy w Warszawie podpułkownika Jana Gerharda, który będąc na urlopie w kraju powiedział mi wtedy, że nie otrzymał zezwolenia na powrót na studia do Moskwy, mimo że do ich ukończenia zostało kilka miesięcy.

W innym przypadku opowiadanie swoje rozpoczynał nawet od godziny i dokładnej daty zdarzenia. Koniec lat czterdziestych to okres, jak zaznaczał, prowadzonej na szeroką skalę w wojsku czystki i inwigilacji. Po kilku miesiącach sam zresztą - jak mówił - został brutalnie aresztowany przez pułkownika Szerszenia w niewyjaśnionych wtedy okolicznościach.

Znalazłem i ja wtedy chwilę czasu by z generałem - jubilatem spontanicznie zamienić kilka słów. Na początku odpowiadałem generałowi na pytania związane z moją służbą wojskową. Kiedy wymieniłem brygadę w Sieradzu, to natychmiast w swoim stylu mi przerwał i zaczął:

- Słuchaj no, kochany ty mój. Latem w 1935 roku byłem w tym twoim Sieradzu jako słuchacz pierwszego roku Wyższej Szkoły Wojennej na ćwiczeniu w ramach podróży operacyjnej organizowanej wspólnie z drugim rocznikiem uczelni. Mieliśmy wtedy ponad dobę przerwy w tym ćwiczeniu. Wykorzystałem ją po oficersku. Znalazłem w tym Sieradzu porządną restaurację i tam wspólnie z kolegami przy kolacji suto zakrapianej alkoholem przesiedzieliśmy do późnych godzin nocnych. Dużo wypitego alkoholu w upalny wieczór zrobiło swoje i mimo zmęczenia bawiliśmy się jednak świetnie. Oj, to były czasy.

Gdy zaczęliśmy rozmawiać na tematy kadrowe, generał nie pozwolił mi czymkolwiek się pochwalić i zwracając się do mnie mówił:

- Słuchaj kochany, ty mi tu nie opowiadaj, jak załatwia się sprawy kadrowe. Ja, jako dowódca okręgu, takie sprawy załatwiałem bardzo prosto i błyskawicznie. Wieczorem przychodziłem do sztabu do swojego biura i po „wcz" dzwoniłem do Spychalskiego, z którym miałem bardzo dobre układy i mówię jemu, słuchaj Marian, mam ważną sprawę kadrową. Muszę od jutra zmienić u siebie dowódcę pułku. Spychalski oczywiście to zaakceptował. Ja miałem sprawę załatwioną, jak widzisz, w kilka minut. Rano wołałem do siebie oficera personalnego informując go, kto dzisiaj od rana jest nowym dowódcą pułku tam i tam, i nakazałem jemu pilnie załatwić pozostałe sprawy związane z tą personalną zmianą. Dzisiaj wy to jakoś ślamazarnie załatwiacie. Ja już na pewno wam w tym dzisiaj ani nie pomogę ani nie doradzę.

Generał Kuropieska był zapraszany również na inne uroczystości organizowane przez dowódcę okręgu. Nigdy nie zawodził i czynnie w nich uczestniczył, zaznaczając to zawsze swoimi charyzmatycznymi wypowiedziami i gawędziarstwem. Nie musiałem wtedy generałowi się już przedstawiać, bo pamiętał mnie z naszej pierwszej wspólnej rozmowy.

Pragnę również poświęcić kilka słów atmosferze, jaka panowała na balach oficerskich dla przodowników wyszkolenia organizowanych przez dowódcę okręgu w pięknym klubie garnizonowym w Modlinie czy w pałacu w Jabłonnej, w których zawsze uczestniczyłem. Na te bale zawsze zapraszane były osobistości z pierwszych stron gazet, przedstawiciele kierownictwa MON i Sztabu Generalnego WP, Ordynariatu Polowego WP. Dla kierowniczej kadry sztabu okręgu obecność na balu była zawsze obowiązkowa. Oficerowie wyróżnieni przez dowódcę okręgu z zasady nigdy nie zawodzili. Pierwszy taki bal odbył się w karnawale w 1993 roku. Jak mi wiadomo, był to pierwszy bal oficerski w siłach zbrojnych w okresie powojennym, w którym przy jego organizacji i przeprowadzeniu zachowane zostały wszelkie procedury i rytuały z okresu II Rzeczypospolitej. Wspaniała balowa atmosfera, stwarzana przez wszystkich uczestników, trwała zawsze do białego rana i przy suto zastawionych stołach. Atmosferę taką tworzyła również orkiestra, która specjalnie dobranym repertuarem starała

się dogodzić nawet najbardziej wybrednym melomanom. Jak pamiętam, nawet biskup polowy, generał dwojga imion i ksiądz prałat pułkownik Tadeusz Dłubacz bardzo byli radzi uczestnicząc zawsze i to do końca w tych balach.

Moja „przygoda z gwizdkiem" nieprzerwanie trwała nadal. Jednak obowiązki służbowe, a szczególnie jeden - dwugodzinna dyspozycyjność (niezależnie gdzie się przebywało, nie później niż w ciągu dwóch godzin należało zameldować się w miejscu pracy) powodowała, że nie mogłem sobie już pozwolić na częste i zbyt dalekie od Warszawy wyjazdy sportowe, szczególnie w dni robocze. Ponownie musiałem w ukryciu udzielać się sportowo, a że byłem w tym zahartowany, to udawało mi się to w dalszym ciągu zupełnie nieźle.

W związku z kolejną nominacją sportową na komisarza technicznego Polskiego Związku Koszykówki starałem się połączyć obowiązki sędziego z jakościowo nowymi obowiązkami działacza sportowego. Innymi słowy jest to osoba działająca na zawodach koszykówki z ramienia związku sportowego, odpowiedzialna, poprzez gospodarza zawodów, za bezpieczeństwo w obiekcie sportowym oraz sprawne pod względem sportowo-organizacyjnym ich przygotowanie i przeprowadzenie. Jest to więc najważniejsza osoba obok sędziów boiskowych na zawodach koszykówki, z poważnymi obowiązkami, ale i z dużymi kompetencjami.

Mijały lata dziewięćdziesiąte, trudności w kraju i w restrukturyzowanej ciągle armii narastały, a niełatwe jak zawsze problemy ludzkie i kadrowe musiały być rozwiązywane i to ku zadowoleniu w miarę obu stron, a więc zwalnianego i zwalniającego.

W końcu 1994 roku powołany zostałem do zespołu ekspertów MON, w składzie którego uczestniczyłem przez ponad rok w pracach sejmowej komisji obrony narodowej nad nowelizacją ustawy pragmatycznej o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.

Ta sejmowa przygoda to bardzo bogate ze wszech miar doświadczenie w zapoznaniu się z obowiązującymi procedurami w tworzeniu przepisów prawa oraz w działalności legislacyjnej sejmu i senatu.

W międzyczasie wolą przełożonych wyznaczony zostałem na kolejne odpowiedzialne stanowisko służbowe: zastępcy szefa Zarządu Kadr w Sztabie Generalnym WP.

W tym momencie moja sytuacja służbowa stała się na tyle skomplikowana, że musiałem się błyskawicznie zastanowić, w jaki sposób dalej godzić odpowiedzialne obowiązki służbowe ze sportowymi. Po wnikliwej analizie podjąłem więc trudną dla mnie sportową decyzję o definitywnym zakończeniu sędziowania na boisku, a więc zakończona została trwająca ponad 23 lata „przygoda z gwizdkiem". Tym samym, po ponad 23-letniej karierze sędziowskiej i po przeprowadzeniu ponad 600 spotkań międzynarodowych, mistrzowskich i towarzyskich krajowych (w tym 242 spotkania

jako funkcyjny sędzia stolikowy) mój strój sędziowski powędrował na wieszak do szafy i dzisiaj jest już bardzo chronionym eksponatem, ale tylko do oglądania.

Moje oficjalne „pożegnanie z gwizdkiem" miało bardzo ciekawą i uroczystą oprawę. Odbyło się ono w dniu 30 grudnia 1995 roku w ostatnim dniu trwania XXXVII Międzynarodowego Turnieju Koszykówki Mężczyzn o puchar wojewody warszawskiego. W tym dniu, bezpośrednio przed ostatnim meczem finałowym, sędziowałem na boisku „mecz gwiazd" z udziałem byłych zawodników - reprezentantów Polski - między innymi Eugeniusza Kijewskiego, Stanisława Olejniczaka, Władysława Pawlaka, Leszka Arendta, Włodzimierza Tramsa i innych byłych zawodników i reprezentantów kraju wielce zasłużonych dla polskiej koszykówki i polskiego sportu.

Mecz ten był na żywo transmitowany przez telewizję publiczną Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego, a jego fragmenty pokazane zostały również w programie pierwszym telewizji polskiej.

Pamiątka uwieczniona na kasecie video pozostanie dla mnie i moich najbliższych na całe życie, nie mówiąc o osobistych przeżyciach i wrażeniach, jakie temu przedsięwzięciu towarzyszyły wtedy i pozostaną w mojej pamięci na zawsze.

Moja sportowa przygoda trwa jednak nadal, choć nie na boisku koszykówki, tylko obok niego, bo dalej pozostaję wierny tej dyscyplinie sportu, która przez wiele lat była i jest nadal dla mnie moim drugim domem. Wykonuję więc nadal niełatwe i coraz bardziej skomplikowane zadania na zawodach profesjonalnej ligi koszykówki, przypisane Komisarzowi Technicznemu Polskiej Ligi Koszykówki S.A. (męska liga zawodowa), Polskiej Ligi Koszykówki Kobiet, a także, ale z braku czasu już rzadziej, Polskiego Związku Koszykówki (inne rozgrywki szczebla centralnego prócz dwóch lig wymienionych, tj. PLK i PLKK).

Kreśląc te wspomnienia i to w takim układzie chronologicznym i tematycznym, wybrałem wydarzenia najważniejsze z najciekawszych, jakie zrządził mi żołnierski i sportowy los w okresie pełnienia zawodowej służby wojskowej.

Zawsze jest tak, że do młodości i ciekawych osobistych przeżyć sięgamy pamięcią najchętniej, tylko nie zawsze udaje się je wiernie i do końca odtworzyć, bo pamięć nasza często już w starszym wieku szwankuje.

Intencją moją było również przybliżenie czytelnikowi niełatwego losu oficera-łącznościowca oraz pokazać, jak przy odrobinie chęci i łaskawości losu można skutecznie łagodzić trudy życia wojskowego poprzez stworzoną przez siebie odskocznię, którą w moim przypadku była i jest szeroko pojęta społeczna działalność sportowa.

*Antoni Skubis*

# Teoria i praktyka

## Na studiach

W sierpniu 1964 roku napisałem prośbę o wyrażenie zgody na rozpoczęcie w 1965 roku studiów w Wojskowej Akademii Technicznej. I o dziwo, poparto moją prośbę pod warunkiem, że będę pełnił przez jeden rok obowiązki dowódcy plutonu szkolnego. Była to harówa straszna. Osiem godzin zajęć ze wszystkich przedmiotów. Pisanie nowych konspektów na każde zajęcia z elewami zajmowało bardzo dużo czasu, tak bardzo mi potrzebnego na przygotowanie się do egzaminów wstępnych na studia.

W tych latach konkurencja była duża, ponieważ o sześćdziesiąt dwa miejsca zarezerwowane dla żołnierzy zawodowych na wszystkich kierunkach nauki w WAT ubiegało się 697 kandydatów. Dla osób zakwalifikowanych na studia został zorganizowany kurs przygotowawczy. Raz w miesiącu organizowane były na terenie Bemowa konsultacje z języka rosyjskiego, matematyki i fizyki. Na konsultacjach z języka rosyjskiego siedziałem z kolegą w ostatniej ławce i o czymś rozmawialiśmy, aż tu w pewnym momencie usłyszałem donośny głos pani Rymaszewskiej:

- Tawariszczi iz Kamczatki, akańczitie razgawory.

Wybuchł ogólny śmiech i nauka języka rosyjskiego trwała dalej.

Po prawie dwóch latach służby w 15 Pułku Radioliniowo-Kablowym mogłem przystąpić do egzaminów wstępnych na Wydział Radiotechniczny WAT. W tym czasie spotkałem ponownie kolegów Mieczysława Antkowiaka i Mariana Monetę. Z Mietkiem studiowałem przez pięć lat w jednej grupie szkoleniowej i mieszkałem po sąsiedzku.

Do śmieszniejszych sytuacji można chyba zaliczyć rozmowę na przerwie pomiędzy wykładami z nadajników i odbiorników radiowych. Wykład na temat transmisji sygnału (pola elektromagnetycznego) w światło-

wodach, w otwartej przestrzeni i falowodach trwał cztery godziny. Podczas luźnej rozmowy na korytarzu w czasie trzeciej przerwy jeden z kolegów postawił pytanie:

- Rozumiem to, co Pan powiedział o kablach, antenach, falowodach, ale nie wiem, o jakim świetle w wodzie Pan mówi?

Nastał czas śmiechu i rozluźnienia.

Nasz wspaniały wykładowca opowiedział również zabawną historię, jaka mu się zdarzyła w czasie sprzątania samochodu marki Syrena. Każdego tygodnia w sobotę jego żona, absolwentka polonistyki UW, pomagała mu w tych porządkowych czynnościach i jednocześnie poznawała zasadę działania Syrenki. Nasz wykładowca był przekonany, że jego ukochana żona doskonale zna wszystkie mechanizmy zamontowane w aucie i ich przeznaczenie. Aż tu w pewnym momencie pada z jej ust pytanie:

- Po co są tłoki w silniku?

To pomogło mu zrozumieć, jak trudno jest nauczać nowych pojęć, takich jak światłowód, w czasie gdy dopiero się rodziła nowa technika.

Komendantem WAT w tym okresie był generał Owczennikow. Jeden z podchorążych „zbyt blisko" zaprzyjaźnił się z żoną oficera WAT-u. Oficer ten poszedł ze skargą do komendanta i prosił go o wydalenie słuchacza z uczelni. Generał Owczennikow poprosił obu do swojego gabinetu i po wysłuchaniu wyjaśnień „poszkodowanego" oficera i podchorążego powiedział:

- Podchorąży podejdź no do okna, widzisz, tyle młodych, ładnych dziewczyn na ulicy, tyle śmietanki, a ty wybierasz stare baby - zsiadłe mleko.

Na koniec raportu służbowego wydał komendę:

- Podchorąży, marsz do nauki, a oficer do zajęć służbowych.

Studia upłynęły mi dość szybko, patrząc z pozycji dnia dzisiejszego. Na dziesiątym semestrze wykładów w salach było już niewiele. Głównym tematem tego semestru stał się wyjazd na praktyki i napisanie pracy dyplomowej. Otrzymałem polecenie wyjazdu na praktykę do sztabu dywizji skadrowanej w Lublinie. Tam otrzymałem dalsze skierowanie do pułku zmechanizowanego w Siedlcach.

Ta zima była szczególnie ciężka i mroźna, a zaspy śniegu sięgały wysokości samochodu ciężarowego STAR 66. Pułk został skierowany na ćwiczenia poligonowe na poligon Dęba-Rozalin. Skład osobowy pułku opierał się na oficerach, podoficerach i szeregowych rezerwy. Po raz pierwszy zobaczyłem, jak bardzo rezerwiści byli zaangażowani w osiągnięcie sukcesu swojego pułku.

W czasie wyjazdu z miejsca postoju w Siedlcach na rampę załadowczą PKP zobaczyłem, że wóz specjalistyczny łączności BTR 152 ma podniesioną maskę silnika i żołnierz z butelką benzyny bezpośrednio wlewa paliwo do komory filtru powietrza. Inaczej samochód nie mógł jechać. Rozładunek

z eszelonu i dojazd na miejsce ćwiczeń odbywał się tą samą metodą. Grupa remontowa pułku prowadziła szkolenie w bardzo trudnych warunkach pogodowych (duże mrozy i śniegi). Rezerwiści kłopot z tym pojazdem już znali przynajmniej od trzech lat. Podejmowano różne próby naprawy tego wozu. Rezerwista - mechanik samochodowy pracujący w PKS (Polska Komunikacja Samochodowa) Lublin - zaproponował nawiercenie dodatkowego otworu w gaźniku. Samochód ożył. Zapanowała wielka radość wśród żołnierzy z Siedlec, ale trwała bardzo krótko, ponieważ zobaczył to szef łączności dywizji z Lublina i polecił samochód skierować do sztabu dywizji. Nie muszę mówić, że postępek ów źle został przyjęty w pułku. Po powrocie z ćwiczeń należało sprawnie napisać pracę magisterską i ją obronić przed komisją państwową.

## W linii

Skierowano mnie do dalszej służby, już jako oficera po studiach i inżyniera elektronika, do Olsztyna. Pierwsze zadanie, jakie otrzymałem od dowódcy pułku brzmiało: zaprojektujesz bramę wjazdową do 14 Mazurskiego Pułku Piechoty. Wyjaśnienia, że to nie jest moja specjalność, nie przekonały dowódcy, ponieważ on miał ukończone dwie akademie: Wojskową Akademię Polityczną i Akademię Sztabu Generalnego WP. Właściwą służbę rozpocząłem dopiero w 72 samodzielnym batalionie łączności tegoż pułku, jako inżynier ds. radio.

Pułk regularnie wyjeżdżał raz w miesiącu w rejon alarmowy. W drugim roku mojej służby, w czerwcu, dowódca zarządził dwa alarmy kolejno w odstępie jednej nocy. Była druga, może trzecia godzina w nocy, prowadziłem kolumnę moich radiostacji dużych i średnich mocy. Na którymś zakręcie zobaczyłem, jak jadący przede mną samochód z kompanii saperów, zamiast jechać w prawo, wjechał prosto w podwórze i uderzył w róg domu.

Dom zbudowany był z kawałków drewna o długości około pół metra, owiniętych słomą i zlepionych gliną. Uderzenie samochodu zmiotło narożnik domu. Słyszałem tylko płacz kobiety i zobaczyłem fruwające pierze i tuman kurzu w mieszkaniu. Zapytałem o dzieci i męża. Na to rozpaczająca kobieta odrzekła, że dzieci są w innym pokoju, a mąż na wódce. Wszyscy żyją.

Zawiadomiłem o wypadku dowódcę pułku przez radiostację R-105D. Alarm został przerwany, jednostka przystąpiła do naprawy szkody. Odbudowano z cegły silikatowej uszkodzony narożnik domu. Rodzina ucieszyła się, ponieważ już mieli cały dom murowany. Trzy narożniki tego domu zostały wcześniej odbudowane przez PKS, ponieważ takie uszkodzenia miały już miejsce wcześniej.

# Praca w uczelni

W gazecie codziennej ludowego Wojska Polskiego z 1973 roku ukazało się ogłoszenie o organizowanym przez Wojskową Akademię Techniczną konkursie na stanowisko starszego asystenta w Instytucie Elektroniki Kwantowej. W ogłoszeniu była zawarta informacja, że zgłoszenia należy składać drogą służbową i bezpośrednio do Departamentu Kadr MON. Tak też zrobiłem.

Po miesiącu mój przełożony, dowódca 72 batalionu łączności, wezwał mnie i poinformował, że mój raport jest w jego szufladzie od miesiąca i nie może być wysłany do Departamentu Kadr. Na to ja pokazałem treść ogłoszenia i powiedziałem, że jego postępek nic nie jest w stanie zmienić. Dowódca batalionu dostał szału, ponieważ musiał w tej sprawie udać się do dowódcy pułku.

We wrześniu odbył się egzamin konkursowy, którego wynik był dla mnie korzystny i 15 lutego 1974 rozpocząłem służbę w zespole Z III a komendanta WAT generała Sylwestra Kaliskiego. Zespół zajmował się opracowaniami urządzeń laserowych do termosyntezy jądrowej.

W tym czasie moje wyobrażenie o promieniowaniu laserowym było takie jak większości społeczeństwa, stąd różne nieporozumienia. Laser pali i tnie wszystko, co spotka na swojej drodze - tyle wiedziałem. Dostałem miejsce do pracy w pobliżu strumienia promieniowania lasera He-Ne. Czerwony strumień światła o średnicy nici przechodził przez kilkadziesiąt metrów. Wszyscy pracownicy mieli nałożone białe fartuchy i wielokrotnie przecinali drogę strumienia. Przy tym żadnemu nic się nie stało. Budziło to moją wielką ciekawość. Postanowiłem sam sprawdzić - jak to jest z tym laserem?

Doczekałem się momentu, gdy zostałem sam w laboratorium. Wziąłem kartkę papieru i wstawiłem w strumień lasera - i nic! Włożyłem swój paznokieć i nic! Przeciąłem promień lasera dłonią - brak reakcji. I nagle doznałem olśnienia. Laser jest zbyt małej mocy, abym mógł odczuć ciepło na dłoni. Później konstruowałem lasery, które topiły cegłę. Taki był laser ciągłego działania typu YAG.

A oto inne zdarzenie, którego doświadczyłem w czasie pracy w zespole Z III a. Wiele razy słyszałem, jak koledzy w czasie pracy wychodzą do „elki". Byłem bardzo ciekawy, czym zajmuje się ta „elka"? Naraz trafiają się imieniny kogoś z zespołu. Zapraszają mnie do wyjścia do „elki". Okazuje się, że imieniny obchodzi Józef, a „elka" to oznaczenie budynku literą E.

W końcu 1974 roku generał Sylwester Kaliski został powołany na stanowisko ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Premier Piotr Jaroszewicz wyraził zgodę na utworzenie Instytutu Fizyki Plazmy i Laserowej Mi-

krosyntezy. W skład instytutu włączono 32 oficerów z zespołów badawczych Z III a i Z III b, na dość dziwnych prawach z punktu widzenia dotychczasowych struktur wojskowych.

W dniu 31 grudnia 1974 roku pojechaliśmy do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego celem złożenia życzeń imieninowych ministrowi - Sylwestrowi Kaliskiemu. Sekretarka ministra weszła z tacą, na której stały lampki koniaku. Wszyscy widzieliśmy, jak taca zadrżała w jej rękach i upada na podłogę. Sekretarka rozpłakała się i wyszła. Na to minister ze zdziwieniem stwierdził:

- Nie wiem dlaczego wszyscy w tym ministerstwie tak się mnie boją.

Na skutek wzajemnych uprzedzeń szefów zespołów Z III a i Z III b doszło do rozłamu w instytucie i nastąpił jego podział. Opowiedziałem się za szefem zespołu Z III a i wróciłem w grupie sześciu oficerów, dzięki pomocy Brunona, z powrotem do WAT-u.

Powstał Instytut Elektroniki Medycznej i Termowizji. Zostałem wyznaczony na kierownika laboratorium i w związku z tym prowadziłem zajęcia ze słuchaczami Wydziału Elektroniki. Był to okres, kiedy pułkownik Kadafi z Libii przysłał nam do kształcenia grupę swoich oficerów.

Utkwiło mi w pamięci zdarzenie, które miał mój przyjaciel, utalentowany wykładowca układów elektronicznych. Przychodzi Libijczyk na konsultację i prosi o wyjaśnienie zasad pracy przerzutnika. Kolega tłumaczy: tranzystor, rezystor, kondensator, prąd, napięcie, tu się włącza, a tu wyłącza. Kapujesz? Pada odpowiedź Libijczyka: Nie, nie kapujesz! Kolega tłumaczy spokojnie jeszcze raz: tranzystor, rezystor, kondensator i tak dalej. I znowu pyta Libijczyka: Kapujesz? Odpowiedź brzmi: Nie, nie kapujesz! Wykładowca zaprasza Araba, mówiąc mu: Przyjdź za tydzień. Libijczyk odpowiada: Dobrze.

W następnym tygodniu na konsultacjach sytuacja się powtarza. Tranzystor, rezystor, kondensator, prąd, napięcie, tu się włącza, a tu wyłącza. Kapujesz? - pyta wykładowca. Libijczyk zaś odpowiada: Nie, nie kapujesz! Ale dalej Libijczyk mówi tak: Ja za pierwszym razem wiedziałem jak to działa, ale nie wiem, co znaczy słowo „kapujesz".

W grudniu 1978 roku miałem okazję wyjechać na Zachód do firmy Karl Heinz RAMM w Berlinie Zachodnim po odbiór techniczny pewnego urządzenia. Byłem zaskoczony wszystkim, zaopatrzeniem sklepów, sposobami sprzedaży, prowadzeniem firm itd. Mówiono mi, że u nich jest kryzys, a w sklepach było dużo więcej niż w Warszawie, gdzie kryzysu nie było. Zaszokował mnie fakt, że szef produkcji firmy zamawiał krążek stali o wymiarach potrzebnych do konkretnej części maszyny i taki materiał dostawał w ciągu dwóch, trzech godzin na warsztat. Miałem przecież w pamięci zdarzenie z mojego instytutu, że gdy zamówiono 10 kilogramów tlenku talu, to należało odebrać cały wagon, bo taka była jednostka handlowa.

Inna ciekawostka - to obserwacja pracy robotnika tnącego duralową ręczną piłką do metalu płytę o grubości pięciu milimetrów. Wióry opadały na podstawioną gazetę, potem były zbierane i ponownie przetapiane. Z ciekawością obserwowałem także, jak na każde stanowisko robocze dostarczany był posiłek na koszt firmy, a przywożąca posiłek kobieta szczególnie dbała o higienę konsumpcji. Zapamiętałem także, jak właściciel firmy bardzo ostro potraktował tę pracownicę za zgubienie po drodze pięciu fenigów.

Kierownictwo firmy składało się z właściciela, konstruktora i szefa produkcji, który odpowiadał za wszystko: magazyn, kasę, terminy, dyscyplinę, porządek itp. Szef produkcji miał wszystko pod zamknięciem. Druciane koło o średnicy 12 centymetrów z kluczami nosił cały czas przypięte u pasa. Zamknięte było wszystko. Nakrętki, podkładki i inne normalia. Nie wytrzymałem i zapytałem - dlaczego tak jest? Pan Losch odpowiedział, że gdyby zostawił na chwilę te klucze, to nic by nie było w szafkach, szufladach i magazynkach.

Praca w naszym instytucie trwała 10-12 godzin na dobę. W tym czasie powstawało wiele pożytecznych modeli nowoczesnych urządzeń niezbędnych w medycynie i technice wojskowej, jednak ich produkcja na skalę przemysłową nie mogła się przebić przez ówczesne skostniałe bariery administracyjne. Opracowania nowoczesnych technologii dały możliwość opatentowania dziesięciu rozwiązań z zakresu optoelektroniki kwantowej.

W czasie trwania prohibicji w wojsku, w lodówce przeznaczonej do celów służbowych (między innymi przechowywania materiałów holograficznych) chłodziłem Ekstra Żytnią z okazji moich imienin. Poczęstowałem nią swoich przyjaciół, między innymi szefa instytutu oraz sekretarza partii instytutu. Po godzinie wezwał mnie szef i powiedział:

- Sekretarz przyszedł do mnie ze skargą na ciebie, że na imieninach podałeś wódkę. Muszę ci zabrać dodatek funkcyjny.

Powiedziałem to moim kolegom. Wiadomość ta lotem błyskawicy obiegła cały instytut. Inny kolega, który nie wiedział, że skarżypytą był sekretarz, z którym on pracował w jednym pokoju, przyszedł do niego oburzony tą wiadomością i zaczął komentarz: Jakiś ch...j, sk...syn poszedł do szefa i doniósł na Antka. No i szef musiał mu zabrać dodatek funkcyjny. Więcej w tej sprawie nie mam nic do dodania.

W 1990 roku zostałem wyznaczony na stanowisko szefa Wydziału Głównego Energetyka WAT. Stanowisko to wymagało innych cech osobowych, niż nabyte poprzednio. Musiałem nauczyć się administrowania zasobami ludzkimi i energią elektryczną w warunkach dużych odbiorów i nowych warunków gospodarczych kraju. Stanęło przede mną wyzwanie przekonania dużej ilości ludzi (około 2300 osób) do nowych warunków ekonomicznych kraju.

Musiałem uzupełnić wiedzę w tym zakresie i zdać egzaminy na uprawnienia z zakresu elektroenergetyki przed komisją wojewody war-

szawskiego. W tym czasie rozpoczęto likwidację wielu etatów w wojsku i zostałem zmuszony do pełnienia jednocześnie innej funkcji - metrologa WAT. W 1994 roku zostałem wyznaczony na stanowisko zastępcy szefa Oddziału Logistyki WAT, a następna reorganizacja w wojsku skłoniła mnie, po trzydziestu pięciu latach służby, do przejścia w 1995 roku na emeryturę.

## Pod kapeluszem

Zauważyłem, że zdobyta w warunkach wojskowych wiedza teoretyczna i posiadane doświadczenie może mieć swoją wymierną wartość finansową. Zacząłem poszukiwać swojego miejsca w środowisku cywilnym, na trudnym już rynku pracy, po przemianach społecznych i gospodarczych w kraju. Znalazłem ogłoszenie prasowe firmy Apator z Torunia. Zostałem zaproszony na rozmowę kwalifikacyjną, którą prowadził ówczesny dyrektor techniczny Apatora.

Początkowo w czasie rozmowy były poruszane tematy ogólne, ze sprawdzaniem szczegółowym mojej wiedzy technicznej, na przykład: podaj prawo Ohma, ile wynosi pierwiastek kwadratowy z liczby dwa? Doszliśmy do tematu znajomości języków obcych i tu moje miłe zaskoczenie. Nie interesowała ich znajomość języków zachodnich, ale języka rosyjskiego. Tu czułem, że jestem dobry. Później dyrektor przypomniał sobie, że korzystał z moich patentów w czasie, gdy pracował jako konstruktor w Instytucie Elektrotechniki.

Doszło do uzgodnienia warunków pracy i mojego wynagrodzenia. Byłem zadowolony z propozycji, ponieważ zaproponowano mi pensję dwukrotnie wyższą niż miałem dotychczas w wojsku. Ponadto samochód służbowy, telefon, faks i pracę w domu, ale z możliwością wyjazdów do Rosji oraz w centralne rejony Polski.

Na zakończenie rozmowy dyrektor powiedział, że umowa będzie podpisana ze mną w ciągu dwóch tygodni. Czas wolno płynął, a umowy do podpisania nie dostawałem. Zacząłem się niepokoić, myśląc o przyczynie opóźnienia. Rozmowa telefoniczna z Apatorem-Toruń uspokoiła mnie. Byłem uspokojony i przekonany, że to wina poczty. No i nareszcie przyszedł długo oczekiwany list z Torunia! Zaś jego treść brzmiała: Zawiadamiamy, że wiedza, doświadczenie i kwalifikacje o.k., ale stanowisko powierzyliśmy innej osobie. Dziękujemy.

Zacząłem dalsze poszukiwania. Okazało się, że mam wiedzę i doświadczenie, ale dla niektórych jestem już za stary, a dla innych brakuje mi znajomości języków zachodnich. Z tego zrodził się wniosek, że najlepiej by było, gdybym miał wiedzę sześćdziesięciolatka, a urodę (w tym długie no-

gi) oraz inne cechy fizyczne osiemnastoletniej panienki. Byłem już prawie całkowicie zrezygnowany i nie wierzyłem, że znajdę odpowiednią pracę.

Na zaproszenie mojego znajomego, który zajmował się produkcją elementów do wyposażania techniki światłowodowej, postanowiłem pojechać do Paryża. Tam zapoznałem się z nowymi technologiami. Zobaczyłem inny świat, dziwne dla mnie miasto, inną mentalność ludzi, dużą improwizację techniczną. Można pomyśleć, że prawie to nie powinno nigdy poprawnie działać, a jednak ten kraj miał wspaniałe osiągnięcia techniczne: elektronika, światłowody, samochody, rakiety, samoloty, łodzie, okręty itd. W Polsce jeszcze w tym czasie nie było rynku zbytu na takie produkty. Współpraca nie mogła się więc rozpocząć.

Skąd się brał sukces Francuzów? A oto jaka jest, moim zdaniem, odpowiedź: improwizacja na etapie projektu i konsekwentna realizacja pomysłu. Z Paryża wróciłem z nowym spojrzeniem na otaczającą mnie rzeczywistość.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia nastał burzliwy rozwój telekomunikacji (komputery, światłowody, telefonia komórkowa, nowe technologie transmisji sygnału, kodowanie). Zauważyłem, że mogę w tej dziedzinie znaleźć swoje miejsce pracy w środowisku cywilnym, pod warunkiem szybkiego zdania egzaminów na uprawnienia budowlane w budownictwie specjalistycznym (telekomunikacyjnym).

Do takich egzaminów przystąpiłem w 1997 roku i w wyniku pozytywnego sprawdzenia mojej wiedzy przez komisję państwową Główny Inspektor Telekomunikacyjny i Pocztowy nadał mi uprawnienia budowlane bez ograniczeń w budownictwie telekomunikacji przewodowej. Ten dokument pozwolił mi rozpocząć nowe życie zawodowe w dziedzinie telekomunikacji, a dokładnie w budownictwie telekomunikacyjnym.

Nadzorowałem budowę segmentów Krajowego Systemu Łączności, budowy linii światłowodowych o znaczeniu obronnym, resortowym, dla metra i Telekomunikacji Polskiej S.A. (TPSA). We wrześniu 1998 roku miałem możliwość pobytu nad Morzem Śródziemnym w Cannes, Monaco i w innych miastach tego regionu. Uświadomiłem sobie, że to, co teoretycznie przedstawiali nasi wykładowcy w OSŁ i na WAT, stało się rzeczywistością. Będąc na plaży w Cannes mogłem rozmawiać przez telefon komórkowy z moim szefem, który jechał samochodem drogą Łódź–Warszawa.

Był to dla mnie szok techniczny. Szczegóły tego, co mówił porucznik Wieczorek z Oficerskiej Szkoły Łączności przestały obowiązywać, zaś zasady pozostały nienaruszone. Burzliwy rozwój technologii otworzył nowe, poprzednio nieznane, perspektywy komunikowania się ludzi i urządzeń.

W 1999 roku francusko-polska spółka zaproponowała mi objęcie stanowiska głównego specjalisty ds. technicznych. Moja praca polegała na projektowaniu i budowie obiektów nadawczych radia i telewizji. Cechy, które wykształciły się w mojej osobowości podczas służby wojskowej, stały

się podstawą mojego zadowolenia w pracy cywilnej. Według mojego projektu i od podstaw budowane przeze mnie pracują do dziś radiostacje UKF-FM w Gdyni, Jarosławiu, Zielonej Górze i w Łodzi. A ostatniego słowa w zawodzie jeszcze nie powiedziałem.

Cóż można rzec na zakończenie moich wspomnień. Chyba tylko to, że w moim życiu zawodowym udało mi się przejść długą i ciekawą drogę. Od radioamatora w dzieciństwie do prawdziwego profesjonalisty w swoim fachu w wieku dojrzałym.

*Marian Kruszyński*

# Ciekawe czasy

Szkoła oficerska i pierwsze dziesięć lat egzystencji to dla nas, oficerów R-63, okres umocnienia się w środowisku wojskowym i „być albo nie być" w przyszłości. Sytuacja rodzinna, losowa i własny wybór sprawiły, że wielu kolegów osiadło na stałe w garnizonie, miasteczku, czy w metropolii. Znaczna liczba zdolnych i twórczo niespokojnych postanowiła zdobyć wyższe wykształcenie i zająć wysokie szczeble drabiny wojskowej. Droga prowadziła przez Wojskową Akademię Techniczną, Akademię Sztabu Generalnego WP oraz w szerokim zakresie uczelnie cywilne - uniwersytety, szkoły wyższe oraz inne.

Nasza generacja w większości osiągnęła spełnienie marzeń swojego rodowego środowiska społecznego już w chwili otrzymania gwiazdek oficerskich. Można chyba powiedzieć, że ziściliśmy marzenia naszych ojców, dziadków i pradziadków. Część z nas jednak postanowiła edukować się dalej.

Drogę przez mękę w szkole generałów, czyli ASG WP, przeszli między innymi: Andrzej Bischoff, Marian Szklarek, Jerzy Malinowski, Karol Kociałkowski, Jerzy Mazurkiewicz, Marian Kruszyński, Antoni Korepta, Zbigniew Burniewicz i Józef Jóźwik. Ale generałem został na początku lat dziewięćdziesiątych ten z cenzusem uczelni hierarchicznie klasyfikowanej w kolejności jako zawsze druga, czyli WAT - Witold Cieślewski.

W moich wspomnieniach znajdzie odbicie żywot w środowisku Akademii Sztabu Generalnego WP głównie dwóch „chudziaczków": Jurka Mazurkiewicza i mój. Może nasza rola w całej historii nie jest specjalnie ciekawa w konfrontacji z otoczeniem i tłem środowiska, ale ciekawe były czasy, w których żyliśmy. Te czasy to ostatnie trzydziestolecie wieku dwudziestego. Znalazły się w nich wydarzenia, które odmieniły współczesną historię, a w tym i nasze życie. Do tych najważniejszych wydarzeń zaliczyć należy: 1971 - zakup licencji Fiata na produkcję „malucha"; 1978 - wybór Ka-

rola Wojtyły na papieża; 1980 - powstanie „Solidarności"; 1981 - wprowadzenie stanu wojennego; 1989 - „Okrągły stół", zakończony kontraktem politycznym w sprawie wyborów do sejmu; 1991 - wyjście wojsk radzieckich z Polski; 1997 - uchwalenie konstytucji RP; 1999 - przyjęcie Polski do NATO.

Na początku tego okresu ukończyliśmy Akademię Sztabu Generalnego WP i otrzymaliśmy posady nauczycieli akademickich. Było to w słynnej dekadzie lat siedemdziesiątych, rządów w Polsce z Edwardem Gierkiem na czele. Dla przypomnienia młodszym czytelnikom należy powiedzieć, że w tych latach w kraju zarysowało się przesilenie ustroju demokracji ludowej, czyli realnego socjalizmu lub, jak niektórzy mówili, państwa komunistycznego.

Podstawowym dogmatem tego systemu była kierownicza rola partii - „jedynej słusznej". Dla wielu naszych przywódców elit sprawujących władzę świat zaczynał się i kończył w Moskwie. Związek Radziecki był dla nas „wielkim bratem". Nie należy jednak tego pojęcia mylić ze współczesnym telewizyjnym show „Big Brother", chociaż wiele podobnych skojarzeń można znaleźć. Z kolei w tamtych czasach zrodził się i umocnił silny ruch związkowy ludzi pracy „Solidarność". Konsekwencją tych zjawisk był stan wojenny w Polsce oraz upadek systemu komunistycznego. Wreszcie z początkiem lat dziewięćdziesiątych - ostatniej dekady dwudziestego wieku - zapanowały u nas tak bardzo oczekiwane rządy demokracji i wkroczył, długo oczekiwany przez niektórych, system kapitalistyczny.

Miniony system polityczny, z jednej strony jest potępiany i wyśmiewany za brak swobód obywatelskich, niedostatek materialny, izolacjonizm międzynarodowy i inne drastyczne ograniczenia. Z drugiej zaś strony, po dziesięcioletnim doświadczeniu demokracji i kapitalizmu, okres Polski Ludowej ma coraz lepsze skojarzenia w pamięci coraz większej rzeszy ludzi. Między innymi przez to, iż była duża dostępność pracy, większa opieka socjalna i stabilność jutra. Ludzie żyli bliżej siebie i nie zamykali się za antywłamaniowymi drzwiami. Odnosimy wrażenie, że wtedy było jakby więcej czasu, aniżeli dzisiaj. A może to i sprawa wieku, że starszym czas już płynie szybciej.

Dzisiaj zadajemy sobie pytanie: jak kiedyś historia oceni i zweryfikuje zmiany po okresie PRL? Jedno jest pewne, jest lepiej, aniżeli było. Jednak nie tego oczekiwaliśmy. Coraz częściej słyszy się opinie, że ta nasza demokracja głównie polega na tym, że mówisz co chcesz, a robisz co ci każą. Kapitalizm zaś, to nie ten cudowny system rozwiniętych krajów zachodniej Europy i Ameryki Północnej, ale kapitalizm biedy, dużego bezrobocia i rozwarstwienia społecznego. Ale poczekajmy...

My, absolwenci akademii, nabieraliśmy drugiego oddechu życiowego, jako nauczyciele akademiccy w środowisku warszawskim. Przybycie tu i przesiedlenie naszych rodzin na stałe z małych miasteczek do wielkiego,

prawie dwumilionowego miasta było kuracją szokowo-wstrząsową. Zwłaszcza dla naszych żon i dzieci, jeszcze małolatów. Było to trudne doświadczenie życiowe, lecz konieczne, tak jak niekiedy operacja chirurgiczna dla organizmu, aby funkcjonował lepiej.

Wchodziliśmy w to nowe środowisko na zasadzie „rób to co inni i ciesz się z każdego przeżytego dnia". W końcu po pewnym czasie zaczęliśmy na dobre udawać starych warszawiaków. Pod wieloma względami, jak zachowania, kultury osobistej i wreszcie statusu społecznego zaczęliśmy przewyższać innych, takich co to do nas wcześniej mawiali: „my, warszawiacy". Jeżeli w wielu sprawach byliśmy nawet snobami, to niewątpliwie był to snobizm pozytywny. Zawiązywaliśmy nowe znajomości, przyjaźnie i układy towarzyskie, głównie w kręgach sąsiedzkich, pracy i zamieszkania.

Największym życiowym problemem w nowym środowisku był brak mieszkania, gdyż okres czekania na nie wynosił minimum trzy lata. Mieszkanie, praca i szkoła dla dzieci to nasz pierwszy zasadniczy cel. Kiedy wreszcie po paru latach osiągnęliśmy ten cel, to się okazało, że problemem głównym i dalej nie rozwiązanym pozostaje nasza praca i dalsza edukacja. Czyżby nastąpiło przejęzyczenie? Nic podobnego. To, że zdobyliśmy dyplom wyższej uczelni i nominację nauczycielską, nie oznaczało zakończenia edukacji. Trzeba było rozpocząć i skończyć podyplomowe studium pedagogizacji, następnie zdobyć doktorat, wreszcie spokojnie i ustawicznie potwierdzać kwalifikacje pedagoga oraz pracownika naukowego. Tutaj przychodzi mi na myśl pewna maksyma filozoficzna: „trzeba mieć cierpliwość do życia, ponieważ jest wieczne". Czy jest ono wieczne, może na ziemi nie, jednak wiecznie trzeba tutaj pracować i uczyć się.

Weszliśmy w nowe środowisko pracy. Tutaj zaczęła się prawdziwa walka o byt: kto lepszy, szybszy, mądrzejszy. Od razu zderzyliśmy się z nową rzeczywistością. My, to znaczy wszyscy młodzi, początkujący nauczyciele akademiccy i stara kadra w katedrach naszej uczelni. Chcieliśmy uczciwie realizować się w pracy i pragnęliśmy sukcesów. W naszych starszych kolegach ogień twórczy już się wypalił. Nie robili doktoratów, nie czytali najnowszej literatury naukowej, nie wychodzili poza stereotyp opracowań metodycznych zajęć przedmiotowych i oklepanych przykładów z historii wojny i nauki radzieckiej. Większość „starych" wykładowców dudniło jak pusta beczka. Niemniej we wszystkich wystąpieniach publicznych, wygłaszanych opiniach dotyczących merytorycznej wiedzy poszczególnych dziedzin nauki wojskowej, a także stricte metodyki prowadzenia zajęć, liczyło się głównie „kto to mówi", a nie co mówi. Mówiąc prozaicznie, stary miał zawsze rację, a młody nie powinien wychodzić przed orkiestrę.

Nasze działania i praca były realizowane w warunkach odpowiedzialności i stresu. Wygłaszane przez nas recenzje, sądy i opinie, a także prowadzone przez przełożonych hospitacje naszej dydaktyki, były oceniane

w istotnej zależności od czynników subiektywnych. Oceny naszych starań w dużej mierze zależały od humoru, poglądów osobistych, posiadanych praw, mądrości przełożonych oraz wzajemnych sympatii lub animozji. Za analogiczne działanie i postępy jedni byli gratyfikowani, inni zaś karani. Zawsze podkreślano, że oceny są sprawiedliwe.

Jestem całkowicie przekonany, że stosowane kryteria ówczesnych ocen były szlachetne i zarazem fałszywe. Zastanawiam się refleksyjnie - czy dzisiaj jest inaczej? Czy istnieją już tylko obiektywne oceny rzeczywistości? Chyba nie i jeszcze długo nie będą.

Z analizy merytorycznej naszej pracy na uwagę zasługują niektóre wątki dydaktyki, podkreślające specyfikę atmosfery tamtych lat. W akademii historycznie po raz pierwszy studiowali oficerowie wojsk radzieckich, czeskich i węgierskich. Byli oni słuchaczami grup ogólnowojskowych i specjalistycznych rodzajów wojsk. Ich obecność wywierała przemożny wpływ na postawy i zachowanie się nas, nauczycieli, na zajęciach i w bezpośrednim obcowaniu z nimi. Nie można było wspierać wygłaszanej teorii przykładami z życia, które dwuznacznie charakteryzowały Rosjan, armię radziecką lub innych. Aluzje lub dowcipy o zabarwieniu politycznym, ale negatywnie odbierane, zwłaszcza przez Rosjan, całkowicie nas dyskryminowały w ich oczach. Sposób prowadzenia zajęć dydaktycznych przez nas, atmosfera i wyrażane poglądy były opisywane w relacjach sprawozdawczych studentów wyżej wymienionych armii zagranicznych dla ich attaché.

Przypadki naruszania „właściwej i jedynie słusznej postawy" były rozstrzygane w kategoriach dyscyplinarnych. Każdy z nas mocno się zastanawiał, co powiedzieć, aby nie wzbudzić nieoczekiwanej interpretacji problemu.

Taka zachowawcza postawa nie obligowała jedynie nauczycieli akademickich. Na baczności musieli się również mieć i nasi polscy studenci. Udowodnionym przykładem jest zdarzenie w czasie, kiedy przekazano nam wiadomość o śmierci pierwszego sekretarza partii komunistycznej Związku Radzieckiego - Leonida Breżniewa. Nasz słuchacz ostatniego roku studiów powiedział do Rosjanina: „Nareszcie wasz Lońka trzasnął w kalendarz!". I co się stało? Nic. Oprócz tego, że Polaka relegowano z uczelni. Wrócił na studia dopiero po roku, dokończył studia i uzyskał dyplom.

Podobne wydarzenia w zachodnich krajach Europy czy Ameryki wywoływały pusty śmiech. Tam każdy prywatnie mógł wyrażać swoje zdanie, a nawet krytyczne osądy panujących dostojników. Nie ponosił kary za słowne wyrażanie odczuć niezadowolenia czy sympatii do innych ludzi. W tamtym czasie, dość często, powtarzany był u nas słynny rosyjski dowcip o denuncjatorze, który po wspólnej libacji z kolegami wyszedł nad ranem pierwszy i zdradził pozostałych - „Iwan Iwanowicz nie czekał, aż przestanie padać deszcz ...".

Nasza praca dydaktyczna miała jeszcze i inne ciekawe zabarwienia. Dostosowując się do wysokiego poziomu studiów w uczelni musieliśmy czasem przymykać oczy w czasie zajęć i uprawiać tzw. dydaktykę naiwną. Dotyczyło to edukacji słuchaczy zagranicznych, szczególnie Węgrów. Mieli oni ogromne trudności z opanowaniem języka polskiego, co stwarzało komiczne sytuacje na zajęciach. W niektórych sytuacjach nauczyciel, zadając pytanie czy zagadnienie do zreferowania, musiał sam odpowiedzieć i ... zaliczyć odpowiedź słuchaczowi. Nie było to nagminne, ale było. Były jeszcze inne tragikomiczne sytuacje, ale z dystansu czasu i powagi instytucji nie godzi się ich powtarzać.

W działaniu i swojej pracy, pomimo trudności i przeróżnych zaskakujących momentów, nauczyliśmy się wychodzenia z zawiłych meandrów w myśl staropolskiego przykazania mądrości ludowej: bierz kiedy dają, tańcz kiedy grają, uciekaj kiedy gonią, klękaj kiedy dzwonią.

*Jan Bąk*

# W KRAJU I ZA GRANICĄ

Pragnienie służby poza granicami kraju było jednym z dominujących, chociaż często skrywanych, marzeń oficerów w jednostkach podlegających bezpośrednio Zarządowi II Sztabu Generalnego WP. Przełożeni nie ukrywali, że było to szczególne wyróżnienie, jakim oficer mógł być nagrodzony. Jeżeli dołożymy do tego pełną tajemniczości politykę kadrową prowadzoną przez oddział kadr tegoż zarządu wobec podległych jednostek, pole do snucia marzeń stawało się nieogarnione. Jeden ze starszych oficerów - już później, kiedy byłem pracownikiem zarządu - ciekawie scharakteryzował na forum publicznym tę politykę, nazywając ją „zarzucaniem na szerokie wody przynęty przez wędkarza i czekaniem, kto też tam się załapie". Ale zwykła rybka - kontynuował ów oficer - nie miała szans, a tylko silny osobnik (czyt. ze znakomitym wsparciem!), który zdecydowanie mógł odstraszyć od przynęty inne, pomniejsze rybki.

## Służba w ojczyźnie

Minęło prawie dziesięć lat mojej służby, najpierw w 2 Ośrodku Rozpoznania Radioelektronicznego w Wałczu, a następnie w Przasnyszu. W tym większość już w 20 Ośrodku Szkolenia Specjalistów Radioelektroniki, który powołano w celu szkolenia żołnierzy służby zasadniczej, a także przeszkalania młodszej kadry zawodowej dla jednostek rozpoznania radioelektronicznego WP. Do tzw. szkółki przeszedłem z 2 ośrodka na stanowisko dowódcy 2 kompanii szkolnej. Stało się to po niecałym roku służby. Dowódcą 1 kompanii został Jurek Malinowski. Nie były to nawet żadne „łamańce", a pełne etaty majorowskie. Ten miły skądinąd fakt miał w karierze oficerskiej, jak się później okazało, dwa oblicza. Przede wszystkim

przez kilka kolejnych lat uniemożliwiał mi podjęcie dalszych studiów. Na moje raporty w tej sprawie otrzymywałem odpowiedzi, że spokojnie mogę pracować, przecież do stopnia majora awansuję bez problemów - „wiecie, rozumiecie". Wynikało to m.in. z faktu, iż moi przełożeni w tym czasie nie mieli za sobą wyższych uczelni.

Okres ten wspominam jednak bardzo ciepło. Był to przecież czas pełnej osobistej wolności i młodości. Niezatarte wspomnienie z tamtych lat związane jest z naszym wspólnym kolegą Józkiem Jóźwikiem, który był nie tylko nadzwyczaj pracowitym i solidnym oficerem, ale także zacnym przyjacielem. Pamiętam, kiedy dostawał od przełożonych dodatkowe prace - bo zawsze dobrze zrobi - ogarniała go szewska pasja, którą po przyjacielsku pomagałem mu rozładowywać.

To dziesięciolecie było chyba najważniejszym okresem mojego życia rodzinnego i zawodowego. W Przasnyszu poznałem i pokochałem Urszulę Marię Joannę z domu Szczepańską. Była nauczycielką matematyki. Jej rodzina, znana i szanowana w mieście, miała jeszcze przedwojenne korzenie profesorsko-pedagogiczne. Wchodząc do tej rodziny uważałem, że nobilituję swoje oficerskie gwiazdki. Rzeczywiście nauczyłem się wiele i obdarzono mnie miłością. Ula wkrótce urodziła mi wspaniałego synka Pawła. Niestety w dwa lata później dopadła nas straszliwa tragedia. Synek umarł, w ciągu jednej doby zostaliśmy sami. Na wirusowe zapalenie mózgu nie było ratunku. Przytuliła nas moja ukochana teściowa, która do dzisiaj jest moją drugą matką. Katolicki pogrzeb był już istotniejszą, niż poprzednia, przeszkodą w drodze na studia i ku realizacji „marzenia".

Los jednak przynosił także i miłe niespodzianki. A to pod postacią licznych gestów przyjaźni ze strony szlachetnych ludzi, których udało mi się spotkać na swojej drodze życia. Niektórzy z nich to starsi oficerowie z Zarządu II, którzy wyciągnęli do mnie rękę. W ciągu pięciu lat ukończyłem Uniwersytet Gdański i w dość dobrym tempie rosłem hierarchicznie w jednostce.

Ostatnim rokiem służby w Przasnyszu był rok 1974. Będąc na stanowisku zastępcy dowódcy 20 OSSR (Ośrodka Szkolenia Specjalistów Rozpoznania) ds. szkolenia pełniłem przez rok obowiązki dowódcy tegoż ośrodka, którego w tym czasie przeszkalano pod Moskwą. Zastępcą dowódcy ds. politycznych był stary wyga w stopniu podpułkownika. Wypisywał on do dowódcy różnego rodzaju facecje, np.: „Arek przyjeżdżaj, bo B. się umacnia itp." Można było sobie wyobrazić co tamten myślał o mnie. I faktycznie po jego powrocie i wizycie u przełożonych w Warszawie musiałem następnie w kilku „decyzyjnych miejscach" Zarządu II rozsupływać zmyślenia i domniemania.

Do tych szlachetnych i bezinteresownie życzliwych mi osób zaliczam również Brunona Majewskiego, który nie pozostał obojętny wobec moich problemów, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz. Zaproponował mi wtedy

pracę w GISZ-u (Głównym Inspektoracie Szkolenia). Byłem nawet tam na rozmowie. Wysłałem raport i po miesiącu.... byłem już w Oddziale Studiów NATO w Zarządzie II.

Tam sprawdzono mnie, wyliczono mój iloraz inteligencji, zaliczyłem kilkanaście testów, wykonałem kilka samodzielnych opracowań na wskazane tematy i... zniknąłem na kilka miesięcy z pola widzenia kolegów - tak dogłębnie przełożeni zajęli mnie nową pracą. Nawet Brunon, kiedy mnie wreszcie odnalazł, kpił z tego w sposób umiarkowany. I tak, pozostawiając w Przasnyszu małżonkę z moim ukochanym drugim synkiem Maciejem, rozpocząłem marsz po ścieżynce do dyplomatycznej służby poza granicami kraju.

Pamiętam, kiedy po kilkunastu latach odwiedziłem kolegę w Przasnyszu z okazji jego imienin, spotkałem tam wielu byłych podwładnych. Jeden z nich siedząc za stołem wspominał dawne czasy. Opowiadał, iż kiedy widział mnie z daleka, na wszelki wypadek wolał „dać nura" za najbliższy budynek. Pytam dlaczego? Bo Pan zawsze się zatrzymywał i pytał co robisz, jakie masz problemy, a co u Twojej rodziny itp. No więc wolałem unikać tej „miłej rozmowy". Tak oto po latach człowiek dowiadywał się, że jego życzliwość wywoływała u podwładnego nieokreśloną bliżej obawę, iż może się „w tych zeznaniach poplątać" i skończy się to dla niego niezbyt miło!

Z początków mojej pracy w Zarządzie II szczególnie w pamięć zapadły mi następujące wydarzenia. Szef oddziału poprosił mnie, abym przygotował dziesięć kaw z pączkami na dole w kawiarni. Kiedy przygotowywałem stół i kawy, wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie z drwiną w oczach. Czułem się i bez tego pod psem. Ja, wielki dowódca, który w jednostce mógł wszystko, tutaj robi za lokaja. Chociaż rytuał się powtarzał i moich dziesięciu „kolegów pułkowników" kolejno w podobnej roli występowało, to okropnie długo trwało moje przełamywanie się do biurowych zasad w nowej pracy.

Ulokowano mnie w pokoju, w którym pracowało już dwóch zacnych pułkowników. Jeden z nich powrócił niedawno ze Stanów Zjednoczonych. A więc wiele opowiadał o amerykańskim społeczeństwie, jego stopie życiowej, a także różnych problemach ze sfery militarnej. To była dobra szkoła. Stopniowo ulegały zmianie moje poglądy na „agresywny imperializm" i „pokojową politykę ZSRR". Nie byłem wówczas w stanie wyobrazić sobie gospodarczej potęgi USA, którą pułkownik Bolesław G. dla dosadniejszego porównania z naszym chudym wtedy rynkiem określił, że „swobodnie może wyżywić miliard ludzi". Podobne przeobrażenia przechodziłem także w odniesieniu do wspólnot europejskich i NATO. Możliwość zgłębiania wiedzy w tych obszarach z wykorzystaniem zarządowych „prohibitów" stopniowo czyniło mnie innym człowiekiem.

Drugim takim wydarzeniem było moje spotkanie z szefem Zarządu II. Pewnego dnia wpadł do pokoju adiutant szefa:

- Panie kapitanie, szef prosi!

Pułkownicy spojrzeli na mnie, a ja niepewnie podążyłem w ślad za adiutantem. Generał Czesław Kiszczak czekał na mnie w drzwiach swojego gabinetu. Przywitał się ze mną, adiutant podał kawę. Usiadłem skromnie na wskazanej mi kanapie. Rozmowa trwała około pół godziny. Generał Kiszczak podkreślił moje dotychczasowe wyniki w służbie, powrócił do swojej wysokiej oceny, którą wypowiedział podczas kontroli ośrodka w Przasnyszu i poinformował mnie, iż nie są mi potrzebne „klamki możniejszych" w dalszej karierze, ważne, abym poświęcił się pracy, a on będzie o mnie pamiętał.

Wracałem do pokoju lekko oszołomiony. Pułkownicy z pokoju pracy powiadomili w międzyczasie szefa oddziału. Musiałem stanąć przed jego obliczem. Pułkownik P., bardzo zawsze oficjalny, pyta:

- Gdzie to obywatel kapitan bywał?
- U szefa zarządu - odpowiedziałem.
- Tak długo? Należało mnie powiadomić!
- Ale jak? - pytam.
- No, zadzwonić z dołu.

Nie mógł uwierzyć, że szef zarządu już na mnie czekał. W tej sytuacji byłem zmuszony w miarę dokładnie powtórzyć rozmowę. Przy okazji powróciłem do wizyty szefa Zarządu II w Przasnyszu i naszej stamtąd znajomości. W dużym chyba stopniu te moje „spotkania pierwszego stopnia" już na początku pracy w Zarządzie II pozytywnie wpłynęły na dalsze moje losy. Prawdopodobnie też efektem tych rozmów była m.in. moja pierwsza nagroda pieniężna. W krótkim czasie odebrałem ją w gabinecie MON wraz z trzema innymi oficerami z kierownictwa pionu informacyjnego. Takie były początki.

W dwa lata później zostałem wysłany na zagraniczne studia podyplomowe „służby zagranicznej". Przed wyjazdem szef Oddziału Kadr groźnie zapowiedział, iż pilnie uczyć się tam należy języka, bo po przyjeździe przystąpimy do egzaminu państwowego. W trakcie tych studiów miały miejsce różne - dzisiaj można powiedzieć humorystyczne sytuacje. Na przykład jeden z naszych kolegów wygłosił przemówienie w dniu 9 maja. Zasadniczą okazją spotkania było świętowanie zwycięstwa nad faszyzmem. A wiadomo, kto był jedynie prawdziwym zwycięzcą. Kolega, na którego wypadała kolejka „trzymania mowy", Maciek W., potraktował rzecz jako państwowe święto Czechosłowacji, mało akcentując „rolę gospodarza".

W efekcie już poczęstunek w drugiej części spotkania był chłodny. A nazajutrz wybuchła prawdziwa burza. Wraz z szefem polskiej grupy (ja byłem jego zastępcą) wezwano nas przed oblicze poważnych „naczalników". Zapytano: Czy na podstawie wczorajszego wystąpienia mają uważać, iż Polska występuje z Układu Warszawskiego? W efekcie do Moskwy galopem przybył szef Zarządu II Sztabu Generalnego WP z wyjaśnieniami i „zapewnieniami, że jeszcze zostajemy".

Po powrocie do Warszawy - co nastąpiło w czerwcu, a więc sprawa była świeża - odwracano się od nas, jak od zadżumionych. Cała grupa pisała swoje wielostronicowe oświadczenia i usprawiedliwienia. Stopniowo jakoś sprawa przycichła. A ponieważ wszyscy zgłosili się do egzaminu z języka rosyjskiego, odrzucono nasze prośby. Dopiero w następnym roku udało się przystąpić do tego egzaminu.

## W kraju faraonów

Czas płynął. Zmieniałem stanowiska służbowe, często podróżowałem z kierownictwem firmy poza granice kraju. Aż pewnego dnia wezwano mnie do ważnego gabinetu i oznajmiono, iż zostałem wyznaczony na attaché wojskowego w Kairze. Rozpoczął się okres przygotowań i oczekiwania na akredytację. Nie będę tego opisywał, bo była to żmudna i wyczerpująca praca. Obejmowała nie tylko teoretyczne przygotowanie mnie i mojej żony, ale również przygotowanie pełnego wyposażenia naszego przyszłego mieszkania, zwłaszcza kuchni, w tym zaś zabezpieczenia stołu bankietowego na ewentualne przyjęcia.

W Kairze wylądowaliśmy w środku nocy. Z pustyni buchnął na nas żar rozpalonego pieca chlebowego. Tego momentu - pomimo bytności później w podobnym klimacie - nie jestem w stanie zapomnieć. Lotnisko w Kairze zapamiętałem również z innych powodów. Często, zwłaszcza w godzinach nocnych, jeździliśmy tam z ambasadorem witać polskich oficjeli, którzy także bywali tam przelotem. Wtedy wracaliśmy do rezydencji ambasadora na drinka i dopiero rankiem do ambasady. Pamiętam, był to chyba marzec-kwiecień - okres wiatrów zwanych hamsinem. Byłem już niedaleko od lotniska, kiedy w chmurę wirującego piasku i pyłu wpadł dwusilnikowy samolot podchodzący do lądowania. W chwilę później runął na ziemię. Mam nadzieję, że do tej pory wyrosły już tam osłony z drzew palmowych.

Poza pracą i oficjalnymi przyjęciami były i momenty bardziej osobiste. Do nich należały wycieczki z polskiej ambasady do strefy bezcłowej w Port Saidzie. Były to wyprawy zajmujące co najmniej jeden dzień. Między Kairem a Suezem funkcjonowała już wtedy autostrada. Część drogi była więc bezpieczna, chociaż wiatr potrafił usypać z piasku w poprzek jezdni kilkunastocentymetrowe wydmy w ciągu kilku godzin. Były one bardzo niebezpieczne dla jadącego szybko samochodu osobowego. W oczach przesuwały się również szczyty wędrujących wydm na pustyni.

Ponury widok przedstawiały także rozlewiska morza na obszarach przed Port Saidem. Stojąca płytka woda i muliste błoto lśniło kilometrami jak czarne lustro skrzące się na licznych obrzeżach wyschniętą solą. Bliżej drogi na palach stały drewniane domki - szałasy, do których prowadziły

wydeptane ścieżki, a nawet szersze podjazdy. Mieszkali tam najbiedniejsi. Później, w różnych częściach Egiptu widywałem setki lepianek wybudowanych z gliny i błota, a nieopodal nich murowane domy jednorodzinne, chociaż już mocno zdewastowane. Dowiedziałem się, że były to pozostałości z wysiłków przebudowy rolnictwa egipskiego na wzór sowiecki. Egipski fellach wprowadzony przymusowo do tych osad opuścił je w momencie, kiedy Egipt wybrał prozachodnią orientację polityczną.

Wolny obszar celny nie różnił się specjalnie cenami towarów od cen kairskich. Polacy jednak potrafili zawsze wynaleźć coś dla siebie. Kiedy zobaczyłem potężne bele używanej odzieży, zrozumiałem skąd te modne futra i kreacje za bezcen. Powaga stanowiska nie pozwalała mi na targi w takim miejscu, a szkoda!

Szokujące zdarzenia można było obserwować podczas przekraczania granicy celnej. Widziałem, jak lokalna policja wymierzała na miejscu sprawiedliwość jakiemuś biedakowi, który chciał ukryć prawdopodobnie papierosy pod „galabijką". Lali go pałami dotąd, aż delikwent pozostawiając trefny towar uciekł pędem z miejsca przestępstwa.

Nasza pierwsza podróż na południe omal nie skończyła się katastrofą. Wraz z całą rodziną i kolegą z LOT-u wybraliśmy się samochodem w górę Egiptu. Nil, im dalej na południe, tym coraz smutniej wyglądał. Coraz mniej zieleni i upraw towarzyszyło jego brzegom. Miejscami pustynia docierała do brzegów rzeki bardzo blisko; bywało, iż na zachodnim brzegu na odległość 400–500 m, a czasem wschodni jego brzeg stanowiły pustynne skały. Nurt rzeki snuł się raczej sennie, ale miejscami rzeka nadal rozlewała swe wody szeroko i wtedy widać było, jaka masa wód spływa Nilem do Morza Śródziemnego.

Po drodze spotykaliśmy pracujących na roli ludzi. W 40-stopniowej spiekocie osiołek często napędzał koło wodne przenosząc życiodajną wodę do wyżej położonego kanału. Patrzyłem, jak dreptał w koło nie popędzany specjalnie przez siedzącego tam dzieciaka. Przeważnie jednak czyniły to pompy napędzane energią elektryczną. Napotkani ludzie spragnieni byli wody. Dziękowali serdecznie za poczęstunek i rzadko pozwalali na fotografowanie. Chociaż w mijanych wioskach widać było liczne meczety, często obok nich strzelały w niebo wieże kościołów koptyjskich chrześcijan.

Zwiedzając kolejne, tkwiące często głęboko w piaskach, świątynie faraonów, znaleźliśmy się w Luksorze i Karnaku. Spędziliśmy tam niezapomniane dni. Z uwagi na fakt, iż łatwo znaleźć opisy tych zabytków, wspomnę tylko, że najwięcej obaw miałem podczas przepraw przez Nil na zachodni brzeg. Stając na prowizorycznym promie główną moją troską był los służbowego samochodu, który dzięki beztrosce egipskich żeglarzy mógł śmiało zsunąć się z rachitycznego promu i zatonąć. A w jaki sposób mógłbym się z tego faktu rozliczyć przed naszą władzą?

Oczekując na prom pierwszy raz w życiu jadłem tam trzcinę cukrową. Częstowali nas mali chłopcy w podzięce za cukierki. Po drodze mijaliśmy

rozległe plantacje trzciny cukrowej. Zgromadzoną w sterty trzcinę podpalano, następnie osmalone i cieknące słodkim sokiem łodygi (już bez suchych liści) ładowano na wagoniki wąskotorowej kolejki i transportowano do zakładu przetwórczego. Droga usłana była odpadami cukrowej trzciny, a co dziwniejsze - także okoliczne stacje paliw zaścielone były nimi także. Z jednej z nich uciekałem po zatankowaniu paliwa obawiając się wybuchu ognia. Koła samochodu ślizgały się po tym podłożu silnie skropionym resztkami paliwa wyciekającego z pistoletów dystrybutorów, jak i przepełnionych baków większości tankujących tam pojazdów.

Odwiedziliśmy też Polską Misję Archeologiczną pracującą w tym czasie przy rekonstrukcji świątyni królowej Hatszepsut. Gdy patrzyłem na pracę tych naukowców, wydawało się, że czas zwalnia swój bieg! Grobowce faraonów w Dolinie Królów to bezcenne zabytki materialnej historii i kultury starożytnego Egiptu. Zwiedzane komory sarkofagowe wywołują niezatarte wrażenia. Malowidła ścienne i atmosfera tam panująca przywołują przed oczy minione tysiąclecia w historii ludzkości i czymś maleńkim czynią nasze współczesne sprawy i problemy. Samą zawartość grobu Tutanchamona dokładnie obejrzeliśmy później w Muzeum Kairskim.

Można dostać zawrotu głowy od liczby i piękna przedmiotów zgromadzonych w grobowcu młodego faraona. Przede wszystkim lśni złoto. Wywołuje nie tyko podziw, ale i chęć posiadania! Kute i cyzelowane w złocie przedmioty wywołują zdumienie swym bogactwem ornamentyki. Maskę grobową Tutanchamona wykonano z kutego złota (ok. 10 kg). Jedna z trzech trumien wykonana jest także z kutego złota i waży ponad 110 kg. Pozostałe dwie są okryte lub wyłożone złotą blachą. Wszystkie przedmioty i figurki złożone w grobowcu miały zapewnić opiekę bogów i służyć ożywionemu faraonowi w zaświatach.

Po stronie zachodniej Nilu stanęliśmy tuż u stóp dwóch kolosów. Chociaż mocno już nadwerężone są przez minione tysiąclecia, wywołują przecież głęboką zadumę nad kruchością ludzkiej istoty. Polecam wszystkim kolegom południe Egiptu!

W Karnaku, poza obowiązkową obecnością na spektaklu „światło i dźwięk", zaobserwowałem wykonaną z alabastru wielką żabę, która - jak mnie się wydawało - swoją aksamitną gładkość zawdzięczała raczej głaskaniu przez setki tysięcy turystek, co miało przynieść upragnioną brzemienność, aniżeli kunsztowi starożytnego rzeźbiarza.

Na tamie w Asuanie spędziliśmy niewiele czasu. Spiętrzone wody tzw. Jeziora Nasera o długości prawie 500 kilometrów otoczone były „nagą pustynią"! Za tamą widziałem bezkres wody i pustynne brzegi! A z drugiej strony, gdzieś tam na dole nieśmiało wypływał z turbin Nil. Jakiż to smutny był widok! Zwłaszcza że kilka kilometrów wcześniej widziałem wybudowaną przez Brytyjczyków tamę, która sprawiała wrażenie, jak gdyby była częścią tej przyrody. I chociaż poziom wody przed starą tamą był dość

wysoki, co tworzyło sympatycznie wyglądający zbiornik wodny, to wrażenie pozostawało. Zwiedziliśmy za to nową wyspę File, na którą przeniesiono świątynie Izydy i Hator.

Powrót do Kairu według posiadanej mapy omal nie skończył się dla nas tragicznie. Zdecydowaliśmy wracać drogą na północ, wzdłuż Morza Czerwonego. W świetle słońca wszystko było OK. Patrzyliśmy na szmaragdowe morze i wieże wydobywcze ropy naftowej. Wraz z ciemnościami z nieba runęła na nas powódź, droga się skończyła, chociaż mapa pokazywała co innego. Czytałem, że w Egipcie pada w ciągu roku tylko trzy dni. Że też musiało to trafić na mnie! Z gór płynęły potoki wody z ziemią i odłamkami skał, samochód momentami zanurzał się powyżej poziomu podłogi. Egipskie ciemności rozświetlały bijące w morze i góry pioruny, jakby miał to już być koniec świata! A myśmy brnęli stale na północ.

Po kilku godzinach huragan przeszedł. Ale wtedy już nic nie było widać. Na dodatek wysiadł całkowicie jeden z wcześniej uszkodzonych reflektorów w samochodzie. Nieustannie, czasem wysiadając i macając przed sobą drogę, kontynuowaliśmy nasze przemieszczanie przez rozlewiska, doły i wertepy. Po około 300 kilometrach tej morderczej jazdy zobaczyliśmy światła Suezu. W samochodzie zapanowała weselsza atmosfera. Wiedzieliśmy przynajmniej, gdzie w przybliżeniu jesteśmy. Powoli wydostaliśmy się na jezdnię. Strach było jednak jechać zbyt odważnie przez miasto. Na ulicach i obok nich stały podtopione samochody, niektóre podejrzanie pochylone. Wreszcie wydostaliśmy się na autostradę do Kairu. Na przedmieściach metropolii woda znacznie już opadła. Ostatkiem sił przebywaliśmy kolejne, głębokie kałuże, z nieruchomymi pośrodku autami. Przejedziemy, a może nie? I znów się udało. Mój peugeot był niepokonany.

W kilka dni później dowiedziałem się w gronie attaché wojskowych, że ulewa zniosła setki min z podnóża gór na plaże i na takie nowe pole minowe wjechali zachodni turyści swoim jeepem. Wszyscy zginęli.

Podróż, którą odbyliśmy, należała do jednej z ciekawszych wypraw w głąb Egiptu. A potem częściej zwiedzaliśmy rejony położone bliżej Kairu. Wielu kolegów, przebywając w krajach arabskich, spotkało się z pewnością z podobnymi sytuacjami. Na przykład, podczas zwiedzania najstarszych piramid w Sakkarze wielbłądnicy natarczywie oferowali przejażdżki na swoich dwugarbach. Kiedy nie mogłem się pozbyć jednego z nich, zrezygnowany zawołałem do swojej żony idącej z przyjaciółmi kilkanaście kroków przede mną: Kochanie zaczekaj, chcesz się przejechać? A Arab, jak echo, woła tuż za mną:

- Kochanie zaczekaj, chczesz się przejechać?

Podobnie, podczas zwiedzania wioski pod Kairem słynącej ze skór. Wchodzimy do wnętrza sklepu. Pierwsze pomieszczenie rozległe, zawalone towarami. Nieco dalej i nieco wyżej - kolejne już z lepszym asortymentem. Mówię do żony:

- Wychodzimy, tu nic nie ma.

Wtem z podwyższenia wydobywa się głos:

- Kolega, tu jest wszystko. Masz whisky?

Jak się okazało, była to znajomość języka polskiego z okresu pobytu Polskiej Jednostki Specjalnej w misji ONZ na Synaju. Innych wyuczonych wyrazów pozwolę sobie, z uwagi na brak w nich specjalnego smaku, nie przytaczać. Ale niekiedy było piekielnie wesoło ich wysłuchiwać!

Wspominam swoją pracę w ambasadzie w Kairze bardzo ciepło. W różnych polskich przedstawicielstwach poznałem wielu interesujących, wykształconych i wrażliwych ludzi. Z niektórymi przyjaźnimy się do dziś. Szczególnie wspominam specyficzny klimat tego kraju, a także szczególny smak nowego gatunku whisky. Niestety, już nigdy i nigdzie nie miała ona takiego smaku jak w Egipcie.

Oddalenie od Polski pozwoliło mi widzieć nasze polskie sprawy w zupełnie innym świetle niż z pozycji kraju. Była to druga połowa lat osiemdziesiątych i zbliżający się krach systemu realnego socjalizmu i obozu wschodniego stawał się coraz wyraźniejszy. Jako obcy patrzyłem też bardziej krytycznie na kraj mojego urzędowania. Pomoc amerykańska dla Egiptu (rocznie ok. 1,2 mld USD) za pokój w Camp David zawarty z Izraelem była widoczna nie tylko wysypanym wzdłuż dróg ziarnem pszenicy transportowanym z egipskich portów w głąb kraju przez potężne TIR-y. Tani chleb powodował ucieczkę ludności ze wsi. Nieopłacalna stawała się uprawa zbóż. Kurczyły się uprawne obszary wzdłuż Nilu. Do Kairu, według lokalnych źródeł, przybywało rocznie kilkaset tysięcy ludzi. Ale jednocześnie widziałem duże połacie zieleniejącej pustyni, (po drodze do Aleksandrii) zraszane nowoczesnymi systemami hydrologicznymi.

Z kolei amerykańska pomoc militarna (z tego samego tytułu - ok. 0,8 mld USD), oprócz dostaw sprzętu, była przyczyną licznych afer korupcyjnych z udziałem przedstawicieli klas politycznych i wojska. Okresowo informacje takie można było znaleźć w lokalnej prasie. I zawsze przychodziła nowa ekipa, a w krótkim czasie sytuacja się powtarzała. W efekcie przed egipskimi bazami wojskowymi przyrastały szeregi sprzętu radzieckiej produkcji, które poddawane były systematycznemu kanibalizmowi. Egipcjanie prosili mnie między innymi o części zamienne z Polski. Chcieli płacić tak zwaną twardą walutą. Odpowiedzi mojej centrali były jednoznaczne: „nie wasza sprawa - wiecie rozumiecie". W Polsce nie znalazł się na tyle odważny decydent, by ominąć sowieckie zakazy. Gdy tymczasem Czesi handlowali nie oglądając się na „wielkiego brata". A przemysł zbrojeniowy w Polsce czekał wtedy na takie zamówienia. Dziś mamy się cieszyć z samolotów bojowych byłej armii, byłego NRD!

Mam nadzieję, że uda mi się także napisać wspomnienia z misji OSGAP (Biuro Sekretarza Generalnego ONZ) w Afganistanie i Pakistanie oraz UNPROF (Ochronnych Siłach ONZ) w b. Jugosławii.

*Jerzy Mazurkiewicz*

# Po obu stronach katedry

## Studenckie czasy

Po zdanych egzaminach wstępnych Marian Kruszyński, Antek Korepta i ja staliśmy się słuchaczami Akademii Sztabu Generalnego WP w Rembertowie; trzyletniej akademii dowódczo-sztabowej drugiego stopnia, kształcącej oficerów na studiach dyplomowych i podyplomowych. Aby doskonalić swoje umiejętności fachowe, rozpoczęliśmy studia w grupie łączności i w tym profilu kształciliśmy się przez cały czas studiów.

Nasza grupa liczyła jedenastu oficerów, łącznościowców z wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej, w stopniach kapitanów i poruczników. Na starszego grupy wyznaczony został Marian Kruszyński, jako że przybył z najwyższego stanowiska - dowódcy batalionu. Miał przy tym spore doświadczenie życiowe, spokojny i zrównoważony charakter oraz sporą dozę dyplomacji. Było mu to przydatne w kontaktach z przełożonymi, gdyż jego funkcja sprawiała, iż często znajdował się „między młotem a kowadłem". Mimo że nie najwyższego wzrostu, tak zresztą jak i Napoleon, spisywał się niezwykle dzielnie i pełnił tę funkcję przez wszystkie lata. A trzeba przyznać, że nie było to łatwe, bo i warunki ciężkie, a nasze charaktery też nie anielskie.

Pięknie położone wśród zieleni obiekty akademii były przyjazne tam mieszkającym i studiującym. Najładniejszym z nich był blok czternasty. Olbrzymi, jednopiętrowy gmach w kształcie stylizowanego orła w locie, zbudowany dla Wyższej Szkoły Piechoty w 1931 roku, z pokojami także na poddaszu, lukarnami i dwoma wieżyczkami od frontu. Nasza grupa mieszkała przez całe trzy lata w pokojach dwu- i trzyosobowych właśnie na poddaszu. Zaś Marian, jako starszy grupy, zakwaterowany był sam w okrągłym pomieszczeniu wieżyczki. Mówiliśmy więc, że to kara za grzechy, które już popełnił i które w przyszłości popełni.

Tok naszego codziennego życia był dość monotonny. Od 7.00 do 7.30 śniadanie w kasynie. Od 8.00 do 13.30 zajęcia programowe. I broń Boże, aby ktoś się spóźnił. Punktualność to była święta rzecz. Jeśli ktoś spóźnił się na zajęcia, to zaliczał je u wykładowcy indywidualnie i „stawał na dywanik u szefa katedry". Przeto gdy zajęcia odbywały się w terenie, to ci oficerowie, którzy spóźnili się na odjeżdżające autobusy, taksówkami dojeżdżali w rejon odbywających się zajęć.

Między 13.30 a 14.00-14.30 prowadzone były codzienne konsultacje do zajęć na następny dzień. Potem zaś obiad, a po nim jakże relaksująca i regenerująca poobiednia drzemka, ponieważ już młodzieńcami nie byliśmy. Od 16.00 do 19.00 trwała w bloku wyszkolenia obowiązkowa nauka własna. Tam kreśliliśmy mapy i korzystaliśmy z literatury niejawnej. Między 19.00 a 20.00 dominowały dwa przedsięwzięcia - kolacja, a następnie oglądanie dziennika telewizyjnego.

Potem była znowu nauka, ale już na własnych śmieciach, czyli we własnych pokojach lub rozgrywki brydżowe. Jeśli trudno było zebrać czwórkę, to grało się w trójkę z „dziadkiem" lub w trzy-pięć-osiem. Po kilku roberkach braliśmy się znowu do nauki, która kończyła się przed lub sporo po północy.

Z brydżem i rysowaniem na mapach, które były charakterystyczne dla naszej akademii, wiązały się jej potoczne nazwy. Rembridż lub Rembrantów. Pierwsza nazwa była zbitką dwóch słów - Rembertów i brydż, co dawało efektowną nazwę kojarzącą się z Cambridge. Druga zaś - przywołaniem wspaniałego malarza niderlandzkiego Rembrandta van Rijn i naszego Rembertowa.

W przeciągu trzech lat kształcono nas z ponad pięćdziesięciu przedmiotów. Jednakże podstawę stanowiły: nauka i sztuka wojenna oraz szeroko rozumiane nauki społeczne, polityczne i ekonomiczne, w tym przede wszystkim filozofia i ekonomia.

Na pierwszym i drugim roku studiów przedmiotami wiodącymi z zakresu nauki i sztuki wojennej były: taktyka ogólna i taktyka wojsk łączności, zaś na trzecim sztuka operacyjna i taktyka rodzajów wojsk. Z tych dziedzin wiedzę zdobywało się w zasadzie samodzielnie. Polegało to na tym, że po niewielu wykładach i seminariach przystępowało się do samodzielnego rozwiązywania problemów w ćwiczeniach grupowych. Ale żeby było dziwnie, to owych problemów nie rozwiązywało się na zajęciach, lecz każdy z nas rozwiązywał je samodzielnie w trakcie przygotowywania się do zajęć. Zaś w trakcie ich trwania wyznaczeni przez wykładowcę słuchacze referowali swoje rozwiązania i uzasadniali je.

Trzeba obiektywnie przyznać, że zdecydowana większość wykładowców preferowała rozwiązania nieszablonowe, nie mieszczące się w normach i odbiegające od obowiązujących zasad. Szczególnie na drugim i trzecim roku. Taki bowiem był trend i wymagania stawiane przez ko-

mendę akademii wykładowcom i słuchaczom. Przede wszystkim przez jej znamienitego komendanta, generała broni Bolesława Chochę. Wybitnego teoretyka, autora wielu dzieł z zakresu sztuki wojennej i praktyka, bo uprzednio wieloletniego szefa Sztabu Generalnego WP.

Prowadziło to niekiedy i do wypaczeń, preferujących rozwiązania gorsze, a niekiedy mierne, nie mające wiele wspólnego z żelazną logiką i głęboką wiedzą. Można jednak uznać, iż „miało to ręce i nogi", gdyż nie ograniczało inwencji decydentów, rozwijało wyobraźnię i uczyło odwagi w podejmowaniu decyzji. To zaś różniło w zasadniczy sposób naszą uczelnię od uczelni radzieckich.

Komenda i wykładowcy mieli także świadomość, że istniały pewne zapisane w notatkach słuchaczy rozwiązania z lat ubiegłych, zwane przez słuchaczy „kościami". Leniwi korzystali z nich, lecz z tak przyjętą strategią nauczania w większości były mało użyteczne lub wystarczały tylko na zdobycie minimalnych ocen pozytywnych.

Olbrzymią naszą zmorą, szczególnie na pierwszym i drugim roku studiów, była praca na mapach. Na pierwszym roku pobierało się z magazynu map arkusze luzem. Potem sklejało się je, opisywało i wrysowywało sytuację podaną w założeniach oraz decyzje, oceny i propozycje wypracowywane w trakcie nauki własnej. Wymagało to zawsze dużo czasu i niezwykłej staranności wykonania. Na drugim roku otrzymywaliśmy już mapy sklejone, ale powierzchniowo dwa razy większe, a więc roboty także było wiele. Na trzecim zaś, już nawet z naniesioną sytuacją wyjściową. Jednakże były one już tak duże, że rozwijało się je na parkiecie, chodziło po nich w skarpetkach i rysowało na kolanach.

Wszystkie miały różne klauzule tajności i trzeba było obchodzić się z nimi jak z dokumentami niejawnymi. Z tym oczywiście wiązały się zagrożenia, kłopoty i niekiedy dziwne zdarzenia. Było kilka przypadków, że w czasie zajęć w polu, na tak zwanych „górkach", silny wiatr wyrwał słuchaczowi rozwiniętą mapę i poniósł ją w dal. W takiej sytuacji wszystkie grupy szkoleniowe będące w tym rejonie rozpoczynały przeczesywanie terenu, aż do znalezienia mapy. Nieraz trwało to kilka godzin i oznaczało przebycie nawet kilkunastu kilometrów.

Zdarzały się także zaginięcia map i tajnych dokumentów. Trafiały się one najczęściej w grupach ogólnowojskowych i wynikały z zawiści i złośliwości kolegów, a także niedbałości samych użytkowników. Był to jednak zawsze wypadek nadzwyczajny, o niemiłych reperkusjach dla winowajcy. Zdarzyło się kiedyś, że wykładowca - kierownik pracy dyplomowej, w ferworze wściekłości na nieudolność słuchacza, wyrzucił jego mapę za okno. Ta zaś spadła na rosnące pod oknami drzewo. A że obaj byli wielce uparci, to przeleżała tam trzy dni. Była jednak nieustannie pilnowana przez jednego i drugiego. Który z nich pierwszy się złamał i ściągnął ją z drzewa, trudno już dzisiaj powiedzieć.

W akademii wiele ćwiczyliśmy w terenie. Sporo zajęć odbywało się w pobliżu Warszawy, na tak żartobliwie zwanym kołbielsko-mińskim (nie mylić z Mińskiem na Białorusi) kierunku operacyjno-strategicznym. Ponadto prowadzono wiele ćwiczeń dowódczo-sztabowych na terenie całej Polski, a także podróży wojskowo-historycznych i wojskowo-geograficznych. Były to przedsięwzięcia typowe i charakterystyczne tylko dla tej akademii. Dzięki nim poznałem nie tylko pola bitew i ich uwarunkowania taktyczno-operacyjne, ale przede wszystkim najpiękniejsze zakątki polskiej ziemi, historię regionów i małych ojczyzn, a także dziedzictwo naszej kultury, tak sakralnej, jak i świeckiej.

Formą tych przedsięwzięć były obozy letnie i zimowe, organizowane w Bieszczadach, Kotlinie Kłodzkiej, na Mazurach i na Pomorzu Zachodnim. Ćwiczenia pociągowe (z wykorzystaniem pociągu) na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej i Ziemi Lubuskiej oraz ćwiczenia szkieletowe w różnych rejonach Polski. To bogactwo wrażeń i estetyczno-kulturowych doznań wykorzystywałem później do pokazania mojej rodzinie piękna polskiej ziemi. Przez wiele późniejszych lat jeździliśmy bowiem w te, poznane wówczas i ukochane przeze mnie, krainy. Oddawałem więc swojej rodzinie to, co otrzymałem w darze od tej uczelni.

Był to okres, który nie tylko sprzyjał kształceniu, ale także charakteryzował się znaczącym wzrostem naszego dobrobytu. Grupa łączności była zgranym zespołem, chociaż już na trzecim roku uwidaczniał się przesyt zbyt długiego, wspólnego obcowania. Ale w tak hermetycznej społeczności bywa to normalne. Byliśmy przodującą grupą kształcenia. Było to możliwe dzięki temu, że potrafiliśmy dobrze ze sobą współpracować, bez zbytniego egoizmu i z poszanowaniem interesu naszej grupy jako całości. Z satysfakcją muszę przyznać, że była w tym duża zasługa naszego kolegi z rocznika R-63 - Mariana Kruszyńskiego.

Jednakże reżim kształcenia był taki, że szkolenie trwało sześć dni w tygodniu. Tylko niedziela pozostawała wolna. Do domu większość słuchaczy, mieszkających w znacznym oddaleniu od Warszawy, wyjeżdżała raz w miesiącu na trzy dni. Złośliwi żartownisie mówili - aby policzyć dzieci i podmuchać w ognisko domowe.

Zaś w Rembertowie była „górka". Tak potocznie nazywaliśmy pierwsze piętro kasyna, na którym była doskonała restauracja z dancingiem. Dancing odbywał się regularnie w każdą środę, sobotę i niedzielę. „Górka" z reguły pełna była słuchaczy i wykładowców, gdyż w tym okresie była stosunkowo tania, jak na oficerską kieszeń, a przy tym serwująca dobre dania i napitki. To przyciągało także płeć piękną. A więc było na kogo popatrzeć i z kim zatańczyć. Jako ciekawostkę muszę dodać, że na „górce" była także „Degolówka", sala, w której w latach dwudziestych stołował się, wówczas kapitan, a potem wódz Francuzów, Charles de Gaulle. W owym czasie był wykładowcą w Wyższej Szkole Wojennej w Rembertowie.

Tam też odbywały się towarzyskie spotkania wykładowców i słuchaczy. Wielu z nich łączyło jedno. Lubili wypić i pobawić się. Widziało się stoliki okupowane wspólnie przez słuchaczy i wykładowców. Przy tym następowało prawie pełne zbratanie. Ale zdziwiłby się ten, który by sądził, że miało to wpływ na oceny i traktowanie na zajęciach. Obowiązywała bowiem niezła zasada. Towarzystwo swoją drogą, a wymagalność swoją i tu alkohol nie miał żadnego znaczenia.

A oto dwa fakty ilustrujące to zjawisko. Nasz kierownik grupy łączności na trzecim roku studiów, pułkownik Henryk Kitkowski ps. „Kitek", często przebywał na „górce" w towarzystwie łącznościowców. W sporej ilości przypadków kończyło się to w lokalach warszawskich lub pod Warszawą. Ale na drugi dzień Kitek „rzeźbił" w pierwszej kolejności tych, którzy byli z nim na pijaństwie. I to była niepodważalna reguła, o której wszyscy wiedzieli i czy chcieli czy nie, musieli ją respektować. I nie było zmiłuj się.

Mój serdeczny kolega z grupy tyłowej (obecnie logistycznej) miał duże problemy z zaliczeniem taktyki ogólnej u podpułkownika Karasia, doskonałego i wymagającego wykładowcy z taktyki ogólnej. Kiedy więc, po którymś tam nieudanym podejściu, zauważył w trakcie ćwiczeń drzemiącego na skraju lasu swojego wykładowcę z taktyki ogólnej, uznał, że ma „w czubie", bo faktycznie miał, i że jest to bardzo dobry moment, aby „złapać" zaliczenie, z którym woził się tak długo.

Zameldował się więc do zaliczenia. Gdy to Karaś usłyszał, natychmiast otrzeźwiał i tak przemaglował kolegę, że to zaliczenie kolega wspominał jeszcze wiele lat po zakończeniu akademii. Cóż o tym można powiedzieć? Wódka i towarzystwo to jedno, a wiedza i wymagalność to drugie. Tak było i nikomu to nie przeszkadzało. A wręcz przeciwnie.

Trzy lata szybko minęły. Wszyscy z grupy łączności zdaliśmy egzaminy na ocenę dobrą i bardzo dobrą. Osobiście, bez większych wyrzeczeń, uzyskałem 13 lokatę na ponad 150 zdających. W związku z tym otrzymałem propozycję pozostania w katedrze. Po długich konsultacjach z rodziną propozycję przyjąłem. Nęciła bowiem Warszawa z jej dużymi możliwościami znalezienia dobrej pracy przez żonę, doskonałymi warunkami kształcenia dzieci i w miarę spokojną i stabilną pracą akademicką. Jednocześnie miałem świadomość, że szkolnictwo to jest drugi tor w karierze wojskowej i ten kierunek zaakceptowałem.

Na koniec, w trakcie działania komisji kadrowej MON, uznano, iż powinienem odbyć praktykę liniową już w ramach etatu akademickiego. Stając przed tą komisją, jak i wszyscy moi koledzy, byłem niezwykle ciekaw, co mi zaproponują. W ramach ogólnych możliwości, o których wiedzieliśmy, wymarzyłem sobie stanowisko szefa łączności niebieskich beretów. I tak się stało. A że w tej komisji był dobry duch rocznika R-63 Brunon Majewski, więc wiedziałem, że musiał w tym maczać palce. Tą drogą, za to przyjacielskie wsparcie i nie tylko, serdecznie Ci, Brunonie, dziękuję.

# Niebieski beret

W taki oto sposób znalazłem się na wybrzeżu, a dokładnie w Gdańsku, gdzie stacjonowało dowództwo Jednostki Obrony Wybrzeża. Tak bowiem brzmiała jej oficjalna nazwa. Zaś faktycznie była to 7 Dywizja Desantowa, rozlokowana w Gdańsku, Słupsku i Lęborku. W owym czasie była to typowa jednostka odpowiadająca swoim charakterem i przeznaczeniem radzieckim jednostkom piechoty morskiej i amerykańskim „marines".

Wpuszczono mnie od razu na głęboką wodę. Objąłem stanowisko szefa łączności dywizji od podpułkownika Drózda, który odchodził z wojska, w trybie pilnym, ze względu na stan zdrowia. W wydziale łączności pozostało dwóch oficerów, major Jerzy Siatecki i major Bronisław Kubacki. Obaj znacznie starsi ode mnie. Pierwszy to specjalista od łączności przewodowej, przede wszystkim polowej i drugi od gospodarki materiałowej. O ile Jurek Siatecki, zwany marszałkiem polnym, był człowiekiem serdecznym i otwartym, o tyle Bronka Kubackiego musiałem sporo przekonywać, że nie stanowię dla niego zagrożenia, ale także, iż umiem o wiele więcej od niego i nie jestem żadnym żółtodziobem.

Byłem w sytuacji, w której jeden mój pomocnik znał się praktycznie na łączności przewodowej, a drugi na gospodarce materiałowej, i nic więcej. Ja zaś musiałem zająć się łącznością stacjonarną i jej stykiem z łącznością polową, łącznością radiową i radioliniową oraz pocztową, także wszystkimi formami jej utajnienia. A że byłem młody i „nabity" wiedzą i doświadczeniem, radziłem sobie dobrze.

A czekały mnie ważne przedsięwzięcia. Po pierwsze - miesięczny obóz zimowy na poligonie Orzysz oraz ćwiczenia końcowe pod kryptonimem „Orzysz-77". Zapewniałem tam pełną łączność przewodową w rejonie ześrodkowania całej dywizji, w tym łączność alarmową w rejonach i z garnizonami Gdańsk, Lębork i Słupsk oraz łączność we wszystkich ćwiczeniach prowadzonych na poligonie w warunkach cholernie ostrej zimy.

Potem, już w okresie wiosennym, dwutygodniowe ćwiczenia desantowe na poligonie w Ustce. Tam odbyłem pierwszy chrzest desantowy i pływanie na okrętach i kutrach desantowych, transporterach pływających TOPAZ i czołgach pływających PT-76 po Bałtyku. Było tyle strachu co i frajdy, szczególnie przy dużej, sztormowej fali. I pierwsze, praktyczne organizowanie łączności w operacji desantowej, w tym współdziałania z Marynarką Wojenną, a szczególnie z Flotyllą Obrony Wybrzeża, która była flotyllą desantową, zabezpieczającą potrzeby naszej dywizji.

Początek lata to miesięczny obóz przygotowawczy pod Świnoujściem do międzysojuszniczego ćwiczenia pk. „Fala-77", ćwiczenia, które miało się odbyć w NRD. Po miesięcznym, szalonym szkoleniu, gdzie załogi doszły do prawdziwej perfekcji, przyszedł czas na owe ćwiczenia. Nasz pułk zała-

dował się na okręty desantowe w Świnoujściu, a nasza grupa operacyjna, w składzie: dowódca dywizji - generał Leszek Kozłowski i jego adiutant, zastępca dowódcy dywizji ds. politycznych - podpułkownik Bagniuk, szef wydziału operacyjnego - podpułkownik Paszko i szef łączności dywizji, w postaci mojej skromnej osoby, udała się rzutem kołowym w rejon Penemunde na wyspie Uznam.

Tam miało nastąpić desantowanie trzech pułków: naszego, radzieckiego i niemieckiego. Usadowiliśmy się w pobliżu plaży w przygotowanych wcześniej stanowiskach dowódczo-obserwacyjnych. Obserwowaliśmy przewspaniały widok. Z morskiej dali, na horyzoncie wyłoniło się około setki okrętów. Najpierw małych kutrów, a później dużych okrętów desantowych. Tak jedne, jak i drugie szły ławą na pełnej prędkości. Jednakże ambicją i honorem każdego narodowego desantu było, aby pierwszym dopaść brzegu i rozpocząć desantowanie. I jak było do przewidzenia, nasza flotylla, idąca na lewej flance głównych sił desantu, pierwsza podeszła w pobliże brzegu, a nasze transportery i czołgi pierwsze wyszły na ląd.

Do takiego widoku byłem już przyzwyczajony. Opowiem więc o tym, co zrobiło na mnie, i nie tylko, olbrzymie wrażenie. Nasze stanowisko dowódczo-obserwacyjne mieściło się w pobliżu trybuny głównej, na której zasiadało sporo marszałów i chyba ponad dwudziestu generałów armii sojuszniczych. W pewnym momencie bliski horyzont pokrył się mgłą, mimo doskonałej pogody. Do naszych uszu zaczął dochodzić narastający szum. Po kilku minutach z oparów mgły, w odległości około 300 metrów od trybuny honorowej, wyłoniły się trzy pędzące na nią z olbrzymią prędkością monstra, sięgające swoją wysokością dwupiętrowych domów.

Na trybunie głównej zapanowała totalna panika. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem na raz tylu marszałów i generałów i do tego w popłochu uciekających z tej trybuny. Nawet tylko dla takiego widoku warto było wziąć udział w tym ćwiczeniu. Te monstra, to były olbrzymie poduszkowce, które prawie w miejscu zatrzymały się przed trybuną, otworzyły wrota i wypuściły na plażę po trzy czołgi średnie. Czołgi poszły natychmiast w bój, zaś poduszkowce zwinnie zawróciły i w obłokach rozpylonej wody znikły nam z pola widzenia. Czytając te słowa proszę pamiętać, że był to rok 1977, a w tym czasie jeszcze było cicho o jakichkolwiek poduszkowcach, także amerykańskich.

W tym ćwiczeniu z radzieckimi poduszkowcami zetknąłem się jeszcze raz, w drugim lub trzecim dniu. Ćwiczące pułki dotarły do dużej zatoki przy ujściu Piany, którą miały pokonać. Tam zaś po wylądowaniu, miał się odbyć międzynarodowy mityng żołnierskiej przyjaźni. Niestety, zaczęła się prawie sztormowa pogoda. W tych warunkach tylko nasz pułk desantowy zgłosił gotowość do pokonania zatoki. Rosjanie i Niemcy zrezygnowali i do przewozu żołnierzy na drugi brzeg wykorzystali mniejsze poduszkowce, mieszczące po około trzydziestu żołnierzy każdy. Płynąłem więc takim po-

duszkowcem na drugą stronę zatoki. Rzeczywiście szedł pięknie i miękko mimo sztormowej fali. Jedynym mankamentem był duży hałas i szum. Po zakończeniu ćwiczeń na wyspie Uznam, załadowaliśmy się na okręty desantowe i powróciliśmy do Gdańska.

Potem, w sierpniu kolejny, miesięczny pobyt całej dywizji na poligonie Drawsko, zakończony ćwiczeniami pod kryptonimem „Drawsko-77". Tam zaś organizowanie i zapewnianie łączności dywizji w warunkach szkolenia poligonowego oraz w ćwiczeniach zgrywających i końcowych.

Sądzę, że nieźle dawałem sobie radę z tak skomplikowaną materią, jak zapewnienie łączności dywizji desantowej w garnizonach, w trakcie szkolenia na poligonach i podczas ćwiczeń, gdyż dowódca dywizji parokrotnie proponował mi pozostanie w dywizji oraz przydział mieszkania służbowego w Gdańsku. Jednakże po konsultacji z rodziną, propozycji owych nie przyjąłem i powróciłem do Warszawy.

## Za katedrą

Po przybyciu do akademii wszedłem w skład zakładu taktycznego Katedry Wojsk Łączności. W pierwszym roku pracy prowadziłem zajęcia w grupach szkoleniowych na pierwszym i drugim roku studiów. Ponadto byłem słuchaczem rocznego Podyplomowego Studium Specjalistycznego z zakresu pedagogiki wojskowej. W jego trakcie prowadziłem sporo zajęć, w tym hospitowanych przez doświadczonych nauczycieli akademickich i słuchaczy owego studium. Tam dopiero, na własnej skórze, nauczyłem się rozróżniać różne formy i sposoby prowadzenia zajęć, w nieraz dość bolesny sposób. Na zakończenie owego studium zdałem wymagane egzaminy i przedstawiłem pracę studyjną nt. „Jedność zadań dydaktycznych i wychowawczych w procesie kształcenia słuchaczy Akademii Sztabu Generalnego WP".

Przez następne dwa lata byłem kierownikiem taktycznym grupy łączności. Odpowiadałem za jej funkcjonowanie i kształcenie. Prowadziłem także bardzo dużo zajęć z dwóch wiodących przedmiotów - taktyki wojsk łączności i metodyki kształcenia taktycznego. Pierwszy był podstawowym przedmiotem fachowym, zaś drugi uczył niezbędnych umiejętności w zakresie przygotowania i prowadzenia ćwiczeń w wojskach łączności. Te dwa lata, to było moje prawdziwe „przetarcie" nie tylko w dydaktyce, ale przede wszystkim w problematyce fachowej. Wymagały bowiem codziennej pracy, zgłębiania literatury przedmiotu, rozwiązywania skomplikowanych problemów fachowych oraz ciągłego doskonalenia dydaktyki.

Wydaje się, że nasza generacja, a szczególnie nasza dwójka, nieźle spisywała się w akademii. Świadczą o tym chociażby te dwa przykłady.

W czasie przerwy lekcyjnej w zajęciach prowadzonych na kursie doskonalącym, doszły mnie mimochodem rozmowy prowadzone na korytarzu. W nich zaś opinia, że tę cholernie trudną problematykę można zrozumieć i wydaje się nie tak znowu skomplikowana. Ponadto, że jeszcze jeden z młodych wykładowców wspaniale wykłada i też nosi znaczki łączności. Domyśliłem się zaraz, iż może to dotyczyć tylko Mariana Kruszyńskiego.

Drugi przykład dotyczy także Mariana. Prowadzony przez niego w dużej auli wykład wizytował, bardzo w tym względzie wymagający i zresztą nie tylko, komendant akademii generał profesor Władysław Mróz. Wyszedł z tych zajęć pod takim wrażeniem mistrzostwa, że natychmiast wezwał Mariana do swego gabinetu, złożył mu gratulacje i wyróżnił sporą nagrodą pieniężną.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych studiowali u nas Rosjanie, Czesi, Słowacy oraz Węgrzy, o czym wspominał Marian Kruszyński. Pomijając aspekt polityczny należy podkreślić, iż Rosjanie przysyłali inteligentnych i wspaniale przygotowanych kandydatów. Niekiedy podejrzewaliśmy, że musieli to być absolwenci ich akademii. Szczególnie dotyczy to pierwszej i drugiej tury. Do dziś wspominam kilku z nich, a szczególnie kapitana Babkina. Prowadzenie zajęć w ich obecności i z ich udziałem było naprawdę wielką przyjemnością.

Z tego co wiedzieliśmy to i nasza akademia wysoko była ceniona w Związku Radzieckim. Jeden z naszych absolwentów, który przyjechał nas odwiedzić opowiadał, że zaraz po przybyciu do jednostki wojskowej dowódca dywizji zrobił mu egzamin. Polegał on na tym, że zamknął go na trzy dni z mapami i przyborami do pisania i kreślenia. W tym czasie z nikim się nie kontaktując miał opracować pełne ćwiczenie dywizji z wojskami, które miało być przeprowadzone za dwa tygodnie. Z owego zadania wywiązał się doskonale. Dowódca dywizji wysłuchał jego referowania, sprawdził wszystkie dokumenty i na zakończenie powiedział „maładiec", i dodał, że absolwenci ich akademii nie daliby sobie z tym rady.

Czesi, Słowacy i Węgrzy mieli już trochę słabsze motywacje, a Węgrzy także znacznie większe trudności językowe. Bywali raczej przeciętni. Jednakże robili spore kariery we własnych armiach. Jeden z Czechów został pełnomocnikiem szefa Wojsk Łączności do spraw informatyki, a jeden ze Słowaków zastępcą szefa Wojsk Łączności okręgu słowackiego.

W latach dziewięćdziesiątych studiowali u nas także Amerykanie, Niemcy i Francuzi. Muszę z przykrością powiedzieć, że prezentowali znacznie niższy poziom niż nasi studenci, a pierwszy amerykański student wiele pozytywnych ocen otrzymywał dopiero po interwencjach, prośbach i wyjaśnieniach amerykańskiej ambasady.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zaczęła odchodzić z wojska starsza generacja nauczycieli akademickich. Odeszli nasi wspaniali katedralni wykładowcy, pułkownicy: Mieczysław Bożęcki, Henryk Kitkowski,

Józef Mackiewicz, Jan Kublik, Marian Romatowski. Jako jeden z bardziej doświadczonych oficerów katedry, zostałem wyznaczony na kierownika zakładu taktycznego. Obejmował on dwie trzecie oficerów katedry. Jego zadaniem było prowadzenie kształcenia słuchaczy pierwszego i drugiego roku z przedmiotu taktyka wojsk łączności, w tym wszelkich zajęć i egzaminów, przygotowanie podręczników, skryptów i innych pomocy dydaktycznych, a także realizowanie prac naukowych i naukowo-badawczych.

W tym czasie przeżyliśmy, także obaj z Marianem Kruszyńskim, „przygodę" stanu wojennego, która wytrąciła nas na ponad rok z pracy akademickiej. Zaważyła także na naszej psychice, ocenie dotychczasowej historii oraz poglądzie na rzeczywistość i przyszłość państwa i narodu, wojska i własną.

Zaś lata osiemdziesiąte to kierowanie zakładem w coraz bardziej złożonej rzeczywistości i przy stale zmniejszającym się stanie osobowym katedry. Podejmowanie nowych tematów naukowych i naukowo-badawczych oraz praca nad rozprawą doktorską. Obaj z Marianem sprostaliśmy temu zadaniu. Marian bronił rozprawy doktorskiej z zakresu swojej specjalności, a więc walki radioelektronicznej, ja zaś nt. „Kierowanie systemem łączności w zautomatyzowanych systemach dowodzenia". W tym czasie temat ów był nowatorski, gdyż zaczęliśmy tylko co wchodzić w erę zautomatyzowanych systemów dowodzenia.

Przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, to początek głębokich przeobrażeń w państwie, wojsku i akademii. Decyzją przełożonych przestała istnieć Katedra Łączności, a powstała w Wydziale Wojsk Lądowych - Katedra Dowodzenia i Łączności. Z dawnej katedry pozostało nas tylko czterech. Wszyscy ze stopniami naukowymi doktorów, a więc w kolejności alfabetycznej Piotr Gryciuk, Jerzy Mazurkiewicz, Józef Michniak i Włodzimierz Poleski. Gdy ponad dziesięć lat temu przybyłem do katedry liczyła ona około dwudziestu pracowników i była potęgą pod względem naukowym i dydaktycznym.

W międzyczasie utworzono także studia zintegrowane, w których wszyscy uczyli się tego samego. A więc specjaliści umieli tyle samo taktyki ogólnej i taktyki wojsk łączności, co oficerowie ogólnowojskowi. Jak na łącznościowców byli bardzo dobrymi taktykami, lecz kiepskimi specjalistami. Można więc powiedzieć tak, że doskonale umieli krytykować podejmowane przed dowódców ogólnowojskowych decyzje, lecz niezbyt dobrze realizować zadania swojej specjalności. Staraliśmy się temu jakoś zapobiegać, ale chyba z niewielkim skutkiem.

W ramach katedry utworzony został Zakład Systemów Łączności, którego zostałem pierwszym kierownikiem. Pełniłem tę funkcję przez rok, później zrezygnowałem, gdyż ciągle byłem zmuszony walczyć z kierownikiem katedry, który stale usiłował zmniejszać liczbę godzin na nasz przedmiot, na który i tak już tych godzin było za mało.

Przez ostatnie lata pracy w akademii miałem zatem więcej czasu, na zajęcie się zaległymi i niedokończonymi tematami. A było ich sporo, gdyż funkcja kierownika zakładu była bardzo absorbująca i niewiele czasu pozostawało na własne zainteresowania naukowe. Dokończyłem więc pracę naukową na temat „Wojskowe systemy łączności. Teoria problemu". Był to raczej zarys teorii, lecz pierwszy tego typu, ogarniający i porządkujący całą problematykę oraz wyznaczający jej kształt i ramy. Także pod koniec 1994 roku ujrzało światło dzienne, ale już w formie obszernego podręcznika, drugie moje dzieło pt. „Projektowanie i ocena wojskowych systemów łączności". Sądzę, że było to nowatorskie podejście, które umożliwiało projektowanie i ocenę wojskowych systemów łączności, ponieważ określało jego metodologię oraz zapewniało projektowanie i ocenę zasadniczych cech systemowych według przedstawionego w pracy obszernego warsztatu matematycznego.

Rok 1995 był rokiem zakończenia ponad pięcioletniej pracy nad „Leksykonem łączności wojskowej", wydawnictwem akademickim, zawierającym ponad 1200 haseł z dziedziny łączności wojskowej. Hasła te zostały zdefiniowane i opatrzone objaśnieniami etymologicznymi lub odpowiednikami w języku angielskim. Leksykon zaś jest zbiorem pojęć i ich objaśnień wybranych z niezwykle bogatego i wciąż rozwijającego się zasobu pojęć z dziedziny łączności. Powstał on w wyniku obserwowanych wśród łącznościowców oraz studentów i uczących się problematyki łączności wojskowej, zwiększających się coraz bardziej trudności ze zrozumieniem występujących w łączności wojskowej pojęć i poprawnym ich stosowaniem. Jestem przekonany, że jest to pierwsze takie wydanie w wojskowej literaturze europejskiej i światowej.

Wydanie to zostało powtórzone w akademii w 1996 roku. W tym roku ujrzał także światło dzienne podręcznik akademicki pt. „System dowodzenia i łączności związku taktycznego". Dzieło wspólne pułkownika Wiesława Kulmy i moje. Był to typowy, ponad dwustustronicowy podręcznik akademicki dla słuchaczy drugiego roku studiów. Szeroko zresztą wykorzystywany nawet wówczas, kiedy już mnie w akademii nie było.

Z akademii odszedłem w 1996. Oficjalną przyczyną był stan zdrowia. Orzeczenie komisji lekarskiej o niezdolności do zawodowej służby wojskowej wynikało jednak z mojej inicjatywy, gdyż sam wystąpiłem do komendanta akademii o skierowanie mnie na ową komisję. Nieoficjalną zaś - rosnące chamstwo, nieuctwo, przejawiający się na każdym kroku brak poszanowania oraz stopniowy uwiąd zasad moralnych, szczególnie w działalności naukowej. Nie chciałem patrzeć dalej na postępujący upadek i obniżanie się rangi mojej ukochanej uczelni.

Coraz więcej nerwów i zdrowia kosztowało mnie funkcjonowanie w tym środowisku, postanowiłem więc je opuścić. Zresztą nie tylko ja. Z naszej czwórki, która utworzyła Zakład Systemów Łączności, pod koniec 1996 roku pozostał w akademii tylko jeden oficer.

*Tadeusz Wojtuszkiewicz*

# Przygoda z fajką

## Pasja

Przygodę z fajką, bo w tej kategorii mógłbym określić swoje związki z fajczarstwem, rozpocząłem trzydzieści lat temu od fajki „gwiazdkowej", otrzymanej w prezencie pod choinkę. Była to czeska fajka „Old Kapitan" z trzema wymiennymi główkami z bruyera (wrzośca). Rodzina, na swoje nieszczęście, nie przypuszczała wówczas, że zaraziła mnie pasją nie tylko palenia fajki, co przede wszystkim kolekcjonowania wszystkiego, co miało związek z fajką. Przede wszystkim fajek nowych, ale także używanych, akcesoriów fajkowych, takich jak ubijacze, zapalniczki, pudełka i opakowania do tytoni, których mam kilkaset.

Moje zbieractwo obejmowało fajki wykonane z różnorodnych materiałów, głównie fajki wrzoścowe, ale też z innych rodzajów drewna: hebanu, wiśni badeńskiej, brzozy, gruszy, czarnego dębu pozyskiwanego z ujścia Motławy do Bałtyku, poprzez fajki gliniane - XVII-wieczne z wytwórni Holandii, Francji oraz wytwórni w Zborowskiem na Śląsku i Rościn koło Międzyrzecza. Ponadto współczesne fajki gliniane, jakie wykonuje mój kolega Marek Parol z Przemyśla, jedyny w Polsce wykonawca glinianych fajek, autor kilkuset różnorodnych kształtów fajek, głównie postaciowych, a więc takich znanych ludzi, jak: Józef Piłsudski, Adam Mickiewicz, Włodzimierz Lenin, Juliusz Słowacki, książę Józef Poniatowski, Fryderyk Chopin, Ryszard Wagner i dziesiątki innych postaci historycznych, a także fajek z aktami długonogich dziewczyn. Niejako przy moim udziale powstały w jego pracowni „reprinty" starych gdańskich, XVIII-wiecznych glinianych fajek.

Oddzielną grupę fajek stanowią fajki wodne „nargile", których w pewnym okresie miałem około trzydziestu, głównie z Bliskiego, jak i Dalekiego

Wschodu, a więc z Libanu, Egiptu, Tunezji oraz Chin, Indii, Nepalu. Fajki wodne o zbiornikach na wodę z żółtego metalu, ale też z malowanego szkła, kryształu różnej wielkości i przeznaczenia, jako że w fajce wodnej palono nie tylko tytoń, ale też opium i marihuanę.

Osobiście paliłem wielokrotnie i wyłącznie tytoń, a ze szczególnym upodobaniem zaś tytonie „owocowe" o smaku brzoskwini i jabłka, pozyskiwane z Bliskiego Wschodu, a przywożone głównie przez znajomych turystów.

Dwuosobowa fajka wodna z gliny była ozdobą I Turnieju (europejskiego) Palenia Fajki Wodnej. Turniej ów został zorganizowany przeze mnie w listopadzie 1995 roku w Bydgoszczy z udziałem zawodników z Rosji, Ukrainy, Kazachstanu, a także egzotycznego zawodnika z Nigerii. Był to turniej fajki wodnej wykonanej przez Marka Parola, w którym uczestniczyło około stu zawodników, a fajkę palono parami.

Początki zarówno mojego obcowania z fajką, jak i dostępność tytoniu były utrudnione faktem mojej służby w oddalonym od Boga i ludzi, zielonym garnizonie, jakim było Rogowo. Dlatego też każdy mój wyjazd służbowy do Bydgoszczy i Warszawy służył także pozyskiwaniu nowych fajek do kolekcji, a także tytoniu. Tamten okres mojej inicjacji fajkowej związany był głównie z tytoniem Czerwona Amphora, dostępnym głównie w Pewexie, a także kupowanym od marynarzy powracających z dalekich rejsów. Często wspominam niepowtarzalny smak i zapach palonej wówczas Amphory, a także przywożonego z Moskwy i nieosiągalnego już dzisiaj Złotego Runa. Dawniej, każdy swój wyjazd służbowy łączyłem także z poszukiwaniem i zakupem nowego okazu do kolekcji.

Wraz z odejściem na emeryturę w 1991 roku miałem okazję zwiedzić inne kraje Europy, tym razem Zachodniej i Południowej, uczestnicząc w wycieczkach do Francji, Włoch, Austrii, Czech i Niemiec. Wyjeżdżałem także na organizowane przez CIPC (Międzynarodowy Komitet Klubów Fajki Europy, Azji i Ameryki) zawody fajczarskie tj. mistrzostwa świata i Europy, a także puchary Europy.

Udało mi się uczestniczyć w mistrzostwach świata w Wenecji, ponadto w turniejach w Budapeszcie i Debreczynie na Węgrzech, trzykrotnie w Brnie oraz w Pradze. Na inne brakowało najczęściej funduszy, gdyż każdy zawodnik pokrywał opłatę startową, także podróż, noclegi i inne wydatki.

Ze szczególnym sentymentem wspominam mistrzostwa Europy w 1996 roku, które odbyły się w Grazu w Austrii. Cechowała je doskonała organizacja, niezwykle serdeczne przyjęcie naszej dwudziestoosobowej grupy z Polski oraz miła atmosfera i niezwykła gościnność Austriaków. Były także spore sukcesy. Zajęliśmy drużynowo trzecie miejsce w turnieju oraz piąte indywidualnie przez naszego rekordzistę Polski H. Rogalskiego z Poznania. Pamiątkowe trofea z turnieju, zdjęcia oraz nakręcony film

z pobytu w Grazu pozwalają od czasu do czasu wspominać wędrówki po tym urokliwym mieście.

Osobliwością Grazu jest tamtejszy Arsenał, z niespotykanym muzeum dawnej zbroi. W kilkupiętrowym, obszernym budynku znajdują się dziesiątki tysięcy rusznic, pistoletów, zbroi, szyszaków, halabard, mieczy, kusz i wszelkiego innego XVII-XVIII-wiecznego oręża.

W drodze powrotnej z Grazu zatrzymaliśmy się na mały postój w Wiedniu, głównie ażeby na Mariachilfer Strasse 2 podziwiać największe Muzeum Fajki w Europie, a może i w świecie. Naszym przewodnikiem był dyrektor dr Herbert Rupp, któremu w podziękowaniu wręczyłem czapkę Sherlocka Holmesa, zdjętą z własnej głowy.

Kilkugodzinny pobyt w Wiedeńskim Muzeum Fajki pozwolił mi na wykorzystanie dwóch rolek filmowych. A jest co podziwiać, jako że w muzeum są niezwykłe osobliwości fajkowe z całego świata. Jest także kilkadziesiąt fajek, jakie wykonane były w swoim czasie dla cesarza Franciszka Józefa. Bezcenne fajki z pianki morskiej o najróżnorodniejszych kształtach, na przykład statków, głów ludzkich, sylwetek zwierząt, bogato rzeźbione i zdobione szlachetnymi kamieniami. Ponadto fajki gliniane, porcelanowe, wrzoścowe, wodne, wojskowe rezerwistów i inne o przeróżnych kształtach.

Fajki rezerwistów z przełomu XIX i XX wieku były wykonane z porcelany i zdobione wieloelementowymi motywami z nazwiskami żołnierzy rezerwy różnych rodzajów wojsk, na przykład saperów, artylerzystów. Fajki te, najczęściej o główce porcelanowej, były bardzo rozpowszechnione w armii pruskiej, austriackiej i holenderskiej w XIX wieku. Otrzymywali je żołnierze rezerwiści z dedykacją na pamiątkę służby wojskowej. Kilka fajek rezerwistów było także w moich zbiorach prywatnych. Cennym eksponatem mojego zbioru jest wojskowa fajka postaciowa z glinki, przedstawiająca żołnierza wojsk kolonialnych z okresu wojen burskich, wykonana w Londynie w 1892 roku przez firmę C.C.CROOP.

Fajkę tę oraz wrzoścową firmy Peterson pozyskałem od przybyłego z Anglii znajomego. Fajka Peterson's z bruyera koloru ciemnego ze srebrną obrączką, na której odciśnięte były znaki firmy i cechy probiercze, otrzymałem w 1985 roku. Według wstępnych ocen znaków, jakie były umieszczone na srebrnej obrączce, mogła sobie liczyć prawie wiek. Aby poznać dokładnie jej historię, wysłałem zdjęcie i rysunek do firmy w Dublinie (Irlandia). Wkrótce nadeszła odpowiedź z firmy Peterson i tak zaczęła się moja kilkunastoletnia korespondencyjna przyjaźń z jej dyrektorem Tonym Dempseyem.

Fajka Peterson stała się logo założonego przeze mnie w 1987 roku Klubu Fajki, który działał przy Klubie Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy. Także proporczyki, znaczki, plakietki okolicznościowe i rocznicowe nawiązywały do firmy Peterson. Mój zaprzyjaźniony artysta -

fajkarz z Przemyśla Bartłomiej Antoniewski wykonał postaciową fajkę z podobizną Dempseya na podstawie otrzymanych wcześniej zdjęć z jego podobizną. Nie omieszkałem jej wysłać natychmiast do Dublina.

Owocem mojej wieloletniej współpracy z Tonym, było kilkanaście fajek tej firmy, zwłaszcza dwanaście fajek z klasycznej kolekcji Sherlocka Holmesa. Trwało to do jego odejścia na emeryturę w 1996 roku. Odchodząc na emeryturę Tony Dempsey przesłał mi serdeczny list pożegnalny, katalogi i inne pamiątki tej firmy. Marzeniem moim jest, ażeby pojechać do Dublina i zwiedzić „Zieloną wyspę" oraz poznać przyjaciół z firmy Peterson. Jeśli już nie teraz, to przynajmniej w nowym wcieleniu.

Do 1997 roku, corocznie w listopadzie, w siedzibie Klubu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, organizowałem spotkania w Bydgoszczy z udziałem całej krajowej elity fajczarzy. Wielokrotnie liczba biorących udział w tych spotkaniach wynosiła ponad setkę zawodników i przekraczała znacznie możliwości lokalowe dużego przecież klubu. Odbywały się także plenerowe turnieje „Fajczarskie powitanie wiosny" na Wyspie, „Pożegnanie lata" - turnieje przy ognisku w plenerze. I tak co roku, po dwie, trzy imprezy.

Wspomnę także, iż w latach 1985-1997 udało mi się zorganizować kilkanaście wystaw własnej kolekcji, a także użyczyć co ciekawsze eksponaty na wystawy organizowane w Centralnym Muzeum Morskim w Gdańsku, w Bydgoszczy i Toruniu, Włocławku, Kwidzynie, Gdańsku i Urzędowie. W Krakowie w 1996 roku pokazałem fajki wodne na balu w ratuszu krakowskim, organizowanym z okazji Dnia Wody przez Instytut Ochrony Środowiska i prezydenta Krakowa. W 1998 roku byłem inicjatorem turnieju w Lublinie z okazji rocznicy Unii Lubelskiej, który odbył się z udziałem fajczarzy Polski i Litwy.

Turniejom fajczarskim, oprócz wystaw kolekcjonerskich, towarzyszyły konkursy „Fajka w sztuce", a więc w grafice, malarstwie, rzeźbie oraz poezji. Większość klubów fajkowych w Polsce dorobiła się w tym okresie własnych hymnów klubowych. Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte sprzyjały naszej klubowej działalności. Wiele firm wspierało nas swoimi produktami, między innymi „WM Ostromęcko", Browary Bydgoskie „Kujawiak", Klub POW i inne. Sprzyjało także środowisko prasowe, radiowe, również telewizja, która była obecna na imprezach trwających często nawet dwa dni, pokazywała nas w programie ogólnopolskim. Wielokrotnie też mogłem w studio TV lub w swoim mieszkaniu gościć ekipę telewizyjną i prezentować swoją kolekcję.

Aktualnie, restrykcyjne wobec palących ustawy Sejmu, nie sprzyjają naszej działalności organizacyjnej. Także prasa, radio i telewizja poważnie ograniczyły zarówno przekaz informacji o klubach fajki, jak i o fajczarzach w ogóle. Przez ostatnie dwa lata kolekcja moja również zmniejszyła się znacznie. Praktycznie wycofałem się z udziału w turniejach wyjazdowych.

# Tropem historii i fajek na Litwie

Informacje o ciekawych zbiorach fajek na Litwie przedstawił mi wiceprezes Wojskowego Stowarzyszenia Turystyki Zagranicznej „Europejczyk" Edward Kazanowski, który w końcu 1995 roku przebywał w Druskiennikach. WSTZ „Europejczyk", działające przy klubie Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy, jest animatorem zorganizowanego ruchu turystycznego. Jako czynny członek owego stowarzyszenia zwiedziłem już szereg krajów Europy Zachodniej i Południowej w ramach doskonale zorganizowanych wycieczek turystycznych, wczasów turystycznych i pobytów sanatoryjnych.

Od kilku lat stowarzyszenie to, współdziałając z ośrodkiem sanatoryjnym w Druskiennikach nad Niemnem, zabezpiecza zainteresowanym tę formę wypoczynku i leczenia w ramach kilkunastu piętnastodniowych turnusów rocznie. Podkreślić należy walory klimatyczno-lecznicze Druskiennik. Bogate zasoby wód solankowych i borowinowych, a także położenie wśród kompleksów leśnych, poprzecinanych licznymi jeziorami i nieskażonymi rzekami, kryształowo czystymi strumykami, które są połączone z naszą Puszczą Augustowską, zwaną „zielonymi płucami" Europy.

Druskienniki, miasteczko leżące sześćdziesiąt kilometrów od Suwałk, zamieszkuje około 20 tysięcy mieszkańców, w tym trzy tysiące Polaków. Funkcjonuje tu jedenaście sanatoriów, które mogą przyjąć do dziesięciu tysięcy kuracjuszy, oferując im zabiegi profilaktyczno-lecznicze oraz rehabilitacyjne przy schorzeniach układu pokarmowego, krwionośnego, chorób serca, stawów, kręgosłupa, ginekologicznych, systemu nerwowego, a także tarczycy i uzębienia.

Program pobytu w Druskiennikach, oprócz serii zabiegów profilaktyczno-leczniczych, obejmuje również wypoczynek czynny w postaci wycieczek, spacerów, uczestnictwa w koncertach muzycznych i spektaklach oraz zwiedzanie miejsc pamięci narodowej. Do nich zaś można zaliczyć znany wszystkim cmentarz na Rossie, grób Emilii Plater w Kopciowie oraz grób Czeczota w Ratniejci, położonej trzy kilometry od Druskiennik. Inne obiekty godne zwiedzania to muzeum Civrlonisa, sławnego malarza i kompozytora litewskiego oraz Muzeum Lasu, usytuowane w kompleksie leśnym, leżącym wokół miasteczka sanatoryjnego.

Owe urokliwe muzeum, mieszczące się w drewnianej, kilkukondygnacyjnej starej budowli, posiada okazy flory i fauny lasów litewskich, rzeźby ludowe, stare narzędzia, kolekcje motyli i ptaków. Wokół muzeum znajduje się jeszcze skansen starych domów i narzędzi gospodarskich, dziesiątki rzeźb wyciosanych z olbrzymich pni, a przedstawiających postaci historyczne, monumentalne świątki i dawne bóstwa oraz zwierzęta leśne.

Atrakcją dla przebywających w Druskiennikach kuracjuszy jest również rejs statkiem wycieczkowym po pełnym zakoli, wartko płynącym,

czystym, nieskażonym Niemnie. Podziwiać można jego wysokie brzegi, poprzecinane wąwozami i jarami, które pokrywa gęsta, budząca się do życia każdej wiosny roślinność. Wspomnieć należy także o trasie spacerowej Józefa Piłsudskiego, biegnącej wzdłuż Niemna. Marszałek Piłsudski wielokrotnie przyjeżdżał tu na kurację w latach 1923-1930 oraz żeby odpocząć z dala od wielkiej polityki.

Zapytanemu latem ubiegłego roku stareńkiego mieszkańca Druskiennik o Marszałka, uśmiech rozjaśnił oczy: „Oj, dobry to był Pan, hojny i dobry. I piękne kobiety lubił" (J.S. Przewodnik Turystyczny, Warszawa 1995). Ostatni pobyt Józefa Piłsudskiego w Druskiennikach odnotowano w 1931 roku. Nie zachowała się jego willa - domek nad brzegiem Niemna, zbudowany na wzór syberyjskiej chaty, w której przebywał na zesłaniu w latach 1888-1892 za współudział w zamachu na cara Aleksandra III.

Patriotycznym akcentem była także wycieczka na grób Emilii Plater, uczestniczki powstania listopadowego. Jej samotny pomnik znajduje się na ginącym, zaniedbanym cmentarzu we wsi Kopciowo, leżącej kilka kilometrów od przejścia granicznego w Ogrodnikach.

Spotkaliśmy tu kilka starszych osób mówiących piękną polszczyzną i łaknących kontaktu z nami. Mogiłą zaś opiekuje się kilkoro osieroconych dzieci, mieszkających w częściowo zrujnowanej chacie, ubranych bardzo skromnie i wyglądających na niedożywionych. Wspomogliśmy te biedne dzieci, organizując doraźną zbiórkę wśród uczestników wycieczki. W przyszłości, po powrocie do kraju, za pośrednictwem „Europejczyka", prześlemy im kolejnym rejsem pomoc materialną. Przy okazji należy wspomnieć, że edukacja tych i innych polskich dzieci kończy się przeważnie na szkole podstawowej, ponieważ uczęszczanie do szkoły średniej z klasami polskimi, znajdującej się w dużym mieście jest kosztowne, w związku z czym ich dalsze losy życiowe nie przedstawiają się zbyt optymistycznie.

Byliśmy także na wycieczce w Kownie, jednym z głównych miast litewskich, które w okresie międzywojennym było stolicą Litwy. Zwiedziliśmy tu wspaniałe zabytki sztuki sakralnej, mianowicie katedrę oraz wiele innych kościołów i cerkwi, pełnych starych obrazów i pamiątek historycznych, związanych z dynastią Jagiellonów.

W Kownie na uwagą zasługuje jeszcze niezwykłe muzeum „Diabłów", które zawiera kolekcję kilkuset właśnie diabłów - rzeźb wykonanych nie tylko w drewnie. Znajdują się tu również fajki, których główki symbolizowały różnorodne postacie szatana. W salonach handlowych i w sklepach z pamiątkami można ujrzeć fajki z bursztynu, a także drewniane, wykonane z wiśni, często rzeźbione. Natomiast fajki bursztynowe, miały główki z wkładką ceramiczną lub metalową. Główki niejednokrotnie oklejane były różnokolorowymi płytkami bursztynu. Ceny owych fajek nie zachęcały do zakupu, gdyż wahały się w granicach od czterdziestu do sto pięćdziesięciu dolarów amerykańskich.

W salonach antykwarycznych spotkaliśmy kilka egzemplarzy starych XVIII wiecznych, składanych, pięknie zdobionych, rzeźbionych dużych fajek, mających od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu centymetrów długości. Ceny ich wahały się od dwóch do trzech tysięcy litów, to jest od pięciuset do siedmiuset pięćdziesięciu dolarów amerykańskich. Natomiast ani w Kownie, ani w Wilnie nie spotkaliśmy tytoni fajkowych.

Kolejną wycieczką grupową był wyjazd do Wilna i Trok, leżących około sto trzydzieści kilometrów od Druskiennik. Zwiedzanie Wilna rozpoczęliśmy od świątyni pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, o wspaniałej architekturze i pełnej pamiątek związanych z wielkimi postaciami historycznymi (królów z dynastii Jagiellonów, króla Stefana Batorego i naszego wieszcza Adama). Ich popiersia, obrazy, epitafia zdobią świątynię od wieków. Kolejne obiekty sakralne to katedra, kościół akademicki, kościół św. Anny, cerkwie, w których podziwialiśmy monumentalne marmurowe kolumnady, ołtarze, postaci świętych oraz dawnych naszych władców. Przepych, niepowtarzalne bogactwo wystroju było czymś naprawdę wzruszającym.

Zwiedziliśmy cmentarz na Rossie, gdzie złożyliśmy wiązankę kwiatów na grobie marszałka Józefa Piłsudskiego. Na cmentarzysku wojskowym, który znajduje się przed murem okalającym Rossę, jest grób jego matki, Marii z Billewiczów Piłsudskiej zmarłej w 1884 roku. W pierwszą rocznicę śmierci marszałka Piłsudskiego, 12 maja 1936 roku, złożono tu jego serce w srebrnej trumnie, którą umieszczono u stóp trumny z doczesnymi szczątkami matki. A więc życzenie Józefa Piłsudskiego, żeby po śmierci spocząć wśród swoich podkomendnych, wyrażone na zjeździe kombatantów legionowych w Wilnie 12 sierpnia 1928 roku, zostało spełnione: *„...i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarza mogiłka za mogiłką leży, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, Ci, co życie oddali, by komendanta serce pieścić, to mówię, że miłem to być musi i gdy serce grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami..."*

Na płycie nagrobnej z czarnego wołyńskiego marmuru nie ma ani imienia, ani nazwiska, ani daty. Jest tylko wyryty prosty krzyż i napis:

*„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą*
*Za innych śladem iść tą samą drogą*
*Matka i Serce Syna*
*Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu*
*Gniazdo na skałach orła i niechaj umie*
*Spać, gdy źrenice czerwone od gromu*
*I słychać jęk szatanów w sosen szumie,*
*Tak żyłem".*

Przytoczone tutaj fragmenty wierszy pochodzą z poezji uwielbianego przez marszałka poety Juliusza Słowackiego, którego prochy sprowadził na Wawel z Francji.

Zawsze przy sercu marszałka stała warta honorowa Wojska Polskiego. Podczas wkraczania Armii Czerwonej do Wilna 18 września 1939 roku, poległo trzech żołnierzy z ostatniej warty, zastrzelonych przy grobie marszałka. Ku ich czci ustawiono kamienne nagrobki.

Za bramą wejściową na Rossę, po lewej stronie, usytuowane jest cmentarzysko wojskowe z 1920 roku, gdzie spoczywa 164 żołnierzy, oficerów i ochotników poległych w walkach o Wilno w latach 1919–1920. Są to bohaterowie z 1, 3, 4, 5 i 6 Pułków Piechoty Legionów, z 31, 41 i 77 Pułków Piechoty Poznańskiego Baonu Śmierci, z Lidzkiego Pułku Strzelców, z 201 Ochotniczego Pułku Piechoty, z 1 Pułku Szwoleżerów, z 1, 4, 11 i 22 Pułków Ułanów. Spoczywają tutaj również żołnierze Armii Krajowej, którzy polegli na szlakach bitewnych, w tym w lipcu 1944 roku podczas operacji wileńskiej „Ostra Brama". Zachowały się jeszcze niektóre krzyże i pomniki, natomiast dużo zapadło się już w ziemię. Miejsce to wymaga serdecznej opieki i trwałej pamięci.

Na otoczonych murem wzgórzach Rossy spoczywa wiecznym snem wiele znanych postaci historycznych, ludzi nauki, kultury, sztuki, upamiętnionych wspaniałymi pomnikami, często z widocznymi śladami kradzieży i wandalizmu. Zaś przed głównym wejściem na Rossę witały nas po polsku dziesiątki dzieci, oferując sprzedaż pamiątek wileńskich i jednocześnie oczekujących jakiegoś wsparcia.

Kolejnym etapem wędrówki po Wilnie była Ostra Brama – kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Spacerowaliśmy także urokliwymi uliczkami Wilna, na których liczne stragany oferowały przeróżne pamiątki. Wśród nich znajdował się duży wybór fajek, przede wszystkim bursztynowych, często bardzo dużych z jednorodnego kawałka. Większość główek była oklejona płytkami bursztynowymi, co tworzyło piękne kolorystycznie kompozycje. Obok bursztynowych leżały także drewniane, ludowe, rzeźbione z drewna najczęściej wiśniowego, bukowego i gruszy. Ceny fajek bursztynowych, jak i drewnianych, były bardzo wysokie i o wiele wyższe niż nasze przemyskie.

Zwiedzaliśmy również salon India, w którym znajdował się olbrzymi zbiór fajek hinduskich. Wśród nich fajki szklane, z hebanu o różnorodnych kształtach i wielkościach oraz fajki z żółtego metalu. Było również dużo fajek rodzaju „nargil". Spotkaliśmy tu nietypowe, szklane fajki wodne, umieszczone w futerałach, wykładanych pięknym aksamitem. Dokonałem więc kolejnego zakupu do swojej kolekcji, tym bardziej, że cena była atrakcyjna.

W godzinach popołudniowych przyjechaliśmy do Trok, które położone jest na przepięknym archipelagu wysp i jezior, z pięknie odrestaurowanym niedawno zamkiem księcia Witolda. Zbudowany na przełomie XIV i XV wieku zamek otoczony jest wodami jeziora Galwie. Na kilku kondygnacjach w kolejnych salach, oglądaliśmy ciekawe zbiory pamiątek histo-

rycznych: starą broń, dokumenty, pieczęcie, meble, zastawy stołowe, szkło i porcelanę.

I wreszcie główna atrakcja wycieczki do Trok - kolekcja fajek, tabakierek i cygarniczek. Ich ilość i różnorodność przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Eksponaty w ogromnej ilości wyłożone zostały w szesnastu wielkich oszklonych gablotach w kilku salach. Na uwagę zasługiwała kolekcja kilkuset starych fajek XVIII i XIX wiecznych. Dominowały wśród nich składane wieloelementowe, porcelanowe, a także z główkami z pianki morskiej. Dużo było również fajek jednorodnych, rzeźbionych, jak już wyżej wspomniałem, z pianki morskiej, z kości słoniowej, bursztynu, hebanu i różnych rodzajów drewna. Oglądaliśmy także piękne egzemplarze fajek rezerwisty z przełomu XIX i XX wieku, będące pamiątkami po odbytej służbie wojskowej.

Zachwyt budziły rodzajowe fajki myśliwskie, których główki i cybuchy nawiązywały do tematyki myśliwskiej, a ustniki wykonane były z rogu. W jednej z gablot znajdował się także zbiór kilkunastu chińskich fajek do palenia opium. Wykonane były z różnorodnych metali bogato zdobionych, różnej wielkości i o różnym kształcie, pochodzące sprzed wielu dziesięcioleci, prawdopodobnie z przełomu XVIII i XIX wieku.

Oddzielną, szczególnie ciekawą ekspozycję stanowiły wykonane z wielkim pietyzmem cygarniczki i tabakierki, też z pianki morskiej i kości słoniowej, bogato zdobione koralem, drogimi kamieniami, przetykane złotem i srebrem, przedstawiające zaś postaci ludzkie, zwierzęta i rośliny. Eksponaty te najczęściej umieszczone były w futerałach wyścielanych atłasem.

Niestety, nie udało mi się dotrzeć do źródła informacji o twórcach i o okresie powstania tej kolekcji. Muzeum nie posiada bowiem ani biuletynu, ani katalogu, z wyjątkiem krótkich informacji w języku litewskim. W związku z tym, że zwiedzaliśmy muzeum w sobotę, w godzinach popołudniowych, nie zastaliśmy również nikogo kompetentnego z dyrekcji, bądź z personelu, kto mógłby udzielić nam rzeczowej informacji.

Żałuję bardzo, że z racji ograniczeń czasowych naszej grupy wycieczkowej nie mogłem na dłużej pozostać w Trokach, ponieważ zbliżał się czas powrotu do Druskiennik. Przed samym wyjazdem poszliśmy na karaimskie pierożki o niepowtarzalnym smaku. Pierożki te przygotowywane są przez potomków Karaimów, którzy zostali sprowadzeni z Krymu na Litwę przez księcia Witolda. Żegnaj, piękne Wilno, żegnajcie urokliwe Troki i Druskienniki, żegnaj wspaniała ziemio, usiana historią polską i litewską. Pragnę ponownie Cię odwiedzić.

***Od redakcji**: Autor przez wiele lat pełnił funkcję prezydenta Federacji Polskich Klubów Fajki. Ponadto był także kolekcjonerem „różności", a więc białej broni oraz staroci, w postaci zegarów, naczyń, monet, znaczków. Zajmował się również czynnie wszelkiego rodzaju turystyką, o czym świadczy chociażby powyższy tekst.*

*Jan Worm*

# UKŁON W STRONĘ POTRZEBUJĄCYCH

My je pokochamy, damy poczucie bezpieczeństwa, nauczymy życia, szacunku dla ludzi, pracy, a one odwzajemnią się tym samym. To z pozoru naiwne założenie o stworzeniu bezpiecznej przystani dla dzieci nieszczęśliwych, osamotnionych, przez nikogo niechcianych, z objawami sierocej choroby, a więc już skrzywdzonych przez los i okaleczonych psychicznie było scenariuszem - mojego życia po przejściu w stan spoczynku, po przeszło trzydziestoletniej służbie wojskowej.

W styczniu 1994 roku długie zimowe popołudnia i wieczory wypełniały nam: program telewizyjny, czytanie książek i periodyków, ręczne robienie swetrów na drutach przez małżonkę, opieka nad psem i kotem. Była to codzienna rzeczywistość. Wspólne rozmowy sprowadzały się zwyczajowo do rozważań, co porabiają dzieci, będące poza domem, kiedy córka pełni dyżur w szpitalu, w jakim dniu zaplanowała przyjazd do Choszczna, jak syn przygotowuje się do sesji egzaminacyjnej, z jakimi nowymi problemami zwróci się do rodziców przy urządzaniu gabinetu odnowy biologicznej w Kołobrzegu.

Zawsze robiło się miło i bardziej przyjemnie w dniach poprzedzających przyjazd dzieci, a w samym dniu przyjazdu wręcz odczuwało się ciepło domowego ogniska. Zwyczajowo przygotowywaliśmy ulubione potrawy. Wypiekaliśmy pyszne ciasta, robiliśmy większe zakupy. Tak, żeby wszystkiego było pod dostatkiem. Zawsze planowaliśmy czas na spotkania z dziećmi dla wysłuchania ich potrzeb, problemów i trudności oraz odczuć z wykonywanej pracy. Wspólnie spędzony czas zwykle był przerywany niezaplanowanymi spotkaniami z przyjaciółmi i znajomymi oraz udziałem w imprezach towarzysko-rozrywkowych. Wyjazd dzieci do miejsc pracy i nauki pozostawiał pewien niedosyt i pustkę na wiele dni.

W tych warunkach zrodziła się myśl, że dom jednorodzinny, w którym zamieszkujemy może tętnić innym jakościowo nowym życiem. Szeroko

nagłaśniana w prasie i telewizji potrzeba niesienia pomocy dzieciom nieposiadającym opieki ze strony biologicznych rodziców lub ich brak, a przebywającym w Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym przyczyniła się do tego, że zadaliśmy sobie pytanie - dlaczego nie my? Posiadamy przecież idealne warunki lokalowe, w pełni wyposażony dom, ustabilizowane dochody, zagospodarowane działki rekreacyjno-ogrodowe oraz mnóstwo czasu. Możemy więc przywrócić uśmiech na twarzy chociaż jednemu dziecku i podzielić się z nim tym, co posiadamy.

Sam kiedyś, po zgonie samotnie wychowującej mnie matki, byłem w sierocińcu mając pięć lat. Zabrało mnie stamtąd bezdzietne małżeństwo. Stworzyło mi drugi prawdziwy dom, rodzinę. W podświadomości chciałem to zawsze zrobić, pomóc innemu dziecku. Odwdzięczyć się za przychylność losu.

Odbyliśmy szereg wizyt i rozmów w Kuratorium Oświaty i Pogotowiu Opiekuńczym. Odwiedziliśmy i zapoznaliśmy się jak wyglądają i prosperują rodzinne domy dziecka na terenie Szczecina, a także rodziny zastępcze. Czy jesteśmy w stanie stworzyć w Choszcznie podobną placówkę i z instytucjonalnego, zbiorowego systemu wychowania przyjąć choćby jedno lub dwoje dzieci?

Z pogotowia opiekuńczego każdorazowo przyjeżdżaliśmy zdruzgotani. Cały czas mieliśmy przed oczami dzieci, które podczas naszego pobytu ustawiały się w kolejce pod gabinetem dyrektora. Nieśmiało mówiły „ciociu", czasem wyrwało się „mamo". Zawsze z nadzieją w głosie, że może zostaną zauważone i stamtąd zabrane. Nasze dorosłe, usamodzielnione dzieci zaakceptowały decyzję, że będziemy mieli większą rodzinę.

Jak z tej gromadki wybrać tych, którym mamy odmienić życie? Czym się kierować? Postanowiliśmy z małżonkę, że najlepszym doradcą będzie pedagog pogotowia. Tak poznaliśmy przyszłych wychowanków, to jest Kasię i Sławka. Wkrótce okazało się, że dziewczynka ma brata Dawida, a chłopiec siostrę Wioletkę. Podjęliśmy zatem decyzję, że rodzeństwa się nie rozdziela i zdecydowaliśmy się na przyjęcie całej czwórki małoletnich.

Dzień 15 lipca 1994 roku był tą niezwykłą datą. Przybyłe dzieci oszalały z radości. Obiegły cały dom, który dotychczas znały tylko ze zdjęć. Rzeczywiście jest tak duży i wiele w nim przeróżnych zakamarków. Dzieci otrzymały osobne swoje pokoje i łóżka z kolorową pościelą. Na zewnątrz jest ogród z mnóstwem krzewów i kolorowym parasolem.

Kasia miała jedenaście lat, Dawid dziewięć, Sławek tyle samo, Wioletka była zaś o dwa lata młodsza. Nie wierzyły, że zostaną tu na stałe. Zapewne zasypiały z przekonaniem, że rano bajka pryśnie. Na wszelki wypadek kieszenie wypychały słodyczami i kanapkami.

To chowanie jedzenia na zapas trwało jeszcze długo. Dopiero po paru miesiącach przekonały się, że pożywienia jest zawsze pod dostatkiem i o każdej porze można najeść się do syta. Długo też trwało pokonywanie

nieufności, obaw, wzajemne oswajanie się z nową rzeczywistością. Tak krok po kroku, bez narzucania się, bez zbytniej opiekuńczości, natarczywości.

W tym pierwszym okresie miłość i czułość były jakby odmierzane po aptekarsku, żeby nie urazić, nie przedobrzyć. Gesty czułości były odbierane bardzo nieufnie. Wieczorne chwile szczerości narodziły się spontanicznie. Gdy dzieci już były w łóżkach, małżonka przychodziła powiedzieć im dobranoc, przytulić, ucałować. Któregoś razu zaczęły opowiadać o swoich domach, o koszmarze, który przeżyły oraz o niedostatkach i biedzie, o goszczącym często na stole chlebie z cebulą. Potrzebowały miłości i poczucia bezpieczeństwa. W pierwszym okresie każde nieświadome wyróżnienie, bądź pominięcie odbierały jako zagrożenie. Wszystko musiało być w tej samej ilości i jednakowe, od talerzyka, kubeczka po ubranie.

Na szczęście z upływem lat wyrosły z tego. Skończył się czas beztroskich wakacji. Nie kłamać, nie zabierać cudzego, nie spóźniać się, odpowiednio się zachowywać, ładnie jeść - do tych zasad wpajanych dzień po dniu doszły szkolne obowiązki. Codzienne, wspólne odrabianie lekcji, sprawdzanie, powtarzanie. Bunt po jednej stronie, chwile załamania po drugiej. Wysiłek się opłacił.

Najmłodsza wychowanka przez całą szkołę podstawową była wzorową uczennicą i podobne wyniki uzyskuje będąc w gimnazjum. Na świadectwo Dawida miło spojrzeć, mimo że był zakwalifikowany do szkoły specjalnej. Dziś, wraz ze Sławkiem, jest uczniem Liceum Ekonomicznego. Kasia uczy się w Liceum Agrobiznesu i myśli o studiach. Wszystkie dzieci grają na instrumentach muzycznych, a trójka Wioleta, Dawid i Sławek tańczą w Klubie Tańca Towarzyskiego.

W grudniu 1994 roku nasza rodzina powiększyła się o dwie siostry - Izę i Renatę. Renata już usamodzielniła się, mieszka w Szczecinie i jest matką ośmiomiesięcznej Kamili. Iza, obecnie maturzystka, zamierza kontynuować dalszą naukę w jednej z wyższych uczelni na terenie Szczecina. W tym, czyli 2001 roku, orzeczeniem Sądu Rodzinnego i Nieletnich, skierowano do naszej placówki kolejną małoletnią dziewczynę.

Małżonka Anna powtarza, „aż trudno uwierzyć, że sobie z tym wszystkim radzę, ale uporczywość, siła i entuzjazm potrafią zdziałać cuda". Tak naprawdę, to młodość ma już za sobą. Dziś przedstawia sobą szczególny rodzaj młodości człowieka szczęśliwego, świadomego dobra jakie uczynił. Nadal tryska humorem, rozpiera ją energia i radość życia. I mimo że to życie nie jest i nie było usłane różami, nie biadoli, nie narzeka, bo „cóż można mówić o bolączkach dnia codziennego. Są jak w każdej rodzinie. Jednego dnia dziecko nabroi, zasmuci, a drugiego dnia jest tak dobrze, że do rany przyłóż".

Każdy z domowników ma swój udział w funkcjonowaniu domu, tworzeniu serdecznej atmosfery. Wujek to autorytet, wiedza i finanse, a także najlepszy majster od wszystkiego, co wymaga napraw. Ciocia jest od czuło-

ści, przytulanek, odrabiania lekcji, uczenia zasad dobrego wychowania i tego wszystkiego co może się w życiu przydać. Dziewczęta potrafią gotować, szyć, robić zakupy oraz wypiekać pyszne ciasta. Chłopcy uczeni są samodzielności i odpowiedzialności. Każde dziecko po sobie sprząta, pomaga także w domowych zajęciach. Wszystko odbywa się normalnie, bez musztry czy wymuszonej tresury. Ten dom jest ciepły. Trzeba widzieć te codzienne wyprawy do szkoły, te powroty, pożegnania i powitania.

Jestem konsekwentnym wujkiem. Wierzę, że mądrą perswazją, dobrym przykładem można wszystkiego nauczyć. Jasne, że dzieci, jak to dzieci, często sarkają i krzywią się na obowiązki, czy sposoby zachowania. Ale czas i cierpliwość pracują na efekty. Wszystkie dzieci informowane są o rodzinnych zamierzeniach, wspólnie sprzątamy, uprawiamy działki, robimy przetwory i decydujemy o zakupach. Nie jest łatwo, bo na wszystko nie starcza. W jednym miesiącu kupujemy buty dla dziewczynek, a w drugim chłopcom. A jeszcze kurtki są potrzebne, bo dzieci szybko rosną.

Wszystko odzwierciedla prowadzona kronika. Są zdjęcia i odnotowywane ważniejsze wydarzenia z życia rodziny. Pierwsze wakacje, imieniny, urodziny, święta. Dzieci z koszyczkami ze święconką, dzieci przy choince, dziewczynki w kuchni lepią pierogi i uszka. Są zdjęcia z wycieczki do Warszawy i z wczasów na Słowacji.

Nie było i nie jest lekko. Zresztą nikt nie obiecywał, że tak będzie. Ale gdy patrzymy, jak dzieci wyrosły na panienki i młodzieńców, ile jest w nich dobroci, wrażliwości i potrzeby miłości, to wiemy, że ten trud się opłaca.

*Jerzy Goliński*

# Koleżeńskie więzi

Przyjaźnie, zażyłe znajomości i koleżeńskie więzi nawiązywane są w najróżniejszych okolicznościach i na rozmaitych zasadach. Nie są do tego konieczne ważne przełomy czy wydarzenia historyczne, choć najlepszymi sprawdzianami rzetelności i trwałości stosunków oraz więzi łączących ludzi są na pewno sytuacje trudne, przełomowe i krytyczne.

Chociaż nasze urodziny przypadały na okres wojny i okupacji, to czas nawiązywania młodzieńczych znajomości i przyjaźni był czasem pokoju i stabilizacji, zarówno politycznej, jak i gospodarczej. Jednak i tak ogromna liczba uwarunkowań, zbiegów okoliczności i indywidualnych cech charakterów miała decydować o tym, czy przypadkowo skojarzona grupa ludzi na okres trzech lat wspólnego pobytu, będzie mogła po kilkudziesięciu latach twierdzić, że istnieją między nimi silne więzi koleżeńskie.

Liczącymi się czynnikami, które sprzyjały tworzeniu dogodnych warunków dla trwałych przyjaźni i znajomości, oprócz indywidualnych temperamentów i charakterów członków tej grupy oraz zrozumienia i wzajemnej tolerancji, była ogólna atmosfera w zegrzyńskiej szkole i klimat w kompanii, których ramy tworzyli ówcześni przełożeni. Natomiast życie kompanijne potoczyło się już swoim rytmem, wyznaczonym celami szkoleniowymi i wychowawczymi, a także dzięki przypadkom i zbiegom okoliczności, a każdy z nas musiał w nim znaleźć swoje miejsce.

## Pierwsze znajomości i przyjaźnie

Więzi koleżeńskie ochotników wcielonych w końcu września 1960 roku do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu koło Warszawy zaczęły się już kształtować 29 sierpnia tegoż roku podczas egzaminów wstępnych. Tu

los rzucił nas przypadkowym zrządzeniem na polowe łóżka w namiotach rozstawionych w okolicy ogródka sportowego. I tu poznawaliśmy imiona przyszłych kolegów, którzy obok siebie spali, siedzieli w jednej ławce podczas egzaminów lub byli sąsiadami w autokarze marki „MAN", wożącym nas na badania lekarskie do Warszawy. Byliśmy młodzieńcami, przeważnie w wieku 18–20 lat, z różnych zakątków Polski, bezpośrednio po maturze lub po okresie niezbyt udanych studiów, czy też po doświadczeniach pierwszej pracy, albo już w mundurach, po pewnym czasie służby wojskowej.

W trakcie egzaminów nie zauważało się agresywnego współzawodnictwa i zawiści, a raczej oznaki pomocy, czy dobrej rady, zarówno przy zdawaniu egzaminów ze sprawności fizycznej, jak i w salach w bloku szkolnym. Pamiętam, że w trakcie badań lekarskich bardzo zdziwił mnie fakt, gdy jeden z kolegów mający fatalny stan uzębienia, bez żenady przed gabinetem stomatologicznym poprosił jednego z wychodzących od dentysty, aby po pewnym czasie wszedł jeszcze raz, ale już z jego kartą. Ten wyraził zgodę i udało się.

Gdy 27 września 1960 roku stawiliśmy się w OSŁ, odruchowo szukało się twarzy poznanych miesiąc wcześniej. Nie było to łatwe, gdyż panował zamęt i gorączka charakterystyczna w koszarach dla dnia wcielenia młodego rocznika. Ponadto, z kandydatów na podchorążych utworzono dwie kompanie – trzecią, składającą się z pięciu plutonów i czwartą z trzech plutonów. A już po wizycie u szkolnego fryzjera – pana Zycha – dobrze było, jeśli człowiek sam siebie poznał w lustrze, nie mówiąc o kolegach widzianych miesiąc temu.

Podstawową czynnością, jaką przełożeni musieli dokonać, było podzielenie nas na plutony i przydzielenie dowódców. Ustawiono więc nas, jeszcze w cywilnych ubraniach, w dwuszeregu, dokładnie według wzrostu, po czym padła komenda „do czternastu odlicz". W ten oto sposób powstały grupy koleżeńskie, zwane w wojsku plutonami. Pluton został zaprowadzony na ogromną salę, gdzie pozwolono zająć sobie łóżka. Tak, jak staliśmy wchodziliśmy między rzędy łóżek i siadaliśmy na nich lub kładliśmy coś swojego.

Łóżka były ustawione parami. Przy jednej z par łóżek stał tylko jeden kandydat na podchorążego – śniady z bujną, czarną czupryną i w rozpinanym szaroniebieskim sweterku. Spytałem – czy to drugie łóżko jest wolne? Otrzymałem twierdzącą odpowiedź – łóżko to było już moje. Wymieniliśmy swoje imiona: Brunon, Jurek – i stało się, znajomość została zawarta. Ten przypadek, ten splot okoliczności związał nas na całe dalsze życie, nie tylko koleżeńskimi, ale i w pełni tego słowa znaczeniu przyjacielskimi więzami.

Przez trzy lata w szkole byliśmy z Brunonem w jednej drużynie, chociaż zmienialiśmy plutony. Jako oficerowie, pracę rozpoczynaliśmy w jednym batalionie, a i pierwszy urlop po zakończeniu szkoły spędziliśmy z Brunonem i jego żoną u moich rodziców w Sulęcinie. Byliśmy na swoich

ślubach i przyjęciach weselnych. Brunon jest chrzestnym ojcem mojej córki. Byliśmy wzajemnie na ślubach i weselach swoich dzieci. Spędziliśmy wspólnie wiele urlopów, jeżdżąc razem na wczasy, grzyby lub działki. Ponadto przez te wszystkie lata, a w tym roku obchodzimy 42-lecie wstąpienia do podchorążówki, spotykamy się sami, rodzinnie lub w większym gronie, przy każdej nadarzającej się okazji imieninowej, urodzinowej czy rocznicowej, a najczęściej bez żadnej okazji, gdy tylko czujemy taką potrzebę. Dzielimy się swoimi problemami, zarówno smutnymi, jak i radosnymi. Zawsze wzajemnie możemy liczyć na siebie, na radę, wsparcie i pomoc. I jak dotąd nie zawiodłem się na przyjacielu.

Koleżeńskie, czy przyjacielskie więzi naszego rocznika nie kończą się na tej jednej przyjaźni. Minione lata wykazały, że jesteśmy rzadko spotykaną społecznością, która utrzymuje wzajemne kontakty, lgnie do siebie i jest zżyta jak rodzina.

W podchorążówce byliśmy chyba rocznikiem średnim, niewyróżniającym się niczym nadzwyczajnym. Były wzloty i upadki, jak w każdej statystycznej kompanii. Jednak po latach dowiedzieliśmy się od ówczesnych przełożonych, że byliśmy dobrą i zgraną kompanią, a wyróżniało nas szczególnie to, że w porównaniu z innymi rocznikami u nas donosicielstwo, czyli tak zwane „kablowanie", zdarzało się nadzwyczaj rzadko.

W pierwszych dniach służby, więzi tworzone były na zasadzie pocieszania się i dodawania otuchy przy pokonywaniu trudów żołnierskiego życia, które dla ogromnej większości były uciążliwą nowością. Dzieliliśmy się zdobywanymi podczas pracy tajnikami metod szybkiego i skutecznego pozbywania się narosłej warstwy kamienia w rynnach pisuarowych czy kiblach, doprowadzania do połysku zaśniedziałych mosiężnych kranów lub polerowania podłogi i butów.

Pomagaliśmy sobie przy ścieleniu łóżek i doprowadzaniu ich do regulaminowego wyglądu oraz przy owijaniu nóg onucami tak, aby zmieściły się w buty i za szybko nie narobiły bąbli na stopach. Koleżeńską przysługą była każda pomoc, która umożliwiała mającemu do wykonania pracę, pójście po kolacji do kina, bo w pierwszych tygodniach służby tylko tam można było odpocząć, wygodnie posiedzieć i spokojnie pospać.

Jak już wspominałem, plutony w trzeciej kompanii były podzielone według wzrostu. W pierwszym były same dryblasy. My byliśmy w trzecim, a najniżsi w piątym plutonie. Ich nazywaliśmy „Pinczerami". Jednakże było to przezwisko bardziej pieszczotliwe, niż złośliwe. Nie pamiętam, aby między plutonami były jakieś antagonizmy, czy poważne tarcia, choć powszechnym zjawiskiem było współzawodnictwo w nauce, sporcie, w pracach porządkowych, śpiewie marszowym itp., które było inspirowane odgórnie przez przełożonych oraz przyjmowane ze zrozumieniem i niekiedy zapałem przez podchorążych. To też na pewno cementowało poczucie wspólnoty w plutonie.

## Tworzenie kolektywu i trwałych więzi

Z perspektywy czasu widzę, że w zżyciu plutonów i całej kompanii pozytywną rolę odegrał fakt, iż spaliśmy w ogromnych salach. Był to szeroki korytarz bez ścian bocznych, tylko z poprzecznymi ścianami działowymi bez drzwi, które jedynie częściowo odgradzały trzy wnęki po prawej i trzy po lewej stronie. W każdej z nich stało po dwanaście łóżek, czyli w sumie 72 łóżka.

Życie kompanii toczyło się więc jawnie, „przy otwartej kurtynie". Nie było lepszych, czy gorszych pokoi. Wszyscy mieli tak samo. Albo światło się paliło, albo dla wszystkich było zgaszone. Albo wszyscy słyszeli krzyki któregoś z kaprali i współczuli „docieranemu", albo dla wszystkich była cisza nocna.

Przyznaję, że brak było w takich warunkach intymności, ale przeciwdziałało to tworzeniu kast i tych „lepszych" grup, które w początkowym okresie służby odgrywałyby być może negatywną rolę w umacnianiu więzi kompanijnych na zasadzie równości. Śpiąc w takiej sali, mimo woli, wiedziało się wszystko. Kto i o czym gada przez sen? Kto „nałogowo" chrapie? Kto zgrzyta zębami? Komu okropnie pocą się nogi i kto po zjedzeniu kolacji ma dolegliwości żołądkowe? Po pewnym czasie można było zdobyć wiedzę o tym, czyje onuce najskuteczniej uciszają chrapiących lub jakimi pytaniami najłatwiej zachęcić śpiącego do gadania?

Niejednokrotnie przysługą koleżeńską było „krycie" kolegów przy drobnych czy większych przewinieniach lub naruszeniach regulaminu wojskowego. Na przykład nieobecności na zajęciach, „urywania" się z prac porządkowych lub z nauki własnej, a także ukrycie nieobecności któregoś z kolegów na apelu lub po capstrzyku.

Szefa kompanii mieliśmy bardzo czujnego i przebiegłego, ponadto cały dzień przebywał na terenie kompanii. Oszukanie go było dość trudnym zadaniem. Zresztą był starym podoficerem zawodowym, mającym wieloletnie doświadczenie, a my byliśmy młodym wojskiem. Gdy szef sprawdzał obecność po capstrzyku, ukrycie nieobecności kogoś prostymi metodami było niemożliwe, gdyż miał sposoby, aby nie dać się oszukać.

Układanie więc pod kocem poduszek i szczotki w miejscu czupryny, nie dawało pozytywnych rezultatów i narażało nas na śmieszność. Rozścielanie łóżka i tłumaczenie, że jest on w umywalni lub, że kończy jakąś pracę powodowało, że jego nazwisko dostawało się do notesu szefa, u którego miał się natychmiast meldować. Jakąż mieliśmy satysfakcję, gdy po kilku miesiącach wpadliśmy na skuteczny pomysł. Ktoś z obecnych kładł się na łóżku nieobecnego, a swoje łóżko pozostawiał rozścielone, ale wolne. Wówczas to jego nazwisko wędrowało do szefoskiego notesu, aby po

chwili zostało wykreślone, gdy zameldował swój powrót niby z toalety czy świetlicy.

Uczynność kolegów okazywała się bardzo pomocna podczas marszów z oporządzeniem, czy nocnych alarmów z wymarszami. Gdy na którymś tam kilometrze przechodziło się kryzys fizycznej wytrzymałości, wówczas można było liczyć na to, że kumpel weźmie pistolet, maskę przeciwgazową, czy coś ciężkiego z plecaka i poniesie przez jakiś czas, a niekiedy i do koszar.

Najbardziej utkwił mi w pamięci alarm z wymarszem, który miał miejsce 12 maja 1962 roku. O drugiej w nocy ogłoszono alarm, a wróciliśmy do koszar dopiero około godziny dwunastej. Przemaszerowaliśmy wówczas przeszło 42 kilometry, chociaż trasa miała być krótsza, jednak ktoś pomylił drogę i sporo nadłożyliśmy. W tym marszu bez pomocy koleżeńskiej, niejeden z chłopaków mógłby się załamać.

Po śniadaniu, które nam dowieziono na trasę, ruszyliśmy w kierunku Zegrza już w zupełnie luźny i dowolny sposób. Pomieszały się drużyny i plutony. Odpoczynki wyznaczano sobie indywidualnie. Jedni szli dziarsko, niosąc niemalże podwójne oporządzenie, a inni człapali ociężale, choć nie mieli już na sobie plecaka, hełmu, ani pistoletu. Mieliśmy też płaszcze, które w nocy nie sprawiały kłopotu, ale jak słońce przygrzało, stały się uciążliwym balastem.

Wyglądaliśmy, jak rozbita armia w bezładnym odwrocie i nie bardzo liczyli się już dowódcy i przełożeni, a jedynie wytrzymalsi koledzy, którzy mogli ulżyć słabszym. Ci, z poobcieranymi stopami i skrajnie wykończeni, podwożeni byli trochę do przodu sanitarką. Jednakże wsiadali tam naprawdę cierpiący, bo w ogóle w dobrym tonie było przejść całą trasę o własnych siłach. Kiedy już zbliżaliśmy się do Zegrza, a słońce solidnie grzało i suszyło spocone mundury, które na plecach, piersiach i pod pachami wyglądały jak posypane mąką, wtedy ze zdziwieniem stwierdziłem - ileż to z człowieka da się wycisnąć soli!

Marsz ten wrył się nam w pamięć jeszcze z innego powodu. Była to sobota, z zaplanowaną podchorążacką zabawą, na którą nasza kompania zaprosiła dziewczyny ze szkoły pielęgniarskiej z Warszawy. Po powrocie do koszar poszliśmy do łaźni, zjedliśmy obiad i pospaliśmy prawie aż do zabawy. A potem - o dziwo - wszyscy, którzy na niej mieli być, poszli i wspaniale się bawili do białego rana. Dowódca kompanii jeszcze dwadzieścia lat po promocji wspominał z szacunkiem i podziwem, jak szybko młode organizmy regenerują siły, przywracając werwę oraz chęć do zabawy.

Gdy najbardziej zwariowany okres do przysięgi mieliśmy już za sobą i czas wolny, uwidoczniony w porządku dnia, zaczął stawać się podobny do czasu wolnego, więzi koleżeńskie zaczęły kształtować się według charakterów i wspólnych zainteresowań. Jedni ćwiczyli w hali sportowej lub

na boisku piłkarskim, inni grywali w szachy lub karty, a jeszcze inni byli zwolennikami oglądania telewizji.

Był czas na indywidualne rozmowy, zwierzenia i opowiadania o czasach sprzed wojska, a więc o domach, rodzinach, sympatiach itp. Dla mnie, oprócz Brunona, drugą bliską osobą był Mietek Bąk. Tak to powoli, z przypadkowo skojarzonych ludzi, zaczęły tworzyć się grupki i grupy mniej lub bardziej zgrane, z których to składała się nasza kompania, też już będąca do pewnego stopnia docierającą się społecznością. A trzeba pamiętać, że byliśmy naprawdę zbieraniną z całej Polski i przed wojskiem prawie nikt się nie znał. Wyjątkiem byli na pewno bracia Otrembowie.

Po pierwszym roku nauki, część podchorążych zrezygnowała ze szkoły i poszła dosłużyć resztę służby w jednostkach wojskowych. Kilku odeszło do Wojskowej Akademii Technicznej lub zmieniło szkołę oficerską. W związku z tym zlikwidowano czwartą kompanię, a podchorążych przydzielono po kilku do naszych pięciu plutonów. Ponadto utworzono szósty pluton „teletechniczny".

Spowodowało to dość drastyczne zniszczenie koleżeńskich struktur, tworzonych w okresie całego roku, ale o dziwo zasymilowaliśmy się bardzo szybko i bezboleśnie. Przybysze z czwartej kompanii zaaklimatyzowali się w poszczególnych plutonach, na pewno nie bez pomocy i dobrej woli zdecydowanej większości, jaką była trzecia kompania podchorążych. Po kilku miesiącach stanowiliśmy jednolitą kompanię, bez żadnych rys i szram reorganizacyjnych.

Obaj z Brunonem dopiero po drugim roku nauki przeżyliśmy pełne obaw i wątpliwości przeniesienie do szóstego plutonu, pospolicie w kompanii nazywanego „głuchoniemymi". Składał się bowiem z tych, co nie mieli talentu lub zacięcia do „służby ruchu radio", czyli nadawania kluczem telegraficznym i odbierania na słuch alfabetu Morse'a. Nas wyselekcjonowano dopiero po drugim roku, bo podczas pracy „w kierunku" tworzyliśmy w sumie całkiem dobrą parę, mieszczącą się w normach wymagań. Było to możliwe, gdyż Brunon dobrze odbierał a kiepsko nadawał, natomiast ja o wiele szybciej nadawałem, niż byłem w stanie odebrać. W ten sposób doskonale się uzupełnialiśmy. Zdawało to jednak egzamin, dopóki par nie zaczęto zmieniać. W szóstym plutonie przyjęto nas nadspodziewanie ciepło i życzliwie, że w zasadzie nie czuliśmy goryczy odejścia ze swego dawnego plutonu.

Znaczącą rolę w tworzeniu atmosfery w kompanii mieli na pewno kolejni przełożeni, gdyż od ich pozytywnego lub negatywnego nastawienia i działania, kolektyw mógłby być skłócony i zawistny lub zżyty i koleżeński.

Pierwszym naszym dowódcą kompanii był major Jan Śmielak. Bardzo spokojny i stateczny oficer, mający dla nas, oprócz swojej regulaminowości, sporo wyrozumiałości i ojcowskiego podejścia. Utkwiło mi w pamięci następujące zdarzenie. W początkowych dniach pobytu w szkole, gdy przy-

padła mi pierwsza w życiu służba w kompanii, rano przed pobudką, gdy byłem sam przy stoliku podoficera dyżurnego, przyszedł na kontrolę właśnie dowódca kompanii. Oczywiście najczęściej, jako pierwszy, miał w zwyczaju przychodzić szef kompanii i miałem wyuczoną dla niego regułę meldunku. I stało się. Głośno i wyraźnie zameldowałem majorowi - obywatelu sierżancie kandydat Goliński ... Dowódca spokojnie wysłuchał całego meldunku, podziękował i fakt mojej fatalnej pomyłki skwitował jedynie stwierdzeniem - „widzę, że szef kompanii zdominował waszą wyobraźnię" i zostało to między nami, gdyż nie miałem z tego powodu żadnych uwag, ani reprymend od dowódcy plutonu lub jego pomocnika. W duchu byłem mu za to wdzięczny, bo wstydziłem się, że zasłużyłem na zarzut, iż nie rozróżniam stopni wojskowych.

Pierwszym naszym dowódcą plutonu był porucznik Stanisław Skibiński. Oficer pokrzykujący i wymagający raczej dla pokazu, a w rzeczywistości traktujący nas jako swoich młodszych kolegów. Między nim, a plutonem nie wyczuwało się wielkiego dystansu, którego miejsce często wypełniały jego barwne wspomnienia, opowieści, nauki i przestrogi. Dotyczyły one najczęściej działalności na płaszczyźnie wojskowej oraz damsko-męskiej. „Skiba", bo tak go nazywaliśmy między sobą, nie męczył nas zbytnio swoją obecnością, z czego w zasadzie byliśmy zadowoleni. Mieliśmy bowiem więcej swobody niż podwładni innych dowódców plutonów, na przykład kapitan Kaczmarek i porucznik Mańkowski byli dowódcami bardziej narzucającymi swą osobowość podchorążym.

Szefem kompanii przez całe trzy szkolne lata był starszy sierżant Tadeusz Szemborski, zwany „De Gaullem". On najbardziej dawał się nam we znaki. Obecny był w kompanii niemalże cały czas, a już na pewno pojawiał się wtedy, gdy nam najwygodniej by było, aby był nieobecny. Gnębił nas za porządki, docierał na służbie, prowadzał i pilnował na posiłkach, potrącał z żołdu za „zgubione" sorty mundurowe i oporządzenie. Był po prostu „upierdliwy".

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Okazało się bowiem, że dość dokuczliwy styl dowodzenia w wykonaniu szefa, cementował kompanię w solidaryzującym się bloku „antyszefoskim". Oczywiście z czasem niektórzy z kolegów znaleźli metody, jakimi najłatwiej było udobruchać szefa, a i pozostali jego gadaniem coraz mniej się przejmowali. On także na drugim i trzecim roku złagodził swoje metody. Jedno jest pewne. Rozmawiając o naszym szefie kilkanaście lat po promocji, każdy z nas był zgodny, że obecnie chciałby mieć takiego szefa kompanii wśród swoich podwładnych. A więc takiego, który tak dużo czasu, serca i uwagi poświęcałby swoim żołnierzom.

Pomocnikiem dowódcy w naszym plutonie był kapral Jan Bąk. Tak samo, jak my podchorąży, a oprócz tego - funkcyjny. Wstąpił do podchorążówki niemal już po odbyciu służby wojskowej. Krzyczał głośno, robił

dużo zamieszania, które pozytywnie było odbierane przez przełożonych, lecz naprawdę był opiekuńczym i wyrozumiałem dla swojego młodego wojska dowódcą.

Mnie udało się dość wcześnie zauważyć, że te krzyki, pośpiech i zamieszanie są tylko przyprawą, a nie kwintesencją życia żołnierskiego. Stało się to w pierwszych dniach, gdy kapral Bąk razem z kapralem podchorążym Guzikowskim (podchorążym trzeciego roku, będącym u nas na dowódczej praktyce) wyprawiali z nami różne „cuda", jak na przykład rozbieranie na czas i bieganie do umywalni. Czas oczywiście okazywał się zbyt długi, więc powrót odbywał się bez możliwości mycia. Potem ponowne ubieranie się na czas, zbiórka i znów rozbieranie się na czas i bieg do umywalni. I tak w kółko.

Zamiast być bliżej „regulaminowych" norm, według kaprali nasze czynności były coraz ślamazarniejsze, mimo tego, że już nikt nie sznurował butów, nie zapinał mundurów i często był niekompletnie ubrany. Oczywiście i ja się „nie wyrabiałem", choć bardzo się starałem i byłem przerażony swą niezaradnością. Jednak po siódmej czy dziesiątej próbie nie wytrzymałem i jak padła komenda „do umywali biegiem marsz", ja na wpół umundurowany padłem na podłogę między łóżkami i tam zostałem. Pluton oczywiście pogalopował do umywalni. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem z ukrycia, jak obaj kaprale, zanim statecznym krokiem ruszyli do umywalni, pokładali się ze śmiechu i wymieniali między sobą dowcipne uwagi. Przy tym wcale nie martwiąc się, że ich pluton nie mieści się w czasie. Jak już leżeliśmy w łóżkach podzieliłem się swoimi spostrzeżeniami z Brunonem i od tego czasu innymi oczami patrzyłem na pokrzykiwanie owych kaprali i na swoje niedołęstwo. Przyznam, że po tym fakcie trudności i przeciwności znosiłem o wiele łagodniej, przynajmniej psychicznie i nie podlegałem „paraliżowi" czynności, a nawyki żołnierskiego rzemiosła zacząłem przyswajać i utrwalać szybciej i skuteczniej.

W późniejszym okresie Janek lgnął do nas jak do kolegów, mimo że byliśmy jego podwładnymi. Dla potwierdzenia, że można go było traktować jako kumpla, niech świadczy następujący fakt. Przyszło lato i wakacje, my siedzieliśmy w koszarach, a serce rwało się do wolności. Namówiłem więc listownie rodziców, aby przysłali mi telegram, że mama jest ciężko chora. Mało tego, że powiedziałem o tym kapralowi Bąkowi, to jeszcze dałem mu 100 złotych, aby podczas raportu u dowódcy kompanii „pożyczył" mi je na podróż, bo ja, oczywiście, byłem zaskoczony, zmartwiony i finansowo nieprzygotowany - i tak się stało. Dostałem trzydniowy urlop okolicznościowy i spędziłem go w Sulęcinie z kumplami i całkiem zdrową mamą.

Jeśli chodzi o pomocników dowódców plutonów, to inni mieli nieco mniej szczęścia, gdyż doskonale pamiętam, jak współczułem chłopakom z czwartego plutonu, że mają za pomocnika złośliwca, który jeszcze długo

„docierał" ich przy każdej nadarzającej się okazji i chyba sprawiało mu to przyjemność.

Naszym pierwszym dowódcą drużyny był starszy szeregowy Romuald Preger. Ślązak, też podchorąży i już chyba po roku służby zasadniczej. Małomówny, powolny, mrukliwy - po prostu misiowaty. Swoje obowiązki dowódcze ograniczał do tego, co musiał robić. Szczególnie, gdy patrzyli wyżsi przełożeni. Nie był zwolennikiem „kapralskich wybryków" i nie docierał nas bez potrzeby i konieczności. Nie krzyczał i nie podnosił głosu. Choć przepraszam, raz krzyczał, a było to tak.

Jedną ze standardowych prac porządkowych na pierwszym roku były „kible" i tam spędzaliśmy znacznie więcej czasu, niż wskazywałyby na to nasze potrzeby fizjologiczne. Kibel się szorowało, czyściło, w kiblu czytało się prasę. Można było w nim spokojnie wypalić papierosa. Handlowało się za „fajki" szybszym opuszczeniem kabiny dla pilnie potrzebujących. W kiblu robiło się też psikusy, a jednym z nich było zatkanie szmatą wylotu rury od spłuczki tak, że przy spuszczaniu wody, strumień leciał na plecy będącego w pozycji kucznej lub w jego opuszczone spodnie, gdy wstawał. Oczywiście spłuczkę uruchamiało się sięgając z sąsiedniej kabiny.

Pewnego razu maczałem palce w takim żarcie i gdy otrzymaliśmy informację, że do „naszej kabiny" ktoś wszedł, jeden z nas podparł dla pewności drzwi, a drugi uruchomił spłuczkę. Rozległ się okropny wrzask i mnóstwo przekleństw oraz łomotanie w drzwi. Ktoś zgasił światło, a my uciekliśmy. Ale, o zgrozo! Okazało się, że tym pechowcem okazał się nasz dowódca drużyny. Oczywiście winni się przyznali i mogę przysiąc, że wtedy to Preger na pewno na nas krzyczał - i to jeszcze jak. Potem przekonały go chyba nasze zapewnienia, że nie na niego była to pułapka, gdyż w następnym dniu był jak zwykle spokojny, małomówny i nie przejawiał żadnych oznak złości ani objawów, które można by odczytać jako zemstę.

Być może nie wszyscy, ale ja pozytywnie wspominam swoich kolejnych przełożonych i pamiętam, że ich postępowanie nie wywoływało we mnie agresji, czy nienawiści w stosunku do kolegów, innych żołnierzy, jak i do nich samych. Sądzę, że ich celowe lub przypadkowe zachowanie działało na korzyść tworzenia się zdrowego kolektywu, jakim była trzecia kompania podchorążych.

## Na finiszu

Chyba najbardziej drastycznym momentem w okresie szkoły, który jednocześnie był swego rodzaju sprawdzianem dojrzałości naszego kolektywu, był fakt oddania przez komendanta szkoły pułkownika Edwarda

Gierasimczyka w nasze ręce, decyzji w sprawie przyszłości trzech naszych kolegów, przyłapanych na kradzieży, którym winę bezspornie udowodniono. Jeden kradł kolegom pieniądze, a dwaj pozostali ukradli koledze spodnie, które następnie sprzedali na bazarze Różyckiego. W obydwu przypadkach odbyły się sądy koleżeńskie z udziałem oskarżyciela, obrońcy i świadków. Obydwie sprawy wzbudziły w nas wiele emocji, rozterek i wątpliwości.

Wszyscy trzej na podstawie naszego wniosku, zostali przez komendanta szkoły usunięci z podchorążówki - choć jeden z nich był postacią znaczącą w kompani i powszechnie lubianą. Chociaż działo się to na kilka miesięcy przed zakończeniem szkoły. Widocznie w naszych sumieniach przeważyła naganność czynu, jakim jest kradzież i chęć przeciwdziałania możliwości zostania oficerami i wychowawcami ludzi z tak aspołeczną „przypadłością".

W okresie trzech lat pobytu w zegrzyńskiej podchorążówce, moje wyobrażenie o kompanii, jako o miejscu, w którym spędzamy swe życie, stale się zmieniało, łagodniało i nabierało nowego znaczenia. W początkowym okresie było to miejsce wiecznej udręki, z którego jedynie myślami można było uciec do domu, rodziny i cywilnego otoczenia. Nieco później przerywnikami stały się przepustki i urlopy, które były wyznacznikami przy liczeniu dni i tygodni służby, do następnej możliwości wyrwania się z koszar. Z czasem powroty do koszar stawały się coraz mniej przykre, a czas w nich spędzony zaczynał być nie tak uciążliwy, a niekiedy i wesoły oraz przyjemny. Zawsze jednak tu były koszary i towarzysze niedoli, a tam gdzieś daleko dom, rodzina, bliscy i swoboda.

Pamiętam dobrze, kiedy po raz pierwszy o swoim otoczeniu w zegrzyńskiej szkole pomyślałem jak o drugim domu - ciepło i sympatycznie. Było to co prawda dopiero na trzecim roku, ale jednak jeszcze przed opuszczeniem podchorążówki. Uczucie takie nawiedziło mnie podczas powrotu z którejś „dobówki", w okresie zimy 1962/1963 roku. Brnąłem wtedy smagany wiatrem przez zaśnieżony most na Bugo-Narwi. Już po dotarciu ostatnim pociągiem do Zegrza Południowego, spiesząc się, aby dojść do koszar na godzinę 0.30, bo o tej godzinie kończyły się przeważnie dobówki (przepustki dobowe). No i jeszcze zdążyć trochę pospać przed pobudką.

Wiedziałem, że czeka na mnie moje łóżko, że za chwilę wymienimy z kolegami wrażenia z mijającej niedzieli, że jutro będzie normalny dzień bez żadnych żołnierskich niespodzianek, że w pomieszczeniach będzie ciepło, że będę najedzony i otaczać mnie będą bratnie dusze, a jak będę chciał, to pójdę sobie po kolacji do kina. Zatęskniłem wtedy do koszar, nie do domu, i ze zdziwieniem uprzytomniłem sobie, że chyba jest mi tu dobrze.

Sprawdzianem zwartości i dojrzałości naszej kompanii było uczestnictwo grupy kilkudziesięciu podchorążych z trzeciego rocznika w ćwicze-

niach ministra obrony narodowej, marszałka Mariana Spychalskiego, zorganizowanych dla podchorążych różnych szkół oficerskich na poligonie drawskim w dniach od 15 czerwca do 2 lipca 1963 roku.

Mieliśmy tam mnóstwo swobody, gdyż dowódca naszego zgrupowania major Stanisław Staszewski i nasz ówczesny dowódca kompanii kapitan Lucjan Przeniosło traktowali nas po partnersku, już jako prawie oficerów. Były zadania na ćwiczeniach, które musieli wykonywać łącznościowcy i to było dla nas najważniejsze. Ponadto oprócz koniecznych zajęć obozowych było sporo luzu i panowało błogie lenistwo.

Na poligon przyjechaliśmy kolumną samochodową, ze swoją kuchnią i zaopatrzeniem, zasilaniem elektrycznym i łącznością telefoniczną. Obóz, czyli namioty z własnych pałatek, rozbiliśmy z dala od obozowiska innych szkół oficerskich, w lesie nad jeziorem. Czas wolny spędzaliśmy łażąc po okolicy, słynącej z pięknych lasów i jezior, łowiąc ryby, kąpiąc się i opalając. Nasi przełożeni umilali nam jeszcze ten pobyt w lesie zorganizowanymi wyjazdami do kina w Drawsku, a już bardzo pozytywnym zaskoczeniem był całodzienny, niedzielny wyjazd samochodami do Kołobrzegu. Oczywiście, w celach turystycznych. Wśród nas byli i tacy, którzy pierwszy raz zobaczyli morze.

Wracając, rozegraliśmy mecz siatkówki z reprezentacją wioski, w której akurat zgromadziło się sporo ludzi przy boisku sportowym. W innym miejscu przyłączyliśmy się do wiejskiej zabawy tanecznej, wzmacniając naszym akordeonem ich orkiestrę. Akordeonistą i właścicielem instrumentu był Andrzej Woliński. Oprócz uczestniczenia w tańcach, zaśpiewaliśmy kilka piosenek marszowych, a na pożegnanie zabawy naszą ulubioną i często śpiewaną piosenkę „Marysiu cześć, daj spokój łzom...", co bardzo podobało się i nawet rozczuliło niektórych starszych mieszkańców tej wioski.

Najprawdopodobniej w nagrodę za wzorowe i bezawaryjne obsługiwanie łączności podczas ćwiczeń i nie sprawianie kłopotów podczas całego pobytu na ćwiczeniach, przełożeni zaskoczyli nas pytaniem. Czy chcemy zwrotu pieniędzy za różnicę w wyżywieniu według normy „szkolnej", jaka nam się należała a „poligonowej", według której byliśmy żywieni? Czy tę całą kwotę chcemy przeznaczyć na zorganizowanie pożegnalnego ogniska? Oczywiście byliśmy wszyscy za drugim rozwiązaniem.

Jakież zdziwienie nas ogarnęło, gdy po kolacji, przy ogromnym ognisku znalazło się mnóstwo kiełbasy z pieczywem i musztardą, sterta paczek papierosów, a z gazika dowódcy wyniesiono skrzynki z wódką. Padła komenda ustawienia się dwójkami, a każda z nich dostała butelkę wódki do swojej dyspozycji. Co to był za bal!! Było góralskie śpiewanie, w którym prym wodził Stasio Lubiak oraz tańce, w których przewodził przebrany za góralkę Adam Śliwakowski. Śpiewom oraz kawałom i dowcipom nie było końca. Ucztowaliśmy niemalże do białego rana.

Jedyne krytyczne uwagi, jakie mieli do nas przełożeni, dotyczyły przesady w uświetnianiu ogniska wybuchami petard. Każdy z nas bowiem, przez ocieranie się w czasie ćwiczeń o „pozorację", nagromadził sobie sporo przeróżnych petard. Przez to ta nasza kanonada była rozmiarami bliska pozoracji ogniowej podczas kulminacyjnego dnia ćwiczeń.

Wiele razy w gronie kolegów, będąc już dowódcami plutonów, kompanii czy batalionów, wspominaliśmy tę libację. Najczęściej jednak z uczuciem pewnego zakłopotania, gdyż żaden z nas swojemu pododdziałowi nie odważyłby się dać wódki, tak oficjalnie i otwarcie. Zastanawialiśmy się - czy major Staszewski i kapitan Przeniosło byli beztroskimi ryzykantami? Czy też uznali, iż jesteśmy już tak dojrzałą grupą i tak zgraną kompanią, że można było nam zaufać? Do dziś pochlebiamy sobie i wierzymy, że nasi dowódcy nie byli nieodpowiedzialnymi lekkoduchami, a został spełniony ów drugi warunek.

Zbliżał się czas ostatecznych zaliczeń i końcowych egzaminów. Tu pomoc koleżeńska okazywała się często bardzo potrzebna. Koledzy mocniejsi z określonych przedmiotów, chętnie i z dużym zaangażowaniem i cierpliwością, uczyli słabszych lub bardziej leniwych. Utkwił mi w pamięci Zbyszek Kuryłek, stojący wieczorami w żołnierskiej sali lub świetlicy przed ogromnymi schematami ideowymi central telefonicznych i telegraficznych, urządzeń telefonii lub telegrafii wielokrotnej, tłumaczący już nie wiadomo który raz z kolei przebiegi zewów, rozmów i najróżniejszej sygnalizacji sterowanych pracą cholernych przekaźników, które zwierały lub rozwierały kolejne obwody mnóstwem swych sprężyn, rozmieszczonych w najmniej spodziewanych częściach i zakamarkach schematu.

Pamiętne było też zdawanie wychowania fizycznego na torze przeszkód, gdzie dla słabszych, którzy mogliby nie zmieścić się w wymaganym czasie, zorganizowany był nieformalny odpoczynek pod „ścianą płaczu". Tor przeszkód pokonywało się wówczas na dwie raty. Dobiegało się i doczołgiwało do „ściany płaczu", podsadzało na ścianę odpoczywających tam z poprzedniej pary, a następnie czekało się odpoczywając, aż kolejni straceńcy przybędą pod ścianę i pomogą się na nią wdrapać. Z miejsca, gdzie stał stolik komisji egzaminacyjnej zamiana ta była niewidoczna.

## Już z gwiazdkami i rodzinami

Przyszedł wreszcie dzień promocji - 1 września 1963 roku. Pasowanie na oficerów przez generała dywizji Wojciecha Jaruzelskiego. Były przemowy, defilada, gratulacje, rodziny, sympatie, żony, wspólny obiad, ucztowanie w kasynie i na łonie natury oraz pożegnanie z kolegami. Z wieloma na długie lata. Kończył się pewien, w sumie krótki, okres życia, ale dla wielu

znamienny i w zasadzie kończący młodzieńczy i w pewnym stopniu beztroski okres życia.

Rocznik nasz nie zdobył się na wykonanie kompanijnego „tablo" - jak to robiły inne roczniki. Nie wyznaczyliśmy z góry żadnych terminów koleżeńskich spotkań, ani obietnic ich organizowania. Każdy z nas myślami pełnymi obaw był już w jednostce, do której go przydzielono. Wielką niewiadomą było także to, czy akumulatory koleżeństwa i przyjaźni zostały przez te trzy lata wystarczająco naładowane, aby mogły kiedyś zaiskrzyć i dać impuls do kompanijnego spotkania, na którym będzie można z kolegami podzielić się swoimi doświadczeniami oraz powspominać dawne, dobre, podchorążackie czasy.

Jeśli chodzi o kontakty koleżeńskie naszego rocznika, to trzeba przyznać, że mieliśmy chyba trochę szczęścia. Do kilku miejscowości na terenie całej Polski poszły spore grupy absolwentów z naszej kompanii. Tak było z Warszawą, Sieradzem, Bydgoszczą, Zegrzem, Wałczem i Choszcznem. Być może ta okoliczność sprawiła, że organizowanie koleżeńskich zjazdów i spotkań było łatwiejsze, niż w przypadku, gdyby każdy z nas poszedł samotnie do innej jednostki.

Żegnając się ze szkołą, nie miałem uczucia bezpowrotnego zakończenia czegoś. Być może dlatego, że byłem świadom, iż idę do pracy na Węzeł Łączności MON do Warszawy razem z siedmioma kolegami z plutonu, wśród których był Brunon, a ponadto do kompanii łączności na Pelcowiźnie w Warszawie, idzie druga bliska mi osoba - Mietek Bąk. W dodatku obaj koledzy byli zaproszeni na urlop do Sulęcina, do moich rodziców. Zaproszenie zostało przyjęte i zrealizowane, więc nawet pierwszy urlop spędziłem z kolegami z podchorążówki.

Ośmiu podporuczników, byłych podchorążych szóstego plutonu, trafiło do batalionu dowodzenia MON w Warszawie, który był dopiero w trakcie formowania na bazie węzła łączności. Z tego powodu, oprócz dowódcy batalionu majora Waleriana Kaczmarka i nas ośmiu, nie było w nim żadnego żołnierza zawodowego - tylko młode wojsko z jesiennego poboru. Nic dziwnego, że czuliśmy się dalej jak na podchorążackiej praktyce z tym, że mieliśmy większe uprawnienia i nikt oprócz majora nie wtrącał się nam w dowodzenie.

Major był dla nas dowódcą, szefem kompanii, oficerem politycznym, ojcem, starszym kolegą i encyklopedią wojskową, gdyż w całym batalionie on tylko był doświadczonym oficerem i żołnierzem. Atmosferę, zwyczaje i niepisane prawa w batalionie tworzyliśmy my, szósty pluton z podchorążówki, a więc: Jerzy Fiuk, Władysław Gładkowski, Jerzy Goliński, Zbigniew Kuryłek, Brunon Majewski, Tadeusz Skowronek, Krzysztof Tomczak i Zbigniew Zastąpiłło. Nawet później, gdy przybyło więcej kadry z poważniejszym stażem i doświadczeniem, ton życiu batalionowemu nadawaliśmy nadal my.

Będąc w dużej grupie często rozmawialiśmy i wspominaliśmy podchorążackie czasy. W zasadzie przedłużało to atmosferę tamtych lat, wzbudzając tęsknotę i sympatię do wspólnie przeżytych wydarzeń. Do Warszawy trafiło jeszcze dziewięciu chłopaków z naszej kompanii. Ośmiu do 5 Pułku Łączności, a byli to: Andrzej Bieńkowski, Andrzej Bischoff, Witold Cieślewski, Henryk Fidura, Józef Joniak, Jan Juszkiewicz, Czesław Jasik i Jerzy Walczyński oraz Tadeusz Wojciechowski do Węzła Łączności Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. W pierwszym okresie po ukończeniu podchorążówki Warszawa była miejscem służby osiemnastu kolegów z trzeciej kompanii podchorążych. Zaś dwadzieścia lat później było już nas w Warszawie trzydziestu sześciu, czyli jedna czwarta rocznika.

Koledzy z naszej ósemki dość szybko się pożenili. Jedynie ja chodziłem w stanie wolnym przez sześć lat od ukończenia szkoły. Z naszej ósemki zrobiła się szóstka, gdyż Jurek Fiuk przeniósł się do Tomaszowa Mazowieckiego, a Zbyszek Zastąpiłło zginął w wypadku samochodowym.

W męskim gronie lub razem z żonami, a później i z dziećmi, spotykaliśmy się przynajmniej kilkanaście razy w roku na płaszczyźnie koleżeńskiej. Żony bardzo szybko stały się pełnoprawnymi członkami naszej grupy, przyjmując nasze zasady i tradycje oraz wprowadzając akcenty rodzinne i łagodząc nasze nieraz rubaszne obyczaje. Razem bawiliśmy się na balach sylwestrowych lub z okazji Dnia Kobiet i na innych zabawach organizowanych w jednostce oraz na takich imprezach dla dzieci, jak Choinka, Dzień Dziecka. Zbliżało to nie tylko nasze żony, ale i dzieci, które do dziś, a przecież wszystkie przekroczyły już trzydziestkę, zwracają się do nas ciociu i wujku.

Pomysły spotkań nie były nigdy rzadkością. Na przykład w jedną z majowych niedziel 1993 roku spotkali się na lodach w Łazienkach dziadkowie R-63. Były też babcie, dzieci i oczywiście wnuczęta. I choć rodziny nie były kompletne, to i tak było gwarno i wesoło. W spotkaniu uczestniczyły wnuczęta: Tomczaków, Majewskich, Skowronków, Kuryłków, Gorzelanych i Golińskich.

Kolegów z podchorążówki mieliśmy blisko siebie w ważnych i znamiennych sytuacjach życiowych. Moim świadkiem na ślubie cywilnym był Krzysiek Tomczak, a na kościelnym Mietek Bąk. Tadek Skowronek wiózł Syrenką do porodu moją żonę. Chrzestnym ojcem naszej córki jest Brunon. Ja byłem świadkiem na ślubie Mietka Bąka oraz trzymałem do chrztu jego córkę. Byłem też świadkiem na ślubie Władka Gładkowskiego. Byliśmy z żoną na weselach dzieci Tomczaków, Majewskich, Antkowiaków i Skowronków. Na weselach naszych dzieci było po trzy małżeństwa kolegów z kompanii, a w dodatku Mietek Antkowiak wiózł w nocy naszą córkę do porodu. To wszystko dotyczy zdarzeń związanych z moją osobą, ale wiem także, że i w innych grupach koleżeńskich naszego rocznika, fakty takie też nie były rzadkością.

Siłą roboczą przy większości przeprowadzek w naszym gronie byli koledzy z podchorążówki. Przy stawianiu domków na działkach znaczącą rolę odgrywali także chłopcy z plutonu. Na porządku dziennym były również wspólne wyjazdy na wczasy. Nawet na urlopach zagranicznych w Bułgarii byliśmy razem z Tomczakami, a z Majewskimi w Kanadzie, gdzie wnuki Brunona zaskoczyły nas transparentem „Witamy R-63 w Kanadzie". W latach, gdy były kłopoty z kartami wczasowymi, zawsze można było liczyć na Stefana Gojło, który nawet na jeden turnus wyczarowywał karty do ośrodka w Mrągowie dla kilku rodzin, z czego chętnie korzystaliśmy.

Służąc jeszcze w batalionie, wyjeżdżaliśmy często na ćwiczenia i doskonale potrafiliśmy, nawet w stresowych warunkach poligonowych, uchronić nasze dobre stosunki koleżeńskie od niejednokrotnie sprzecznych interesów, uwarunkowanych różną odpowiedzialnością i zależnościami służbowymi. Zdarzały się sytuacje, że bywaliśmy po różnych stronach. Udowadnialiśmy swoje, niekiedy sprzeczne racje, lecz wieczorem po ćwiczeniu, czy zajęciach, zapominaliśmy o służbowych rozbieżnościach i szliśmy razem na piwo. Organizowaliśmy jakiegoś kielicha lub graliśmy w karty, nie pozostawiając w pamięci żadnej urazy.

W okresie, gdy pracowaliśmy już w węźle łączności, pełniliśmy z Tadkiem Skowronkiem równorzędne funkcje. On w swojej komórce organizacyjnej miał sporą grupę telefonistek, a ja odpowiadałem między innymi za pracę ponad czterdziestu telegrafistek. Szefa mieliśmy wspólnego - majora Piotra Myszko. Zrównoważonego, bardzo życiowego i sprawiedliwego oficera. To wspólnie z nim, dwa lub trzy razy do roku, uzgadnialiśmy przegrupowania i nagrody dla pracowników cywilnych. Dlatego dość często dochodziło do kontrowersji między Tadkiem a mną, przy przeszeregowaniu lub nagradzaniu naszych pań.

Pewnego razu doszło do poważnej kłótni. Prawie skakaliśmy sobie do oczu, używając w dyskusji i przytaczaniu argumentów chwytów niemalże „poniżej pasa". Myszko był zaskoczony, zdenerwowany i zły. Skończyło się na tym, że sam zdecydował o spornych podwyżkach. Jakim dla niego było zaskoczeniem, gdy po piętnastu minutach wszedł do bufetu i zobaczył, jak obaj z Tadkiem siedzimy przy jednym stoliku, jemy śniadanie i wesoło o czymś rozmawiamy.

Podszedł wówczas do nas i dopiero wtedy dostaliśmy reprymendę, że nie pierwszy raz robimy u niego w kancelarii teatralne przedstawienie, a potem spływa to po nas, jak woda po gęsi. Przez to on żyje w stresie, gdyż sądzi, że nie potrafi stworzyć dobrej atmosfery między swymi oficerami, że zaprząta tym sobie głowę, źle sypia i jeszcze coś o wrzodach żołądka. Było nam bardzo głupio i przykro, bo przecież szczerze lubiliśmy pana Piotra. Obiecaliśmy więc, że w przyszłości będziemy się spierać nie tak spontanicznie. Przy okazji wytłumaczyliśmy mu, że jesteśmy kumplami z jednego plutonu, na których przyjaźń nie mogą mieć wpływu służbowe różnice zdań.

Po kilkunastu latach od rozpoczęcia przez naszą szóstkę pracy w batalionie, każdy z nas pracował już w innej instytucji. Jednak więzi koleżeńskie nie ucierpiały na tym i nasze rodziny nadal spotykały się przy różnych okazjach z nie mniejszą intensywnością. Być może, ze względu na ograniczone możliwości mieszkaniowe, przy organizowaniu spotkań imieninowych, czy rocznicowych, nasza szóstka (czyli dwunastka plus dzieci) była gronem dość sporym i hermetycznym. Jednocześnie na przestrzeni lat, w różnych domach naszej szóstki uczestnikami tych uroczystości byli także inni koledzy z podchorążówki (sami lub z żonami): Mietek Antkowiak, Mietek Bąk, Andrzej Bischoff, Zdzisław Gorzelany, Stefan Gojło, Karol Kociałkowski, Staszek Nowak i inni.

Oddzielnym rozdziałem kontaktów i więzi koleżeńskich R-63 jest Brunon, który z racji długoletniej służby w organach kadrowych, to jest w Oddziale Kadr Sztabu Generalnego WP, a następnie Departamencie Kadr MON, był otwarty i chętny na wiele spotkań i rozmów koleżeńsko-kadrowych. Właśnie on od wielu lat czuwał nad naszymi drogami kadrowymi, służył radą i pomocą. Przy przeniesieniach i awansach niektórych kolegów z naszego rocznika dokonywał karkołomnych i ryzykownych operacji kadrowych. Jego przełożeni, współpracownicy i podwładni doskonale wiedzieli co znaczy hasło „R-63".

Brunon był nawet pobłażliwy i życzliwy dla telefonicznych „interesantów" z naszej kompanii, którzy przypominając się mówili: „pamiętasz mnie chyba Rychu?" Trzeba wiedzieć, że w trzeciej kompanii podchorążych było dwóch Majewskich - Brunon i Ryszard. Rysiek w szkole był bardziej widoczną indywidualnością. Nie tylko ze względu na osiągnięcia sportowe, ale przede wszystkim dlatego, że zawsze wychodził na zbiorki ostatni i przez tę swoją flegmę, często narażał się szefowi, ku uciesze stojących w szyku kolegów.

Brunon wyszukiwał możliwości przesunięć na stanowiskach, przeniesień i awansów w poległych sobie kadrowo wojskach łączności i do atrakcyjnych propozycji przymierzał i miał w zanadrzu spełniającego warunki kolegę z naszego rocznika.

Z mojego przebiegu służby jestem bardzo zadowolony, ale w ogromnej mierze jest to zasługa Brunona. Zmieniałem instytucje cztery razy, zawsze pilotowany przez niego. Za każdym razem z korzyścią, niekiedy bardzo istotną. Ale i jego rady, odnośnie spełniania warunków, brałem zawsze bardzo poważnie do serca. To on, jeśli nie zmusił mnie, to na pewno zdopingował do studiów inżynierskich, następnie magisterskich i w końcu podyplomowych. Wiem i jestem o tym głęboko przekonany, że droga kadrowa wielu kolegów z naszego rocznika byłaby mniej ciekawa, gdyby nie fakt, że w kadrach mieliśmy swego dobrego ducha, który czuwał, dobrze radził, dbał, pamiętał i popychał.

# Zjazdy i spotkania

Na pewno nie tylko w naszym gronie, przy okazji spotkań, padały propozycje i snuto plany zorganizowania zjazdu naszego rocznika. W dziesiątą rocznicę wstąpienia do podchorążówki skrzyknęliśmy kilku kolegów na kielicha. Oprócz naszej szóstki był też Mietek Bąk, Mietek Jaźwiecki i Czesiek Jasik. Wtedy też rozmawialiśmy o konieczności zorganizowania zjazdu w dziesiątą rocznicę promocji. Konkretnie jednak do roboty wzięła się grupa pracująca w Zegrzu.

W tamtych czasach nie było jeszcze w modzie organizowania w wojsku koleżeńskich spotkań. Jeśli odbywały się zjazdy, to organizowane oficjalne przez komendanta szkoły czy szefa rodzaju wojsk z okazji ważniejszych jubileuszy i rocznic, dla „wybrańców" danej służby lub zacniejszych absolwentów szkoły.

Ówczesny komendant zegrzyńskiej podchorążówki robił naszym organizatorom spore trudności, włącznie z uszczypliwymi uwagami w rodzaju „to jakieś towarzystwo wzajemnej adoracji" i tym podobnymi. Jednak komitet z Edkiem Szybowskim na czele, któremu dzielnie sekundowali Antek Wieczorek, Staszek Nowak i reszta zegrzyniaków, przebrnął przez wszystkie niedogodności i rozesłał zaproszenia na dzień 15 września 1973 roku.

Byłoby to zbyt piękne, aby bez zgrzytów się udało. Więc na około trzy tygodnie przed terminem zjazdu komendant wycofał zezwolenie na jego organizację w ustalonym wcześniej terminie, motywując to bardzo ważnymi przyczynami służbowymi. Wyraził jednak zgodę, aby odbył się tydzień później. Organizatorzy przeżyli ciężkie chwile. Dokonano koniecznych zmian w planie, wydrukowano następne zaproszenia i rozesłano je do gości i kolegów.

Trudno przewidzieć, ilu absolwentom uniemożliwiło to wzięcie udziału w zjeździe. Byliśmy wtedy kapitanami i większość z nas o zgodę na wyjazd do Zegrza musiała występować z raportami do przełożonych. Heniek Kozak, ze względu na niemożliwość zamiany swojej służby, nie był na zjeździe i dziesięć lat później wspominał z rozżaleniem, że była to ze strony przełożonych, w stosunku do jego osoby, prowokacja większa - jak stwierdził - od „prowokacji gliwickiej".

Pierwszy nasz zjazd z okazji dziesiątej rocznicy promocji odbył się w Zegrzu 22 i 23 września 1973 roku. Wzięło w nim udział pięćdziesięciu pięciu absolwentów i siedemnastu gości, byłych dowódców, wykładowców i reprezentantów ówczesnej komendy szkoły. Był to pierwszy w historii zegrzyńskiej podchorążówki zjazd koleżeński absolwentów jednego rocznika.

Były oficjalne wystąpienia, burzliwe dyskusje na temat dowodzenia i szkolenia wojska oraz stopnia, w jakim szkoła do tych zadań nas przygo-

towała. Były żarty i kpiny z pierwszych łysin i z nielicznych jeszcze wtedy zbyt wydatnych brzuchów i oczywiście typowe wspominkowe i wizjonerskie rozmowy, jakie się prowadzi z kolegami do późnych godzin nocnych, siedząc przy stole suto zastawionym jadłem i napitkiem. Spaliśmy oczywiście w ogromnych salach, jak za podchorążackich czasów, co automatycznie zachęcało nas do kawałów i żartów podobnych do tych, jakie robiło się śpiącym dziesięć lat wcześniej.

Na pierwszym zjeździe rozprowadziliśmy także zdjęcia wykonane dziesięć lat temu przez Wojskową Agencję Fotograficzną, których dotąd prawie nikt nie widział oraz gremialnie wymieniano się swoimi „namiarami", czyli służbowymi i prywatnymi adresami, numerami telefonów i składano sobie obietnice wzajemnych odwiedzin.

Mijały kolejne lata i zbliżał się termin dwudziestolecia naszej promocji. Zjazdy koleżeńskie w Zegrzu stały się już rzeczą normalną, gdyż kilka roczników też zorganizowało swoje spotkania.

Do drugiego zjazdu postanowiliśmy przygotować się nieco solidniej i z większym wyprzedzeniem. A więc już w 1981 roku zabraliśmy się do pracy. Po pierwsze, postanowiliśmy znaleźć lub uaktualnić adresy i kontakty z jak największą liczbą naszych kolegów. W tym celu uaktywniliśmy tak zwanych „kierunkowych" w poszczególnych okręgach wojskowych i rodzajach wojsk oraz uruchomiliśmy wszystkie możliwości, jakie dawała nam praca w wojskach łączności. Rozesłaliśmy do kolegów spis ponad pięćdziesięciu piosenek śpiewanych przez nas w podchorążówce, w celu wybrania dwudziestu najpopularniejszych i wydania śpiewnika.

Rozesłaliśmy do wszystkich ankiety sondażowe z prośbą o odpowiedzi na pytania dotyczące celowości organizowania zjazdu, terminu i ewentualnej jego formy. Przy okazji informacji organizacyjnych wysłaliśmy także treść piosenki do odśpiewania na zjeździe. Dotyczyła ona naszego rocznika, a jej tytuł brzmiał „Nasz Jubileusz".

Ta przeszło dwuletnia działalność organizacyjna sama w sobie niosła odnowienie kontaktów koleżeńskich przy poszukiwaniu adresów kolegów trudnych do „namierzenia". Spotkania, wpierw „grupy inicjatywnej", a później „komitetu organizacyjnego", też cementowały więzi między nami. Tym bardziej że wciągaliśmy w sprawy organizacyjne i pomocnicze wielu kolegów z Warszawy, Zegrza i „terenu". Tym razem ja miałem przyjemność przewodniczyć komitetowi organizacyjnemu, a najefektywniejszymi współpracownikami byli: Guenter Adamczyk, Zdzisław Jawor, Brunon Majewski, Stanisław Nowak i Edward Szybowski.

Wysiłki nasze dały rezultaty, gdyż na 149 promowanych nie udało nam się jedynie zdobyć kontaktu z osiemnastoma kolegami i to przeważnie z tymi, którzy dość wcześnie odeszli do rezerwy. Wypełnione ankiety nadesłało dziewięćdziesięciu sześciu kolegów. Czyli ustalenia, jakie zapadły na podstawie odpowiedzi ankietowanych, były zgodne z życzeniami i oczekiwa-

niami zdecydowanej większości naszej kompanii. A oto one w skrócie: Koniecznie zorganizować we wrześniu dwudniowy zjazd w Zegrzu. Bez udziału żon. Przyjeżdżamy w mundurach. Udział biorą i rezerwiści, a składka finansowa powinna się kształtować według potrzeb organizacyjnych.

Zjazd z okazji XX-lecia naszej promocji odbył się w Zegrzu 10 i 11 września 1983 roku. Udział w nim wzięło siedemdziesięciu trzech absolwentów oraz dziewiętnastu zaproszonych gości.

Program przewidywał część oficjalną, zwiedzanie bazy szkoleniowej i oczywiście uroczystą kolację. Było wiele wspomnień, opowieści ze służby i życia, dowcipów, planów na przyszłość, toastów za przyjaźń i za zdrowie. Wszystko przeplatane chóralnymi śpiewami piosenek marszowych, śpiewanych przed laty w podchorążówce, a dla przypomnienia ujętych w naszym śpiewniku „Zegrzyniacy R-63", w którym to na pierwszej pozycji jest ciesząca się największą popularnością ułańska piosenka „Rozkwitały pęki białych róż". Na tym zjeździe po raz pierwszy odśpiewaliśmy „Nasz Jubileusz" i piosenkę tę śpiewamy na każdym zjeździe i spotkaniu. Jest ona coraz dłuższa, gdyż z okazji następnych zjazdów i niektórych spotkań dopisywane są kolejne zwrotki. Pełny tekst „Naszego Jubileuszu" zawarty jest w dokumentach końcowej części książki.

W drugi dzień zjazdu, przed pożegnalnym śniadaniem, na stadionie ścigali się Władek Urbaniak i Heniek Kozak, co było ogłoszone poprzedniego dnia wieczorem i zamykało ich podchorążacką rywalizację w biegach długich. Odbywało się to przy gorącym dopingu nieco niedospanych kolegów. Śniadanie trwało długo. Pożegnaniom nie było końca. Były też plany i przyrzeczenia, że na tych dwóch zjazdach, naszych spotkań nie zakończymy. Trudno było wyekspediować autokar do Warszawy, bo ciągle ktoś z autobusu przypominał sobie, że się jeszcze nie pożegnał z którymś z pozostających i korzystających z innego środka lokomocji.

Na zjeździe okazało się, że duszę i ochotę to nadal mamy podchorążacką, ale zdrowie i wytrzymałość niestety już podpułkownikowską. Dlatego też „komitet" już wtedy był w większości przekonany, że następne spotkanie będziemy organizować z uczestnictwem żon. Stwierdziliśmy bowiem, że koledzy mniej zdrowia stracą szalejąc przy orkiestrze na parkiecie, niż siedząc całą noc przy stole.

Tak się też stało. W 1988 roku Zbyszek Berliński zorganizował spotkanie w Borównie koło Bydgoszczy z okazji XXV-lecia naszej promocji. Odbyło się ono 24 i 25 września i oczywiście z żonami. Tutaj nasze małżonki miały okazję poznać dużo więcej kolegów swoich mężów, niż dotychczas znały. Na tym spotkaniu wprowadzono zwyczaj i obowiązek zwracania się do wszystkich na „Ty" jako dowód przynależności do wielkiej rodziny R-63. W spotkaniu wzięło udział pięćdziesięciu jeden absolwentów i dwadzieścia dziewięć żon oraz nasi przełożeni z podchorążówki, Lucjan Przeniosło i Stanisław Skibiński z żonami.

W Borównie wpadł ktoś na pomysł, który stał się później zwyczajem i tradycją, aby koledzy, którzy przyjechali bez żon, mogli sobie potańczyć. Był to „odbijany" z obdarowywaniem dotychczas tańczącego krzesłem, aby mógł sobie odpocząć i przekazać później krzesło dalej. Na następnych zjazdach krzesło zastąpiono kwiatkiem doniczkowym, łyżką wazową itp., ale zawsze tracący partnerkę dostawał coś w zamian. Przewidywania organizatorów sprawdziły się, gdyż rano z grona tych co przyjechali „samopas", większość legitymowała się objawami nadszarpniętego zdrowia, a dwóch samotników nie dość, że nie stawiło się na kompanijną zbiórkę, to również nie zdążyło wsiąść do odjeżdżających autokarów.

Po udanym Borównie doszliśmy do wniosku, że nasze spotkania nie muszą odbywać się w Zegrzu, a nawet byłoby wskazane, aby odbywały się w różnych rejonach Polski, łącząc w ten sposób nasze koleżeńskie spotkania z elementami krajoznawczo-turystycznymi.

Na następne spotkanie nie musieliśmy czekać dziesięciu, ani nawet pięciu lat, gdyż zorganizowała je grupa warszawska z Karolem Kociałkowskim na czele w wojskowym ośrodku wypoczynkowym w Ryni nad Zalewem Zegrzyńskim. Odbyło się ono 22 września 1990 roku z okazji XXX-lecia wstąpienia do podchorążówki. Oczywiście z żonami, zabawą taneczną i frekwencją dwudziestu siedmiu absolwentów i dwudziestu jeden żon.

Od Ryni pozostało jedynie trzy lata do XXX rocznicy promocji, której uświetnienie zjazdem wszyscy uważali już za coś normalnego. Dlatego niezorganizowanie go byłoby dla wielu z nas przykrym zaskoczeniem. Komitet organizacyjny powstał na bazie tego sprzed dziesięciu lat i mnie też obarczono zaszczytem przewodniczenia. Grono zaangażowanych w sprawy organizacyjne trochę się powiększyło i chyba już wtedy zaczęła się samorzutnie tworzyć grupa chętnych do pracy i bardzo przychylnych idei kontynuowania naszych spotkań. Nazwaliśmy ją najpierw „Stałym Komitetem Organizacyjnym", później nazwanym nieco żartobliwie „Radą Starszych", a byli to: Andrzej Bischoff, Jerzy Goliński, Karol Kociałkowski, Brunon Majewski, Jerzy Mazurkiewicz, Piotr Michalski i Antoni Wieczorek.

Zjazd z okazji XXX-lecia promocji odbył się w Zegrzu 11 i 12 września 1993 roku i cieszył się rekordową w sumie liczbą stu uczestników: pięćdziesięciu czterech absolwentów, trzydziestu jeden żon i piętnastu gości.

Na tym zjeździe ostatni raz tak liczna grupa absolwentów, bo aż dwudziestu czterech, zjawiła się w mundurach. Zarówno ci w służbie czynnej, jak i rezerwiści. Tu udekorowaliśmy naszych byłych przełożonych sygnetami zegrzyńskiej podchorążówki. Na tym zjeździe zapadły ostateczne decyzje związane z wydaniem „Pamiątkowej odznaki absolwenta Oficerskiej Szkoły Łączności roku 1963". Odznaki te, w bardzo krótkim czasie po zjeździe, zostały wykonane i wraz z certyfikatami wręczone właścicielom. Każda z nich miała wygrawerowany na odwrocie numer kolejny i datę 11 IX 1993.

W sumie wykonano siedemdziesiąt siedem odznak od 00 do 76. Odznakę 00 przekazano do Muzeum Wojsk Łączności. Odznakami o numerach 60 do 67 udekorowaliśmy naszych dawnych przełożonych z Oficerskiej Szkoły Łączności i generała Wojciecha Jaruzelskiego - osobę nas promującą. Natomiast pozostałe od numeru 01 do numeru 59 i 68 do 76 przydzielono absolwentom według uznanego wkładu w umocnienie więzi koleżeńskiej naszego rocznika i wielokrotności uczestnictwa w zjazdach i spotkaniach. W późniejszym czasie dorobiono jeszcze piętnaście sztuk odznak dla kolegów pragnących posiadać duplikaty. Sprawami związanymi z rozpropagowaniem pomysłu oraz projektowaniem i wykonawstwem odznak zajmował się Jurek Mazurkiewicz.

Zjazd ten był znamienny jeszcze i z tego powodu, że aktualnym komendantem szkoły był nasz kolega, z byłej trzeciej kompanii podchorążych, Witek Cieślewski. Od zjazdu XXX-lecia weszło do tradycji naszych spotkań wspólne odśpiewanie podczas pożegnalnego śniadania, stojąc w kręgu i trzymając się za ręce - piosenki „Upływa szybko życie...". Jest to piosenka refleksyjna i niejednej z żon zakręciła się łezka w oku, a my też z uczuciem smutku zrozumieliśmy, że już w dokładnie takim samym gronie nie spotkamy się nigdy. Być może kogoś z nas zabraknie wśród żywych, gdy będziemy tę piosenkę śpiewać następny raz.

Uprzytomniliśmy sobie, że zwyczaj spotykania się co pięć lat lub co trzy lata niesie za sobą dość długi okres oczekiwania. A że w gronie tym czujemy się dobrze i bardzo swojsko, więc postanowiliśmy - nie bez inicjatywy i zaangażowania naszych żon - spotykać się częściej. Jak się uda, to co rok, bo czas upływa nieubłaganie, a nam lat nie ubywa.

Minęły następne dwa lata i z okazji XXXV-lecia wstąpienia do podchorążówki Stefan Fręśko zorganizował spotkanie na Helu w SNDW (Sezonowy Nieetatowy Dom Wypoczynkowy) „Kormoran". Odbyło się w terminie 1-3 września 1995 roku, a udział w nim wzięło trzydziestu pięciu absolwentów i dwadzieścia cztery żony. Przyjęto nas prawdziwie po marynarsku. Z Gdyni na Hel płynęliśmy holownikiem, a po imprezie, z Helu do Gdyni, trałowcem. Było zwiedzanie portu, latarni morskiej, stanowisk dawnej artylerii cyplowej i wielu innych obiektów. Ponadto ognisko z kiełbaskami, które właśnie od Helu weszło do tradycji spotkań, bankiet przy marynarskiej orkiestrze, pożegnalne śniadanie i deklaracja następnego organizatora, że zobaczymy się za rok, co spotkało się z ogólnym aplauzem i radością uczestników.

Tym następnym był Zbyszek Burniewicz, który zorganizował spotkanie w Lidzbarku Warmińskim w ośrodku „Świteź", w okresie 13-15 września 1996 roku. Odbywało się ono pod hasłem XXXV rocznicy połączenia w OSŁ trzeciej i czwartej kompanii, jako że żadna okrągła rocznica promocji ani wstąpienia do podchorążówki w tym roku nie przypadała. Mimo to zebrało się nas trzydziestu pięciu i dwadzieścia sześć żon. W czasie spo-

tkania zwiedzaliśmy zamek w Lidzbarku oraz sanktuarium w Stoczku, a z rozrywek, już tradycyjnie w jeden wieczór ognisko, w drugi - bankiet. Oczywiście przy wspólnym stole, orkiestrze i w wyśmienitych nastrojach.

W ogóle nasze zabawy taneczne, bankiety czy bale też są czymś niepowtarzalnym, gdyż takiej atmosfery nie spotyka się często przy innych okazjach. Tu znają się dosłownie wszyscy i to nie od roku czy pięciu lat, a od kilkudziesięciu. Jesteśmy w jednym wieku, bo roczniki naszych urodzin w zasadzie zamykają się w trzech latach. Natomiast rozrzut wieku naszych żon jest trochę większy, ale w przeważającej liczbie też są rówieśniczkami.

Zabawa tak dużej grupy osób w jednym wieku, ma swoje zalety. Nikt się niczemu nie dziwi i nie ma problemu skrępowania swoim wiekiem, posturą czy tuszą. Dlatego toczy się zawsze we wspaniałej atmosferze i na całkowitym luzie. Przecież duszę każdy z nas ma ciągle młodą i jest normalną rzeczą, gdy nasze dziewczyny zatańczą kankana, a chłopaki odtańczą solówki. Bardzo często taniec parami zmienia się w ogólną zabawę w kręgu, kółku lub w tak zwanym wężu. Nawet jeśli ktoś w tańcu nastąpi komuś na odcisk lub potrąci łokciem, może się w zamian jedynie spodziewać szczerego uśmiechu i przyjacielskiego gestu. I gdzie by człowiek nie spojrzał, widzi się życzliwe i swojskie twarze, znane od wielu, wielu lat.

Ze względu na rozpiętość wieku i przypadkowość uczestników, takiego klimatu nie znajdzie się na balu sylwestrowym, ani na weselu, bo choć tam bawi się w zasadzie rodzina, to nierzadko te jej dwie części, które dopiero zaczynają się poznawać i jak często bywa, zawieranie tych znajomości kończy się większą lub mniejszą draką, a czasem jakąś bójką. U nas, jak sięgam pamięcią, nie zdarzyło się, aby na parkiecie czy poza nim były jakieś przepychanki, a jak nietrudno sobie wyobrazić, nieraz solidnie „kurzyło się nam z głów".

Ledwo przebrzmiały echa Lidzbaka, a już szykowaliśmy się na dwa kolejne spotkania w 1997 roku. Pierwszy raz spotkaliśmy się 28 czerwca podczas ostatniej promocji w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu, aby zaznaczyć swą obecność w akcie kończącym działalność tej uczelni. Po prostu zlikwidowano naszą podchorążówkę, zaskakując tym nie tylko nas, ale i wielu łącznościowców związanych profesjonalnie i emocjonalnie z Zegrzem.

Byliśmy jedynym rocznikiem, oprócz promowanego, który zwartą grupą i w sposób zorganizowany pożegnał swoją podchorążówkę. Zebrało się nas dwudziestu dwóch absolwentów (bez żon) i „Skiba", były nasz dowódca plutonu, najbardziej związany z naszym rocznikiem. Zresztą Stasio nie tylko uczestniczy jako zaproszony gość w zjazdach, które organizujemy w Zegrzu, ale i w spotkaniach organizowanych na równych dla wszystkich zasadach. A więc spotkaniach, w których biorą udział nasze żony i jego również.

Stroną kwatermistrzowską, po oficjalnych uroczystościach promocyjnych, zajął się Antek Wieczorek. Był uroczysty obiad, spacer nad zalewem i uroczysta kolacja. Okazja w gruncie rzeczy smutna, ale w sumie bawiliśmy się dobrze. Po prostu tak jak na stypie.

Aby nasze małżonki nie pomyślały, że wracamy do zwyczaju, gdy na spotkania jeździliśmy sami, we wrześniu też było przygotowane spotkanie i to z okazji XXXV-lecia pożegnania z podchorążackimi lampasami. Właśnie do września 1962 roku naszym podchorążackim umundurowaniem były granatowe spodnie z szerokimi czerwonymi lampasami i zielone kurtki z czerwonymi naramiennikami i wypustkami kołnierzy.

Spotkanie odbyło się w Tleniu (Bory Tucholskie) w Wojskowym Domu Wypoczynkowym „Rybitwa", w okresie od 5 do 7 września 1997 roku. Organizatorem spotkania, już po raz drugi, był Stefan Fręśko. Wzięło w nim udział dwudziestu ośmiu absolwentów i dwadzieścia pięć żon. Pamiętny był wyjazd autokarem z Warszawy, na który wpierw oczekiwaliśmy około dwie i pół godziny, a który później na trasie zapalił się i musieliśmy korzystać z pomocy straży pożarnej. Na szczęście nic złego nikomu się nie stało i tym samym autokarem dojechaliśmy sporo spóźnieni do Tlenia.

W ogóle dojazdy autokarami na miejsce spotkań też mają już swoją historię i tradycję. Jak dotąd zawsze z Warszawy wyjeżdżał autokar (albo dwa) i zabierał nie tylko warszawiaków i mieszkańców okolic, ale i przyjeżdżających innymi środkami lokomocji do Warszawy oraz oczekujących na trasie. W zasadzie impreza zaczyna się już od chwili wsiadania do autokaru. Tu są pierwsze przywitania, rozdawanie zaległych zdjęć z poprzedniego spotkania, opowieści, wspomnienia i czujemy się młodzi, jak za podchorążackich czasów, skorzy do żartów, kawałów i psikusów. W zasadzie każdy ma swój fotel, ale w czasie jazdy ciągle, jak pszczoły w bukiecie kwiatów, zmieniamy swoje miejsca. Wszystko zależy od tego, komu akurat chcemy przekazać zdjęcie z poprzedniego zjazdu lub coś ciekawego powiedzieć, albo od kogo czegoś się dowiedzieć.

W drodze powrotnej autobus był jeszcze weselszy, bo najczęściej jeden lub kilku „podczaszych" przechadzało się między fotelami i nie dało zasnąć zmęczonym uczestnikom wycieczki. Kłopot był tylko z ciągłymi potrzebami postoi, ze względu na pełne pęcherze. Zdarzało się i tak, że koledzy, którym coś poważnego uniemożliwiało wzięcie udziału w spotkaniu - wpadali choć na chwilę pod Pałac Kultury, bo tam mamy zawsze punkt zborny, aby przywitać się i pogadać trochę z kumplami, a później z żalem pomachać odjeżdżającym.

Przyszła pora na XXXV rocznicę naszej promocji i czas na zorganizowanie kolejnego zjazdu. Szkoły w Zegrzu już nie było, ale na szczęście zapadły decyzje, że „Zegrze" nie pójdzie w obce ręce i powstało tam Centrum Szkolenia Łączności, na terenie którego, czyli dawnej szkoły, w dniach 19 i 20 września 1998 roku zorganizowana była uroczystość.

Organizacją zjazdu zajął się Stały Komitet Organizacyjny, któremu w roku XXXV-lecia przewodniczył Karol Kociałkowski, a uczestniczyło trzydziestu sześciu absolwentów, dwadzieścia pięć żon i czwórka z dziewiątki zaproszonych gości.

Jednym z bardziej znamiennych wydarzeń zjazdu było odsłonięcie, umieszczonej na ogromnym głazie, tablicy pamiątkowej.

**„Tkwię tu dając dowód umiłowania Ojczyzny i prawdziwej męskiej przyjaźni."**

**W 35-LECIE PROMOCJI OFICERSKIEJ PODCZAS X ZJAZDU KOLEŻEŃSKIEGO**

**ABSOLWENCI**
**Oficerskiej Szkoły Łączności 1963**

**Zegrze - wrzesień 1998 r.**

Głaz ten znajduje się w pobliżu kasyna oficerskiego, w miejscu, gdzie stoją już inne z pamiątkowymi tablicami kilku ostatnich roczników, odsłonięte z okazji promocji. Stoi tam także głaz z tablicą komendantów zegrzyńskej podchorążówki. Aktu odsłonięcia naszej tablicy dokonali: Stanisław Skibiński, Stenia Berlińska i Karol Kociałkowski. Oprawę wojskową uroczystości zapewniał komendant Centrum Szkolenia Łączności.

Powoli, lecz systematycznie, czas na zjazdach i spotkaniach poświęcony oficjalnym wystąpieniom i uroczystościom kurczył się i ustępował miejsca rozmowom refleksyjnym, wspomnieniowym i rodzinnym oraz rekreacji, turystyce i rozrywce. Widocznie taka jest już kolej rzeczy, że z grupy oficerów łączności, związanych ze sobą niejednokrotnie zależnościami służbowymi, przekształcamy się w grupę rezerwistów-emerytów, których łączą silne więzy przyjacielsko-koleżeńskie, podtrzymywane zażyłością i wzajemną sympatią naszych żon.

W dniu zjazdu XXXV-lecia jedynie sześciu kolegów było jeszcze w służbie i jako ciekawostkę podam, że żaden z nich nie uczestniczył w zjeździe. Podczas pożegnalnego śniadania objawami radości uczestników i zdecydowaną aprobatą Stałego Komitetu Organizacyjnego przywitane zostało zgłoszenie przez kolegów ich gotowości do organizowania kolejnych naszych wrześniowych spotkań, a mianowicie:

- Tadeusz Wojtuszkiewicz, Karpacz 1999;

- Stefan Gojło, Mrągowo 2000;
- Krzysztof Tomczak, Spała 2001.

Nasi koledzy nie rzucają słów na wiatr, więc w okresie 9-12 września 1999 roku Tadek Wojtuszkiewicz zorganizował nam spotkanie w Karpaczu w Ośrodku Wczasowo-Kolonijnym „Reda". Załatwił także na ten cały okres wspaniałą pogodę. Dodatkową atrakcją było, że po raz pierwszy spotkanie odbyło się w górach. W programie nie zabrakło wycieczek na Zamek Chojnik i wejścia na Śnieżkę oraz innych atrakcji turystycznych. Wszystko odbywało się zgodnie z naszą tradycją i przyzwyczajeniami. Był „wesoły autobus", ognisko z pieczonym prosiakiem i kiełbaskami, a następnego dnia bankiet i śpiewy (z obowiązkowym odśpiewaniem „Naszego Jubileuszu"), tańce i swawola. Zaś na pożegnalnym śniadaniu „Upływa szybko życie...". I znowu do zobaczenia za rok w Mrągowie.

Tu, w Karpaczu przekonaliśmy się, jak wspaniale można się bawić i wytańczyć, nie tylko przy orkiestrze, ale i przy sprzęcie elektronicznym, w połączeniu z dobrze dobraną muzyką taneczną i profesjonalną oraz uprzejmą obsługą. I tu właśnie tak było. W Karpaczu zebrało się dwudziestu jeden absolwentów i dziewiętnaście żon oraz Stasio Skibiński z małżonką.

Mijały kolejne lata i kolejne spotkania dochodziły do skutku. W dniach 7-10 września 2000 roku spotkaliśmy się w ośrodku wypoczynkowym „Młynik" koło Mrągowa, nad Jeziorem Gielądzkim. Zakwaterowani byliśmy w domkach campingowych nad jeziorem.

Zgodnie z wcześniejszymi życzeniami zmotoryzowanych kolegów, zmieniliśmy kolejność wieczorów. W pierwszym dniu odbył się wieczorek bankietowy, a w drugim ognisko. I tak już przyjęto na przyszłość. W przeciwnym razie osoby, będące też i kierowcami, nie mogłyby bawić się „pełną piersią" do rana i być całkowicie sprawne do jazdy.

Zwiedzaliśmy Reszel, Świętą Lipkę, Kętrzyn oraz rezerwat dzikich zwierząt w Kadzidłowie. Zarówno na bankiecie, jak i podczas ogniska bawiliśmy się przy wspaniałej orkiestrze regionalnej, która w drugi dzień imprezy, mimo deszczu, wytrwale nam przygrywała. W spotkaniu uczestniczyły pięćdziesiąt dwie osoby.

W dniach od 21 do 23 września 2001 roku, pod opieką Krzysia Tomczaka i jego rodziny, pięćdziesięciosiedmioosobowa grupa bawiła w Spale. Krzysiek tak poważnie podszedł do sprawy, że przy organizacji spotkania zaangażował swoją siostrę i szwagra oraz ciotecznych braci. Mieszkaliśmy w Domu Wypoczynkowym „Zacisze". Odbyliśmy autokarową wycieczkę do Inowłodza i Studziannej oraz złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem upamiętniającym miejsce śmierci majora Hubala. Zwiedzaliśmy też Spałę i jej najbliższe okolice, włącznie z ośrodkiem przygotowań olimpijskich i „Żubrem".

Bankiet zakończyliśmy chóralnymi śpiewami i różnego rodzaju grami i zabawami, a przy ognisku, oprócz kiełbasek i bigosu, Krzyś zaskoczył nas wspaniałym smalcem domowej roboty i kiszonymi ogórkami.

Ledwo przebrzmiały echa spotkania nad Pilicą, a już Zdzisław Jawor i Marek Kotowoda rozpoczęli przygotowania do spotkania „Okuninka - 2002". Czterdziestoośmioosobową grupę R-63 zakwaterowano w wygodnym i przestronnym „Pensjonacie Bankowym", w bezpośredniej bliskości Jeziora Białego.

Spotkanie trwało od czwartku do niedzieli (12-15 września), a atrakcji nie brakowało. Podczas wycieczek autokarowych zwiedzaliśmy muzea regionalne i zabytki sakralne. Dużą atrakcję stanowiły podziemia kredowe pod Starym Miastem w Chełmie, a ciekawostką wodowskaz na Bugu we Włodawie. Złożyliśmy też kwiaty pod pomnikiem poległych na cmentarzu wojskowym. Organizatorzy zapewnili nam sympatycznych przewodników oraz dreszczyk emocji za sprawą ducha „Bielucha" w kredowych podziemiach i ogromnego krokodyla z szuwarów Jeziora Białego.

Był bankiet z orkiestrą i tańcami, tradycyjne odśpiewanie „Naszego Jubileuszu". Następnego dnia ognisko, także z zabawą przy muzyce, a przy pożegnalnym śniadaniu oczywiście „Upływa szybko życie". W zapewnianiu miło spędzonego czasu znaczący udział miały żony organizatorów, które uwijały się nie gorzej niż ich mężowie.

Tu zapadły decyzje odnośnie przyszłorocznego zjazdu w Zegrzu z okazji XL rocznicy promocji, którego organizatorami są Brunon Majewski i Antoni Wieczorek. Oprócz wcześniejszej deklaracji zorganizowania spotkania w Szczyrku przez Zygmunta Sznepkę, doszli chętni do organizowania spotkań w następnych latach: Adam Śliwakowski z Tadeuszem Mrozowskim w Ośrodku ZHP w Załęczu Wielkim nad Wartą koło Wielunia. Ewentualną „poprawkę" Okuninki zgłosili także poprzedni organizatorzy - Zdzisław i Marek.

Było to już czternaste oficjalne spotkanie koleżeńskie R-63. Oficjalne - to takie, o którym informujemy ogromną większość kolegów na terenie całego kraju. Spotkań nie zaliczanych do oficjalnych było znacznie więcej, a o wielu z nich, organizowanych w różnych grupach koleżeńskich mogę w ogóle nie wiedzieć. Oprócz ciągłych spotkań naszej szóstki (wpierw ósemki), spotkań komitetów organizacyjnych, które nie ograniczały się jedynie do spraw typowo organizacyjnych, mogę przytoczyć jeszcze kilka, o których pamiętam.

Wspomniane już wcześniej spotkanie dziewięciu chłopców R-63 we wrześniu 1970 roku, uczestnictwo piętnastu absolwentów i ich żon w zabawie organizowanej przez zegrzyńską szkołę we wrześniu 1980 roku. Spotkanie dwudziestu absolwentów i piętnastu żon na zabawie w Klubie Oficerskim w Warszawie w styczniu 1994 roku z okazji wzajemnego dekorowania się wspomnianymi już pamiątkowymi odznakami absolwenta OSŁ. Spotykamy się również licznie na pogrzebach naszych dowódców i kolegów.

Dawna trzecia kompania podchorążych z OSŁ nie składa się z samych entuzjastów naszych zjazdów, spotkań i przyjacielskich kontaktów. Jak w każdej grupie osób, znajduje się miejsce dla najróżniejszych typów charakterów, osobowości i upodobań. Są widocznie i tacy, których spotkania z kolegami z podchorążówki w ogóle nie interesują i nie czują żadnego sentymentu do wspólnie spędzonych trzech lat młodości w koszarowych warunkach.

Są zaś chłopcy z Opola, Bielska Białej czy Chełma, którzy nie bacząc na odległości uczestniczą w spotkaniach organizowanych również na wybrzeżu lub Pojezierzu Mazurskim. I są też tacy, którzy mieszkają w Warszawie i nie byli na żadnym spotkaniu, bez względu na to, czy odbywały się w Zegrzu, czy w „terenie". Słabą frekwencją w zjazdach legitymują się ci, którzy bardzo wcześnie odeszli do rezerwy i zerwali kontakty z wojskową społecznością oraz osoby z najróżniejszymi rodzajami i odcieniami kompleksów.

Upór organizatorów w dawaniu szansy uczestniczenia w zjazdach każdemu koledze R-63 jest tak duży, że informacje wysyłamy od lat do wszystkich, których adresy posiadamy. Natomiast o spotkaniach w zasadzie nie wysyłamy informacji do tych, którzy nigdy nie uczestniczyli w naszych imprezach, a także do tych, którzy uczestniczyli bardzo dawno tylko jeden raz i widocznie stwierdzili, że ich to nie interesuje.

Jest powiedzenie „lepiej późno, niż wcale" i zgodnie z nim na zjeździe w 1998 roku było czterech kolegów biorących po raz pierwszy udział w naszej uroczystości. Pamiętam też doskonale, jak jeden z kolegów uczestniczący po raz pierwszy w spotkaniu w 1995 roku przyjechał bez żony. Moje wcześniejsze namowy i telefoniczne zachęty nie przekonały go do zabrania małżonki. Na spotkaniu zwierzył mi się, że już w chwili, gdy zobaczył, jak po przyjacielsku i sympatycznie witają się nie tylko chłopcy, ale i ich żony - wiedział, że popełnił błąd i żałował tego. Na następnym spotkaniu był już z żoną.

Bardzo znamienne jest dla mnie zdarzenie, którego byłem świadkiem. Jeden z naszych kolegów, uczestniczący dotychczas we wszystkich zjazdach, zadzwonił podczas zjazdu w Zegrzu do kolegi mieszkającego właśnie w Zegrzu, z pytaniem „dlaczego nie ma cię razem z nami?". Pamiętam, jak był zaskoczony, zbulwersowany i zdziwiony, gdy w słuchawce usłyszał „mnie to nie interesuje". Zmieniają się ludzie, charaktery i upodobania, więc nie powinno też nikogo dziwić, że ów „dzwoniący" uczestniczył jeszcze tylko w jednym spotkaniu, a w następnych ośmiu już, niestety, nie.

Organizatorzy i systematyczni uczestnicy naszych spotkań starają się niczemu nie dziwić, do niczego siłą nie nakłaniać i tych, którzy nie przyjeżdżają, w niczym nie dyskryminować. Oni też są chłopcami R-63, z którymi łączy nas wiele wspólnych przeżyć, ale są po prostu trochę inni i to należy zrozumieć oraz umieć tolerować.

Teraz trochę statystyki zjazdowej. Do chwili obecnej, a jest wiosna 2003 roku, odbyło się czternaście oficjalnych zjazdów i spotkań, z czego w jedenastu uczestniczyły również żony. Na stu czterdziestu dziewięciu promowanych w Zegrzu w 1963 roku:

- trzydziestu dziewięciu nie uczestniczyło w naszych uroczystościach ani razu;
- sześćdziesięciu dwóch uczestniczyło od jednego do czterech razy;
- trzydziestu siedmiu uczestniczyło od pięciu do dziesięciu razy;
- jedenastu uczestniczyło powyżej dziesięciu razy.

Wśród żon dwadzieścia pań uczestniczyło jeden raz, dwadzieścia jeden pań od dwóch do sześciu razy i dwadzieścia pań od siedmiu do jedenastu razy.

Jako ciekawostkę podam, że we wszystkich zjazdach i spotkaniach, czyli absolwenci w czternastu i żony w jedenastu, uczestniczyło jedynie dwóch absolwentów i dwie żony. Są to małżeństwa Kociałkowskich i Golińskich. Z tego wynika, że na pozytywny stosunek do koleżeńskich spotkań, na zaangażowanie i dobre chęci nakłada się życie, czyli wiele czynników, które w niesprzyjających układach uniemożliwiają wzięcie udziału we wszystkich spotkaniach, w których chciałoby się uczestniczyć (wyjazdy zagraniczne, sanatoria, uroczystości rodzinne, niedomagania zdrowotne itp.), a to się nie udaje.

## Pożegnania i pamięć

Oddzielnym rozdziałem świadczącym o trwałości i szczerości więzów łączących byłych podchorążych trzeciej kompanii są pożegnania oraz pamięć o naszych zmarłych kolegach.

Wiemy na pewno, że ze stu czterdziestu dziewięciu absolwentów nie żyło już w 2002 roku siedemnastu. Jesteśmy świadomi, że prawdopodobnie jest to liczba nieco zaniżona, gdyż mogły do nas nie dotrzeć informacje o śmierci kogoś z grona tych około pięćdziesięciu osób, które nie utrzymują z nami kontaktów, tym bardziej ich rodziny i bliscy. Jeśli jednak informacja o śmierci któregoś z kolegów lub dawnych przełożonych dotrze do jednego z utrzymujących kontakty z kolegami, idą w ruch telefony i jesteśmy w stanie w bardzo krótkim czasie powiadomić o tym około czterdzieści procent żyjących absolwentów R-63.

Pierwszych trzech kolegów (Wiesława Gawarta, Zbigniewa Zastąpiłło i Jerzego Kosika) straciliśmy bardzo wcześnie. Jeszcze przed pierwszym zjazdem. Dwóch z nich zginęło tragicznie. Na pogrzebie Zbyszka Zastąpiłły w 1967 roku byli koledzy, którzy po szkole razem z nim rozpoczęli służbę w Warszawie. Jego śmierć spadła na nas tak raptownie, że chyba

nikt nie pomyślał, by powiadomić kolegów służących w innych miejscowościach. Zresztą był to środek wakacji - okres ćwiczeń, poligonów i urlopów. Mimo to, właśnie koledzy z plutonu tworzyli honorową asystę przy otwartej trumnie, a następnie nieśli go na miejsce wiecznego spoczynku.

Na pogrzebach Wiktora Jesiona w 1974 roku i Wojciecha Kołakowskiego w 1983 roku (oba w Warszawie) było już większe grono kolegów. I nie tylko z Warszawy, gdyż przyjechali także koledzy z trójmiasta, Bydgoszczy i innych miejscowości. Wiadomości o śmierci Jana Stopińskiego, Andrzeja Amieławskiego, Mieczysława Jaźwieckiego, Stanisława Roszkowskiego, Henryka Fidury i Zygmunta Ziętka dotarły do nas już po pogrzebach.

Lata upływały nieubłaganie. Nadszedł czas, że każdy z nas miał już pięćdziesiątkę i niestety coraz częściej zaczęliśmy spotykać się na pogrzebach. I tak: Ryszarda Majewskiego w 1990 roku w Legionowie, Pawła Florczaka w 1993 roku w Bydgoszczy, Zbigniewa Berlińskiego w 1995 roku w Bydgoszczy, Tadeusza Skowronka w 1997 roku w Bochni, Mieczysława Bąka w 1998 roku w Warszawie, Jana Miszty w 1999 roku w Warszawie. Wszystkich tych kolegów żegnała zawsze grupa licząca około trzydziestu absolwentów R-63 oraz naszych żon. Na pogrzeby w Warszawie przyjeżdżał zawsze ktoś z terenu, natomiast z Warszawy do Bydgoszczy, czy Bochni jechaliśmy większą grupą autokarem, mikrobusem lub swoimi samochodami.

Najczęściej ktoś z bliższych kolegów zmarłego pomagał rodzinie w załatwianiu formalności pogrzebowych, szczególnie związanych z ceremoniałem wojskowym. Na pogrzebach niesiony jest zawsze wieniec od kolegów z podchorążówki. Jesteśmy w asyście przy trumnie w kaplicy czy w domu pogrzebowym oraz w trakcie dojścia do miejsca wiecznego spoczynku. Przeważnie któryś kolega z podchorążówki nad mogiłą żegna w naszym imieniu zmarłego. Żony zmarłych traktują nas podczas uroczystości pogrzebowych jak bliską rodzinę.

Po pogrzebie staramy się w jakimś stopniu pomagać najbliższym w załatwianiu wielu koniecznych formalności. Dla mieszkających w Warszawie dużą pomocą jest uczynność Wiesi Kociałkowskiej, która pracuje w Wojskowym Biurze Emerytalnym, a towarzysząc tam wdowom, ułatwia i przyspiesza załatwienie spraw emerytalnych, ubezpieczeń itp. W gronie R-63 bywamy też wzajemnie na pogrzebach swoich rodziców i bliskich.

Żony naszych zmarłych kolegów, po tak wielu latach znajomości, są nadal w naszym gronie, a najbardziej dziwi postronnych ludzi, że jeżdżą na zjazdy i spotkania R-63. Na spotkaniu w Spale i Okuninee były obecne Irena Bąk, Grażyna Skowronek, Elżbieta Miszta i Stenia Berlińska, która uczestniczyła w naszych spotkaniach dziesięć razy, z czego już osiem po śmierci Zbyszka.

Odwiedzając mogiły kolegów, zapalając na nich znicze lub kładąc kwiaty, dajemy dowód pamięci i więzi, jakie nas łączyły. A robimy to przy

różnych okazjach. Na organizowanych zjazdach czcimy pamięć zmarłych kolegów i przełożonych minutą ciszy. W przeddzień zjazdów delegacja naszego rocznika lub sporadycznie umówione osoby składają wiązanki kwiatów i zapalają znicze na wszystkich znanych nam mogiłach kolegów i byłych dowódców. Bez względu na to, czy znajdują się one w Warszawie, Serocku i Legionowie, czy w Bydgoszczy, Wrocławiu lub Bochni.

* * *

Wziąwszy pod uwagę zarówno sprawy duże i znaczące, jak i drobne oraz wydające się bez znaczenia, które zaistniały między nami, dochodzimy do przekonania, że zasługują, aby na ich podstawie bez zbytniej zarozumiałości stwierdzić, iż pod względem kultywowania tradycji, utrzymania znajomości i życia w przyjaźni nie jesteśmy jedynie przeciętnym rocznikiem absolwentów.

Okazało się, że bardzo wiele przyjaźni i zażyłych znajomości w gronie R-63 wzmacniało się i dojrzewało z upływem lat, na przekór obiegowym opiniom, że czas sprzyja zapomnieniu i zobojętnieniu.

*Brunon Majewski*

# PRZEZ PRYZMAT STATYSTYKI

Pierwszego września 1963 roku ówczesny szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, liczący czterdzieści lat generał dywizji Wojciech Jaruzelski, dokonał aktu promocji 149 absolwentów Oficerskiej Szkoły Łączności, którzy pozostali spośród 230 podchorążych rozpoczynających naukę przed trzema laty.

Staliśmy na placu, prawie identyczni, różniący się tylko wzrostem, trudno rozpoznawalni nawet dla naszych rodzin. Ale poza zewnętrznym „pancerzem" munduru, otrzymanym stopniem wojskowym i dyplomem technika, mieliśmy wiele wyróżników własnych.

Jak wynikało z odczytanego rozkazu personalnego mieliśmy 51 różnych imion. Najwięcej było Jerzych - 12, Janów i Stanisławów po 11, Andrzejów - 10, Zbigniewów - 8, Tadeuszów i Zygmuntów po 6 i Mieczysławów - 5. Natomiast 18 imion występowało pojedynczo, w tym o dziwo tak popularne w naszym pokoleniu, jak Janusz, Krzysztof i Piotr.

Dzieliły nas też roczniki urodzenia. Najstarszy był Józef Rodzeń urodzony w 1934 roku, a następnie w 1937 roku - 2, w 1938 - 5, w 1939 - 17, w 1940 - 58, w 1941 - 38, w 1942 - 25 i w 1943 - 3. Najmłodszymi byli Zygmunt Chojnowski, Tadeusz Mrozowski i Stanisław Wiśniewski, którzy zostali oficerami w wieku zaledwie dwudziestu lat. Było też wśród nas siedmiu żonatych, a nawet zdarzali się obdarzeni dziećmi.

Wszyscy bardzo mgliście wyobrażaliśmy sobie dalszą drogę służbową. Dla większości plany na przyszłość kończyły się na dowodzeniu kompanią. Aczkolwiek byli zapewne i tacy, którzy wierząc w „buławę noszoną cgw plecaku" już wtedy marzyli o szlifach generalskich. Teraz, kiedy już wszyscy jesteśmy emerytami, oficerami rezerwy lub w stanie spoczynku, można skrótowo przeanalizować, co przyniósł nam los.

Gdy po dziesięciu latach od promocji spotkaliśmy się na zjeździe, było nas 55, w większości kapitanów. Już wtedy 14 kolegów było w cywilu, a Wieśka Gawarta i Zbyszka Zastąpiłły nie było wśród żywych.

Na kolejny zjazd w 1983 roku stawiło się 73 absolwentów „R-63", w większości podpułkowników, a Stefan Gojło już jako pułkownik. Podliczenie naszego stanu osobowego wykazało, że dodatkowo z szeregów wojska ubyło 12 kolegów, w tym aż trzech na skutek zgonu. Byli to: Wiktor Jesion, Zenek Kołakowski i Jurek Kosik.

Wtedy też, w efekcie dotychczasowych doświadczeń, postanowiliśmy spotykać się częściej i na spotkania zabierać żony. W ten sposób kolejny zjazd w 1993 roku był trzecim spotkaniem w dziesięcioleciu. W międzyczasie odbyły się spotkania w 1988 roku w Borównie koło Bydgoszczy i w 1990 roku w Ryni nad Zalewem Zegrzyńskim. Zjazd ten zgromadził 54 kolegów i 31 żon, a znaczącą grupę stanowili już cywile, których już wtedy w naszym roczniku było 108.

Teraz, gdy wszyscy opuściliśmy szeregi wojska, można podsumować, jakie były przyczyny odejść. I tak 39 odeszło na skutek wypowiedzenia stosunku służbowego przez żołnierza lub organ wojskowy, 25 na własną prośbę, 6 w związku z osiągnięciem wieku emerytalnego, 38 przez osiągnięcie granicy wieku w stopniu wojskowym, 25 ze względu na stan zdrowia, 8 na skutek zgonu i 8 z innych przyczyn.

Różne przyczyny odejść dosięgały nas w różnym czasie. Stąd stopnie wojskowe, w jakich odeszliśmy do cywila, są bardzo różne. I tak w stopniu generała brygady - 1, pułkownika - 42 (w tym 4 ze stanowisk o stopniu etatowym generała), podpułkownika - 59, majora -26, kapitana - 8, porucznika - 5 i podporucznika - 8.

Przez całą służbę podnosiliśmy swoje kwalifikacje. Jako najwyższe wykształcenie - stopień naukowy doktora uzyskało siedmiu kolegów, Podyplomowe Studium Operacyjno-Strategiczne ukończyło - 4, inne podyplomowe - 9, Akademię Sztabu Generalnego WP - 8, Wojskową Akademię Techniczną 18 (w tym studia drugiego stopnia - 10 i pierwszego - 8), Wojskową Akademię Polityczną - 12, uczelnie cywilne - 17 ( w tym drugiego stopnia - 15 i pierwszego - 2), Wyższe Kursy Doskonalenia Oficerów - 19 i Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Łączności - siedmiu. Dochodzą do tego bardzo liczne kursy przeszkoleniowe specjalistyczne, językowe itp.

Okazuje się z tej statystyki, że byliśmy rocznikiem, jak wiele innych. Wyróżniał nas natomiast duch przyjaźni i życzliwość, które przetrwały lata.

# DOKUMENTY
# I
# ILUSTRACJE

## DOKUMENTY I ILUSTRACJE

**Dokumenty:**

1. Rozkaz dzienny nr 227 z dnia 28.09.1960 r. Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu oraz dodatkowe rozkazy nr 232, 233, 235, 238, 240, 241, 247, 255 i 257 (o przybyciu do trzeciej kompanii podchorążych na pierwszy rok nauki).
2. Rozkaz dzienny nr 278 z dnia 30.11.1960 r. Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu (stwierdzający złożenie przysięgi wojskowej).
3. Rozkaz dzienny nr 205 z dnia 01.09.1963 r. Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu (o mianowaniu przez Radę Państwa uchwałą Nr W/33/63 z dnia 28.08.1963 r. podchorążych trzeciego roku na pierwszy stopień oficerski i skierowaniu rozkazem Personalnym MON Nr 0386 z dnia 30.08.1963 r. do dyspozycji ...).
4. Nasz komendant - pułkownik dyplomowany Edward GIERASIMCZYK
   - komendant OSŁ (30.09.1953-19.05.1967)
   - komendant WSOWŁ (20.05.1967-21.07.1971).
5. Struktura organizacyjna Oficerskiej Szkoły Łączności (lata 1960-1967).
6. Nasz Jubileusz. Słowa: Jerzy Goliński i Zdzisław Jawor.
7. Opis Odznaki Pamiątkowej Absolwenta Oficerskiej Szkoły Łączności 1963.
8. Certyfikat Odznaki Pamiątkowej Absolwenta Oficerskiej Szkoły Łączności 1963.

**Ilustracje:**

1. Uroczysta zbiórka trzeciej kompanii na placu alarmowym
2. Na pierwszej przepustce przy zegrzyńskim moście
3. Trzeci pluton na zajęciach z taktyki
4. Odpoczyne po zajęciach w polu
5. Niedzielne popołudnie
6. Wymarsz na urlop wielkanocny
7. Trzecia kompania, jako kompania honorowa szkoły
8. Zajęcia świetlicowe
9. Na przepustce w Warszawie
10. Chwila oddechu podczas ćwiczenia
11-12. W ogródku sportowym
13. Trybuna honorowa podczas uroczystości promocjnej
14. Prymus
15. Akt promocji
16. Młodzież gratuluje nam gwiazdek
17. Pierwszy zjazd absolwentów OSŁ R-63 z okazji X-lecia promocji
18. Zjazd z okazji XX-lecia promocji
19. Meldunek jak za dawnych czasów
20. Zjazd z okazji XXX-lecia promocji
21. Jesteśmy z żonami
22. Zjazd z okazji XXXV-lecia promocji
23. Przy pamiątkowym głazie
24. Tablica pamiątkowa
25. Jedno z licznych spotkań koleżeńskich - Karpacz 1999 r. Na Śnieżce
26. Spotkanie koleżeńskie - Mrągowo 2000 r.
27-28. Między młodymi a dojrzałymi laty (1962-1993)

Zegrze, dnia 28.09.1960 r.

**Rozkaz dzienny Nr 227**

Pkt 5

**Przybycia ewidenc.**

N.w. kandydaci przybyli w dniu 27. 09.1960 r. do 3 Komp. Pchor na pierwszy rok nauki:

1. Kosik Jerzy s. Wojciecha WKR Ostrów Wlkp.
2. Urbaniak Władysław s. Władysława WKR Ostrów Wlkp.
3. Mrozowski Tadeusz s. Józefa WKR Jasło
4. Skubis Antoni s. Franciszka WKR Biłgoraj
5. Kołakowski Zenon s. Floriana JW 4617 Janówek
6. Jaźwiecki Mieczysław s. Jana WKR Wrocław Pow.
7. Czykiel Roman s. Władysława WKR Wrocław Pow.
8. Głaz Władysław s. Jana WKR Wrocław Pow.
9. Tront Anatol s. Emila WKR Wrocław Pow.
10. Juszkiewicz Jan s. Konstantego WKR Działdowo
11. Kuciński Jan s. Jana WKR Mińsk Maz.
12. Tyburek Krzysztof s. Aleksandra WKR Lublin
13. Fidura Henryk s. Antoniego WKR Ostrołęka
14. Bodzioch Henryk s. Bronisława WKR Kielce
15. Jóźwik Józef s. Józefa WKR Wołomin
16. Szeremeta Stanisław s. Eugeniusza WKR Krasnystaw
17. Marciocha Mieczysław s. Józefa WKR Włodawa
18. Wojtuszkiewicz Tadeusz s. Leona WKR Kraśnik
19. Skowronek Tadeusz s. Józefa WKR Bochnia
20. Tobijasz Zbigniew s. Michała WKR Koszalin
21. Bąk Jan s. Jana JW. 1254 Kraków
22. Kusztelak Jan s. Jana WKR Łódź Pow.
23. Sajewicz Jan s. Michała JW. 3432 Nowy Dwór Maz.
24. Gawart Wiesław s. Stefana WKR Grodzisk Maz.
25. Cieślewski Witold s. Stanisława WKR Płońsk
26. Bieńkowski Andrzej s. Stanisława WKR Mława
27. Woliński Andrzej s. Antoniego WKR Białogard
28. Kucharski Czesław s. Jana WKR Łuków
29. Górski Jerzy s. Franciszka WKR Lubartów
30. Kuza Leszek s. Jana WKR Pińczów
31. Jawor Zdzisław s. Edwarda WKR Krasnystaw
32. Dutkiewicz Grzegorz s. Kazimierza WKR Pruszków

33. Zastąpiłło Zbigniew s. Piotra WKR Puławy
34. Gojło Stefan s. Józefa WKR Kętrzyn
35. Bożątkiewicz Ryszard s. Władysława WKR Bydgoszcz M.
36. Zaremba Zygmunt s. Tadeusza WKR Pułtusk
37. Wapniarz Jerzy s. Mariana WKR Chełm Lub.
38. Mazurkiewicz Jerzy s. Władysława WKR Wadowice
39. Kotowoda Marek s. Jana WKR Chełm Lub.
40. Wróbel Zbigniew s. Bolesława WKR Kraśnik
41. Dunal Wojciech s. Jana WKR Warszawa
42. Dawidziuk Zdzisław s. Stefana WKR Sulechów
43. Korpeta Antoni s. Stanisława WKR Sosnowiec
44. Szklarek Marian s. Józefa WKR Jarocin
45. Mielczarek Henryk s. Mariana WKR Radomsko
46. Janik Andrzej s. Józefa WKR Rybnik
47. Goliński Jerzy s. Bohdana WKR Sulęcin
48. Wardęcki Zdzisław s. Józefa WKR Kalisz
49. Magdoń Ludwik s. Augustyna WKR Dębica
50. Balicki Czesław s. Michała WKR Zamość
51. Leszczyński Józef s. Piotra WKR Rzeszów
52. Gołuch Zenon s. Józefa WKR Oświęcim
53. Machowski Stanisław s. Aleksandra WKR Rzeszów
54. Wójcik Bogusław s. Jana WKR Rzeszów Pow.
55. Walczyński Jerzy s. Stefana WKR Bolesławiec
56. Popowicz Tadeusz s. Antoniego WKR Jel. Góra
57. Burniewicz Zbigniew s. Józefa WKR Sokółka
58. Komędera Eugieniusz s. Karola WKR Bielsko Biała
59. Jurczyk Bronisław s. Franciszka WKR Bielsko Biała
60. Otremba Bernard s. Maksymiliana WKR Katowice
61. Majewski Brunon s. Henryka WKR Warszawa Praga II
62. Młynarczyk Lech s. Jana WKR Grodzisk Maz.
63. Tymiński Edmund s. Józefa WKR Warszawa Wola
64. Wójcik Tadeusz s. Władysława WKR Puławy
65. Pastewka Jerzy s. Władysława WKR Mińsk Maz.
66. Adamczyk Guenter s. Augusta WKR Sanok
67. Grzybowski Bolesław s. Stefana WKR Starachowice
68. Karwowski Czesław s. Władysława WKR Żywiec
69. Bąk Mieczysław s. Kazimierza WKR Poznań
70. Kłos Zbigniew s. Bernarda WKR Szamotuły
71. Warszawski Piotr s. Jana WKR Zabrze
72. Szczygielski Sylwester s. Stanisława WKR Płock
73. Lewicki Ludwik s. Piotra WKR Jasło
74. Wilk Zbigniew s. Kazimierza WKR Jasło
75. Stańczak Stefan s. Jana WKR Puławy

76. Zienkiewicz Leonard s. Witolda WAM
77. Głowacki Stanisław s. Józefa WKR Żagań
78. Florek Jan s. Mariana JW. 4520 Radom
79. Gaweł Adam s. Józefa WKR Żagań
80. Zieliński Jerzy s. Antoniego WKR Bochnia
81. Lubiak Stanisław s. Nicyfora WKR Nowy Sącz
82. Czyżewski Janusz s. Czesława WKR Nowy Dwór Maz.
83. Król Andrzej s. Jakuba WKR Tarnów
84. Kruszyński Marian s. Mieczysława WKR Radomsko
85. Kukliński Włodzimierz s. Jana WKR Białystok
86. Chojnowski Zygmunt s. Mieczysława WKR Pińczów
87. Szczeciński Bogusław s. Jana WKR Pińczów
88. Rozmarynowski Stanisław s. Jana WKR Wieluń
89. Kaplita Franciszek s. Stanisława WKR Chojna
90. Landowski Edmund s. Ignacego WKR Chojnice
91. Schibowski Edward s. Piotra WKR Chojnice
92. Dubil Andrzej s. Michała WKR Gdańsk
93. Lorek Andrzej s. Józefa WKR Wejherowo
94. Nadratowski Janusz s. Teofila WKR Bydgoszcz
95. Joniak Józef s. Stanisława WKR Płońsk
96. Jurewicz Bernard s. Bernarda WKR Gdańsk
97. Pakosiewicz Ireneusz s. Stefana WKR Sosnowiec
98. Baran Janusz s. Leona WKR Będzin
99. Wróblewski Jan s. Władysława WKR Bydgoszcz
100. Fręśko Stefan s. Stanisława WKR Poznań
101. Ładomirski Jacek s. Antoniego WKR Kościan
102. Gorzelany Zdzisław s. Józefa WKR Głogów
103. Worm Jan s. Karola WKR Poznań
104. Sobierajski Witold s. Wiesława WKR Warszawa
105. Wroński Tadeusz s. Józefa WKR Nowy Dwór Maz.
106. Adamski Zygmunt s. Józefa WKR Chrzanów
107. Jörgen Jerzy s. Mieczysława WKR Chrzanów
108. Czubak Czesław s. Jgnacego WKR Ostrów Wlkp.
109. Frodyma Jerzy s. Włodzimierza WKR Tarnów
110. Miciak Mieczysław s. Michała WKR Przemyśl
111. Jasik Czesław s. Kazimierza WKR Wrocław
112. Zamojski Andrzej s. Jeremiego WKR Ostrów Wlkp.
113. Wełpa Bronisław s. Stanisława WKR Głogów
114. Bieliński Jan s. Józefa WKR Lubartów
115. Lasiński Andrzej s. Czesława WKR Toruń
116. Kniotek Karol s. Antoniego WKR Puławy
117. Janas Jan s. Jana WKR Łódź
118. Tietz Zbigniew s. Floriana WKR Gniezno

119. Majewski Ryszard s. Jana WKR Poznań
120. Kawalec Antoni s. Władysława WKR Rzeszów
121. Ratuszyński Marek s. Witolda WKR Łódź
122. Antkowiak Mieczysław s. Jana WKR Gdynia
123. Nagiełło Adam s. Józefa WKR Gdynia
124. Pasierb Tadeusz s. Piotra WKR Gdańsk
125. Bystry Zenon s. Czesława WKR Zabrze
126. Goniewiecha Henryk s. Teodora WKR Świętochłowice
127. Stopiński Jan s. Józefa WKR Złotoryja
128. Zaborowski Jan s. Bronisława WKR Ostrów Wlkp.
129. Florczak Eugeniusz s. Józefa WKR Łowicz
130. Olechowski Franciszek s. Wojciech WKR Dęblin
131. Zembroń Bogusław s. Tadeusza WKR Prudnik
132. Górski Ignacy s. Antoniego JW. 3486 Śrem
133. Pielichiewicz Mikołaj s. Michała WKR Milicz
134. Sędłak Andrzej s. Jana WKR Warszawa
135. Jarząbek Ryszard s. Aleksandra WKR Gorzów Wlkp.
136. Jackowski Ryszard s. Leona WKR Sandomierz
137. Korzeniewski Zbigniew s. Józefa WKR Płock
138. Idzik Stanisław s. Józefa WKR Biała Podlaska
139. Jesion Wiktor s. Zenona WKR Warszawa Śródm.
140. Moneta Marian s. Franciszka WKR Radom
141. Giezek Zygmunt s. Bronisława WKR Radom
142. Wojciechowski Tadeusz s. Franciszka WKR Warszawa Mokotów
143. Jarosz Edward s. Józefa WKR Ząbkowice
144. Miszta Jan s. Stanisława WKR Garwolin
145. Krzyżanowski Eugeniusz s. Szczepana WKR Lublin
146. Sznepka Zygmunt s. Alojzego WKR Bielsko
147. Fijałkowski Krzysztof s. Bronisława WKR Warszawa Praga II
148. Tkaczyk Sylwester s. Feliksa WKR Warszawa Praga II
149. Gładkowski Władysław s. Tadeusza WKR Oświęcim
150. Lenkiewicz Stanisław s. Antoniego WKR Kętrzyn
151. Karmelitow Konstanty s. Walentego WKR Kętrzyn
152. Kłobuszewski Jerzy s. Jerzego WKR Warszawa Praga II
153. Wieczorek Antoni s. Mariana WKR Gryfice
154. Ziętek Zygmunt s. Franciszka WKR Wrocław St. M.
155. Mittek Wiesław s. Franciszka WKR Wrocław St. M.
156. Fiuk Jerzy s. Antoniego JW. TOSWL Piotrków Tryb.
157. Tuszyński Zygmunt s. Józefa WKR Puławy
158. Walaszek Jerzy s. Karola WKR Racibórz
159. Graniczny Stanisław s. Józefa WKR Bochnia
160. Kurowski Bolesław s. Ludwika WKR Pułtusk
161. Pikora Jan s. Stanisława WKR Pułtusk

162. Bonczarowski Marian s. Karola WKR Starachowice
163. Berliński Zbigniew s. Władysława WKR Białogard
164. Grzybowski Waldemar s. Wacława WKR Warszawa Mokotów
165. Stola Andrzej s. Władysława WKR Puławy
166. Ziemka Jan s. Jana WKR Garwolin
167. Wiśniewski Stanisław s. Feliksa WKR Ostróda
168. Kozak Henryk s. Antoniego JW. 5665 Słupsk
169. Biesiadecki Mieczysław s. Jana JW. 1978 Tarnów
170. Michalski Piotr s. Edwarda JW. 2411 Warszawa

**Rozkaz dzienny Nr 232 z dnia 04.10.1960 r.**

W dniu 04.10 1960 r. przybyli do 3 Komp. Pchor. n/w kandydaci:
1. Tomczak Krzysztof s. Eliasza JW. 2189 Kazuń
2. Dolina Jerzy s. Stanisława WKR Dębica
3. Łukomski Włodzimierz s. Józefa WKR Nowy Dwór Maz.

**Rozkaz dzienny Nr 233 z dnia 05.10.1960 r.**

W dniu 05.10 1960 r. przybyli do 3 Komp. Pchor. n/w kandydaci:
1. Kociałkowski Karol s. Czesława WKR Poznań
2. Tomczyk Stanisław s. Piotra WKR Morąg
3. Nowak Stanisław s. Józefa WKR Otwock
4. Nieduziak Zbigniew s. Józefa JW. 1391 Celestynów

**Rozkaz dzienny Nr 235 z dnia 06.10.1960 r.**

W dniu 06. 10 1960 r. przybyli do 3 Komp. Pchor. n/w kandydaci:
1. Kuryłek Zbigniew s. Henryka WKR Kętrzyn
2. Roszkowski Stanisław s. Aleksandra WKR Zambrów
3. Śliwakowski Adam s. Stefana WKR Chorzów

**Rozkaz dzienny Nr 238 z dnia 11.10.1960 r.**

W dniu 11. 10 1960 r. przybyli do 3 Komp. Pchor. n/w kandydaci:
1. Hawrylak Henryk s. Józefa WKR Chrzanów
2. Białczyk Zenon s. Mariana WKR Kraków Nowa Huta
3. Grzesiak Czesław s. Antoniego WKR Radomsko
4. Łopatka Włodzimierz s. Feliksa WKR Konin

**Rozkaz dzienny Nr 240 z dnia 14.10.1960 r.**

W dniu 14. 10 1960 r. przybyli do 3 Komp. Pchor. n/w. Kandydaci:
1. Mroczkowski Stanisław s. Franciszka JW. 1551 Sieradz
2. Płonka Daniel s. Józefa WKR Częstochowa
3. Skowron Adam s. Karola WKR Prudnik

**Rozkaz dzienny Nr 241 z dnia 15.10.1960 r.**

W dniu 15. 10 1960 r. przybył do 3 Komp. Pchor.
1. Sierż. Rodzeń Józef s. Michała

**Rozkaz dzienny Nr 247 z dnia 22.10.1960 r.**

W dniu 22. 10. 1960 r. przybył do 3 Komp. Pchor.
1. Rasiński Janusz s. Czesława WKR Wołomin

**Rozkaz dzienny Nr 255 z dnia 02.11.1960 r.**

W dniu 02. 11. 1960 r. przybył do 3 Komp. Pchor.
1. Mazurkiewicz Marian s. Antoniego WKR Kielce

**Rozkaz dzienny Nr 257 z dnia 04.11.1960 r.**

W dniu 04. 11. 1960 r. przybył do 3 Komp. Pchor.
1. Berezowski Marek s. Edwarda JW. 5563 Lublin

***Od redakcji:*** *W związku z utrudnionym dostępem do wszystkich rozkazów dziennych OSŁ, kilku kolegów, którzy przybyli do szkoły jeszcze później nie jest ujętych.*

Zegrze, 30.11.1960 r.

**Rozkaz dzienny Nr 278**

Pkt 10

**Przysięga**

Zgodnie z pkt. 282 Regulaminu Służby Wewnętrznej Sił Zbrojnych PRL stwierdzam, że niżej wymienieni szeregowcy 3 kompanii podchorążych, 4 kompanii podchorążych i kompanii obsługi w dniu 29. 11. 1960 r. złożyli przysięgę wojskową:

**3 kompania podchorążych:**

1. pchor. Adamczyk Guenter s. Augusta
2. pchor. Adamski Zygmunt s. Józefa
3. pchor. Amieławski Andrzej s. Józefa
4. pchor. Balicki Czesław s. Michała
5. pchor. Bąk Mieczysław s. Kazimierza
6. pchor. Bieliński Jan s. Józefa
7. pchor. Bieńkowski Andrzej s. Stanisława
8. pchor. Bodzioch Henryk s. Bronisława
9. pchor. Bystry Zenon s. Czesława
10. pchor. Burniewicz Zbigniew s. Józefa
11. pchor. Bożątkiewicz Ryszard s. Władysława
12. pchor. Cieślewski Witold s. Stanisława
13. pchor. Czubak Czesław s. Ignacego
14. pchor. Czykiel Roman s. Władysława
15. pchor. Czyżewski Janusz s. Czesława
16. pchor. Chojnowski Zygmunt s. Mieczysława
17. pchor. Dawidziuk Zdzisław s. Stefana
18. pchor. Dudkiewicz Roman s. Kazimierza
19. pchor. Dubil Andrzej s. Michała
20. pchor. Dunal Wojciech s. Jana
21. pchor. Fidura Henryk s. Antoniego
22. pchor. Florczak Paweł s. Józefa
23. pchor. Fręśko Stefan s. Stanisława
24. pchor. Frodyma Jerzy s. Władysława
25. pchor. Gaweł Adam s. Józefa
26. pchor. Głaz Władysław s. Jana
27. pchor. Gołuch Zenon s. Józefa
28. pchor. Goliński Jerzy s. Bohdana

29. pchor. Goniewiecha Henryk s. Teodora
30. pchor. Gawart Wiesław s. Stanisława
31. pchor. Gojło Stefan s. Józefa
32. pchor. Górski Jerzy s. Franciszka
33. pchor. Gorzelany Zdzisław s. Józefa
34. pchor. Głowacki Stanisław s. Józefa
35. pchor. Grzybowski Bolesław s. Stefana
36. pchor. Giezek Zygmunt s. Bronisława
37. pchor. Jaźwiecki Mieczysław s. Jana
38. pchor. Janas Jan s. Jana
39. pchor. st. szer. Jarząbek Ryszard s. Aleksandra
40. pchor. Janik Andrzej s. Józefa
41. pchor. Jawor Zdzisław s. Edwarda
42. pchor. Jasik Czesław s. Kazimierza
43. pchor. Jarosz Edward s. Józefa
44. pchor. Jurczyk Bronisław s. Franciszka
45. pchor. Jörgen Jerzy s. Mieczysława
46. pchor. Jurewicz Bernard s. Bernarda
47. pchor. Juszkiewicz Jan s. Konstantego
48. pchor. Jóźwik Józef s. Józefa
49. pchor. Jackowski Ryszard s. Leona
50. pchor. Kaplita Franciszek s. Stanisława
51. pchor. Karwowski Czesław s. Władysława
52. pchor. Kłos Zbigniew s. Bernarda
53. pchor. Komędera Eugeniusz s. Karola
54. pchor. Kotowoda Marek s. Jana
55. pchor. Korepta Antoni s. Stanisława
56. pchor. Korzeniowski Zbigniew s. Józefa
57. pchor. Kosik Jerzy s. Wojciecha
58. pchor. Kawalec Antoni s. Władysława
59. pchor. Kniotek Karol s. Antoniego
60. pchor. Król Andrzej s. Jakuba
61. pchor. Kuciński Jan s. Jana
62. pchor. Kukliński Włodzimierz s. Jana
63. pchor. Kusztelak Jan s. Jana
64. pchor. Kuza Leszek s. Jana
65. pchor. Krzyżanowski Eugeniusz s. Szczepana
66. pchor. Landowski Edmund s. Ignacego
67. pchor. Leszczyński Józef s. Piotra
68. pchor. Lubiak Stanisław s. Nicyfora
69. pchor. Lorek Andrzej s. Józefa
70. pchor. Lasiński Andrzej s. Czesława
71. pchor. Ładomirski Jacek s. Antoniego

72. pchor. Mazurkiewicz Jerzy s. Władysława
73. pchor. Magdoń Ludwik s. Augustyna
74. pchor. Majewski Brunon s. Henryka
75. pchor. Majewski Ryszard s. Jana
76. pchor. Marciocha Mieczysław s. Józefa
77. pchor. Miciak Mieczysław s. Michała
78. pchor. Mielczarek Henryk s. Mariana
79. pchor. Machowski Stanisław s. Aleksandra
80. pchor. Moneta Marian s. Franciszka
81. pchor. Młynarczyk Lech s. Jana
82. pchor. Miszta Jan s. Stanisława
83. pchor. Mrozowski Tadeusz s. Józefa
84. pchor. Nadratowski Janusz s. Teofila
85. pchor. Nagiełło Adam s. Józefa
86. pchor. Otremba Bernard s. Maksymiliana
87. pchor. Pakosiewicz Ireneusz s. Stefana
88. pchor. Pastewka Jerzy s. Władysława
89. pchor. Pasierb Tadeusz s. Piotra
90. pchor. Pielichiewicz Mikołaj s. Michała
91. pchor. Popowicz Tadeusz s. Antoniego
92. pchor. Roszkowski Stanisław s. Aleksandra
93. pchor. Ratuszyński Marek s. Witolda
94. pchor. Schibowski Edward s. Piotra
95. pchor. Sędłak Andrzej s. Jana
96. pchor. Skubis Antoni s. Franciszka
97. pchor. Sobierajski Witold s. Wiesława
98. pchor. Skowronek Tadeusz s. Józefa
99. pchor. Stańczak Stefan s. Jana
100. pchor. Stopiński Jan s. Józefa
101. pchor. Szczeciński Bogusław s. Jana
102. pchor. Szczygielski Sylwester s. Stanisława
103. pchor. Szklarek Marian s. Józefa
104. pchor. Tietz Zbigniew s. Floriana
105. pchor. Tobijasz Zbigniew s. Michała
106. pchor. Tront Anatol s. Emila
107. pchor. Tyburek Krzysztof s. Aleksandra
108. pchor. Tymiński Edmund s. Józefa
109. pchor. Urbaniak Władysław s. Władysława
110. pchor. Wapniarz Jerzy s. Mariana
111. pchor. Walczyński Jerzy s. Stefana
112. pchor. Warszawski Piotr s. Jana
113. pchor. Wardęcki Zdzisław s. Józefa
114. pchor. Wojciechowski Tadeusz s. Franciszka

115. pchor. Wojtuszkiewicz Tadeusz s. Leona
116. pchor. Wilk Zbigniew s. Kazimierza
117. pchor. Wełpa Bronisław s. Stanisława
118. pchor. Wójcik Bogusław s. Jana
119. pchor. Wójcik Tadeusz s. Władysława
120. pchor. Woliński Andrzej s. Antoniego
121. pchor. Worm Jan s. Karola
122. pchor. Wroński Tadeusz s. Józefa
123. pchor. Zaborowski Jan s. Bronisława
124. pchor. Zamojski Andrzej s. Jeremiego
125. pchor. Zastąpiłło Zbigniew s. Piotra
126. pchor. Zembroń Bogusław s. Tadeusza
127. pchor. Zaremba Zygmunt s. Tadeusza
128. pchor. Zieliński Jerzy s. Antoniego

Szer. Kruszyński Marian s. Mieczysława z powodu przebywania na leczeniu w szpitalu przysięgi nie składał.

**4 kompania podchorążych:**

1. pchor. Antkowiak Mieczysław s. Jana
2. pchor. Bończarowski Marian s. Edwarda
3. pchor. Białczyk Zenon s. Mariana
4. pchor. Berliński Zbigniew s. Władysława
5. pchor. Berezowski Marek s. Edwarda
6. pchor. Fijałkowski Krzysztof s. Brunona
7. pchor. Gładkowski Władysław s. Tadeusza
8. pchor. Graniczny Stanisław s. Józefa
9. pchor. Grzybowski Waldemar s. Wacława
10. pchor. Grzesiak Czesław s. Antoniego
11. pchor. Hawryluk Henryk s. Józefa
12. pchor. Joniak Józef s. Stanisława
13. pchor. Janiczek Tadeusz s. Stanisława
14. pchor. Karmelitow Konstanty s. Walentego
15. pchor. Kłobuszewski Jerzy s. Jerzego
16. pchor. Kociałkowski Karol s. Czesława
17. pchor. Kucharski Czesław s. Jana
18. pchor. Kurowski Bolesław s. Ludwika
19. pchor. Kuryłek Zbigniew s. Henryka
20. pchor. Lenkiewicz Stanisław s. Antoniego
21. pchor. Lewicki Ludwik s. Piotra
22. pchor. Łopatka Włodzimierz s. Feliksa
23. pchor. Łukomski Włodzimierz s. Józefa

24. pchor. Malinowski Jerzy s. Jana
25. pchor. Mazurkiewicz Marian s. Antoniego
26. pchor. Nagórski Zbigniew s. Jana
27. pchor. Nowak Stanisław s. Józefa
28. pchor. Olechowski Franciszek s. Wojciecha
29. pchor. Pikora Jan s. Stanisława
30. pchor. Płonka Daniel s. Józefa
31. pchor. Rozmarynowski Stanisław s. Jana
32. pchor. Rasiński Janusz s. Czesława
33. pchor. Skowron Adam s. Karola
34. pchor. Stola Andrzej s. Władysława
35. pchor. Sznepka Zygmunt s. Alojzego
36. pchor. Śliwakowski Adam s. Stefana
37. pchor. Tkaczyk Sylwester s. Feliksa
38. pchor. Tomczyk Stanisław s. Piotra
39. pchor. Tuszyński Zygmunt s. Józefa
40. pchor. Walaszek Jerzy s. Karola
41. pchor. Wieczorek Antoni s. Mariana
42. pchor. Wiśniewski Stanisław s. Feliksa
43. pchor. Wróbel Zbigniew s. Bolesława
44. pchor. Ziętek Zygmunt s. Franciszka

***Od redakcji:*** *Podchorążowie, którzy przybyli z jednostek wojskowych, przysięgę składali przed przybyciem do OSŁ. Kilku podchorążych z różnych przyczyn przysięgą składało w terminie późniejszym.*

Zegrze, 01.09.1963 r.

## Rozkaz dzienny Nr 205

**Ubycia ewidenc. nowopromowanych**

Niżej wymienieni podchorążowie III roku mianowani Uchwałą Rady Państwa Nr W/33/63 z dnia 28.08.1963 r. na pierwszy stopień oficerski zostali w dniu 01.09.1963 r. skierowani Rozkazem Personalnym MON Nr 0386 z dnia 30.08.1963 r. jak następuje do dyspozycji:

**Dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego**

1. ppor. Bąk Mieczysław
2. ppor. Biesiadecki Mieczysław
3. ppor. Czykiel Roman
4. ppor. Głowacki Stanisław
5. ppor. Kukliński Włodzimierz
6. ppor. Ładomirski Jacek
7. ppor. Majewski Ryszard
8. ppor. Preger Romuald
9. ppor. Śliwakowski Adam
10. ppor. Wiśniewski Stanisław
11. ppor. Zienkiewicz Leonard

**Dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego**

1. ppor. Amieławski Andrzej
2. ppor. Antkowiak Mieczysław
3. ppor. Berliński Zbigniew
4. ppor. Bławat Jerzy
5. ppor. Bożątkiewicz Ryszard
6. ppor. Bystry Zenon
7. ppor. Dmitrzak Wiesław
8. ppor. Florczak Eugeniusz
9. ppor. Fręśko Stefan
10. ppor. Gaweł Adam
11. ppor. Grzesiak Czesław
12. ppor. Jörgen Jerzy

13. ppor. Karmelitow Konstanty
14. ppor. Kociałkowski Karol
15. ppor.Sznepka Zygmunt
16. ppor. Tobijasz Zbigniew
17. ppor. Tront Anatol
18. ppor. Wapniarz Jerzy
19. ppor. Komędera Eugeniusz
20. ppor. Król Andrzej
21. ppor. Kucharski Czesław
22. ppor. Landowski Edmund
23. ppor. Lubiak Stanisław
24. ppor. Marchlewski Bogusław
25. ppor. Mazurkiewicz Jerzy
26. ppor. Michalski Piotr
27. ppor. Miciak Mieczysław
28. ppor. Nadratowski Janusz
29. ppor. Nowak Stanisław
30. ppor. Schibowski Edward
31. ppor. Skowron Adam
32. ppor. Szczygielski Sylwester
33. ppor. Wojtuszkiewicz Tadeusz
34. ppor. Worm Jan
35. ppor. Wroński Tadeusz
36. ppor. Ziętek Zygmunt

**Dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego**

1. ppor. Adamczyk Guenter
2. ppor. Adamski Zygmunt
3. ppor. Gołuch Zenon
4. ppor. Gorzelany Zdzisław
5. ppor. Jaźwiecki Mieczysław
6. ppor. Kozak Henryk
7. ppor. Lenkiewicz Stanisław
8. ppor. Mittek Wiesław
9. ppor. Otremba Bernard
10. ppor. Otremba Józef
11. ppor. Pakosiewicz Ireneusz
12. ppor. Stopiński Jan
13. ppor. Walaszek Jerzy
14. ppor. Zembroń Bogusław

**Dowódca Lotnictwa Operacyjnego**

1. ppor. Dubil Andrzej
2. ppor. Florek Jan
3. ppor. Habel Stanisław
4. ppor. Jarząbek Ryszard
5. ppor. Kłos Zbigniew
6. ppor. Sworowski Teodor
7. ppor. Tietz Zbigniew
8. ppor. Zaremba Zygmunt
9. ppor Zieliński Stanisław

**Główny Inspektorat Lotnictwa**

1. ppor. Giezek Wiesław
2. ppor. Gojło Stefan
3. ppor. Jawor Zdzisław
4. ppor. Kolasa Józef
5. ppor. Kołakowski Zenon
6. ppor. Kołodziej Jan
7. ppor. Mięsiak Tadeusz

**Dowódca Wojsk Obrony Powietrznej Kraju**

1. ppor. Bilski Wiesław
2. ppor. Burniewicz Zbigniew
3. ppor. Czubak Czesław
4. ppor. Górski Ignacy
5. ppor. Janik Andrzej
6. ppor. Młynarczyk Lech
7. ppor. Mroczkowski Stanisław
8. ppor. Pikora Jan
9. ppor. Kosik Jerzy
10. ppor. Kurowski Bolesław
11. ppor. Leśniewski Zygmunt
12. ppor. Mazurkiewicz Marian
13. ppor. Mielczarek Henryk
14. ppor. Rodzeń Józef
15. ppor. Wojciechowski Tadeusz
16. ppor. Wróbel Zbigniew

**Dowódca Marynarki Wojennej**

1. ppor. Dawidziuk Zdzisław
2. ppor. Jurczyk Bronisław
3. ppor. Karwowski Czesław
4. ppor. Lewandowski Czesław
5. ppor. Lorek Andrzej
6. ppor. Moneta Marian
7. ppor. Woliński Andrzej

**Szef Wojskowej Służby Wewnętrznej**

1. ppor. Marciocha Mieczysław
2. ppor. Pastewka Jerzy

**Szef Zarządu II Sztabu Generalnego**

1. ppor. Bąk Jan
2. ppor. Dunal Wojciech
3. ppor. Jóźwik Józef
4. ppor. Kotowoda Marek
5. ppor. Malinowski Jerzy
6. ppor. Miszta Jan
7. ppor. Sędłak Andrzej
8. ppor. Szklarek Marian
9. ppor. Zieliński Jerzy

**Szef Sztabu Generalnego**

1. ppor. Białczyk Zenon
2. ppor. Bieńkowski Andrzej
3. ppor. Bischoff Andrzej
4. ppor. Bodzioch Henryk
5. ppor. Chojnowski Zygmunt
6. ppor. Cieślewski Witold
7. ppor. Fidura Henryk
8. ppor. Fiuk Jerzy
9. ppor. Gawart Wiesław
10. ppor. Gładkowski Władysław
11. ppor. Goliński Jerzy
12. ppor. Grzybowski Bolesław
13. ppor. Magdoń Ludwik

14. ppor. Majewski Brunon
15. ppor. Mrozowski Tadeusz
16. ppor. Pielichiewicz Mikołaj
17. ppor. Płonka Daniel
18. ppor. Roszkowski Stanisław
19. ppor. Skowronek Tadeusz
20. ppor. Skubis Antoni
21. ppor. Stańczak Stefan
22. ppor. Szczeciński Bogusław
23. ppor. Janiczek Tadeusz
24. ppor. Jarosz Edward
25. ppor. Jasik Czesław
26. ppor. Jesion Wiktor
27. ppor. Joniak Józef
28. ppor. Juszkiewicz Jan
29. ppor. Korepta Antoni
30. ppor. Kruszyński Marian
31. ppor. Krzyżanowski Eugieniusz
32. ppor. Kuryłek Zbigniew
33. ppor. Kuza Leszek
34. ppor. Leszczyński Józef
35. ppor. Tomczak Krzysztof
36. ppor. Tymiński Edmund
37. ppor. Urbaniak Władysław
38. ppor. Walczyński Jerzy
39. ppor. Wardęcki Zdzisław
40. ppor. Wieczorek Antoni
41. ppor. Zaborowski Jan
42. ppor. Zastąpiłło Zbigniew
43. ppor. Ziemka Jan

**Komendant Ośrodka Szkolenia Artylerii**

1. ppor. Tomczyk Stanisław

**Minister Spraw Wewnętrznych**

1. ppor. Kusztelak Jan
2. ppor. Lasiński Andrzej
3. ppor. Machowski Stanisław
4. ppor. Wełpa Bronisław
5. ppor. Wilk Zbigniew

## NASZ KOMENDANT

### pułkownik dyplomowany Edward Gierasimczyk

Urodził się 19 maja 1919 roku w Nowogródku na Wileńszczyźnie, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej i gimnazjum. Od 1937 roku kontynuował edukację w Białymstoku, najpierw w gimnazjum, a następnie w Liceum Humanistycznym im. Romualda Traugutta. Po jego ukończeniu powrócił do Nowogródka, gdzie zastał go wybuch II wojny światowej.

W 1940 roku tereny te znalazły się pod okupacją sowiecką i na podstawie ustawy Rady Najwyższej ZSRR wszyscy zamieszkujący tam Polacy otrzymali obywatelstwo radzieckie. W efekcie tego 20 października 1940 roku powołany został do Armii Czerwonej.

Mając ukończony w 1939 roku kurs szybowcowy, zgłosił się do służby w lotnictwie i został skierowany do Szkoły Młodszych Specjalistów Lotnictwa w Woroneżu. Jednak w wyniku kłopotów zdrowotnych musiał szkołę opuścić i w grudniu 1940 roku przeniesiony został do kompanii łączności batalionu obsługi lotniska 8 Pułku Bombowców w Briańsku.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, w ramach wykonywania zadań przez kompanię łączności szer. Gierasimczyk pełnił obowiązki obserwatora, do którego należało ostrzeganie przed atakami powietrznymi. Wkrótce, jako Polak, uznany został za element politycznie niepewny i po kolejnych zmianach miejsca służby trafił do batalionu budowlanego w Prośnicy w województwie kirowskim.

Batalion, w skład którego wchodzili żołnierze narodowości rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej i polskiej, budował lotnisko. Brak materiałów powodował konieczność ich pozyskiwania w najróżniejszych miejscach. Pewnego dnia wydano rozkaz, aby żołnierze dokonali rozbiórki ruin cerkwi. Kompania, w której służył szer. Gierasimczyk, odmówiła jego wykonania. Sprawę potraktowano jako działalność wywrotową, skierowaną przeciwko władzy radzieckiej. Rozpoczęto śledztwo, nastąpiły aresztowania.

Szer. Gierasimczyk przebywał w więzieniu 10 miesięcy, początkowo w Orle, a później w Kirowie. Niezwykle ciężkie warunki spowodowały osłabienie organizmu, a w konsekwencji tyfus. Gdy w kwietniu 1942 roku opuszczał więzienie ważył niespełna 40 kilogramów.

Po uzyskaniu wolności, poprzez delegaturę ambasady polskiej, próbował dotrzeć do miejsca formowania armii generała Andersa. W czasie podróży ciężko zachorował i trafił do szpitala w Permie, gdzie przebywał cztery miesiące. Kiedy go opuszczał w ZSSR nie było już armii generała Andersa.

Postanowił pozostać w Permie i przebywał tam do 22 sierpnia 1943 roku, pracując najpierw w zakładzie produkującym działa artyleryjskie, a później w brygadzie połowu ryb.

Na wieść o formowaniu 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki natychmiast udał się do Sielc nad Oką, gdzie wyznaczony został na stanowisko zastępcy dowódcy batalionu saperów do spraw polityczno-wychowawczych. Po bitwie pod Lenino, w której uczestniczył, otrzymał awans na stopień chorążego. W marcu 1944 roku wyznaczony został zastępcą dowódcy kompani - instruktora Samodzielnego Pułku Łączności.

28 lipca 1945 roku ożenił się z radiotelegrafistką 1 Pułku Łączności - Marią, która wraz z nim przeszła szlak bojowy od Lenino do Berlina uzyskując stopień podporucznika WP.

Ze swoim oddziałem uczestniczył w walkach o Warszawę, na Wale Pomorskim i w bitwie o Berlin. Uzyskał kolejne stopnie wojskowe podporucznika w 1944 roku, a porucznika w 1945 roku.

Po zakończeniu działań wojennych od czerwca 1945 roku pełnił obowiązki instruktora 3 Samodzielnego Pułku Łączności, a we wrześniu 1946 roku został zastępcą dowódcy samodzielnego batalionu łączności Sztabu Generalnego. Z tego stanowiska odszedł na studia do Wojskowej Akademii Łączności w ZSRR, które ukończył w sierpniu 1951 roku.

W kraju otrzymał awans na stopień majora i wyznaczony został na stanowisko zastępcy komendanta Fakultetu Łączności do spraw naukowych i szkolenia Wojskowej Akademii Technicznej. 12 października 1951 roku otrzymał awans do stopnia podpułkownika.

W grudniu 1952 roku podpułkownik Gierasimczyk rozpoczął kolejny, najdłuższy etap swojego wojskowego życia. Przybył wówczas do Zegrza obejmując stanowisko dyrektora nauk Oficerskiej Szkoły Łączności Radiowej, a od 29 września 1953 roku komendanta tej szkoły.

Pod jego komendą z dniem 22 listopada 1955 roku rozpoczęła działalność Oficerska Szkoła Łączności, utworzona z połączenia Oficerskiej Szkoły Łączności Radiowej i Oficerskiej Szkoły Łączności Przewodowej w Sieradzu. Kolejny stopień wojskowy - pułkownika otrzymał w dniu 12 października 1956 roku.

W okresie dziewiętnastu lat kierowania uczelnią permanentnie dążył do podnoszenia poziomu nauczania, głównie poprzez unowocześnianie programów i bazy naukowej oraz podnoszenie kwalifikacji kadry dydaktycznej. Problemy te nabrały szczególnej ostrości, gdy w maju 1967 roku szkoła przekształcona została w Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Łączności i uzyskała status wyższej uczelni.

Wtedy pod kierownictwem pułkownika Gierasimczyka rozpoczęto planowe zdobywanie przez kadrę dydaktyczną stopni naukowych, współpracę z wyższymi uczelniami cywilnymi w Warszawie i przygotowania do eksploatacji maszyn matematycznych.

Ważnym czynnikiem w działalności komendanta była dbałość o budowanie osobowości absolwentów. Właściwe kształtowanie stosunków międzyludzkich wśród stanu osobowego szkoły było stałą troską komendanta. Osobistym przykładem dawał wzór kultury bycia, dbałości o wygląd zewnętrzny i żołnierskiego zachowania. Za tę postawę był szanowany, oraz powszechnie lubiany.

W dniu 21 lutego 1971 roku pułkownik Gierasimczyk przekazał obowiązki komendanta WSOWŁ swojemu następcy i skierowany został na stanowisko w Sztabie Zjednoczonych Sił Układu Warszawskiego.

Zawodową służbę wojskową zakończył 20 maja 1976 roku. Od 1979 roku pracował w Zjednoczeniu Przemysłu Teleelektronicznego, jako specjalista do spraw ogólnotechnicznych, a następnie do czerwca 1991 roku w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego, jako rzeczoznawca. Zmarł w Warszawie 21 stycznia 1992 roku. Pochowany został na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach.

W trakcie służby wojskowej odznaczony był: Orderem Odrodzenia Polski III, IV, V klasy, Krzyżem Walecznych, srebrnym i brązowym medalem Zasłużony na Polu Chwały. Ponadto medalami: Za Warszawę, Za Odrę, Nysę i Bałtyk, Za udział w walkach o Berlin, orderem Czerwonej Gwiazdy oraz wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi.

*Opracowali: Antoni Wieczorek i Brunon Majewski*

***Źródło:*** *Praca zbiorowa pod kierunkiem naukowym płk. dr. inż. Mariana Kowalewskiego:* Komendanci Zegrzyńskiego Ośrodka Kształcenia Wojskowych Kadr Łączności 1919-1996, *Zegrze 1996.*

# STRUKTURA ORGANIZACYJNA OFICERSKIEJ SZKOŁY ŁĄCZNOŚCI (LATA 1960–1967)

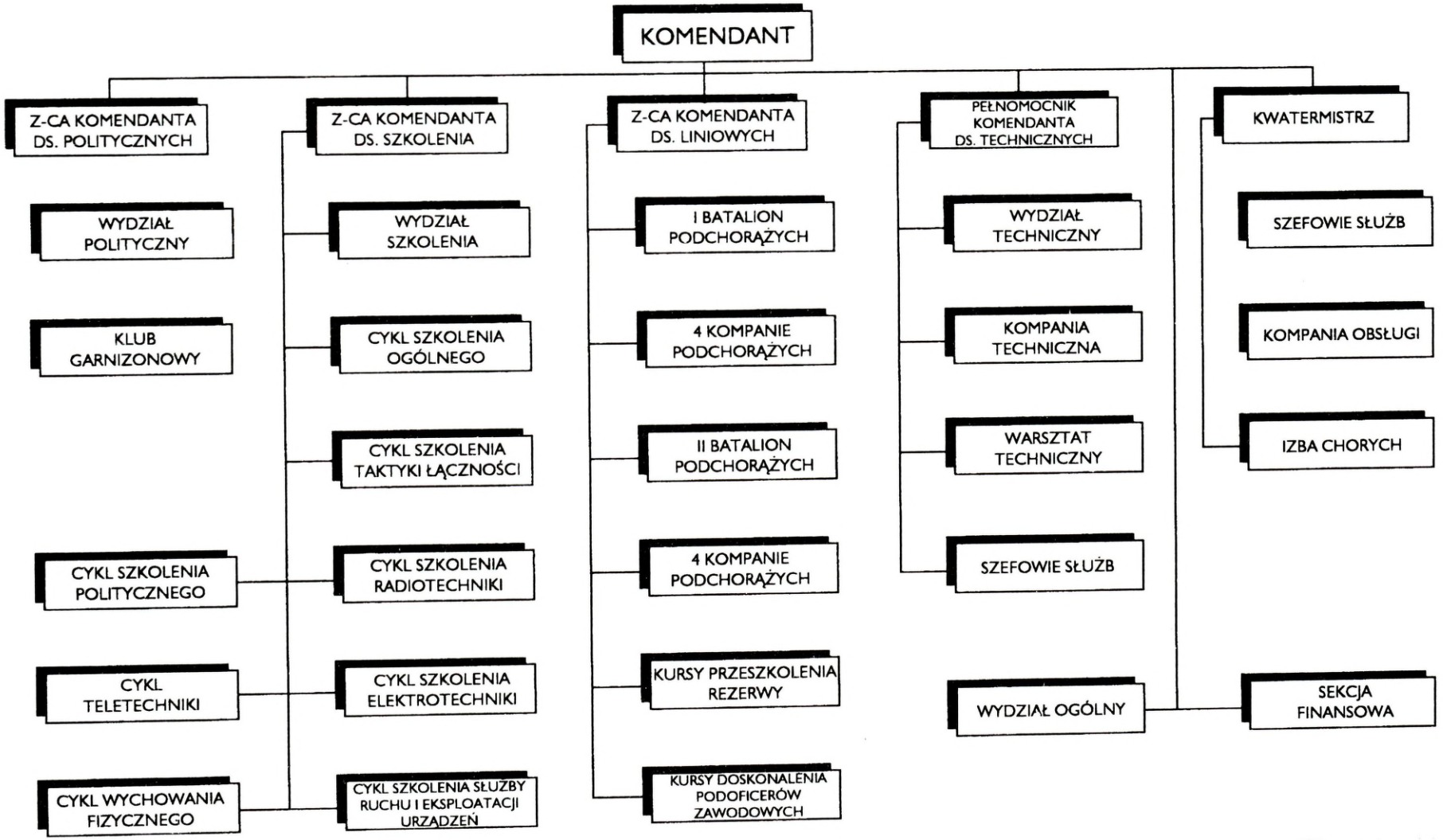

## NASZ JUBILEUSZ

(na melodię „Już taki jestem zimny drań")
słowa: Jerzy Goliński i Zdzisław Jawor

*Napisano z okazji XX-lecia promocji*
*Zegrze - wrzesień 1983*

Zaśpiewajmy tę piosenkę
Skoro przyszedł na to czas
Niech popłyną skoczne dźwięki
I niech wspomni każdy z nas.
Lata piękne i ambitne
Pełne wrażeń - to się wie
Bo przecież każdy dzisiaj przyzna,
Że nie było źle.

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy
Ten rocznik nieraz nam się śni
Bo w tym jest rzeczy sedno
Że nam NIE wszystko jedno
Co pozostało z tamtych dni.

Przeleciało już dwadzieścia
Lat nie łatwych, co tu kryć
Mniej lub więcej było szczęścia
Jednak warto było żyć,
By zaśpiewać dzisiaj chórem,
Aby nikt się nie czuł sam.
Vivat! Alma Mater - Zegrze
Niechaj żyje nam!

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy.....

Lat trzydzieści szybko minie
Wtedy spyta każdy z nas,
Fajnie było, lecz co dalej
Co nam sprezentował czas?
Jedni poszli w generały,
Inni w hodowanie róż,
I niech nas dalej łączy przyjaźń
By się spotkać znów

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

Więc trzymajmy się chłopaki
Musi nam wystarczyć sił,
Aby dowieść, że rok taki
W Zegrzu tylko jeden był:
Co ma zjazdy i spotkania
Jak rodzina trzyma się,
Więc pamiętajcie! Za lat dziesięć
Znów spotkamy się!

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

*Dopisano z okazji XXV-lecia promocji R-63*
*Borówno – wrzesień 1988*

Pięć z dziesięciu już minęło
Siwe głowy młody duch.
Nikt nie myśli o spoczynku
Może jeść i pić za dwóch,
A że żony ciągle młode,
I że każdy z nas jest chwat
Wiec tak jak widać się zanosi
Święcić i sto lat!

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

*Dopisano z okazji XXX-lecia promocji R-63*
*Zegrze - wrzesień 1993*

Większość z nas jest już w rezerwie
Mamy wnuki, wolny czas.
Najwytrwalsi jeszcze w służbie
I generał jest wśród nas,
Ale nam to nie przeszkadza
Znamy się jak z bratem brat,
Bo my jesteśmy po promocji
Już trzydzieści lat

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

A czas jest nieubłagany
Widać na nas jego ząb
By otuchy sobie dodać
Mamy towarzystwo żon
Lecz niczego nie kończymy
Póki płynie w żyłach krew
I jeszcze nieraz się spotkamy
Gdy ktoś poda zew

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

*Dopisano z okazji spotkania R-63*
*Lidzbark Warmiński - wrzesień 1996*

Rok kolejny szybko minął
Gdy wiatr morski smagał nas,
I tęsknota za spotkaniem
Znów przezwyciężyła czas.
A po Helu wita Lidzbark
Kto następny poda zew?
Bo nadal chcemy się spotykać
By się rozległ śpiew:

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

*Dopisano z okazji XXXV-lecia promocji R-63*
*Zegrze - wrzesień 1998*

Tleń i Lidzbark już historią
Dziś znów Zegrze wita nas
Bo jak widać to lubimy
W takim gronie spędzać czas.
Niech żałują nieobecni
Nie nadrobią już tych strat
I będą mieć ogromną lukę
Wspomnień z wielu lat

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

W służbie dzisiaj tylko sześciu
Podchorążych z tamtych lat
Szkołę nam zlikwidowano
Winnych niech rozliczy kat
Lecz w pamięci naszej Zegrze
Pozostanie aż po grób
Gdyż rozpoczęło wiele wspólnych
Przyjacielskich dróg

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy....

*Do odśpiewania podczas XL-lecia promocji R-63*
*w 2003 roku*

Wzrok słabiutki, słuch marniutki
Z głosem także kiepsko jest
Jeść się nie da, pić nie można
Drapał żesz to wszystko pies,
Tekstu też nie pamiętamy,
Choć z pamięcią jest - OK.!
Lecz refren wszyscy zaśpiewamy
Bo go każdy zna!

Jesteśmy rocznik sześćdziesiąt trzy .....

# OPIS
# ODZNAKI PAMIĄTKOWEJ ABSOLWENTA OFICERSKIEJ SZKOŁY ŁĄCZNOŚCI 1963

Odznaka dwuczęściowa w formie proporczyka z nałożonym na nim orłem. Proporczyk srebrny o barwach niebiesko-czarnych z biało-czerwonym pasem w pośrodku. U góry wytłoczone litery OSŁ, poniżej dwie symetrycznie ułożone złocone błyskawice, między zakończeniami których widnieje liczba 63, upamiętniająca rok promocji oficerskiej. Między literami OSŁ a liczbą 63 nałożony orzeł.

Proporczyk wykonany z metalu srebrzonego i oksydowanego, emaliowanego i częściowo złoconego. Orzeł z metalu srebrzonego oksydowanego.

Wymiary 9x28 mm. Na rewersie wybity kolejny numer odznaki, data 11 X 1993 r. oraz nazwisko grawera.

Odznakę projektowali: Jerzy Mazurkiewicz i Andrzej Oniśko.

Odznakę wykonał Andrzej Oniśko. Warszawa ul. Bednarska 25.

Odznaka Pamiątkowa Absolwenta OSŁ 1963 wykonywana była dwukrotnie. Pierwszy raz w 1993 roku przez pana Andrzeja Oniśko w Warszawie przy ul. Benarskiej 25. Wykonano wówczas matrycę i 72 odznaki ponumerowane od 00 do 71.

Latem 1997 roku wykupiono matrycę. Jesienią tegoż roku w pracowni pana Andrzeja Panasiuka w Warszawie przy ul. Świętojańskiej 4/6 wykonano dodatkowo 20 odznak, po dwie odznaki nr 02, 03, 08 oraz po jednej nr 01, 04, 09, 10, 16, 26, 29, 31, 58, i od nr 72 do nr 76.

Odznaki wykonane w 1997 roku różnią się nieznacznie od poprzednich tym, iż na awersie posiadają błyskawice srebrzone, a na rewersie tylko dwucyfrowy numer.

Do końca 2002 roku wykonano ogółem 92 odznaki.

# Odznaka Pamiątkowa Absolwenta Oficerskiej Szkoły Łączności 1963

*"Nie ma nic bardziej wartościowego niż prawdziwa męska przyjaźń".*

Zgodnie z wolą uczestników Jubileuszowego Zjazdu Absolwentów Oficerskiej Szkoły Łączności, odbytego z okazji XXX - lecia promocji oficerskiej, ustanowiona została odznaka pamiątkowa absolwenta OSŁ promocji 1963 r.

Stanowi ona symbol koleżeńskich więzi i prezentowanych przez absolwentów wartości moralnych. Odznakę mają prawo nosić absolwenci OSŁ promocji 1963 r. oraz osoby szczególnie dla nich zasłużone.

Pan .....

posiada odznakę nr .....

Odznaka absolwenta nr "00" (zero, zero) wraz z jej opisem oraz listą osób, które odznakę posiadają znajduje się w Muzeum Wojsk Łączności w Zegrzu k. Warszawy.

Komitet Organizacyjny
Jubileuszowego Zjazdu
Absolwentów OSŁ - 63

Zegrze, 11 - 12 wrzesień 1993 r.

Uroczysta zbiórka trzeciej kompanii na placu alarmowym

Na pierwszej przepustce przy zegrzyńskim moście

Trzeci pluton na zajęciach z taktyki

Odpoczynek po zajęciach w polu

Niedzielne popołudnie

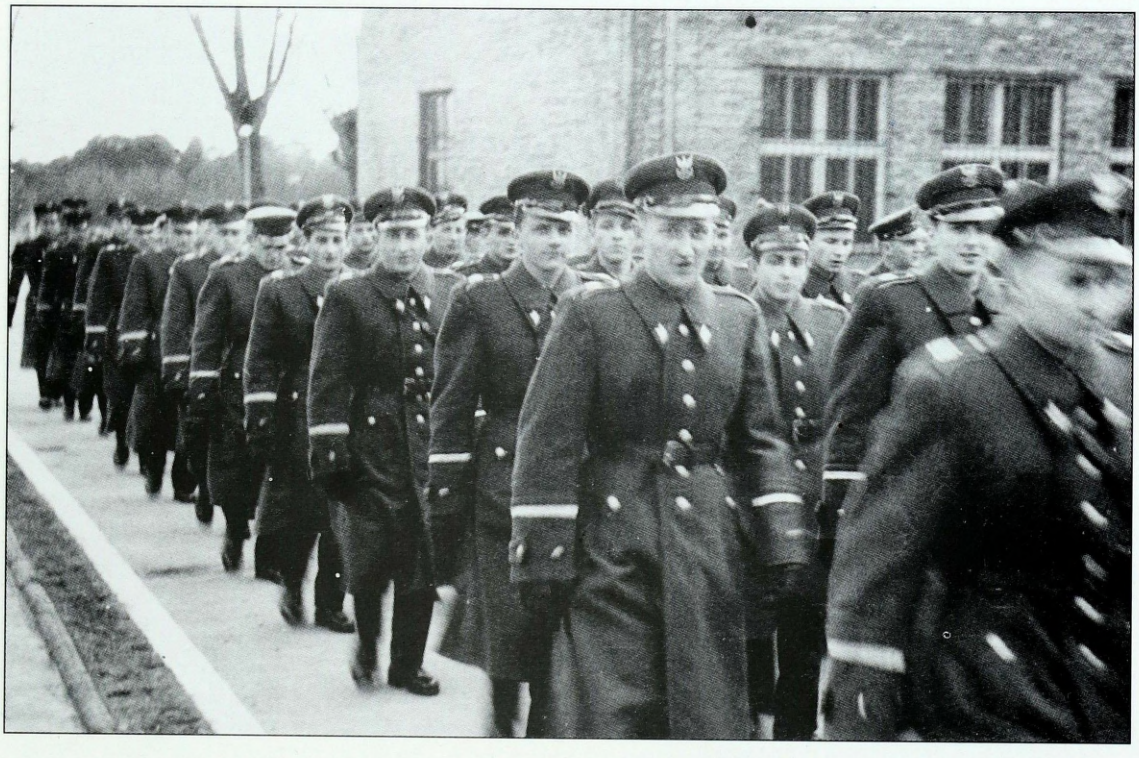

Wymarsz na urlop wielkanocny

Trzecia kompania jako kompania honorowa szkoły

Zajęcia świetlicowe

Na przepustce w Warszawie

Chwila oddechu podczas ćwiczenia

W ogródku sportowym

Trybuna honorowa podczas uroczystości promocyjnej

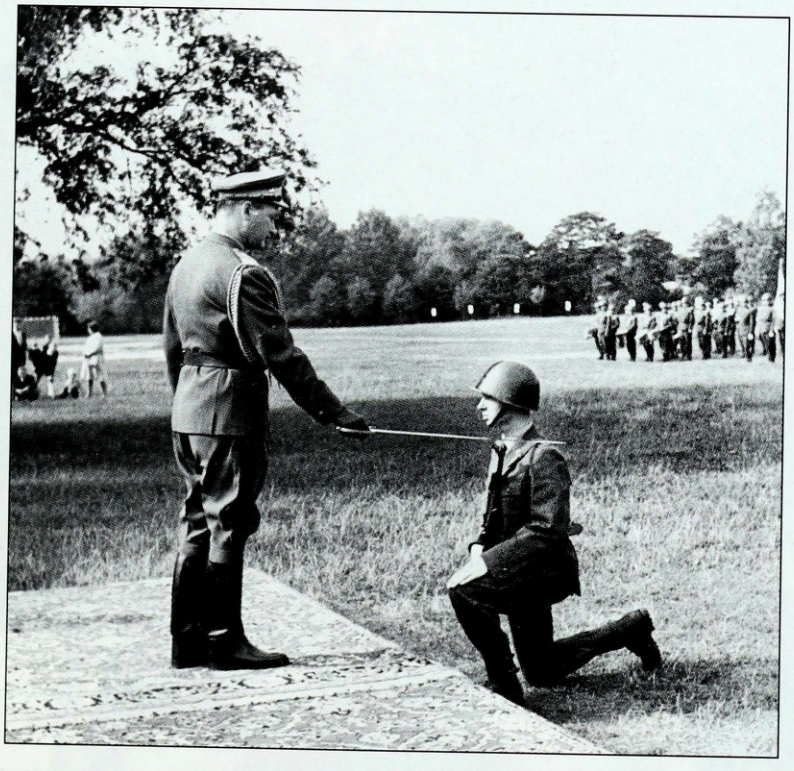

Prymus

Akt promocji

Młodzież gratuluje nam gwiazdek

Pierwszy zjazd absolwentów OSŁ R-63 z okazji X-lecia promocji

Zjazd z okazji XX-lecia promocji

Meldunek jak za dawnych czasów

Zjazd z okazji XXX-lecia promocji

Jesteśmy z żonami

Zjazd z okazji XXXV-lecia promocji

Przy pamiątkowym głazie

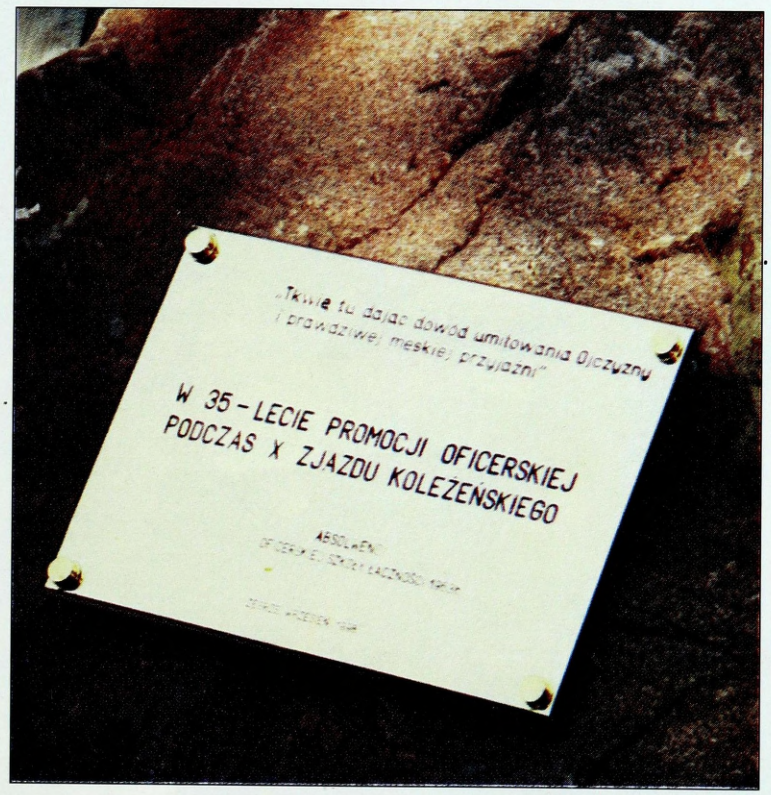


Tablica pamiątkowa

Jedno z licznych spotkań koleżeńskich – Karpacz 1999 r. Na Śnieżce

Spotkanie koleżeńskie – Mrągowo 2000 r.

Między młodymi a dojrzałymi laty (1962–1993)

BIBLIOTEKA GŁÓWNA - ARCHIWUM
Nr ewid. 55878
Akademii Obrony Narodowej

ZEGRZYNIACY – ROCZNIK 63 jest książką o absolwentach Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu, promowanych w 1963 roku. Roczniku, jak sądzimy, niezwykłym przez swoje koleżeństwo oraz łączące go długoletnie, trwałe więzi.

W książce znajduje się dwadzieścia dziewięć wspomnień dwudziestu trzech autorów, ponadto krótka historia Zegrza i wojskowego szkolnictwa łączności, a także dokumenty i ilustracje.

Wspomnienia obejmują zdarzenia z ponad czterdziestu lat, poczynając od drogi do szkoły oficerskiej i pobytu w niej, poprzez służbę w jednostkach wojskowych, pracę w akademiach i uczelniach wojskowych oraz instytucjach centralnych ministerstwa obrony na różnych stanowiskach i w różnych regionach Polski.

Zawierają najciekawsze i najbardziej charakterystyczne momenty życia i służby, interesujące i ważne dla autorów oraz kolegów łącznościowców. Ze swej istoty subiektywne, lecz przez różnorodność dające w miarę obiektywny obraz tamtej rzeczywistości i warunków życia oraz przybliżające odpowiedź na pytanie, jacy byli Zegrzyniacy R-63.

ISBN 83-88062-59-X

AON Wydział Wydawniczy